

4168
38

2930

ROCZNIK LITERACKI

1937

pt67mo

34

INSTYTUT LITERACKI
WARSZAWA — 1938

Opr. med. w. 1936

ROCZNIK LITERACKI

TOM VI

1937

*P O D R E D A K C J A
ZOFII SZMYDTOWEJ*

INSTYTUT LITERACKI
WARSZAWA — MCMXXXVIII

4468
38

29301.1937

X-71039
29301 II

II



31

Tad Mikulski

K-œ 5. 11. 38

Cena Ł 9'50

LIRYKA I EPIKA WIERSZEM

- Alberti K. *Więcierz w głębinie*. W-wa. Hoesick.
- Angelus Silesius *Pątnik anielski*, tł. Adam Szczerbowski. Zamość. Koło Miłośn. Książki
- J. Moers z Poradowa (Bośniacka Elżbieta z Rulikowskich-Tuszowska) *Poezje*. Nakł. Kasy Pożyczk.-Wkl. Art. i Prac. b. Teatrów Miejskich w Warszawie.
- Braun M. *Sonety*. W-wa. Hoesick.
- Bronakowski W. *Poezja polityczna*. Wilno. Druk. Zwierzyński.
- Bujański J. *Osaczam tonacje*. Poemat. Łódź. Piotrowski.
- Bujnowski J. *Pęknięty tor*. Brasław. Magata.
- Bujnicki T. *W połowie drogi*. Wilno. Zw. Zaw. Literatów Polskich.
- Chlebowicz A. *Bęben symfoniczny*. Brasław. Magata. 1938.
- Ciesielczuk St. *Teatr natury*. W-wa. Hoesick.
- Cyra J. *Sonety ojcowskie*. Trembowla. Autor.
- Czata J. *Pamiętam*. Łódź. Seipelt.
- Dobrowolski St. R. *Janosik z Tarchowej*. Poemat. W-wa. Hoesick.
- Dziuba F. *Postęp*. Kraków. S. Krzyżanowski.
- Eker A. *Melodia chwili*. Lwów. Krawczyński.
- Ekert K. *Ojcie Nasz*. Lwów. Autor.
- Frasik J. A. *Łąkami w górę*. W-wa. Biblioteka Okolicy poetów. 1936.
- Fredro-Szembek M. *Klasy*. Poznań.
- Galczyński K. J. *Utwory poetyckie*. W-wa. Prosto z mostu.
- Gamska-Łempicka J. *Okno na ogród*. Lwów. A. Krawczyński. 1938.
- Gizowska J. *Na swojską nutę*. Lwów. Rolnik.
- Gołębiowski St. *Kłosa słońca*. W-wa. Mortkowicz.
- Cronowicz A. *Zbuntowaną pieśnią przez wieś*. Lwów. Księg. Lwowska. 1938.
- Grycewicz J. *Proroctwo o Largo Caballero, Przywódcy hiszpańskiej komuny*. Wilno. Autor.
- Halski Cz. *Szukam siebie*. Lwów. Drukarnia Polska. 1936.
- Herbert Edwin *Narodziny płomienia*. Poznań. Prom.
- Hertz P. *Szarfa ciemności*. W-wa. Hoesick.
- Herzog L. *Etapy*. Rzeszów, Autor.
- Hinczówna J. *Działosza. Jaskółki*. Kraków. Druk. Litodruk.
- Jaman A. *Duch czasu a duch lasu*. W-wa. Hoesick.
- Jacek H. *Słowa o wodzu (B.m.w.)* Sgł. W-wa. G. i W.
- Jasiński Zb. *Morze w poezji polskiej*. Antologia poezji marynistycznych. W-wa. Gł. Księg. Wojsk.
- Jasnorzewska M. *Krystalizacje*. W-wa. Mortkowicz.
- Jastrun M. *Strumień i milczenie*. W-wa. Mortkowicz.

- Jernas F. *Księżyc nad Poznaniem*. Poznań, Dippel.
- Jetzisz I. *Przyjaźń śpiewająca*. Lwów. Jung-literat.
- Jeż M. ks. *Sursum corda* (W górę serca). Kraków. Autor.
- Kaden St. *Samotne wiersze*. Kraków, Anczyc i S-ka.
- Kamiński Bronisław *Przeciw*. Poemat. Kraków. Klub młodych artystów.
- Kamiński Wł. *Miłość bezrobotna*. Poemat życia. Łódź. Nakł. Łódzki zespół literacki.
- Kapuściński J. *Z pod chłopskiego pióra*. Trembowla. Autor.
- Kanfer Irma *W mleczną drogę*. W-wa. Sgl. G. i W.
- Kasprowicz A. *Chwasty płonące*. Łódź. Sgl. D.K.P. W-wa.
- Kobylińska E. *Moja matka*. Wilno. Księg. św. Wojciecha.
- Kossakowski M. *Chłód drogi*. Zamość. Koło Miłośn. Książki.
- Koterba-Dziuban Z. *Rozmawiamy wieczorem*. Kraków. Polart. 1938.
- Kowalski A. *100 pieśni żołnierskich*. W-wa. Gł. Księg. Wojsk.
- Kozikowski E. *Pięciokłos*. W-wa. Michalak.
- [Kozimiński K. zebrał] *Poezja Legionów*. W-wa. Główn. Księg. Wojskowa. 1936.
- Kraśniański Al. *Wiolonczela i księżyc*. Łódź. Syndykat Dzień. Łódzki. 1938.
- Kruczkowski J. *Ballady lwowskie*. Lwów. Sgl. Książka.
- Kubisz Paweł *Przednówek*. Czeski Cieszyń. Śląski Zw. Lit. Art. w Czechosłowacji.
- Kubalski E. *Na sokołą nutę*. Katowice. Księgarnia i drukarnia Katolicka.
- Kubicki M. *Pieśni bosc*. W-wa. Biblioteka Ugorów.
- Kucharski L. *Pomiany*. Częstochowa. Nakł. Grupa Lit. Ars.
- Kuglin W. *Młyny Boże*. Kraków. Łuczywo.
- Leśmian B. *Łąka*. W-wa. Mortkowicz.
- Lenczewski Wł. *Złe struny*. Wyd. 2 po konfiskacie. Kraków. Autor.
- Lipiński Fr. *Kraków stary*. Kraków. Nauka i Sztuka. 1936.
- [Malanowski W.] *Czara Graala*. Kraków.
- Mazur J. *Z wysokich Tater wiaterny sum*. Lwów. Książnica-Atlas.
- Miączyński Wł. *Duma o Marszałku*. Dubno.
- Mielniczek J. *W obliczu groźnych czasów*. Przemyśl. Autor.
- Mikiewicz K. *Poezje*. W-wa. Nasza Drukarnia.
- [Mitana dr Tadeusz opracował] *Antologia poezji polsko-amerykańskiej*. Chicago. Polski Klub Artystyczny.
- Młynarski Ryszard *Bajki*. W-wa. (b.m.w.).
- Młynek L. *Testament Lecha*. Powieść ludowa (wierszem). Kraków. Autor.
- Napierski St. *Lirycy francuscy*. Wybór poezyj, t. 2. W-wa. Druk. B-cia Drapczyński. — *Elegie*. Warszawa. Hoesick. — *Poezi niemieccy*. Liryci niemieckiej t. II. W-wa.
- Niżyński M. *Więćierz wieczorny*. W-wa. Myśl polska.
- Nowak H. *Słowa krzesane ukośnie*. Tomaszów M. Druk. Polska. Opoczno.
- Okrzewski Wł. *Panta W. Słowa oczekiwane*. Kraków. 1938.
- Olkiewicz A. *Z mojej teki*. Poezje. Toruń. Druk. Kuszel.
- Olszewski R. *Jestem młody*. Grodno. 1938.
- Osmańczyk E. *Wolność jest słoneczna*. Opole. Sgl. D.P.K.
- Ożóg J. *Wyjazd wnuka*. W-wa. Okolica Poetów.
- [Pigoń St. prof. słowem wstępem opa-

- trzył]. *Poezja młodego Podhala*. Kraków. Koło Polon. Śl. U. J.
- Popowska J. *Przed nocą*. Poznań. Jackowski.
- Piowar L. *Co wieczór*. Kraków. Koło wyd. Teraz. 1936.
- Platta H. *Kregi na szkłe*. Lublin. Nakł. Zw. Lit.-Artystycznego.
- Pluskowski Józef *Na rubieżach snień*. W-wa. A. Fruchtmann.
- Putrament J. *Droga leśna*. Wilno. Oddz. Wileńsk. Zw. Zaw. Lit. polskich. 1938.
- Rawicz Jur (Rabinowicz J.) *Co pieśń może*. W-wa. Robotnik.
- Romanowski W. *Zbiorek wierszy*, cz. 5. Przemyśl. Druk. Styfi.
- Silberman M. *W cieniu życia*. Stanisławów. Sgł. Księg. Bodek.
- Skuza W. *Fornale*. Nowy poemat wsi. Nakł. 2 po konf. Łódź. Prasa Chłopska.
- Ślawiński W. *Miasto moje...* Bydgoszcz w wierszach Bydgoszcz. 1938.
- Słobodnik Wł. *Niepokój wieczorny*. W-wa. Hoesick.
- Strzałkowski *Wyjazd na połów*. W-wa. Autor. Sgł. Biblioteka Polska.
- Surówka-Brzegowski Fr. *Horyzonty*. Hoesick.
- Szaniawski K. Junosza *W promieniach półsłońca*. Bydgoszcz. Autor.
- Szeftel B. *Akordy* H. Szpakiewicz. Łódź.
- Szczerbowski A. *Ogród zamknięty*. W-wa. Hoesick.
- Szymański E. *Słońce na szynach*. Nakł. Zw. Zaw. Prac. Kolejowych R. P.
- Szymkowiakówna H. *Na wiosnę*. Poznań. Autorka.
- Ścibor-Rylski E. *Zielone, czarne i czerwone*. W-wa. Szwede.
- Świeżawski L. *Hejnal Bohaterski*. W-wa. Kohorta.
- Świątek W. *Wiersz o Ignacym Paderewskim*. W-wa. Druk. Kolumna. 1936.
- Teresa św. od Dzieciątka Jezus *Poezje*. Tłum. bezimienna. W-wa.
- Teslar J. A. *Plastr miodu*. Florencia. Tyszkiewicz.
- Tokarzewski - Karaszewicz J. *Pieśni i osty*. B.m.w. 1938. — *Pastwisko*. Bydgoszcz. Druk. J. Czuba.
- Tuhun R. *Melodie snów*. W-wa. Arct.
- [Tuwim J. tł.] *Lutnia Puszkina*. W-wa. Przeworski.
- Turkowski L. *Krew ziemi*. Poznań. Dippel.
- Warma L. *Iskry z pod młota* (B.m.w.). Sgł. W-wa. D. K. P.
- Weintraub J. K. *Próba powrotu* (B.m.w.) Biblioteka Kameny.
- Welke-Siwkowska J. *Gdy rozkwitają jałbionie*. W-wa. Hoesick.
- Wierzyński K. *Wolność tragiczna*. (Wyd. 2). Lwów. Książnica-Atlas.
- Wierzyński K. *Utwory zebrane*. Wyd. 3. Warszawa. Przeworski.
- Winogradzki G. *Lachy nad Bałtykiem*. Szkic historyczny (wierszem). Gdynia. Druk. Baranowski, Łódź.
- Wojdała M. *Pierwsze promienie lutni*. Trembowla. Ogólnopolski Informator.
- Wokulska J. *Powrót z księżycy*. Wilno, Sgł. Księg. św. Wojciecha.
- Woszczyński St. *W uroczysku*. Poznań, Rolnicza druk. i księg. nakł. Jako druk pryw.
- Zagórski J. *Wyprawy* (Wilno) Zw. Zaw. Literatów polskich.
- Zelenay T. *Jesień sentymentalna*. W-wa. Hoesick.
- Żakiej Tadeusz. *Plomienie i kołysanki*. Lwów. Lwów Literacki. 1938.
- Żytomirski E. *Pierwsze przykazanie*. W-wa. Hoesick.

* Na życzenie Autora w artykule zachowuje się dawną pisownię.

JEŚLI ROK SPRAWOZDAWCZY JEST O TYLE UBOZSZY w wybitne dzieła i manifestacje znakomitych poetów od swego, wyjątkowo pod tym względem bogatego poprzednika — do pewnego stopnia jest to dziełem przypadku. Niechby o parę miesięcy tylko opóźniło się wydanie książek Staffa i Tuwima (które ukazały się w końcu 1936 r.), a już proporcjonalna waga ubiegłego roku kalendarzowego zmieniałaby się ogromnie. Ale element przypadku nie jest tu pozbawiony symbolicznego znaczenia. Odnosi się wrażenie, że coś się odwraca, że zegar dziejowy zaskrzypiał jakby przed wybicciem nowej godziny w nieustannej ewolucji poezji polskiej. Śmierć Leśmiana (i Struga) wydaje się hasłem ustępowania ostatnich czynnych literacko członków generacji Młodej Polski; wydany w tamtym roku wielki tom Leśmiana (razem ze wznowioną w roku sprawozdawczym *Łąką*, za życia jeszcze przygotowaną) nabiera znaczenia rekapitulacji jego najwybitniejszych zalet i przywar jako artysty. Jeszcze wyraźniej zaznacza się przedzwrotność w odniesieniu do młodej i najmłodszej poezji. Tu należałoby przyznać rację tym historykom literatury, którzy w jej chronologicznych podziałach trzymają się dziesięcioleci. Istotnie, jeśli zgodnie z moją propozycją, która coraz częściej i przez innych jest wysuwana, dziesięciolecie 1918—1928 uznamy za „okres Skamandra“, epokę prymatu liryki i wciąż rosnącego znaczenia i wpływów znakomitych twórców tej grupy; jeśli od tej daty poczynając, liryka wraz z nieodłącznymi właściwościami jej stylu, rzucającymi odblask na inne rodzaje literackie, zaczyna odstępować prymat wśród nich prozie narracyjnej, nacechowanej swem najistotniejszym znamieniem — realizmem; jeśli liryka natomiast zaczyna przeżywać przesilenie, którego rezultatem jest wyjście na czoło i zdobycie stosunkowo wielkiej popularności (nie tyle u publiczności co u poetów samych), przez podziemny dotąd, w każdym razie kameralny nurt zdawna wegetujących na uboczu głównego prądu literatury kierunków krańcowych, skupiających się w „awangardzie“ krakowskiej, to trzeba zwrócić uwagę, że od tej daty upływa już nowe dziesięciolecie, cały nowy okres dziejów poezji, że już od pewnego czasu dawały się odczuwać niebezpieczne skutki utracenia przez nią uroku nowości, przesycenie nią i znużenie, a wreszcie wyraźne zmniejszanie się tej sugestji zbiorowej, które mogłem zanotować już w poprzednim Roczniku. „Po owocach je poznać“, a miniony lat dziesiątek ukazał najbardziej łatwowiernym nicość jej osiągnięć. Wiele też teraz można mówić o kryzysie, a nawet bankructwie „awangardy“, wspie-

rając się nie tylko na wrażeniu, na subiektywnem uogólnieniu krytyka, lecz na obiektywnych danych społecznej świadomości. Świadomość ta wyraziła się w licznych enuncjacjach publicznych, pochodzących z kół jej bliskich i sympatyzujących z nią do niedawna. Spory w samym łonie „awangardy“, polemiki między jej głównymi przedstawicielami; ich wyznania, z których widać, że już nie chcą nadal szermować swą zwiotczałą przez te lat dziesiątki młodością (z wyjątkiem Brzękowskiego, który nadal coś wygłasza w majorowym tonie jako wiekopomne odkrycie lub wynalazek poetycki i wciąż coś „postuluje“), godzą się z myślą, że młodsze ręce przejmą „scepter awangardowania“. Wierzę w szczerą „długiej tęsknoty“ do tego momentu, u Przybosia przynajmniej: „awangarda“ ma ciężkie życie. Ataki na nią i rewizje mnożą się na łamach wszystkich pism literackich, interesujących się poezją i to zwłaszcza tych, które są organami „młodych“, w których poeci awangardowi i awangardyzujący najczęściej reprezentują „mowę wiązaną“ (jeśli to słowo jest tu na miejscu: Przyboś, jak zawsze przodujący nie tylko talentem wśród swoich współwyznawców ale i rzetelnością i konsekwencją, szybko dziś dojrzewający intelektualnie w atmosferze Zachodu, prezentuje coraz częściej swoje utwory jako „poematy prozą“), oraz tych, które ze względu na radykalizm społeczny uważały za swój obowiązek popierać radykalizm artystyczny. Nawet p. M. Chmielowiec, wyjątkowy i wśród sympatyków „awangardy“ obrońca Peipera jako poety, jest zbyt dobrym krytykiem, żeby nie widzieć iż „poezja awangardy nie umiała wybrnąć z impasu... jest ciągle jeszcze poezją przyszłości, nie sprawdza się na terenie teraźniejszości“ (oba artykuły w Sygnałach). Cóż dopiero inni! W temże piśmie — i to kto? — Jan Kott! pisze o „Pyrrusowem zwycięstwie awangardy“, mówiąc o spopolitowaniu się i spłyceciu jej „chwytów“, o zastąpieniu Peipera przez Czechowicza na tronie „papieża awangardy“, przez Czechowicza, którego „wiersze są bardzo nudne“ a „u jego uczniów jest tylko sama stężona nuda“. Werbalizm potomków awangardy, tych, których nawet mistrz Brzękowski nazywa „detalistami awangardy“, został napiętnowany z wielką swadą i temperamentem w tym artykule, który głosi publicznie, to o czem wiedziano i przedtem, ale krępowano się powiedzieć głośno. Na śmiech podane są przez najmłodszą krytykę i zewnętrzne drobnostki, np. czechowiczowskie nieużywanie wielkich liter i znaków przestankowych. Sam zresztą wynalazca tego dziwactwa zanichał go ostatnio.

„Detaliści“ odcinają się jak mogą (np. J. A. Frasik w Naszym wyrazie) wypowiadając dużo słusznych myśli i zarzutów pod adresem „hurtowników“ czyli szefów szkoły, nauczycieli i pod adresem samej doktryny „integralizmu“ i „metarealizmu“. Inni zabierają się jeszcze inaczej np. ze społecznego punktu widzenia, jak Ignacy Fik, który w dodatku poświęca się rozważaniom nad podstawowymi elementami i pojęciami sztuki (przeważnie w Naszym wyrazie, bardzo zasadniczy artykuł w Sygnałach już w pocz. b. r.): „permanentna awangardowość, jako pogoń za ekscentryzmem, staje się wyrazem zbuntowanej dywersji... uciążliwym i zbędnym anarchista awangardzista na ustroniu... dziś okres awangardy się kończy...“ Wypadów przeciw doktrynie, zwłaszcza przeciw Peiperowi jako jej realizatorowi, nie zliczyć po różnych recenzjach nawet u tak „awangardyżującego“ młodego krytyka jak St. Lichański w Pionie. Próbę bardzo zasadniczego ujęcia „błędu awangardy“ znajdujemy w śmiałej i oryginalnej koncepcji Tadeusza Sarneckiego (w piśmie łódzkim Wymiary): nieprzydatność jej techniki na gruncie języka polskiego, jako gramatycznego, w przeciwieństwie do języków analitycznych Zachodu, które „zwiększyły stopień nieomówienia w składni i tym samym stopień domysłu, koniecznego dla zrozumienia sensu“. Nie wydaje mi się ta hipoteza trafna, jest jednak symptomatyczna dla powszechnego rozczarowania tak modnym do niedawna kierunkiem.

Słabością tych ataków jest brak oparcia o jakąś poetykę normatywną i o jakiś zrealizowany w jej ramach ideał poezji, brak pozytywnego programu poetyckiego, wylegitymowanego godnymi uwagi realizacjami. Ci, co posiadają te warunki, tj. pokolenie Skamandra, zachowują rezerwę wobec sporów młodych, bądź dlatego, że posiadając za sobą osiągnięcia, nigdy nie mieli skrytykowanego programu, że wszelka skodyfikowana poetyka normatywna jest sprzeczna z zasadniczym liberalizmem ich poglądów, bądź też przez właściwy większości ustępujących pokoleń defetyzm (u którego podstaw leży mit nieskończonego postępu), charakterystyczny zresztą dla chwili obecnej na wszystkich odcinkach spraw „młodzieżowych“. Jeśli chodzi o młodych rewizjonistów „awangardy“, to nie mają oni za sobą ani legitymacji w osiągnięciach własnej twórczości, ani oparcia o jakiś wyraźny ideał poezji; niektórzy tylko występują w imię doktryny „autentyzmu“, której bzdurność ujawniła się dostatecznie w polemikach, prowadzonych przez wymienionych już przeważnie polemistów, której samej nawet nazwy (użytej zresztą

dla innej kategorii zjawisk) nie potrafił dostatecznie uzasadnić J. E. Skiński w Pionie. Doktryna jest symptomatyczna z jednej strony dla agresywności tendencji realistycznych epoki literackiej, w której żyjemy, z drugiej, dla poziomu dzisiejszego myślenia w zakresie zagadnień poezji; tylko na tym poziomie twórca „doktryny“ mógł zrobić karierę teoretyka i kierownika poetów, a jego pisemko — skończywszy paroletni żywot naturalną śmiercią, zmartwychwstać za pieniądze podatnika dla dalszego wylęgania grafomanów. Łatwe więc miał zadanie wobec przeciwników uzbrojonych w „autentyzm“ J. Przyboś, gdy w Naszym Wyrazie od obrony przechodził do ataku, i do pewnego stopnia słusznie zalecał najmłodszym poetom jako środek do wyrwania z szablonu i jałowości — porzucenie wspomnieniowości i infantylizmu, a oddanie się we władzę wyobraźni. Tak, zwrócić należne prawa zmysłowi, inwencji, fantazji, to byłby środek do przywrócenia słowu „poeta“ jako „pierwszego wydzwiku“ i wyselekcjonowania jego twórców z zakresu grafomanji.

II

Miałem niedawno sposobność do sprawdzenia, że tak powiem, „w terenie“, zastraszających skutków zamętu w wyobrażeniach o poezji wśród szerokich warstw tych, którzy poezją się interesują i tworzą. Jako członek jury pewnego konkursu poetyckiego, zetknąłem się nie z tą poezją, która przechodzi przez sito selekcji redaktorów i wydawców, lecz z jej surowym całokształtem. Nie mówię o zakłopotaniu jurorów koniecznością nagrodzenia czegoś, gdy nic naprawdę na nagrodę nie zasługiwało: brak talentów wśród ubiegających się o nią może być kładziony na karb przypadku; chciałbym zwrócić uwagę na zasadnicze i powszechne pomylenie pojęć o poezji, zatrącenie kryteriów, a zwłaszcza na groźną szczelinę jaką się tworzy (ostrzeżeniem mógłby tu być los innych sztuk!) pomiędzy pojmowaniem poezji jako sztuki, jako bezinteresownej działalności artystycznej, a jej aspektem, jako wyrazu uczuć i myśli o tym, co istotnie ważne dla twórcy. Pod tym ostatnim względem materiał konkursowy dostarczony przez inteligentów ustępuje produkcji prymitywów, którzy też obficie konkurs obeślali. Naiwne to wszystko i niedołężne, ale tu jeszcze najwięcej bezpośredniego i szczerzego stosunku do twórczości i poszukiwania najodpowiedniejszego wyrazu dla nurtujących myśli i uczuć. To też ta grupa może wzbudzić największe zainteresowanie, choćby ze

względów „poza-poetyckich“, jako odbicie rzeczywistości, czasem zgoła konkretne, trafne, jako wskaźnik poziomu kultury i wyobrażeń o literaturze w danym środowisku, wreszcie jako „dokument ludzki“.

Więc też i wśród plonów sprawozdawczego roku zwraca na siebie uwagę spora garść plodów twórczości „ludowej“. Nie jest to określenie zbyt jasne samo przez się, nie łatwo też dobrać definicję, która by wyraźnie tę twórczość ujmowała i wyraźnie odgraniczała ją od nieludowej. Biedzi się nad taką definicją K. L. K o n i ŋ s k i w swej godnej najszerszego rozgłosu książce *Pisarze ludowi*; omawia szeroko wątpliwości, ustala konwencjonalne kryteria: pochodzenie autora, jego stosunek do pracy fizycznej, jego stopień wykształcenia, rodzaj zarobkowania, związek z autentycznym życiem „wsiowem“ (w odróżnieniu od „wiejskiego“). Kryteria te mimo wszystko zawodzą i niektóre wątpliwe punkty pozostały niewyjaśnione; można myśleć, że pojęcie „ludowości“ jest z natury wieloznaczne i stosuje się do bardzo rozmaitych zjawisk. Jeśli poezja ludowa jest poezją dla ludu, to mieściła by się w tym pojęciu poezja popularna bardziej, niż liczne dzieła autorów niewątpliwie ludowego pochodzenia i pisane gwara. Na potwierdzenie tezy, że cała autentyczna starodawna sztuka ludowa jest przejętem przez lud dziedzictwem warstw wyższych, również i dziś możemy łatwo obserwować zjawiska przejmowania jej utworów od góry. Także wśród dzieł sztuki słowa już dziś można wyróżnić utwory predestynowane do wtopienia się w poezję ustną, np. *Sto pieśni żołnierskich* A d a m a K o w a ł s k i e g o, pisane z wielką werwą i znajomością psychologii żołnierskiej. Powodzenie ich jest równie zasłużone, jak zapewnione, a pewnośc tę głoszę nie z subiektywnego tylko przeświadczenia, lecz opierając się na doświadczeniu: nie każdy uwierzy, że utworem tegoż autora, powstałym w jego legionowej młodości, jest tak szeroko znana i powszechnie w Legionach śpiewana piosenka: *Miała matka trzech synów...* Obecnie wydane pieśni są zaopatrzone w melodie, o których wartości i oryginalności nie mogę sądzić, przekonany jednak jestem, że odpowiadają doskonale tekstom i sposobom śpiewania naszego żołnierza, będą więc mogły zastąpić w jego ustach coraz to rozpowszechniające się szlagiery rewjowe, a za pośrednictwem żołnierza trafią pod strzechy, wtapiając się do wielkiego *corpus* pieśni ludowej.

Zjawisko to wskazuje jak nie istotną jest sprawa pozycji społecznej autora, w danym wypadku oficera i redaktora wielkiego dziennika, oraz pochodzenia, być może, wcale nie „wsiowego“. Jeśli jednak będziemy

traktowali poezję ludową od strony jej pochodzenia, to i tu powierzone kryteria mogą się okazać najbardziej zawodne. Tak jest z poezją gwarową, której mam w tegorocznym plonie kilka bardzo wybitnych i znamiennych okazów. Nad tą sprawą zastanawia się Koniński, konfrontując swoje poglądy z poglądami dawniejszymi, zaczynając od Konopnickiej i z wynikami polemiki, która z jego udziałem toczyła się niedawno. Koniński uświadamia sobie, że używanie gwary jest czymś analogicznem do odświętnego i publicznego występowania w stroju ludowym przedstawicieli tych okolic, które dawno zarzuciły sukmanę przodków w użytku codziennym. Jest więc to (jeśli nawet odrzucimy pogardliwe określenie „Paradebauer“) coś sztucznego, „ochraniarskiego“, połączonego z traktowaniem wsi jako rezerwatu folklorystycznego lub, traktując sprawę od strony twórców, sposobem wyróżnienia się poety z tłumu innych, równie niebogato obdarzonych warunkami do narzucenia się uwadze czytelników. Jeślibyśmy widzieli w użyciu gwary jakiś mus fatalistycznej konieczności, wynikającej z zespolenia myślenia na wszelkim poziomie z gwarową szatą językową, to stanęlibyśmy wobec procesu narodo-twórczego, zagrażającego uformowaniem się kulturalnych przynajmniej separatyzmów: od traktowania bowiem poezji gwarowej, jako przyrodzonego wyrazu inteligenta, pochodzącego z danej okolicy, krok niedaleki do żądania szkoły gwarowej; i od zbioru wierszy inteligenckich w gwarze prosta droga do gwarowego podręcznika geometrii. Trzeba bowiem dorzucić za Konińskim, że użycie gwary w literaturze związane jest z jej „konwencjonalizacją“, zaczynając od ortografii, ze stabilizacją jej oblicza fonetycznego, gramatycznego i leksykalnego, z rozciąganiem się na regiony w żywej mowie różniące się pewnymi odcieniami dialektycznymi, słowem z wytworzeniem, na podstawie żywej mowy szeregu pokrewnych gwar, pewnego języka literackiego.

Jesteśmy niewątpliwie świadkami takiego procesu, w tej części ziem polskich, której literatura gwarowa jest głównie reprezentowana w plonie ubiegłego roku: mówię tu o południowo - zachodnim górskim regionie (analogiczny proces zaszedł, jak wiadomo, już bardzo dawno na Kaszubach, i wiemy, z jak niebezpiecznym w swoim czasie odchyleniem separatystycznym!). Zbiorowym objawem tego ruchu jest *Poezja Młodego Podhala*. Z wyjątkiem jednego, autorowie w liczbie siedmiu, jeśli nie pochodzeniem i jeśli nie zawsze oficjalnym cenzusem wykształcenia, to osiągniętym choćby w drodze samouctwa poziomem są inteligentami, pi-

szącymi gwarą i stylizującymi się na juhasów i dziewczyny góralskie. Wszystkie wyżej wyrażone wątpliwości powstają przy lekturze tej książki. Wątpliwy jest też punkt widzenia, który należałoby zająć przy ocenie tych utworów: gwarą skłania mimowoli do pobłażliwszej oceny, którą stosuje się w ocenie utworów dzieci, ludzi z prymitywną kulturą itd. Wiemy jednak że nie jest to postawa tu stosowna; inaczej zaś utwory te przedstawiłyby się jako dzieła bardzo skromnych talentów i nie wnoszące żadnych artystycznych wartości do skarbnicy poezji ogólnopolskiej. Lecz jeśli stanimy na punkcie widzenia ewolucyjnego doskonalenia się ekspresji poetyckiej w każdym języku literackim z osobna, to możemy przypuścić, że kiedyś, w dziejach odrębnej literatury podhalańskiej, książka ta zajmie poczesne miejsce, jako pierwociny poezji artystycznej w tym języku. Wśród tych wątpliwości krytycznych, powodując się jedynie subiektywnym upodobaniem, wyróżnić musimy utwory obu uczestniczących tu poetek Hanksi Nowobielskiej (*Lalki*, *Kopanie*) i Anieli Stapińskiej (*Czerwone korole*) pełne wdzięku i naturalności, gdyż i poprzez stylizowaną ludowość przebijają wspólne wszystkim kobietom uczucia radości i troski, odbłask „wiecznej kobiecości“. Sympatja którą budzi jako postać, St. Nędzia - Kubiniec, hardy retor patryotyzmu regionalnego, ani niewątpliwy talent Augustyna Suskiego, któryby mu zapewnił i wśród poetów języka ogólnopolskiego honorowe miejsce, ani bardzo urocze i wzruszające wspomnienie dzieciństwa o ojcu-oraczu A. Zachemskiego (tematycznie należące do nowego „jesieninizmu“) — nie mogą jednak przekonać do konieczności gwary (z punktu widzenia ogólnopolskiego czytelnika), ani zharmonizować rozdzwieku odczuwanego między czysto inteligencką postawą poety a jego mową, „wyjętą ze swej socjalno-językowej rzeczywistości“ (że użyjemy słów jednego z polemistów, K. Budzyka).

Bardzo obfity materiał do rozważania wszystkich problematów stylistyki poezji gwarowej daje książka jednego ze współuczestników przed chwilą omówionego zbiorku, J. a n a M a z u r a. Pięknie wydana, ozdobiona drzeworytami Ostoi-Chrostowskiego, jest ona aż zbyt widocznie produktem ogólnopolskiej, inteligenckiej, miejskiej kultury. Myślenie poety nie może się zadowolnić ograniczonym słownictwem prymitywnego górala. To też już w leksyce spotykamy: „tatrzańskik kolosów“, „za kurtynom cynryk chmurzyć“, „Król-Duk Tater“, a nawet „regulwer“, które to słowo prawdopodobnie nawet po wyodrębnieniu ostatecznem

z polszczyzny tego formującego się języka literackiego zostanie zastąpione przez wyraz bardziej zbliżony do międzynarodowego „rewolweru”. Inteligencja tej poezji nie ogranicza się oczywiście do leksyki, sięga głębiej w tematykę, w nastroje, w swoistą postawę poety, ujawnia się w formie zewnętrznej, w doskonałej zresztą wersyfikacji, w stylistyce poetyckiej. Zestawienie tego z szatą gwarową robi na postronnym czytelniku wrażenie raczej komiczne, ale przewyżczywszy nawet ten pierwszy odruch oraz trudności zrozumienia tekstu, wynikające zresztą raczej z ortografii, starającej się oddać właściwości wymowy, po dokonaniu całego tego trudu czytelnik nie jest wynagrodzony niczem więcej, niż staranną, to prawda, zręczną, niepozbawioną wyraźnego talentu i wery, ale, poza językiem, nie pretendującą do oryginalności repliką Asnyka i Tetmajera, trochę Kasprowicza.

Jeszcze piękniej wydana książką i produktem nie mniej wysokiej kultury literacko-artystycznej jest *Przednówek* P a w ł a K u b i s z a, ozdobiony miedziorytami Franciszka Świdra; książka, trzeba to podkreślić, wydana na Śląsku Czeskim. Czy dlatego, że jej prosta uczuciowość, patryotyczna i społeczna, związują ją bliżej ze środowiskiem, z którego wyszła, że czujemy w niej krązenie soków jej ziemi, czy też poprostu dlatego, że mamy do czynienia z mocniejszym i bardziej samorodnym talentem, tom ten pokonywa szczęśliwiej wszystkie dotąd wypowiedziane zastrzeżenia przeciwko poezji gwarowej. Duży udział elementu epickiego w balladach i opowieściach, wyjętych z ustnej tradycji i ze świeżych cierpień polskiego ludu śląskiego, wzmacnia jeszcze bardziej kontakt tej twórczości z konkretną rzeczywistością, zacierając w czytelniku poczucie sztuczności. Wiersze są dobrze skomponowane, rytmiczne a w miejscach, które wyłamują się przy zwykłym czytaniu ze schematu metrycznego, przypuszczamy inny, dialektyczny przytyk: wersyfikacja bowiem, jak i u J. Mazura, regularna i stroficzna. Przekładając tę poezję na jej ogólnopolskie odpowiedniki, odnajdujemy i w niej bardzo szeroką skalę jeśli nie wpływów, to analogij w rozpiętości od Laskowskiego poprzez Konopnicką, Tetmajera do Kasprowicza: wzory które się nam wydają staroświeckie, ale które (i to zupełnie jest naturalne) dotąd są czynne na geograficznych i społecznych peryferjach kultury polskiej.

Reprezentuje te właśnie peryferje, i to geograficznie najdalsze, *Antologia Poezji Polsko-Amerykańskiej*. Można wierzyć, jeśli nie wątpliwej kompetencji redaktora, to ambicji Polskiego Klubu Artystycznego w Chi-

cago, że obszerny ten wybór nie zataił niczego godnego uwagi w produkcji naszych rodaków zaoceanicznych. Poziom i charakter twórczości kilkudziesięciu autorów tu zebranych jest oczywiście bardzo rozmaity: zależy on nietylko od talentu poety, nietylko od jego wykształcenia i warstwy społecznej, z której pochodzi. zależy też od stopnia oddalenia od kultury macierzystej (niektórzy bowiem z tu reprezentowanych zajmowali się literaturą już i w ojczyźnie); w metropolji wyda się ta poezja naiwną i prowincjonalną; zwłaszcza staroświecką w ekspresji, gdzie wśród różnych wzorów, niekiedy i nowszych, wszechwładnie zaznacza się patronat Konopnickiej; ale to są właśnie rysy świadczące o istotnej przynależności jej twórców do rzędu pisarzy ludowych, aczkolwiek nikt z nich gwary nie używa: bo też, powiedzmy otwarcie, sama polszczyzna na gruncie amerykańskim gra rolę analogiczną do gwary w stosunku do powszechnie obowiązującego w stosunkach między obywatelami Stanów języka. Więc też objawem smutnym dla nas ale naturalnym jest użycie przez część tych „poetów krwi polskiej“, języka angielskiego, jako języka twórczości poetyckiej, stojącej, jak się zdaje, na wyższym pod względem kultury literackiej poziomie.

Ale biorąc do ręki jeszcze jedną książkę poetycką z poza granic Rzeczypospolitej, wydany w Opolu tomik *Edmunda Osmiana*, przekonujemy się że niema reguły bez wyjątku. Autor jest Ślązakiem; to, że pisze polszczyzną literacką, jeszczeby go nie pozbawiało charakteru poety ludowego, przeciwnie, w myśl wątpliwości już wypowiedzianych w sprawie literackiego zastosowania gwary, raczej wzmacniałoby autentyczność jego ludowości, ale poziom kultury literackiej, brak charakterystycznej naiwności prowincjonalnej, wskazują na bliską łączność autora z życiem intelektualnem metropolji. Nie bez znaczenia są właściwości indywidualne autora, jego niewątpliwy talent poetycki, ale zwłaszcza zdolność szybkiej asymilizacji do kultury wyższych dziesięciu tysięcy, ujawniająca się w pełnym taktu wyborze pomiędzy temi wytworami współczesnej kultury literackiej polskiej, które mogłyby mu być wzorem i pomocą. Poeta nie idzie za modą na awangardyzm, nie rzuca się w objęcia któregośkolwiek ze skrajnych kierunków, lecz bez niewolniczości, nie stając się epigonem, korzysta ze zdobyczy techniki poetyckiej od początków doby powojennej aż do dnia dzisiejszego. Książkę przenika szlachetny patryotyzm, wiara w przyszłość Polski i optymizm Polaków walczących pod władzą Niemiec o swe prawo do istnienia i o polskość.

W przeciwstawieniu do Osmańczyka, Marjan Kubicki, też autentyczne dziecko ludu, ujawnia charakterystyczną dla wchodzącej do literatury młodzieży wiejskiej skłonność do ekspresji awangardowej. W tym zresztą kierunku nie jest on zaawansowany fanatycznie i programowo; utwory jego są może bardziej znamienne dla nowej fali wpływów Jesienina na poezję polską, wpływów nieograniczających się tylko do spraw stylistyki, ale kształtujących na jego obraz i podobieństwo samo „ja liryczne“ poety. Gdy przystąpimy do poezji epickiej, zobaczymy jeszcze bardziej jaskrawy przykład tych wpływów, ale i tu możnaby cytować na dowód pełnemi garściami. Nietyle zwraca uwagę ten „wiatr czeszący zielone piórka żyta“, ta *Żrebieca młodość*, ile tęsknota wśród cyganerii wielkowiejskiej do rodzinnej chałupy, lub *Elegja o harmonji* bezpośrednio powołująca się na rosyjskiego poetę. Wpłynął on korzystnie na swego polskiego naśladowcę pod względem zachowania dbałości i bezpośredni i szczery liryczny wyraz wzruszenia; nie pociągnął niestety przykładem swej muzycznej wersyfikacji. Jest to jedna z przyczyn, oprócz naturalnie wielkiej rozbieżności w rozmiarach talentów, które uniemożliwią *Pieśniom bosy* stać się poezją „popularną“ nawet w tym stopniu i znaczeniu, nie koniecznie ludowym, co twórczość Jesienina.

Natomiast do autorów ludowych *stricto sensu*, do charakterystycznego prymitywizmu, łączącego się w zabawny sposób dla nas z pierwszymi krokami awansu społecznego i kulturalnego, wracamy biorąc do ręki *Pierwsze promienie lutni*. Mieszko Wojdała, rodak ze Smardzowic, wydaje swoje wiersze w Trembowli w drukarni, która nie ma dostatecznego zapasu czcionek a, t, q, j i zastępuje podobnemi literami, zato pod względem aparatu edytorskiego naśladuje znane mu popularne wydania wielkich poetów. Mamy więc tu krótki życiorys i komentarz do każdego utworu naszego Smardzowianina, w którym „poeta Mieszko Wojdała (w trzeciej osobie), odchyła rąbek tajemnicy własnej duszy i z dziecinną szczerością“, choć uczonemi nieraz słowy, wyjaśnia sens i okoliczności powstawania każdego wiersza, oraz rzuca światło na środowisko swych przyjaciół i współwielbicieli poezji; mamy też portret poety i nawet autograf jednego z utworów. Utwory należą do bardzo różnych rodzajów lirycznych, które kolejno nęciły wiejskiego poetę przykładami znanemi mu z dostępnych mu wypisów; przeważa liryka refleksyjna, rozmyślania etyczne i społeczne; wiele urozmaicona forma; są i tryolety: „Ciągniesz za nami czarny smutku, my cię przemocą odpychamy!“ Oczywiście cała ta oprawa jest o wiele jeszcze śmieszniejsza, niż znajdujące się tam wewnątrz naiwne wiersze i tworzy z książki jeden z najrarityniejszych curiosów produkcji książkowej. Łatwo to zbyć słowem „grafomanja“, wyjaśniać jako elukubracje wiejskiego ćwierćinteligenta; ale w urozmaiceniu tematyki, w bezpośredniej okoliczności tych wierszy, w przebijaniu się poprzez konwenans ekspresji żywego stosunku do świata i do najbliższego otoczenia, w którym odnajdujemy nieznanym nam bliżej artystów i intelektualistów lokalnych: poetkę i malarkę Br. Wielickównę, w 22 roku życia pochowaną w Smardzowicach, albo współczesnego „estetę sztuk pięknych Zawadzkiego“, młodego piewcę wsi polskiej Z. Cyrę — wydał w roku sprawozdawczym *Sonetu Ojcowskie* też w Trembowli, niestety nie doszły do naszych rąk, — przypominają się fraszki Kochanowskiego i środowisko, które odzwierciedlają, rodzącej się polskiej inteligencji, być może równie śmiesznej w oczach Zachodu. W dodatku same wiersze są gładkie, z sensem skomponowane i przy swej staroświeco-

kości i naiwności bardzo sympatycznie prezentują poetę i człowieka. Używa on czasami „śpiewnej gwary smardzowskiej“, której funkcje ekspresyjne dałyby się zupełnie logicznie ujawnić analizą. Z tego widać, że i poecie szczerze ludowemu użycie gwary nie jest obce, tu łączy się ona w sposób charakterystyczny z nutą świadomej dumy stanowej chłopia i z umiłowaniem swego regionu.

Innego rodzaju prymitywem jest *Roman Tuhun*, którego *Melodje snów* powstawały podczas fantastycznej wędrówki „zwykłego trampa“, jak sam o sobie mówi, po Europie (Genewa, Madryt, Barcelona, Konstantynopol, Palermo, Bukareszt, Zakopane, Warszawa). W przedmowie (której jak i portretu autora nie brak tu oczywiście) Tuhun polemizuje ze zdaniem „jednego ze współczesnych literatów francuskich na łamach tamtejszego pisma „De Paris“ co do przyczyn braku zainteresowania w społeczeństwie do obecnej sztuki poetyckiej“. Wypowiada tu szereg myśli bardzo słusznych, ale twórczością swoją może zainteresowanie obudzić chyba tylko à titre de curiosité. W każdym razie w szczerości (opisuje np. moment gdy „krzyknął życie! lu, va banque“ i zdecydował się na włamanie (?) i bezpośredniości swej wiersze są nie pozbawionym wagi dokumentem ludzkim. Żałuję, że nie znam poprzedniego zbioru tegoż poety, ani dwóch tomów dawniej wydanych *Benedykta Szeftla*, którego *Akordy* poprzedza przedmową Janusz Ikrzewski, przypuszczając, że „nazwisko autora obić się musiało niewątpliwie o uszy każdego miłośnika żywego słowa i poezji“. „Podchodząc do sparafrazowania objętych niniejszą książką wierszy *Benedykta Szeftla*, należałoby przedtem poznać się nie tylko z niewątpliwą ich wartością, nie tylko głębią, jaką zawiera się w całości zbioru, jak i każdym poszczególnym wierszu, ale należałoby również nieco miejsca poświęcić temu bezsprzecznemu faktowi, faktowi ukazania się *Akordów*“. Tak pisze przedmówca. Zgadza się z nim pod tym względem, musimy jeszcze dorzucić, że książka ta dorównuje naiwnością dwum wyżej omówionym i godna jest zalecenia wszystkim miłośnikom i wielbicielom „grafomanów wspańiałych“. Grafomanem ale już nie tak sympatycznym jak poprzednio wymienieni, przeciwnie niebezpiecznym dla otoczenia maniakiem, jest *Antoni Gronowicz*, też dziecko ludu, syn kmiotków, który nie może się „doczekać tej chwili w której ostatni obszarnek skona a reszta popów nad jamą jego w wiecznych zastygnie pokłonach!“ Grafomanja ta wzoruje się pod względem formy zwłaszcza graficznej, na przedstawicielach kierunków równie rewolucyjnych poetycko, jak rewolucyjne społecznie są poglądy wyrażone *Zbuntowaną pieśnią* i dlatego pozbawiona jest uroku i łatwości przed chwilą omówionych książek.

Nie wiem czy jest dzieckiem ludu, ale napewno wykształceniem wysoko ponad lud wzniósł się *Feliks Dziuba*, który w pięknie wydanej książeczce w 84 czterozwrotkowych utworach umiał zawrzeć cały systemat filozofji natury, ba, całą wiedzę o człowieku i świecie, wraz z uzasadnioną naukowo etyką. Oczywiście nie dorównał wartością poetycką *Lukrecjuszowi*, doczekał się natomiast omówienia w dziale „*Camera Obscura*“ *Wiadomości Literackich*. Nie wiem czy zasłużenie ze względu na treść, napewno słusznie ze względu na rzadko spotykany prozaizm stylu i chropowatość wierszy, które czasem tylko graficznie i rymem przypominają wersyfikację polską, nieznaną np. bardzo tu używanego 12-zgłoskowca bez średniówki.

III

Dopiero po uświadomieniu sobie żywiołowości wypowiedzania się wsi — choćby tymczasem nieporadnie niekiedy, a zawsze ze spóźnieniem w stosunku do sztuki „dziedzicznej inteligencji“, więc u niektórych, w pośpiechu dopędzania, chwytając się bez zastanowienia najnowocześniejszych środków ekspresji — można potraktować poważnie „autentyzm“. Nie będę wracał do podstaw teoretycznych tej „szkoły literackiej“, które kurcząc się pod wpływem krytyki, odsiewającej nonsensy pierwotnego manifestu, ograniczają się do tak mało specyficznych, ogólnikowych, trudnych do sprecyzowania, a niemożliwych do skontrolowania zasad, jak „niedopuszczanie do liryki tych elementów, które nie zostały przez poetę wewnętrznie sprawdzone“. Tak formułuje program jeden z najgorętszych jego fanatyków J. B. O ż ó g, broniąc „autentyzmu“. Ale w tym samym artykule jego (w Naszym Wyrazie) przebiega świadomość istotnego, pozateoretycznego społeczno-literackiego sensu całego ruchu: „Fundamenty obrał sobie autentyzm odrazu pewne i zdrowe, najwięcej polskie, we wsi i w narodzie chłopskim. 70 procent ludności stanowi chłop, o tem zapomnieć się nie da. Wiedząc o tem, zaczął autentyzm zwalczać regionalizm i gwara, pod którą podszywają się grafomani, jak Mazur, Suski... (oto jak rozbieżne są pojęcia o własnych zadaniach i wartościach wśród pisarzy ludowych — przyp. K.W.Z.) — w swoim założeniu podkreślił, że synowie chłopscy zdobywszy wyższe wykształcenie i ławy uniwersytetów, w dziedzinie ducha wysoką kulturę artystyczną, winni sięgnąć po laury najwyższe“... Cytowane słowa możnaby uzupełnić z innych źródeł, częściowo prywatnych, wypowiedziami jeszcze jaskrawiej świadczącymi o tkwiacem w autentyzmie poczuciu związku z masowym dziś wtargnięciem chłopca do literatury: z tego punktu widzenia symptomatyczne, albo może tylko „taktowne“ było nagrodzenie Piętaka przez P.A.L. Syn chłopski już nie marzy o karierze księdza — chce zostać poetą. Ale tego rodzaju przemiany społeczne w literaturze nie determinują jeszcze wcale jednocześnie kierunku i jakości objawiających się równocześnie ruchów literackich. Tak też i w wypadku naszego fanatyka „autentyzmu“, wynikającego we własnem przekonaniu z „podłoża narodowego“, z łona „nowej Polski tysiącletniej“, sławiącego samodzielne jej poszukiwanie prawdy religijnej przez sekciarzy wiejskich (*Msza Narodowa*), świadczącego o jej duchu imperjalistycznym (*Wymarsz Maćkowych grusz*). Ale to są wyjątkowe utwory w tej sporej książce. Przeważa i panuje w tematyce codzienność wsiowa, nie tyle codzienność pracy, co powszedniość idylli, zwykłej sielskiej rozrywki, powszednich sentymentów, współzycia z przyrodą wiejską, słowem, zgodnie z określeniem Przybysia „uparta wspomnieniowość“; niepozabawione to wartości jako dokument, np. wielka rola roweru, co odpowiada dzisiejszemu stadjum kultury materialnej wsi polskiej, zresztą — wbrew chyba rzeczywistości — wsi sielankowej, „wsi spokojnej, wsi wesołej“. W tym stosunku inteligenta do wiejskiego dzieciństwa, autor czasami przypomina Jesienina (któremu specjalny wiersz poświęca), choć bez nut desperacji charakterystycznej dla postawy innych naszych „jesieninowców“ ludowych ostatniej doby (poeta to wogóle tonacji raczej majorowej); sam tytuł książki *Wyjazd unuka* wydaje się też jakby alluzją do dziejów rosyjskiego poety, który nieustannie przeciwstawiał swój dekadentyzm członka bohemy wielkomiejskiej — wspaniałej chłopskiej indywi-

dualności dziadka, swego wychowawcy. W ekspresji też niemało śladów Jesienina, więcej na szczęście, niż rodzimego Zagadłowicza czy Fierli („kartofle najcichsze“). Najwięcej jednak wzorowania się na awangardzie, co i Przyboś przyznaje i uznaje. Ten charakter ekspresji nawskroś barokowy i sztuczny, przekreśla w gruncie rzeczy to, co w zasadzie „autentyzmu“ mogłoby być zdrowem, jako „Anteusowe zetknięcie się z ziemią“, i sprzeciwia się nie tylko pojęciom estetycznym wiejskiego otoczenia, „macierzystego“ łona poety, lecz samemu przyrodzeniu nowego piewcy wsi: widać (i nie u niego jednego), jak wiersz mu się układa na nutę lenartowiczowskiej fujarki — lecz nie, poeta przypomina sobie o obowiązku, który nakłada nań nowoczesność i wali: „Cherubin z chorągwi wachlował pacierz matki. Jej oczyma okute ściany itd.“, lub „w mojej ciszy szyby jak brzozy odległe“...

J. A. Frasiak, zaliczony przez Ożoga do „poetów idącego autentyzmu“, wydaje się mniej fanatycznym wyznawcą doktryny, a bardziej świadomym swej zależności od „awangardy“, mimo że procent wierszy od niej niezależnych tak pod względem wersyfikacyjnym, jak i stylistycznym jest tu o wiele wyższy niż u omówionego przed chwilą Ożoga. Wśród nich są bardzo wdzięczne i stanowiące pewne, może skromne, ale zupełnie już pozytywne osiągnięcia poetyckie (*Żyto, lipiec i lipy, Nasza pieśń, W czerwcu, O świcie, Wierzba*); ostatnie trzy z wymienionych świadczą o aktualnych wciąż jeszcze wpływach stylistyki młodopolskiej — zresztą nuty „tęsknoty“ w nich zawarte mogą być świadectwem usposobienia bardziej melancholijnego (nie pomijającego ponurych stron życia, np. *Prosektorjum*) i bardziej niewątpliwie „lirycznego“, niż u bratniego Ożoga (z którym dzieli ogólną sielskość tematyki, a nawet akcenty patriotyzmu, świadczącego jeszcze raz o całkowitem adoptowaniu przez lud przeszłości ogólnonarodowej — wiersz o Chłopickim). Więc tylko do pewnej części utworów Frasiaka mogą być słusznie odniesione surowe uwagi Sebyły w Pionie, uwydatniające rujnujące wpływy „awangardy“ na młodą poezję: „o charakterze krajobrazowym i „opisywackim“, o rozlazłej wersyfikacji, sentymentalne w wyrazie uczuciowym przedstawiają typ nużących i rozwlekłych utworów, z którym dość często można się spotkać na łamach „Okolicy poetów“. Praca poetycka Frasiaka — to praca omijająca trudności. Sentymentalizm i gadulstwo idą wślad za taką swobodą liryczną, gdy się odrzuca wszelkie konwencje i kanony... Książeczka ta jest w pewnym stopniu symptomatyczna: twórczość tego typu staje się w ostatnich czasach coraz obfitsza“.

IV

Żywił ludowości odgrywa wybitną rolę w tegorocznej produkcji epickiej. Pisarzem ludowym można by nazwać Wojciecha Skuzę, choć nie używa gwary i jest ponoć inteligentem. Jego „nowy poemat wsi“ (albo raczej cykl luźno powiązanych epizodów, ubogich fabularnie, oraz związanych z nimi sytuacyjnie wierszy lirycznych) jest jednak charakterystyczny dla „nowej poezji wsi“ wyborem wzorów literackich, a także pewnymi cechami prymitywizmu, niestety, nie tego zabawnego i wzruszającego często prymitywizmu obserwowanego u traktowanych z góry przez inteligentką krytykę „grafomanów“ ludowych, ale prymitywizmu uczuciowego i ideologicznego. Ale o tem za chwilę. Najpierw zwróćmy uwagę na niespotykane dotąd nasi-

lenie wpływów Jesienina. Autor jest „jesieninistą“ (tak jak „hajronista“) czy „jesieninowcem“ („do jesieninowców“ jako pewnej grupy poetyckiej czy formacji kulturalnej zwraca się autor w tak zatytułowanym wierszu) nie w znaczeniu stosowania metaforyki imaginistycznej i „ruralnej“, znanej w poezji polskiej nie od dziś i właśnie tą drogą, od Jesienina bezpośrednio lub pośrednio, przejętej. Uderza tu raczej nie ukrywane zapatrzenie się na ziemskie losy rosyjskiego poety, chłopskiego syna, wpłatanego w życie bohemy, i na jego nostalgję do rodzinnej chałupy, wypowiedaną, zwłaszcza w ostatnich latach życia, najprostszymi i przejmującymi słowy. Na podobieństwo podmiotu liryki Jesienina upozowuje swoje „ja liryczne“ Skuza, a tragedję rosyjskiego poety generalizuje jako zjawisko rzeczywistości polskiej. Wpływ późnego Jesienina korzystnie zaznacza się w stylu poetyckim Skuzy dążeniem do prostoty ekspresji i wyraźnem odcięciem się od awangardy („futurystów“, bo nawet i w terminologii literackiej przejmując autor słownictwo czasów i środowiska Jesienina); w swej praktyce poetyckiej osiąga przynajmniej jasność i tym się odróżnia od grafomanów, podobnych mu pochodzeniem i ostrym wyrazem nienawiści społecznej. Trzeba bowiem powiedzieć, że w jego utworach nie znajdziemy szlachetnej i porywającej poetycznością atmosfery uczuciowej poezji Jesienina. Ciasna nienawiść klasowa deformuje widzenie świata, kształtuje symplicystyczne wątki fabularne i zabarwia ideologję nieprzyjemnym prostactwem, o którym już wspominaliśmy.

Do poezji ludowej, a w każdym razie popularnej w dobrym znaczeniu słowa, możnaby zaliczyć jedyny prawdziwie epicki, a napewno najlepszy z pośród omawianego materiału utwór: *Janosik z Tarchowej*, mimo że St. R. Dobrowolski, jak wiemy z jego autobiograficznych utworów, nie ma nic wspólnego ze wsią pod względem pochodzenia. Poemacik opowiada wyraziście, barwnie i gładko dzieje historycznego Janosika, tak jak one zostały oświetlone przez badania archiwalne, a czytelnikowi polskiemu udostępnione w szkicu historycznym Józefa Krzyżanowskiego w *Przeglądzie Współczesnym*. Możliwy więc może zarzucić autorowi brak inwencji fabularnej, pominięcia legendy i pieśni góralskiej i tego wszystkiego, czem się imię legendarnego zbójnika opłotło w literaturze artystycznej. Nie trzeba jednak myśleć, że mamy tu do czynienia tylko z wierszowaną relacją suchej kronikarskiej historii. Stosunek poematu do historii jest tu raczej taki sam, jak w tradycyjnej dziewiętnastowiecznej powieści historycznej, gdzie inicjatywa twórcza pisarza zaznacza się w wyborze faktów, ich uwypukleniu i przedstawieniu. Oprócz tego narzuciwszy językowi w bardzo silnej i szczęśliwej proporcji charakter gwarowy, Dobrowolski zatrzymuje się w trafnie obranym punkcie na drodze do suchej prawdy historycznej, a przełamaniem realności poprzez wyobrażnię ludową, umie nadać opowieści doskonałą barwę lokalną i historyczną. Zachowaniu perspektywy historycznej sprzyja też to, że w bardzo tylko

małym stopniu ulega autor poematu naturalnej w pisarzu radykalnych poglądów społecznych pokusie włożenia w działalność Janosika zbyt wyraźnego sensu społecznego, zrobienia zeń prekursora rewolucji socjalnej. Charakter ludowy poematu wzmacnia wiersz, regularnie zastosowany czter-nastozgłoskowiec, z podziałem 8 plus 6, przyczem pierwszy półwiersz ma zawsze trocheiczny rozkład akcentów (najczęściej „peony trzecie“) a drugi wprowadzony sugestją wzorów pieśniowych (weźmy jako przykład choćby „Jeszcze Polka nie zginęła póki my żyjemy“, traktując te dwa wiersze jako zrost) w ten sam impuls metryczny, w rzeczywistości składa się często z amfibrachów, które przy śpiewnem wykonaniu wyrównujemy transakcentacją meliczną, oparci o powszechne, dawne przyzwyczajenie. Metrum to bowiem szczerze ludowe, znane z niezliczonych śpiewek. Poemat jako całość może być uważany za symptomat zdecydowanego wtargnięcia realizmu do poezji i za szczęśliwe nawiązanie do tradycji poematu romantycznego lub też rozszerzonej ballady czy dumy historycznej późnego romantyzmu; stylizacja i trafność perspektywy historycznej łączy ten utwór ze *Staremi zbroicami* Lenartowicza lub z balladą Goszczyńskiego. Utworem tym Dobrowolski, w którym krytyka przeczuwała raczej niż miała prawo na podstawie ówczesnych dokonań widzieć poetę większej miary, utwierdza się na desygnowanym mu dawniej stanowisku.

Do pewnego stopnia nawiązaniem do romantycznej powieści wierszem zwłaszcza rosyjskiej (ze względu na wiersz, czterostopowy jamb) jest spory poemat niestrudzonego Jana Tokarzewskiego - Karaszewicza. Niestety, ani w przeprowadzonej niezdarnie stronie fabularnej *Pastwiska*, ani w licznych dygresjach satyryczno-aktualnych, nie ujawnia się choćby najskromniejszy talent poetycki. Naiwność prowincjonalna oto jedno, co łączy ten utwór z dziełami pisarzy ludowych, którzy niewątpliwie przyczynią się do renesansu epiki wierszem, jakby odrabiając zaległości naszej literatury ustnej, a może poprostu ze względu na większy w środowisku wiejskiem wpływ do dzisiaj gawędy i powieści wierszem z epoki romantycznej. Nie jest jednak wkładem do tej akcji *Miłość bezrobotna* „poemat życia“ Władysława Kamińskiego, pomimo niewątpliwiej bliskości autora do środowiska robotniczego Łodzi. Trudno podciągnąć pod pojęcie poezji epickiej te kilka liryczno-erotycznych wylewów motywowanych dyskretnie złą dolą bezrobotnego, a wypowiedzianych ustami paru osób płci odmiennej, związanych niedającą się bliżej sprecyzować sytuacją życiową. Jeszcze bardziej zwodniczym jest podtytuł „poemat“ książki *Przeciw innemu Kamińskiemu*, Bronisława. Jest to cykl wierszy lirycznych, których związku treściowego trudno się doszukać nie tylko w obrębie całego cyklu, ale i w ramach pojedynczych utworów. Bezdolne zdania bez związku, ukształtowane często awangardowo-metaforycznie, łączy jedynie wyczuwalna bezsprzecznie jedność rozpędu młodości, pożądliwej i gwałtownej w przeżywaniu elementarnych i nieindywidualizowanych emocji.

V

Rozszerzając nieco pojęcie poezji ludowej jako wyrazicielki dążeń ludu i jego uczestnictwa w ogólnonarodowym pomnażaniu wartości artystycznych przez udział w niem inteligencji pochodzącej z warstw niższych, nie tracąc świadomości swego pochodzenia ani solidarności klasowej czy stanowej z rodzinnym środowiskiem, lecz dochodzącej do samowyrazu środkami ekspresji zapożyczonymi z zapasu utworzonego pracą pokoleń kulturalnych — tak jak powyżej uczyniliśmy dla „autentyzmu“ (do czego mieliśmy zresztą podwójne prawo, upatrując specjalnie chłopski charakter w tym ruchu) — imienia poety ludowego nie możemy odmówić autorowi *Horyzontów*. Franciszek Surówka-Brzegowski przemawia imieniem ludu chłopskiego, choć wyjątkowo tylko używa gwary np. pisząc epitafjum na grobie oracza, gospodarza sąsiada i przyjaciela: „napracowałeś się i takeś usnął, a mnie, a nam wszeń żal i wszeń pusto“; poza tem używa języka raczej zbyt literackiego, poetyckiego, nie obawiając się nadmiaru cytat łacińskich i nawet greckich (gdzie z tematu wypada, to i włoskich), tam gdzie celebryje z ludem wiejskie obrzędy kościelne, słucha z nim sumy niedzielnej, rozpamiętując kolejne momenty liturgji. Jest u niego w stosunku do tych rzeczy wielka i prawdziwa, chłopska religijność, przy całej swobodzie niezależnego człowieka; jego ludowość nie ma nic z infantylizmu i z paradowania chłopskością; „wiejskość“ jego języka jest organiczna, ani na moment nie przeciwstawia się wchłoniętej kulturze literackiej, ani wzniosłości poruszanej tematyki, i nie hamuje zdobytego poziomu umysłowego ani wzlotów, jakże wysoko ponad codzienność; nie jest też tylko chwytem stylistycznym, naśladowanym z Jesienina (o którym poeta jakby nie wiedział), ani „opisywactwem“ awangardowem, kopjowaniem z Przybosa. Patos i dostojność łączą się w tej poezji z jasnością, dostateczna szerokość wypowiedzenia się nie pociąga za sobą pustej wielosłowności. Wiersz, prawie wyłącznie wolny, ma przyrodzoną rytmiczność i trudniej dającą się sprecyzować eufonję; góruje pod tym względem nad wierszem Kasprowicza (z *Hymnów*) który, jak już z powiedzianego wyżej chyba wynika, pierwszy nasuwa się jako porównanie. O nim też musimy myśleć, zastanawiając się nad genezą tej poezji, najprawdziwszej i w najpoważniejszym znaczeniu poezji z pośród tego wszystkiego, co dotąd poznaliśmy ze sprawozdawczego roku, a co możnaby postawić

choćby w najdalszym związku z ludowością. Kasprówicz, a może i niektóre inne elementy „Młodej Polski“; ale w ich zastosowaniu niema nic ze staroświeckości, z zapóźnienia — jakimś trafnym instynktem wybrane to co wśród nich nie było znamieniem ich czasu, lecz trwałą nieprzemijającą zdobyczą ducha. Rad jestem, że poznałem poetę, o którym nie dotąd nie wiedziałem i nie wiem jako o człowieku i artyście, rad jestem tembardziej, że niektóre szczegóły sprezentowania zawartości książki mogły mnie odstraszyć: dość było, bym zajrzał do spisu rzeczy i odczytał tak celebrowane tytuły cyklów: „O dniu wczorajszym i nieustannej mej za nim tęsknocie kantyczek moich przygarść pierwsza“, lub „Świątkom przydrożnym wtórych wierszy pięcioro“. Lecz do tego tylko na szczęście ogranicza się powierzchowne naśladowanie najgorszej manjery Zegadłowicza; w głębi swej twórczości, w jej stylu pełnym prawdy i rzetelności, a nawet — co dziwniejsza i co może samego poetę zdziwi — w filozofji i w światoodczuciu pozostaje on twórcą zupełnie niezależnym.

Ponieważ wspomnieliśmy Zegadłowicza, zwrócimy uwagę na książkę która przez niego została „prefacée“. Wiersze Wł. Fr. Lenczewskiego kwalifikują autora do rzędu „grafomanów nieprzyjemnych“ i to zarówno poezja „potępieńcza“ gdy tonie w rozterce religijnej i bogoburctwie, jak i erotyki banalne w ekspresji — niczem z „Trubadura Polskiego“ — płaskie w intencji (poezja jako narzędzie uwodzenia), prawdziwe arcydzieła bezsmaku. Tak i Zegadłowicz nie pisał, ani jego nauczyciele, przybyszewszczycy religijni z okolic 1905 r., a nadużycie kresek, wielokropków, pauz, linijki takie np.: „— — — i:“ są zbyt powierzchownem malpowaniem mistrza. Ale Zegadłowicz, choć genjusz jego nie jest równy genjuszowi Wiktora Hugo, posiada niektóre właściwości francuskiego wieszczu, i to te właśnie, które odrażają odeń (niestety i niesłusznie!) dzisiejszego intelektualistę we Francji m. inn. bezsmak patosu i religję humanitaryzmu. Wiadomo też, że Hugo, po otrzymaniu tomiku od młodego poety, zwykł był dziękować temi, mniej więcej, słowy: „słońce zachodzące wita słońce wschodzące“ i odpowiednikami tej antytezy. Życzliwość dla młodości powinna być nieco miarkowana krytycyzmem. Ale tego Zegadłowicz nie miał nigdy nawet na własną potrzebę, a już tem bardziej na zbycie. Na szczęście nie zwracał się do niego o rekomendację Kazimierz Eckert; napewno by ją uzyskał, jeśli nie dla innych swych często grafomańskich wyczynów, ozdobionych kresczkami, to napewno dla tytułowego *Ojciec nasz* i reszty swych huntowniczo-religijnych ekspektoracyj.

Wracając do poezji ludowej, chłopskiej, podkreślić należy w niej, pomimo silnego zaznaczania charakteru stanowego i krzywdy swego stanu w przeszłości i terażniejszości, prawie zupełny brak wyłączości akcentów „klasowych“; nawet u Skuzy, mimo przepajającej twórczości jego nienawiści społecznej, znajdziemy wiersz hardopatriotyczny, gwarantujący niepodległość twardem przeciwstawieniem się chłopu obcej agresji. Z tem większą przykrością znajdujemy w zbiorku o tematyce kolejarskiej i wydanym nakładem Związku Zawodowego Pracowników Kolejowych Rzplitej

Polsk. (którzy chyba mniej od innych ugrupowań społecznych mogą narzekać na swą krzywdę!) utwór niedwuznacznie wzywający do sabotażu, uniemożliwiającego wojnę, do unieruchomienia kolei. Wiersze są gładkie w dobrze naśladowanym stylu Broniewskiego, ale wydanie ich pod patronatem niejako oficjalnym conajmniej dziwi. Jakże inaczej przedstawia się postawa autora drukowanych w Rzeszowie *Słów o Wodzu!* Przedmówca książeczki, Jan Micał, przedstawia Henryka Jacka jako „chłopa z krwi i kości, ale i z chłopskiej rasowej biedy“, w przeciwstawieniu do „ludzi, którzy po wyjściu ze wsi zatracili swoją tak charakterystyczną odrębność stanową“ i „nie widzieli już oczyma ludu“. Syn żołnierza, poległego za ojczyznę, dochowuje wierności Ojczyźnie i narodowi w wierszach nieświeżych, ale pełnych uczucia, mimo że nie spogląda „w bez troskie Jutro niosące obfitość pensyj i diet za słowa o Ojczyźnie“, kończąc jakże słusznym westchnieniem „za dużo, ach za dużo słów o Ojczyźnie pisanych przez poetów przy stolikach w kawiarniach“. W gładkie, bardziej staroświeckie rymy układa się drukowana w Dubnie *Duma o Marszałku* — Tęsknota po wodzu, dumanie o bohaterze (tak brzmi podtytuł) Wł. Mączyskiego o nie ma już zupełnie charakteru ludowego, ale jej „prowincjonalność“ zbliża ją pod względem artystycznym do poezji ludowej: już nieraz w ciągu tych rozważań podkreślaliśmy pokrewieństwo tych zjawisk.

VI

Prowincja, powiedziałbym, jest naturalnym i najstosowniejszym przytułkiem poezji lirycznej (i emerytów): tu można się skupić, zagłębić w siebie, zadumać się nad wiecznością w rytmie niespiesznych godzin, opracować w spokoju kształt, w który wylewa się wzruszenie; znaleźć życzliwych słuchaczy, wydać tomik w miejscowej drukarni, która — jeśli czasem i dla tego celu nie posiada dostatecznego kompletu czcionek — to już napewno nie podejmie się druku powieści; kto by zresztą sfinansował tak wielkie przedsięwzięcie? Nie mam zresztą racji: w Kobryniu np. zawsze wydaje swe tomy — rozmiarów poważnej powieści — niestrudzony Lucjan Warma. *Iskry z pod młota* tem się różnią od poprzednich, że do poety dotarł najnowszy i szczęśliwy wynalazek wiersza wolnego. Jest to tak znaczne ułatwienie pracy poetyckiej, że można mieć nadzieję na jeszcze częstsze pojawianie się jeszcze większych tomów. Warma a poezja Kobrynia — to jedno; on jeden ją reprezentuje. Ale gdzie indziej potworzyły się ośrodki poetyckie, skupiające całe grupy poetów. Prześlizgnie zagubionemu wśród jezior Brasławowi sądono być może zostać nie tylko centrum turystyki i żeglarstwa: zjawily się tam już dwa tomiki, z których jeden, *Bęben symfoniczny* o lokalnym raczej znaczeniu, zawarte tu „poemko“ jest echem miejscowych ploteczek o pozyciu pewnego stadła i przez współpawietników napewno lepiej będzie odczute niż przez krytykę pozamiejscową, do której autor jest usposobiony nieufnie. Natomiast *Pęknięty tor* J. Bujnowskiego, wiersze „napisane w zupełnie nowoczesnej formie“ (jak zaświadcza autor poprzedniego tomiku A. Chlebowicz) i drukowane w wileńskich i warszawskich czasopismach — są „na poziomie“ i bardzo nudne. Pod tym względem nie ustępują im wydane w Wilnie, więc jednym z głównych ośrodków dzisiejszej poezji, wiersze J. Wokulskiej, bardziej staroświeckie w swej nastro-

jowości, poetyczniejsze, gładkie i równie choć w innym stylu banalne. Oczywiście jednak, zasługuje to na nazwę poezji, czego nie można powiedzieć o wydanych w Grodnie „wierszach sportowych“ *Jestem młody* R. Olszewskiego, który jest młodym, wszechstronnym i dzielnym pewnie sportowcem, ale niepotrzebnie bierze się za pióro. Choć wydane w Warszawie, są napewno produktem bliżej geograficznie (*Na rubieżach śnień*) nieokreślonej prowincji i dla niej najtypowsze poezje J. Pluskowskiego, pocziwe i raz poraz skłaniające się staroświeckiem prostactwem i nieporadnością ku grafomanji. Na inny sposób prowincjonalne i pocziwe, są utwory patryoty-inteligenta J. a. n. Cz. a. t. y, wydane w Łodzi, ojczyźnie Tuwima, miejscu działalności Jastruna, Piechala. Oczywiście kwestja talentu; toteż na zupełnie innym poziomie jako gatunek stoi drugi już tom robotnika łódzkiego, Antoniego Kasprowicza.

Osiągnięty w *Płonących Chwastach* poziom kultury literackiej, sprawności ekspresji i techniki poetyckiej, więc — krótko mówiąc — ujawniony talent, jest zdumiewający i świadczy o jakości środowiska, w którym taki „awans“ intelektualny i takie zrozumienie poezji były możliwe i spotkały się z pomocą. Bogactwo słowa i jego przyrodzona harmonja (tego się nie nauczy!) są tak wielkie, że nie jeden z tych wierszy mógłby być podpisany przez tego czy innego poetę o ustalonej pozycji, najczęściej przez Tuwima, Wierzyńskiego, Jastruna, Brzechwę. To jest oczywiście jedynym jasnym pretekstem surowego przyjęcia tej książki przez pewien odłam krytyki. Ale niesłuszny byłby zarzut niewolniczego naśladownictwa: A. Kasprowicz idzie za jakimś podbijającym go stylem poetyckim, przetwarzając go na swój sposób, biorąc zeń to, co mu przydatne, choć, być może istotnie, jeszcze podstawy tego wyboru niepodobna ściślej określić. Zanim się wykrystalizowała, możemy tylko zgadywać istotę jego postawy poetyckiej. Jest to afirmacja świata, wzruszenie jego, wszędzie i poprzez różnorodność i bogactwo zjawisk dostrzeganiem pięknem i dobrem. Takie „czyste pieśni“ jego, jak *Serce człowiecze*, pełne miłości przyrody, właściwe dziecku wsi, upoetyzowane wspomnienia z jej łona, w technice doskonałe i specyficznie liryczne w swych powtórzeniach i anaforach (*Rozstanie*), zwłaszcza taki nito psalm, nito dytyramb, coś napół drogi między religijnem dziękczynieniem Franciszka Karpińskiego, a ekstatycznym pejzażem Jastruna *Chwalmy bór, góry i doliny* — mogą służyć za podstawę tych przypuszczeń. Harmonji wewnętrznej odpowiada harmonja wiersza.

Takiemu poziomowi poezji, „prowincjonalnej“ jedynie ze względów zewnętrznych, siedziby poety i miejsca wydania książki, trudno sprostać w roku sprawozdawczym innym prowincjonalnych schronieniom muz.

Chyba Zamość, gdzie otoczył je opieką A. Szczerbowski, *spiritus movens* całego tamtejszego ruchu poetyckiego, tak że choć jego znaczenie przerasta obręb właściwego regionu, choć ostatnia jego książka wydana jest w Warszawie, nie podobna go od tego ruchu oddzielić. *Ogród zamknięty* jest nie tylko wielkim krokiem naprzód w jego twórczości, krokiem tem bardziej zadziwiającym, że poezji jego, od początku tradycyjnej, „klasycznej“, groziło, zdawało się, skostnienie i nieruchomość — tom ten jest i w absolutnych wymiarach zjawiskiem wybitnem, szlachetnem tematycznie, bezbłędnem jako rzemiosło poetyckie. Prawdziwy miłośnik poezji (i jej teoretyk), nad oryginalność, jak „klasykowi“ przysłało, przekłada on doskonałość, nie wahając się podchwytwać śpiewu innych poetów, jeśli równie doskonale albo lepiej potrafi kontynuować. „Wpływy“ które tu z poezji współczesnej dałyby się wykryć, stapiają się w jednolitej postawie (co nie koniecznie pociąga za sobą monotonię twórczości) poety religijnego (wyrazem tej postawy jest jednocześnie wydany wybór przekładów z Anioła Ślązaka): aljaż ten jest szlachetnym bronzem i własny dźwięk wydaje.

Szlachetna również choć bardziej monotonna jest inna książka w Zamościu wydana: melancholijne i głęboko poetyczne zamyślenia M. Kossowskiego, ujęte w nienaganną formę i wypowiedziane językiem obcym wszelkiej pospolitości wydają się plonem całego życia samotnego i szczerzego poety, który wdali od wielkomiejskiego gwaru miał czas obcować z przyrodą i zastanawiać się nad tem co najważniejsze. W tem jest prowincjonalność (w najlepszem znaczeniu) tej poezji, gardzącej nowinkami mody literackiej.

Pobliski Lublin, wczoraj jeszcze tętniące życiem środowisko poezji nowatorskiej i społecznie radykalnej, dziś, gdy główni promotorowie ruchu dzięki wybitnym talentom lub doskonale zorganizowanej reklamie koteryjnej „zdążyli na miejsca ważniejsze“, opustoszał. Helena Platta sama tylko w pojedynkę reprezentuje jego poezję. *Kręgi na szkle* to typowa robótka damska: ogromna łatwość, jeszcze więcej lirycznej autobiografii, zręczność w korzystaniu z eklektycznie dobranej kolekcji wzorów, taktowne stosowanie się do mody, sporo wdzięku, jeszcze więcej banalności w poszukiwaniu siebie; tematyka wszech obejmująca, wiersze społeczne, patryotyczne, religijno - filozoficzne, miłosne i najbardziej związane z gruntem, regionalne: niesamowite piękno starego Lublina jest źródłem wcale udatnych wierszy (np. *Katedra*). Sąd nad tą książką, który wypadł tak surowo, nie może jednak przesłaniać faktu, że poetka umiała ukazać pewne oblicze, że istnieje tyle „robótek damskich“, nieskończenie bardziej blahych i pozbawionych wszelkich cech indywidualnych, mimo że poprawnych nie zasługujących jeszcze na nazwę grafomanji, a wydawanych przez stołeczne księgarnie, wyspecjalizowane w poezji: taką jest szczupła książeczka J. Welkowskiej.



Niezbyt bogato też wystąpił Kraków Niedawny Rzym „awangardy“, oddał należne jej hasłom totem Lecha Piwowara. Najwierniejszy to pono uczeń Peipera, najautentyczniejszy wyznawca ortokoksyjnego awangardyzmu; bardzo to podnosi w obszernych recenzjach przychylna mu krytyka; nieprzychylna milczy. Na przeciwnym biegunie pojęć o istocie poezji stoi K. Alberti. Pełna temperamentu poetka i powieściopisarka odsuwa się coraz bardziej od „pośredniości“ i zagadnień formalnych w stronę „bebechowości“, że wspomniemy terminalogię dalekiego zresztą przodka awangardy Witkacego. W ostatnim tomie prezentuje się w postaci wysmaganej burzami, przepelnionej gwałtownym poczuciem siły żeglarki; od tego metaforycznego ujęcia swej postaci przechodzi do rzeczywistości, rzucając się z tą samą siłą i gwałtownością w wir zagadnień społecznych, ujętych konkretnie ale też i szeroko, w wymiarze globalnym; spoczynek jej na łonie przyrody — to współzycie z cyklem zmian pór roku i miesięcy, pełne witalizmu, który szuka aż modlitewnego wyrazu. Krzykliwość emfaticznej frazeologii przesłania wartość niektórych akcentów szczerości i prawdy. Z Kotarba - Dziubana stylem swej twórczości plasuje się jakby pomiędzy dwojgiem przed chwilą omówionych, bliżej do pierwszego; przykład kompromisu „na poziomie“. Książeczką „prowincjonalną“ (w dobrym znaczeniu) jest szczupły zbiorek St. Kadena, którego refleksje i nastroje, pomimo że dotyczą zbanalizowanych już w poezji tematów, zalecają się skrajną zwięzłością i niezależnością ujęcia, precyzyjnie trafem nierzad słowem; uderza ich ton ściszony i skromny, jakby umyślnie staromodny w technice, dyskretnie pozostawianie na uboczu.

Okazalej, zwłaszcza jakościowo, przedstawia się plon Lwowa, choć nie uczestniczy w nim tym razem jego reprezentacyjna ekipa. Samym tytułem powołujące się na ojczyste miasto *Ballady Lwowskie* J. Krućkowski, najmniej może dają wyobrażenia o poziomie artystycznym tamtejszej poezji; nie to zresztą było celem poety, który chciał zamknąć w swych niezłych miejscach, zawsze przenikniętych patriotyzmem lokalnym i ogólnopolskim, pełnych charakterystycznego temperamentu i werwy wierszach — urok murów rodzinnego grodu, nastroje jego ludności, pamięć znakomitych Lwowian, dodając kilka własnej inwencji ballad opartych na wspomnieniach historycznych miejscowych. Może to rozsądniejsze zużytkowanie skromnego daru poetyckiego w takiej „poezji stosowanej“ niż porywanie się na jeszcze jedną próbę „poezji czystej“ jaką w ideale powinna być liryka, z ryzykiem w razie niepowodzenia, zabrnienia w ten czy inny nudny i niepotrzebny szablon. A przecie nie bez wzruszenia przeczytałem wiersze, które ubogo, w jakiejś zakazanej drukarence, wydał I. Jetzis, prawdziwszy poeta od niejednego, poważnie traktowanego w obszernych recenzjach pism literackich. Tematyka jego wychodzi poza granice banalności (*Atawizm w sztuce dziecka*), wskazując na szeroki zasięg umysłu; ujęcie poetyckie jest równie dalekie od szablonu, bardzo często suggestywne i prawdziwie liryczne; język pełny śladów gwary lwowskiej, jest świeży i swobodny; swoboda też cechuje wiersz, melodyjny i rytmiczny powimo ciągłych, ale jakoś bardzo taktownych, załamania metrum. Pomimo wszelkich zalet poeta ten będzie napewno zlekceważony przez krytykę, u której wielkie poważanie znajdzie T. Żakiej. Jego nudna i nieczytelna manjera jest skrajnem rozwinięciem pewnych tendencji tkwiących już w wielkim odłamie twórczości Napierskiego, a do nonsensu doprowadzonych przez

J. Zagórskiego. Zakieć osiąga szczyty tego uroczystego niezrozumiałstwa, a „system w tem szaleństwie“ polega nie, jak u awangardzistów, na „odległych“ metaforach, lecz na zestawianiu zdań prostych, a bez związku i niezakreślających jakiegś nadrzędnej jedności. Trzeba tylko umieć zachować powagę przy tem zajęciu: nasz autor doskonale pokonywa tę trudność!

Zupełnem przeciwstawieniem tej książki jest tomik J. Gamskiej-Lempickiej, skazany zapewne na chłodne przyjęcie przez krytykę; jako formuła poetycka nie „potrzęsa nowości kwiatem“, stoi może poniżej dawniejszych osiągnięć formalnych poetki; jako tematyka wątpię czy otrzyma aprobatę naszej neokatolickiej prasy, gdyż religijność poetki w swej posępnej wyłączności daleka jest od zainteresowań wojującego i zaangażowanego w doczesność dzisiejszego katolicyzmu. A przecież książka niezwykła właśnie swą zawartością, powagą zasadniczego tematu i nie-artystowskim doń stosunkiem autorki. Tym centralnym tematem jest śmierć, groza nicości, gnicie grobu — zjawiające się w całej przerażającej nagości i wracające z uporem obsesji; jako ludzie raczej, niż jako czytelnicy poezji wijemy się razem z poetką w przerażeniu przed nieuchronną i niezrozumiałą klęską człowieczeństwa. Nie szuka poetka od niej ucieczki w pociechach religii; raczej w jakiegś upartej wierze w dalsze ziemskie, choć inne bytowanie. Siłą i prawdą przeżycia przypomina tyle niezapomnianych stronic L. Tołstoja, z mniejszym oczywiście, niż w tamtej prozie, lekceważeniem „ładności“ i artystycznej ozdoby wyrazu, z dostatecznie jednak charakterystyczną i uzasadnioną przewagą samego tematu nad jego ukształtowaniem. Ale nie zupełnie słusznie poetka wyznaje, że „zna jedną tylko nutę — wysoką nutę śmierci“, że słowo „nie rodzi się jej więcej obficie“, lecz wyrasta „jako oset, żlebu pazurem uczepiony... na tej najwęższej grani u brzegu samej śmierci...“; poezja to daleka od monotonii, umiejąca zadziwić śmiałością w traktowaniu Demiurga-Stworzyciela, wdziękiem w legendach maryjnych. W technice poetyckiej, mimo usprawiedliwioną tu o nią niedbałość, o wiele przewyższa Iłakowiczównę, z którą da się pod tym względem zbliżyć; wiersz jej będzie stanowić obfity i ciekawy materiał dla wersologa.

Odmienna nietylko rasą i wyznaniem, lecz i przyrodzeniem poetyckiem, oraz gatunkową przynależnością twórczości, ale tak samo „urodzona poetka“ i tematycznie ciekawa — to młodo zmarła Anda Eker, na której talent zwróciłem uwagę w poprzednim Roczniku, z powodu tomu przygotowanego do druku jeszcze przez nią żyjącą. Obszerny tom pośmiertny jej utworów uzupełnia tylko, nie zmieniając, zarys jej postaci jako artystki, obdarzonej wyjątkowym wdziękiem łatwości i przejrz-

stości słowa, intymności i bezpośredniości w traktowaniu świata i w wyrazie uczuć. Pełna życzliwości dla świata i ludzi, wolna od uprzedzeń społecznych, umiejąca w ładnym wierszyku napisać pochwałę policjanta, jakiegoż wstrząsu doznać musiała, ona, tak wspaniale władająca najwykwintniejszą polszczyzną Lwowianka, z warstwy zupełnie zasymilowanej z polskością, by poczuć się patriotką żydowską, nazwać ojczyzną Palestynę, entuzjazmować się wojskowym szykiem i mundurem hebrejskiej młodzieży. Tylko mowie polskiej pozostała wierna.

W imieniu przyjaciół i współwynawców czei jej pamięć Irma Kanfer w szczupłym zbiorku, który znów, jakby nie przypadkiem nasuwa się pod pióro sprawozdawcy jednocześnie z poezjami Andy Eker; w zapale dla Lwowa gotów byłem i ten zbiorek na jego rzecz anektować, straciłby na tem Kraków, co prawda, niezbyt wiele. Z większem uzasadnieniem terytorjalnem wspomnieć tu mogę *Etapy* L. Herzoga z Rzeszowa, wiersze „na poziomie“ i dość sympatyczne, dowodzące, że i w epigonizmie wczorajszej mody, prowincja może dorównać stolicy.

Poważnym ośrodkiem poetyckim mógł być Poznań. Dobrze zorganizowane jego życie artystyczne bije żywym i prawidłowym tętnem i wobec wysokiego poziomu kultury materialnej nie wydaje się kwiatkiem u kożucha. Poeci, a raczej pewna ich grupa, mają tu swe pismo. Że miejscowa gleba może wydawać talenty, dowodem Bąk. Ale plon w roku sprawozdawczym przedstawia się ubogo — kto wie, czy nie z braku silnej indywidualności krytycznej, któraby zogniskowała wysiłki miejscowych poetów, podała im jakiś godny urzeczywistnienia program, jakieś trafne kryterja sądu o własnej twórczości, oscylującej między spóźnionymi cechami symbolizmu a nieśmiałą recepcją skrajności nowatorskich. Taką indywidualnością nie jest napewno dzielny zresztą badacz zagadnień filozoficznych, leżących u podstaw literatury, K. Troczyński. Jego przedmowa do tomu J. Popowskiej jest znamienna dla jego uczzonego zapóźnienia jako obserwatora rzeczywistości literackiej i dla jego nieporadności w konkretnem zastosowaniu poetyki. Bardzo przeciętny zbiorek *Przed nocą*, stojące „na poziomie“ skromne „damskie“ wiersze z miłosnego notatnika, korzystające nie bez powodzenia czasem z techniki wyrobionej przez skamandrytów (*Przyjście*, *Wypoczynek krzewów* i w. inn., nadewszystko *Mijanie*) stawia przedmowa „tuż obok poezji Kazimierza Zawistowskiej“, jako utwór „czystej liryki rzadkiej dziś bardzo w okresie Staffizmu“. Chciałoby się zapytać autora tych słów: z którego wydania Feldmana korzysta jako przewodnika po „współczesnej“ literaturze? i poradzić mu przynajmniej ostatnie, aby kiedyś, pisząc np. o powieści Stefanji Zahorskiej, nie przeciwstawił jej panującej dziś Przybyszewszczyźnie jako szczęśliwy nawrót do Żmichowskiej. Nie okazał też dostatecznej ostrożności krytycznej J. Sztaudynger, poprzedzając słowem wstępnem *Księżyc nad Poznaniem* F. Jernasa; ale przynajmniej trafnie wskazał „zegadłowiczowską lekkomyślną ufność w nieograniczone prawo do wylewania wierszy“. Od poziomu tych tasiemców niewiele się wznosimy, przechodząc do L. Turkowskiego, wobec którego gdy wydał pierwszy zbiorek przed dwoma laty, ja sam okazałem równie mało krytycyzmu, dopatrując się dobrych zapowiedzi na przyszłość w rzeczowości i niezależności jego od mody literackiej. *Krew ziemi* potwierdza dostrzeżone wówczas cechy brakiem kultury literackiej (ale i wogóle kultury) potworniejącym w wulgarność i topiącym rzeczowość w dufnem

siebie rozgadaniu prymitywa. Grupa „Promu“, wreszcie, zmanifestowała swe istnienie w roku sprawozdawczym jedynie tomikiem najmniej chyba utalentowanego, choć najbardziej czynnego swego człowieka, E. Herberta.

VII

Środowiskiem poetyckiem o znaczeniu ogólnie polskim w ostatnich latach stało się Wilno. Można jednak się nie zgadzać z wyborem nazwisk (bardzo nierównych jako talenty) podawanych niekiedy jako punkty zwrotne czy wytyczne współczesnej poezji polskiej: Cz. Miłosz, tembardziej J. Zagórski, tembardziej temu ostatniemu najbliższy Al. Rymkiewicz. Z tego czołowego szeregu w roku sprawozdawczym J. Zagórski sam tylko wydał tomik. *Wyprawy* zmartwiły skrajnych nowatorów jako odwrót od typu twórczości, nakazującej krytykowi udawać się po porównania do psychopatologii; ale właśnie ze szczytów nadrealizmu, z mgieł miroślawowych zstąpiwszy jedną nogą między „rozumialców“ pozwoiliwszy się choćby zacząć miarami wspólnymi dla reszty ludzkości, poeta zdekonspirował w poważnym stopniu sekrety tak szczęśliwie dotychczas praktykowanego bluffu. Tam gdzie jasność nie pozostawia nic do życzenia, mamy prozę i zawartości i formy, z wysiłkiem zrymowaną; takimi są prawie wszystkie wiersze o roku 1914, od wstępnego zaczynając; trudno tu mówić o poezji, o liryce. Lecz są także inne, „odsenso-wiane“ niezawodnym systemem ustawiania obok siebie zdań nie mających związku między sobą lub przetykania wiersza zdaniami, stanowiącymi nonsens, jako sądy o rzeczywistości; są one podwójnie pożyteczne, nadają bowiem utworowi wygląd niewypowiedzianej głębi, a przynajmniej modnego ekscentryzmu, a w dodatku zawsze można przy ich pomocy zaradzić w kłopotcie o rym i rytm; spełniają one rolę t. zw. „waty“, która dawniej kompromitowała poetę; dziś ta wata jest jednocześnie zaciemniającą sepją. Niektóre utwory są samą tylko sepją („mątwą“ po polsku), a czy w ich ciemności nie ukrywa się tajemnicza siła liryczna, poświadczy zdanie bezwzględnie wielbiciela (S. Lichański w Pionie): „nie widzimy wzruszenia nigdy... ani cienia jakiegokolwiek uczuciowej egzaltacji... jego męskie panowanie nad wzruszeniem zdawać się nam może wręcz okrutne... jakież to wspaniałe lekarstwo na wszelaką żeromszczyznę, skamandrycki emocjonalizm“. A więc pochwała wymarzonej przez Peipera, choć innymi środkami realizowanej „pośredniości“! Kto co woli, ale pojęcie „liryzmu“ wiążemy powszechnie z „żeromszczyzną“, i z liryką; ona też nas tu wyłącznie obchodzi.

Znacznie mniej głośny „żagarysta“ T. B u j n i c k i, jest zdaje się o wiele większym talentem, choć mniej umięcym narzucić się ekscentrycznością. O zasięgu jego możliwości świadczą świetne występy na polu satyry i groteski, które stawiają go na równi z uznanymi mistrzami tego rodzaju w Polsce. Zresztą i *W połowie drogi* przedstawia rozmaitość tematyki, nastrojów, techniki; w niektórych utworach sporo ukłonów w stronę mody poetyckiej; ale ani sens nie każe się szukać, ani wzruszenie liryczne ociąga się z przyjściem. Specjalną energią wiersza i kompresją budowy wyróżnia się *O nagłą i niespodziewaną*; typowy dla atmosfery wileńskiej katastrofizm i ponury protest przeciw rzeczywistości znajduje wyraz ironiczny i suggestywny lirycznie w utworach *Byczo jest, mój poeto...*, *Na jeziorach i rzekach*. Szczególną aktualnością w czasach gdy normalizują się stosunki z pewnem obcem państwem, a z książek szkolnych wymazuje się pierwsze słowo *Pana Tadeusza*, tchnie wiersz: „Litwo, ojczyzna moja. Żarliwie i prosto powtarzam słowa naszego pacierza...“, zostawiając iskrę nadziei w najważniejszej sprawie Rzeczypospolitej, jeśli i wśród młodszego pokolenia jej obywateli trwają takie uczucia.

Przyjemną niespodziankę sprawił J. P u t r a m e n t. Fatalnie sprezentowawszy się poprzednią książeczką, gdzie ledwie można było się domyśleć możliwości poetyckich, w odwróceniu od „awangardy“ stanął na czele awangardy i dał szereg wierszy wyrazistych, bardzo ciekawych rytmicznie, romantycznych krajobrazowo, przenikniętych silnie emocją. Takim też jest znany mi z poza ram książki utwór, który był przedmiotem sprawy sądowej o bluźnierstwo. Już to samo charakteryzuje go jako coś bardzo dalekiego od bezdusznego werbalizmu, stanowiącego ideał pewnych współczesnych kierunków poetyckich; jednocześnie zbliża do programowych wskazań imaginizmu rosyjskiego, który pod tym względem był tylko hipertrofią oddawna tam nurtujących tendencji. Śladem zainteresowań rosyjskich są tu przekłady, z pośród których sprawdziłem jeden z Achmatowej: mistrzowski.

Jak widzimy talentów na gruncie wileńskim (nawet w świetle omawianego plonu — mniejsze, bardziej „prowincjonalne“ wymieniliśmy już przedtem) niebrak. Jeśli „szkoła wileńska“ poezji nie całkiem urzeczywistnia pokładane w niej nadzieje, przyczyną wydaje się, jeszcze bardziej niż w Poznaniu, nowoczesny zamęt w pojęciach o poezji, fałszywe skierowanie zaciętych niekiedy wysiłków. Jakże może wyćwiczyć się w szkółkach ktoś, kto uparcie będzie czas poświęcał kopaniu rowów? zbyt odmienne to zajęcia i trzeba się zdecydować na ten czy inny kierunek rozwoju. Nie znaczy to bym zalecał

niewolniczą naśladowczość, np. w stosunku do „skamandrytów“. W. Strzałkowski (*Wyjazd na połów*) i T. Zelenay (*Jesień sentymentalna*) nie stali się wielkimi poetami przez wybór dobrych wzorów (bardzo różnych zresztą u obu); pierwszy zwłaszcza nie ustrzegł się bardzo ciężkiej w poezji skazy prozaizmów dziennikarskich w swych wrażeniach z podróży, drugi też zawiewa nowoczesnym banałem, choć obaj są „na poziomie“. Ich twórczość mieści się w bardzo szerokich ramach pojęcia „poezji lirycznej“, wypełnionego treścią związaną z jej tradycyjnym rozumieniem a nie sprzecznego w nim; w ramach tego pojęcia mieści się „formuła“ Skamandra — jeśli wogóle nie jest mitem. J. K. Weintraub (*Próba powrotu*), tak bliski awangardowego opisywactwa, z czechowiczowskim podkreślaniem własnego rozpoetyzowania (dlatego „białe zakończenia“, dlatego tak nudne), w najlepszych momentach zbliżający się zdala do Przybosa (inaczej zresztą zupełnie piszący gdy się zrzadka oddaje we władzę muzyczności: „Złóż rękę smagłą na ciepłej ziemi...“) jest benjaminkiem Skamandra, który mu wybacza i sonety z zupełnie nieściśłymi, nie odbrzmiewającymi rymami (co sprzeczne z istotą sonetu: grą echa), i świadczące o bezradności superlatywy, i jakieś ciągle „werandy“, niczem w Falenicy. Jak to pogodzić z P. Hertzem w którego szczupłej książeczce *Szarfa ciemności* odnajdujemy, obok dezorganizujących wpływów Napierskiego, zasadniczego przeciwnika Skamandra, choć z niego rodem, i obok swojego hermetyzmu spokrewniającego go z Jastrunem w dążności do utrwalenia ciemnej irracjonalnej emocji — wciąż także wpływy Iwaskiewicza, Wierzyńskiego i Lechonia, tych ostatnich zwłaszcza z ich upodobaniem do antytetycznie przeciętych aleksandrynów, do specjalnie retorycznego tropizmu i całego zespołu środków stylistycznych i wersyfikacyjnych klasycznego nurtu powojennej poezji polskiej? A jednak wszyscy oni mieszczą się w obrębie szerokiej formuły, uświęconej twórczością poetów, którzy potrafili się narzucić, jako przedstawiciele liryki w poważnym znaczeniu słowa, nie na jeden dzień literatury polskiej. I dziś, w końcu drugiego dziesiątka lat od ich wystąpienia, obok bardziej aktualnych rewizyj „awangardy“, spotykamy często podsumowania, zawsze jeszcze nieżyłowe, zawsze jeszcze z konkurencyjnych prądów wynikłe, rezultatów działalności grupy Skamandra. Rewizje te to z lewa — wiadomo nie od dziś w jakim, pomimo krachu awangardy, lęku by nie okazać się wstecznikami, nie zdradzić się z rzekomym oportunizmem, przychodząc na stare a wciąż zaszczytne podwórko — to z prawa, te rzadsze i usprawiedliwione chyba u ludzi spóźnionych o ćwierć wieku co najmniej, jak K. Troczyński, w rytmie aktualnego dla nich życia literackiego — rewizje te jeszcze o wiele przedwczesne a jak mało trafne, dowodem twierdzenie że „dziś nikt na serjo Słonimskiego jako poetę nie traktuje“: mogę wskazać oprócz siebie bardzo wielu autorytatywnych rzeczoznawców i dużo argumentów dowodzących właśnie żywotności tej poezji pomimo dąsów młodocianych arystarchów. Ale „w przerażającej epoce wielkiego zamętu“, jak słusznie dostrzega budząc się z uczono-go roztargnienia filozof poznański, właśnie nie należy gardzić realizacjami które wytrzymały próby życia a taką jest w poezji „formuła Skamandra“. Słusznie się jej trzymają ci poeci prowincjonalni, których osiągnięć pozytywnych nie podobna i w skali ogólnopolskiej nie uznać, jak np. E. Żytomirski, który przysyła z Kielc, (choć w Warszawie wydany) nowy zbiorek swej liryki, podawnemu niewymuszonej, melodyjnej, śpiewającej o tem co najważniejsze dla poety, co minutą ciszy wdziera się

między „śmiercią wezbrane chmury-godzin“ życia, codziennie przeciekającego między palcami, co warte tego ze względu na wzniosłość, lub intensywność, i co zarazem dostępne jest w swej powszechności prostemu człowiekowi, zaspakaja jego potrzebę poezji, jego sentymentalizm: słowem, w dobrym znaczeniu poezja popularna. Uczucia patryotyczne, piękno gór świętokrzyskich, czy jezior augustowskich; erotyki powiązane cieniutką nitką fabuły motywującej je sytuacyjnie — wszystko rozkołysane rytmem prawie zawsze doskonałego wiersza.

Inny prowincjonalny poeta, St. Golebiowski może być umieszczony na innej gałęzi tegoż drzewa genealogicznego: mniej bezpośrednio, więcej sztuki, umiejętność zamykania się w bardzo szczupłych, prawie epigramatycznych ramach, w których koordynacja metafor da się idealnie osiągnąć, tak, że utwór posiada jedność znaczenia dosłownego, nie tylko przenośnego; inwencja obrazowania, plastyka przeważająca nad muzycznością, mimo że bardzo urozmaicona wersyfikacja, zawsze regularna, zadziwia doskonałością. Bogactwem pomysłów nie ustępuje prawie swemu wielkiemu przodkowi — Staffowi; nie odpowiada im tylko równą ilością „wielkich myśli“ i „niepokojów“: możnaby tej poezji zarzucić charakter gry wyobraźni poetyckiej, stanowiącej cel dla siebie. Ale poziom jest tak wysoki że sukces poety, który wstępnym bojem podbił stolicę, wydaje się zasłużony i symptomatyczny dla powszechnego zmęczenia bezpłodnymi eksperymentami oraz dla tęsknoty za poezją pojętą jako piękny kunszt, jako trudna sztuka, a nie jako pole otwarte wyczynom grafomanów.

VIII

Tymczasem „u wielkiego ołtarza“ nie wiele działo się godnego uwagi. Wielki hałas podniesiony naokoło tomu K. I. Gałczyńskiego, wydanego w samym końcu roku, kulminujący przy uwieńczeniu (już na wiosnę 1938) nagrodą Prosto z mostu t. j. pisma, które specjalnie lansowało poetę i korzystało z jego stałej współpracy, w małym tylko stopniu był usprawiedliwiony istotnymi wartościami książki jako „poezji na serjo“. Jeżeli w mowie uroczystościowej trzeba było motywować nagrodę wielkością genjuszu ujawnionego w utworze *Skumbrje w tomacie*, czyli w zręcznej improwizacyjce satyrycznej, przykrej nie tylko negatywnym ale wręcz szyderczo-nihilistycznym stosunkiem do rzeczywistości polskiej, takim obrażającym najbardziej nawet opozycyjnie usposobionego patryotę rechotaniem nad smutkiem Polski, nad jej historią, nad bólem i ambicją współobywateli („chcieliście Polski, no to ją macie“) — to bardzo ponuro świadczy i o kwalifikacjach poety do wyróżnienia i o smaku jurorów i nawet o takcie mówcy: wyobrażam sobie jakim oburzeniem (słusznem!) zawrzałoby jego pismo, gdyby ten utwór wyszedł

z pod pióra któregoś semickiego dostawcy repertuarów rewjowych! Talentu zaś na taką błahostkę starczyłoby pewnie niejednemu z nich.

Na szczęście nie jest tak źle z Gałczyńskim. Na sąsiedniej obok stronicy czytamy uroczy ucinek satyryczny (*Zima z wypisów szkolnych*) stawiający autora w rzędzie najlepszych naszych piosenkarzy satyrycznych, co nie jest mało, zważywszy rozwój u nas w ciągu kilkunastu ostatnich lat tego rodzaju literackiego, wynik współpracy poetów Skamandra z teatrykami rewjowymi i z pismami humorystycznymi. Nie wiem czy jako skutek tej współpracy, czy jako jej uwarunkowanie psychiczne, środowisko tych poetów wytworzyło i oddycha specjalną, bogatą w humor i dowcip atmosferę, która stanowi niemały i najbardziej niezaprzeczalny tytuł ich oryginalności w dziejach poezji polskiej (obfitującej raczej w nastroje płaczliwe i uwzniośnione) a może jedyny element jednorodności tego środowiska traktowanego jako „szkoła poetycka“. Podaję to jako jeden jeszcze przyczynek do genealogii poetyckiej Gałczyńskiego, ponad wszelką wątpliwość wiążącej go ze Skamandrem, a w nim szczególnie, innemi także węzłami z Tuwimem (anarchizm, katastrofizm — jeżeli chodzi np. o światoodczucie, szerzej o tem piszę w nrze 753 *Wiadomości Literackich*). Stwierdzenie to obala wygłoszoną w uroczystościowej mowie pochwałę „samorodności dróg“ Gałczyńskiego i jego niezależności od Skamandrytów. Pochwałę tę powtórzył Ks. Prus. (w *Słowie* Nr. 131), łącząc ją z wypadem przeciw recenzentom. Korzystam ze sposobności by stwierdzić, że w tym przynajmniej wypadku recenzenci Gałczyńskiego nie zasługują na naganę jego wielbicieli: wszyscy zgodnie wynosili poetę do czołowego zastępu młodej poezji, a najbardziej chyba krytyczny głos, t. j. wyżej wspomniany mój artykuł i rozmiarami swemi i słowami zakończenia aż zanadto podkreślał kaliber talentu. Wracając zaś do „piosenkarzy“ satyrycznych — tych najlepszych — to umieszczenie wśród nich Gałczyńskiego odpowiada w sam raz rodzajowi i rozmiarom jego jako zjawiska literackiego, nie obniżając go ani obcinając: przypomnijmy sobie, że czołowi wśród nich np. Hemar i zbyt mało dający się słyszeć Paczkowski umieją wybrzmiewać chwilami nutą przejmującej osobistej liryki, nie z „satyrą“ nie mającej wspólnego, poza szczyptą ironji we wzruszeniu, słowem że są oni, w sumie swej twórczości, lirykami tout court w stylu Heinego lub tego co Francuzi zwą „un poète phantaisiste“. Tak też i Gałczyński, który już zronił, niedbale jakby, z uroczą łatwością niejedną niesfałszowaną perełkę w tym rodza-

ju. Ale windowanie go na pjeostał wieszczu narodowego, wytaczanie nim dróg artystycznych i społecznych poezji polskiej, wymachiwanie nim jako sztandarem ideowym — jest to wprowadzanie go pomiędzy zjawiska niewspółmierne i ujmowanie go w sposób fałszywy a dla jego reputacji wysoce niebezpieczny. To, co wybaczmy chętnie rozbawieni piosenką kabaretową, nie wymagając wielkiej odpowiedzialności za słowo od jej autora, to potraktujemy zgoła inaczej, gdy nam każą brać na serjo i rozważać dosłownie. Wówczas wydadzą się niedopuszczalnym i szkodliwym błazeństwem rozmaite jego enuncjacje i butady w materji patryotycznej i religijnej, a przynajmniej mniej stosowną poufałością w traktowaniu tych spraw („dziewczyna... co kocha Matkę Boską i Dickensą”); wówczas przyjdzie wytykać jego katastrofizm, i defetyzm narodowy i upodobanie w samooplwanii i „chandrę”, rosyjską matkę nieprzytomnych figlasów, i wziąć poważnie autodiagnozę jego „doli niego-dziwej”: „1) załamanie, 2) upodlenie, 3) rozchwanie i 4) zagubienie, cztery punkty: epilepsja wędrowną”.

Ten aspekt Gałczyńskiego, łącznie ze specyficznym rosyjską genezą jego nihilizmu szerzej *l. c.* omawiam. Niesprowokowany zaś do zajęcia stanowiska moralisty, raczej starałbym się ukazać w jaki sposób, na właściwym sobie odcinku rodzaju literackiego, Gałczyński, nie goniąc za nowymi wynalazkami, kontynuuje z wielkim talentem zapoczątkowane przez Skamandrytów „zniżenie stylu” i odejście od konwencji poetyckości i jej emfazy w stronę konwersacyjności i bezpośredniości w wyrazie uczuć, nie przekraczających skali codzienności „szarego człowieka”. To już samo, bez ubocznych względów i bez trąb jerychońskich przyjacielskiej reklamy zapewniłoby Gałczyńskiemu uznanie i popularność w epoce literackiej realizmu i obojętności dla surowego napięcia wznoszącej się ponad „życie” ekstazy lirycznej.

Charakter epoki literackiej stwarza podwójną gwarancję niepopularności M. Jastruna, który zresztą nigdy nie byłby na równi z aktualną piosenką, czy liryką wszechdostępnych wzruszeń, poczytny: typowa to „poezja dla niewielu”, daleka od „życia” i jego spraw, choćby najbardziej wznoszących się ponad pospolitość, daleka materialem przeżyć, które rekonkretyzuje uważny jej czytelnik. Cóż bardziej odmiennego od świata jawy, niż ten świat snów, czy jeszcze bardziej tajemniczych i niewypowiedzialnych przeżyć, w których inny świat „przez nieuszczelnioną rzeczywistość jej szparami sączy się z nocy”. Obce to wszystko „znaw-

com powierzchni“; „ich wieczny pośpiech nie przyśpieszy prawdy... tylko w przeczuciu naszym blaskiem nagłym, zalśnią przestrzenie i za-
drzą w łożysku“. Trzeba by tu wyjaśnić że odosobnienie poety i odgra-
niczenie jego świata od świata powierzchni mało ma wspólnego ze zbana-
lizowaną oddawna pogardą artysty dla tłumu. Postawa Jastruna legity-
muje się utrwalonemi w jego utworach momentami ekstazy, nagłemi
błyskami, przeszywającemi noc niedostępnych naszemu doświadczeniu
mroków. Tacy jak on, który „przyszedł, by niedostrzegalne drżenie
zmienić w szept, zbudzić do dźwięku kamienie i w mroku nocy wytłoczyć
swe złoto“ lub choćby tym szeptem „urzeczeni, czekając burzy uczuć
i płomieni, gdy drżą przed szczelną kurtyną ciemności“, mogą zwracać
się do „znawców powierzchni“, ze świadomością wyższości:

Tak przeraźliwie oślepieni
Ogniami obłąkanych miast,
Cóżście z czasu zrozumieli
Co się przetoczył obok Was?

Stare to i stałe motywy poezji Jastruna: ten „czas“ — jakby element
metafizycznej jedności odczuwany nieodstępnie w potoku zjawisk, ta
„ciemność rzeźbiona westchnieniem ze złota“ (słowa, których użyłem za
tytuł obszerniejszego studjum o tym poecie w Przeglądzie Współczes-
nym z grudnia 1935); *Strumień i milczenie* pod względem ilości utwo-
rów i procentowego ich stosunku, więcej niż dwa poprzedzające tomiki
(co w niczem nie umniejsza trafiających się tam wspaniałości) reprezen-
tuje najbardziej rdzenny rodzaj jego twórczości, to co w niej jest naj-
istotniejsze, najbardziej specyficzne. Świadomość tego wzrosła u poety;
w najnowszym zbiorze nie znajdujemy np. tych łatwych do uniknięcia
błędów technicznych, które sprzecznością swą z zasadniczym charakte-
dem tej poezji kaziły niekiedy najwyższe jej osiągnięcia. Pozatem każ-
dy wielbiciel Jastruna odnajdzie z upojeniem dawną właściwą mu atmo-
sferę natężonego patosu, porywający rytm słów dobranych pod kątem
najwyższego zabarwienia uczuciowego, ekstatyczne otoczenie krajobra-
zowe, kombinacje barw intensywnych, nierealnych widmowego świata,
wydestylowanego z powszedniości — atmosferę niezawodnie suggestyw-
nych rekwizytów magji, taumaturgji poetyckiej; co chwila będzie sta-
wał „zatrzymując oddech przed czarną grozą“, przeżywając stany lirycz-
ne, najgłębiej irracjonalne nie dające się związać z motywami zewnę-
trznymi; „pod każdą sprawą“ swą dostrzeże „otchłanie“ i groźbę losu

„skrytego w ciemnym swym żywiole — jak cios w bokerskich rękawicach“; będzie się błakał w obrębie „urojonego nieboskłonu stopami czując ruch powolny, czarne czołganie się zagonów“; dojrzy „w korzeniach dnia złotego podziemnej chemji przekrój czarny“; i z niechęcią od tej lektury obudzi się do świata rzeczywistości, jak poeta o brzasku, gdy

obrócił się na pięcie
Cień południka, zorzą powiódl.
Zapaśnik wstał i snu pieczęcie
Skruszyła ciężka pięć z ołowin.

Jeśli chodzi o poezję szerzej dostępną (a przecież zawsze jak wykwinąć!) i cieszącą się powszechnem uznaniem (co nie jest to samo, co sezonowa popularność przeboju lub hałas partyjnej reklamy), na czoło w sprawozdawczym roku wysuwa się nowy zbiorek *Pawlikowskiej*.

Posłużył on — że przytoczę to na dowód powszechności uznania — p. Kazimierzowi Bleszyńskiemu, filozofowi raczej niż aktywnemu pracownikowi literatury (choć mającemu za sobą w czasach przedwojennych szereg pięknych i głębokich wierszy, ale to usposabia najczęściej krytycznie do następnego pokolenia poetów), za powód do skreślenia (w *Skamandrze* ze stycznia 1938) interesujących uwag na marginesie zagadnienia t. zw. „poezji czystej“. Traktuje on *Pawlikowską* jako poetkę na miarę europejską (co pod piórem Europejczyka, człowieka rozważnego, nie szowinisty, jest znaczące): „dar czystej poetyckości stanowi o uroku tak zawsze krótkich jak gdyby w myśl słusznej teorii Poego — utworów *Pawlikowskiej*. Wychodząc z tej ich cechy zasadniczej, możnaby z łatwością wydedukować szereg różnych ich właściwości: ten typowo artystowski minimalizm treści (na co oczy przelotem spojrzą, co się przez myśl przewinie); i pewną powściągliwość — że niekiedy aż chłód uczuciowy (uczucie jest też treścią); i precyzyjną, cyzelowaną zwięzłość (omne perfectum breve: „dech zapiera“); i nawet niejaką ich schyłkowość (formalizm, to zawsze objaw późny, niedbale i wraz ceremonjalnie arystokratyczny) itd... Dlatego to dla wielu tak zwanych dziś modnie „intellectuelów“ jest ona osłoda, wytchnieniem, jednym z momentów odkupienia tej przeraźliwej dla ducha epoki. *Delicium gentis nostrae*“.

Cytuję ten głos entuzjazmu, jako tembardziej znamienny dla utrwalonego w literaturze polskiej stanowiska *Pawlikowskiej*, że dał się słyszeć z powodu wcale nie najświetniejszej jej książki. Przeciwnie, *Krystalizacje* wydają się często opublikowane przedwcześnie, zanim moment ostatecznej krystalizacji pomysłu poetyckiego nastąpił: są to czasem raczej szczupłe fragmenty „szkicownika poetyckiego“. Z rojowiska pomysłów, z ich komplikacyj sprzecznych z niezbędną prostotą kompozycji lirycznej, wyłaniają się dopiero kształty ostateczne zorganizowanej mowy i niedającej się przekształcić, zarysy dzieła, sztuki słowa, sakralnego

w swej niezmienności i nietykalności. Szkicowość ujawnia się w formie zewnętrznej, w tym wierszu wolnym, który jest jakby stadjum pośrednim pomiędzy prozaicznym zapisem pierwotnej notatki a jej ostatecznym wykryształizowaniem w kształt poetycki, ujęty u Pawlikowskiej prawie zawsze w wiersz regularny. Tak jest pisany najpiękniejszy, najgłębszy utwór książki *Skrzydła wewnętrzne*. Godne przytem uwagi wyzwalające działanie właściwego przyzwyczajeniom każdego poety metrum: tu gdzie poetka poddaje się impulsowi rytmicznemu sześciowierszowej zwrotki, tak chętnie z takim sukcesem od dawna używanej — przychodzą same, jakby pod działaniem jakiejś magji, konstrukcja, zwartość, potoczystość myśli. Niezależne pozornie fragmenty utworu spojo-
ne są mocno jednością myśli, a raczej zasadniczej „wielkiej metafory“, irrealnej, unoszącej się nad ziemią ważki-libelluli, wydartej z przyziemnego bytu, z powłoki gąsienicznej. Zresztą w tej samej książce, w każdym nieomal utworze znajdziemy „metaforę“ (w szerokim sensie) uderzającą, wejrzenie na świat iście odkrywcze, które ukazuje nam zupełnie nieoczekiwany aspekt rzeczy, głęboko wzruszający uczuciowo, gwałtownie pobudzający myślowo. Niekiedy chwytamy, zda się, sekret artysty, gdy np. dostrzegamy zastosowanie „inwersji metaforycznej“, odwrócenia przyzwyczajeniowego stosunku rzeczy (samobójczyni w rozpacz nie „pograża się w morzu“, lecz „morze sobie zarzuca na głowę, by nikt nie dojrzał jej łez“) lub tradycyjnego charakteru formuły słownej („oblóczona światu i jawie“ jest szczęśliwa miłośnica). W ostatnio zacytowanym przykładzie przebija zasadnicza postawa poetki, jej wierność pogańska dla świata zmysłów i dla „matki miłości“, „śpieszącej na wezwanie w łabędzim pojeździe“.

Znaczenie Napierskiego nie da się oczywiście porównać z powszechnie uznaną rolą znakomitej poetki, trzeba jednak stwierdzić, że wzrasta ostatnimi czasy, że ja już nie jestem wyjątkiem, zwracającym uwagę na jego działalność, że jego niesłychana pracowitość, wieloletni upór w rzucaniu wśród głuchej obojętności krytyki po parę czasem książek rocznie na półki księgarskie, zaczęły wreszcie przebijać mur milczenia. W roku sprawozdawczym wydał on znowu trzy książki: tom przekładów z poetów francuskich, tom wierszy oryginalnych, oraz tom prozy, zbiór notat o sztuce, literaturze, życiu, wnikliwych często i nieoczekiwanych refleksyj, pozatem poprostu poematów prozą. Aczkolwiek *Próby* nie wchodzą ściślej do rodzaju literackiego, który jest przedmiotem mego sprawozdania, trzeba stwierdzić, że jest to nietylko książka poety, lecz także książka poetycka, i że jego ostatnie książki wierszy nie wiele się od niej różnią, poza tem, że są ubrane w dość monotony wiersz; tak samo zaś znamienne są dla jego zarządco przełamywanej niedbałości o wydzielanie struktur

lirycznych z zalewającej go fali liryizmu. Za takie struktury, za „zamknięte“ wiersze, niepodobna uznać większej części *Elegij*. Przeważa w nich styl, który już dawno wyróżniłem z pośród kilku uprawianych przezeń osobnych stylów, jako najgorszy i nieczytelny; w stosunku do tych utworów nie są pozbawione niejakej słuszności słowa niesprawiedliwej zresztą krytyki (A. Szezerbowskiiego w Marcholcie): „ciemna abrakadabra pojęciowa i mętna topiel słów, zestawień słownych, niezasadnionych żadną potrzebą“. Sprawiedliwość nakazuje jednak przyznać, że i w uprawianiu tego stylu jest godna podniesienia pogarda dla łatwego wdzięku, dla wszelkich starań o skaptowanie czytelnika (z drugiej strony odrębność i hermetyczność tego stylu zaczyna tentować niektórych młodych poetów, którzy upatrują w tem modne dziwactwo; mnożą się w ostatnich latach naśladowcy i ślady wpływów Napier-skiego można odnaleźć u poetów, nie pozbawionych własnego wyrazu i talentu jak Miłosz, P. Hertz i inni). Poezie o nic innego nie chodzi, jak o uchwycenie przeżycia lirycznego w całej jego pełni o utrwalenie wibracji — dlatego te utwory są tak długie, dlatego w gruncie rzeczy o niczem nie mówią: są one bez treści, jeżeli treścią będziemy nazywali to, co się z utworu poetyckiego da „streścić“. Najczęściej najistotniejszą, a może tylko jedynie uchwytą sprawą w tych utworach jest sama ekstaza twórczości w obliczu tworzywa. Przekorne dziwactwa i pleonazmy, groteskowa stylizacja w słownictwie, spreczna z precedensową istotą tego, co jedynie obchodzi poetę, wszystko to ma służyć jako narzędzie przybliżenia do swoistej „poësie pure“, do utrwalenia najbardziej specyficznego przeżycia poety lirycznego.

IX

Oprócz tych poetów, wyniesionych na czoło, dzięki sile talentu lub dzięki sprzyjającemu nurtowi wypadków literackich lub politycznych, tworzy w dalszym ciągu szereg innych, którzy mogliby powtórzyć za Kochanowskim: „sobie śpiewam a Muzom; bo kto jest na ziemi coby serce ucieszyć chciał pieśniami memi?“ Nieraz już podnoszono heroizm poety, tworzącego z reguły w osamotnieniu, bez korzyści materialnych, bez echa u współczesnych, często przy akompaniamencie drwin bliższego otoczenia; mówiono jednak o tem najczęściej, dotykając działalności „wielkich zapoznanych“. Tymczasem stwierdzić trzeba, choć brzmi to paradoksalnie, że jeżeli mierzyć ten heroizm, jak każdy inny, od strony podejmującego trud. miarą wewnętrzną czystości i absolutnej wielkości jako aktu, to przekonanie o własnej wielkości (rzeczywistej czy urojonej, jak u „grafomanów wspaniałych“), wiara, że „syn minie pismo lecz ty spomnisz, wnuku“, raczej umniejsza jego wzniosłość: tak jak mniejszą jest zasługą, nawet w świetle katechizmu, uprawianie cnoty dla nagrody w przyszłym życiu. Umniejszeniem też czystego w tym sensie heroizmu jest pogoń za wyróżnieniem się przy pomocy ostatniego krzyku mody poszukiwanie „sukcesu“ (że przypomnimy słynne rozróżnienie Norwida) chwytami, reklamowaniami przez nowe szkoły poetyckie jako niezawodne. Włodzimierz Słobodnik, do tych chwytów, bez fanatyzmu zresztą, uciekał się chyba w dość odległych początkach swej kariery poetyckiej. W ostatnich książkach ukazuje zdecydowanie własne, choć nie

siłące się na oryginalność ujmujące oblicze szczerego liryka, tworzącego nie dla do-
 rażnego sukcesu, a zbyt skromnego, żeby ludzię się wiarą w nieśmiertelne echo u po-
 tomności: jak i człowiek w jego wierszach „on tutaj chwilowy — dlatego taki drogi”.
 Słowo jego jest proste i jasne, jak najniedwuznaczniej myśl wyrażające, gdy trzeba,
 nie cofające się przed prozaizmami i zwykłością ekspresji. Melodyjnością wiersza —
 konsekwentnie stosując „syłabo-tonizm” — przypomina Lenartowicza, świadomie w do-
 datku nawiązując do „lirnika mazowieckiego” w tematyce, świadczącej o głębokiem
 umiłowaniu ziemi, kornego pejzażu i ludu Mazowsza: „kocham Mazowsze, jak jego
 synowie, przybysz odwieczny, obcy i wzgardzony”. Sentyment ten, zawsze wzru-
 szający, w chwili obecnej ukazuje się w szczegółowym aspekcie tragizmu i goryczy, na
 tle uczuć przeważnie jasnych w tonacji, zawsze szlachetnych i dostępnych prostakowi,
 jak poezji popularnej w dobrem znaczeniu przystało. Do tych poetów, którzy
 „robią swoje”, a każde dzieło podpisują „jak mogłem”, wiedząc, że nie zawsze Muzy
 łaskawe, należy i Mieczysław Braun, którego ostatnia książka nie wypadła
 najszczęśliwiej; już sam wybór niemodnej dziś formy sonetu dla całego tomu,
 świadczy o pogardzie dla koniunktury. Nie jest też poetą koniunkturalnym J. A.
 Teslar, który zdala od kraju uprawia kult piękna, wydając z niespotykanym prze-
 pychem i wyszukaniem bibliofilskim swe wiersze we florenckiej Oficynie hr. Sa-
 muela Tyszkiewicza, typografa-amatora. Tem samem wyszukaniem uderzają utwory,
 mamy tu np. sześciowiersz „zinstrumentowany” na jednym wewnętrznym rymie i jego
 warjacjach, wszystkie słowa mają tu przynajmniej jeden dźwięk ę: tego rodzaju
 ornamentacje dźwiękowe, modne przed 40 laty w Rosji (Balmont), dziś są mniej ce-
 nione. Ale poeta nie śledzi za modą, stara się urzeczywistnić pewien wymarzony
 w młodości, odpowiadający największemu nasileniu „estetyzmu” Młodej Polski,
 ideał poezji, a rzeczywistość dzisiejsza nie istnieje w jego wierszach, chyba w swych
 tak skoncentrowanych estetycznie objawach, jak taniec Lifara. Niektóre tylko z tych
 utworów przybliżają się do owego wymarzonego ideału, np. taka zwrotka, zaczynająca
 książkę:

Drżą ręce ślepeca ułożone w kielich
 i wyciągnięte ku gwiazdzie polarnej,
 chwytają sennie skrzący w nocy czarnej
 srebrzysty strumień szumu piór anielskich.

Dużą część stanowią błahostki, stanowiące dopiero niezakiełkowane ziarenka po-
 myśłów. Przekłady nie odznaczają się ścisłością.

Przykładem poety dumnie „robiącego swoje”, we wzniósłem aż do tra-
 gizmu osamotnieniu jest St. Ciesielczuk. *Teatr natury* jest zja-
 wiskiem zasługującym na szczegółową analizę, której tu mogę podać
 tylko niektóre punkty wytyczne. Od pierwszego utworu aż do ostatnie-
 go uderza wielkość postawy moralnej i jej istotna poetyczność, nie po-
 legająca zresztą wcale na przebywaniu w świecie oderwanym od rzeczy-
 wistości, lecz na stosunku do rzeczywistości, rzetelnie obserwowanej
 i bezkompromisowo sądzonej: bo „nie dla samych rymów są te rymy”,

jak kończy się programowy, ścisły aż do prozaiczności niekiedy, pod tym względem przypominający „rozprawy“ wierszowane Norwida, wstępny wiersz, pokrewny wielkiemu poecie całym swym „ethosem“: „szedłem a z ulic jaskrawe „symfonie światła“ współczuły drobnym gwiazdom, choć gwiazdy mogłyby im współczuć prędzej...“ Z tej wielkości postawy moralnej wynika uprawnienie satyryka-moralisty, piętnującego swój czas, gdy „prawda jego, dzisiaj tak sponiewierana nienawiścią ludzkiego bytła“, gdy „przekupnie ładnych i przyjemnych bredni wiodą świat „naprzód“, a on bredniom rad“. W generalności i nieprzetłomaczalności na prozę „programu politycznego“ tego sądu o świecie tkwi jego istotna poetyczność, która nie ma jednak nic wspólnego z poetyckim anarchizmem, z nienawiścią do wszelkiej „tyrańskiej wspólnoty“, z radością nad jej klęską; nie, tu jest ból skalanego ideału marzeń („nie takiego ja życia przysięgałem sprawie zbiegła mi śmierć wargami“), litość wyższości dla głupiego i nędznego świata — stała nuta: „biedny błaznie z farbą śmiechu na pysku!“ Ta sama postawa nadaje wagę filozofii (czy „filozofowaniu“, jakby powiedział ściślej filozof-specjalista) poety; Ciesielczuk tu ujawnia inwencję symbolu filozoficznego tak, jak gdzieindziej skrótu emocjonalnego: „Otwarcie oczu sen wkoło rozdzierać i jak zakłębem nową dal otwierać myśli rozbłykiem“ — oto hasło poety-filozofa, w którego treści, sformułowaniu, nawet w ukształtowaniu składniowo-kompozycyjnym (przewaga bezokoliczników) czuć wpływ, rzadki w Polsce, dobrze widać znanego Ciesielczukowi poety rosyjskiego, jednego z najwszechstronniejszych liryków świata, Feta. Z nim spokrewniają go nie tylko symbole, które otwierają perspektywy transcendentalne (bo wszak „chyląc ku niej [ziemi] uwagę, pamiętam: otchłań za plecami“) w „naturfilozofii“: „nim olśnienie w locie zgasło, zdmuchując swój ślad, widział żywą inność własną oniemiały świat“; tak jak i on umie stopić refleksję ze śpiewnością rasowo-lirycznym użyciem anafory i powtórzeń:

Tylko wieczność wielka... Tylko wieczność!
Tylko pieśń prawdziwa... Tylko pieśń!

a w liryce miłosnej umie wziąć nutę patetyczno-metafizycznych madrygłów Feta, zbanalizowanych nieco w Rosji salonowymi popisami wokalistów. („Nie, tyś nie ta, na którą patrzą moje oczy“). Niezależnie już od rosyjskiego poety, a dorównując mu, umie wreszcie z wielką prostotą

i plastyką oddać rys trafnej obserwacji w porównaniu (drabiny chłopskiej furi w mieście „klekocą mi wspomnieniem bocianich klekotów“), lub wzruszoną apostrofą („odchodzisz, piękne lato, słoneczności złota“). Obok największego wpływu Norwida, którego ekspresję naśladuje aż do kalamburów, a którego postawę dziś on jeden tylko wciela z taką wyrazistością i autentycznością, jedyny to dający się wykazać wpływ. Inne, jak barbierowski gniew tych wierszy, jak tony rozpaczny najprostszych wierszy Błoka czy najbardziej bezosobistych momentów Achmatowej (str. 73) wydają się zbieżnościami, wynikającymi z pokrewieństwa tematyki i postawy, głęboko niezależnej, człowieka, filozofa i poety. Nic nie wiem o nim, poza tą książką wierszy; z poprzedniej kilkunastoletniej twórczości (drukował jeszcze w Przeglądzie Warszawskim) doszły mi tylko przypadkowe i niezbyt wartościowe urywki; podziwiam jego oddalenie od targowiska sławy, dzięki czemu samo poważne potraktowanie jego wierszy śmieszny smarkatych arystarchów, pokornie zgiętych przed każdym kolejnym przedmiotem koteryjnej reklamy.

Odminnym poetą, ale też outsiderem (choć nie tak osamotnionym w świecie literackim, gdy ma poparcie pokrewnego ideowo „Zetu“ i gdy jego twórczość dramatyczna zwróciła uwagę recenzentów) i też nie zadawałającym się, aby dla rymów były jego rymy — jest M. N i ż y ŋ s k i. Zagadnienie jaźni człowieczej w chaosie podświadomości, uparte łowienie *Więciem wieczornym* jej rdzenia, oto dający się wyróżnić temat niektórych wierszy tego pokłóconego z pospolitością poety, trudnego, często niezrozumiałego, nie przez celowo wybraną snobistyczną manierę techniczną, lecz wskutek zawilej metaforyki niedostatecznie uplastyczniającej abstrakcyjne myślenie i metafizyczne przeżycia, albo przez niedość zręczne ukształtowanie pomysłu, „wielkiej metafory“, ukazującej oryginalność i świeżość po pełnem trudu zcalkowaniu myślowem i estetycznem utworu. Nie zawsze to się udaje. Ekspresja groteskowo-naukowa przypomina „kosmiczne“ wiersze Tuwima, może nie tak rozbudowane jako filozofja, ale napewno zawsze chwytające czytelnika, choćby jednym błyskiem wizji poetyckiej, czego tu nie tak wiele: „jestem brakiem wieczystym momentów“ — to chyba dość abstrakcyjne a charakterystyczne zakończenie ostatniego wiersza.

X

Jeśli pominąć momenty satyryczne w utworach, któreśmy już rozpatrywali poprzednio z punktu widzenia walorów „ogólnopoetyckich“, ściślej lirycznych — więc znakomite uciniki aktualne Gałczyńskiego lub wspaniałe gniew Ciesielczuka, spoglądającego na współczesność jak Mojżesz zstępujący z góry Synaj na tonący w grzechu lud Izraelski — satyra w roku sprawozdawczym nie przedstawia się świetnie.

Bajki R. Młynarskiego są bez żadnej wartości, a nawet i sensu; Jur Rawicz posilkując się techniką poetycką Broniewskiego lub sięgając po wzory za granicę wschodnią (Biezymienski) reprezentuje poezję skrajnie lewicowych brukowców; Adam Jaman zwalcza dzisiejszą politykę leśną, argumentując przekonywująco, ale nie nadając swym argumentom kształtu artystycznego, sięgającego choćby poziomowi poprawności w obranym gatunku literackim (bajka). Inną, już choćby objętościowo, powagę posiada wielki zbiór satyr, fraszek, który M. Fredro-Szemбек wydał na 50-lecie swej działalności pisarskiej. *Klasy* odbijają półwieku życia politycznego i społecznego Polski, stanowią jakby prywatną publicystykę szlachetnego i rozumnego weredyka, dalekiego od wyłączności kastowej, czy dzielnicowej: od wyśmiewania prób ugodywoci w zaborze pruskim, poprzez wrogię do zaborców i okupantów uczucia w czasach wojny aż po pełne słusznosci i humoru uwagi o dzisiejszym stanie rzeczy. W tych zręcznych po staroświecku wierszach jest jakiś urok, nietylko samej staroświeckości: przenika je naprawdę, nietylko z nazwiska autora, jakiś duch fredrowski, jakiś niezaprzeczalny *air de famille* od Andrzeja Maksymiljana, woj. podolskiego, poprzez hr. Aleksandra trwający do tego dzisiejszego ich potomka w ostatnim na ziemiach polskich pokoleniu ziemian.

Tylko datą wydania należą do roku sprawozdawczego pośmiertne edycje młodych jeszcze, gdyby do dziś żyli, poetów: K. Mikiewicza hardzo szczupły i niezadawalniający wybór z teki pośmiertnej i z utworów wydanych za życia (często w innej wersji, wbrew oczywistej intencji autora), wybijającego się z pośród rówieśników młodzieńczym rozpędem, z którym doprowadzał do skrajnych konsekwencyj metaforyczność, hiperbolizm i energetyzm, zaczerpnięte w poezji Skamandra, jako *sui generis* „futuryzmu polskiego“; w wierszach tych poprzez brawurową wirtuozeryję stylu, upajającą samego wykonawcę, przebiegała się natura poety, odczuwającego piękno i niestety okrucieństwo świata; oraz zmarłego w 1929 r. A. Kraśniańskiego, nieco banalnego, ale zdolnego satelity współczesnych sobie znakomitych liryków, godnego w każdym razie pamięci przyjaciół, którzy z M. Braunem na czele zebrali rozproszone jego wiersze.

W dziale antologij jest do zanotowania *Poezja Legionów*, w której dość sztucznie, na podstawie identyczności nazwy, połączone zostały utwory poetów-legjonistów z epoki napoleońskiej i z czasu Wielkiej Wojny.

Dział przekładów poetyckich, których omówienie za kilka lat ostatnich odkładałam do następnego Rocznika, może się poszczycić wyborem wierszy Puszkina tłumaczonych przez Tuwima, a wydanych jako hołd wielkiemu poecie w stulecie śmierci.

KAROL ZAWODZIŃSKI

DRAMAT

Bąk W. *Tyberiusz*, dramat w 8 odsłonach. *Prosto z mostu* nry: 4, 6, 7, 8, 9, 11, 12, 13, 14.

Biegas B. *Saturn*. W-wa. D.K.P.

Cwojdzinski Antoni. *Freuda teoria snów*, komedia w 3 aktach. W-wa. Teatr Mały.

Czechowicz J. *Czasu jutrzeznego. Jasne miecze. Obraz. Pion* nry: 188, 211, 220-1.

Donat St. *Mała Kitty i wielka polityka*, komedia w 4 aktach. W-wa. Teatr Małickiej.

Gojawiczyńska P. *Współczesne*, sztuka w 6 odsłonach. W-wa. Teatr Kameralny.

Gronowicz A. *Niedroga recepta*, kompozycja sceniczna. Lwów, Księg. Polska.

Grubiński W. *Domino madame Du Barry*. *Kurier Warszawski* z 27 marca.

Irzykowski K. *Człowiek z pożaru*, dramat w 1 akcie. *Prosto z mostu* nry: 38-43.

Jasnorzevska M. *Nagroda literacka*, komedia w 3 aktach. W-wa. Teatr Nowy.

Łubieński St. *Przedproże*, poemat sceniczny w 3 częściach. Miejsce Piastowe.

Madler A. *Droga*, dramat w 3 aktach. W-wa. Hoesick.

Niewiarowicz R. *Gdzie diabeł nie może...* Komedia w 3 aktach. W-wa. Teatr Letni.

Nowaczyński A. *Cezar i człowiek*, sztuka w 3 aktach z epilogiem. W-wa. Teatr Polski. G. i W.

Nowakowski Z. *Gałązka rozmarynu*, pięć obrazów z życia plutonu. W-wa. Teatr Narodowy, Książnica-Atlas.

Plaźek F. *Ifigeneja*. Kraków. G. i W.

Rostworowski K. H. *Pisma tom II (Nie spodzianka, Przeprowadzka, U mety)*. W-wa. Hoesick. — *Czerwony marsz*. Kraków. Zw. Zaw. Lit. Pol.

Rudnicki A. *Młokos. Pion i I.K.C.*

Grzymała-Siedlecki A. *Ormianin z Beyrutu czyli Same zmartwienia*, komedia w 3 aktach. W-wa. Teatr Letni.

Morozowicz-Szczepkowska M. *Walący się dom*, sztuka w 3 aktach. W-wa. Teatr Mały.

Szukiewicz M. *Na wymowie*, dramat z życia ludu w 4 aktach. Kraków. Ebert.

Szymberski T. *Sądy*, kompozycja sceniczna. W-wa. D.K.P.

Zawieyski J. *Powrót Przełęckiego*, sztuka w 3 aktach. W-wa. Teatr Narodowy. — *Portret Łukasza*, sztuka w 3 aktach. Poznań. Teatr Nowy.

TYŁKO DZIESIĘĆ PREMIER W CIĄGU ROKU, POZIOM dobry, parę niezłych sensacji, debiut tylko jeden, i to dramatyczny, a nie literacki (Gojawiczyńska), natomiast sporo dramatów drukowanych bez wystawienia.

Zacznijmy od pań. Największy sukces moralny osiągnęła Maria Morozowicz-Szczepkowska swoją 3-aktową sztuką *Walący się dom*. Jest to krytyka szlacheckiego, napisana z pasją i znawstwem przedmiotu. Wali się dworek hrabstwa Rakuskich, wali się fizycznie i duchowo. Niszczy go beznadziejny konserwatyzm, niedołęstwo i rozkład wewnętrzny, bo wszyscy wzajemnie się żrą, każde chce odlecieć gdzie indziej i nie ma nikogo, kto by połączył rozbieżne interesy. Stary, chory hrabia nie uprawia ziemi, nie naprawia domu, nie płaci podatków, wyprzedaje grunt kawałkami ludziom z miasta i pieniądze chowa przed dziećmi. Jego syn, trzydziestoletni nicpoń, dziwkarz, żyje z brydza, marzy o posadzie w M.S.Z. i czyha na poważną partię; dwie córki nie wyszły za mąż wskutek przesądów ojca i synalka, — jedna się uniezależniła, zakładając własne przedsiębiorstwo, druga gnije w domu, rywalizując nieszczęśliwie w pielęgnowaniu ojca-tyrana z obcą pielęgniarką, intruzką, która się chce wydać za hrabiego. Jest jeszcze wujaszek, demokrat, który mając swój udział w majątku, rad by go rozparcelować między chłopów. Ten wujaszek jest dźwignią ekspozycji: przyjeżdża w I akcie i przed nim kolejno mieszkańcy walącego się domu rozwijają swoje sytuacje indywidualne, które składają się razem na dobitny przekrój społeczny. W snuciu właściwego dramatu okazała autorka mniejszą zręczność niż w ekspozycji. Nie wujaszek jest sprężyną dalszej akcji, lecz pielęgniarka: gdy stary skąpiec się z nią zaręcza, protestują przeciw temu dzieci, rodzina rozprzęga się jeszcze bardziej. Ale to nie jest ten *coup de foudre*, który by wynikał z założeń sztuki; raczej ma się wrażenie, że oś sztuki się przesunęła, bo autorka, humanitarystka i feministka, zajęła się ubocznie obroną prawa staruszków do szczęścia.

Przekrojem społecznym są także *Współczesne*, sztuka w 3 aktach (6 odsłonach) Poli Gojawiczyńskiej, ale tu chodzi o pewien typ kobiet: jak sobie dziś dają radę z miłością i z utrzymaniem. Janina wdepnęła w „niedobrą miłość”; później zaś mając do wyboru: zostać u dawnego kochanka filuta, a nowego zaniedbać, przewycięża się, śpieszy do tego drugiego, porządnego, gdzie jest prawdziwe uczucie i pewny a ciepły kącik. Jej siostra Maria, zostawszy, z rozmysłem, kochanką swego szefa, oszczędza i wkłada potem pieniądze w przedsiębiorstwo krawieckie, ratując przy tym z opalów porzuconą przez męża krawczynię. Grono solidnych niewiaśc powiększa Kryśka, córka krawczyni, dotychczas łobuz, ale od katastrofy z ojcem przemieniona, do-

brych postanowień pełna. — Realizm tej sztuki nie ma w sobie nic bojowego, jest szary — szarzyzną programową i nie-programową.

Gdy w obu powyższych sztukach przeważa technika powieściowej raczej jukstapozycji (równorzędne wątki, tzw. wielopłaszczyznowość, eksten-sywność zamiast intensywności), *Nagroda literacka*, 4-aktowa komedia Marii Jasnorzewskiej, regularnej dostawczyni naszych teatrów, jest sztuką normalną, ma zawiątek, rozwój i akcję. Utalentowany literat Klemens zdobył nagrodę za nowelę, lecz że jest wrażliwy i delikatny, woli nie zdradzać swego incognita i podstawia na swoje miejsce przyjaciela Albina: on będzie dawał firmę książkom Klemensa i wydębiał wyższe honoraria. Ale ta mistyfikacja się mści: Albinowi urasta tupet, zaczyna sam pisać, i także zdobywa nagrodę i to nawet za powieść. Między nimi dwoma balansuje panna Tasia, wychodzi za mąż za uwięzionego powodzeniem Albina, lecz gdy ten w nocy poślubnej zamiast kochać, tryska pomysłami literackimi i dyktuje je maszynistce — Tasia przerzuca się do Klemensa. Ta scenka miała być komiczna, lecz jest tylko dziwaczna; postacie obu literatów niejasne, nie dociągnięte, niekonsekwentne, satyra na publiczność, na kanciarzy w literaturze, czy na sławę literacką — banalna.

Z mężczyzn po starszeństwie pierwsze miejsce należy się Adolfowi Nowaczyńskiemu, który wystąpił z 3-aktową sztuką *Cezar i człowiek*. Cezar to Cezar Borgia, a człowiek to Kopernik; czyli: tyran i uczony. Cezarowi nie podobają się herezje astronomiczne Kopernika, jego naiwna prawdomówność, widzi też sympatię swej siostry Lukrecji do niego, więc osacza go, chce go terroryzować, łamać. Uczony nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa; z opresji ratują go Lukrecja i kardynał Farnese, skłaniając go do ucieczki z Włoch do Polski. Jest pewien nurt publicystyczny w tej sztuce, głównie jednak podobała się ona jako barwne i umiejętne malowidło historyczne, trochę przeciążone erudycją, ale pełne scenek i sylwetek charakterystycznych z epoki Odrodzenia. Akcja jest wciąż zajmująca, niekiedy dramatyczna. Nowaczyński jest specjalistą od zetknięć kulturalnych lub narodowościowych (w *Wiosnie ludów* mieszanina polsko-czesko-niemiecka, w *Nowych Atenach* konfrontacja polskiej kultury z amerykańską); tutaj zetknięcie Polski w Włochami wypadło ciekawie.

Ormianin z Beyrutu czyli *same zmartwienia*, 3-aktowa komedia Adama Grzymały Siedleckiego, jest sztuką po molierow-

sku charakterologiczną. Kupiec Naskardzian, Ormianin, wciąż wahał się między namiętnością do swej drugiej żony, lekkomyślnej i rozpustnej Marty, a namiętnością do robienia interesów kupieckich, choćby nawet dwuznacznych i choćby nawet z kochankiem Marty, zamaszystym łotrem Jemielem, Czeczeńcem według narodowości. W Jemielu kocha się także Lidia, córka kupca z pierwszego małżeństwa, choć wie, że on romansuje z macochą. Martę spotyka „kara”: kochanek puszcza ją w trąbę, ale mąż przyjmuje ją z powrotem. Chociaż tło wschodnie — występują także Egipcjanie, Grecy i Żydzi — nadaje namiętnościom osób tej sztuki trochę odrębne formy, zdobi je w specjalne ornamenty anegdotyczne, ale rzecz w końcu wraca do znanego i w Europie refrenu: tu interes, a tam serce. Zakończenie, zamiast uwydatnić jeszcze raz główny charakter w nowym refleksie, jest zewnętrzne: Ormianin, wciąż narzekający na „same zmartwienia“, okazuje się szczęściarzem: żona wraca, Czeczeńca zabito, a konkurenci zostali okpieni. Zresztą, sztuka jest obrotna i nadziana wesołymi niespodziankami.

Wielki sukces kasowy odniosła 5-aktowa sztuka Zygmunta Nowakowskiego *Galęzka rozmarynu*, przynosząca sceny ludowe i obozowe z życia legionów w 1914 r. Leguny w Oleandrach, leguny w Kielcach, leguny w polu — te trzy pierwsze akty są wyborne. Z różnych kawałków wojskowych zrobił autor tęgą zupę, chwilami osiągając sentyment patriotyczny wysokiej miary. Nowy *Kościuszko pod Racławicami* — tak oceniono tę *Galęzkę*. W dalszych aktach miały te wszystkie sympatyczne sprawy przejść w krąg wyższy: z daleka pokazuje się postać Piłsudskiego. Co tych ludzi łączy z Piłsudskim? Posłuszeństwo, miłość, wiara. Sami mówią: On jeden wie! Ta beztroskliwość duchowa pozbawia sztukę wyższej sankcji dramatycznej.

Drugim walnym sukcesem sezonu była *Teoria snów Freuda*, 3-aktowa komedia Antoniego Cwojdzńskiego. Jest to, podobnie jak *Teoria Einsteina* i *Epoka tempa* tegoż autora, sztuka pedagogiczna, obciążona balastem naukowym, gdyż chce przeplatać wykład — dość powierzchniowy — zabawą — niezgorszą. W pierwszych dwóch aktach mamy skecz psychologizujący, żywy, zręczny i dowcipny. Żywość swoją zawdzięcza po części temu, że już sam freudyzm ma w sobie żywioł dramatyczny, dzieli ludzi na odgadywaczy i odgadywanych, tak jak romanse detektywiczny dzieli ich na agentów i złodziei. Odgadywaczem jest On, literat, analizujący Oną, aktorkę, — głównym jego materiałem są jej

sny, jej zapomnienia i przeoczenia. Przez zapomnienie nie poszła na schadzkę ze swym narzeczonym Władkiem, oficerem, — więc widać nie kocha go. W trzecim akcie Ona, przestudiowawszy nieco Freuda, rewanżuje się panu literatowi, zasypuje go terminami freudowskimi i swoimi odkryciami, wśród których to jest najważniejsze i dla obojga ponieważ niespodziewane, że On kocha się w Niej — po czym następuje pocałunek. Rzecz kończy się swawolnym wyskoczeniem ponad Freuda: literat stwierdza, że analizując, można sobie naciągać wypadki z życia, jak się komu podoba. Szkoda, że tego nie trzymał się sam autor, gdy kreślił symptomy narastającej miłości obojga: te symptomy trzymają się ściśle Freuda, a nie zwykłego życia. Jest np. to, że On chcąc — niechcąc wypalił papierosem dziurę w fotografii jej narzeczonego, że zaadresował mylnie jej list, tak, aby do Władka nie doszedł, — więc zażdrość; ale nie ma takich normalnych objawów, jak żeby Jej ofiarował kwiatek, lub żeby w ich rozmowie powstawały drażliwe pauzy itp. W ogóle miłość jest najsłabszą stroną dzisiejszej dramaturgii, zastępuje ją erotyzm. — W każdym razie sztuka, pomimo wątpliwości, oryginalna.

Również oryginalnym, i również pomimo oparcia się o gotowy podkład, jest *Powrót Przełęckiego*, 3-aktowa sztuka Jerzego Zawieyskiego. Jest to dalszy ciąg *Przepióreczki* Żeromskiego, zarazem jakby jej rewizja. Przełęcki, wracając po 10 latach do Porębian, przekonuje się, że jego poświęcenie się nie wydało takich plonów, jakich się spodziewał. Dorota Smugoniowa już po roku odgadła jego grę i pokochała go tym mocniej; szukała go daremnie, a nie znalazłszy, wróciła do męża, ale już zupełnie dla niego obca. Smugon dotrzymał przysięgi, robił za dzieśnięciu pracę w instytucie regionalnym w Porębianach, ale znienawidził i tę pracę i tę ideę, zwłaszcza zaś Przełęckiego — jest nieszczęśliwy. Sam instytut zaś przeżywa chwile przełomowe. Księżniczka już nie popiera go materialnie, a sama idea regionalizmu, zdaniem większości pedagogów, przeżyła się; wojewódzki Związek Młodzieży Wiejskiej pragnie stworzyć we wsi, a nie w zamku, stały internatowy uniwersytet wiejski. Rzecznikiem tej nowej idei jest mgr. Gabryś, człowiek z niezniszczalnej w Polsce rasy Przełęckich, idealistów i założycieli, — on to podważa dzieło Przełęckiego, czując w nim jakiś fałsz wewnętrzny. Jednak po rozmowie z Przełęckim — najlepsza scena w sztuce — sam obejmuje po nim spadek ideowy. Przełęcki zwalnia Smugonia z przyrzeczenia, przezwycięża jeszcze raz swoją miłość do Doroty i odjeżdża. — Sztuka po-

ważna, lecz daleka od kongenialności z Żeromskim; mozolnie szuka wybrnięcia z ciężkich zadań, których podjął się autor, — lub które sam ciężkimi uczynił.

Druga sztuka tegoż niestrudzonego Jerzego Zawieyskiego, wystawiona w Poznaniu, ma tytuł *Portret Łukasza*, w 3 aktach. Jest to ten sam typ dramaturgii, co *Powrót Przełęckiego*, nazwijmy ją retrospektywną, to znaczy roztrząsającą przeszłość. I zwykle w takiej przeszłości jest jakiś mord: w *Powrocie* duchowy, w *Portrecie* dosłowny. Ibsen w takich sztukach celował. Chróścik, za czasów swego pobytu w Ukrainie sowieckiej brał udział w spisku kontrrewolucyjnym, organizowanym przez majora Łukasza Narlotta, lecz potem, gdy władze wpadły na trop spisku, z tchórzostwa zdradza Łukasza i sam go zabija. Po powrocie do Polski robi karierę urzędniczą, zostaje wysokim dygnitarzem — tu rozpoczyna się sztuka. Rząd chce sprowadzić zwłoki Łukasza do kraju i powierza tę misję Chróścikowi jako jedynemu, który był towarzyszem Łukasza. W domu Chróścika zawisa portret zmarłego, Chróścik godzinami weń się wpatruje. Wyrzuty sumienia przybierają w jego duszy osobliwą formę: trafi go „kompleks gorszości“, bo wobec Łukasza czuł się zawsze zerem, ale obok tego samo zajmowanie się osobą nieboszczyka podnieca go i rozmarza, sam chciałby być teraz bohaterem, zginąć za jakąś ideę. Aby ten główny motyw wzbogacić, wprowadza autor paralele i kontrasty: jest np. brat Łukasza Andrzej, który swego czasu w Rosji wyparł się Łukasza, a później z zazdrości zabił swego towarzysza z grupy „udarników“; jest syn Chróścika, Marek, człowiek silnej woli, który wbrew ojcu, zadaje się z komunistami. Ostatecznie Chróścik wyznaje swą winę Markowi, lecz budzi w nim tylko wstręt, nie litość. I ta sztuka pełna zawikłań psychologicznych i poszukiwania głębszego sensu zdarzeń obiecuje więcej niż ziszcza.

Trzyaktowa komedyjka Romana Niewiarowicza *Gdzie diabeł nie może...* na wzór fars amerykańskich wielbi tupet, z jakim pomysła sekretarka robi reklamę i klientelę skromnemu lekarzowi. — Jak poprzedniego roku, tak i tego, zdarzyła się sztuka o podejrzanym pochodzeniu: 4-aktowa komedia Stefana Donata (?) *Mała Kitty i wielka polityka*. Światowa konferencja gospodarcza, a na jej tle naiwna i uroczą manicurzystka, która by chciała podpatrzeć tajemnice mężów stanu. Sztuka sprytna, międzynarodowa, nie wyrosła chyba w polskich warunkach.

Z dość obfitej dramaturgii drukowanej wymienić należy na pierwszym miejscu drugi tom zbiorowych dzieł K. H. Rostworowskiego, zawierający trylogię: *Niespodzianka*, *Przeprowadzka* i *U mety*. Pozostaje do wydania jeszcze jeden tom, który by zawarł *Zmartwychwstanie*, *Straszne dzieci* i utwory pomniejszych, oraz essaye. Osobno wyszedł jego *Czerwony marsz*, poemat dramatyczny wierszem, świadczący, że Rostworowski jako dramaturg doskonalił się do ostatka. Jest to pełna rozmachu synteza rewolucji francuskiej, lapidarna w charakterystykach, oparta na wizji teatralnej: w głębi gilotyna jako drzwi do wieczności, po jej obu stronach stoją nieruchomo Talleyrand i Cambacérès jako ci, którzy wszystko przetrwali, a ku niej sunie po kolei kilka pochodów: najpierw król ze swą świtą, potem Żyrondyści, potem Dantonieści, potem Robespierre ze swoimi, a w końcu przychodzi z wojskiem Napoleon. Świetne i mimo swej nieautentyczności bardzo trafne są przemówienia skazańców. Autor, jako prawdziwy dramaturg, każdą stronę wyposaża swoją wymową, sam zachowując postawę sceptyczną, znaną z *Miłosierdzia*: da capo al fine... gdyż los historyczny oglądany z tej perspektywy, ma w sobie coś z mechanizmu i z teatru.

Obok syntezy Rostworowskiego można postawić Wacława Grubińskiego pars pro toto: *Domino Madame du Barry*, jednoaktówkę, która daje tylko jeden epizod z tejże rewolucji. Rzecz dzieje się w r. 1793 w więzieniu Conciergerie, arystokraci grają ze sobą, oczekując śmierci, incognito przesuwają się między nimi Robespierre, — ładne rycerskie gesty służą im do ostatniej chwili.

Skoro mowa o dramacie historycznym, trzeba wskazać na nowy cenny nabytek: na *Tyberiusza*, dramat w 8 odsłonach, napisany przez poetę lirycznego Wojciecha Bąka. Po *Proteście* tegoż autora, *Tyberiusz* jest stopniem wyższym. Uderza zwięzła, logiczna budowa dramatu i dobitny dialog. Podobnie jak w *Proteście*, tak i tu zaznacza się wyraźnie tendencja nowoczesna: przeciw tyranii dyktatorskiej, a za wolnością. W dialogach między cezarem Tyberiuszem a uczonym Nerwą roztrząsa się pro i contra; cesarz chce potężnego Rzymu i kieruje się zasadą, która dziś opiewa: wszystko dla ludu, nic z ludem, — Nerwa obstaje przy przywilejach jednostki. Trochę schematyczne to jest, ale dialektyka ucieleśniona się też w faktach, aż w końcu Tyberiusz, mordowany przez siepaczy swego następcy, woła: Nerwo, zwyciężyłeś! Postać Tyberiusza mocna i wspaniała, godna, by ją zagrał wielki aktor; świetnie naryso-

wany jest też dziecinny i tchórzliwy Kaligula, zapowiadający nową odmianę cezaryzmu.

Klasycyzująca *Ifigeneja* Feliksa Płazka jest transkrypcją *Ifigenii w Aulidzie* Eurypidesa. Autor nie ma ambicji Giraudoux czy Hofmannsthal'a, aby temat modernizować, raczej go tylko porządkuje. Charakterystyczne jest, że na końcu odpada eurypidesowski happy end tj. opowiadanie o ocaleniu Ifigenii przez boginię, rzecz kończy się na tym, jak Ifigenia żegna słońce; lecz już Schiller, adaptując tę Ifigenię, tak samo postąpił.

Drugi poeta liryczny, Józef Czechowicz, nie dąży do dramatu normalnego jak W. Bąk; jego trzy miłe miniatury dramatyczne, pisane prozą (*Czasu jutrzeźnego*, *Obraz*, *Jasne miecze*) nie wytwarzają napięć na dłuższą metę, bo autorowi to niepotrzebne, bo przecież każdej chwili dokonuje się w życiu coś samostarczalnego, niezwykłego, ostatecznego. Ma on swój światek statyczny, w którym panują: dobroć, przebaczenie, miłość i wyrażają się z tklivością prawie wyrafinowaną, żyją pięknymi refleksami, opowiadaniem, marzeniami, nawet uczynkami. Świątek to irrealny czy nadrealny, nawet gdyby w nim nie było pierwiastka fantastycznego, a jest i on w skromnej, nie natrętnej mierze. Ta pozycja w tegorocznym dorobku dramaturgicznym jest cenna: świadczy ona, że dramat może być zapłodniony nie tylko od strony powieści, lecz i od strony liryki.

Po powieściowemu właśnie wziął się do dramatu Adolf Rudnicki, młody autor ciekawych powieści *Szczury* i *Niekochana*. Jego dramat *Młokos* jest historią młodzieńca, który będąc bardzo sympatycznym dla kobiet i mężczyzn, mimo to, wszędzie wywołuje katastrofy. Mając stosunek z cudzą żoną, przychodzi do jej męża i prosi go, żeby go zabił, — jednak w wyniku tej sceny zabija się mąż. Pewna dziewczyna zabija się przez niego, wyskakując przez okno; przez to samo okno wyskakuje później bohater sztuki, skłoniony do tego przez brata samobójczy, który go lubił. Tym niesamowitym wydarzeniom towarzyszy dialog bardzo ekscentryczny: osoby mówią tak jak się pisze listy, pamiętniki lub analizy powieściowe, długo, wnikliwie, często gubią się w gąszczu wzajemnych oskarżeń i usprawiedliwień. Autor chciałby się wypowiedzieć cały; stworzył rzecz niepraktyczną, nawet nieudolną, lecz dał przykład szczerości twórczej takiej, jaką historia dramatu notuje w okresie „burzy i pędu“, w ekspresjonizmie.

Dwa debiuty. — *Adama Madlera Droga* jest sztuką tego samego retrospektywnego typu co *Portret Łukasza*, lecz wątlesza, a przy tym za słabo osadzona w realiach. Żarnecki, dyrektor fabryki, nie wiadomo jakiej, kazał podpalić fabrykę swego konkurenta, nie z chciwości zysków, lecz dlatego, że tamten był lubiany, a on nie. Po takich precedensach małżeństwo między córką Żarneckiego a synem owego zniszczonego rywala nie przychodzi do skutku, córka aż popada w obłąkanie, ojciec oddaje się w ręce sądu. Historia kryminalistyczna, mimo dyskretnego unikania kropek nad *i* przez autora. — W przeciwieństwie do *Drogi* sztuka Antoniego Gronowicza *Niedroga recepta* jest tak współczesna i pełna fachowych, dokładnych realiów, że aż zakrawa na pamflet. Uscenizowane są w niej dzieje pewnej instytucji, zajmującej się dołą bezrobotnych; nadmiar biurokratyzmu, ankiet, planów, nadmiar dobrych chęci, żeby sanację zrobić jak najlepiej, więc przed rzeczą główną jeszcze to, tamto i owo — sprawa, że środki przytłumiają cel zupełnie. Autor wyczuwa dobrze i świeżo mechanizm dziania się społecznego, ma namiętność, humor, werwę — słowem talent, który by się zapewne pokazał i na scenie, gdyby nie rewolucyjne akcenty tej satyry.

Jest jeszcze — i tak bywa co roku — spora grupa utworów dramatycznych jakby zabłąkanych w dzisiejszym świecie, fantastycznych, lecz tą fantastyką, która jest ułatwieniem a nie kwiatem twórczości poetyckiej. Posługują się starą symboliką młodopolską, wyspiańszczyzny w nich pełno, a zawsze chodzi o jakieś zwycięstwo „ducha“ w czwartym wymiarze. Bez wartości są *Sądy*, kompozycja sceniczna Tadeusza Szymberskiego; nieco mniej monotonne jest *Przedproże*, poemat sceniczny — misterium w 3 częściach Stefana Łubieńskiego (z ilustracjami autora), w którym akcją kieruje Jędza-Przędza, a oprócz „osób życia na ziemi“ występuje jeszcze 18 osób „świata nadzmysłowego“ jak: Jurana — istność anielska, Olbrzym — mrok, księżę Ciemności, Potwór-zima, Łży-jar, Duch płomienisty itp., niektóre z tych osób są tylko obocznymi postaciami innych. Interesujące by było zestawienie tej dawnej fantastyki z fantastyką I. S. Witkiewicza lub Czechowicza. Najbliższy formistycznych kombinacji Witkiewicza jest B. Biegas (dość znany rzeźbiarz polski, żyjący w Paryżu) w swoim *Saturnie* (dzieje życia na planecie Saturn w 8 obrazach). Są tu takie wynalazki jak „promienie torpowiwów“, jak „osaczyłeś woturami moje ciało“: tylko że jak na formizm poza tymi fantazmatami tkwi — że użyję terminu

Witkiewicza — „za dużo sensu“. Plastycznej wyobraźni dowodzą niektóre sceny, lecz zasila się ona przeważnie — z nowoczesnych powieści sensacyjnych à la *Więzień na Marsie* i *Niewidzialni*. Schemat: dobry Alikord w walce z demonicznym Arianem, czyli złym duchem, pozostaje młodopolski.

O sztuce głośnego za czasów Młodej Polski pisarza Macieja Szukiewicza *Na wymowie*, obrazującej wyzyskiwanie chłopa przez żyda karczmarza, nie piszemy, gdyż napisana przed laty, była już grana za dwoma nawrotami, a teraz dopiero wyszła w druku.

KAROL IRZYKOWSKI

POWIEŚĆ

- André L. *Czad.* W-wa. Płomień.
- Anselm K. *Klepsydra.* W-wa. Hoesick.
- Badowska I. *I to minie.* W-wa. Wydawn. Współczesne.
- Balicki S. *Ludzie na zakręcie.* Poznań. Dippel.
- Bandrowski J., Kaden. *Droga wolności. — Piłsudczycy.* Wyd. nowe. — *Czarne Skrzydła.* I: *Lenora.* Wyd. 3-cie. II: *Tadeusz.* Wyd. 2-gie. W-wa. Gebethner i Wolff.
- Berent W. *Diogenes w kontuszu.* W-wa. Gebethner i Wolff.
- Bieniasz J. *Wilki wyją.* Lwów. Leopolia.
- Boguszevska H. *Świat po niewidomemu.* Wyd. 2-gie. W-wa. Przeworski — *Ci ludzie.* Wyd. 2-e. W-wa. Rój.
- Boguszevska H. i Kornacki J. *Polonez.* II: *Deutsches Heim.* W-wa. Nasza Księgarnia.
- Braun R. *Manekin Nr. 6.* W-wa. Arct.
- Brzostowska J. *Kobieta zdobywa świat.* W-wa. Hoesick.
- Bulhak J. *Dom.* Wilno. Przegląd Fotograficzny.
- Choynowski P. *Opowiadania szlacheckie.* W-wa. Gebethner i Wolff.
- Chrzastowski Z. *Górne i durne.* W-wa. Rój.
- Cieszkowska Z. (Sariusz). *Krzyk życia.* Wyd. 3-cie. W-wa. D. K. P.
- Czekalski A. *Syn Południa.* Toruń. Biblioteka Słowa Pomorskiego.
- Czekalski E. *Stare sztandary.* W-wa. Płomień.
- Czekańska-Heymanowa R. *Maria Kaler-gis.* W-wa. Hoesick
- Czuchnowski M. *Cynk.* Kraków. Księgar-nia Powszechna.
- Dalborowa R. *Pedicurzystka z zasada-mi.* W-wa. Rój.
- Daniłowski C. *Przerwana chwila.* Wyd. nowe. Drukarnia Bankowa.
- Dąbrowska H. M. *Jej Bóg.* W-wa. Hoesick.
- Dąbrowski J. *Na zachód od Zanzibaru.* W-wa. Przeworski.
- Dembicz W. *Pokój.* Wyd. 2-gie. W-wa. Sarmacja.
- Dębczyński A. *Haszysz czarnego lądu.* W-wa. Rój.
- Drewnowska A. *Pod jednym dachem.* W-wa. Polska Agencja Publicystyczna. — *Katastrofa.* Wilno. Gazeta Wileń-ska.
- Drzewiecki M. *Biała Chryzantema.* Łódź. Republika.
- Dzimicz B. *Skaza marynarska.* W-wa. Rój.
- Garuda. J. *Pod powierzchnią życia.* Kra-ków. Lotos.
- Goetel F. *Pątnik Karapeta.* Cyprian Czyż. — *Kar-Chat.* Wyd. 4-te. W-wa. Gebethner i Wolff.
- Gojawczyńska P. *Rajska jabłoń.* — *Zie-mia Elżbiety.* Wyd. 2-gie. — *Dwoje ludzi.* W-wa. Rój.
- Gombrowicz W. *Ferdydurke.* W-wa. Rój.
- Górska H. *Nad czarną wodą.* Wyd. 4-te. — *Słepa tory.* W-wa. Rój.

- Grochowska W. *Biała róża*. Łomża. Biblioteka Dobrych Książek.
- Gwiazdowski K. *Tajemnica skarbcu bankowego*. Toruń. Bibl. Uniwersalna.
- Harlender Z. *Czciociele Dadźbóg Swarożyca*. W-wa. Biblioteka Polska.
- Hulewicz J. *Córa Oxyoronu*. W-wa. 1936. D. K. P. — *Szaruga*. W-wa. Hoesick.
- Iwaszkiewicz J. *Młyn nad Utratą*. Wyd. 2-gie. W-wa. Gebethner i Wolff.
- Jabłonowska H. K. *Burżujka*. W-wa. Hoesick.
- Jankowska J. *Pudielko czekoladek*. W-wa. D. K. P.
- Jankowski C. K. *Sto procent. — Sieć z czerwonej przędzy*. Łomża. Biblioteka Dobrych Książek.
- Janowski J., Strzemię. *Karmazyny i Żuliki*. W-wa. Hoesick.
- Jarecka G. *Ludzie i sztandary. I: Ojcowie*. W-wa. Hoesick.
- Jezierski E. *Nieznani żołnierze*. W-wa. Biblioteka groszowa.
- Junosza T. J. *Mgła nad Sekwaną*. W-wa. Rój.
- Jurkowski Z. *Księżycowe interesy*. W-wa. Rój.
- Karczewska W. *Ludzie spod żagli*. W-wa. Biblioteka Polska.
- Karski Z. *Jasna główka*. Toruń. Bibl. Dobrych Powieści.
- Kasterska M. *Na zamku milczenia*. W-wa. Hoesick.
- Kawczyński A. *Dannemora*. Poznań. Dippel.
- Kędziora J. *Marcyna*. W-wa. Rój.
- Kiedrzyński St. *Słońce za chmurą*. W-wa. Trzaska, Evert i Michalski.
- Kiewnarska J. *Droga Heleny*. W-wa. Hoesick.
- Kisielewski J. *Powrót*. Poznań. Księgarnia Św. Wojciecha.
- Kłosowski J. *Uroczysko*. Poznań.
- Kobylińska E. *Niespodzianki małżeństwa*. W-wa. Rój.
- Koryzma J. *Przygoda w Zakopanem*. Łódź. Republika.
- Korczakowska J. *Miłość Marty*. Poznań.
- Kosela R. *Sandomierka*. Poznań. Księgarnia Św. Wojciecha.
- Kossak Z. *Bursztyny*. Poznań. Księgarnia Św. Wojciecha. — *Legnickie pole*. Wyd. 2-gie. W-wa. Rój. — *Król trędowaty*. Poznań. Księgarnia Św. Wojciecha. — *Szukajcie przyjaciół. — Wielcy i mali*. Wyd. 2-gie. W-wa. Rój. — *Bez oręża. — Krzyżowcy*. Wyd. 2-gie. Poznań, Księgarnia Św. Wojciecha. — *Szałeńcy Boży*. W-wa. Rój.
- Kostecki M. *Zdemaskowany*. Toruń. Bibl. Uniwersalna.
- Krajewski Z. *Nowoczesna konkwestadorka*. W-wa. Hoesick.
- Kruczkowski L. *Sidla*. W-wa. Gebethner i Wolff.
- Kryszand J. *Akademia urwipolcia*. Kraków. Nauka i Sztuka.
- Krzewiński J. *Precz z cywilizacją*. W-wa. Hoesick.
- Kudliński T. *Rumieńce wolności*. W-wa. Rój.
- Kuncewiczowa M. *Dni powszednie państwa Kowalskich*. W-wa. Rój.
- Leszczyńska-Mittelstaedt M. *Bratowa z kabaretu*. W-wa. Rój.
- Lipkowska H. *Wielki las*. Poznań. Bibl. Dziennika Poznańskiego.
- Liwska A. *Róża Sewilli*. Łódź. Republika.
- Lubierzyński F. *Miłość z magicznego lustra i inne niesamowite historie*. W-wa. D. K. P.
- Ludwak A. *Gdy masz latarnię lila*. Kraków. Udziałowa Spółka Wydawnicza.
- Łakomy L. *Kwiaty na haldach*. Katowice. Mikulski.
- Łopalewski T. *Prawo przyjaźni*. Poznań. Dippel.

Łubieńska J. A. *Magdalenka*. W-wa. Spo-
ciński. — *Macocha*. W-wa. Płomień.
Łuczyńska M. *Dalekie światła*. — *Młoty
nad kowadłem*. — W-wa. Wydawnic-
two Współczesne.
Łukasiewicz. St. *Glód niezaspokojony*.
W-wa. Hoesick.
Malewska H. *Żelazna korona*. Lwów.
Książnica-Atlas.
Marczewski M. *Dwa światy*. Łomża. Bi-
blioteka Dobrych Książek.
Marczyński A. *Krwawy taniec hiszpań-
ski*. W-wa. Cenna biała krew. W-wa.
— *Bezgłośny piorun*. W-wa. Gebethner
i Wolff.
Marlicz. J. *Hotel na wodzie*. W-wa. Rój.
— *Dzicy ludzie*. Poznań. Księgarnia
Św. Wojciecha. — *Bezdroża*. Lwów.
Książnica - Atlas.
Mazurek A. M. *Ulica*. W-wa. Nowe Wy-
dawnictwo.
Meissner J. L. — 59. — *Hańbiący czyn
porucznika Herberta*. W-wa. Rój.
Mikulska M. K. *Odwet*. W-wa. Hoesick.
Mikulski K. *Tajemniczy ślub*. Toruń. Bi-
blioteka Uniwersalna.
Miłaszewska W. *Stare kąty*. — *Święty
wiąz*. Poznań. Księgarnia Św. Wojcie-
cha. *Kaczęta*. Łomża. Biblioteka Do-
brych Książek.
Miszek H. *Trędowata*. — *Ordynat Mi-
chorowski*. Wyd. nowe. W-wa. Arct.
Morcinek G. *Inżynier Szeruda*. W-wa.
Rój. — *W najmłodszym lesie*. Cieszyn.
Drukarnia Dziedzictwa.
Morton J. *Spowiedź*. W-wa. Rój.
Mostowicz T. Dołęga. *Znachor*. — *Osta-
tnia brygada*. Wyd. 3-cie. — *Trzecia
pleć*. Wyd. 3-cie. — *Ich dziecko*. —
Znachor. Wyd. 2-gie. W-wa. Rój.
Nałęcz. J. *Dzieweczyna z za morza*. Łódź.
Republika.
Nałkowska Z. *Dom nad łąkami*. Wyd.
2-gie. — *Choucas*. Wyd. 2-gie. Lwów.
Książnica-Atlas.

Nasielski A. *Szpieg mimo woli*. — *Minus
trzy*. — *Piąty temat*. W-wa. Nowa Po-
wieść. — *Dyktator zwariował*. W-wa.
Gebethner i Wolff. — *Mąż „na ga-
pę”*. — *Wielka nagroda*. Łódź. Repu-
blika
Nittman T. M. *Miłość Fatiny (Mój przy-
jaciół Igor)*. Lwów. Leopolia.
Nowakowski Z. *Wymarsz*. Wyd. nowe.
Kraków. Tow. Szkoły Ludowej.
Nowiński S. M. *Wojna z czasem i inne*.
W-wa. D. K. P.
Oleski J. *W kleszczach wampira*. W-wa.
Księgarnia Komisowa.
Orłowski H. *Krystyna. Przez miłość na
katogę*. — *Antonio Korteż, obrońca
pokrzywdzonych*. W-wa. Dobra Po-
wieść.
Orwid J. *Zagadka Błękitnej Gwiazdy*.
Łódź. Republika.
Osiecka A. *Krzyż na piaskach*. W-wa.
Biblioteka Polska.
Ossendowski F. A. *Szanchaj*. Poznań. Wy-
dawnictwo Polskiej. *Młode wino*.
W-wa. Dziennik Poranny.
Parandowski J. *Król życia*. Wyd. nowe.
W-wa. Rój.
Parnicki T. *Aecjusz, ostatni Rzymianin*.
W-wa. Rój.
Paślowski St. ks. *Tajemnica sieroty*.
W-wa. Kronika Rodzinna.
Pawłowski E. *Chocholowscy*. I: *We
mgłę świtu*. W-wa. 1934. II: *Burza
nadciąga*. Kraków. 1936. III: *Kurnia-
wa*. Kraków. Zarząd Główny Związku
Podhalan.
Piasecki S. *Kochanek Wielkiej Niedź-
wiedzi*. W-wa. Rój.
Piętaś St. *Młodość Jasia Kunefala*.
W-wa. Hoesick.
Pobóg St. *Urzeczeni*. W-wa. Hoesick.
Popiel Wł. Sulima. *W sidłach diabła*.
Wyd. 2-gie. Lwów. Biblioteka Religij-
Radziejowski L. *Podola pani*. Łomża
1936. Sprawa Katolicka.

- Raganowicz L. *Kobiety rządzą*. Kraków. Udziałowa Spółka Wydawn.
- Rapacki W. (syn). *Wielka miłość*. W-wa. Hoesick.
- Rembek St. *W polu*. W-wa. Biblioteka Polska.
- Reutt M. *Co zazdrość może*. — *Zemsta cyganki*. Żnin. A. Ksycki.
- Reutt-Witkowska Z. *Ołtarz Wniebowzięcia*. W-wa. Rój.
- Rey S. *Kropiwniki*. W-wa. Hoesick.
- Rodecki A. *Grzeszna miłość*. Częstocho-wa Druk. Sztuka.
- Rodecki St. *Zemsta Martinezy*. W-wa. Rój
- Ronikier B., Jaxa. *Człowiek z głową*. (*Philaleta*). — *Dzierżyński, czerwony kat — złote serce*. Wyd. 4-te. W-wa. Księgarnia Popularna.
- Rosin G. *Ciche łązy*. Stanisławów. Polska Propaganda Wydawnicza.
- Różański. Z. *Serce w pancierzach*. — *Walka mózgów*. W-wa. Nowa Powieść.
- Rudniccy A. i M. Bechczyc. *Dziw*. W-wa. D. K. P.
- Rudnicka M., Bechczyc. *Malerza raweńskiego owieczek dwanaście*. W-wa. D. K. P.
- Rudnicki A. *Niekochana*. W-wa. Rój.
- Rudnicki M. *Żydzi*. Poznań. Księgarnia Św. Wojciecha.
- Rusinek M. *Pluton z Dzikiej Łąki*. W-wa. Gebethner i Wolff.
- Rychliński J. B. *Skarbiec Bałtyku*. Poznań. Księgarnia Św. Wojciecha.
- Rydzewska-Baytugan Z. N. *Akwamaryna*. W-wa. Hoesick.
- Samozwaniec M. *Małeńkie karo karmila mi żona*. W-wa. Rój.
- Sawicki W. *Walka o sztuczną zorzę*. Toruń. Drukarnia Toruńska.
- Schulz B. *Sanatorium Pod Klepsydrą*. W-wa. Rój.
- Sejda K. C. k. *Dezerterzy*. W-wa 1936. Biblioteka Polska.
- Serafinowicz W. *Wielka wygrana*. W-wa. Wydawnictwo Współczesne.
- Słonimski A. *Dwa końce świata*. W-wa. Przeworski.
- Smogorzewski M. *Ich dwoje*. Łódź. Republika.
- Sobiesiak-Kamińska Cz. *Kwitnące żyto*. W-wa. Przeworski.
- Sochnicka A. *Krzysia z budki kolejowej*. Wilno. Wiadomości Codzienne
- Stablewska I. *Na straży*. Poznań. Dziennik Poznański.
- Stablewski T. *Montparnass*. W-wa. Hoesick.
- Staśko P. *Białe widmo*. Łódź. Biblioteka Echa Polskiego. — *Serce na śniegu*. W-wa. Wydawnictwo Współczesne.
- Stemin O. *Tunel śmierci*. Lwów. Księgarnia Lwowska.
- Stecki M. *Pokój Nr. 18*. Łódź. Republika.
- Strug A. *Miliardy*. W-wa. Gebethner i Wolff.
- Strzembosz J. *Pożyczka zagraniczna*. — *Radosna twórczość*. Poznań. Księgarnia Św. Wojciecha.
- Surynowa-Wyczółkowska J. *Kobieta i basta!* W-wa. Rój. — *Jego kobiety*. — *Egoizm we dwoje*. Poznań. Księgarnia Św. Wojciecha. — *Plaszcz na dwóch ramionach*. W-wa. Rój.
- Szablowski T. *W krainie mordu i pożogi*. W-wa. Księgarnia Popularna.
- Szczepański E. ks. *Miłość zwycięża*. Sie-radz. Akcja Dobrej Książki.
- Szelburg-Zarembina E. *Ludzie z wosku*. Wyd. 2-gie. W-wa. Gebethner i Wolff.
- Szermentowski E. *Dwa klawisze*. W-wa. Biblioteka Polska. — *Karierowicz*. — *Historia jednej błagi*. W-wa. Michalak i Sp.
- Świdarska A. *Królowie. I: Król bez ziemi*. W-wa. Biblioteka Polska.
- Taube K. *Figle diablika błot pińskich*. W-wa. Liga Morska i Kolonialna.

Topińska Z. *Na zatracenie*. — *Zaszumiwały dęby*. Łomża. Biblioteka Dobrych Książek.

Uniłowski Z. *Dwadzieścia lat życia*. — *Pamiętnik morski*. W-wa. Przeworski.

Viners A. *Tajemnica błędnych ogni*. Łódź. Republika.

Walewski St., Colonna. *Rdzawe blaski*. W-wa. Rój.

Wardasówna M. *Maryśka ze Śląska*. W-wa.

Wasilewska W. *Ojczyzna*. Wyd. 2-gie. — *Ziemia w jarzmie*. W-wa. Rój.

Wende J. K. *Człowiecze drogi. I: Czwarty stan*. W-wa. Hoesick.

Wicherkiewiczowa M. z Sławskich. *Żeglarz i chimera*. Poznań. Dziennik Poznański.

Wiech (Wiechecki St.). *Znakiem tego...* Wyd. 3-cie. — *Wysoka Eksmisjo!* Wyd. 2-gie. — *W ząbek chesany... — Ja panu pokażę!* W-wa. Rój.

Wiktor J. *Orka na ugorze*. Wyd. 3-cie. Lwów. Książnica - Atlas. — *Zapomniany lotnik*. Katowice. Druk. Śląska.

Wiskowski Wł. *Przepraszam, że żyję*. W-wa. Przeworski.

Wotowski S. A. *Kobieta, która niesie śmierć*. W-wa. Księgarnia Popularna.

Woźniakowski A. *Ostatnia jego zbrodnia*. Toruń. Biblioteka Uniwersalna.

Zahorska St. *Korzenie*. W-wa. Gebethner i Wolff.

Zakrzewska J. S. *Po burzy słońce*. Łomża. Biblioteka Dobrych Książek.

Zarzycka I. *Samotnicy*. W-wa. Rój.

Zegadłowicz E. *Motory*. Kraków. Sirin.

Ziemak St. *Wiosna i kobieta*. Grodno. Polska Drukarnia Kresowa.

Z mego poddasza. Starego hreczkosieja o starej Warszawie gawędy i wspomnienia z przedwojennego rękopisu wydał Tomasz P. C. H. W-wa. Autor.

Żelazek H. *Miłość zwycięża*. Toruń. Biblioteka Dobrych Książek.

PONIZSZY PRZEGLĄD POLSKIEJ TWORCZOŚCI POWIEŚCIOWEJ i nowelistycznej w roku 1937 nie ma żadnych intencji syntetycznych czy generalizujących: jego zadaniem jest przede wszystkim ocena — możliwie sprawiedliwa — utworów poszczególnych; ambicją — zhierarchizowanie tych utworów, ustawienie ich na właściwych szczeblach w skali wartości artystycznych.

Konieczny był podział materiału, liczbowo — w stosunku do lat poprzednich — bardzo obfitego. W pierwszej grupie rozpatrzono powieści współczesne autorów znanych z dawniejszej twórczości w tej dziedzinie. Druga grupa obejmuje powieści historyczne. Trzecią (niewielką) grupę stanowią utwory ludowe i regionalne. W grupie czwartej oceniono powieści i nowele współczesne trzydziestu debiutantów. W obrębie każdej grupy zasadnicze znaczenie ma kolejność omawianych utworów: intencją referenta było uszeregowanie: od rzeczy stosunkowo najlepszych do najgorszych. Wnioski, które wynikną na podstawie takiego uszeregowania, będą się w wielu razach dość drastycznie różniły od zna-

nych czytelnikowi opinij krytycznych; uszeregowanie jednak zostało przeprowadzone świadomie, z rozmysłem, i ma znaczenie decydujące w ocenie omawianych utworów.

I

S t a n i s ł a w R e m b e k: *W polu*. — Autor mało znany. Nie wszyscy wiedzą, że ten jego utwór nie jest debiutem: Stanisław Rembek wydał przed dziesięciu laty powieść p. t. *Nagan*; rzecz zwróciła wówczas na siebie uwagę niektórych krytyków, ale młody autor zamilkł i długo o nim nie wiedziano w świecie literackim. Wydany obecnie utwór nosi skromny podtytuł „opowieść”. Podtytuł dobrze określa gatunek epicki utworu, lecz ukrywa charakter jego tematyki: książka opowiada o wojnie, ale jest to „opowieść” pełna demonicznej ekspresji o grozie, bohaterstwie i nonsense wojny. Akcja powieści ściśle zlokalizowana: są to dzieje jednej kompanii piechoty w dywizji generała Żeligowskiego w czasie odwrotu wojsk polskich w 1920 r. Zakończeniem tych dziejów jest zniszczenie i śmierć całej kompanii razem z jej dowództwem. Pozostaje z niej tylko jeden sierżant, który od pewnego punktu akcji był złym duchem oddziału: czymś w rodzaju owego Murzyna na statku „Narcyz” ze znanej powieści Conrada. Demonizm książki Rembeka występuje najwyraźniej w postaci tego sierżanta dążącego do zemsty nad całą kompanią za śmierć przyjaciela — śmierć „przypadkową”, zwyczajną, niczym się nie różniącą od wielu innych śmierci wojennych. Ponure wyczekiwanie zemsty ciąży od początku na akcji i stanowi temat przewodni całego utworu. Demonizm wyraża się jednak i w innych elementach powieści. Nie tylko opisy grozy mają tutaj ten charakter. Cała tragiczna antynomiczność zjawiska wojny — od najszczytniejszego bohaterstwa i wzniosłości do błazeństwa, nudy i upodlenia — została tu pokazana na małym i nieefektywnym ale mistrzowsko skondensowanym i wyzyskanym wycinku akcji wojennej. Doskonałości opisów nie ustępują zalety psychologicznego ujęcia występujących postaci: dwóch podporuczników — dowódcy i jego subalterna, — kilku podoficerów i kilkunastu wyraźnie zindywidualizowanych szeregowców. Nie jest słuszne to, co pisano z powodu rozmyślań podporucznika Paprosińskiego i jego dyskusyj z dowódcą kompanii: że to są nieorganiczne, obciążające i rozsadzające opowiadanie wstawki rezonerskie. Nie, wcale: te rozmyślenia i dyskusje są właśnie bardzo charakterystyczne

dla tych dwóch oficerów; one w nich tkwią, nie są dodatkami autorskimi; a przez swoją „zwyczajność“, czasem nieporadność i naiwność, tworzą przejmujący kontrast z otaczającą, dziejącą się rzeczywistością; bez nich wymowa opowieści byłaby inna. Książka Rembeka należy do tych nielicznych dzieł literackich, w których wszystkie elementy spełniają funkcje celowe; usunięcie jednego elementu zmieniłoby charakter całości.

Autor nie unika tematów drażliwych: nie cofnął się nawet przed opisem próby buntu, w której ginie czterech ludzi z ręki dowódcy kompanii. Ale nie ma w tym żadnej jednostronności: z idealną sprawiedliwością rozważono tu i pokazano pobudki, motywy i konieczności obydwóch stron. Powieść Rembeka trzeba zaliczyć do najgłębszych, najmocniej przejmujących utworów naszej literatury na temat wojny i związanej z wojną problematyki społecznej i filozoficznej.

B r u n o S c h u l z: *Sanatorium Pod Klepsydrą*. — Twórczość literacka Brunona Schulza spełnia idealnie postulaty teoretyczne S. I. Witkiewicza. Deformacja, układ elementów podług logiki artystycznej, a jako cel osiągnięcie wrażenia Dziwności Istnienia. Doskonale! Tylko właśnie chodzi o to, jaka deformacja, jaki układ i z jakich elementów. Można deformować i „układać“ tak jak w *Wariacie i zakonnicy* lub w *Nienasyce* — i nawet osiągnąć wrażenie dziwności, ale — u starego czorta! — wcale to nie będzie Dziwność Istnienia i wcale się nie dozna „metafizycznego wstrząsu“. A Bruno Schulz umie to zrobić: niewielka, nie wiadomo w którym miejscu „zaczęta“ deformacja — i oto jesteśmy w innym wymiarze, widzimy piękno, tajemniczość, grozę, czujemy niepokój w okolicznościach najzwyczajniejszych: dzieciństwo, życie rodzinne, miasteczko, sklepy, katarynki, służące, karaluchy... tylko że to wszystko jest „inne“, podejrzane, niepokojące, dziwne, na nowo piękne! Ależ to jest Dziwność Istnienia, to jest wstrząs metafizyczny, to jest poezja!

Nowa książka autora *Sklepów cynamonowych*, rozwijająca tę samą co tam tematykę: osobistą („prywatną“) mitologię wspomnień dzieciństwa i młodości, jest osiągnięciem poetyckim pierwszorzędym. Doskonała proza: bez dziwactw, bez wysilenia, bez przerysowania, harmonijna, giętka, celowa, trafna, żywa; gdyby nie pewne, bardzo nieliczne „galicjanizmy“, byłaby to najlepsza proza polska, jaką dziś można czytać.

Z b i g n i e w U n i ł o w s k i: *Dwadzieścia lat życia*. — Okrutnie przed-

wczesna śmierć Uniłowskiego wydarła literaturze polskiej pisarza wielkich nadziei. Daleki był jeszcze od dojrzałości, w wielu zakresach „zielony“ (w gombrowiczowskim znaczeniu), ale jakież skupienie energii twórczej żyło w tym młodzieńcu! Pięć książek, każda z różnych względów niepospolita, w dwudziestym ósmym roku życia — to tempo, które wstrzymuje oddech. I w jakich warunkach to życie się rozwijało!

Szczytem twórczości Uniłowskiego pozostanie przerwana w pierwszej połowie powieść biograficzna o dzieciństwie Kamila Kuranta: objawienie talentu realistycznego najwyższej klasy. Pewność i samodzielność spojrzenia, umiejętność kształtowania, wrodzony dar narracji. Trzeba żałować, że — widocznie — dla uniknięcia podejrzeń o integralny autobiografizm autor nie poprowadził opowiadania w pierwszej osobie: Kurant powinien tu przemawiać w swoim imieniu; nadałoby to powieści spójność i naturalność formalną, zgodną z jej charakterem treściowym, i zbliżyłoby ją do — bezwiednego zapewne — prototypu: do powieści Dickensa. Bo to jest niewątpliwie jakiś odnowiony, uwspółcześniony, przeniknięty atmosferą powojenną Dickens warszawskiego Powiśla. Wielka zdolność rysowania ludzkich postaci i tworzenia odpowiadającej im atmosfery. Powiśle, małe miasteczko w Królestwie, Kraków w odczuciu małego chłopca, który dostał się tam z innej obyczajowo i kulturalnie atmosfery proletariatu warszawskiego. A potem rozwój charakteru samego Kamila, jego doświadczenia, stosunek do ojca — wytwornego złodzieja, do kolegów, do przepysznych ciotek, do kipiącej różnorodnym życiem sąsiedzkim kamienicy na Dobrej. Jest w tym ciepło, zapach życia, prawda, epopeja dzieciństwa w warunkach najokropniejszych moralnie i materialnie. Ileż siły żywotnej w tym Kamile, ile zdrowia, ile samodzielności, ile wiary niezachwianej w samego siebie! Jakże bardzo on jest podobny do swego autora! Nie przeczytamy nigdy dalszego ciągu tej powieści.

Pamiętnik morski to znów zupełnie inny aspekt talentu Uniłowskiego. Brawurowa, często irytująca bufonada antyromantyczna, wyszydająca piękne a nieprawdziwe opisy egzotycznych krain i dalekich podróży. Doskonała postać „pana De“ — materializacja pospolitości, głupoty, nudy, nicości.

Polka Gojawiczyńska: *Rajska jabłoń*. — Dalszy ciąg *Dziewcząt z Nowolipek* bardzo się różni od tamtej „pieśni“. Tak — tamto była pieśń, melodia młodości, dawności, spraw niedzisiejszych, bezpowrotnych. Melodia ta, czysto i pięknie rozbrzmiewająca, głużyła pewne zgrzyty,

które wyczuwało się z lekka, ale nie słyszało się ich wyraźnie. Już przy czytaniu tamtych dziejów Frani, Brońci, Amelki, Cechny rodziła się refleksja — wbrew suggestiom autorki, — że nieszczęścia tych dziewcząt wynikały raczej z braków ich charakteru niż z niesprawiedliwości społecznej czy nieprawości męskiej. Tutaj, w *Rajskiej jabłoni*, wychodzi na jaw sprzeczność wyraźna pomiędzy sensem przedstawionych spraw a oświeceniem, jakie stara się im nadać komentarz autorki — komentarz nie wypowiedzany wprawdzie wyraźnie, ale nieomylnie wyczuwany przez czytelnika. Autor, nawet najobiektywniejszy, nawet taki jak Roger Martin du Gard, nie zdoła ukryć swego stosunku do opisywanych bohaterów. Toteż rychło spostrzegamy, że inne niż autorka mamy serce nie tylko do Amelki Raczyńskiej, która dla wygody własnej i korzyści swojej rodziny sprzedała się staremu i nudnemu aptekarzowi, żyje z nim w niemoralnym związku małżeńskim i nie ma odwagi ani uczciwości, aby pójść za porywem serca czy za nakazem zmysłów, a zdobywa się na bezwolne, półautomatyczne zabójstwo męża i ma dość siły i gotowości, żeby wyciągnąć z tego zabójstwa niebyłejakie korzyści; łamie ją dopiero (na jak długo?) wiadomość, że kochanek ją zdradził (co zresztą w powieści jest słabo uprawdopodobnione: gdzież by ten pan prowizor opuścił w takich okolicznościach bogatą wdówkę; raczej by ową kasjerkę zgrabnie zlikwidował). Nie — inne serce niż autorka mamy również dla Cechny, a jeszcze bardziej dla Bronki. Cechna jest wzięta za wysoko. Pan starosta ją zdradził, ale pan starosta jest skończonym głupcem: jej nauczycielka poznała się na nim od razu, po jednej krótkiej rozmowie, a subtelna Cechna przez parę lat nie widziała jego głupoty? Nie wierzymy w subtelność Cechny. A jeszcze bardziej nie możemy przyznać Bronce prawa do inwektyw pod adresem społeczeństwa, działaczy społecznych i państwowych, nawet pod adresem pani Magdaleny, nawet w stosunku do Ignasia. Ta ironia, zgryźliwość, poczucie wyższości źle zostały umieszczone. Postać Bronki w ostatniej hipostazie nie przekonywa i nie wzrusza. Najlepiej, najkonsekwentniej przeprowadziła autorka losy Kwiryny. Ale ta postać bytuje jak gdyby w innym planie, jakby pochodziła z innego utworu — z utworu, w którym panuje inna atmosfera moralna, inne prawa — i inne wyzwolenie. A co z tamtymi trzema? Bronka ginie pod kołami wozu ciężarowego. Strach pomyśleć, jak to Anielka będzie korzystać z testamentu swego Filipa; już tam pani Raczyńska wynajdzie odpowiednie formułki zbożnej mądrości życiowej. A Cechna jakoś zbyt

szybko dochodzi do dobrobytu i już wynajmuje trzypokojowe mieszkanie w eleganckiej dzielnicy. Czyżby się tak świetnie zarabiał na projektowaniu artystycznych sukien? A może tam doszło do jakiegoś porozumienia z rejentem?

Straszne, cyniczne, przygnębiające, bezwstydne i beznadziejne jest życie pokazane z wielkim talentem w tej smutnej książce.

Dwoje ludzi. — Ten tom nowel nie wnosi wiele nowego w dotychczasowe nasze wyobrażenie o talencie Gojawiczyńskiej. Nie wszystkie zresztą z tych utworów można nazwać nowelami. Są tam obszernie skróty powieściowe bez wyraźnego momentu skupiającego, są opowiadania, które czyta się jak początek powieści — jak doskonały pierwszy rozdział wymagający dalszego ciągu (*Powroty*); są też krótkie scenki czy szkice psychologiczne, bez akcji, bez dialogu, naładowane jedynie nastrojem ukrytych w głębi duszy przeżyć (*Pod ziemią*). Tematyka utworów i ich zasadniczy wydźwięk nie jest czymś nieoczekiwanym: ich motywy ideowe i fabularne rozsypane są po wszystkich powieściach Gojawiczyńskiej: nędza miłości, która jest ucieczką przed ciemnością (*Przed nocą*), która jest zbliżeniem nie dusz, tylko niespokojnych ciał, i nędza materialna z jej gorzkimi przerzutami w sferę uczuciową i moralną (*Mania, córka niemego; W raj*). Nad większością utworów unosi się charakterystyczna dla Gojawiczyńskiej atmosfera nieuleczalnego *taedium vitae*, nudy i lęku. W tym zakresie sztuka pisarska autorki osiąga wysoki artyzm. Z postawy bierności wobec życia wynikł pomysł najlepszego, najbardziej zwartego w konstrukcji opowiadania p. t. *Lipa*. Kontrast rozsądnego, uregulowanego życia mieszczańskiej pary Zarębskich i beztroskiej, rozkochanej w lenistwie, nie wyjaśnionej do końca egzystencji ich sąsiadki umieściła autorka na tle kwitnącej lipy i spowiła osobliwym wdziękiem — jakby smugą subtelnej woni. Tego wdzięku nie znajdziemy w innych utworach zbioru, przesyconych najczęściej mrocznym światłem i pogrążonych w mrocznej atmosferze. Wszystkie stwierdzają wysoką klasę pisarską autorki.

Witold Gombrowicz: *Ferdydurke*. — Stan duszy, z którego zrodziła się ta dziwaczna i męcząca książka, jest ważniejszy i o wiele bardziej interesujący niż ona sama. Ten stan — w innych rejestrach duchowych — wyraził kiedyś Dostojewski „jękiem“: *Boże, ja mira Twojego nie prinimaju!* I tutaj jest niemożność przyjęcia świata, bezsilny opór wobec chaosu, głupoty, kłamstwa, nonsensu — w wymiarach metafizycznych,

społecznych, artystycznych i innych. Tylko inna reakcja: nie w duchu Dostojewskiego, lecz raczej w duchu Gogola lub Sołoguba. Jakże te „miny“, „gęby“ i „pupy“ Gombrowicza przypominają „nosy“ i „chari“ tamtych pisarzy rosyjskich! I rzecz ciekawa (bo tu nie może być mowy o wpływie literackim): czyżby podobne reakcje artystyczne wynikały z podobnych przyczyn? To materia warta szczegółowego zbadania.

Autor tego studium metafizycznego infantyizmu ogłosił komentarz do swego dzieła (w *Wiadomościach Literackich*, nr. 733); w komentarzu tym powiada, że jego utwór „jest wyrazem nienawiści, lęku, wstydu człowieka wobec bezformia i anarchii... nie jest pamfletem, polemiką, krytyką, ale po prostu jękiem jednostki, która broni się przed rozprzężeniem, gwałtownie domaga się hierarchii i formy, a zarazem widzi, że każda forma uszczupla ją i ogranicza“; potem autor daje wyraz wątpliwości, czy udało mu się „dobrze napisać jęk powyższy“. Otóż jęk napisany jest dobrze o tyle, że — pomimo wszystko — czytelnik może go usłyszeć i może sobie zdać sprawę z jego charakteru. Ale z wielkim trudem i z niemałą czasem irytacją. Tak — forma wizji sennej musiała odpowiadać temperamentowi autora i pozwoliła mu osiągnąć efekty, które w innej formie byłyby nie do pomyślenia. Ale jakież by to był pociągający eksperyment, żeby „duchowe treści“ *Ferdydurke* wyrazić w formach realizmu powieściowego! Wielki wybór form — chociażby na przestrzeni od Dostojewskiego do Virginii Woolf. A przecież możliwe są w tym zakresie coraz to inne, nowe kombinacje — bez nudnego mechanizmu wizji sennej. W każdym razie „jęk“ źle został napisany pod jednym względem: niepotrzebne, mylące i niecelowe są rozdziały o Filidorze i o Filibercie „dzieckiem podszytych“ oraz dygresyjne przedmowy do tych rozdziałów. I to trzeba stwierdzić, pomimo wszystkie złośliwości pod adresem krytyków, którymi autor się w owych dygresjach obwarował. Rozdziały te — najfatalniej wzorowane na S. I. Witkiewiczu — przerywają rozwój „zapędzania“ bohatera „w młodość“ i napewno nie uwyrażniają ani nie potęgują „jęku“.

Książka Gombrowicza kończy się takim wierszykiem: „Koniec i bomba. A kto czytał, ten trąba“. Wierszyk ładny, książka ważna jako etap w rozwoju niepospolitego talentu i jako oryginalna „spowiedź dziecięcia wieku“. Ale to musi być etap. Następna książka nie może być napisana w tej samej manierze; autor nie powinien za długo tkwić w „ferdydurce“. Bo wtedy czytelnik miałby wszelkie prawo odwrócić ładny wierszyk i powiedzieć: „kto pisał, ten trąba“.

Andrzej Strug: *Miliardy*. — Ostatnia powieść Struga nawiązuje do dzieła napisanego jeszcze przed wojną, a wydanego w r. 1921. Jest to mianowicie jak gdyby dalszy ciąg *Pieniądza*. Przedstawione tu są powojenne losy znanych stamtąd postaci: Lucy Slazenger i uratowanego z katastrofy okrętowej multimiliardera Shurmana. Tłem akcji jest New York w okresie kończącej się *prosperity*. Akcja sensacyjna, wiele scen żywo przypomina motywy filmu amerykańskiego (porwanie młodego miliardera przez bandę, którą zamawia i opłaca jego matka; rabunek olbrzymiego transportu złota i daremny pościg policji i in.). Co pewien czas przerywają akcję długie rozprawy ekonomiczne, finansowe i socjologiczne, toczone w obecności Shurmana przez dwóch reformatorów świata, posiadających recepty na uzdrowienie kapitalizmu. Element sensacyjno - filmowy opracowany znakomicie; mniej przekonująca problematyka społeczna, oparta w znacznej mierze na wykładzie i dyskusji. Tematycznie i stylistycznie utwór ten jest wyrazem wytrwałego poszukiwania nowych możliwości twórczych.

Maria Kuncewiczowa: *Dni powszednie państwa Kowalskich*. — Rzecz powstała jako „powieść radiowa“: była grana przed mikrofonem w kilkunastu audycjach. W czytaniu nie robi wrażenia powieści; poza partią narratora, zawierającą opisy i refleksje, niedość organicznie związane z całością utworu, są tu tylko dialogi dwojga bohaterów i rozmowy ich z kilku osobami, które do nich przychodzą. Treścią jest pożycie dwojga młodych ludzi w pierwszym roku małżeństwa. Autorce chodziło o typowość. Środowisko „inteligencji pracującej“: on — nauczyciel szkoły powszechnej, ona modystka; on — z jakiegoś miasteczka galicyjskiego, ze sfery urzędniczej; ona — córka majstra stolarskiego z Kazimierza nad Wisłą; na gruncie warszawskim muszą budować sobie wszystko od nowa — bez zasobów materialnych, bez określonej tradycji kulturalnej, w trudzie i wśród ciągłych braków. Nazwisko małżeństwa umyślnie typowe; troski ich, nieporozumienia, zarysy konfliktów — typowe; w pewnym rozdziale państwo Kowalscy słuchają radia — przez sufit od sąsiadów z góry — i słyszą właśnie „powieść radiową“ jak gdyby o nich samych. Wszystko to ma wskazywać, że chodzi tu o najpowszedniejsze sprawy najbardziej „szarych“ czy „przeciętnych“ ludzi z inteligencji warszawskiej w roku 1937. Otóż ten silnie podkreślany element typowości jest — przynajmniej z literackiego punktu widzenia — raczej słabą stroną utworu. To co tu jest naprawdę interesujące, to — tak samo jak w każdej innej

powieści — te sprawy i uczucia bohaterów, które wydają się *im* tylko właściwe, które stwarzają z nich jakichś zarys indywidualności ludzkich. Trzeba właśnie uwierzyć w istnienie *tych* a nie innych Kowalskich, Pawła i Ireny, jedynych i неповtarzalnych, pozornie tak podobnych do innych małżeństw z ich środowiska jak jedna para wróbelków do drugiej, ale naprawdę — jak zawsze — niepodobnych do nikogo. Dopiero jeżeli się w to uwierzy, można będzie się wzruszyć losem tych dwojga ludzi, którzy kochają się bardzo, ale i bardzo się nie rozumieją. Książka o tyle jest ciekawa, o ile daje podstawę do zbudowania takiej wiary. A podstawą ta jest tutaj rzeczywiście: może nawet wbrew założeniom autorki państwo Kowalscy wznoszą się jednak ponad typowość i zaczynają zaciekawiać czytelnika jako ludzie żywi, konkretni, неповtarzalni. Stąd płynnie zainteresowanie ich dalszymi losami, przerwanych w najciekawszym miejscu i uzupełnionych nowym rozdziałem w drugim wydaniu powieści.

„Powieść radiowa“ jest próbą i eksperymentem; dlatego trudno *Dni powszednie państwa Kowalskich* włączyć do szeregu tak artystycznie skończonych i niewątpliwych utworów jak *Dwa księżycy* lub *Cudzoziemka*. Ale i w tej powieści eksperymentalnej piękny talent Marii Kuncewiczowej znalazł wyraz w niejednym fragmencie — zwłaszcza partia narratora zawiera mnóstwo sformułowań uderzających trafnością spostrzeżeń i świetnością ich stylistycznej ekspresji.

Halina Górska: *Słepa tory*. — Jest to pierwsza część zamierzonego przez autorkę cyklu pt. *Barak płonie*. Opiera się ona o materiał autentycznych dokumentów społecznych, zbieranych przez uczestników lwowskiej instytucji opieki nad dzieckiem proletariatu (tzw. „Akcja Radio dzieciom“ lub „Akcja Błękitnych“), ale nie jest ani historią tej instytucji, ani reportażem z nędzy wielkomiejskiej. Niewątpliwa oryginalność literacka autorki wyróżnia i tę jej książkę z powodzi utworów, które zalicza się do tzw. literatury proletariackiej. To nie są naiwne realistyczne, artystycznie prymitywne fotografie z życia bezrobotnych i ich rodzin, podbarwiane demagogią polityczną lub łatwym sentymentalizmem inteligentkim, ale oryginalna kompozycja powieściowa, rzucona na tło piwnicznego życia siedmiu rodzin w domu przy ul. Dekerta. Bohaterami są nie tylko owi bezrobotni nędzarze, lecz również ich opiekunowie i opiekunki z „Akcji“. To stanowi o oryginalności układu książki, a portrety psychologiczne tych młodych ludzi, tworzone z subtelną przenikliwością i siłą wyrazu charakterystycznego, nadają jej cechę prawdziwego, czasem prze-

mującego utworu literackiego. Atmosfera książki jest osobliwa — wolna od doktrynerstwa społecznego, daleka od sankcyj religijnych czy państwowych. Podjęcie się ciężkich i gorzkich często obowiązków przez młodych uczestników „Akeji” wypływa z rozmaitych, odległych nieraz źródeł życia duchowego. Świadomość „ślepego toru” skupia się w inspiratorce ruchu — Krystynie. Wie ona, że niepodobna w życiu tych ludzi piwnicznych zmienić niczego naprawdę, że uświadamianie im ich warunków życia grozi im tylko dotkliwszym jeszcze cierpieniem, bo gdy zrozumieją niebezpieczeństwo gruźlicy, będą wiedzieć dokładnie, że są skazani na wymarcie; gdy się w nich rozbudzi poczucie ludzkiej godności, tym mocniej uczują poniewierkę. W sposób niezmiernie powściągliwy, skąpy w słowa ujmuje jednak autorka smutną, odważną prawdę Krystyny, że — mimo wszystko — trzeba sobie nieustannie gromadzić nowych pomocników na miejsce tych, co zawiedzeni w młodzieńczym rozmachu, odeszli — i trzeba bez wytechnienia karmić, odziewać, leczyć. Zwątpienia Krystyny i zmartwychwstanie wiary młodzieńczej na dźwięk własnych słów, wypowiedzianych do mikrofonu radiowego, tworzą wzruszający prawdą i uczciwością końcowy monolog wewnętrzny Krystyny, w którym pięknie się stapia koncepcja literacka tej postaci, analiza psychologiczna typu „społeczniczki urodzonej” oraz — zapewne — autobiografia.

Michał Rusinek: *Pluton z Dzikiej Łąki*. — Stosunki w polsko-austriackiej szkole średniej krakowskiej tuż przed wybuchem wielkiej wojny, oglądane oczami dziecka proletariackiego, Ignasia Nawrota, stanowią rdzeń historyczny opowieści Rusinka. Spomiędzy tylu książek mówiących o szkole zaborczej ta wyróżnia się brakiem intencji satyrycznych, kompensujących zwykle autorowi prawdziwe lub rzekome przykrości, ponoszone od nauczycieli w latach młodzieńczych. Drugi aspekt powieści to wspomnienia zabaw i trosk młodego bohatera i jego kolegów szkolnych; tutaj autor wysuwa na najbliższy plan gorzkie doświadczenia chłopięce w dziedzinie wtajemniczeń erotycznych. Cechą wyróżniającą tę powieść o latach młodzieńczych jest rodzajowość środowiska proletariackiego, które stanowi jej tło. Codzienne prace i odświętne zabawy rodziny węglarza Nawrota, stróża Jędrzeja, stolarza Gawlika opisywane są z ujmującym sentymentem i doskonałą plastyką. Postać starego Nawrota występuje z dobrą wyrazistością realistyczną, a schyłek jego życia wzrusza prawdą ludzkiej doli. W porównaniu z poprzednimi powieściami Rusinka ostatnia książka ujawnia wyższy stopień sztuki pisarskiej: styl uspokoił się, wy-

prostował, zeszkromniał, a jednocześnie nabrał przejrzystości i siły. Opis święta Emaus na łące przedmiejskiej trwa w pamięci czytelnika w całej swej barwności i sile. Jest on piękną ekspozycją wyczarowania czasów dzieciństwa z głębin przeszłości; nawiązuje do niego krótki epilog powieści, gdy godzina wspomnień minęła wraz z wizytą autora u starych przyjaciół jego rodziców. Zorganizowania różnorodnych elementów powieści dokonano tu z godną zaznaczenia logiką konstrukcyjną.

Helena Boguszevska i Jerzy Kornacki: *Polonez. II: Deutsches Heim*. — Akcja drugiego tomu *Poloneza* rozgrywa się w całości na terenie małego miasta na Pomorzu. Ukazany tu jest miejscowy, autochtoniczny żywioł niemiecki — miejski i ziemiański, jego stosunek do ludności polskiej, do państwowości polskiej i do nowych prądów ideowo-politycznych, nadchodzących z Niemiec po zwycięstwie Hitlera. Łączność z pierwszym tomem stanowi osoba Tomasza Widackiego, byłego posła i byłego radykała społecznego *in partibus*, przebywającego dziś jakby na wygnaniu i zajmującego się antropologiczno-socjologicznym badaniem włóczęgów i włóczęgostwa jako zjawiska społecznego. Odwiedza go młody komunista, Piotr Aktyl, o którym wiele słyszeliśmy w tomie pierwszym. Aktyl namawia starego lwa radykalizmu polskiego, żeby sławne swe nazwisko pozwolił umieścić na sztandarze radykalizmu nowego typu. Spotkanie to odbywa się w pensjonacie pani Mańci Krueger, z domu Bisiewicz, wdowy po niemieckim patriocie i nauczycielu gimnazjalnym. W pensjonacie tym mieszkają synowie zamożnych Niemców, niedorostki; starsi ich koledzy i krewni organizują tu zakonspirowany „Deutsches Heim”; rozgrywki i nieporozumienia pomiędzy starszym a młodszym pokoleniem Niemców doprowadzają do ujawnienia tajnej organizacji. Jednocześnie dramat życiowy Mańci Krueger kończy się jej samobójstwem, a samobójstwo to ma wszelkie pozory ucieczki przed kompromitacją polityczną. Jest tu jeszcze dramat pewnego Ottona Tschpila (*recte* Trzpila), który koniecznie chce być Niemcem i łudzi się, że jest nieprawym synem nieboszczyka prof. Kruegera. Na dalszym planie występuje postać starosty, pana Arwaj-Upojeńskiego, z którym poseł Widacki złączony jest dawnymi i skomplikowanymi stosunkami. To wszystko, i wiele innych jeszcze spraw, przedstawiają autorzy stylem, w którym panują krótkie zdania w czasie teraźniejszym i który od początku do końca powieści jest „mową pozornie zależną” (poza dialogami); dochodzą w tym do szczytu ekspresji stylistycznej i do szczytów nienaturalności. Prześcignęli w tej manie-

rze i daleko pozostawili za sobą ekspresję *Mateusza Bigdy*. Trudny styl, trudna powieść, trudna lektura. A końca cyklu powieściowego nie widać.

Leon Kruczkowski: *Sidla*. — Trzecia powieść Kruczkowskiego tematycznie odbiega od poprzednich, ale w karierze literackiej autora nie stanowi — niestety — postępu. Kruczkowski — wyznawca doktryny społecznej — przeszkodził tu jeszcze więcej Kruczkowskiemu-artystcie w realizacji pomysłu literackiego: w przedstawieniu ruiny dokonanej przez bezrobocie w życiu i duszy małego urzędniczka, półinteligenta. Reportażowe utwory osnute na temacie bezrobocia dotyczą prawie zawsze proletariatu, toteż zamierzenie Kruczkowskiego mogłoby budzić zainteresowanie samodzielnością, gdyby autor umiał ściszyć akompaniament rozpraw teoretycznych, uprawianych przez doktora Emila Rudnego, będącego *porte-parole* samego powieściopisarza. Ów doktor Emil, sublokator Bogdalskich, wypisujący swoje *credo* życiowe i społeczne w listach do przyjaciela i polemizujący z redaktorem Wielemskim, nacjonalistycznym głosicielem „prawa do twórczości“, nie został zresztą dostatecznie ożywiony przez autora: więcej w nim rezonera niż żywego człowieka. Jego starcie ideowe z wyznawcą odmiennych poglądów służy do celów całkiem pozaartystycznych; autor nie może sobie przy tym odmówić przyjemności włożenia w usta Wielemskiego biadań nad socjalistyczną koncepcją człowieka wyjałowionego z aspektów metafizycznych właśnie w chwili lustrowania smakoszowskiej kolacyjki w lecznicy, gdzie powracający do zdrowia działacz narodowy rozmawia z Rudnym. Tego rodzaju efekciki, mające wykrywać sprzeczność między teorią a życiem przeciwnika politycznego, powtórzone parokrotnie, świadczą ujemnie o lojalności polemicznej autora.

Analiza psychologiczna rozkruszania się małżeństwa, w którym żona pracuje na utrzymanie domu, przeprowadzona jest bez zarzutu, ale nie wymaga komentarza klasowego. Ostygnięcie wzajemnych uczuć wynikło w istocie nie z powodu niemożności posiadania dziecka w trudnych warunkach finansowych, ale z głębokiej nudy pożycia Janki Bogdalskiej z tępym, pozbawionym wszelkich zainteresowań mężem. Ten „szary człowiek“ nie może wzbudzić w czytelniku współczucia, a jego niefortunny romans z tajemniczą „żywą reklamą“ nie tylko nie przybliży go czytelnikowi, ale — wprost przeciwnie — oddała, bo pachnie podejrzanym odorem „polskiego“ filmu. Tło drobnomieszczańskiego życia na ogół dobre, zwłaszcza postaci matek obojga małżonków.

Stefan Balicki: *Ludzie na zakręcie*. — Powieść wyróżnia się doskonałą kondensacją dramatyczną akcji; łatwo ją sobie można wyobrazić jako utwór sceniczny. Cztery dni życia ludzi, których losy przypadkowo splątały się ze sobą w sposób decydujący dla ich przyszłości. Kazimierz Białowąs, zamożny bankowiec, zagrożony odpowiedzialnością sądową za aferę kopalnianą, pogrąża ostatecznie swoją karierę trując ojca-kehrera. Baron Kroth staje do krwawego pojedynku, ale zyskuje wreszcie serce śpiewaczki Izy. Jej znowu przynoszą te dni uświadomienie sobie nicości moralnej Kazimierza Białowąsa, długo przez nią kochanego, i *engagement* do opery zagranicznej. Losy tej trójki krzyżują się z życiem starego Białowąsa, zniszczonego kkehrera restauracyjnego, oraz z losem bezrobotnego inteligenta Kontnego, który za dużym wynagrodzeniem, potrzebnym mu do ratowania od głodowej śmierci siebie i swej córki, zastępuje na mecie przeciwnika barona. Pomysł ten nie ma realistycznego uzasadnienia i stanowi — razem z całą końcową partią powieści — jakby oryginalnie fantastyczną nadbudowę jej trochę nazbyt teoretycznej konstrukcji. Sensacyjnym składnikom fabuły nadał autor usprawiedliwienie psychologiczne. Terenem zbliżającym do siebie bohaterów uczynił kawiarnię-restaurację i wprowadził atmosferę podniecenia i zamroczenia, w której dziwne ich postęпки otrzymują wytłumaczenie. Elementy składowe powieści są realistyczne, ale jej efekt wychodzi poza realizm: wymyślna i trochę forsowna konstrukcja elementów realistycznych daje w rezultacie fantastykę nieco w typie powieści S. I. Witkiewicza. Zwłaszcza postaci przeciwnika barona i jego kochanki należą do tamtego świata.

Tadeusz Łopalewski: *Prawo przyjaźni*. — Tytuł powieści powinien mówić raczej o „prawie wdzięczności“, ponieważ nie prawem przyjaźni, — o której nie może być mowy między tak obcymi sobie duchowo dwoma mężczyznami jak dwaj bohaterowie powieści, — lecz poczuciem obowiązku wdzięczności za wydobycie z nędzy tłumaczy się całe postępowanie Romana wobec kolegi z lat szkolnych. Dlatego nie można tego utworu rozważać pod kątem analizy przyjaźni i jej skomplikowania przez miłość do jednej kobiety. Rzecz jednak napisana interesująco, oparta na świeżych obserwacjach obyczajowych i psychologicznych, zajmuje zwłaszcza dobrym skonstrastowaniem dwóch męskich typów. Najlepsze są obrazki z życia kresowej prowincji, wprowadzone do powieści epizodycznie. Spokojny i niewymuszony tok narracji, powścią-

gliwość uczuciowa, dyskretny i sceptyczny humor. Cechy te żywo przypominają sztukę powieściopisarską Włodzimierza Perzyńskiego. Autor *Prowincjuszy* jest jakby jej kontynuatorem.

Adolf Rudnicki: *Niekochana*. — Jest to oryginalne zinstrumentowanie ubogiego motywu: ciągłego rozstawania się pary kochanków, z których ona jest zakochana tkliwie, boleśnie i nieodwołalnie, on zaś jest oschły i nawet okrutny, ale przez szczególną słabość nerwów nie umie zdobyć się na rozstanie ostateczne. Te odejścia i powroty, którym kładzie dopiero samobójcza śmierć Noemi pod pociągami wiozącym Kamila, dzieją się w wymiarze o zatartej granicy między snem a jawą. Poszukiwania zbiegłego kochanka po obcych mieszkaniach i nieznanym ludziom mają typowe cechy udręki zmory nocnej i niewiele się różnią od prawdziwych wizyj sennych nieszczęśliwej Noemi. Egzotyzm tej beznadziejnej i tragicznej sielanki polega na wyrwaniu akcji z realnego środowiska i umieszczeniu jej w nierzeczywistej, widmowej atmosferze. Tylko chwilami, i jakby wbrew intencji narratora, czujemy, że to jest środowisko warszawskie i żydowskie, ale dziwnie odrealnione.

Antoni Słonimski: *Dwa końce świata*. — Powieść fantastyczno-filozoficzna w stylu H. G. Wellsa, napisana przez wielbiciela i wyznawcę angielskiego pisarza. W fantastyczności naukowo-technicznej nie dorównał jednak autor swojemu wzorowi. Ta strona powieści przedstawia się chudo. Obraz Warszawy zupełnie wyludnionej, — gdzie tylko dzięki przypadkowi (źle, nie po wellsowsku opisanemu) pozostało dwóch żywych ludzi: Żyd-intelektualista i półinteligent-antysemita, — zarysowany na początku powieści bardzo plastycznie i obiecująco, nie spełnia oczekiwań. Najwięcej miejsca zajmuje opis mieszkania, w którym bohater spędził dzieciństwo i które teraz melancholijnie zwiedza. Jest w tym ładny liryzm, ale nie ma fantazji. Co do strony filozoficznej, to w tym zakresie autor bodaj dorównał Wellsowi — ale tego stwierdzenia nie można uważać za pochwałę. W końcowej wizji świata, ukazującej jak gromadka ludzi odchodzi z Warszawy, aby zacząć *da capo* „szaleństwa“ dotychczasowych dziejów ludzkości, a w martwym mieście pozostaje — teraz już sam jeden — szlachetny idealista żydowski, jest dużo melancholii ale bardzo mało suggestywności. Da się pomyśleć trzeci koniec świata, całkiem do tych dwóch niepodobny.

Wanda Wasilewska: *Ziemia w jarzmie*. — Ani tendencja nowej powieści Wasilewskiej ani sposób przeprowadzenia tej tendencji nie

mogą być niespodzianką dla czytelnika poprzednich jej utworów. Hrabski obszarnek, opłacani przez niego gajowi oraz sprzymierzony z tym towarzystwem proboszcz są sprawcami nieszczęść i niedoli wsi. W porównaniu z *Obliczem dnia* lub *Ojczyzną* widać pewną zmianę na korzyść: poglądy społeczne autorki wyrażone są w sposób artystyczniejszy, a rozkład światła i cieni po stronie krzywdzonych i krzywdzicieli — w paru przynajmniej miejscach — zaczyna się zbliżać do pocucia rzeczywistości. Wyraźną zaletą powieści realizm dialogów ludowych i piękne niekiedy, jakby na Orzeszkowej wzorowane, opisy przyrody podlaskiej.

Wanda Miłaszewska: *Święty więz.* — Jest to powieść o Dewajtisie kresowym, napisana nie w czasach niewoli i nie przez Rodziewiczównę. Są w niej wszystkie wdzięki i wszystkie słabe strony tradycyjnej powieści o starym gnieździe ziemiańskim. Poważny współczynnik artystyczny stanowią tu zachwycające fotografie Bułhaka, które świetnie zaostwiają wrażenia czytelnika i uprawdopodobniają akcję powieści.

Jerzy Marlicz: *Bezdroża.* — Jest to dalszy ciąg powieści p. t. *Ośmiornica*, o której była mowa w IV tomie *Rocznika*. Motyw konstrukcyjny stanowi tu olbrzymia podróż: z Barnału statkiem do Nowonikolajewska, stamtąd pociągiem towarowym, w „ciepłuszcze“, do Władywostoku. Polacy tą drogą ciągną do wskrzeszonej ojczyzny, inni uciekają w świat przed konsekwencjami rewolucji. Przygody tej koszmarniej podróży opisane są z realizmem i przekonującą plastyką. Mniej przekonują dramat miłosny panny Teresy Rzeckiej, zakochanej w Aleksandrze Kerstenie, pół-Rosjaninie, pół-Niemcu, mglistym arystokracie międzynarodowym, indywidualiście i anarchiście. Panna Rzecka wyrzeka się tej miłości ze względów patriotycznych, ale wyrzeka się nie całkiem dobrowolnie: Kersten zbyt szybko pocieszył się po tym wyrzeczeniu. W dramacie sercowym panny Rzeckiej jest jakiś rys komizmu, nie zamierzony przez autora. Element sensacyjny — szpiegostwo siostry Julii, amory i awantury kozaka Zorina, działalność wywiadu bolszewickiego — jest tu tak samo zajmujący jak w *Ośmiornicy*, ale całość jest raczej słabsza; *Ośmiornica* była żywsza i lepiej zharmonizowana. Tutaj doskonały opis podróży przez niezmierzone obszary Syberii, oparty niewątpliwie na autentycznych wspomnieniach, nie został dostatecznie stopiony z fikcyjną akcją powieściową.

Hotel na wodzie tegoż autora to interesująca powieść rozrywkowa, sensacyjna wedle właściwej miary artystycznej, uderzająca pewnością rysowania.

wania pierwszoplanowych postaci — pary Polaków, uciekających okrętem z ogarniętej rewolucją Rosji. Postać dr. Karskiego, tchórza i egoisty, kreślona jest z chłodnym obiektywizmem i sprawia wrażenie niezaprzeczonej prawdy. Międzynarodowość gromady pasażerów na okręcie idącym z Władywostoku do Rumunii daje autorowi sposobność do roznucia różnorodnych, efektownie pomyślanych wątków.

Trzecia książka Marlicza — *Dzicy ludzie* — to zbiór dziesięciu nowel na tematy z życia murzynów w Kongo belgijskim. Psychologia kawowych bohaterów podbija prawdopodobieństwem, a w ustosunkowaniu się do nich Europejczyków — poza jednym nieprzyjemnym Niemcem — uwydatniono pierwiastek szlachetności, miłości bliźniego, poświęcenia i bohaterstwa (piękna nowela *Misjonarz*).

Halina Maria Dąbrowolska: *Jej Bóg*. — Odnaleźć się da w tych opowiadaniach ślady namiętności miłosnej *Ludzi stamtąd* Dąbrowskiej i tajemnic duszy kobiety-więźnia ze *Ścian Świata* Nałkowskiej (*Ta druga, Kim ona była*), ale niezależnie od takich łatwych do zrozumienia analogij jest w zbiorze Dąbrowolskiej coś, co wyróżnia ją dodatnio spośród młodego pokolenia kobiet piszących: prostota wyśłowienia, swoboda i pewność pióra, pomyślowość w zakresie problematyki. Wadą tych nowel jest zbyt szkicowość: są to najczęściej dobre pomysły, ale utrzymane w fazie pomysłu, nie wcielone w żywe i przekonujące kształty akcji. W porównaniu z wydaną przed paru laty powieścią *Praca i miłość* książka obecna nie objawiła dalszego rozwoju talentu autorki.

Jerzy Hulewicz: *Córa Oxymoronu*. — Autor, z najlepszą wolą, chciał uprzystępnąć czytelnikowi zrozumienie tej książki: wyjaśnił, że tekst drukowany wersalikami to właściwa powieść, a rozdziały drukowane garmondem to komentarz do tej powieści; pozwolił nawet wybierać czytelnikowi do lektury jedną lub drugą część składową utworu. Niestety, ustępstwa te i wyjaśnienia nie mogły zmienić faktu, że to co autor nazywa powieścią jest w istocie wyszukany poemat prozą, opiewającym stylem Przybyszewskiego budowę wieży Babel, a komentarz to znowu powieść symboliczna o genialnym architekcie, twórcy miasta Oxymoron (co po grecku znaczy „sens w bezsensie“), którego dzieło ma zrealizować na ziemi tryumf woli i umysłu ludzkiego, ale zostaje zniweczone przez zbuntowane masy robotnicze pod wodzą własnej córki architekta, nawróconej przez tajemniczego przybysza (Polaka!) na religię miłości. Dużo w tym wszystkim symbolizmu, Przybyszewskiego, Micińskiego, sztuczności styli-

stycznej i skomplikowanej pornografii (*genre lesbien*). Autor całkiem serio wkłada w usta swych bohaterów wywody społeczno-filozoficzne na temat pracy i cywilizacji. Metafizyka w ilości zastanawiającej.

Zupełnie odmienny charakter ma druga powieść tegoż autora — *Szaruga*. Jest to realistyczne opowiadanie o losach dziewczyny proletariackiej, rozbudzonej intelektualnie i uczuciowo przez młodego krytyka sztuk plastycznych (sublokatora jej matki, oskarżonego o komunizm), ale zmuszonej przez twardy mus życiowy do poślubienia ordynarnego Felka Doliniaka. W rozwoju duchowym bohaterki za dużo jest lewicowego rezerwerstwa, istniejącego w niej spontanicznie i tylko niejako wyzwalanego przez rozmowy z subtelnym inteligentem; rozmowy te mają też przeważnie charakter retoryczny. Żywszy jest epizod spotkania bohaterki z okropnym jej ojcem, ale tutaj realizm doprowadzono do przesadnych wymiarów. Postać proboszcza — donosiciela i szpiega sumień swych owieczek — mogłaby wzbudzić zazdrość w najczerwieńszym pisarzu proletariackim.

Zofia Reutt-Witkowska: *Ołtarz Wniebowzięcia*. — Ostatnia rzecz zmarłej niedawno powieściopisarki, poetki i uczonej jest charakterystyczną dla jej tematyki literackiej kombinacją elementów: nastrojów religijnych, erotyki i doznań estetycznych. Historia tworzenia i umieszczenia w kościółku wiejskim rzeźby ołtarzowej, przedstawiającej wniebowzięcie Matki Boskiej (pomysł plastyczny na wzór dzieła Wita Stwosza), osnuta oparami poetyczności i akcentowana sztucznym lub ostrym dowcipem w ustach bohaterów powieści, jest jeszcze jednym dowodem niepokonalnych trudności, z jakimi walczyło krystalizowanie się talentu poetyckiego autorki.

Gustaw Morcinek: *Inżynier Szeruda*. — Na uwagę zasługuje w tym utworze próba wyjścia poza dotychczasowy krąg tematyki autora. Próby jednak nie można uznać za udaną. Dobre w powieści są rozdziały dotyczące zdarzeń w kopalni oraz życia, pracy i charakteru górników — czyli to, co było dobre w poprzednich powieściach Morcinka. Natomiast dramat miłosny inżyniera Szerudy, przezwyciężenie kompleksu niższości, wyprostowanie skrzywionej psychiki pod wpływem wielkich nieszczęść ludzkich i zrozumienia własnych win — przeprowadził autor z dużo mniejszym powodzeniem. Analiza psychologiczna bohatera tytułowego i związanych z jego dramatem trzech osób z „inteligencji“ nie zawsze przekonywa; ani prymitywizm ani skłonność do szablonu nie zostały jeszcze przezwyciężone.

Eustachy Czekalski: *Stare sztandary*. — Powieść oparta na wspomnieniach autora z „dni rewolucyjnych“ 1905 r. Pokazane są trzy środowiska ruchu niepodległościowego: warszawskie, krakowskie i paryskie, połączone fabularnie postacią Wacława Kłosa, zdolnego rzeźbiarza, działacza-konspiratora, a w niedalekiej przyszłości oficera Legionów, rannego w bitwie pod Kostiuchnowką. Postać to trochę szablonowa, wystylizowana podług ustalonych wzorów bohatera tego typu. Stylizowany też charakter ma historia miłosna Kłosa i pięknej panny Ireny, ideowej jego towarzyszkii. Ciekawsze są postaci i zdarzenia epizodyczne, świadczące o żywości wspomnień autora z tamtej epoki i o dobrej, na osobistych doświadczeniach opartej znajomości czasów i ludzi. Jednakże kształt artystyczny, nadany w powieści tym wspomnieniom, na ogół jest mało przekonujący. Wydaje się, że lepszym niż fikcja powieściowa sposobem zużytkowania wspomnień mogłaby tu być forma pamiętnikarska.

Maria Leszczyńska Mittelstaedt: *Bratowa z kabaretu*. — Powieść o dwóch małżeństwach, reprezentujących dwa typy życia: miejskie z jego cynizmem i nerwowością — i ziemiańskie, zdołne w klasyczne ideały życiowe. W zetknięciu z pokusą ideał prawości okazuje się silniejszy, a nawet w pewnym sensie nawraca ową pokusę — bratową o niechlubnej przeszłości. Bohaterowie nie skłaniają do współczucia z nimi. Dobre opisy przyrody.

Gustawa Jarecka: *Ludzie i sztandary. I: Ojcowie*. — Celem tej powieści, stanowiącej pierwszy tom większego zapewne cyklu, jest przedstawienie Warszawy robotniczej — rewolucyjnej i konspiratorskiej — w czasach poprzedzających wybuch wielkiej wojny. Pierwsza scena powieści dzieje się 1 maja 1901 r. Są tu przedstawione dwa środowiska: świat rodziny robotniczej Żelazków i świat pani Marietty Krzeptowskiej, żony zamożnego urzędnika prywatnego o przekonaniach „endeckich“, zdradzającej męża z przyszłym legionistą. Światy te w ciągu całego pierwszego tomu powieści nie spotykają się z sobą ani razu, a ich zestawienie kompozycyjnie niczym się nie tłumaczy. W przedstawieniu środowiska robotniczego nie pokazała autorka żadnych nowych rysów: wszystko to znane jest od dawna, w ujęciach bez porównania bardziej interesujących. Kompozycja, styl, artyzm i problematyka kwalifikują ten utwór o wiele niżej od poprzednich prób powieściowych p. Jareckiej.

Idalia Badowska: *I to minie*. — Trzecia powieść tej autorki nosi

charakterystyczne znamię pisarskie: dbałość o erudycję i wykwint umysłowy. Dzieje zredukowanej nauczycielki, która po długiej poniewierce duchowej znajduje nowy cel w postaci przygarniętej sieroty, opowiedziane są stylem starannie kształtowanym, ornamentowane refleksją często oryginalną, a zawsze inteligentną. Skłonność autorki do wyszukanego sposobu wyrażania się znajduje ujście w listach bohaterki — ze skutkiem niepomysłnym dla wartości tej książki.

Eugenia Kobylińska: *Niespodzianki małżeństwa*. — Autorka dwóch książek z życia szkoły i z życia nauczycielek przeszła tym razem na teren powieści psychologicznej i dała próbę analizy małżeństwa nie opartego o istotne porozumienie dwojga ludzi. Powieść, miejscami okraszona pewnym wdziękiem, nie wnosi nic nowego do zagadnienia dopasowania się ludzi zawierających związek małżeński, ale jest w zabawny sposób symptomem przedostawania się do literatury bynajmniej nie wojującej idei rozvodu jako naturalnej a nie tragicznej konsekwencji pomyłki w wyborze życiowego partnera. Danusia odchodzi od swego filisterskiego małżonka, zamożnego adwokata, i poślubia młodego prawnika, odpowiadającego jej pod każdym względem. Żeby jednak stało się zadość wszystkim wymaganiom obyczajności i bogobojności, autorka wymyśliła sytuację, w której cztery osoby korzystają wprawdzie z dobrodziejstw rozvodu, ale rzeczywistego rozvodu nie było: na końcu powieści mamy dwie pary małżeńskie połączone na mur nierozzerwalnymi ślubami katolickimi. Na czym polega wynalazek autorki — dowie się zainteresowany czytelnik po uważnym przeczytaniu powieści.

Janusz Meissner: *Hańbiący czyn porucznika Herberta*. — Pożytność tego autora stoi w ścisłym związku z tematyką jego nowel i powieści, mianowicie z lotnictwem. Pomysłowość w opracowaniu nowelistycznym tematów nie idzie tu daleko. Autor najczęściej opisuje czyjąś przygodę lotniczą, o której mu opowiadano lub której był świadkiem; jednakże sposobem opowiedzenia umie żywo przejąć czytelnika. Dotyczy to również niniejszego tomiku nowel poświęconych głównie psychologii typów lotniczych w związku z sytuacjami wymagającymi szybkiej decyzji i zimnej krwi.

Inna książka Meissnera — powieść *L.* — 59 — łączy temat lotnictwa z egzotyką afrykańską, wojną kolonialną niemiecko - angielską (rzecz się dzieje w r. 1917) i sensacyjnymi pomysłami wyzwolenia Czarnego Łądu spod panowania białych i utworzenia wielkiego cesarstwa wszech-

murzyńskiego. Sensacyjna akcja przeniknięta pierwiastkami bohaterstwa w typie lektury dla starszej młodzieży. Dobry, fachowy i zarazem plastyczny opis tytułowego bohatera powieści: olbrzymiego sterowca „L. — 59“.

Wacław Serafinowicz: *Wielka wygrana*. — Powieść przekonywa, że nie każdy młody człowiek, w którego mieszkaniu włamywacz zostawi przypadkiem olbrzymią sumę, zrabowaną bankierowi żydowskiemu, sumę ową zatrzyma dla siebie: biedny dziennikarz Kulesza zwrócił dwa miliony właścicielowi. Oraz, że nie każda aktoreczka, mając do wyboru własnoręczne paranie się kuchnią na Polesiu lub *engagement* do wymarzonego teatrzyku, opowie się za teatrzykiem: Ninon zrzeka się protekcji wspomnianego barona i mieszka w chacie poleskiej z zapalem i z Kuleszą. Idealizm zwycięża na całej linii dzięki cynizmowi, sprawiającemu, że wszyscy, z którymi Kulesza ma do czynienia, posądzają go o przywłaszczenie pieniędzy bankowych i pomagają mu w interesach, pełni uznania dla jego przedsiębiorczości. Satyra na prowincję i jej typy — jak to satyra: znamy to od dawna. Za pedagogiem Szpaczkim powinien ująć się Z. N. P. i wystąpić z odpowiednim protestem, o ile któryś z członków tej instytucji będzie miał chęć na przeczytanie *Wielkiej wygranej*.

Jadwiga Korczakowska: *Miłość Marty*. — Przed laty nazywałoby się to *Grzech Marty*, albo *Upadek Marty*. I w ogóle akcja potoczyłaby się inaczej: bohaterka, nie mogąc znieść hańby nieślubnego dziecka, utopiłaby się lub otruła — po odpowiedniej porcji udręczeń, jakie by zaaplikowało jej otoczenie. Matka jej umarłaby pewnie ze zgrzyoty i wstydu. W dzisiejszych czasach — wedle autorki — jest inaczej: Marta truje (bez powodzenia) ojca jej dziecka, ponieważ on nie pragnie potomstwa ani małżeństwa; córkę swą wychowuje w domu matki na prowincji, jest działaczką znającą się na wszystkim najlepiej, wreszcie — dzięki katastrofie kolejowej — spotyka swego niedotrutego kochańka, który tymczasem zniechęcił się do innych kobiet, i poślubia go. „Samodzielność“ kobieca i cześć dla obrączki jak najpiękniej zostały pogodzone. Satyra na stosunki prowincjonalne śmieszy istotnie — prymitywizmem roboty.

Jadwiga Kiewnarska: *Droga Heleny*. — Nazbyt obszernie opowiedziane dzieje młodej wdowy ze środowiska ziemian wileńskich. Osoba bohaterki nie budzi oczekiwanego zainteresowania. Tło, na którym pokazuje ją autorka, może wywierać wrażenie na czytelnika związanego uczuciowo ze sferą, do której należy Helena.

Janina Brzostowska: *Kobieta zdobywa świat*. — Nie, nie zdobyła świata: rzuciła filisterskiego męża dla studiów uniwersyteckich, wyszła za mąż po raz drugi za młodego uczonego, a przy pomocy trzeciego mężczyzny urobiła sobie pogląd na świat w duchu dość niesprecyzowanej sprawiedliwości społecznej. Znowu prymitywna satyra na mieszczaństwo prowincjonalne i na konserwatyzm polityczny. Nieokreślony idealizm.

Lucjan André: *Czad*. — Czad to mieszanina lotnych produktów spalania węgla; tlenek węgla to tlenek węgla, nie czad, i nie ma w ogóle zapachu, a tym bardziej „zapachu charakterystycznego“. Te wiadomości łatwo sprawdzić w każdym gimnazjalnym podręczniku chemii, jeśli ktoś nie odbył przeszkolenia gazowego na wypadek wojny. W powieści rola tego związku chemicznego ma zastosowanie głównie symboliczne: bohaterowie są zaczadzeni możliwością łatwego zbogacenia się na handlu akcjami w okresie inflacji w r. 1923. Powieść przedstawiająca stosunki warszawskie w owej epoce mogłaby być interesująca i potrzebna, gdyby była dobrze napisana. Satyra i mentorstwo autora *Czadu* nie dowodzą dojrzałości jego talentu.

Wincenty Rapacki (syn): *Wielka miłość*. — Prawdziwy hrabia zakochany; prawdziwy malarz zakochany; kwiaciarka — gwiazdą filmową; lekkomyślny mąż i ojciec odtrącony bez przebaczenia; razem zajmująca historyjka dla kwiaciarek.

Janina Surynowa - Wyczółkowska: *Jego kobiety*. — Powieść mówi o rozwodzie starzejącego się śpiewaka operowego, który całe życie zdradzał nudną żonę, a rozwiódł się z nią dopiero wtedy, gdy przestała się zachwycać jego głosem i jego urodą. Ożenił się z młodą panną która dla korzyści materialnych gotowa się jeszcze jakiś czas zachwycać wdziękami starego Don Juana. Jest to krótka ale bardzo gadatliwa powieść o ludziach banalnych.

Egoizm we dwoje tejże autorki (dalszy ciąg powieści poprzedniej) puściło na rynek wydawnictwo katolickie, złudzone widocznie prawowiernością tematu i ujęte morałem: kobieta żyjąca w rozpuście umiera skutkiem niedozwolonej operacji; cnotliwa mężatka porzuca sztukę, aby uszczęśliwić małżonka potomkiem. Pod znakiem zapytania pozostaje cała obrzydliwa, burżuazyjna, zasklepiona w sobie atmosfera powieści. *Egoizm we dwoje* w tych warunkach może się przekształcić tylko w egoizm we troje.

II

Zofia Kossak: *Król trędowaty*. — *Bez oręża*. — Najwięcej i najbardziej interesująco pisano w roku sprawozdawczym i dyskutowano na temat powieści z powodu *Krzyżowców* Zofii Kossak i dwóch wyżej wymienionych utworów, stanowiących kontynuację epopei o pierwszej krucjacie. Poruszano głównie dwie sprawy: stosunek tych utworów do katolicyzmu i stosunek autorki do źródeł, na których oparła swoje wielkie rekonstrukcje świata średniowiecznego. Nie sądzę, żeby utworom tym można było postawić poważniejsze zarzuty natury doktrynalnej. Katolicyzm autorki napewno jest prawowierny; tylko że różne są typy katolicyzmu i różne typy umysłowe katolików. Typ umysłowy autorki *Krzyżowców* zbliża ją raczej do katolicyzmu św. Tomasza z Akwinu niż do katolicyzmu św. Franciszka z Assyżu. Jest racjonalistką, a z temperamentu artystycznego niewątpliwą realistką. Dlatego może postać św. Franciszka w powieści *Bez oręża* nie wypadła przekonywająco. Nie znaczy to jednak, że postać ta jest nieudana konstrukcyjnie lub przeprowadzona niekonsekwentnie. W realistyczno - psychologicznym ujęciu, zgodnym z całym charakterem powieści, postać ta nie mogła być inaczej potraktowana; w tym stylu jest doskonała i zgodna z zamierzeniem autorskim. Inna sprawa, że realistyczno - psychologiczne ujęcie św. Franciszka nie było celowe i nie mogło doprowadzić do większych osiągnięć artystycznych. Podobnie jak wszelkie tego rodzaju próby w stosunku do postaci Chrystusa — tak liczne w ostatnich czasach — były bez wyjątku chybione. Tak samo jest z tematem „krucjaty dziecięcej“. Kto czytał swojego czasu w *Chimerze* utwór na ten temat Marcellego Schwoba, przełożony przez Miriamę, nie łatwo się zgodzi z realistyczną wersją tej legendy. Ale to znów kwestia stylu i charakteru całej powieści. — Drugi temat dyskusji to stosunek do źródeł. Zarzuca się autorce, że opierając się na źródłach oryginalnych, nie uwzględniała późniejszych badań naukowych, korygujących owe źródła. Nie wiem, czy robiła to świadomie, ale wiem, że miała do tego wszelkie prawo. Przecież źródła oryginalne są świadectwem epoki i jej zwierciadłem. Właśnie to jest cenne dla artystycznego rekonstruktora minionych czasów. A późniejsze korektury mogą równie dobrze korygować źródła jak i powstałe na ich podstawie dzieła sztuki: korygować, nie zmieniać.

Nowe powieści Zofii Kossak budzą zainteresowanie świetną ewokacją

przeszłości, żywością i plastyką przedstawianych zdarzeń, doskonałymi portretami psychologicznymi wielkiej ilości działających osób. Ale przede wszystkim zajmują i pobudzają do dyskusyj odwiecznymi zagadnieniami — moralnymi, metafizycznymi, religijnymi, — stawianymi tu na nowo z siłą głębokiego przeświadczenia i w sposób artystycznie doskonały. Pod względem doniosłości poruszanej problematyki żaden utwór powieściowy r. 1937 nie dorówna tym dwom powieściom historycznym, a pod względem wartości artystycznej tylko bardzo nieliczne mogą być postawione razem z nimi.

Wacław Berent: *Diogenes w kontuszu*. — Ta „opowieść z zarania inteligencji krajowej“ jest trzecim ogniwem „opowieści biograficznych“ wydanych przed paru laty w dwutomowym zbiorze p. t. *Nurt* (por. *Rocznik Literacki*, tom III, str. 84—86), jakkolwiek łączność formalna z tym samym cyklem nie została tu zaznaczona. Bohaterem nowej „opowieści“ jest postać osobliwa i mało znana: ksiądz Franciszek Salezy Jezierski (1740 — 1791) ze Zgromadzenia Ojców Misjonarzy, najbliższy współpracownik „Kuźnicy“ Hugona Kołłątaja, pisarz polityczny, jeden z pierwszych demokratów i rewolucjonistów polskich. Rzecz Berenta „opowiada“ o losach i znaczeniu tej niezwyklej postaci, ukazując jej działalność na tle dosyć obszernie zarysowanego charakteru epoki. Poza głównym bohaterem występują z tego tła pysznie ujęte figury ludzi historycznych: Kołłątaja, Naruszewicza, Stanisława Augusta, Dekerta. Pobieźniej, ale zawsze z ukazaniem jakiegoś rysu istotnego, przypomniane są postaci Staszica, Jana Śniadeckiego, F. X. Dmochowskiego, ks. Meyera i inne. Ze szczególnym zamiłowaniem i plastyką opisał autor symboliczną figurę „jaśnie kasztelana łukowskiego, pośła ziemi nurskiej, głośnego mówcy sejmowego, autora „dzieł“ licznych... a pana na lupanarze warszawskim“ — Jacka Jezierskiego (ks. Jezierski jest dalekim „ubogim kuzynem“ tego możnowładcy stającego się pierwszym w Polsce „burzujem“). Te wszystkie postaci, jak i elementy tła, bywają bądź przedmiotem rozważań historiozoficznych, bądź też występują w drobnych scenkach skonstruowanych belletrystycznie, dramatyzujących współczesne teksty oryginalne, głównie satyryczne, lub rozwiniętych szeroko i przeniesionych w sferę wyszukanej, symboliczno - demonicznej fantastyki (jak scena śmierci ks. Jezierskiego).

Artystycznie rysunek tej postaci jest interesujący i często suggestywny; są w nim jednak dziwne sprzeczności, pominięcia i niedokładności. Pierwsza partia książki i zarysowany tam portret bohatera nie przystaje do

partii końcowej i obrazu, jaki w niej składa się na nowo. Trudno pogodzić nie tylko odmienne ujęcie, ale i dane ściśle faktyczne obydwu obrazów. Sprzeczne są nawet dane o pochodzeniu bohatera (na str. 9 i na str. 170). Prawie całkowicie pominięta jest ważna dziedzina pracy pisarskiej Jezierskiego: poza wzmianką o „książkach wielce osobliwych“ nie ma wcale mowy o jego powieściach — pseudo-historycznych utopiach, ciekawych jako przykład wpływu Jana Jakuba Rousseau (wpływ ten na Jezierskiego wogóle nie został tu dostatecznie uwydatniony). Drażnią poza tym drobniejsze pomyłki i potknięcia erudycyjne. Ale nie była to przecież w założeniu monografia historyczno - literacka. Nowa „opowieść biograficzna“ Berenta ukazuje w zagmatwanym ale często potężnie suggestywnym rysunku niezwykłą postać zbiedniałego szlachetki z Podlasia, żołnierza, mnicha, kaznodziei sejmowego, rewolucyjnego pamphletysty i jakobina w jednej osobie.

Drugi utwór zamieszczony w tym samym tomie — *Zabawy przyjemne i pożyteczne*, „opowieść z zarania inteligencji krajowej“ — to szereg przenikliwych spostrzeżeń i refleksyj historiozoficznych, opartych na przekonujących przykładach (historia rodziny Schultzów, od której pochodzi nazwa ulicy Solec; zapomniana postać „demokraty“ Huttawskiego), na temat genezy warstwy społecznej, która w przyszłości otrzymała nazwę „inteligencji“, a z której — w myśl testamentu generała Dąbrowskiego — wyszli „jedyni już, a najbardziej niezawodni narodu polskiego o d n o w i c i e l e“.

Hanna Malewska: *Żelazna korona*. — Jest to powieść historyczna z pierwszej połowy wieku XVI. Główny temat stanowi tu panowanie Karola V, króla Hiszpanii i cesarza „świętego Cesarstwa Rzymskiego“ oraz walki tego władcy z arcychrześcijańskim królem Francji Franciszkiem I, z Turkami i z reformacją Luthra. Autorka rozporządza rozległą i dobrze opanowaną erudycją historyczną; opiera się na źródłach i opracowaniach naukowych, stara się dotrzeć do „prawdy dziejowej“, wyrzekając się najefektowniejszych legend, które opłoty postać jej bohatera; pomija np. legendę o przedwczesnym pogrzebie Karola V, urządzonym jakoby na jego rozkaz i z jego udziałem; ostatni okres życia cesarza w klasztorze Yuste przedstawia zgodnie z wynikami badań historycznych. Te wysokie zalety erudycyjne nie idą tu jednak w parze z wybitniejszym talentem epickim. *Żelazną koronę* trudno w ogóle nazwać powieścią; jest to raczej obszerny poemat historiozoficzny o upadku wielkiej organizacji politycz-

nej, która opierała się na zasadzie uniwersalizmu chrześcijańskiego, a została pokonana przez rodzącą się wówczas zasadę państw narodowych, — oraz o ostatnim znakomitym wyrazicielu tej zamierającej organizacji. Ani jednak sam Karol, ani liczne drugoplanowe postaci powieści nie rysują się z dostateczną plastyką. Za mało tu życia. Nie wnosi go również bardzo luźna konstrukcja, bez jednolitej koncepcji kompozycyjnej, wzorowana może na konstrukcji *Popiołów*, ale pozbawiona zalet wielkiej powieści Żeromskiego: wszechobecnego żywiołu liryzmu i częstych scen realistycznych o plastyce pierwszorzędnej. W całości więcej inteligencji i subtelnej dialektyki niż oddechu epickiego. Utwór — pomimo znacznych braków artystycznych — jest jednak interesującą próbą poetyckiego ujęcia wielkich procesów dziejowych.

Tadeusz Kudliński: *Rumieńce wolności*. — Rzecz zakrojona na wielką skalę. Zaczyna się od ech Konfederacji Barskiej; ukazuje losy i czyny Tadeusza Kościuszki — w Ameryce, w Polsce i w niewoli petersburskiej; bohaterskie i tragicznie groteskowe perypetie losów księcia Józefa; karierę księcia Adama Czartoryskiego w pierwszym, rosyjskim, jej okresie; i wiele innych zdarzeń i postaci historycznych. Wszystko to przedstawione w drobnych, fragmentarycznych obrazkach, nie połączonych żadną fabularną nicią kompozycyjną. Pojawiające się od czasu do czasu scenki z życia Kubusia Kierzkowskiego, prototypu przyszłego „żołnierza - tułacza“, nie stanowią takiej nici. Technika krótkich epizodów uniezależnionych od siebie, a tylko zazębiających się na dalekich peryferiach ideologicznych, dała dobry wynik w poprzedniej, współczesnej, powieści tego autora — w *Wygnańcach Ewy*; tutaj jednak, w temacie historycznym, rezultat tej techniki jest raczej wątpliwy. Poza tym fragmenty te, nawet same w sobie, są na ogół blade pod względem ekspresji artystycznej, a nie przynoszą nic nowego w zakresie pojmowania zdarzeń historycznych. Zdarzenia te i ich bohaterów przedstawiają najczęściej w ujęciu zmumifikowanym przez historię popularną lub legendę. Styl obrazków niezdecydowany: waha się pomiędzy wymyślną i trudną ale rzetelną i celową prozą Berenta a naiwnie syntetycznym i łatwym sposobem stosowanym przez Juliana Wołoszynowskiego w powieści *Było tak*.

Teodor Parnicki: *Aecjusz — ostatni Rzymianin*. — Pierwsza część powieści historycznej z czasów upadku Cesarstwa Rzymskiego, oparta głównie na dziejach ambitnego „generała“ Aecjusza podczas panowania cesarza Walentyniana (424 — 455). Autor dobrze wystudiował

epokę, o czym świadczy dodana na końcu tomu bibliografia i co mu przyznali specjaliści (np. prof. Tadeusz Zieliński i autorka recenzji w *Przeglądzie Klasycznym*). Inna sprawa z artystyczną stroną utworu. Nie ma w nim jakiegóś oryginalnej i jednolitej koncepcji formalnej — jak np. w *Ołtarzu Zwycięstwa* Walerego Briusowa czy w *Klaudiuszu* Roberta Gravesa (żeby wspomnieć nowsze powieści na tematy z historii Rzymu). Nie ma nawet dążenia do jednolitości stylistycznej. Można się tu spotkać z takim żargonem: „wykończyliśmy bowiem pogan, co się zowie“. Technika przedstawienia polega na krótkich, jakby filmowych, obrazkach, opowydanych najczęściej w *praesens historicum*; „monotonnie pluszcze fontanna“ — oto typowe zdanie ustalające nastrój scenki. Historiozoficzne refleksje, wygłaszane kilkakrotnie przez autora i nawiązujące do czasów dzisiejszych, odznaczają się większą zamaszystością niż trafnością. O całości dzieła sąd byłby dziś przedwczesny; tylko co do jego artyzmu można już teraz powiedzieć, że bliższy on jest Teodora Jeske - Choińskiego niż Briusowa lub Gravesa.

Antoni i Maria Bechczyc-Rudniccy: *Dziw.* — Maria Bechczyc-Rudnicka: *Malerza raweńskiego owieczek dwadzieście.* — Inteligentne zabawki filologiczno-poetyckie. Pierwsza — opowiadanie na tle życia prasłowian — powstała pod wrażeniem wykopalisk biskupińskich. Jest to krótka nowela na temat życia naszych przodków przed 2500 lat, w pomyśle i przeprowadzeniu interesująca, ale ciekawa głównie przez to, że dialogi prowadzone w noweli napisane są w hipotetycznym języku prasłowiańskim (nie w starocerkiewnośłowiańskim, jak pisze w przedmowie prof. Józef Kostrzewski; to by nie było nic nadzwyczajnego: ten język jest historyczny i dobrze znany; lecz właśnie w języku prasłowiańskim — *Urslavisch* — odtwarzanym hipotetycznie przez uczonych jako wspólne źródło wszystkich języków słowiańskich). Dodane w notkach objaśnienia ułatwiają zrozumienie. — Drugi utwór to nowela w stylu szesnastowiecznych nowel włoskich, napisana przez autorkę pierwotnie po włosku, a potem przełożona na staropolszczyznę, odtworzoną podług zabytków językowych wieku XIV i XV. — W jednym i w drugim wypadku specjaliści mogą kręcić nosami, ponieważ w tych rekonstrukcjach językowych znajdzie się sporo pomyłek i niekonsekwencji. (Najobszerniej o języku *Malerza* pisał prof. Edward Klich w *Języku Polskim* z maja — czerwca 1938 r.). Ale w całości są to jednak drobiazgi, łatwe do poprawienia. A r t y s t y c z n e wrażenie zostało

osiągnięte niewątpliwie. Oba utwory wydane po bibliofilsku, z linorytami T. Cieśleńskiego Syna. *Dziw* poprzedza wstęp prof. Kostrzewskiego i szkic współautora p. t. „Prasłowiańska osada bagiennea sprzed 25 wieków w Biskupinie“, wydrukowany po polsku i po francusku. W *Ma-lerzu* dodano tekst włoski i uwagi autorki o genezie i intencjach utworu.

Alina Świdowska: *Królowie*. I: *Król bez ziemi*. — Dalszy ciąg powieści biograficznej o Wagnerze, której tom pierwszy nosił tytuł *Prometeusz i perliczka*. Autorka trzymała się ściśle danych biograficznych i materiałów pamiętnikarskich odnoszących się do Wagnera i jego epoki, a samodzielność ujawniła jedynie w wyborze i wystylizowaniu poszczególnych momentów biografii wielkiego kompozytora. Rzecz literacko dojrzała i w zakresie polskiej powieści biograficznej na najwyższym poziomie. Charakterystyka występujących postaci dokonywana bezpośrednio, w sposób raczej staroświecki, ale to nadaje utworowi miłe piętno stylowe; narracja żywa i subtelna. Kapitalna wada: niedostateczna orientacja autorki w wartościach czysto muzycznych. Zresztą w tej powieści o muzyku najmniej mówi się o muzyce; trudno to zaliczyć do zalet utworu.

Róża Czekalska - Heymanowa: *Maria Kalergis*. — Postać Marii Kalergis — nie tylko ze względu na jej rolę w biografii Norwida — zasługiwałaby na monografię napisaną przez polskiego historyka. Znaczna część życia tej po europejsku świetnej a do dziś tajemniczej kobiety upłynęła w Warszawie. Córką Polki i rosyjskiego Niemca, żona Greka, a potem żona Moskala, była — przynajmniej bywała — patriotką polską, chociaż dosyć dyskretną. W każdym razie ta strona jej biografii nie mogła być dostatecznie opracowana przez biografów francuskich czy angielskich. Rzecz p. Heymanowej nie ma pretensyj odkrywczych; opiera się na znanych źródłach i nie przynosi nowych oświetleń. Jest to powieść życiorysowa bez ciekawszego pogłębienia psychologicznego i bez plastyczniej zarysowanego tła. Niespecjalista znajdzie tu sporo materiału informacyjnego, ujętego lekko i z pewnym wdziękiem stylistycznym.

Antoni Wysocki: *Polonez Ogińskiego*. — Tańczony jest ten polonez w maju r. 1842 w Kijowie, podczas „zielonego karnawału“, w pałacu hrabiów Kalinowskich, który niegdyś był domem wojewodów ruskich. Tańczy go arystokracja polska i rosyjska, a przygląda się tańcom generał-gubernator Bibikow. Pod maską olśniewającej zabawy rozgrywają się różne konspiracyjne akcje patriotyczne, zjawia się nawet

w przebraniu emisariusz emigracji paryskiej, na którego policja kijowska przygotowuje sprytną zasadzkę, ale sama jeszcze sprytniej zostaje wyprowadzona w pole przez polską młodzież. Ciekawy epizod z dziejów obrony historycznej polskości na beznadziejnym terenie. Akcja powieści, rozgrywająca się w ciągu jednej nocy balowej, ma dramatyczną wymowę, ale styl opowiadania i dialogów pozbawiony żywszego wyrazu, mało charakterystyczny dla epoki i w ogóle trochę zaniedbany. Interesująco zarysowana postać sławnego Bibikowa.

Zdzisław Harlender: *Czcciele Dadźbóg Swarożycza*. — Autor oparł się na pracach prof. Aleksandra Brücknera o mitologii słowiańskiej i polskiej, ale — rzecz szczególna — wbrew wybitnie i nawet przesadnie negatywnym wynikom tych prac, umiał z nich wysnuć podniecie do rekonstrukcji prapolskiej kultury religijnej. Przyświecały mu cele pozaartystyczne: renesans pogaństwa słowiańskiego w naszej epoce. W przedmowie do książki wielbi pogaństwo jako „religię silnych i młodych, nie bojących się życia, umiejących brać z niego radość ... jako tryumf wiedzy nad wiarą (?), symbolów życia nad symbolami cierpienia, poezji nad fanatyzmem“ etc. Oznaki nadejścia szczęśliwej epoki tego tryumfu widzi w tradycyjnym paleniu ognia na świętach gór, morza i lasu, oraz w zwrocie do zabaw ludowych. W połączeniu z niechętnym stosunkiem do kleru katolickiego wywody autora nabierają specjalnego posmaku aktualności zza sąsiedniej granicy. Literacka wartość książki — nie mówiąc o filozoficznej — znikoma.

III

Eugeniusz Pawłowski: *Chochółowscy*. — I rozmiarami, i niewątpliwą wartością literacką trylogia ta stanowi najważniejszą pozycję wśród naszej belletrystyki regionalnej. Jest to właściwie powieść historyczna z życia ludu podhalańskiego w pierwszej połowie XIX wieku. Pierwsze dwie części — *We mgłę świtu* i *Burza nadciąga* — to szeroko, epicko rozprawdzone malowidło tego życia: całoroczne gospodarstwo góralskie, pasterstwo na halach, wyprawy na jarmarki, sprawy rodzinne, wierzenia i legendy (np. o skarbach w górach); na tym tle przedstawione są stosunki społeczne i polityczne, a „burza“, która nadciąga w drugiej części trylogii, to przygotowanie do słynnego powstania chochołowskiego, któremu

dowodził ks. Kmietowicz, wikary z Chochołowa, i organista Andrusikiewicz. Część trzecia — *Kurniawa* — daje szczegółowo opracowany obraz owego powstania w r. 1846, wywołanego przedwczesnymi wieściami o powstaniu w całej Galicji, skomplikowanego jednoczesnym wybuchem t. zw. „rabacyi chłopskiej“ i zakończonego uwięzieniem wszystkich uczestników — najpierw w Nowym Sączu, potem w Spielbergu. Rzecz kończy się powrotem więźniów do Chochołowa i szumnym weselem Staszka Pokusy-Chochołowskiego i Marysi Krzysiakówny-Blaszyńskiej, których miłość przechodziła przez trudne perypetie tamtych burzliwych czasów.

Powieść nie ma wyższych pretensyj kompozycyjnych czy psychologicznych, ale w swoim zakresie daje doskonały obraz zarówno życia ludowego jak i jednego z najniezwyklejszych i najbardziej wzruszających epizodów walki powstańczej. Wielką wartością całego utworu jest jego język: autor posługuje się gwarą we wszystkich dialogach ludowych, a używa jej też w opowiadaniach, gdzie zachodzi tego potrzeba ze względów wierności etnograficznej i ekspresji stylistycznej. Czyni to bardzo umiejętnie i artystycznie. Prof. Kazimierz Nitsch, pisząc o tej powieści w *Języku Polskim*, powiedział: „Tak doskonałej gwary podhalańskiej... jeszcześmy dotąd w beletrystyce polskiej nie mieli... poza Tetmajerem, w całej powodzi literackiej podhalańskości, nikt chyba panu Pawłowskiemu nie dorówna; dla tak częstych niestety partaczy najpiękniejszej w Polsce mowy ludowej mógłby on być wzorem jej bezpośredniej i gruntownej znajomości“.

Roman Koseła: *Sandomierka*. — Dziesięć legend historycznych z ziemi sandomierskiej. Tematem legend są głównie podania z wieku XIII (w tym najczęściej dotyczące zdarzeń związanych z najazdami tatarskimi); jedna legenda mówi o Twardowskim, jedna o sprawie z roku 1680. Stylizacja nowel doskonała, przypominająca nieraz rytmiczną prozę *Powieści o Udałym Walgierzu* Żeromskiego. Autor świetnie posługuje się archaizmami i wyrażeniami gwarowymi. Nie tylko zamiłowanie w tym znać, ale i poważne znanstwo. W nielicznej naszej literaturze regionalnej książeczka ta zajmie pierwszorzędne miejsce.

Juliusz Kędziora: *Marcyna*. — Typowa pomyłka naturalizmu literackiego. Autorowi wydawało się, że ukaże prawdę duszy „chłopskiej“ przez fotograficzne odtworzenie warunków jej bytowania. Dlatego cała długa powieść (dotychczas dwa grube tomy, a to podobno tylko początek) napisana jest gwarą podkrakowską, nie tylko w dialogach, ale integralnie: od pierwszego do ostatniego wyrazu. Zacieśniło to strasz-

liwie horyzont przedstawionego tu świata: nie widzimy społeczności ludzkiej, narodowej, wyznaniowej ani nawet klasowej, tylko jakiś rezerwat dziwacznych zwierzolutów, rządzonych przez elementarne namiętności i karykaturalną mitologię religijną. Dążąc do maksymalnej wierności, doszedł autor do maksymalnej nieprawdy. Nie jest to wierny obraz życia wsi polskiej, lecz jego złośliwa karykatura. Nieświadoma, ale przykra.

IV

Stefania Zahorska: *Korzenie*. — Spośród bardzo licznych debiutów powieściowych roku 1937 na pierwszym miejscu trzeba postawić utwór autorki, która dotychczas była znana z prac w dziedzinie historii i krytyki sztuk plastycznych. Co w tym debiucie zastanawia i uderza przede wszystkim — to nadzwyczajna dojrzałość stylu: jego pewność, opanowanie, trafność i skuteczność. Takiego stylu nie spotyka się u debiutantów. Jest to styl wybitnie narracyjny: naturalny, oszczędny, ale zarazem wymowny i plastyczny. Autorka trzyma się jak najdalej od takich wzorów stylistycznych jak Berent, Kaden-Bandrowski lub jego naśladowcy (np. Naglerowa lub spółka Boguszewska & Kornacki), gdzie pierwszym przykazaniem sztuki pisarskiej jest metaforyczna opisowość, stylizacja, maksymalna ekspresywność słowa; autorka *Korzeni* idzie raczej po linii realizmu narracyjnego — linii wytkniętej w znakomitej tetralogii Marii Dąbrowskiej. Tematycznie powieść p. Zahorskiej jest interesująca, świeża i bogata. Część pierwsza przedstawia skomplikowane sprawy bardzo niedobranego i bardzo nieszczęśliwego małżeństwa właściciela majątku Korzenie, pana Ksawerego; mamy tu zarazem ciekawy, pełen nowych rysów obraz bytowania ziemiańskiego w dość już dziś odległej epoce: na wiosnę roku 1914. Kilka postaci tej części: pan Ksawery, jego nieszczęśliwa i niedobra żona, ich córka — skwaszona, starzejąca się trzydziestoletnia panna, — a na dalszym planie pyszna figura zamaszystej, prostej i dobrej siostry pana Ksawerego, Zuzanny Mortęskiej, cierpiącej z powodu braku potomstwa — wszystko to zarysowane z godną podziwu pewnością ręki. Druga część opisuje dzieje syna pana Ksawerego, Jana, studenta filozofii w Krakowie, i jego miłości do pięknej koleżanki Anny. Otóż ta Anna jest Żydówką — córką architekta Leona Webera. Tu tkwi konflikt, który na razie dopiero się zaznacza; przerywa go wybuch wojny. Jan i Anna to lu-

dzie subtelni i rzetelni, stojący na szczytach kultury swoich czasów; tylko źródła tej kultury są bardzo różne: Jan o tradycjach szlachecko-arystokratycznych, swoiście radykalnych i zarazem rycerskich; Anna wychowana w atmosferze krakowskiego mieszczaństwa żydowskiego, zasymilowanego z polskością w pierwszym dopiero pokoleniu, radykalnego i ultra-postępowego. Zarysowują się różnice w ustosunkowaniu się do spraw społecznych, do rewolucji r. 1905, do polityki, do literatury polskiej; dalej występują kwestie obyczaju, tradycji domowych, poczucia rasy; najgroźniej przedstawiają się sprawy stosunku do tej miłości rodziców Jana i rodziców Anny: tutaj konflikty łatwo mogą przybrać — i nawet już przybierają — wymiary tragiczne. Tymczasem kładzie im kres wojna: Jan — od niedawna Strzelec — wyrusza z Legionami do Królestwa. Jak się rozstrzygną konflikty wywołane przez jego miłość do Anny, dowiemy się z następnej powieści: *Korzenie* są bowiem tylko pierwszą częścią cyklu powieściowego pod ogólnym tytułem *Ziemia Kaliksta*. Jak dotąd, pewne zastrzeżenia nasuwałyby się na punkcie kompozycji, o której trudno teraz powiedzieć, czy zatacza coraz szersze kręgi, czy też jest zbyt luźna (długa rozmowa przyszłych legionistów w jednym z końcowych rozdziałów nie tłumaczy się kompozycyjnie, a treściowo jest po prostu licha). O tych sprawach można będzie jednak wyrokować dopiero po poznaniu całości.

Józef Kisielewski: *Powrót*. — Bolesne dzieje córki zamożnego mieszczanina wielkopolskiego, rozgrywające się w środowisku przez naszą powieść mało wyzyskanym, a tutaj zajmująco i stylowo przedstawionym. Głęboka miłość wyrzuca Annę poza obręb surowego domu rodzicielskiego, a tradycyjna moralność otoczenia skłania ją — po latach — do wyjścia za mąż za ojca jej dziecka, gdy dawno już pierzchły złudzenia co do jego wartości, a zarysowała się możliwość prawdziwego szczęścia z kochającym ją lekarzem. Zagadnienie moralne powieści stawia autor z powagą i przenikliwością psychologiczną, a rozwiązuje wedle wymagań ideologii katolickiej. Za „błąd“ młodości płaci Anna pokutą surowego życia i oddaleniem perspektywy osobistego szczęścia przez взгляд na córkę, której nazwisko ojca umożliwi małżeństwo z wybranym serca. Mniej udana jest próba postawienia problemu sprawiedliwości społecznej, skoncentrowana wokół postaci młodego księdza cierpiącego na głód sprawiedliwości. Sama postać księdza jest zresztą przedstawiona przekonująco. Powieść ta jest najwybitniejszym zjawiskiem w polskiej belletrystyce katolickiej.

Sergiusz Piasecki: *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*. — W utworze tym interesujący jest stosunek materiału treściowego do formy artystycznej. Miał to być pamiętnik byłego bandyty, skazanego najpierw na karę śmierci, a potem — w drodze łaski — na 15 lat ciężkiego więzienia; a naprawdę jest to romans awanturniczny w typie zapomnianych powieści Fenimora Coopera. Ile tu ludzkiego doświadczenia, a ile fikcji artystycznej? Jaka jest erudycja literacka autora? Czy materiał wspomnień intuicyjnie ułożył mu się w znane wzory romansowe? Bo to jest romans o „szlachetnych rozbójnikach“ czy też o „hardych zbójnikach“, — którymi — około roku 1922 — mieli być przemytnicy towarów przez granicę polsko-rosyjską. Mamy tu wszystkie elementy takiego romansu, aż do elementu mniemanej nadprzyrodzoneści: białe widmo na „mogile kapitańskiej“, a w rzeczywistości biały piesek córki pochowanego tam kapitana. Romans w gatunku nie najlepszym, w idealizacji życia nowych Rinaldinich społecznie i wychowawczo wątpliwy, ale pisany z wrodzonym talentem narratorskim i z niespodziewanym nieraz odczuciem poezji. O istotnych możliwościach twórczych niezwykłego pisarza rozstrzygną jednak następne jego utwory.

Włodzimierz Wiskowski: *Przepraszam, że żyję*. — Pod dość niezręcznym tytułem kryje się doskonale pisana „opowieść autobiograficzna“ o pobycie w więzieniu człowieka z dużą kulturą umysłową i niespodzianym wyrobieniem pisarskim. Można ją właściwie potraktować jako powieść, której początek przypada na chwilę zaaresztowania autora, a koniec na moment opuszczenia więzienia po pięcioletnim tam pobycie, i która się rozpada na kilkadziesiąt różnej długości rozdziałków — anegdot, obrazków, sumujących się na obraz życia więziennego w całej jego rozciągłości. Wysoka inteligencja autora pozwala mu zarówno na zajmujące analizy psychologiczne, wynikające z introspekcji, jak i na oryginalne często refleksje natury społecznej. Książka napisana stylem naturalnym i raczej dyskretnym; wzruszenie jest w niej gościem rzadkim, humor i dowcip o zacięciu satyrycznym — dość częstym. Jej wartość — rzeczowa i literacka — nasłuchuje czytelnikowi wiele tematów do rozmyślań, a skierowując uwagę na samego autora, budzi osobliwe uczucie konsternacji.

Marian Czuchnowski: *Cynk*. — Obrazy z życia więziennego, oparte na materiale z pewnością autentycznym, ale mało przekonujące artystycznie. Ponure zjawiska i zdarzenia zachodzące w opisanym środo-

wisku nie osiągają oryginalniejszej ekspresji literackiej. Mimo wprowadzenia na szeroką skalę żargonu przestępczego (co spowodowało nawet umieszczenie słowniczka na końcu książki), autor nie osiąga zamierzonego wrażenia autentyzmu czy realizmu. Obserwacja i uczciwy namysł teoretyczny (o którym świadczy ciekawy epilog) nie doprowadziły do artystycznie wymownego ukazania absorbującej autora rzeczywistości.

Kazimierz Sejda: *C. k. Dezerterzy*. — Akcja powieści rozgrywa się w czasie ostatnich czterech miesięcy istnienia monarchii austriacko-węgierskiej. Autor powiada w przedmowie: „Na tle mej służby i dezercji powstała ta opowieść, która w lwiej części jest aż nadto prawdziwa. Trochę tylko przetasowałem czasokresy, ludzi i miejsca — i powiązałem fakty w jedną całość“. Ten wyraźnie ujawniony charakter autobiograficzny nie przeszkodził autorowi doskonale zobiektywizować swego materiału: powstał utwór zwarty, jednolity, dobrze zbudowany — prawdziwy romans łażkowski w najlepszym stylu. Przypomina to nastrojem sławnego czeskiego *Szwejka*, ale jest bardziej utrzymane w granicach prawdopodobieństwa i realizmu. Autor umie opowiadać i ma dar stwarzania żywych postaci. Protagoniści tej historii — Polak, Żyd, Włoch, Węgier i Ukrainiec — znaleźli się w małej mieścinie węgierskiej, w kompanii wartowniczej, złożonej w całości z elementów „politycznie podejrzanych“. Po pewnym czasie grozi im z różnych powodów sąd wojenny. Dezerterują i włączają się przez parę miesięcy po całej monarchii, doznając najfantastyczniejszych przygód, możliwych tylko w momencie dogorywania wielkiej wojny i rozpadania się skomplikowanego a niezdrowego organizmu politycznego. Wszystko to przedstawione z niezachwianym humorem, ale poza tym humorem czai się wiecznie obecna i wyczuwalna groza przełomowej chwili historycznej. Jako obraz owej chwili książka jest prawdziwa. I dlatego — poza wartością dobrej literatury — ma też wartość dokumentu.

Stanisław Colonna - Walewski: *Rdza we blaski*. — Wspomnienia wojenne, ubrane w lekką fikcję powieściową. Najlepiej wypadły dwa fragmenty, w których autor porzucił fikcję obiektywizacji bohatera i pozwolił mu przemówić bezpośrednio: w obszernym urywku z pamiętnika i w niemniej obszernym liście do przyjaciela. Sądząc z tych dwóch fragmentów, można przypuszczać, że cały utwór by zyskał, gdyby był ujęty w taką właśnie formę bezpośredniego wypowiedzenia się bohatera. Realizm niektórych obrazów działań wojennych, np. opis trzydniowego

ataku artyleryjskiego, ma wymowę niepospolitą. Tak jest ze wszystkim, co dotyczy samej wojny. Słabiej — i to znacznie słabiej — wypadły sceny, w których bohater powieści leczy się lub wypoczywa zdala od linii frontu: na plebanii unickiego proboszcza, w małym miasteczku galicyjskim lub w wygodnym szpitalu w głębi Austrii — i gdzie, stosownie do swego wieku i stosownie do tradycji powieściowych, doznaje nadzwyczajnych przygód erotycznych. Młode, piękne, świeże, namiętne i dobre kobiety szaleją za nim — w pojedynkę i parami. Ale to jest mniej przekonujące i w tym jest o wiele niższa klasa pisarska. Najlebsze jednak są dwa ostatnie rozdziały powieści, opowiadające o losach bohatera w latach 1920 — 1921, już w armii polskiej. Nie wiadomo po co mówi się tu szeroko a powierzchownie o znanych faktach z historii zdobywania naszej niepodległości, a kończy się naiwnie symbolicznym obrazkiem na temat filozofii wojny, która dopiero wtedy „przestanie być koniecznością“, kiedy dzieci — zamiast bawić się w bitwy — zaczną się bawić „w pracę i w miłość“.

Stanisław Piętak: *Młodość Jasia Kunefala*. — Bardzo skomplikowana jest budowa tego debiutu powieściowego: w pierwszej części mamy normalną powieść, pisaną metodą obiektywną, o chłopcu wiejskim, uczniu gimnazjalnym, przebywającym w domu na wakacjach; uczeń ten jest przyszłym literatem, pisze wiersze i pisze powieść o własnym dzieciństwie — to jest część druga, stanowiąca w ten sposób fikcję w kwadracie; na część trzecią utworu składa się pamiętnik bohatera z czasu kończenia gimnazjum w pobliskim mieście. W tej skomplikowanej konstrukcji zachodzą dalsze komplikacje: obszerny epizod pierwszej części, napisany realistycznie, jest wizją senną bohatera; ale o tym, że to wizja, dowiadujemy się dopiero przy samym końcu (maniera Struga); w drugiej części najwięcej miejsca zajmują sceny z życia przodków bohatera — pradziadka, dziadka, różnych stryjów i innych krewnych; oparte to jest na opowiadaniach ojca Jasia Kunefala, ale nie za pomocą przytoczenia samych opowiadań, lecz w formie powieściowego ich zdramatyzowania, czyli wprowadzenia jak gdyby nowej sfery fikcji, trzeciej już z kolei. Te wszystkie komplikacje konstrukcyjne nie mają charakteru świadomej i celowej metody; prowadzą też tylko do chaosu. Interesujące w całym utworze są tylko owe sceny z przeszłości rodziny Kunefalów; robi to wrażenie czegoś oryginalnego, nie spotykanego w tematyce naszej powieści ludowej; ale naprawdę nie ma tu oryginalności: wszystko to przy-

szło z daleka, z Norwegii, od Hamsuna i Sygrydy Undset, przez swoje pośrednictwo *Wędrówki Joanny*. Część pierwsza, artystycznie mało interesująca i nieporadna, powtarza motywy wiejskie, szkolne i erotyczne, wielokrotnie i bez porównania lepiej opiewane. Najsłabszy jest pamiętnik, stanowiący część trzecią: tutaj jesteśmy na pograniczu grafomanii. Całość — chaotyczna, niedojrzała, całkiem jeszcze „zielona” — odsłania słabizny talentu i intelektu zdolnego liryka.

Józef Morton: *Spowiedź*. — Tragedia wiejskiego chłopca, pragnącego wyjść w świat i stać się „kimś”. Ojciec postanawia, że jego syn „nie będzie wyrzucał gnoju” i kosztem upartych ofiar przepycha go przez gimnazjum. Stefuś zostaje studentem, ale nie będzie „kimś”, bo umiera na suchoty. Wzruszające jest w książce to, co stanowi dokument; słabe to, co jest literacką formą dokumentu. Literackość doprowadza autora do pomysłów bardzo nienaturalnych: bohater opisał w swoim pamiętniku własną śmierć, a potem jeszcze zdążył do całości pamiętnika napisać przedmowę. Literacki charakter ma też partia pamiętnika opisująca pobyt bohatera wśród najbiedniejszego proletariatu wielkowiejskiego. Cała książka jest właściwie dowodem, jak trudno z autobiografii zrobić utwór literacki. Trudności tych jeszcze się nie udało młodemu autorowi przezwyciężyć.

Wanda Karczewska: *Ludzie spod żagli*. — Powieść słusznie otrzymała nagrodę literacką im. J. Szareckiego za najlepszy utwór marynistyczny w r. 1937. Autorka pracę żeglarską poznała bezpośrednio jako członek załogi yachtów i odbyła szereg „rejsów”. Na literackie ujęcie tematu nie da się zaprzeczyć wpływ Londona; widać ten wpływ na obrazowaniu stosunków panujących na okręcie i — najwyraźniej — na przedstawieniu konfliktu między sztormanem Hopkinsem i marynarzem Olafsonem, stanowiącego główny motyw fabularny powieści. Napięcie dramatyczne wynikające ze zmagania się tych dwóch postaci utrzymuje autorka zrećnię do samego prawie końca, chociaż psychologia bohaterów i w ogóle strona intelektualna powieści nie ma dostatecznego pogłębienia. Koloryt ogólny utworu jest dobrze utrzymany, a nastrój całości prawie wolny od poślizgnięć sentymentalizmu, mimo że autorka niewątpliwie pozostaje pod czarem yachtingu. Dobry krajobraz morski.

Brunon Dzimicz: *Skaza marynarska*. — „Ludzie spod żagli” widziani okiem tego autora nie mają w sobie patosu mocnych uczuć i gwałtownych przeżyć, za to wiele humoru i pociągu do wszelkich gatunków

spirytusu i wszelkich kolorów skóry niewieściej. Życie marynarskie pokazane jest od strony „stołu oficerskiego“. O wdzięku opowiadań stanowi ich autentyczność: autor sam jest człowiekiem morza i w niejednym z opowiadanych zdarzeń występuje jako bezpośrednio wtajemniczony. Opowiadania dotyczą życia na różnych statkach i w różnych czasach — przedwojennych, wojennych i powojennych (już w polskiej Marynarce wojennej); niektóre noszą wszelkie znamiona wieku (*Modra pościata* to znana makabra lądowa w dekoracji morskiej) lub naciągania szczurów lądowych; niemniej są szczerze zabawne w znakomitej większości. Język nie zawsze poprawny, ale dowcipny w wynalazczości słownikowej.

Z. Nina Rydzewska - Baytugan: *Akwamaryna*. — Trzecia książka o morzu odnosi się całkowicie do stosunków polskich, gdy poprzednie tylko wycinek oddawały myśli o polskiej flocie i o polskim wybrzeżu. Rydzewska ukazuje morze od strony lądu — od strony życia rybackiego, a główny trzon jej powieści stanowią przemiany małej wioski gdyńskiej w wielki port nowoczesny — i związane z tym ewolucje w psychice rodziny kaszubskiej. Na atmosferze powieści mocno zaciężała *Wędrówka Joanny Szalburg-Zarembiny*; samodzielność autorki wystąpiła w opisie pogrzebu rybackiego na leśnym cmentarzyku gdyńskim i w użytkowaniu zasobu przesądów i wierzeń kaszubskich. Folklor oraz modelowanie postaci drugoplanowych są zaletą powieści, słabą jej stroną zgrzyty psychologiczne (i stylistyczne) w przedstawieniu głównych bohaterów: rybaczkę Weronikę i straconej przez nią na rzecz kultury i miasta córki, Petronelki, pani referentowej mieszkającej w stolicy.

Antoni Kawczyński: *Dannemora*. — Kapitan statku towarowego „Dannemora“, Szwed Andersson, poznał się z piękną Polką w Gdańsku. Owocem znajomości był śliczny chłopczyk, który przyszedł na świat po wyjeździe kapitana. Po paru latach „Dannemora“ staje w porcie gdyńskim, kapitan Andersson odszukuje dawną kochankę, ogląda syna, ale zarazem widzi, że kochanka ma prawowitego małżonka, młodego biuralistę Słomiana: dziecko musiało mieć ojca, a roztargniony kapitan nie pokazał się w swoim czasie. Gotuje się rozwód — ale Słomian popada w wielkie trudności moralno-finansowe, kapitan lituje się nad nim, ratuje go, rezygnuje z syna i przyszłej małżonki, tym bardziej, że pani Słomianowa właściwie kocha tylko męża. Kapitan znowuż wyrusza w daleki świat i po pewnym czasie ginie w jakimś portowym szynku brazylijskim w obronie honoru imienia Polki. Dramat ten rozgrywa się na

tłe stosunków gdyńskich zajmująco opisanych: knajpy portowe, międzynarodowi marynarze, piękne kelnerki, szacherki aferzystów żydowskich prowokujących strajki robotników transportowych, szpitale, siostry miłosierdzia, pogrzeb jednego z oficerów „Dannemory“. Kompozycja zbyt luźna, psychologia trochę szablonowa, ale sporo ruchu i konkretności obserwacyjnej. Obiecujące jako debiut.

Antoni Dębczyński: *Haszysz Czarnego Lądu*. — Doskonała powieść egzotyczna, pozbawiona wszelkich elementów sensacyjnych, obrazująca życie człowieka białego w Kongo belgijskim i jego stosunki z ludnością wiosek murzyńskich — z plastyką i realizmem mającym wszelkie cechy autentyczności. Bohaterem jest Polak; jego wysoka wartość moralna nie służy jednak autorowi do celów łatwej apoteozy nacjonalistycznej. Dla Andrzeja kolonizacja to nie misja romantyczna, lecz rodzaj nowoczesnej wędrówki narodów, przynoszącej krajom egzotycznym dodatnie i ujemne cechy cywilizacji europejskiej. W tym trzeźwym postawieniu sprawy, jak i w uwydatnieniu niebezpiecznego uroku świata afrykańskiego, który odrywa Andrzeja od kraju i od pozostawionej tam rodziny, zaznaczył się znamienny rys powieści: powstawanie nowej psychiki Polaka oddalonego od ojczyzny. Uwolniony od tradycyjnych kompleksów patriotycznych, nie tęskni do nieszczęśliwej i dalekiej, lecz razem z sobą niesie w świat jej wartości. Tak Anglicy zdobywali niegdyś dla swej kultury dalekie lądy.

Agnieszka Osiecka: *Krzyż na piaskach*. — Powieści młodych (i starych) radykałów zawierają prawie zawsze krwawe satyry na ziemianstwo i na księży; utwory młodzieży z przeciwległego krańca poglądów społecznych przedstawiają grozę niebezpieczeństwa żydowskiego. Autorka *Krzyża na piaskach* stoi właśnie na przeciwległym krańcu i poważnie martwi się niebezpieczeństwem, jakie duszy polskiej zagraża ze strony duszy żydowskiej, o ile pierwsza z tych dusz nieostrożnie pozwoli się zbliżyć do siebie tej drugiej duszy. Młoda poetka zakochała się w wybitnym pocie pochodzenia żydowskiego i musiała go co prędzej porzucić, bo nie mogła znieść ciągłego profanowania jej uczuć osobistych i tradycyjnych (ale jak mogła się zakochać, jak mogła pozwolić na takie „zbliżenie“ dusz: tutaj tkwi słaby i wstydlivy punkt powieści, unicestwiający w zarodku jej tendencję). Autorka małżeństwo z Żydem daje odczuć swej bohaterce jako zdradę nie tylko wobec tradycji, ale także w stosunku do metafizycznych regionów życia, omal jako zdradę religijną, i karze ją czasową utratą na-

tchnienia poetyckiego. Za trudne zadanie wybrała sobie młoda debiutantka: konflikt dwóch ras duchowych, sam w sobie tak trudny do przeprowadzenia, skomplikowała przez obdarzenie obojga bohaterów talentem poetyckim. To pogrzyżyło cały utwór w atmosferze bezustannej poetyckości; bohaterowie na codzień i na stałe wyrażają się w sposób ozdobny i niezwykle, a ponadto partie prozaiczne (powieść ma formę pamiętnika) przeplatają się z wierszowanymi płodami natchnienia młodej poetki. Ten pamiętnik poetycki — napewno wbrew przewidywaniom autorki — oddziałania bardzo sentymentalną, niedoświadczoną i niedość energiczną młodą panienkę. Autorce podoba się ona mocniej niż czytelnikowi. Całkiem niefortunnie wypadł obraz psychologiczny tego brutala i cynika — poety żydowskiego, modelowanego na wzór legendy o znanych postaciach z kawiarnianego życia literackiej Warszawy. Listów miłosnych, tak pisanych jak wyobraża je sobie autorka, nie mógłby napisać nawet zupełnie średni literat. Proza nie pozwoliła na razie ujawnić się talentowi młodej autorki.

Czesława Sobiesiak-Kamińska: *Kwitające żyto*. — Powieść przedstawia życie kamienicy robotniczej na Solcu, a właściwie jednego w niej korytarza ze wspólnym zlewem dla kilku mieszkań jednoizbowych; specjalnie zaś rodziny furmana Fabińskiego. Główną bohaterką powieści jest jego córka Sabcia. Opowiedziane tu jest jej dzieciństwo, nauka w szkole powszechnej, potem nauka w gimnazjum, prowadzona z niezmiernym wysiłkiem, wbrew zniechęceniu rodziny, wbrew nietaktownym radom i kpinom sąsiadów, wbrew sprzysiężonym potęgom nędzy i nieżyczliwości świata. Sabcia zdobywa maturę i na końcu powieści widzimy ją, jak wrzuca do specjalnej skrzynki w Ministerstwie Poczty i Telegrafów podanie o posadę... Nie bardzo wierzymy w pomyślny skutek tego podania, chociaż Sabcia szepce do siebie: „wytrwam!“ A nawet, gdyby Sabcia zdobyła ostatecznie pracę na poczcie, to nie wydaje się, żeby ten cel wart był tych wszystkich rozpaczliwych wysiłków, pracowicie opisanych w powieści. Powieść rzeczywiście pisana jest pracowicie: mnóstwo drobniawych opisów naturalistycznych, nie cofających się przed żadnym szczegółem życia kamienicy i nazywających rzeczy po imieniu: tak jak się w tej kamienicy mówi. Jest w tym wszystkim wierność, ale raczej wierność folklorystyczna; ekspresji artystycznej opisy te nie osiągają; nie ma w nich tej atmosfery jakiegoś eposu Powiśla, jaką tak znakomicie uchwycił Uniółowski w powieści *Dwadzieścia lat życia*, przedstawiającej to samo środowisko. Kompozycyjnie utwór p. Sobiesiak-Kamińskiej jest dość

chaotyczny: dużo postaci, nie zawsze dostatecznie scharakteryzowanych, dużo wątków tematycznych, nie zawsze celowo wprowadzanych i porzucanych w połowie drogi. Psychologia głównej bohaterki nie zawsze przekonywająca, a w przedstawieniu tzw. „wyższych sfer“, z którymi Sabina styka się jako uczenica gimnazjum, brzmi często nuta fałszywa. W całości utwór surowy, w którym dobra obserwacja środowiska nie pomogła do osiągnięcia wybitniejszych wartości artystycznych.

Jan Strzembosz: *Dzieje dziesięciolecia. I: Pożyczka zagraniczna. II. Radosna twórczość.* — Inteligentne, na poważnym odczytaniu oparte rozważania na temat kultury francuskiej; dyplomatycznie ostrożne, a obszernie wyrażone sądy o poczynaniach politycznych, społecznych i ekonomicznych w pierwszych latach nowej państwowości polskiej, o przyczynach i skutkach zamachu stanu z maja 1926 r., o późniejszych rozczarowaniach teoretycznych zwolenników tego przewrotu. Wszystko ubrane w bardzo bładą fikcję powieściową. Publicystyka trochę mentor-ska, styl płynny ale mało indywidualny, zdolność artystycznego kształtowania poruszanej problematyki minimalna.

Jerzy Strzemię-Janowski: *Karmazyny i żuliki.* — Zmarły niedawno dziennikarz opowiedział tu tonem bezpretensjonalnej gawędy wspomnienia o hodowanych w ciągu bujnego żywota zwierzętach: koniach, psach i kotach. Spostrzeżenia z dziedziny psychologii zwierzęcej komunikuje autor z humorem i sentymentem, usposabiającym czytelnika przyjaźnie i do autora i do jego bohaterów. Ze względu na czasy (wielka wojna) i na ludzi, którzy przy okazji wkraczają na teren opowiadań Janowskiego, książkę tę można uznać za pamiątnik o pewnym znaczeniu historycznym.

T. J. Junosza: *Mgły nad Sekwaną.* — Tertulian Stablewski: *Montparnasse.* — Bohaterowie obu tych powieści są malarzami, obaj Polakami mieszkającymi w Paryżu i obaj na wspomnienie *Giocondy* Leonarda da Vinci mówią o „cudzie“ i o „tajemnicy“. W obu książkach dużo natrząsania się z kolegów po fachu owych malarzy, tudzież z krytyków artystycznych (w tym przewaga Junoszy); dużo trywialnego erotyzmu (tu góruje Stablewski); najwięcej zaś pretensjonalnego banału, zwłaszcza w dyskusjach na tematy miłości i sztuki (pod tym względem obaj autorzy są sobie równi). *Mgła nad Sekwaną* odznacza się ponadto mglistą głębią cierpień miłosnych bohatera, zakochanego w mężatce,

a *Montparnasse* przemawia okropną polszczyzną i grafomańską poetycznością stylu.

Zdzisław Chrzastowski: *Górne i durne*. — Książka należy do literatury wspomnień, w typie *Szczenięcych lat* Wańkowicza, który też opatrzył ją przedmową. Polowania młodego panicza na zwierzynę leśną i na dziewczęta z włości ojcowskich, ujeżdżanie koni i pełne swoistego temperamentu zabawy w bliższym i dalszym sąsiedztwie mogą budzić pełny odzew w czytelnikach posiadających podobne wspomnienia i identyczną umysłowość; innym kontakt uczuciowy z książką utrudnią refleksje natury społecznej oraz ograniczoność widnokręgów młodzińskiego bohatera, kontakt zaś estetyczny zniweczy świadomość, że o wiele artystyczniej pokazano ten świat w powieściach Weyssenhoffa.

Zygmunt Jurkowski: *Księżycowe interesy*. — Książka w typie „powieści współczesnych“ drukowanych w odcinkach pism codziennych. Jako robota literacka przedstawia się dość interesująco ze względu na element ironii, którym przeniknięty jest opis stosunków panujących w różnych kręgach życia stołecznego. Występują tu: doktor Dziubiel, badacz nieśmiertelności pierwotniaków i jednocześnie businessman, pełen nieudanych pomysłów finansowych; milioner Lubystek; Żyd Załkin, sadysta i właściciel podejrzanych lokali, a potem ochrzczony dobroczyńca wszelakich wydrwigroszów. Stosunek autora do tych postaci był by niejasny moralnie, gdyby nie nasuwające się nieodparcie przypuszczenie, że całe to towarzystwo stanowi teatr marionetek ludzkich, wystruganych zabawnie, ale z natury rzeczy bardzo dalekich od realizmu i prawdy życia.

Mieczysław Rudnicki: *Żydzi*. — Powieść tendencyjna o dużej sile agresywności. Akcja, zręcznie i interesująco przeprowadzona, odeślania nieustanny konflikt społeczeństwa polskiego i żydowskiego. Autor wydobywa wszystkie ciężkie argumenty w sprawie niebezpieczeństwa grożącego gospodarczemu i politycznemu stanowi Polski tak ze strony zasymilowanej inteligencji żydowskiej jak i ze strony zachowawców. Padają oskarżenia o komunizm, działalność masonską, nieuczciwą konkurencję, pozorne przyjęcie chrześcijaństwa, brak skrupułów moralnych w stosunkach z chrześcijanami i t. p. Rzecz, artyzmem przypominająca poczytne dawniej powieści Artura Gruszeckiego, ma intencje publicystyczne i tłumaczy się okolicznościami doby współczesnej.

Stanisław Pobóg: *Urzeczeni*. — Próba powieściowego przedstawienia przemian zachodzących w psychice społeczeństwa polskiego po roku 1863. Streszczają się one w reprezentantach trzech pokoleń: Adam Lutyczynski jest powstańcem i emigrantem ułaskawionym przez cara; jego syn jest zwolennikiem pracy organicznej; z wnuków jeden poetyzuje i entuzjazmuje się Młodą Polską, drugi prowadzi działalność konspiracyjną, walczy w Legionach, potem w roku 1920, wreszcie — jako osadnik wojskowy — otrzymuje w przydziale dawny swój majątek rodowy (w czepcu się urodził). Autorowi nie zbywa na dobrych chęciach.

Halina Kalina Jabłonowska: *Burżujka*. — Podtytuł głosi: powieść, ale książka ma raczej cechy autentycznego pamiętnika śpiewaczki-Polki, obejmującego jej przeżycia w Rosji bolszewickiej w latach 1917 — 1923. Materiał wspomnień, notowany stylem lekkim i żywym, bez specjalnych pretensyj literackich, stanowi lekturę łatwą, interesującą i — ze względu na minimalny udział pierwiastka grozy (jeden tylko opis nocnego wywożenia rozstrzelanych skazańców) — przyjemną.

Maria Krystyna Mikulska: *Odwet*. — W formę pamiętnika ujęte dzieje „nieprawego“ dziecka: córki biednej kucharki w Odessie, Polki. Treść stanowi poszukiwanie ojca, na którym bohaterka ma wziąć swój „odwet“. Znajduje go wreszcie, ale — na cmentarzu; odwet zamienia się na zrozumienie i przebaczenie. Idea powieści mglista, niekonsekwentna i nieprzekonywająca. Robota literacka bardzo prymitywna. Nieprzyjemnie uderza brutalny, nieludzki stosunek bohaterki do matki.

Jan Dąbrowski: *Na zachód od Zanzibaru*. — Obrazki nowelistyczne, szkice, reportaże, felietony dziennikarskie na tematy z życia proletariatu. Od czasu do czasu przebłysk talentu pisarskiego, zwłaszcza w opisach doświadczeń ciężkiego dzieciństwa; na ogół jednak autor nie wychodzi jeszcze poza surowy prymityw dziennikarsko - literacki.

Stanisław Rodecki: *Zemsta Martinezy*. — Powieść felietonowa na temat walk pomiędzy republikami południowo - amerykańskimi. Egzotyzm filmowy i takąż dramatyczność akcji. Bez wartości i bez pretensyj literackich.

Jan Karol Wende: *Czwarty stan. I: Człowiecze drogi* — Powieść o konflikcie pomiędzy robotnikami a właścicielem fabryki musztardy. Napisana językiem poprawnym, nie rzuca jednak nowego światła na „człowiecze drogi“ i nie zdradza w autorze żadnych uzdolnień artystycznych. Typowy szablon powieści proletariackiej, w rozłożeniu światła

i cieni pomiędzy zwalczającymi się obozami kapitału i pracy wzorowany ściśle na powieściach Wandy Wasilewskiej.

Sydor Rey: *Kropiwniki*. — Trudno tę książkę zaliczyć do literatury w ogóle, a zwłaszcza do literatury polskiej. Jest to opowieść o małym miasteczku galicyjskim i o jego mieszkańcach, w bardzo swoisty sposób przedstawiająca stosunki pomiędzy Żydami, ludem i obywatelstwem ziemskim w połowie XIX wieku i w czasach dzisiejszych. Postaci żydowskie charakteryzowane bez talentu, ale z namiętnością ekspresji, w której czuje się temperament rasowy; postaci ze świata chrześcijańskiego (zwłaszcza policjant Szczerbacki i ziemiańska rodzina Kopystyńskich) uderzają mimowolną humorystyką. Szczytem komizmu jest długa dramatyczna polemika toczona przez dziedzica, nauczyciela szkoły kałhalnej w Kropiwnikach, diaka miejscowego i chłopów zgromadzonych w karczmie Lejbusia. Ta partia powieści powinna nosić tytuł: Jak pół-inteligent żydowski wyobraża sobie polskiego szlachcica i stosunki wiejskie w roku 1850?

V

Omówiono dotąd w tym przeglądzie 87 książek; jednakże lista bibliograficzna daleka jest jeszcze od wyczerpania. Trzy są po temu powody.

1. Nie wszystkie książki wpłynęły do redakcji *Rocznika*. Z rzeczy, które — przypuszczalnie — zasługiwałyby na omówienie, nie doszły do naszych rąk: Emila Zegadłowicza *Motory*, K. Anselma Klepsydra, Jana Bułhaka opowieść pt. *Dom*, Marii Kasterkiej *Na zamku milczenia*, J. Kryszanda *Akademia urwipolcia* i może parę innych.

2. O wymienionych w liście bibliograficznej nowych powieściach i nowelach Stefana Kiedrzyńskiego, F. A. Ossendowskiego, Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, Ireny Zarzyckiej, Mieczysławy Łuczyńskiej, Antoniego Marczyńskiego, Wiecha i Magdaleny Samozwaniec nie ma potrzeby mówić ponownie; pisarze ci i pisarki utrzymują zdobyty od dawna standard swego arcyzmu i cieszą się zasłużoną poczytnością; liczbę tego typu autorów powiększył Eugeniusz Szermentowski trzema swoimi powieściami.

3. Pozostali autorzy i pozostałe dzieła nie należą do zakresu naszego referatu. O niektórych pozycjach, z odmiennego punktu widzenia, mówi na innym miejscu *Rocznika* Piotr Grzegorzczak (w artykule „Życie literackie w Polsce“).

Wśród ponownych wydań zwraca na siebie uwagę jednolite wydanie pism Zofii Nałkowskiej, pięknie drukowane. Piotra Choynowskiego *Opowiadania szlacheckie* (przedruk nowel z tomu *O pięciu panach Sułczyckich* z dodaniem dwóch niedrukowanych) wydano ozdobnie z doskonałymi drzeworytami Stefana Mrożewskiego i poprzedzono mową Ferdynanda Goetla pt. „Pochwała twórczości Piotra Choynowskiego“, wygłoszoną w Polskiej Akademii Literatury. *Szałańców Bożych* Zofii Kossak wyszło trzecie wydanie, w formacie albumowym, z barwnymi ilustracjami Leli Pawlikowskiej. Nowe wydanie *Czarnych skrzydeł* Juliusza Kadena - Bandrowskiego godne jest uwagi przez to, że autor poddał tekst starannej rewizji i poczynił w nim skróty i znaczne zmiany stylistyczne. Przyszli badacze literatury będą mieli dużo kłopotu z krytycznym wydaniem pism tego autora. Odmianki tekstu zajmą wiele miejsca.

LEON PIWIŃSKI

WZNOWIENIA LITERACKIE

- Brzozowski St. *Legenda Młodej Polski*, opr. K. Irzykowski. W-wa. Inst. Lit.
- Czahrowski A. *Treny i rzeczy rozmaite*, opr. T. Mikulski. W-wa. Kasa im. Mianowskiego.
- Goszczyński S. *Listy (1823-1875)*, wyd. St. Pigoń. Kraków. P. A. U.
- Kasprowicz J. *Listy do Jadwigi*. Poznań. Druk. Rolnicza.
- Konopnicka M. *Dym*. W-wa. G. i W., wyd. 17. B. U. L.
- Kraśniński Z. *Dziela*. Pisma wybrane. W-wa. Przeworski.
- Kraszewski J. I. *Stara baśń*. W-wa. Arct.
- Mickiewicz A. *Dziela wszystkie*. T. VII: *Pisma prozaiczne francuskie przełożone Cz. I.* — *Pisma estetyczno-krytyczne*. — *Opowiadania*. — *Pisma historyczne*. — *Wykłady lozańskie*. — *Pisma polityczne*. W-wa. Nakł. Skarbu Rzplitej Pol. — Kasa im. Mianowskiego.
- Norwid C. K. *Wszystkie pisma C. K. N. po dziś w całości lub fragmentach odzyskane*. W-wa. Wydanie i nakład Z. Przesmyckiego. Sgł. Kasa im. Mianowskiego. T. III i IV: *Pisma dramatyczne*. T. VIII i IX: *Listy*. — *Listy do Bronisława Zaleskiego*, oprac. St. Pigoń. Kraków. Odb. z Głosu Narodu.
- Odyniec A. E. *Listy z podróży*, oprac. H. Życzynski. Lwów. Zakł. im. Ossolińskich. B. Narodowa.
- Orzeszkowa E. *Listy*. T. I: *Dwugłosy*, pod kier. J. Ujejskiego oprac. Br. Świderski. — *Pisma*. Wydanie zbiorowe, red. A. Drogoszewski, L. B. Świderski. T. I: *Pierwsze utwory*. T. VI — VII: *Z różnych sfer*. — T. VIII: *Z różnych sfer* — T. IX: *Pierwotni*. Wyd. 3. — T. XI: *Mirtala*. Wyd. 3. — A.B.C. W-wa. G. i W. B. U. L. Wyd. 13.
- Piłsudski J. *Pisma*. T. I — X. W-wa. Instytut Józefa Piłsudskiego.
- Prus B. *Antek*, wyd. 16. W-wa. G. i W. B.U.L. — *Kamizelka* — *Michalko*. Wyd. 12, tamże. — *Na wakacjach*. *Katarynka*. Wyd. 13, tamże. *Cienie* — *Z legend dawnego Egiptu*. *W górach*. Wyd. 10, tamże.
- Przybyszewski St. *Listy*. T. I, oprac. St. Helsztyński. Tow. Przyj. Nauki i Sztuki w Gdańsku.
- Reymont Wł. St. *Z ziemi chełmskiej*. W-wa. Wyd. 9. G. i W. B.U.L. — *Ave Patria*. *Los Toros*, tamże.
- Rzewuski H. *Listopad*, oprac. K. Wojciechowski. Wyd. 2. Lwów. Zakł. im. Ossolińskich. B. Narodowa.
- Sienkiewicz H. *Krzyżacy*. Wyd. kieszonkowe. Lwów. Zakł. im. Ossolińskich. — *Bartek zwycięzca*. Wyd. 13. W-wa. G. i W. B.U.L. — *Janko muzykant*. *Latarnik*. Wyd. 21, tamże. — *Pójdźmy za Nim* Wyd. 8, tamże. — *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela*.

Wyd. 11, tamże. — *Za chlebem*.
 Wyd. 11, tamże. — *Quo Vadis*. Wyd.
 dla prenum. A.B.C. — *W Poświętnem*.
Listy do Konr. Dobrskiego, wyd. St.
 Demby, odb. z Pam. Literackiego.
 Sieroszewski W. *Ze świata*. Nowele.
 Wyd. 2. W-wa. Rój. — *Ukochana*
i nieśmiertelna. *Przepowiednia Wer-*
nyhory. *Sclavus saltans*. W-wa. B.
 Polska. — *Beniowski*, tamże. —
Ocean, tamże. — *Dalaj Lama*, tam-
 że. — *Na kresach lasów*, tamże. —
Na daleki Wschód. — *Z fali na fale*,
 tamże. — *Łańcuchy*. — *Polowanie na*
reny. *Polowanie na jarząbki*, *wie-*
loryby i reny. W-wa. Rój. 1938. —

Powieści chińskie. *Juan Min-tzy*. *Ku-*
lisi. *Jan-Gaj-Tsy*. W-wa. B. Polska.
 Szaniawski Kl. *Junosza*. *Na zgłiszczach*.
 Wyd. Sprawy katol. Łomża.
 Tetmajer K. *Wybór poezji*, oprac. J.
 Lorentowicz. Zakł. im. Ossolińskich.
 B. Narodowa. 1936. — *Na skalnym*
Podhalu. W-wa. B. Polska. — *Mary-*
na z Hrubego, tamże. — *Janosik-Nę-*
dza-Litmanowski, tamże. — *Ksiądz*
Piotr. Wyd. 9. W-wa. G. i W. B.U.L.
 Trentowski B. *Listy*, oprac. St. Pigoń.
 Kraków. P.A.U.
 Witkiewicz St. *Na przełęczy*. W-wa.
 Wielka Biblioteka. 1936.

I

CHOCBY TYLKO Z POWODU OD LAT OCZEKIWANEGO pierwszego wydania kompletnego pism Norwida (mamy odrazu cztery jego tomy!) rok miniony w rubryce reedycji należy podkreślić czerwoną kredką. Jednak nie tylko ten wypadek wyróżnia zeszłoroczną kampanię księgarską; obserwujemy dużą liczbę wznowień literackich, jak gdyby nastąpiło jakieś wyczerpanie dawnych zapasów książkowych i wiele dzieł, przede wszystkim powieści, poszukiwano na rynku.

Wznovienia są stosunkowo dość istotnym sprawdzianem popularności pewnych dzieł wśród konsumentów kulturalnych — oczywiście te wznowienia, których nie wywołuje jakaś potrzeba zinstytucjonalizowana w ten czy ów sposób. Wśród wznowień znajdują się książki wydane jakby na wyraźne żądanie publiczności, gdy poprzednie wydania nie nasyciły rynku czytelniczego.

W roku ubiegłym najszybciej rozchodziła się pozornie czysto reportażowa książka M. Wańkowicza: *Na tropach Smetka*. Pierwsze wydanie z r. 1936 zostało zdystansowane aż czterema wydaniem w roku zeszłym, co kładziemy na karb żywości sprawozdań z życia na Mazurach pruskich i swoistej aktualności tematu.

Wiele wznowień wynika nie z popytu spontanicznego czytelników, ale ze zorganizowanej potrzeby szkoły, bibliotek popularnych czy świetlic.

Pokaźna swą cyfrą a jeszcze więcej wielkością nakładu liczba tych wznowień pozwala nam wejrzeć w ogromnie ciekawą i ważną dziedzinę zjawisk mówiących o kontynuowaniu tradycji kulturalnych. Dzisiejsza szkoła powszechna czy średnia opiekuje się dużo więcej czytelnictwem młodzieży niż to było choćby jeszcze dziesięć lat temu. Dlatego też, mimo dużego rozpowszechnienia zbiorowych wydań pism Sienkiewicza, nowele jego objęte tomikami Biblioteki Uniwersytetów Ludowych osiągają niezwykle ilości wydań. *Janko muzykant* ukazał się w 21 wydaniu, inne (*Bartek zwycięzca*, *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela*) ukazują się w trzynastym czy jedenastym, jedynie *Pójdźmy za Nim* osiągnęło dopiero ośm wydań. Ukończone w r. 1936 wydanie Pism Prusa nie osłabiło popytu na drobne opowiadania jak *Kamizelka — Michałko* (wyd. 12), czy *Na wakacjach — Katarynka* (wyd. 13), *Antek* (wyd. 16). Najmniej stosunkowo czytawana Orzeszkowa jednak w niektórych swych nowelach dosięga cyfry wydań tomików Prusowych. W tym kapitale żelaznym polskiej nowelistyki, kształtującym niewątpliwie uczuciowość i smak artystyczny młodzieży, a także dzieci czy nawet samouków, brak znowu Dygasińskiego, którego nowele i opowiadania dziś są naogół dość trudno dostępne.

Do skromnych tomików pełniących w najszlachetniejszym znaczeniu służbę propagandy literatury i kultury dołączyć należy inne wznowienia spowodowane przez szkołę. *Stara Baśń* Kraszewskiego czy *Listopad* Rzewuskiego czy wreszcie ostatnie, w formacie kieszonkowym wydanie *Krzyżaków* Sienkiewicza, równie staranne, jak analogiczne wydanie Trylogii, to książki ożywione przez szkołę.

Ksiądz Piotr odżywa w Bibliotece Uniw. Ludowych, mimo zupełnie zmienionych warunków, już po raz dziewiąty. I znowu godzi się wyrazić życzenie, by choć kilka opowiadań ze *Skalnego Podhala* weszło do klasycznego repertuaru B. U. L. mającej niepospolitą misję kulturalną.

Cały Tetmajerowski cykl opowiadań *Na Skalnym Podhalu* ukazał się prawie współcześnie ze swym dalszym ciągiem, z *Legendą Tatr*. Dwie powieści o życiu Podhala a po części i magnaterii polskiej w XVII w. (*Maryna z Hrubego* i *Janosik Nędza Litmanowski*) nie dorównywuują siłą epicką klasycznym już w swej sugestywności szkicom *Skalnego Podhala*, jednakowoż ich przypomnienie w wydaniu nawet zewnętrznie dostosowanym do rapsodów podhalańskich należy uznać za pożyteczne.

Z zakresu tej „regionalnej“ literatury szkoła znów wydobyła z pewnego zapomnienia ową „za malarską“ (jak mówił Chałubiński), tak pełną

uroku książkę o Tatrach, jaką zawsze będzie *Na przełęczy* Stanisława Witkiewicza. Biblioteka Polska dała nam w opracowaniu J. Saloniego pierwotny zbiór obrazów i wrażeń z przed pięćdziesięciu prawie lat — samo tylko opowiadanie *Na przełęczy*. Może jednak młody czytelnik sięgnie czasem do wydania z r. 1906, gdzie ma jeszcze ponadto piękny, malarski szkic *Tatry w śniegu* i dopełnienie pierwszych wrażeń pisarza ujęte w ciekawą relację *Po latach*.

W ogólnym zestawieniu wznowień — jak widać — wpływ potrzeb szkolnych jest nie tylko widoczny, ale nawet wcale znaczny; gdybyśmy mogli tu równocześnie podać ściśle cyfry nakładów, to wartość ich w ogólnym bilansie kontynuacji uwydatniłaby się jeszcze mocniej. Warto zaś od razu zrobić uwagę, że ta seria wznowień dokonywana przez selekcję wartości, selekcję świadomą, jest równocześnie dokumentem kulturalnie ważnym. Przeglądając tytuły książek przeznaczonych przede wszystkim dla młodego pokolenia możemy sobie mniej więcej zdać sprawę, co z dorobku literackiego, już ocenionego dostatecznie przez dystans czasów, staje się materiałem przeżyć najwrażliwszych i bodaj najwdzięczniejszych czytelników, którzy w ten sposób przyswajają sobie świat wartości kulturalnych narodu. Jest to jakby obserwacja rezultatów pewnej planowej gospodarki w dziedzinie bardzo delikatnej i naogół wymykającej się statystyce, tym też cenniejszych i ważnych.

Mniej może planową, jednak równie ważną kulturalnie to sprawa wielkich wydań powieści autorów, rzecz można, klasycznych, do których dawniej przyłgnęła nie bardzo krytycznie użyta nazwa pozytywistów. Po ukończeniu kilkudziesięcio-tomowego wydania utworów powieściowych Prusa — ta sama firma wydawnicza — Gebethner i Wolff — pod tym samym hasłem — pod znakiem Polskiej Akademii Literatury — przystąpiła do wydania pism Elizy Orzeszkowej.

Nie jest to wydanie zupełne, ale i ten wybór dokona pewnej rehabilitacji autorki *Chama*. Po najbardziej znanych powieściach wydanych w roku zeszłym (*Nad Niemnem* i *Meir Ezołowicz*) przypomniano obecnie polskim czytelnikom niesłusznie ignorowany zbiór nowel *Z różnych sfer*. Świat ich trochę odmienny od typowych czy najbardziej znanych powieści Orzeszkowej: najczęściej spotykamy tu nowelki z życia miejskiego, czasem wprost mecenas Rolicki opowiada nam ciekawe wypadki z swej praktyki sądowej. Zdarzyło się pisarce, że raz nawet w autobiografii

przepisała się i podała rzeczywiste nazwisko owego głęboko dobrego człowieka: Nahorski.

Wśród tych właśnie „prawniczych“ nowel bodaj najlepiej skomponowane opowiadanie o *Straconym*, synu obywatelskiej rodziny skazanym nie tyle przez sąd, ile przez rodziców i własne rodzeństwo. Przy całym szeregu nowel z tego cyklu, gdy pytamy o motyw główny nasuwa się uparcie wyraz „snobizm“. Płynna duchowa charakteryzuje i próżnego syna garniarza „*milorda*“ Rajmunda Dyrkę i pustą sawantkę Paulę Miriewicz (*Bańka mydlana*) jak również sentymentalną *Panią Luizę*. Orzeszkową, serdecznie zatroskaną o rzetelną kulturę moralną, niepokoją typy ludzkie pozbawione nie tylko woli, ile przede wszystkim poczucia odpowiedzialności za życie. Nowele te stają się małymi monografiami psychologicznymi ludzi pozbawionych poczucia obowiązku, szukających zadowolenia w życiu tylko na drodze zaspokojenia swych zachcianek. Snobizm i pustka duchowa stają się przyczyną katastrof życiowych i nie dziwnego, że nieraz opowiada o nich prawnik, gdyż epilog ich znajdujemy w sądzie, albo też sąd i prawo stają bezsilnie wobec podłości pasożytów społecznych (*Szara dola*).

Doskonałym studium obłądnych dróg szlachetnego doktrynerstwa społecznego, na które wchodzi młodzi oderwani od gruntu rodzimej kultury, jest duża nowela *Widma*. Dzieje Julka Ryżyńskiego i Lusi Otockiej skreślone są tak niepowszednio, z tak serdecznym przywiązaniem do wszystkich postaci tej tragedii, że mimowoli musi się pomyśleć, ile nieporozumienia tkwiło w ryczałtowym określeniu Orzeszkowej jako pozytywistki. Gdy się jednak przeczyta *Pierwotnych*, powieść po pierwszym wydaniu książkowym w r. 1884 ukazującą się dopiero dziś, to można zrozumieć, dlaczego Orzeszkowa mogła uchodzić za niebezpieczną pozytywistkę, a może i „ateistkę“.

Pierwotni występują tam rozmaici i prymitywizm kulturalny zaprezentowany w bogatej galerii, ale jednak powieść jest satyrą przede wszystkim na snobizm religijny. Izabela z Jagdyszów Odropolska razem z swą córką Adolfiną demonstrują nam swe niezłe ale puste dusze przyczepione do pewnych zewnętrznych form życia religijnego — z tym, że Adolfina załamuje się zupełnie, gdy przychodzi pierwsza próba życiowa, a wszystkie kruche podpórki pękają. Nie dziwimy się, że przed pięćdziesięciu laty nikt tej powieści nie chciał przyjąć; ani Chmielowski w *Ateneum*, ani Pług w *Kłosach*, a gdy wreszcie Lewental zgodził się dru-

kować w Tygodniku Romansów, to samowolnie pewne ustępy wyrzucił.

Obecne wydanie *Pierwotnych*, jak zresztą wszystkich utworów Orzeszkowej, zrobiono bardzo starannie; wszędzie dążą wydawcy do tekstu pierwotnego, ponieważ zaś nieraz rozporządzają autografami, a ponadto listami, przeto wychodzą na jaw takie zabawne drobiazgi, jak np. współpracownictwo Józefa Sikorskiego w powieści p. t. *Ostatnia miłość*. Redaktor Gazety Polskiej, gdzie drukowano tę powieść w r. 1867, dorobił pewien ustęp — naradę inżynierów wytyczających trasę kolei, — za co zawsze skromna autorka serdecznie podziękowała.

Orzeszkowa rzadko używała — zgodnie zresztą z naturą swej psychiki, ironii, którą przede wszystkim żyją utwory starszego nieco Jana Lama. Po wielu, bo przeszło pięćdziesięciu, latach przypomniano najcelniejsze jego powieści. Lam został niesłusznie zapomniany czy ograniczony tylko do granic Galicji i Głodomerii, jak gdyby „głowy do pozłoty“ i „dziwne kariery“ trafiały się tylko na południowych ziemiach Rzeczypospolitej. Gryzące drwiny świetnego kronikarza lwowskiego okazują się i dziś bardzo żywe; J. Krzyżanowski w przedmowie do obecnego wydania słusznie zwraca uwagę na *Koroniara w Galicji*, zjadliwą satyrę na bufonadę powstańczą skreśloną piórem człowieka, który sam nie organizował oddziałów „szachujących“, ale w powstaniu rzeczywiście walczył. Niestety, chociaż owi bohaterowie powieści Lama byli modelowani według wzorów ówczesnych, to jednak aktualność ich mało zbladła i dziś *Wielki świat Capowic* drukuje się w odcinku jednego z pism lwowskich. Wobec tego faktu można pięciu tomom Pism Jana Lama wróżyć wcale pomyślne przyjęcie u publiczności.

Rozmaicie pojęte w swej formie wydawniczej komplety Lama a nawet Orzeszkowej nie mogą równać się pod względem poziomu z powoli ukazującymi się tomami wydania sejmowego Mickiewicza. Po przerwaniu — chyba nie na długo — korespondencji zaczętej w tomie XIII dano nam tom VII z zupełnie na nowo ujętymi Wykładami lozańskimi. Jerzy Kowalski już dawno opracował rekonstrukcję i objaśnienia wykładów lozańskiego profesora, a nadto poprzedził je gruntownym wstępem a właściwie całą rozprawą (str. 171—242), którą możnaby zatytułować: Mickiewicz jako filolog klasyczny. Chociaż zachowane notatki profesora nie są wystarczające i dopełniają się zapiskami jednego z słuchaczy, lwowski filolog z wielką starannością odtworzył drogi, po których kroczył naj-

pierw słuchacz wileński, a następnie niezwykle profesor na katedrze lozańskiej. Dzięki tej pracy możemy dużo pełniej wyobrazić sobie, w jaki sposób Mickiewicz urabiał pogląd swój na historię literatury nie tylko rzymskiej. Dążenie do syntezy, które krytykował pozytywista Chmielowski, okazuje się u Kowalskiego na gruntownie podmalowanym tle nauki europejskiej wartością uwarunkowaną rozwojem filologii. „Kurs Mickiewicza — pisze on — oceniany według współczesnego stanu historii literatury klasycznej, zajmuje miejsce między typem podręcznika filologicznego a dziełem krytyki literackiej... Przeniknięcie syntezy, które raziło naszych uczonych, spełnia wymóg, stawiany przez wszystkich ówczesnych uczonych, a ziszczony przez niewielu; żeby użyć słów Krausego, ta właśnie synteza podnosi filologię lozańską Mickiewicza do najwyższej potencji“ (str. 234). Nie trzeba dodawać, jak to gruntownie wyjaśnienie dróg naukowych Mickiewicza pomocne nam jest przy ustalaniu wewnętrznej formy wykładów w Collège de France.

Prócz rozprawy J. Kowalskiego znajdujemy tu ogólny wstęp Tadeusza Zielińskiego dyskutujący formy stosunku Mickiewicza do literatury rzymskiej, zwłaszcza okresu augustowskiego.

Początek tomu VII wypełniają inne tłumaczenia pism francuskich Mickiewicza: są to pisma estetyczno - krytyczne i historyczne a ponadto opowiadania. Z nich najważniejsza to *L'histoire de l'avenir*; okazuje się, że takich historii przyszłości napisał poeta dwie i z obu zostały nam tylko fragmenty pierwszego rozdziału, zresztą odnoszące się do różnych czasów. Fragment krótszy odnosi się do przyszłości niedalekiej, bo zaczyna się od usunięcia Ludwika Filipa, natomiast właściwa profetyczna *Historia przyszłości* daje nam wizję czasów dużo późniejszych, kiedy to król pruski, po przegraniu bitwy z Sfederowanymi, na mocy „Machtspruchu“ zostaje skazany na powieszenie. Mickiewicz zniszczył całość owej Historii prawdopodobnie w r. 1849 — pozbawiając nas powieściowej utopii przyszłości, godnej uwagi choćby „jako jeden jeszcze naoczny dowód intensywnej iście gorączki tworzenia, miara zasięgu wyobraźni, zarazem wysokiego napięcia natchnienia, jakie objęło Mickiewicza w okresie powstawania *Pana Tadeusza*“.

Przed kilkunastu laty wyraził Wacław Borowy bardzo uzasadnioną obawę, że kompletnego wydania Pism C. K. Norwida mogą się niedoczekać nawet najmłodszy entuzjaści niesłusznie przez współczesnych odrąconego poety. Jednak już w dziesięć lat po wypowiedzeniu tak ponu-

rych horoskopów otrzymaliśmy za sprawą Miriama doskonale wydane „Inedita“ Norwidowe i tanie wydanie Tadeusza Piniego, przez co r. 1934 zapisał się w historii pośmiertnej Norwida całkiem dobrze, bo przecież powiększył naszą znajomość jego pism, a także popchnął naprzód — zresztą w sposób dość niezwykły — sprawę oczekiwanego od tylu lat wydania Miriamowego. Rzeczywiście u schyłku r. 1937 otrzymaliśmy: Cypriana Norwida *Pisma do dziś odszukane* (t. III, IV, VIII, IX). Forma zewnętrzna nie jest tak zbyt kłopotliwa jak w wydaniu z 1911, gdzie mieliśmy wspaniały papier i dużo ilustracji, ale druk ten wykonano piękną czcionką A. Półtawskiego, układ dano ładny i przejrzysty, całość każdego tomu piękna i miła w swej prostocie. Do tego dodać trzeba, że jest to wydanie całkiem niedrogie.

Mamy więc wreszcie cały kodeks listów Norwida, ogłaszanych dotychczas w małych grupach, o którym piszemy poniżej; tu zaznaczyć trzeba, że zebrano go z wielką pieczołowitością, podając wiele listów po raz pierwszy. Listy Norwidowe są chyba najlepszym sposobem na „niezrozumiałość“ poety i trzeba ich opublikowanie w pierwszej racie *Pism* uznać za bardzo dobry wstęp do zapoznania się z autorem. Tomy: trzeci i czwarty dają nam zachowane dramaty i fragmenty dramatyczne, wśród których *Aktor*, komediodrama obyczajowa (r. 1864) jest najzupełniejszą nowością. Zdaje się, że teraz mamy wszystkie, dostępne nam dziś, utwory dramatyczne pióra Norwida.

Aktor to swoisty pojedynek gry aktorskiej między hrabią Jerzym a Gotardem Pszonkinem w momencie, kiedy bankructwo domu Glückschnella rujnuje hrabiego i jego rodzinę. Jerzemu przychodzi „grać“ przed matką i siostrą, które nie wiedzą o katastrofie, a mają doświadczyć, jak szybko zmieniają się uczucia nawet dość bliskich osób, gdy braknie pokrycia pieniężnego dla wzmocnienia zobowiązań serdecznych. Wypadnie mu nawet faktycznie zastąpić Gotarda na scenie w roli Hamleta, natomiast znany aktor pokazuje się w domu Jerzego w roli bankiera Szychwitza. Choć nie mamy ostatecznego kształtu dramatu, a w *Dodatku* czytamy tylko samo zakończenie pierwotne, szczerze żałujemy że *Aktor* bez pewnych dopełnień nie mógłby wejść na deski sceniczne. Postaci bowiem główne jak epizodyczne są postawione bardzo wyraziście; jedne to rzeczywiście osoby dramatu, a inne przechodzące w karykaturę płaskie figury komedii. Z szczególną sympatią skreślony Jerzy; w momencie katastrofy Gotard umie ocenić jego wysoki humor: „Łzy połknięte są nad

sztuką — w najszczęśliwym misterstwie — są one politowaniem wielkim dla nizin świata, tam się już nie *dochodzi*, lecz tam się *dołata!*“ (IV,39). O łzach połączonych miał Norwid prawo mówić, jak mało kto z współczesnych. Ale czy też współcześni zrozumieliby tak niezwykle oryginalne uwspółcześnienie Hamleta, oparte na bardzo wnikliwym obserwowaniu otoczenia, a zwłaszcza „mężów swego czasu“? Ileż przy tym świetnych pomysłów, jak ów „rewolwer gościnny“ kawiarni pana Faustyna, który dorabia doń legendę o swych czynach wojennych nad Wieprzem, — ileż żywych scen z zacięciem komediowym!

Właściwie *Aktor* jest prawdziwą nowością literacką, a wznowieniami *Pierścień wielkiej damy*, *Kleopatra*, *Za kulisami* i inne.

O troskliwości w przygotowaniu tekstów Norwidowych przez Miriam szkoda nawet wspominać. Wiadomo, że nie ustaje on w dochodzeniu do lekcji jak najpoprawniejszej i wątpić należy, czy nawet znawcy poezji Norwidowej będą mieli tu coś do zakwestjonowania. Zresztą cała sprawa Miriam—Pini wrażliwość wydawniczą uczuliła i zapewne to i owo jeszcze do bogatych zasobów wiedzy o Norwidowych tekstach przyniosła. Inna sprawa z objaśnieniami.

Chociaż w listach Norwida znajdujemy tu i ówdzie jakąś wzmiankę odnoszącą się do dramatów, to jednak nie wystarcza, i szkoda, że Miriam nie podał „przypisów wydawcy“, które już dwa razy opracowywał, bo sam jest do nich świetnie przygotowany. Gdybyśmy mieli jakąś *doskonałą* monografię o autorze *Quidama*, to można by od biedy takie dodatki uznać za zbyteczne, jednakowoż dziś objaśnienia są konieczne i może w jakiś sposób da się tej potrzebie zadość uczynić w końcowym tomie wydawnictwa. Na dalsze jego tomy będziemy czekać z niecierpliwością, choć pewni, że teraz już dostaniemy *cały* spadek po Norwidzie, jaki tylko dał się odszukać.

Jeżeli miniony rok pochwalić się może doskonałym wydaniem Pism Norwida z przyjemnością notujemy też kontynuację Pism Stanisława Brzozowskiego. Przed rokiem na tym miejscu powitano rozpoczęcie wydania zbiorowego pism autora *Idei* ze zrozumiałą sympatią. Obecnie po tomach IV i VI wypełnionych drobniejszymi rozprawami i artykułami pojawił się t. VIII z *Legendą Młodej Polski*. Najpopularniejsze i najbardziej bojowe dzieło Brzozowskiego czekało dwadzieścia sześć lat na to, by ponownie przemówić do nieznanego sobie pokolenia Polaków. Być może, że niejedna idea, zwłaszcza niejedna zwrot stracił swą aktualność,

jednak zasadnicza postawa moralna pisarza powinna być posiewem dobrego jutra. „Poczucie walki i odpowiedzialności — epicki stan duszy niezbędne są do moralnego zdrowia“. Także dziś żywotne są rozmyślenia o polskim Oberammergau, mocno oparte o Norwida, a jakżeż potrzebna nam apologia humoru! (rozdział: Humor i prawo).

Obecne wydanie K. Irzykowskiego wprowadziło pożądane zmiany w tekście Brzozowskiego; przede wszystkim usunęło niejedno grube niedopatrzenie korekty. Ponadto wydawca zrealizował życzenie wyrażone w Roczniku Literackim; pozmieniał nieco, a raczej popoprawiał budowę odstępów, łącząc je w logiczne całości lub też dzieląc je na drobniejsze części, przez co tok myśli Brzozowskiego zyskał na jasności. Dodał wreszcie skorowidz rzeczowy czy raczej hasłowy, zebrawszy około siedmiuset terminów czy tematów rozważanych w *Legendzie*. Użyteczność takiego rejestru jest oczywista i napewno ułatwia korzystanie z pracy myślowej zawziętego poszukiwacza i dialektyka, jakim był Brzozowski.

Dodatkiem, objaśniającym genezę *Legendy*, jest jej pierwsza redakcja: choć z niej wedle słów autora — nie został później kamień na kamieniu, to z zainteresowaniem śledzi się kręgi pierwszego rzutu, ujęte nierzad w całkiem inną formę literacką, a przy tym jednak wyraźnie spokrewnioną z dzisiejszym kształtem utworu.

Wznowienia Norwida, a zwłaszcza Brzozowskiego, nie mogą liczyć na taką poczytność, jaką ma Orzeszkowa, albo nawet Lam. Są to właściwie wydania przygotowane dla znawców czy miłośników i nie mówią one nic o tzw. szerszej publiczności. Żywym natomiast zbiorem, poczytnym jak żadne inne wznowienie ubiegłego roku, są *Pisma zbiorowe* Józefa Piłsudskiego. Dziewięć tomów artykułów, mów, rozkazów, prac i wspomnień z dodatkowym dziesiątym zaopatrzonym w bardzo dokładny skorowidz (hasłowy) to najpopularniejszy komplet książek w ubiegłym roku. Kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy *Pism* Marszałka rozchodzi się wśród publiczności polskiej, mimo że dopiero niedawno ukończono poprzednie *Pisma* — *Mowy* — *Rozkazy*. Działa tu oczywiście i sentyment czytelników, i chęć sięgnięcia do źródeł historycznych pierwszorzędnej wagi, ale też talent literacki autora *Bibuły* czy *Moich pierwszych bojów*. Miłośnik poezji Słowackiego pisze bardzo żywo i plastycznie, a później, gdy przyjdzie złączyć mu słowo z czynem w rozkazach i przemówieniach, umie osobistym ujęciem ożywić przeróżne tematy, jakie obchodziły Wodza czy Naczelnika Państwa. Instytut Józefa Piłsudskiego przygotował

(pod naczelną redakcją W. Lipińskiego) całość bardzo starannie i każdy tom zaopatrzył wstępem, każdy utwór krótką informacją o jego genezie.

Nieznacznie zagłębiliśmy się w przegląd wznowień, wprowadzonych przez instytucje mające swój plan — powiedzmy wydawniczo-socjalny czy nawet wychowawczy. Prócz potrzeb czytelniczych, zjawiających się na rynku i zarysowujących się mniej lub więcej wyraźnie, działała tu pewna chęć pokierowania czytelnikiem w stronę jasnych wyraźnych wartości kulturalnych. Czerpie się tu zwykle ze skarbcza ustalonych wartości o znaczeniu powszechnym, czasem jednak myśli się o działaniu bardzo określonym. Taki pewnie cel miało wznowienie powieści Junoszy: *Na zgłiszczach* i wydanie *Pism Juliana Moers z Poradowa* (Rulikowskiej). Do tych kilku tomów dramatów dotrzeć nie mogłem; przypuścić należy, że wydawcom zależało na wzbogaceniu repertuaru teatrów ludowych, boć przecież przed laty *Przeor Paulinów* czyli *Obrona Częstochowy* była to sztuka dość wzięta na scenach popularnych. Czy i dziś może ta sztuka liczyć na słuchaczy — nie wiem, w każdym razie inne sztuki tej autorki w teatrze będą chyba pozycją martwą.

Dla specjalnych, bardzo nielicznych czytelników badaczy czy pracowników wydają czasem (naprawdę czasem) instytucje naukowe pewne „rarytasy“. Klasyczny ich zbiór to Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich XVI — XVIII w. pod redakcją J. Krzyżanowskiego.

Ostatnio wznowiono w niej po wiekach Adama Czahrowskiego: *Treny i rzeczy rozmaite*, których dwa poprzednie wydania wyszły w latach 1597 i 1599. Mottem szczerym a prostym, „Wiem, że tego nie pisał Rej ni Kochanowski, lecz żołnierski pacholek, ja, Adam Czahrowski“ — ujmuje nas ten żołnierz, zbyt jaskrawo zaangażowany po stronie austriackiej w r. 1588 i skutkiem tego tułający się przez lata „w ziemi Węgierskiej y Horwackiej z rozmaitym szczęściem“. Rymopis on tam nieszczególny, choć od reminiscencyj Kochanowskiego roi się jego rymarska robota, dokumentująca umysłowość prostą, religijność szczerą, doświadczoną w przygodach kilkuletniej wojaczki na obcej ziemi, widzianej prawie wyłącznie tylko od strony doznanych przykrości. Tomik Czahrowskiego ma wartość oczywiście nie artystyczną, ale obyczajową, jak również stanowi dowód, jak szeroki zasięg miało szczere upodobanie w lekturze *Trenów* i *Psałmów* wielkiego poety. Wydawca T. Mikulski pracę swą wykonał z sumiennością i precyzją.

Poza Czahrowskim trudno właściwie mówić o jakimś rozmyślnym wzno-

wieniu dzieł dla celów specjalnych. W każdym razie planowo, w oparciu o pewną instytucję czy grupę osób, nie kierowaną interesem czysto komercyjnym, wyszło jednak kilka dzieł wyżej omówionych; — wyraźnie kontynuowały swoją działalność: Instytut Literacki i Instytut Józefa Piłsudskiego. Dużo żywiej zaznaczyła się inicjatywa organizacji naukowych przy wydaniach listów — o których poniżej.

Powtórne wydania współcześnie piszących rozchodzą się rozmaicie i trudno ustalić ich rozpowszechnianie się, gdyż nie zawsze podaje się liczbę wydań. I tak potrzeby szkolne przyspieszyły przedruk noweli *Ukochana i Nieśmiertelna* i *Polowanie na reny* Wacława Sieroszewskiego. Szereg innych utworów od doskonałych choć dawnych kartek z podróży (*Na daleki Wschód*) przez powieści o Beniowskim czy Dalaj-Lamie, cieszy się wiernym przywiązaniem szerokich kół czytelników i dlatego Biblioteka Polska wznawia corocznie powieści autora *Risztau*.

Daleki od takiej poczytności jeden z najpopularniejszych ongiś liryków, Kazimierz Tetmajer przypomniany został skromnym tomikiem *Wyboru poezyj*. Jan Lorentowicz dokonał tego wyboru dla Biblioteki Narodowej, poprzedzając antologię drobnych poezyj krótką a dobrą monografią o Tetmajerze liryku, dramaturgu i powieściopisarzu. W ten sposób poetę, którego dzieła sprzedają się po cenie zniżonej (!), choć w części obronił przed kurzem niepamięci, spowodowanej zupełną zmianą stylu epoki.

Nic nas nie dziwi wobec wielkich rozmiarów twórczości współczesnej, że na poezję dawniejszą popyt ogromnie zmalał. Może Horacy i dziś określiłby ją podobnie jak przed dwoma tysiącami lat: *Scribimus indocti doctique poemata passim*; ale jakkolwiek byśmy tę twórczość oceniali, jedynie powieść może liczyć na szerszą popularność.

Patrząc na całość plonu wznowień zauważa się, w przeciwieństwie do roku 1936, przewagę ogromną wydań dla szerokich kół czytelników, natomiast prawie zanik przedruków dzieł dawniejszych, odnawianych przede wszystkim dla celów naukowych. Stąd też mogliśmy zanotować tylko jeden i to nie wielki utwór XVII w. obok tytułu powieści nie tylko XX, ale też XIX w. Obserwuje się też bardzo dobry i podnoszący na duchu objaw trwałości kontynuacji; Mickiewicz, Orzeszkowa, Sienkiewicz, Sieroszewski ukazywali się w zbiorowych wydaniach zamierzonych dawniej, jedynie Słowacki nie miał w tym roku szczęścia. Rozpoczęcie wydawania Norwida opatrujemy najserdeczniejszym życzeniem, by już

w ciągu r. 1938 można było zobaczyć następne pięć tomów, podobnie jak nie ustaje w pierwszych miesiącach b. r. kontynuowanie Pism Orzeszkowej a także i jej listów. Inicjatywa wydawnicza w naszym dziale była w przygniatającej większości przy Warszawie. Oczywiście, że nie należy tego brać tak dosłownie jak podaje spis bibliograficzny; jednak zanikanie pewnej ruchliwości, a zwłaszcza zmniejszenie się możliwości wydawniczych prowincji, nie jest objawem pomyślnym.

II

Publikacje rozmaitych listów były w ubiegłym roku szczególnie obfite; widać, że chęć poznania kolei życia i samego materiału przeżyć różnych osobistości była bardzo żywa. Wyraźnie chcemy dotrzeć do źródeł, które by pozwoliły ogarnąć życie pokoleń stosunkowo niedawnych i zapoznać się z całym kompleksem zjawisk towarzyszących twórczości ich reprezentantów. Omawianie ich w tym dziale możemy usprawiedliwić jako wznowienie nie dzieł lecz spraw, a także tym, że nieraz takie wznowienie przypomina czy może nawet i jest istotnie rewizją.

Rewizją też ma być wydanie *Listów z podróży* A. E. Odyńca opracowane przez H. Życzynskiego, wydanie zresztą skrócone (w serii I Biblioteki Narodowej). Że do Odyńca nie mamy bezwzględniego zaufania jako do charakteru, to pewne, bo nadużył on dobrej wiary swego społeczeństwa; jednakowoż wydawca nie przytoczył nowych, bezwzględnie przekonujących, dowodów przeciw Odyńcowi jako autorowi *Listów*. Napewno już w r. 1829 czy 1830 Odyniec patrzył w Mickiewicza jak w tęczę i cała podróż z nim była dla wiernego Achatesa wielkim przeżyciem. Że wydając te listy w czterdzieści prawie lat po napisaniu trochę je kolorował, to więcej niż prawdopodobne. Ale miejsc pod tym względem poważniej podejrzanych można znaleźć stosunkowo mało; za interpolacje zaś trudno uważać pewne retusze czy poprawki literackiej natury. Tego, że Odyniec na poważniejsze dopełnienia się nie odważył, dowodzi — przynajmniej naszym zdaniem — sprawa przeżyć rzymskich Mickiewicza związanych z pogłębieniem przekonań religijnych. Odyniec nie o nich nie wiedział w r. 1830, przeto też w r. 1867 nie próbował o nich pisać, mimo że miał materiał w liryce tzw. rzymskiej, a jego własne poglądy mogły go do podrobienia zachęcić. Nie uważając listów Odyńca za

wzór „autentyczności“ nie możemy jednak odmówić mu dość dużego zaufania, dopóki wydawca nie przeprowadzi dowodu prawdy, że postępujemy w tym wypadku łatwowiernie.

Prawdziwą nowością stały się w roku ubiegłym dwa kodeksy epistolarne wydane przez St. Pigonia, a związane z nazwiskami dwóch wybitnych pisarzy epoki romantycznej. Rozmiary obu tomów korespondencji: Goszczyńskiego i Trentowskiego bardzo okazałe, a dużo jeszcze większe bogactwo treści tych wielu setek listów. Najwięcej listów „kozackiego wieszcz“ zachowało się z okresu towianizmu, kiedy to „wylewy bratniego ducha“ przechowywano starannie, gdyż w nich ceniono pracę wewnętrzną i oddziaływanie wzajemne na braci; dlatego też dziś przez listy Goszczyńskiego możemy wejrzeć w stosunki panujące w tej szlachetnej sekcji i obserwować również etapy entuzjazmu i ochłodzenia się Goszczyńskiego w stosunku do mistrza Andrzeja. W ogóle listy bardzo ciekawe i ważne, dokumentem dla poznania emigracji są pierwszorzędny. Ież potężnych uczuć tętni np. w takim liście do J. B. Zaleskiego (w Nowy Rok 1839) gdzie poeta pisze: „Przyrządzamy już mantelzaki do Polski“ i daje wyraz nadziei, że przyszły Nowy Rok obaj poeci będą obchodzić już w Polsce.

Przez setki stron tej korespondencji przesuwają się przed oczyma człowiek niepospolity, bardzo prawy, borykający się ze skrajną nieraz nędzą w bluzie robotnika — nie żądający dla siebie żadnych przywilejów i ułatwień — dlatego też tak rozrzucony gościem w Galicji, która mu umiliła ostatnie lata życia. Goszczyński próbę szlafroka i pantofli wytrzymuje doskonale, owszem przez nią umocniamy się w przekonaniu, że był charakterem niepospolitym i godnym szacunku.

Trochę młodszy autor *Chowanny* pisuje o sobie setki listów do poznańskich i wileńskich przyjaciół, ale mniej obronną z tej próby wychodzi ręką. Długie lata utrzymywany przez Karola Marcinkowskiego i Edwarda Raczyńskiego, później przez Zygmunta Krasińskiego, jest nasz filozof nadto przeczulony na punkcie swych trosk materialnych, zresztą niewielkich. Warunki życiowe emigrantów były nieraz ciężkie i naprawdę boleśnie uświadamiały brak własnego państwa, a co za tym idzie, własnych instytucji kulturalnych, jednakowoż i to wzięwszy pod uwagę, musimy zauważyć, że praktyczna filozofia Trentowskiego trochę wygórowane stawiała wymagania współczesnym i trzymała go dość daleko od pięknych haseł głoszonych w pismach.

Nie zamierzamy wyciągać wniosków za daleko idących, chcemy tylko zwrócić uwagę na jeden jeszcze rys anormalnych stosunków Wielkiej Emigracji — po prostu zagadnienie pracy inteligenta, który nie umie pogodzić swych indywidualnych zamiłowań z pracą zarobkową, choć mu ta zresztą nie raz w ręce wchodziła.

Sama mapa korespondencji autora *Myśli* bardzo ciekawa, a treść — poza rysami osobistej charakterystyki — w nie jednym komentuje jego filozofię, choć korespondencją filozoficzną nie jest.

Oba grube tomy korespondencji przygotował St. Pigoń, włożywszy wiele pracy w odszukanie setek listów i trudniejsze jeszcze objaśnienie wielu szczegółów anegdotycznych, bez których dokumenty przeżyć obu romantyków byłyby dużo bledsze. Na szczęście listy Goszczyńskiego czy Trentowskiego dochowały się w dużych kompletach; ta okoliczność ułatwia dziś wybitnie orientację w poruszanych sprawach. Dużo gorzej stoi sprawa korespondencji C. K. Norwida. Są to prawdziwie „disiecta membra poetae“, bo choćby je uzupełnić czterema listami, których brak wspomniano po ukazaniu się dwóch tomów Listów Norwidowych, to i tak daleko byłoby do kompletności zbioru, obejmującego dziś już 846 listów.

Listy autora *Promethidiona* czyta się, abstrahując od docieklivosti, jaka może podniecać norwidystę, z wielkim zainteresowaniem i z dużą przyjemnością. Są to wypowiedzi bardzo piękne, nieraz uderzające głębią ujęciem prawd natury ogólniejszej, budzące równocześnie nie jeden raz szczere współczucie z artystą, przekonany o istnieniu okropnego spisku milczenia zawiązanego przeciw niemu. Już w roku 1848 pisze z goryczą: „Od lat... wielu powtarzałem bliższym moim znajomym, że w prologu do dramy steram siły żywotne i że tym sposobem akt jej pierwszy będzie aktem ostatnim. Całe to pokolenie jest na hekatombę dla przyszłości — zniszczy się jak narzędzia potrzeby jakiejś, co nie była. I szczęśliwi jeszcze, którym dano nie rozumieć tego położenia. Zarozumiałość ich pocieszy, hardość się uda za odwagę, za filozofię stanie cynizm, a wyobrażenia schorowana religii postać weźmie na się“ (I. str. 45). Ileż słuszności ma to powiedzenie o swej samotności w liście do Lenartowicza: „Każdy kto seryo kilkanaście kroków w życie polskie postawi, znajdzie się w takiej samej samotności“ (I, 318). Groźniejsze i wprost przygnębiające są refleksje o narodzie, któremu nie można „nic a nic ściśle prawdziwego odkryć i powiedzieć“. (II. 246). Napewno każdy czy-

telnik głębiej zastanowi się nad charakterystyką Warszawy w liście do Konstancji Górskiej (I, 520, 521). Trudno zaś bez wzruszenia czytać list „niepoprawnie bolesnego człowieka“ do Augusta Cieszkowskiego z prośbą o znalezienie posady korespondenta do jakiejś gazety (I, 502). Ale i tu nie opuszcza Norwida swoista ironia, gdy mówi o „narodzie w którym energia liczy 87 generałów i 2.530 pułkowników i oficerów niższych stopni, ale w którym księgarzy nakładców jest dwóch — moralistów zero — filozof 1 i czytających książki 80.000 — słowem, gdzie energia wyprzedza zawsze *Inteligencję*“.

Nie chcemy tu wcale poruszać spraw biograficznych, związanych z bogatym listowaniem Norwida. W najciekawszej, potocznie mówiąc, dziedzinie czytelnik nie zaspokoi swego oczekiwania; jedyny list, co do którego Pigoń przypuszczał, że skierowany był do Marii Kalegris, Przesmycki adresuje do Marii Trembickiej, ale też z pytajnikiem!

Należy się Miriamowi prawdziwa wdzięczność za zebranie tak mozolne tylu głębokich i pięknych utworów; harmonizuje z nimi forma zewnętrzna troskliwie zachowana; zapewne ze względów estetycznych nie wprowadził tu wydawca żadnych przypisów czy komentarzy. Zrozumieć to doskonale można, ale też można zastanowić się nad tą decyzją i do wydawcy wysłać z petycją samego Cypriana Kamila Norwida. Bo w liście do Kraszewskiego (I, 321) pisze on: „Publiczność czyta lat kilkadziesiąt i nie czuje nawet potrzeby komentarza — tak jest 10a część Mickiewicza rzeczy — 5ta Słowackiego — 3a Zygmunta. Ale to nic nikogo nie obchodzi — Dant miałby już sto komentatorów i stał się światłym i stał się strawionym — a to wszystko tak sobie — jakoś“. Naprawdę komentarze na końcu książki przysłużyłyby się bardzo poznaniu głębszemu Norwidowej myśli jego stosunków z ludźmi i kulturą współczesną. Jeżeli ciemny Dant został objaśniony i włączony w swą epokę, nie uważalibyśmy tego za zakłamanie (Przedmowa Z. P. — str. IX), gdyby podobnie postąpiono z Norwidem. St. Pigoń wydając *Listy C. K. N. do Bronisława Zaleskiego* opatrzył je komentarzem, a przez to jednak złej usługi w poznamieniu czytelników z Norwidem i z jego stanowiskiem w życiu epoki nie oddał. Może kiedyś znajdzie się miejsce na tomik dodatkowy objaśnień do listów, co napewno blaski gwiazdy Norwidowej, o której wydawca mówi w przedmowie, powiększy.

Inne, choć prawdziwie niepokojące, refleksje i odczucia przynosi nam dobrze zachowana korespondencja Orzeszkowej.

Nieraz odczuła ona przykrość ze strony ludzi i skarżyła się na smutną starość w Polsce, ale mimo to jej listy mają w sobie tyle dobroci i łagodności, że prawie trudno odnaleźć refleksy jakichś przykrych epizodów. Autorka *Chama* ukazuje się w swych listach jeszcze sympatyczniejsza niż w powieściach czy nowelach. Niezwykła pieczołowitość wydawcy zrobiła z pierwszego tomu korespondencji piękny unikat dając nam szereg *dwugłosów*; mamy wymianę listów Orzeszkowej z Kraszewskim, z Jeżem, z Bałuckim z Krzemińskim i in., ale najprzyjemniej się czyta *dwugłos* dawnych koleżanek z pensjonatu Sakramentek. Informacyj o pisanych powieściach dość dużo i ciekawych, ale nie szukamy tych szczegółów zbyt skwapliwie, gdyż listy same w sobie są bardzo żywe a charakterystyka epoki ukazuje się w mało znanych ogółowi rysach. O ile listy Norwida to przede wszystkim korespondencja artysty i oryginalnego myśliciela, to Orzeszkowa ukazuje oblicze literatki i bardzo szlachetnie myślącej kobiety. Ileż w niej troski o ludzi, o to, by wśród ludzi panowało dobro! Może czasem się myli, np. gdy pisze do Reymonta, że w nim widzi jedyną siłę twórczości zdrowej, mocnej, posiadającej szerokość i głębię, mądrość i miłość (355), ale ta i tej podobne omyłki dyktowane są wielką troską o poziom moralny powieści i serdecznym ukończeniem służby społecznej pisarskiego zawodu.

Listy Orzeszkowej będą lekturą napewno miłą i krzepiącą (by użyć tu słowa dziś mocno nadużywanego — w pierwotnym znaczeniu) dla każdego Polaka. Wydane są najstaranniej i najładniej ze wszystkich „kodeksów“, które tu nam omówić przyszło. Papier, czcionka, układ, portrety, wszystko bardzo ładnie dobrane; objaśnienia i przypisy bardzo sumiennie przygotowane przez L. B. Świderskiego usunięto na koniec tomu, godząc w ten sposób wymagania estetyki książki z koniecznym aparatem naukowym. Całość grubego tomu, dziwnie pogodna i harmonijna, staje się pięknym pomnikiem wielkiej powieściopisarki.

Korespondencja Orzeszkowej mogłaby się ukazać w druku zaraz po śmierci autorki i nie uraziłaby nikogo, nie mówiąc już o zrobieniu jakiegokolwiek przykrości. Listy Przybyszewskiego natomiast powinny być odleżeć się jeszcze z dziesięć, jeżeli nie więcej, lat, a pamięć autora *Śniegu* i najbliższych mu osób zyskałaby na tym. Może ktoś zauważył, że już za życia Przybyszewskiego i Jadwigi Kasprowiczowej odzywały się głosy podobne do oskarżeń prokuratorskich, wobec czego konieczne były sprostowania ze strony atakowanych. Zapewne, ale wiele spraw i oko-

liczności całkiem nieciekawych, niepotrzebnych do niczego ani historykowi literatury, ani kultury, mogących być jedynie materiałem dla psychologa czy czasem psychiatry, wiele takich spraw leżało w zupełnym cieniu. Przedstawienie ich w świetle listów autora ukazało nam tylko lepiej głównych aktorów tragicznej płątaniny, którą dokoła siebie wywołuje ten „silny“, jak sam siebie kilkakrotnie określa, człowiek. I właściwie cały ten ogromny kodeks (555) listów z dwudziestu paru lat (do r. 1906), zebrany i wydany przez Stan. Helsztyńskiego z ogromną, pedantyczną starannością, przede wszystkim potrzebny był biografowi, a już dużo rzadziej badaczom twórczości. Ponieważ kiedyś Przybyszewski w czasie spaceru z wydawcą zasugerował go powiedzeniem: „Pan napisze moje *Life and Works*“ — i faktycznie nikt inny tej pracy nie mógłby zrobić lepiej, przeto nie było właściwie palącej potrzeby publikowania dziejów aż tak nagiej duszy.

Dziwnym zbiegiem zdarzeń dostaliśmy prawie równocześnie z tym zbiorem kilkadziesiąt listów Kasprowicza do Jadwigi Gąsowskiej jako narzeczonej, co ułatwia nam spojrzenie na kobietę, która w życiu obu poetów odegrała tak ogromną rolę. Kasprowicz okazuje się tu znowu prostym i głębokim człowiekiem. W chwili jakiegoś nieporozumienia z narzeczoną, pisze: „Byłem przekonany, że znasz mnie lepiej, że wiesz, iż rzuciłem od samego początku wszystko: karierę, którą mogłem być zrobić przy jakim takim spuszczeniu z tonu — aby być swobodnym i poddawać się swym zasadom — widzę jednak dzisiaj, że to przekonanie na chwiejnych nogach, jeżeli przypuszczasz, że chciałbym mieć w Tobie kucharkę, prачkę, lub Fryne... Czytałem wczoraj artykuł Hanssona o jednym z największych obecnie żyjących poetów norweskich, o Arne Garborgu. — Człowiek czterdziestoletni, który potrafi żyć w chłopskiej chałupie, w niedostępnych górach, wśród niedostatku, a w tym wszystkim towarzyszy mu żona, widocznie ucziwa i poświęcająca się kobieta. Mimowoli spojrzałem na Twoją fotografię i dobrze mi się zrobiło“ (64). Że listy do narzeczonej są pięknym i cennym dokumentem duszy Kasprowicza, jest to może momentem ważniejszym niż ta okoliczność, iż rzucają światło na genezę tak rzadkich w jego twórczości pieśni o szczęściu jak *Amor Vincens*, *O poranku*, *Z gór* i *Przy szumie drzew*.

Bardzo bogaty plon w tym roku opublikowanych listów odnosi się, z małymi wyjątkami, do lat dojrzałych pisarzy; Sienkiewiczowska korespondencja z Konradem Dobrskim wprowadza nas w życie „korka“

w dworku pod Płoniem, „korka“, który nie tylko uczy swego Stasia, ale i siebie przygotowuje do matury i egzaminu wstępnego na wydział filologiczny Szkoły Głównej. Pilne uczenie się greki i algebry nie przeszkadza mu opowiadać szeroko o swoich sympatiach wśród panienek, czy namawiać przyjaciela do ożenku. Kiedyindziej snuje dość smutne refleksje o swym życiu (zwłaszcza w liście z 3 marca 1866 r.), czy zapowiada powieść o Spytku z Melsztyna, niezrażony uwagami krytycznymi przyjaciela o powieści pt. *Ofiara*. Co ciekawsze, aspirant do studiów w Szkole Głównej („filologia, to przedmiot prawie dla mnie— trzeba tylko pamięci i blagi, a ja sądzę, że posiadam oboje (!)“) listy swoje ilustruje wcale udatnymi rysunkami. Czytając trzydzieści listów pracowitego maturzysty, przestajemy z bujnym a szczerym chłopakiem, pełnym humoru i marzeń, irytującym się czasami na serdecznego przyjaciela, skorego do „matkowania“ czy moralizowania. Dla poznania psychiki, a po części także poglądu na świat przyszłego autora Trylogii, listy pisane w Poświętnem, są nieporównanie ważniejsze niż późniejsze spokojne korespondencje głośnego powieściopisarza; przecież całkiem inaczej wypowiada się zwykły student, dzielący się z kochanym przyjacielem każdym wrażeniem, każdą refleksją czy uczuciem, niż zrównoważony, starszy mężczyzna, świadomy swej niezwyklej pozycji pisarza.

Dziewięć tomów korespondencji, a wśród nich jedno rzeczywiste wznowienie, to dorobek, jak na jeden rok, niezwykle. Widać, że jesteśmy na drodze do rzetelnego pogłębienia naszej znajomości ludzi i twórców, czasów i środowisk; wzrost zainteresowań, ogólnie mówiąc, humanistycznych, objawiających się w tych publikacjach i oczywista chęć odrobienia zaniedbań dawniejszych, są symptomem bardzo ważkim. Nie groźne, w tym świetle okazują się tendencje ograniczania badań literackich do samego dzieła: „auctor“, twórca, tylko w pewnych wypadkach i dla pewnych ludzi jest przedmiotem obojętnym, ale, jak widać, zasięg takiego dobrowolnego zacieśnienia czy może zaciemnienia nie jest dość rozległy.

FRANCISZEK BIELAK

PRZEKŁADY

LITERATURA ANGIELSKA I ANGLO-AMERYKAŃSKA

a) Literatura angielska

Aldington R. *Kobiety muszą pracować*, tł. H. Gądek. W-wa. Lektura.

Andrews Roy Chapman. *Na krańcach ziemi*, tł. F. Rutkowski. W-wa. Trzaska, Evert i Michalski.

Barclay Fl. *Lady Elaine* (tł. nie podany). Wyd. 2. Lwów. Polonia. 1936.

Barry Ch. *Świadek w oknie*. — *Tajemnica willi mroków*, tł. J. Zawisza-Krasucka. W-wa. Płomień.

Beebe W. *Galapagos na krańcach świata*, tł. dr St. Markowski i J. Wiedman. W-wa. Bibl. Wiedzy. (Trzaska, Ev. i M.).

Blochman L. G. *Bombay ekspres*, tł. J. Czarnocka. W-wa. Płomień.

Brand M. *Alcatraz*, tł. J. Sujkowska. W-wa. Przeworski.

Carey B. *Kapitan Krystyna*, tł. J. Sujkowska. — *Prawo morz południowych*, tł. St. Heymanowa. W-wa. Michałak i S-ka. — *Niebezpieczne wyspy*, tł. K. Jurska. W-wa. 1938 (1937).

Conrad J. *Amy Foster*, tł. A. Zagórska, wyd. 2. — *Gaspar Ruiz*, wyd. 2. —

Pojedynek, tł. W. Horzyca, wyd. 2. W-wa. Dom Książki Polskiej.

Deeping W. *Młodość*. — *Druga młodość*, tł. E. Przysuska. W-wa. Płomień.

Dell E. *Na ołtarzu honoru*, tł. J. Zawisza-Krasucka. W-wa. Znicz. 1931 (1937). — *Rewanż*, tł. M. Rafałowicz-Radwanowa. — *Strażnik wrót*, tł. J. Buchholzowa. 1932 (1937). W-wa. Płomień.

Duncan Izadora. *Pamiętniki*, tł. W. Kallinowska. W-wa. Rój.

Eddington, Sir Arthur. *Nauka na nowych drogach*, tł. dr S. Szczeniowski. W-wa. Bibl. Wiedzy (Trzaska, Ev. i M.).

Farrago L. *Palestyna na widowni*, tł. Z. Popławska. W-wa. Wyd. współcz. 1936.

Galsworthy J. *Kwiat na pustyni*, tł. M. Godlewska. Wyd. 2. W-wa. Rój.

George, Dawid Lloyd. *Wspomnienia wojenne*, tł. A. Pański. T. 1 (—2). W-wa. Rój.

Gibbs Ph. *Wieczne szukanie*, tł. M. Kreczowska. Kraków. Geb. i Wolff.

Gill T. *Wąwóz śmierci*, tł. J. Sujkowska. W-wa. Arct. 1937.

- Graves R. *Klaudiusz*, tł. S. Essmanowski. W-wa. Przeworski.
- Harris Frank. *W pogoni za pełnią życia*, tł. S. Pomian. W-wa. Rój.
- Hichens R. *Czarna toga*, tł. J. Suchodolska. W-wa. Wyd. współcz. — *Plodny szczerp*, tł. Br. N. W-wa. Płomień.
- Huxley Aldous. *Nad zatoką Meksykańską*, tł. St. Kuszelewska. W-wa. Przeworski. — *Niewidomy w Gazie*, tł. M. Godlewska. W-wa. Rój.
- Kingsley Ch. *Na podbój świata*, tł. Z. Popławska. W-wa. Przeworski.
- Jameson Storm. *Cudowny okręt. — Tryumf czasu. — Pourót do domu*, tł. B. Kopelówna. W-wa. Płomień.
- Johnson H. *Lot nad dżungłami Afryki*, tł. M. Jarosławski. W-wa. Trzaska, Ev. i M.
- Linklater E. *Juan w Chinach*, tł. A. Strasmanowa. W-wa. Księgarnia Popularna.
- Locke W. *Stary most*, tł. J. Czarnocka. W-wa. Rój.
- Lofting H. *Cyrk doktora Dolittle*, tł. J. Mortkowiczowa. W-wa. Mortkowicz.
- Markham V. *Diabeł kusi*, tł. L. Orłowska. W-wa. Polska Agencja Publicystyczna.
- Maugham W. S. *Malowana zasłona*, tł. F. Arnsztajnowa. W-wa. Kurier Polski.
- Maxwell W. B. *Pan z towarzystwa*, tł. K. Beylin. W-wa. Bibl. Tyg. Ill. — *Sir Gerald*, tł. M. Marek. Lwów. Avis.
- Mulholland R. *Ideał dziewczęcia*, tł. M. Rafałowicz-Radwanowa. T. 1 (—2). Łódź. Bibl. Echa Polsk.
- Oemler M. C. *Tytularna żona*, tł. F. Zielińska. W-wa. Globus.
- O'Hara J. *Spotkanie w Samarze*, tł. H. Bukowska. W-wa. Płomień.
- Russell B. *Droga do pokoju*, tł. A. Pański. W-wa. Rój.
- (Russell E.). *Teściowa wychodzi za mąż*, tł. M. Rafałowicz-Radwanowa. W-wa. Księgarnia Popularna.
- Sabatini R. *Hrabia Sforza. — Miłość w zbroi*, tł. H. Bukowska. W-wa. Płomień.
- Sidgwick C. *Panny bez posagu*, tł. H. Gądek. W-wa. Lektura.
- Snow C. *Zrywam z nauką*, tł. M. Jarosławski. W-wa. Trzaska, Ev. i M.
- Stevenson R. L. *Wyspa skarbów*, tł. J. Birkenmajer. Wyd. 2-ie, przejrane. Poznań. Wegner.
- Strachey Lytton. *Ludzie epoki Wiktorii*, tł. A. Pański. W-wa. Rój.
- Thompson J. M. *Robespierre*, tł. A. Dobrot. T. 1 (—2). W-wa. Przeworski.
- Verner G. *Czarny garbus. — Krzywy krąg. — Sztuka, która niesie śmierć*, tł. A. Bronikowska. W-wa. Arct.
- Wallace E. *Melodia śmierci*, tł. dr J. P. Zajackowski. W-wa. Rój. — *Straszliwy hotel. — Zagadkowa hrabina*, tł. L. Szenwald. W-wa. Rój.
- Walpole Hugh. *Błędne drogi. — Tryumf życia*, tł. M. Marek. Lwów. Bardach.
- Wheatley D. *Czarny sierpień*, tł. L. Ciechanowiecka. W-wa. Rój.
- Wodehouse P. C. *Dziękuję, Jeeves!*, tł. J. Sujkowska. W-wa. Rój. — *Miłość na okręcie*, tł. L. Ciechanowiecka. W-wa. Rój. — *Niedyskrecje Archibalda*, tł. A. Krzymowska. W-wa. Rój.

b) Literatura amerykańska

- Abbe P., Abbe R., Abbe J. *W jedenaście lat dookoła świata*, tł. C. Wiśniewska. W-wa. Przeworski.
- Adams H. *Usta Moiry*, tł. J. Suchodolska. Poznań. Księg. św. Wojciecha.
- Baxter G. O. *Biały brat*, tł. J. Sujkowska. W-wa. Przeworski. — *Daleka droga*, tł. M. Wańkowiczowa. W-wa.

Rój. — *W sidłach cienia*, tł. dr J. P. Zajączkowski. W-wa. Rój.
 Curwood J. O. *Bari, syn szarej wilczy-
 cy*. — *Łowcy wilków*, tł. J. Marlicz.
 Wyd. 2. Poznań. Księgarnia św.
 Wojciecha.
 Glyn E. *W miłosnej rozterce*, tł. J. Łasz-
 czowa. Lwów. Bardach.
 Grey Owl (Wa-Sha-Quon-Asin). *Piel-
 grzymi puszczy*, tł. A. Dobrot. W-wa.
 Przeworski.

Grey Zane. *Zemsta rodowa*, tł. J. Suj-
 kowska. W-wa. Arct. 1936 (1937).
 Hurst F. *Pięć i dziesięć*, tł. C. Wieniew-
 ska. W-wa. Przeworski.
 London J. *Biały kiel*, tł. S. Kuszelew-
 ska. W-wa. Rój. — *Martin Eden*, (tł.
 nie podany). T. 1 (—2). Wyd. 2.
 W-wa. Rój.
 Scoggins C. E. *Dom ciemności*, tł. J.
 Sujkowska. W-wa. Arct.
 Wa-Sha-Quon-Asin, p. Grey Owl.

ROBERT LOUIS STEVENSON — TYM IMIENIEM KLASYKA angielskiej powieści awanturniczej zacząć wypada niniejszy przegląd tłumaczeń. W roku zeszłym wyszedł bowiem w nowym, „przejrzanym“, wydaniu jeden z najgłośniejszych utworów romansopisarza szkockiego — *Wyspa skarbów* (Treasure Island), w tłumaczeniu Józefa Birkenmajera. Pozycja to zasługująca na szczególniejszą uwagę. Stevenson jak mało który autor wart jest tłumaczenia, tym bardziej więc nie może być dla nas obojętny, jakiego Stevensona znamy. *Wyspa skarbów* w dorobku tego pisarza jest jedną z najświetniejszych książek. Trudno byłoby przyznać jej bezwzględne pierwszeństwo — rywalizować z nią mogłyby i wcześniejsze *Nowe opowiadania z tysiąca i jednej nocy* (New Arabian Nights, 1882) i późniejsza powieść o *Porwanym* (Kidnapped, 1886). Pierwsza snuje wątek bardziej pomysłowo urozmaicony, druga celniejszy ma rysunek charakterów. Mimo to *Wyspa skarbów* jest w swoim rodzaju nie przewyższonym dziełem stevensonowskiego arcyzmu. Tradycyjny wątek — wyprawa po skarby i walka z korsarzami, co także chcą skarb zagarnąć — został w powieści tej mocą sztuki Stevensona uroczo odświeżony. Jest to zaś sprawa techniki opowiadania w o wiele wyższym stopniu niż inwencji fabularnej. Nigdy sztuka Stevensona nie była skromniejsza, bardziej gardząca obfitością efektu i rozlewnością stylistyczną, i nigdy dalej nie odbiegała od popularnych wzorów powieści „wiktoriańskich“. „Że też umiesz tak wspaniale wyrzucać z powieści wszystko, co jest balastem“, pisał z podziwem do Stevensona Meredith, przeczytawszy *Księcia Ottona*. *Wyspa skarbów* to jakby szkic skąpo barwiony, lecz uwydatniający prześlicznie szczegóły zaznaczone. Dokładnie widzimy, jak na falach huśta się łódka Hawkinsa, chwytamy błysk zmrużonego

oka Silvera, co „w jego olbrzymim obliczu... jak okruh szkła“ połyskuje, pamiętamy, że firanki w gospodzie „Pod lunetą“ są różowe, a nawet i zieloność papugi Silvera wydaje się zajmująca i niemal zjawiskowa. Powietrze na dusznej wyspie skarbów nam nie ciąży, oddychamy atmosferą stevensonowską lekko i przyjemnie, śledząc śmiertelne zapasy na małym teatrze wojny. Styl narratorski Stevensona bliższy jest ideałom artystycznym francuskiego w. XVIII, niż współczesnym sobie wiktoriańskim, bliższy artyzmowi *Candide'a* niż *Mikołaja Nickleby*. Miewał on fazy mniej klarownej przejrzystości i większego zagęszczenia (*An Inland Voyage* np. czyż nie przypomina bardziej ceremonialnych w stylu essayów Lamba?) — lecz *Treasure Island* właśnie, i w składni zdań i w rysunku obrazów jest prawdziwym arcydziełem czytelności.

W korespondencji G. M. Hopkinsa, poety i gorącego entuzjasty Stevensona, z Robertem Bridgesem, znajdują się aluzje do błędu konstrukcyjnego w powieści, bliżej nie wyszczególnionego, lecz mającego dotyczyć „położenia okrętu“ korsarzy. Dotyczy to prawdopodobnie istotnie zagadkowej wędrówki „Hispanioli“ dookoła wyspy w rozdziale XXIV.

„Na razie ma się tylko wrażenie rzeczy dobrze opowiedzianej, ale potem się widzi, że nie wypadki charakteryzują bohaterów, lecz bohaterowie objaśniają sobą sens wypadków“, pisał Hopkins przy innej okazji (w liście do R. W. Dixona). Jak wszystkie utwory Stevensona, tak i *Wyspa skarbów* zniewala czytelnika swoistym urokiem moralnym. Stevenson, to zawsze w jednej osobie artysta i moralista. Tylko że z reguły, czytając, „ma się tylko wrażenie rzeczy dobrze opowiedzianych“. Moralistyka Stevensona nie przemawia wyraźną tendencją w jego utworach powieściowych. Nie, jest to w gruncie rzeczy tylko wiara w człowieka, w jego duchową niepodległość i zdolność do wartościowej decyzji i czynu. „Wiadomo, że nie możemy ręczyć za siebie, nim wypadki nas nie wypróbują“, pisał w jednym z wczesnych essayów Stevenson. „Ale rzadziej umiemy dostrzec rzecz inną, bardziej pocieszającą: że w momencie próby okazujemy się zwykle o wiele odważniejsi i lepsi, niż śmieliśmy przypuszczać“. Fikcja Stevensona, to właściwie nic innego, niż porywająca ilustracja tej tezy w formie licznych „romans d'aventures“. Nic dziwnego, że czołowe postacie, ucieleśnienia główne tezy, to młodzieńcy — zastęp dobrze znajomy: książę Florizel, Jim Hawkins, Dawid Balfour, Dick Sheldon, wicehrabia de St. Ives i inni; młodzieńcy zwykle wchodzący dopiero w życie i jeszcze niedoświadczeni, ale wnet

zdający egzamin z wartości swoich, w wirze zdarzeń i nieoczekiwanych groźnych przygód. Jest zatem w fikcji Stevensona raczej pewna koncepcja moralna człowieka, niż wiara w dobroczynne fatum moralne. Fantastyczność i niefrasobliwość perypetyj tai raczej niż programowo odślaniania samą tę koncepcję podstawową. To też sprzeczne z nie-kaznodziejskim duchem sztuki Stevensona wydaje się zbyt emfatyczne uwypatnienie jego ideologii. Emfazą taką tchną dwie stronicie *Legendy Młodej Polski*, transponujące ideologię Stevensona na język publicystyczny Brzozowskiego. „Wszędzie, gdziekolwiek jesteś, siebie masz tylko, własną siłę, własną odwagę inicjatywy i czynu... czyż jak gdyby nigdy żaden czyn nie ginął, jak gdyby nie ginął żaden akt woli...” itd. I podobnie w *Głosach wśród nocy*: „Stevenson ...ukazuje, że wszelkie życie wyrasta z czegoś, czegośmy chcieli i chcemy, rozbudza nadzieje i wołę w najbardziej zatechłych zakątkach bierności, gra srebrną pobudkę, której głos brzmi w najbardziej zgniłych nizinach i bagniskach“. Formuły to z pewnością nie w guście estetycznym Stevensona, ale z pewnością także natchnięte trafnym w gruncie rzeczy odczuciem walorów moralnych jego sztuki. Słusznie też dodawał Brzozowski, że „ta utajona filozofia nawpół dziecinnych książek Stevensona nie może być przypisana jemu samemu osobiście“, nie związał jej jednak genetycznie z głęboko indywidualistycznym duchem nonkonformizmu szkockiego, w którym miała swe niewątpliwe źródło.

Przekład Józefa Birkenmajera nosi cechę talentu, jak wszystkie prace, spod jego pióra wychodzące. Jest potoczysty, wymaga jednak od czytelnika licznych koncesyj na rzecz osobistego gustu tłumacza, który suchy, ścisły język Stevensona zastąpił, gwoli żywości i barwności, nieharmonijną mieszaniną polszczyzny literackiej z nibypotoczną. (Np.: „Otworzym skrzynię, choćbyśmy mieli za to kipnąć! Pani Crossley, a do paniusi to się umizgnę o tę sakiewkę, żebym miała gdzie wrazić te pieniądze, co się nam z prawa przynależą“, s. 32). W dążeniu do wyjaskrawiania tłumacz często osiąga efekty, obce zupełnie prostej i jakże jasnej opisowości Stevensona („głowę wmiesiwszy w dłoń“, s. 170; „kłapiąc całym ciałem, włókł się“, s. 218, itd. itd., często całe zdania nic wyrażnie czytelnikowi nie mówią: „ciężkie zwały wód rozciękle i zapadające się w głąb następowały jedno po drugim“ (s. 201), „łódź, pozostawiona sama sobie ...torowała sobie, że tak powiem, drogę przez owe kotlinki, unikając stromych spływów (?) oraz wyższych, zachłannych wzniesień fali“ s. 204), itd. Grzechem przeciw duchowi w. XVIII, z którego czerpał natchnienia twórca oryginału, jest takie zsypywanie słów, niezbyt trafnie rzecz malujących; najgorsze jednak są liczne nawet w tym „przejrzanym“ przekładzie nieścisłości, wynikające li tylko z niezrozumienia pierwowzoru, i psujące tok opowieści raz po raz zagadkami lub

nielogicznościami. Ze względu na brak miejsca, tylko przykładowo zilustrować możemy tutaj ten rodzaj usterek, choć przekład godzien całkowitego ich usunięcia w przyszłości. Tak np. czytamy: „Cunn jest dobrym człowiekiem... a względem kosztowności ma więcej zaufania (względem kosztowności, zapamiętaj to sobie!) do pana z panów, aniżeli do tych panów szczęścia...” (s. 133, i kilkakrotnie gdzieindziej). W oryginale „a precious sight more confidence — a precious sight, mind that“, — czyli że o żadnych „kosztownościach“ nie ma mowy, jest tylko zwrot potoczny, oznaczający, że Gunn „ma o wiele więcej zaufania — o wiele więcej, rozumiesz?“ — itd. „We'll have money... to play duck and drake with ever after“ znaczy: „będziemy mieli dość pieniędzy, żeby do końca życia puszczać kaczki“, nie zaś „zagrać w gaskę i gąsiora (?)“ (s. 54) itp. Niekiedy tłumacz popada ponadto w niezgodność z tłem obyczajowym, pisze np. „Stara papla kłębaby tak samo, że tak powiem, przed księdzem na spowiedzi“ (s. 88), albo: „Ben Gunn nie miał żadnej wyręki ani przyborów do nabożeństwa... ani duchownej osoby, ani nawet Biblii czy *chorągwi*“, — gdy tymczasem korsarze nie byli napewno anglo-katolikami.

W nowych, przeznaczonych dla młodzieży szkolnej, wydaniach wyszło w roku ubiegłym parę arcydzieł nowelistycznych *Joseph a Conrada*, także od lat kilkunastu klasyka literatury angielskiej, pokrewnego poza tym Stevensonowi całym szeregiem wielce charakterystycznych rysów. Istnieją między tymi twórcami także głębokie różnice: ale jakże zastanawiające są podobieństwa — nie kończą się one bowiem na pewnych rysach istotnych, ale niekiedy sięgają aż szczegółów. Obaj pisarze z zamiłowaniem uprawiali ten sam rodzaj literacki: typ „powieści awanturniczej“, obaj wnieśli powagę intencji moralnej, obaj głosili pochwałę ducha rycerskiego, wielbili typ marynarza i żołnierza. Obaj pogardzony rodzaj literacki uszlachetnili wyrafinowanym artyzmem. Lecz, co ciekawsze, i natura tego artyzmu była poniekąd pokrewna: bo na stylu angielskim i Szkota i Polaka zaznaczył się podobnie wpływ wzorów literackich francuskich. Francja obu artystom prozy narzuciła surowszy kanon estetyczny, dała stylowi ich piętno literackości pielęgnowanej, świadomej, i przez to uczyniła obu zjawiskami w pewnej mierze egzotycznymi na tle kulturalnym angielskim. Zainteresowanie Francją wyraziło się u obu w tematyce, w studiach charakteru i obyczaju francuskiego (przypomnijmy *Skarb* z *Franchard* Stevensona). Ale doprawdy godny uwagi jest urok, jaki na obu wywierała epoka napoleońska, i sentyment niepowierzchowny, jaki czuli obaj zarówno dla jej marsowego ducha. Z głębokim zrozumieniem stylizowali ją obaj w swych utworach. Stevenson napoleońskiego żołnierza obrał za bohatera swej ostatniej, najdłuższej powieści (*St. Ives*), Conrad pod koniec życia

wyobrażnią przebywał jeszcze wyłącznie w tej epoce. Dla obu jest znamienny kult honoru i to kult wedle form, przepisanych dla Europy nowożytnej przez cywilizację francuską, w dobie jej supremacji. I znowuż wśród form tego kultu sympatię obu (pełną zresztą ironii i humoru) pociąga szczególnie kodeks rycerski napoleońskich czasów.

Pojedynek, najdłuższą nowelę Conrada, słusznie już przed laty Edward Garnett nazwał „polskim arcydziełem“ pisarza. W studium, którym poprzedził *Conrad's Prefaces* (z r. 1937), krytyk angielski amplifikuje ten pogląd, stwierdzając, że w ogóle „kontynentalność“ autora wyraziła się w „aliażu słowiańskości, skłonnej do psychologicznych pogłębień, z elementami kulturalnymi polskimi: ciętą ironią i wrażliwością na wszelkie odcienie uczuciowe“. I otóż *Pojedynek* uważa krytyk za najczyściej „kontynentalny“ z ducha utwór Conrada, bo reprezentujący wyłącznie „kontynentalny“, obcy wyspiarskości Anglików, typ kultury. „Obce jest środowisko, atmosfera, styl ironii“. Temu też krytyk przypisuje, że utwór tak świetny nie został jednak należycie oceniony przez publiczność o gustach „wyspiarskich“.

Równo trzydzieści lat minęło od publikacji tego niewątpliwego arcydzieła (w zbiorze *A Set of Six*). Nie zwietrzała w nim przez ten czas ani sentyment, ani artyzm; problematyka psychologiczna i moralna, związana z przeżyciem przez bohaterów zagadnień takich jak sprawy wojny w ogóle, a wojny domowej w szczególności, „La France“ jako problem nowoczesnego nacjonalizmu, jak kwestia lojalności wobec porządku przed i porewolucyjnego, groteskowa i poważna strona spraw honorowych, wszystko to dziś wydawać się może nawet aktualniejsze i ciekawsze niż przed trzydziestu laty, gdy ambitna opowieść Conrada interesowała czytelników raczej tylko jako próba stylizacji beletrystycznej czasów minionych.

Tradycje rodzinne, powietrze historyczne Polski, pobyt we Francji, głęboko wtajemniczyły Conrada w ducha napoleońskiej epoki. Lecz jakież związki, jakie podniety kulturalne kazały mu równie intensywnie przeżywać także tragedie walk wewnętrznych w Ameryce łaćwińskiej? Krótki postój w pewnym porcie amerykańskim, który rzekomo miał Conradowi dać wystarczający impuls twórczy do napisania *Nostromo*, stanowczo nie tłumaczy tych pasyj politycznych, którymi Conrad wypełnił i tamtą powieść, i napisaną po niej nowelę *Gaspar Ruiz*. Conrad, wielbiciel piękna wojny i militarystyki, dla wojny domowej ży-

wi namiętą pogardę, zadziwiającą szczególnie u człowieka czasów przedwojennych. Rewolta wojskowych przy tym budzi w nim animozję nienawiści i wzdargę głębszą jeszcze niż rewolta cywilnych (*Korsarz, W oczach Zachodu*). Zapewne pewien udział osobisty w hiszpańskim buncie Carlistów (o którym opowiedział autor w *Złotej strzale* i *Tremolinie*) po raz pierwszy nauczył go tej prawdy, że „gdy wojna jest wojną rewolucyjną, gdy wróg czyha nie na progu, lecz wewnątrz każdego domu... wówczas żarliwość przekonań politycznych przechodzi w uczucie nienawiści, które mężczyźni wyzwala często spod nakazów honoru i ludzkości, w wielu kobietach zaś zagłusza wstyd i strach“. Tradycje polskie walki o wyzwolenie w r. 1863 wiele także mogły nauczyć Conrada. Ojczyzna dała poza tym Conradowi jeszcze jedno: zrozumienie psychologii chłopca. Prosty guasso Gaspar Ruiz jest właściwie hiszpańsko-amerykańską odmianą ciemnego Białorusa. Conrad, czciciel militarnego ducha, i tradycyjni rycerskich Europy, z głębokim współczuciem wnikał także w psychologię ogłupionego chłopca, przemocą zagnanego do szeregów. „*He had no feeling either way...*“ Uwidocznia się na tych przykładach rozpiętość zasięgu ludzkiej sympatii Conrada. — Ameryka Łacińska przed wojną była oczywiście najklasyczniejszym teatrem rewolucyj wojskowych; uwagę zaś Conrada na ten teatr zwróciły zapewne nie tyle panoramy portów amerykańskich, ile opowiadania i pisma dwóch bliskich osobistych przyjaciół, hidalgów angielskich: Cunninghame Grahama i W. H. Hudsona. Ten ostatni w *The Purple Land* wedle własnych wspomnień namalował obraz rewolucji południowo-amerykańskiej, i może tym właśnie utworem wyobraźnię Conrada zapłodnił.

Pewne cechy umysłowości Conrada, elegancja i gorycz jego sceptycyzmu, ironia w stosunku do spraw ludzkich, nawet i pełnych chwały, głęboki nieraz pesymizm, — czynią wymienione utwory Conrada (jak poniekąd również i nowelę *Amy Foster*) lekturą w pełni odpowiednią tylko dla czytelników dojrzałych. Nowe wydania informują nas atoli, że utwory te włączone zostały do zakresu „lektury obowiązującej dla uczniów klasy III szkół gimnazjalnych“.

Z uwagi na cel pedagogiczny wydawnictwa szczególniejsze znaczenie w tym wypadku ma także kwestia przekładu. Niestety, stwierdzić trzeba, że spośród wymienionych trzech utworów, dwa: *Pojedynek* i *Gaspara Ruiza* poznaje dzisiaj młodzież w przekładach, które ze wszystkich omawianych w tym roku są najgorsze. Tłumaczenia te, pióra p. Wilama Horzycy, ogłoszone przed laty kilkunastu w zbiorze *Sześć opowieści*, najniesłuszniej zostały teraz czytelnikom przypomniane. Stanowią one bowiem

przykład roboty niewprawnej, z okresu, gdy tłumacz nie panuje ani nad oryginałem, ani też (pod wpływem sugestii oryginału) nad swym językiem ojczystym. To też przykład nie zawiera nawet poszczególnych dobrych partyj, poszczególnych urywków dobrej prozy. W każdym prawie zdaniu razi jakaś niezręczność, niefortunny użytek słów. „Ale co było okropniejsze od tej wścikiwości rozjuszonego zwierzęcia, spełniającego przy całej niewinności serca swą naturalną funkcję, to niewzruszone dążenie do okrutnego celu, na jakie tylko człowiek zdobyć się może“ (Pojed., s. 16—17). „Choć z zastrzeżeniami godził się na małżeńskie plany swej siostry, ale aż po uszy wpadł w nieuleczalną miłość, tak jak się spada z dachu“ (s. 57). „Odwaga w pojedynku, odwaga w spotkaniu wręcz (?) z jednym tylko przeciwnikiem, uchodzi, słusznie czy niesłusznie, za odwagę szczególnego rodzaju“ (s. 30). „Przerwał porucznik D'Hubert z pewnego rodzaju poważnym przerażeniem“ (s. 22). „Ma się to przykre uczucie, że, mimo wszystko, nie jest się tak niepokalanym, jakby się być spodziewało“ (s. 54). „Wówczas jeden z gości zauważył, że nie spotkał kobiety, która by nie była zdolna do wyjątkowego rozwoju wówczas, gdy uczucia jej zostały z pewnych powodów wciągnięte w grę“ (G. R., s. 21). „Ale byłoby niezrozumiałe, gdyby (słońce) patrzyło na podobnych do mrówek ludzi przy ich głupim, mało znaczącym zajęciu. jakim jest zabijanie i mordowanie bliźnich z powodów, które pominąwszy, że na ogół są dziecinne, na dobitkę nie są dobrze rozumiane“ (G. R., s. 17). Takim stylem przemawia do młodocianych czytelników polskich Conrad. Prócz złej polszczyzny zaś razią w przekładach tych niezliczone niewierności. Nawet najprostsze słowa (jak *to enjoy*) bywają błędnie zrozumiane („...używali dowoli (*had been enjoying greatly*) krótkiej przerwy pokojowej“, P., s. 5). Cóż dopiero mówić o odwzorowaniu myśli Conrada w całej ich subtelności i jasności! Wielokrotnie opowiadanie staje się niezrozumiałe z powodu wypaczeń sensu. Na każdym zaś kroku spotykamy (mówiąc własnymi słowami autora) *distortions of motive, sentiment and circumstance*.

Zilustrujemy ostatni rodzaj odstępstw jednym tylko przykładem. U Conrada gen. Feraud łączy „ze wzrokiem zgaszonym“ (*lack-lustre eyes*). U tłumacza: „patrząc przed siebie oczyma... błyszczącymi jakby z laki“ (P., s. 54).

Do innej, bez porównania wyższej, kategorii robót literackich należy oczywiście przekład noweli *Amy Foster*, pióra p. Anieli Zagórskiej.

Najznakomitszy bodaj z pisarzy angielskich młodszej generacji, Aldous Huxley, reprezentowany jest w tym roku dwoma przekładami. *Nad zatoką meksykańską* to zbiór notatek z wycieczki po Ameryce Środkowej (w oryginale ogłoszonych p. t. *Beyond the Mexique Bay*, 1933). *Niewidomy w Gazie* (*Eyeless in Gaza*, 1936), to szeroko rozbudowany utwór powieściowy, dzieło najambitniejsze, i być może, w dotychczasowym dorobku powieściopisarskim Huxleya — najcenniejsze. (Tytuł, jak zwykle u tego pisarza, literacki, zawiera z Milтона wziętą aluzję o Samsonie; parafraza polska z Mickiewicza, brzmiałaby: „Kiedy więzień i ślepy dumał u kolumny“). Huxley, „*this great contemporary*“,

jak nazwał go ze czcią krytyk i biografista angielski Harold Nicolson, — przeszedł w ciągu ostatnich lat poważną ewolucję ideową. Utwory spisane w tym roku, bliskie sobie datą pierwotnej publikacji, należą jednak do dwóch odrębnych z tego punktu widzenia faz twórczości. *Beyond the Mexique Bay* przypada na koniec pierwszej, sprawia wrażenie książki raczej nudnej, świadczącej jakby o wyczerpaniu umysłu i talentu. Z zapisków podróży po Antylach, Guatemali i Meksyku widzimy jak oschle reagował pisarz-turysta na krainy, które D. H. Lawrence'a pobudzały do ekstazy lirycznej. Oziębłość pisarza płynęła także stąd, że nie wzruszało go dzieło cywilizacyjne katolicyzmu w krajach Azteków i Mayów. Barok jezuicki, procesje Bożego Ciała w Chichecastango czy Sololi — nastroczały mu sposobność raczej tylko do ostrych i ironicznych uwag. Jedynie pisząc o dawnym, tajemniczym kulcie Czasu u Mayów — dał essay pełen wnikliwości i sympatii. (Temat Czasu zawsze fascynował Huxleya, z własnych jego zadum nad Czasem ułożył by można małą, lecz interesującą antologię).

Z żadnym z miejscowych etniczno-kulturalnych elementów nie sprzymierzył się autor sympatią. Ani z negrami, ani z indianami, ani z mieszancami, ani z Hiszpanami... Zapiski (poza dywagacjami) są niemal wyłącznie kroniką dziwności i potworności pospolitych lub osobliwych, obok których pisarz przechodzi, dziwiąc się ludzkiej ordynarności i głupocie. Nicolson poczytuje odsentymentalizowanie powieści za główną zasługę Huxleya. Idealnie wyjałowione z sentymentu są także i te obrazy z podróży meksykańskiej, lecz pretensję jako czytelnicy żywimy raczej za to, że nie dość interesują swym artyzmem: te migawki, fragmenty scen, kontrasty, nie przekonywają nas o swej *ważności*. Długa diatryba przeciw nacjonalizmowi (do której asumpt wziął autor z rewolucyj i wojen Guatemali), zawiera uwagi głębokie, przede wszystkim przecież świadczy, że autor mówi o faktach psychicznych, których nie zna z własnego doświadczenia. Jak przystało na Anglika wcześniejszej generacji nie przeżył snadź własnym sercem nacjonalistycznych uniesień i pasyj, którymi żyło współcześnie tylu Europejczyków kontynentu.

Innego Huxleya, czarodzieja beletrystyki, i głębokiego moralistę, ukazuje nam *Niewidomy w Gazie*. Powieść ta, objętości nie mniejszej niż *Point Counter Point* zawiera więcej znacznie autobiograficznego pierwiastku, i zarysowuje charaktery bohaterów nie tylko jako ilustracje tez psychologicznych, lecz także jako ludzi zdolnych do włas-

nego mocnego życia w świecie fikcji. Niezwykle subtelna analiza psychologiczna Huxleya, z każdym nowym utworem coraz bezlitośniej-sza, nigdy sprawniej dusz nie rozkładała. Niektóre obyczajowe sceny przerażają wprost okrucieństwem, lecz głęboką satysfakcją moralną zarazem sprawia czytelnikowi obcowanie z umysłem tak rzetelnie prawdę miłującym, tak serio spozierającym w głąb dusz ludzkich. Powieść pozwala śledzić wysiłek tego umysłu także i w innej dziedzinie: dziedzinie teorii moralnej. Naczelną bowiem prawdą o człowieku wydawała się poprzednio Huxleyowi rozkładalność życia jednostki na szereg nieodpowiedzialnych stanów psychicznych, z których każdy rodzi odrębną, właściwą sobie filozofię: filozofię sytości, głodu, dobrego i złego samopoczucia, itd. W oczach niemiłosiernego analityka człowiek zamieniał się w zbiorowość, iluzorycznie zjednoczoną, tworzył jeno kolonię istot. Śmieszne zaś, nie skoordynowane ich odruchy stanowiły ulubiony przedmiot obserwacji psychologicznej pisarza. Kościół ciągnie przechodnia mrokiem, skupieniem, Luna-park zgiełkiem jarmarcznym: oba impulsy właściwe są naturze człowieka. Huxley hamletyzował długo, nie śmiejąc orzec, co jest prawdziwą świątynią: Kościół czy Luna-park? *Eyeless in Gaza* znaczy pierwszy etap nowej drogi myślowej pisarza po przewyżczeniu postawy dawniejszej. Porzucić ją kazało mu przeświadczenie mistyczne, że człowieka łączy w jednolitą istotę świadomość centralna, mająca także poczucie odpowiedzialności za życie. Wprowadzenie tej mistycznej korektury nie zdegradowało w rozumieniu Huxleya dawne-go bóstwa — nauki, lecz kazało mu uznać także wartość ćwiczeń duchowych, mogących zapewnić powrót cennych stanów mistycznych, obudziło więc w nim nowe zainteresowanie dla starych technik medytacji religijnej. Uznanie tradycyjnej idei odpowiedzialności moralnej człowieka doprowadziło go znowuż do przyjęcia etyki, bliskiej duchowi chrześcijaństwa, której wyrazem politycznym stała się atoli doktryna konsekwentnego pacyfizmu. (Szerzej swoją filozofię moralną rozwinął autor w ostatniej swej większej pracy: *Ends and Means*, 1937).

W powieści, świetnie napisanej, łączącej jasność dobrej prozy naukowej ze śmiałością obrazowania i nowoczesnością formy stylistycznej, najpiękniejszym wszelako urywkiem jest zapewne... przytoczony w jednym z rozdziałów dłuższy cytat z D. H. Lawrence'a. Duch Lawrence'a patrounuje też epizodom powieści, których akcja przenosi nas znów na teren Meksyku. Jest w tym niejaka perwersja, być może charakterystyczna, że

Antoniego i Marka, pacyfistów, pociąga na ten odległy teren atrakcja wojny... domowej. Przedstawicielem zaś zdrowej ideologii, lekarzem ducha Antoniego, jest w powieści osoba d-ra Millera. Poglądy jego, będące naogół wyrazem końcowym ewolucji samego Huxleya, zawierają coś dla Polaków znajomego: do złudzenia przypominają mianowicie w pewnych punktach znany program przyrodoleczniczy d-ra Apolinarego Tarnawskiego...

Zapiski podróźnicze przetłumaczyła p. Stanisława Kuszelewska, *Niewidomego* spolszczyła p. Maria Godlewska. Spolszczenie w obu wypadkach równało się złej przemianie materii stylistycznej. Obie tłumaczki często nie rozumiały, o czym pisze przyswajany przez nie autor, gdyż czuły się obco zupełnie w sferze jego zainteresowań umysłowych.

„Po przyjeździe Hiszpanów mieszkańcy, a przynajmniej cywilizowani mieszkańcy opuścili Copan na tysiąc prawie lat“, twierdzi np. p. Kuszelewska (N. Z. M., s. 257), nie orientując się, że w ogóle Hiszpanie do Ameryki Środkowej przyszli zaledwie coś czterysta lat temu... Dotkliwych zniekształceń sensu jest w książce około tysiąca! (Swoisty rekord na str. 227, gdzie wannę zamienia tłumaczka na „wybrzeże w Middleborough, gdzie wszystko aż do linii przepływu zasypane jest śmieciem“). P. Godlewska miała zadanie trudniejsze, tłumacząc utwór o bogatszej i subtelniejszej fakturze. Osiągnęła poziom wyższy może od p. Kuszelewskiej, lecz nie wystarczający. Zbanalizowała pierwowzór, z reguły odbierając jego słowom wytworność, a myślom głębię i pointy, i osiągając niekiedy efekty jaskrawe, zupełnie nie zamierzone przez autora („Strasznie mi przykro — rzekła ze szczerą skrucą. Starła się wynagrodzić swe ohydne postępowanie. Zjadła przecież lekkomyślnie krowę, wielokrotnie obmacaną przez Baldwina“ — N. w G., I, s. 170). Aluzje literackie i naukowe autora dały i tu powód do licznych nieporozumień. Np. poeta *ksiądz* Hopkins (*Father H*), przez tłumaczkę regularnie nazywany jest „starym Hopkinsem“ (j. w., s. 274, 278, 280 i in.).

Propagandzie pacyfizmu „integralnego“ poświęcił Bertrand Russell jedną ze swych ostatnich książek. *Droga do pokoju* ukazała się w tłumaczeniu polskim (A. Pańskiego) zaraz prawie po wyjściu oryginału. „Aktualności“ przyswajane są literaturze naszej coraz śpieszniej, jest to prawie jedyna wytyczna, jaką kierują się firmy, specjalizujące się w publikacji tłumaczeń. Książka Russella w polskim wydaniu stała się „broszurą“ polityczną w każdym tego słowa znaczeniu. W dodatku zaś broszurą dziś już przestarzałą. Książka bowiem związana jest ściśle z aktualnością polityczną — sprzed dwóch lat. Z aktualności ówczesnych pozostała nam dziś już prawie jedna tylko — wojna domowa hiszpańska. Ogólne rozważania autora dotyczyć mają także sytuacji obecnej. Autor bowiem, jak się okazuje, nie jest pacyfistą nieprzejednanym i bezwzględ-

nym. Chodzi mu o to, że „w obecnej chwili wojna między państwami cywilizowanymi musi przynieść więcej szkody, niż pożytku“. Podobne stanowisko zajmuje także Hitler. „Nawet w chwili obecnej“ — ciągnie autor, — „nie mam zamiaru potępiać każdej wojny *domowej*; rząd hiszpański ma oczywiście słuszość, stawiając opór powstańcom“. I tu zasadniczo nie różni się autor od Hitlera, tylko że ten ostatni uważa, iż słuszniej jest popierać powstańców. „W innym czasie“ — wyjaśnia Russell, w związku z obecną sytuacją europejską — „gotów byłbym rozważyć na nowo straty i zyski i uznać, że wojna *może się opłacać*“. (To wyrażenie handlowe złożyć trzeba na karb tłumacza; nie mam oryginału pod ręką, lecz autor z pewnością powiedzieć chciał: „że warto wojować“). Pochwala także Russell te wojny w przeszłości, których skutki okazały się dla cywilizacji niewątpliwie pomyślne, jak np. podbój Galii przez Cezara. Widzimy więc, że naogół „pacyfista integralny“ zajmuje w stosunku do wojny stanowisko umiarkowanie sceptyczne, kierując się rozsądkiem praktycznym, godnym angielskiego whiga. Obcy mu jest mistycyzm huxleyowski, obce także znawstwo duszy ludzkiej, i wnikanie intuicyjne w ludzkie pobudki i uczucia, wzorem powieściopisarzy i poetów. „Heroizm jest cenną właściwością“, — czytamy (s. 207) *. Kto tak cedzi słowa, nie może rozumieć, co czują dziś miliony ludzi w Europie, i łącno dojdzie w ocenie bieżącej sytuacji do najfałszywszych wniosków. „Ale podziw dla heroizmu nie może być podstawą teorii politycznej“ — konkluduje w dalszym ciągu autor. Co warte to „nie może“, gdy właśnie na kulcie heroizmu oparły się dziś teorie polityczne niektórych wielkich narodów Europy?

O niezdolność do rozumienia heroizmu niesłusznie był oskarżany L. Strachey, najwybitniejszy artysta w biografistyce angielskiej czasów ostatnich. Nowością bowiem w swoim czasie był styl jego charakterystyk, wolny od patetyczności. Strachey nie szydził z bohaterstwa, raczej uważał je za coś naturalnego. Przekonywa o tym także szkic o generale Gordonie, świeżo przetłumaczony, który w swoim czasie ściągnął na głowę autora najcięższe gromy. Czytelnicy polscy nie domyśliliby się jednak zapewne, że burzę tę w klimacie angielskim kultu bohatera wywołał. ustęp, dyskretnie mówiący o alkoholizmie Gordona. Nieuchwytny dla naszych

* Oczywiście tłumacz skarykaturował tu zlekka myśl autora. Lepiej po polsku brzmiałoby: „Zdolność do heroizmu jest cenna“.

czytelników będzie także rewizjonizm szkicu, charakteryzującego Florencję Nightingale, jako osobę spełniającą dzieło miłosierdzia z pobudek swoistej miłości własnej. Oba szkice prawdopodobnie wydadzą się im poprostu tylko nader przekonującymi psychologicznymi portretami. Odbronzawiacz angielski, przemawiając po polsku, nie szokuje: inne wprawdzie odnieśliśmy wrażenie z życiorysu kardynała Manninga, kreślonego ze złośliwością wolteriańską; ale w szkicach wyżej wymienionych poznajemy Lyttona Stracheya, jako portrecistę ironicznego wprawdzie, lecz pełnego subtelności i taktu. Finezyjna prostota oryginału znikła jednak w przekładzie, potoczystym, lecz nie polskim z ducha. („Obfite oracje zwracał wówczas przede wszystkim do siebie samego, dla własnego zadość uczynienia“, s. 241; „jego drobna, pełna emocji postać“, s. 241; „gdyby lord Hartington, był szybszy o dwa dni“, s. 233; itd. Czasem polszczyzna szwankuje do tego stopnia, że trudno sens zrozumieć: „Stanowczo nie przerażało go, że jest „jak mówią członkowie eleganckich klubów — człowiekiem samowolnym, choć ze wszystkich ludzi najbardziej samowolni są ci właśnie klubowcy“, s. 244). Lecz także i czytelnik polski dostrzeże artyzm widoczny w kompozycji, w selekcji materiału, i w sztuce cytatu. Cała ostatnia część szkicu o generale Gordone to właściwie mozaika wyimków z dwóch źródeł: z dziennika obrońcy Chartumu i z zapisków lewantyńskiego kupca, Bordeini Beja: i zarazem świetny przykład oryginalności Stracheya-artysty. Sztuka jego jest równie oryginalna wtedy, gdy redukuje się do sztuki cytatu, jak wtedy, gdy tworzy nową prozę, niezawodnie gładką i lekką w czytaniu. „Est brevitae opus ut currat sententia...“ — ten ideał klasyczny zwięzłości i potoczystości Lytton Strachey realizował w swych pismach świadomie, i ze znakomitą powodzią. Czytelnika raczą one niepowszednim w literaturze dzisiejszej komfortem.

Wrażenie swoistego komfortu sprawia na czytelniku zawsze też lektura pism H. G. Wellsa, którego *Próba autobiografii* jest ostatnim, tłumaczonym na polski, utworem. Ukazał się dotychczas tylko pierwszy tom tego dzieła, w przekładzie pióra p. Ludwika Krzyżanowskiego. Wspomniane miłe wrażenie udziela się w czasie lektury czytelnikowi dzięki niezwykłej naturalności stylu Wellsa. Jest to zaprzeczenie artyzmu rafinowanego, szlachetnej lecz wypracowanej prostoty Stracheya. Wells nie ma żadnych ideałów artystycznych: jest sobą. W drugim tomie opowiada o rozterce sumienia, w jaką wprawiały go ongiś dyskusje z Conradem. Con-

rad pojmował rzemiosło literackie, jako zawziętą pracę nad każdym słowem, każdym zdaniem, gwoili doskonałości artystycznej. Wells uwolnił się od tych obowiązków, postanawiając, że zostanie „dziennikarzem“, nie artystą. W rzeczywistości, ma się rozumieć, artystą pozostał, lecz artystą spontanicznym, konwersacyjnie niedbałym, wypowiadającym się z niesłychaną swobodą, nie narzucającym sobie żadnych przymusów. Oczywiście tylko niezwykle talent Wellsa i bogactwo jego umysłu sprawiły, że pisarz, wyrzucając z siebie miliony słów, pozostał jednak zawsze dla czytelników ciekawy. Właściwie autobiografia jako kronika życia kończy się już w tym pierwszym tomie, pod koniec którego występują obszernie dywagacje, całkowicie prawie zapełniające tom drugi. Dzieje osobistego życia autora wyczerpują się na początkach jego kariery literackiej, i momencie rozstania z pierwszą żoną, po nader krótkim z nią pożyciu. Co do zdarzeń późniejszych (po swym powtórным małżeństwie) zachowuje dyskreję i oszczędza czytelnikowi skandalów. Rozprawia w dal-szym ciągu niemal wyłącznie o ideach. Zapewne nie tylko dyskreja jest tego powodem. Autobiografia Wellsa to przede wszystkim historia jego miłości własnej, — jak zresztą także całe jego dzieło. Charakterystyczna jest serdeczna sympatia, jaką młody debiutujący pisarz żywi dla swoich sobowtórów. Są to skromni młodzieńcy, ofiary porządku społecznego, przytwardzone do dolnych szczebli drabiny społecznej. Są to zarazem najlepsze kreacje charakterowe pisarza. Sobowtórami takimi są Mr. Hoopdriver, Mr. Polly, Kipps — subiekci magazynowi; sobowtorem jest George Ponderevo (z *Tono Bungay*); sobowtorem jest także anioł - socjalista z *The Wonderful Visit*... W *Autobiografii* znajomego subiekta spotykamy raz jeszcze, tym razem bez pseudonimu, jako małego Wellsa, i dowiadujemy się jego dziejów prawdziwych. Wieczny malkontent nie skończył uniwersytetu, do którego wstęp zdobył jako stypendysta; zaczął natomiast prosperować, i to świetnie, jako pisarz. Nie mógł mieć potem osobistej pretensji do losu, którą żywić mógł tak słusznie Wells mały. Malkontencja Wellsa wielkiego wyraziła się głównie w pretensji do świata, że nie przyjmuje z wdzięcznością koncepcji państwa światowego, do której pisarz rości sobie prawo autorskie. Odtąd dzieje subiekta i studenta urywają się, zaczynają się dzieje krystalizacji idei w umyśle wielkiego Wellsa... konferującego z dyktatorami, pouczającego parlamenty, mającego dziś łatwy dostęp do kierowniczych umysłów, *brains in key positions*...

Przekład, jako polszczyzna, pozostawia wiele do życzenia. Poza tym, w wydaniu polskim książki należało stanowczo pominąć urywki obrażające uczucia czytelników-katolików.

Jakże dyskretna, purytańska niemal, wydaje się *Autobiografia* Wellsa obok wspomnień Franka Harrisa! „Nic nie wiem, pisze Wells, o *My Life and Loves*, książce Harrisa, poszukiwanej przez amatorów pornografii, — pewien jestem atoli jednego: że to książka pisana ze szwungiem i nałgana... Podobno jest to stek kłamstw, potok łez wylanych nad samym sobą, poza tym zgrywanie się, ekshibicjonizm, i jako nuta ostatnia rozpacz i przygnębienie“. Charakterystyka „na nieczytane-go“ bardzo trafna, z tym zastrzeżeniem, że pamiętniki Harrisa (skrótowe polskie wydanie pod tytułem *W pogoni za pełnią życia*) pod względem wiarygodności swej budzą raczej zaufanie, i stanowią prawdopodobnie dokument nie tylko psychologiczny, jako autoportret autora, lecz także i obyczajowy, jako godny uwagi obraz czasów i zdarzeń, malowany przez kogoś, kto dużo ciekawego w życiu widział i opowiada z żywiołowym talentem narratorskim.

Przekład Stefana Pomiana, płynny i łatwy w czytaniu, nie wolny jest od usterek, zwłaszcza stylowych, lecz należy do lepszych tłumaczeń.

Wśród utworów literatury pamiętnikarskiej jako pozycję poważną wymienić należy także *Wspomnienia wojenne* b. premiera Anglii, D a w i d a L l o y d a G e o r g e ' a. „Buchający energią adwokat walijski“ (jak określił go w *Polityce Polskiej* Roman Dmowski) nie zapisał się dobrze w pamięci opinii polskiej, ze względu na swoje nieprzyjemne dla nas stanowisko podczas Konferencji Pokojowej. Przepadł także w opinii angielskiej po upadku koalicyjnego rządu w 1922 roku, i odtąd się politycznie nie odegrał. *Wspomnienia* pozwalają nam jednak zrozumieć te niepospolite walory umysłu i charakteru, dzięki którym człowiek tak potem sprostponowany wybił się na sternika nawy państwowej w dobie najgroźniejszego kryzysu, i kraj z niebezpieczeństwa wyprowadził. Przed wojną Lloyd George, demagog i radykał, należał do tych rozbrajaczy narodu, o których z bezdenną pogardą mówił Kipling w poemacie alegorycznym *The City of Brass*. Po wybuchu wojny w gabinecie liberalnym Asquitha niewielu też miał sobie życzliwych. Energią, odwagą cywilną, decyzją, pewnością siebie w konfliktach z wojskowymi wysunął się jednak tak dalece na czoło, że po dwóch latach niemal wszyscy, zarówno chętni mu jak nie chętni, zawołali: „Niech on prowadzi!“ Lloyd George

objął premierostwo w r. 1916. Niewątpliwie w osobie swej w wyjątkowym stopniu łączył zalety parlamentarzysty, adwokata i wodza. *Wspomnienia* ukazują go nam ponadto jako wybitnie utalentowanego pisarza-publi-cystę. Mimo nieskładności budowy, przeciążenia dokumentacją, etc., jest to lektura porywająca wielkością tematu, a w pewnej mierze także wielkością postaci centralnej. Dramatyczna jest przez motyw stałego konfliktu cywilnego szefa rządu z wodzami armii, konfliktu przedstawionego ze zdumiewającą dla polskich przyzwyczajęń szczerością. Przedmiotem krytyki są w pierwszym rządzie dowódcy angielscy, ale Lloyd George bez ogródek wypowiada także, co myśli o dowódcach armii sojusznicznych. Píše np.: „Fakty, o których wiedział (Nivelle), nie odchyliły jak się zdaje ani o włos decyzji tego generała, upojonego aż do odurzenia długim, powolnym sączeniem z niewyczerpanego dzbanka marzeń o zwycięstwie. Był w stanie nieprzytomnej egzaltacji, która pozbawiła go zwykłego opanowania. Cichy skromny człowiek stał się gadatliwy, chępliwy i agresywny. Tego rodzaju nastrojem tłumaczy się wiele niemądrych ofensyw Wielkiej Wojny...” Urywek ten daje próbę zarówno bezpośredniości, jak wymowy adwokackiej autora.

Ogłoszone dotychczas dwa tomy wydania polskiego obejmują wybór z pamiętników po rok 1917 włącznie. Nie zawsze uwzględniono to, co ze stanowiska polskiego najciekawsze: pominięto np. słynny memoriał Balfoura z r. 1916 o celach wojny. Lecz całość wskutek skróceń zyskała na czytelności. Polszczyzna przekładu natomiast częstokroć nie zadowala. Lecz zdarzają się i zdania zgrabne. „Z perfidią, którą generał Joffre powinien był przewidzieć w tak zdradzieckim wrogu, Niemcy odmawiali zawsze odegrania roli, jaką plan im przeznaczał...”

Literaturę popularno - naukową wśród przekładów zeszłorocznych szlachetnie reprezentują niektóre wydawnictwa *Biblioteki Wiedzy*, jak *Galapagos* Williama Beebe'a i *Nauka na nowych drogach* Arthura Eddingtona. Wydawnictwa te zalecają się szczególnie estetycznym wyglądem zewnętrznym (ilustracje kolorowe w książce Beebe'a!). Starannie wydane (przez firmę J. Przeworskiego) jest także studium historyczne J. M. Thompsona (profesora uniwersytetu oksfordzkiego) *Robespierre* (w dwóch tomach), i stanowi wartościowy wkład do literatury przekładowej.

W porównaniu z szeregiem cennych utworów literatury pamiętnikarskiej i naukowej mniejsze stosunkowo jest w roku sprawozdawczym zna-

czenie tłumaczonych powieści. Wymienimy R. Gravesa *Klaudiusza* — wizję epoki Cezarów, oglądaną oczami współczesnego nam kulturalnego Anglika, bez ceremonii uczynionego widzem zdarzeń sprzed dwóch tysięcy lat, i Cezarem. Tłumaczenie p. Essmanowskiego jako styl i polszczyzna wyróżnia się korzystnie. Do najlepszych prac w zakresie tłumaczeń należą przekłady Ludwika Ciechanowieckiej, zalecające się swobodną i naturalną polszczyzną. Przyswojone wprawnym piórem tłumaczki, ukazały się w roku zeszłym powieści: specjalisty od humoru P. G. Wodehouse'a (*Miłość na okręcie*) i specjalisty od sensacji D. Wheatleya (*Czarny sierpień*). Erica Linklatera *Juan w Chinach* jest jeszcze jednym przykładem rodomontady literackiej, której styl dał nam poznać *Juan w Ameryce* i inne beletrystyczne próby tegoż autora. Zaleca go kultura literacka, jednakże gruby śmiech jego bohaterów często brzmi wymuszenie, humorystyczne sytuacje wydają się pracowicie montowane. Trylogia *Storm Jameson*, popularnej autorki: *Cudowny okręt*, *Triumf czasu*, *Powrót do domu*, reprezentuje kobiecą antysentymentalną beletrystykę Anglii powojennej. Przekład Bronisławy Kopelówny zrobiony okropną polszczyzną. A. J. Cronina *Gwiazdy patrzą na nas*, to również utwór typowy dla pewnych kategorii nowej angielskiej beletrystyki obyczajowej, cieszącej się wśród mas poczytnością, i na tę poczytność obliczonych. Z utworów literatury północno-amerykańskiej wymienimy: powieść utalentowanej autorki Fannie Hurst *Pięć i dziesięć*, jedno z owych studiów psychologicznych, w których celuje wymieniona przedstawicielka beletrystyki Stanów Zjednoczonych; oraz Kanadyjczyka, światowej sławy pisarza Grey Owla *Pielgrzymów Puszczy*. Czas okaże, czy wkład pisarza tego do literatury ostoi się jako pozycja wartościowa i trwała i czy *Wa-Sha-Quon-Asin* (pseud. indiański Grey Owla) lepiej będzie pamiętany przez publiczność czytającą, niż równie szlachetny miłośnik zwierząt, i niezaprzeczenie też utalentowany i godzien pamięci, a zapomniany już dziś prawie w Europie literat amerykański — Ernest Thompson Seton.

WITOLD CHWALEWIK

LITERATURA FRANCUSKA

- Anet Cl. *Mayerling*, tł. H. J. W-wa. Rój.
- Benoit P. *Fatalna noc w Mukdenie*, tł. H. H. Wyd. 2 — *Pani z Zachodu*, tł. H. H. W-wa. Rój.
- Bernanos G. *Pamiętnik wiejskiego proboszcza*, tł. W. Rogowicz. W-wa. Rój.
- Bordeaux H. *Zabawa w morderstwo*, tł. M. Wyg. W-wa. Polska Agencja Publicystyczna.
- Braibant C. *Marliza*, tł. W. Rogowicz. W-wa. Rój.
- Céline L. F. *Śmierć na kredyt*. I: *Dzieciństwo*, tł. P. Stark. W-wa. Globus. II: *Mistrz Curtial*, tł. tenże. Lwów. Nowa Druk. Lwowska.
- Croisset Fr. de. *Syngaleska bajka*, tł. M. Wańkowiczowa. W-wa. Rój.
- Demaitre Ed. *Ludożercy i poszukiwacze złota*, tł. R. Świętochowski. W-wa. Trzaska, Evert i Michalski.
- Duhamel G. *Kronika rodu Pasquier*. II: *Ogród dzikich zwierząt*, tł. K. Woyde. W-wa. Rój.
- Dumas A. (ojciec). *Hrabina Monte Christo*, tł. J. Walicki. — *Trzej muskietierowie*. W-wa. Przeworski.
- Dumas A. (syn). *Dama kameliowa*. Łódź. Biblioteka Echa Polskiego.
- Gide A. *Powrót z Z. S. R. R.*, tł. J. E. Skiwski. W-wa. Biblioteka Polska.
- Jeanne R. *Okręt śmierci*, tł. K. Ford. W-wa. Płomień.
- Leduc J. *Bez rozgłosu*, tł. Z. S. Łomża. Biblioteka Dobrych Książek.
- Malraux A. *Droga królewska*, tł. A. Speiser. W-wa. Lektura.
- Martin du Gard R. *Rodzina Thibault*. III: *Piękne czasy*, tł. P. Hulka-Laskowski. W-wa. Rój.
- Maupassant G. de. *Jej serce*, tł. A. Landsberg. W-wa. Biblioteka Groszowa.
- Mauriac Fr. *Pielgrzymi*, tł. J. Dobraczyński. Poznań. Księgarnia Św. Wojciecha.
- Maurois A. *Byron*, tł. J. Pański. — *Maszyna do czytania myśli*, tł. H. H. W-wa. Rój.
- Meersch M. van der. *Gdy syreny milkną*, tł. J. Suchodolska. — *Dom na piaskach*, tł. J. Bułakowska. — *Dziecię Flandrii*, tł. J. Bułakowska. — *Piętno Boże*, tł. J. Bułakowska. W-wa. Wydawnictwo Współczesne.
- Montherlant H. de. *Dziewczęta*. I: *Dziewczęta*. II: *Litujmy się nad kobietami*. III: *Demon dobra* — tł. W. Rogowicz. W-wa. Rój.
- Némirowsky I. *Kariera*. — *Maska młodości*, tł. J. P. Zajązkowski. W-wa. Rój.
- Peyré J. *Światła i krew*, tł. B. Sieroszevska. W-wa. Rój.
- Plisnier Ch. *Matzestwa*, tł. H. H. W-wa. Rój.
- Proust M. *W poszukiwaniu straconego czasu*. II: *W cieniu zakwitających dziewcząt*, tł. T. Żeleński (Boy). W-wa. Rój.
- Récouly R. *Franciszek Józef — zmierzch cesarstwa*, tł. H. Hellerówna. W-wa. Płomień.
- Simenon G. *Zbieg*, tł. J. P. Zajązkowski. W-wa. Rój.
- Téramond G. de. *Człowiek w czarnych okularach*, adaptacja K. Forda. W-wa. Polska Agencja Publicystyczna. — *Rekiny*, tł. K. Ford. W-wa. Płomień.
- Titayna. *Kobieta wśród łowców głów*, tł. H. Mosińska. W-wa. Europa.

ZESTAWIENIE LISTY TEGOROCZNYCH PRZEKŁADÓW nasuwa spostrzeżenia, które nie są wprawdzie rewelacyjne, ale które prowadzą do wniosków typowych dla polityki wydawniczej w Polsce, a więc w pewnym sensie dla nastrojów rynku czytelniczego. Wciąż „Biblioteka Boya“ jest wyłączną przewodniczką polskiego czytelnika po dawnej lub nieco dawniejszej literaturze francuskiej. Jeżeli Boy, zajęty innymi pracami, nie rzuci nowego przekładu, można być pewnym, że żaden wydawca nie wystąpi z inicjatywą.

Wśród utworów tegorocznych zaledwie cztery pozycje mają charakter retrospektywny (Maupassant, dwie powieści Dumasa - ojca, komedia Dumasa-syna) i to bardzo popularny, ze wszystkim co to słowo zawiera (taniać i niedbałość wydania, będącego przedrukiem). A przecież stary Dumas, w odpowiedniej adaptacji, miałby tyle danych, aby się stać świetną lekturą dla młodzieży i dla tych sfer czytelnich, którym wydawcy ofiarowali w tym roku *Zabawę w morderstwo* Henryka Bordeaux lub *Człowieka w czarnych okularach* Téramonda. Tacy pisarze jak Alfons Daudet, jak Franciszek Coppée i in. wogóle nie mogą się spodziewać łaskawej uwagi nakładców.

W porównaniu z rokiem ubiegłym uderza wigor wydawniczy — czytelnik otrzymał o wiele więcej dzieł wybitnych lub przynajmniej głośniejszych niż poprzednio, bo na trzydziestu autorów dziesięciu posiada nazwiska dobrze znane i dobrze notowane u czytelników polskich i reprezentuje t. zw. śmietankę literacką współczesnej Francji. Co innego, że w pewnych wypadkach wartość książki nie jest bynajmniej współmierna z rozgłosem nazwiska jej autora. Tłumaczy się pisarzy, którzy w danym momencie ściągnęli na siebie uwagę prasy literackiej nagrodą lub odznaczeniem, albo podsuwa się czytelnikowi książkę za książką autora, który zyskał już popularność. Książka może być słaba, sam autor może się jej wypierać jako niezaszczytnej pierwociny: nie to — kramarska reklama na obwołucie książki, pisana nieraz złą polszczyzną i w złym smaku, wieści „nowe arcydzieło“ z zabawnym skutkiem dla niewinnego autora. Bywa, że czytelnik, nie wtajemniczony w sprawy literackie, ale nie snob i przytym „śmielszej natury“, dochodzi do wniosku, że autor, który go tak zachwylił pierwszą (przełożoną) książką „pisze coraz gorzej“, — „kończy się“. Taki jest rezultat tłumaczenia wszystkiego bez braku, stawiania na nazwisko — jeśli wolno użyć stylu wyścigowego.

Charakterystyczne, a chyba żenujące, zjawisko łączy się z ukazaniem w przekładzie powieści ostatniego literackiego laureata Nobla, R o g e r a M a r t i n a d u G a r d. „Rój“ wydał trzecią część dzieła *Les Thibault*, gdy jego tom siódmy, *Lato 1914*, został wyróżniony międzynarodową nagrodą. A przecież dwa pierwsze tomiki tego cyklu dawno zostały wydane przez Morkowicza i jakoś nie wywołały zbytniego entuzjazmu ani dalszego ciągu — leżały sobie biedactwa w kurzu kilku tanich tygodni książki i dekorowała je kartka z bardzo zniżoną ceną. Więc?... Zapewne, że od tego czasu wzrosła poczytność powieści wielotomowych, ale że nie zawsze książka idzie własną siłą ale i przy pomocy reklamy prasowej czy krytyczno-literackiej — to też fakt niezaprzeczony. Sama inicjatywa wydawcy nie wystarczyła, jak się okazuje. W tych warunkach prawdopodobne jest przypuszczenie, że bez pomocy nagrody Nobla, a przynajmniej Goncourtów, nie zapozna się polski czytelnik z dziełami Giraudoux, braci Tharaud, J. H. Rosny i in., nie mówiąc już o pismach niebeletrystycznych, np. o francuskich krytykach literackich.

Stwierdziwszy fakt stałej hegemonii powieści w dziedzinie przekładów, przechodzimy do omówienia konkretnych pozycji.

Rozpiętość skali wyboru jest bardzo duża — różne poziomy, od nikomu, wydawało by się, niepotrzebnych bzdur kryminalnych do szczytów sztuki pisarskiej, różne nazwiska sympatyczne katolikom, radykałom (tych, zdaje się, spotyka zawód), amatorom powieści biograficznej, niezoginom, podróżnikom imaginacyjnym i — nade wszystko — pochłaniaczom powieści cyklicznych. Od utworów należących do ostatniego rodzaju rozpoczniemy przegląd.

Rok bieżący ma na swoim rachunku trzy wielkie pozycje — trzy powieści - rzeki, wedle popularnego dziś określenia francuskiego (*roman-fleuve*). Wyszło drugie ogniwo proustowskiego cyklu — trzy tomy powieści *W cieniu zakwitających dziewcząt*, trzeci tom dzieła Rogera Martina du Gard *Les Thibault*, noszący tytuł *Piękne czasy*, i wreszcie druga część *Kroniki rodu Pasquier* Jerzego Duhamela, zatytułowana *Ogród dzikich zwierząt*.

Mówić o Prouście może dziś albo krytyk znający świetnie literaturę olbrzymią o tym pisarzu, albo badacz - nieliterat, śledzący na przykładzie jego życia czy twórczości jakieś specjalne zagadnienie, albo wreszcie człowiek naiwny, zwyczajny czytelnik spowiadający się ze swych wrażeń bez pretencji, w sposób niejako nieobowiązujący. Tylko w tej

trzeciej roli wolno mi się odezwać. Powieść *W cieniu zakwitających dziewcząt* (ona to zdobyła autorowi w 1913 r. nagrodę Goncourtów) świeżość i trwałość zawdzięczać może tym partiom, które odnoszą się do analizy miłości. Rozkwit i zmierzch miłości bohatera-narratora do Gilberty, córki Swanna i Odetty (kompletnie przeobrażonych w tej części dzieła), a następnie dzieje poznania gromadki dziewcząt w modnej miejscowości kąpielowej w Bolbec, zachwycają śmiałością i subtelnością analizy niezależnie od tego, że sam bohater nie budzi ani współczucia ani sympatii, że w ogóle nie obiektywizuje się w naszej świadomości. Nie są zobiektywizowane i dziewczęta — widzimy je wyłącznie poprzez marzenia i refleksje zainteresowanego nimi młodego (?) człowieka, ale to, że nie widzimy ich nigdy prawie samoistnie, nadaje im jakąś zwiewność istot niezupełnie zmaterializowanych. Mimo wszystkich cech mających je indywidualizować są raczej symbolem krótkiego momentu wiosennej dziewczęcości; podkreśla to nawet ich nierozłączność. Nastrój miłosny opływający wszystkie dziewczęta, unikanie tej z nich, którą się pokocha w przyszłości, stwarzanie pozorów obojętności i nawet samo niezdecydowanie — to jakiś mussetyzm, tylko że bez jego naiwności, prostoty i czystej żywiołowości młodzieńczej. Zatarcie granicy między bohaterem a autorem, zmieszanie infantylnizmu z prerafinowanym doświadczeniem i intelektualizowaniem każdego doznania przeszkadza, a przynajmniej komplikuje przyjemność przebywania w atmosferze powieści. Inne partie powieści — to fragmenty kolekcji snobizmu, głównie towarzyskiego. Snobizm dyrektora hotelu w Bolbec, gości i kuracjuszy kąpielowych, dam gromadzących się na fajfach i żurkach w salonach Odetty, u Verdurińów etc., kapitalny snobizm żydowski (rodzina Blochów), wreszcie snobizm samego autora, którego opuszcza ironia w momencie niespodziewanym dla czytelnika i który celebrytuje na serio ceremoniał przyjęty przez burżuazję przedwojenną — to wszystko tamuje wreszcie oddech czytelnikowi.

Co pewien czas podejmuje się próby wystawiania dawnych sztuk dramatycznych w kostiumach współczesnych, aby sprawdzić niejako ich pozaczasowość. Powieść, rzecz jasna, takiemu eksperymentowi nie podlega z natury rzeczy, skoro nie obowiązuje jej problematyka dramatyczna. Nie można jednak oprzeć się naturalnej refleksji: ile by zostało z Prousta, gdyby odebrać mu to, co nie tylko stanowi stronę dekoracyj-

no - obyczajową powieści, ale także konieczny warunek dla wątków psychologicznych? Jakże to mocno wiąże się z czasem, gdy lokaje roznoszą bezszelestnie lampy naftowe, burżuazyjne damy własnymi powozami odwiedzają w południe lasek Buloński, portiere i draperie zdobią salony nie znające odkurzaczy elektrycznych, a telefon jest sensacją, o której opowiada się na herbatce popołudniowej u państwa Swann.

Powieść Prousta to w olbrzymiej mierze dokument pewnego środowiska w pewnej epoce, a dokumentom (nawet literackim) szkodzi ząb czasu. Sympatię dla powieści budzi z rzadka ale bardzo subtelnie występujący humor. Jest on — jak cały tok powieści — kameralny, ale raczej sytuacyjny niż słowny. Dyskretny nie bez wdzięku komizm wynika ze sceny, w której bohater grający „w pieścionek“ z młodzieżą bierze spojrzenia i gesty interesującej go Albertyny za znak porozumienia miłosego do chwili, gdy przekonywa się, że to były manewry dziewczyny wobec „lisa“ szukającego pierścionka. Komizm, wynikający z klasycznej niespodzianki, jest również w opowiadaniu o służącej Franciszce, która zaprzyjaźniwszy się ze służbą hotelu w Bolbec, gdzie mieszka bohater z babką, pozbawia swych państwa ciepłej wody, by nie trudzić znajomych, gdy oni przypuszczali, że ta znajomość ułatwi im korzystanie z usługi. Rzadko zdarza się groteska. Przykładem jej jest ta nieprawdopodobna scena, gdy ks. Luxemburg, spotkawszy na spacerze bohatera wraz z jego babką, traktuje ich jak niemowlęta lub mieszkańców Zoo, kupując im chlebki, cukier i ciastka od sprzedawców krążących po ogrodzie. Na pograniczu groteski stoją też sceny z fantastycznym hrabią de Charlus.

Przekład Boya tak zasymilował polskiemu czytelnikowi Prousta, że czytając często zapominamy o języku oryginału. Cokolwiek chciałoby się powiedzieć o metodzie przekładu, będzie ona raczej przedmiotem studiów dla romanistów. Czytelnik polski wolałby, aby tłumacz nie wprowadzał neologizmu „niestosunek“ zamiast przyjętej „dysproporcji“, a za to usuwał wyrażenia tego typu co „umbrelka“ (parasolka), „wiledźjatura“ lub „pięćdziesiąt awanii“, a bardzo już pragnąłby, aby składnia typu „rzeczywistość wrażeń... nie dających się zastąpić żadną panoramą, którą poszedłszy oglądać mógłbym wrócić wieczorem spać w moim łóżku“, bardzo zresztą rzadka, ustąpiła zupełnie z przekładu.

Autor drugiej wielotomowej powieści, Roger Martin du Gard, jest mało znany polskiemu czytelnikowi. Do czasu otrzymania nagrody

Nobla autor posiadał sławę raczej lokalną, zwłaszcza, że należy do pisarzy niezmiernie dalekich od autoreklamy i utrzymuje w przyzwoitym dystansie niedyskretną ciekawość zarówno co do swego życia prywatnego jak umysłowego. Niechętny wywiadam, oświadcza on, że artysta swą najlepszą część powierza swym dziełom.

Pierwsza powieść Rogera Martina du Gard nosi tytuł *Devenir!* i wyszła przed laty trzydziestu (1908), stanowiąc w pewnej mierze antycypację podjętego potem cyklu *Les Thibault*, mimo że sam autor określa ją jako „złą młodzieńczą powieść“. Następny utwór, *Jean Barois*, ukazał się w tym samym roku co pierwsze ogniwo cyklu proustowskiego i szybko podbił umysły młodzieży problematyką obejmującą najżywsze zagadnienia epoki — wartości wiedzy, państwowej racji stanu, modernizmu katolickiego — oraz szczególnym obiektywizmem, który stanowić miał znanie pisarskie Martina du Gard, a wynika zarówno z typu umysłu (to przede wszystkim) jak z dyscypliny naukowej, zdobytej w szkole w Chartes, którą opuścił z dyplomem archeologa-paleografa. Szacunek dla prawdy historycznej, przywykajenie do metodycznej obserwacji oraz skłonność do badań obiektywnych wyróżniają na stałe tego pisarza.

Cztery lata wielkiej wojny spędza on na froncie w wojskach samochodowych, a czym są dla niego doświadczenia wojny, o tym mówi dedykacja „braterskiej pamięci Piotra Margaritis, który zmarł w szpitalu wojskowym 30 października 1918 roku“. Z nich wyrosła nagrodzona część cyklu. Dzieło miało podobno obejmować trzy części — epokę przedwojenną, wojenną i powojenną. Teraz trzeci tom, *Lato 1914*, nosi zapowiedź, że do zakończenia całości brak tylko epilogu.

Dzieło powstawało przez lat 14, a jak surową miarę przykładu do niego autor, świadczy fakt, że jedną z części mającą poprzedzać *Lato 1914* (zatytułowaną *L'Appareillage*) niszczy całkowicie, i to w chwili, gdy miał ją oddać do druku. To samo zdarzyło się również w stosunku do dwu młodzieńczych powieści.

Les Thibault to cykl rodzinny, obejmuje życie dwu pokoleń w dwu rodzinach; przy czym Thibaultowie (Oskar Th. oraz jego synowie, Jakób i Antoni) należą do wyznania katolickiego, rodzina Fontanin (Hieronim i Teresa F. oraz ich dzieci, Jenny i Daniel) są protestantami. Ta różnica, jak i wprowadzenie do powieści duchownego protestanckiego i katolickiego, jest wyzyskana bardzo interesująco. Treść pierwszego tomu

(Szary zeszyt) opowiada dzieje nieudanej ucieczki w świat Daniela i Jakóba, w tomie drugim zapoznajemy się bliżej z postacią starego Oskara Thibault i jego obłudną a surową filantropią, której dziełem jest kosztowny zakład wychowawczo-karny. Tam Jakób pokutuje za swój młodzińczy wybrzyk w sposób dewastujący go moralnie i umysłowo, czemu ostatecznie zapobiega brat starszy, Antoni, będący już lekarzem. Presja wywarta za pośrednictwem księdza na ojca, który jest gorliwym działaczem katolickim, oddaje Antoniemu brata pod wyłączny wpływ — i w trzecim tomie powieści (*Piękne czasy*) widzimy Jakóba jako ucznia Szkoły Normalnej. Coraz wyraźniej zarysowują się różnice między braćmi, coraz bardziej uplastycznia też autor postaci dorastających młodych Fontaninów. Najwięcej miejsca w tej części zajmuje postać doktora Antoniego i jego romans z tajemniczą Żydówką, Rachelą. Ona wprowadza zrównoważonego, opanowanego i świadomie egoistycznego Antoniego w świat namiętności i podważa jego wspaniałe opanowanie. Jakób, wrażliwy, w każdym nerwie indywidualista, wie, że niespokojny żywot dojrzewającego chłopca i przy końcu tomu uświadamia sobie swą miłość do Jenny. Scena, gdy odchodząc z domu Fontaninów całuje cień dziewczyny padający w świetle księżyca na białą ścianę domu, ma przejmującą ekspresję poetycką.

Uderza w tej powieści ład wewnętrzny i miara. Nie ma żadnej przesady w narracji czy rysunku postaci, jest trochę satyry dyskretniej (w stosunku do obu ojców). Akcenty rozłożone są tak logicznie, że to graniczy z chłodem. Do najwspanialszych scen powieści należy operacja dokonana przez Antoniego w ciemnym mieszkanku na straszliwie zranionej małej dziewczynce. Polskiemu czytelnikowi musi się w tym miejscu nasunąć porównanie z analogiczną sceną w *Zazdrości i Medycynie*, porównanie, które okaże dobitny kontrast prostoty i siły realizmu Du Garda z historycznym ekspresjonizmem polskiej powieści. Zresztą i w tym wypadku towarzyszy scenie lekki akompaniament erotyczny.

Prócz spokoju i równowagi narracji drugą zaletą powieści jest plastyka postaci — zarówno męskich jak kobiecych. Kobiety reprezentują bogatą różnorodność. Rachel, tajemnicza i nieprzewidziana, wnosi do utworu posmak perwersji charakterystycznej dla zainteresowań intelektualnych pisarza (na motywach anomalii w tej sferze osnute są również dwa utwory pisane jednocześnie z cyklem — dramat *Taciturne* i nowela *Confidence Africaine*), ale nie posiadającej kontaktu z jego psychiką

(czujemy to). Niezmiernie prawdziwa jest Wiktoryna — prostytutką zarabiającą na możliwość powrotu do rodzinnej wsi i do życia wśród swoich. Wspaniała — pani Fontanin, żona niewiernego, kłamliwego i bez godności Hieronima, którego ratuje z opresji z zaparciem siebie, pamiętna na całość rodziny. Ten wątek powieści i samo profilowanie obu postaci przypomina natychmiast małżeństwo baronowej Hulot w *Kuzynce Bietce* Balzaca.

Ratowanie rodziny przez kobietę, cementowanie ścian domu przez przebaczącą miłość jest jeszcze mocniej a przede wszystkim inaczej przedstawione czytelnikowi w trzeciej książce, której przedmiotem są dzieje mieszczańskiej rodziny w przedwojennej Francji — w *Ogrodzie dzikich zwierząt* Duhamela.

Ta kronika rodu Pasquier, jak nazwał ją autor, nosi charakter autobiograficzny, a pisze ją osobliwy kronikarz: liryk. To owiewa powieść mgłą poezji, młodości i uczucia, wyróżnia ją spośród wszystkich innych książek, których tematem jest wspomnienie lat dziecięcych. Introspekcja opiera się tu o pamięć serca, atmosfera powieści jest niezmiernie czysta i mimo smutków i trosk, jakie spotykają Pasquierów, — pełna wdzięku.

Akcja powieści stanowi dalszy ciąg *Notariusza z Hawru* — młodzień dorasta, ojciec znów sposobi się na wielkiego człowieka i wielkiego uczonego, matka znów zabiega, trudzi się i ponosi odpowiedzialność za wszystko. Laurent, którego ustami opowiada Duhamel dzieje rodziny, wkroczył w najboleśniejszy okres życia — okres dojrzewania.

Niechaj się uczą fabrykanci powieści pisanych wedle takiej recepty, jakiej im dostarczają podręczniki psychologii wieku pokwitania, jak autentyczny i jednocześnie podległy teoriom obraz radości i goryczy tego wieku powstaje pod piórem prawdziwego pisarza. Przecież elementy doznań młodego Laurenta odpowiadają wiedzy nowoczesnej o dziecku: wzmacnia się tu poczucie osamotnienia, pragnienie przyjaźni, opłakiwanie czystości, bunt przeciw kompromisowi — a jednocześnie smutek daje się pocieszyć kawałkiem placka; po zasadniczej rozmowie z przyjacielem o zbankowaniu świata można podskakiwać na jednej nodze i pchać płaski kamyczek po chodniku. Mimo to nie tracimy na chwilę przekonania, że w ten sposób czuł i mógł czuć tylko mały Laurent Pasquier, że to nie ilustracja teorii, ale indywidualna, niepowtarzalna dusza ludzka.

Osobliwe tło dla dziejów rodziny i małego Laurenta stwarza muzyka.

Ona towarzyszy ważnym i drobnym faktom rodzinnego życia, wynikając spód palców Cecylii — jedynej spośród rodzeństwa tkniętej palcem sztuki. Rondo Mozarta, etiuda Chopina na zawsze uprzytamniają chłopcu nie dające się zapomnieć zdarzenia rodzinne.

W tym światku, zgodnie z niewątpliwą prawdą psychologiczną, nie ma miejsca na zdarzenia wielkiego świata. Pasquierowie stłoczeni w ciasnym mieszkanku paryskim, absorbowani tysiącem trosk, wśród których komornik nie jest rzadkością, żyją jak człowiek, któremu wyginanie się sufitu nad głową nie pozwala troszczyć się o trzęsienie ziemi w Japonii. Ta izolacja od spraw epoki, nawet od życia sąsiadów, jest właśnie prawdziwa. Nieraz „jak przez pergaminy, których pewne miejsca bywają przejrzyste i pozałamywane, tak i przez historię rodziny Pasquier prześwieca czasem historia stulecia“. Cóż jednak winien Laurent, że wspaśniały, na koszt rządu urządzony pogrzeb Ludwika Pasteura przesłoni się w jego przeżyciu widokiem ojca w towarzystwie kobiety, która jest przyczyną łez jego matki?

Nie przekrój przez epokę, ale poetycka analiza życia rodzinnego jest celem i tryumfem tej pięknej książki. Poemat o matce, która jest sercem i mózgiem tego dziwnego tworu, jakim zdaje się rodzina — oto charakter książki Duhamela.

Przez kontrast w najbliższym z nią sąsiedztwie umieścić można tetralogię *Montherlanta Jeunes filles*, której trzy części ukazały się tego roku w przekładzie W. Rogowicza. Książka ta nosi piętno prowokujące. Sam autor w rozmowie z wysłannikiem tygodnika *Candide* przyznaje się, że od początku już miała w sobie coś wykrzywającego się i przykrego, że po niej przystępuje do pisania równoległego niejako utworu p. t. *Les Garçons*, który nie będzie już książką, gdzie się szydzi, ale „religijną“, że chce się przenieść w inny klimat.

Łączy się z nią pewien nastrój skandalu: niejaka p. Helena Sorges oskarża Montherlanta o wprowadzenie do powieści jej autentycznych listów i skopiowanie jej samej; niejaki pan Pierre Costa zmusił Montherlanta do zmiany nazwiska bohatera, z racji odrażającego typu, jaki tenże przedstawia, wreszcie opinia czytelników francuskich tak uparcie doszukuje się w bohaterze samego autora, oskarża go o wszystkie wady, jakimi obdarował swego Costę, że dla położenia kresu niekorzystnemu zainteresowaniu swoją osobą Montherlant czuł się zmuszony poprzedzić trzeci tom powieści wyjątkami ze wspomnianego wywiadu prasowego,

gdzie odpowiedział na kwestie budzące wątpliwość czytelników. Nam odpowiedzi te wydają się bardziej niepokojące niż samo dzieło. Mniejsza o nonszalancję, z jaką autor oznajmia światu, że nikt, na czym szacunku mu zależy, nie stawiał mu zarzutów, że pisarz nie ma czasu tłumaczyć publiczności ukrytego sensu dzieła, „które ma pewną złożoność i pewną głębię”. Ważne, gdy ze zdziwieniem stwierdza, że „nie zarzucano nikomu z niezliczonych powieściopisarzy — autorów romansów policyjnych między innymi — przedstawiania postaci przestępców, złodziei, wobec których jego Costals to prawie święty”. To zdanie, jeżeli nie jest szyderstwem (a nie wydaje się nim), tak demaskuje niespodzianie autora, że więcej nie trzeba już wiedzieć o jego poglądach moralnych.

Jakże bowiem wygląda ten prawie święty „w porównaniu ze złodziejem”? Piotra Costę, w tomie trzecim Costalsa, widzimy przez cały ciąg powieści w roli zdobywcy i pogromcy kobiet, wobec których przejawia zarówno stałe pogotowie seksualne, jak pogardę graniczącą z patologią. Wulgarny, próżny, zmienny w humorach, histerycznie pobudliwy posiada komplet tych cech, które tak chętnie nazywa się „kobiecy”. Kobiety, jakie wejdą mu w drogę, poniewiera, deprawuje i ogłupia. To, co Montherlant pokazuje czytelnikowi, jest naprawdę obrzydliwym i gorszącym widowiskiem z tego powodu, że autor najoczywściej nie czuje, iż jego bohater jest nie „nicponiem” (jak sądzi M.), ale degeneratem, z łaski autora posiadającym dar płodzenia aforyzmów mądrych i głupich, trafnych i banalnych, płodzenia ich w ilości, która by wystarczyła na cztery powieści.

Próbki tych złotych myśli podaje z zażenowaniem: Mistyk zmienia często kobiety, ponieważ przywiązanie do jednego stworzenia jest krańcowym przeciwieństwem życia duchowego; mężczyźni są bardziej niekonsekwentni od kobiet, bo są bardziej inteligentni; wahanie się jest właściwe inteligencji; manią właściwą każdej prawie młodej dziewczynie jest chęć pokazania swych rodziców człowiekowi kochanemu (to z dezaprobatą!); moralne szumowiny ludzkości nie mogą obejść się bez religii. Niepodobna odróżnić, co tu jest własnością bohatera a co autora, skoro traktacik o korzyściach małżeństwa dla kobiety i jego użyteczności dla mężczyzny, wprowadzony jako osobny rozdział do powieści, rozpoczyna Montherlant od aforyzmu: „Najbardziej uderzające w koncepcji, jaką człowiek - mężczyzna tworzy sobie o szczęściu, jest to, że ta koncepcja nie istnieje”, a dalej stwierdza, że większość ludzi nie ma koncepcji szczęścia. Dęty paradoksalizm, niestety serio przez autora trak-

towny, jest zmorą, która po nocy straszy nieostrożnego czytelnika tej rzekomej powieści o psychologii męskiej i kobiecej. A te rozmówki bohaterów: On — mężczyzna bez dziecinnady to jest potwór; ona — a pan jest potworem przez nadmiar dziecinnady. Nie, to nie jest strawna lektura dla człowieka, który przyzwyczajony jest do tego, że słowa mają ustalony sens. Niebezpieczeństwo lektury Montherlanta polega właśnie na tym, że tam słowa nic nie znaczą, bo mogą znaczyć wszystko.

To powoduje zasadnicze nieporozumienia tak między czytelnikiem i autorem jak między Costą i jego partnerkami. Słowa litość i miłość, używane wielokrotnie, posiadają sens sprzeczny nie tylko z doświadczeniem, ale czasem z podstawową logiką. Tak się dzieje z tytułami poszczególnych tomów. Dlatego największą pomyłką wobec tej książki jest wzięcie na serio jej filozofowań na temat płci. Na ich grząskim gruncie niepodobna wogóle opierać jakiegokolwiek polemiki z autorem czy bohaterem. Że tam coś gnije w fundamentach myślowych Montherlanta, świadczy już powieść wydana przed kilku laty p. t. *Ludzie areny* (*Les Bestiaires*), której bohater (wielbiciel tauromachii, jak to nazywa autor, a dla niewtajemniczonych — bykobójstwa na arenie cyrkowej) jest niezbyt dalekim krewnym Costy.

A jak to wszystko jest zrobione literacko? Trzy tomy koszmarnej, apokaliptycznej gadatliwości, która znajduje ujście w listach, narracji i pamiętniku Costy. Różnorodność form nie urozmaica kompozycji powieściowej, a tylko ją gmatwa. Tom pierwszy składa się przeważnie z listów inteligentnej a nie pociągającej fizycznie Andrei Hacquebaut, oraz wiejskiej dziewczyny Teresy Pantevin; obu im odpowiada (lub nie odpowiada) listownie Costa. O ile listy Andrei zainteresują werwą pisarską, o tyle listy Teresy budzą głęboki niesmak, gdyż ich autorka jest dotknięta manią religijną z dodatkiem erotyzmu, co je kwalifikuje do zbiorów dokumentów psychiatrycznych, a nie na karty powieści.

Tradycja powieści w listach nie udaje się Montherlantowi, naśladownictwo Laclosa „rozłazi się“ w rękach, którym daleko do niezawodnej pewności chwytu osiemnastowiecznego autora. Dość powiedzieć, że bez żadnego uzasadnienia kompozycyjnego lub treściowego tom drugi kończy M. listem opuszczonej kochanki służącego Costy do niewiernego. (Z postaciami tymi nie spotkaliśmy się w ciągu powieści). Jeżeli to złośliwość wobec kobiet (jednakowe w każdym stanie!), to wyrażona nie-

zdarnie. Ani sztuka pisarska Montherlanta ani jego myślenie nie zasługiwały na przekład.

Czas przejść do najciekawszego dzieła literackiego, jakie w zakresie współczesnej powieści przyswoił nam przekład, do powieści Jerzego Bernanosa *Pamiętnik wiejskiego proboszcza*.

Jeżeli miarą wartości książki jest stopień niepokoju duchowego i fermentu, w jaki wprawia czytelnika jej lektura, — to *Pamiętnik* otrzyma stanowisko zupełnie wyjątkowe. Są to dzieje żywota i śmierci młodego księdza katolickiego pochodzącego z najniższych nizin społecznych, dziedziczącego po pokoleniach biedaków wynędzniały organizm, nieśmiałość i skrępowanie w obcowaniu z ludźmi, zwłaszcza wyżej postawionymi społecznie, a obdarzonego zdolnością przenikania dusz ludzkich graniczącą z jasnowiedzeniem (które nie przeszkadza temu, że nie zna się on zupełnie na ludziach). Jest w tym cierpiącym, osamotnionym biedaku nawpół świadoma siła, która zmusza ludzi do ulegania jego woli, w chwili gdy przemawia przez niego kapłan. Przez nią syn proletariatu wiejskiego dostaje w swe ręce tajemnicę tragedii arystokratycznej rodziny i przez nią kieruje z dala opornymi sumieniami hrabiny Chantal, jej córki i guwernantki.

Dziedzina, w której obraca się powieść, jest tak obca dla niewtajemniczonego (a kto nim nie jest właściwie?), że krytyk musi doznawać wrażenia, że naprawdę wszystko dzieje się między wierszami powieści, że istotna treść jest poza wypadkami, poza dialogami toczonymi na kartach utworu, że więc jest niejako „za drzwiami powieści“.

Spróbujemy rozróżnić w bohaterze naturę ludzką i naturę kapłańską. On sam zauważa, że księża to ludzie, którzy zgodzili się na przerażającą obecność elementu boskiego w każdej chwili biednego życia. To przyczyna skrępowania, jakie odczuwa w ich obecności człowiek świecki. Najdostępniejszy z pewnością jest dla czytelnika proboszcz Bernanosa, gdy z żalosnym realizmem wspomina w pamiętniku biedę dzieciństwa, bóle wyniszczzonego chorobą ciała, gdy cieszy się krótką chwilą młodości jadąc na motocyklu młodego arystokraty, a najmocniej i najszczerzej zbliża do niego jego płacz zwykłego śmiertelnika, gdy lekarz odkrywa w nim śmiertelną chorobę. Płacze jak bezbronny człowiek, dla którego śmierć jest utratą istnienia i niczym więcej; płacze z żalu i miłości do świata.

Barnanos dla odmalowania tej postaci posługuje się chestertonowskim

prawie kontrastem niezdarności i nędzy tego „proboszcza wśród bogaczy“ (ma zmięty kapelusz i wytartą do nitki sutannę) z jego odwagą słowa i świetnością myślenia. Jego rozumowanie, jego nieprawdopodobna wprost siła mistycznego myślenia mogą z punktu widzenia katolickiego prowadzić do herezji. Gdyby ten święty, nie mogący sobie poradzić z własną świętością, żył dłużej, sprawiłby nielada kłopot władzom kościelnym.

Skontrastował z nim autor księdza z Torcy — tęgiego Flandryjczyka, osadzonego mocno na ziemi, gardzącego mnichami, nic nie mającego w sobie z mistyka. Ksiądz z Torcy, doskonały gospodarz na swej parafii, nie cierpi jak tamten nad złem, które się pleni. Jak lekarz walczący z chorobą wie, że jej nigdy nie zmiecie ze świata, tak ksiądz z Torcy spokojnie przyjmuje zło w świecie. Zła nie można wytepić, mówi on, należy z nim tylko walczyć. Jest w nim odważny pesymizm myślenia połączony z praktycznym optymizmem działania. To jansenistyczne widzenie świata.

Dialogi, jakie prowadzą ze sobą dwaj księża, a także dialogi innych postaci powieści uderzają świetnym kunsztem, niepokojącą ekwilibrystką słów. Przemilczenia, zwroty niespodziewane, jakie nadają oni rozmowie, wymagają jednak od czytelnika dużego wysiłku. I jeszcze raz wspomnimy Chestertona. Znać jego piętno na stylu, jakim przemawiają postaci Bernanosa, na zaskakujących czytelnika skojarzeniach myśli, np. w swoistym humorze księdza z Torcy. Któż, jeśli nie Chesterton, mógłby powiedzieć o mistykach: „Jeśli Duch Święty da mi znak, zrobię do Serafinów wycieczkę uczyć się muzyki, lecz pozwól mi pękać ze śmiechu w nos ludziom, którzy śpiewają w chórze nim Pan Bóg podniesie batuskę“. Albo refleksja tego rodzaju: „Można złożyć swe złęczone dłonie w dłoniach innego człowieka i ślubować mu wierność wasala, ale nikomu nie przyjdzie do głowy dokonać tej ceremonii u stóp milionera, bo ślubować milionerowi było by idiotyczne“.

Rozważania na temat istnienia nędzarzy i bogaczy, na temat duszy, piekła, grzechu, stosunku kościoła do możnych — to kopalnia uwag, które uderzają oryginalnością, wywołują sprzeciw, ale nigdy nie zostawiają obojętnym.

W zestawieniu z myślą Bernanosa nowa książka *M a u r i a c a* wydaje się jeszcze słabszą niż jest w istocie. *Pielgrzymi* — nie są wprawdzie utworem powieściowym, ale wspomnimy o nich w tym miejscu, aby jeden

pisarz katolicki wyprosił drugiemu przebaczenie za nieudaną, bładą książkę o Lourdes. Rozważania nad cudem i nad mistycznym znaczeniem miejsc świętych zamknął Mauriac w rozmowy dwu przyjaciół, różniących się do pewnego stopnia poglądami, zresztą obu katolików. Ani to starcie żywych ludzi, ani autentycznych myśli; polemika autora z papierowymi katolikami nie posiada znaczenia dla literatury, a chyba nie zachwyci wyznawców tych samych przekonań. Pielgrzymi zebrani z najdalszych okolic i ci dwaj młodzieńcy wygodnie podróżujący do świętego miejsca, aby polemizować z sobą na widok rozmodlonych tłumów — to bardzo niefortunny — a nawet niesmaczny — pomysł.

Omawiając w dalszym ciągu pisarzy, których nazwisko jest dobrze zapisane w pamięci polskiego czytelnika, przerzucić się wypadnie do autorów czytanych chętniej po „drugiej stronie frontu“. To Gide, Malraux i Céline.

Niestety, nie udało mi się dostać egzemplarza dwutomowej powieści Céline'a p. t. *Śmierć na kredyt*, wspomnę więc tylko o nowej powieści André Malraux p. t. *Droga Królewska*.

I tym razem autor wyprowadza akcję utworu z tła egzotycznego — bohaterowie jego, dwaj biali, poznają się na okręcie transoceanicznym i zawierają porozumienie celem wspólnego poszukiwania starych rzeźb w ruinach świątyń hettyckich w Ameryce Południowej. Dzieje tej wyprawy przedstawia Malraux z talentem, ale zagadnienia, którym dawał przejmujący wyraz w powieściach poprzednich, w *Drodze Królewskiej* miejsca nie znajdują. Zły czar, jaki wywiera kraina tropikalna na białego człowieka, groza, jaka płynie zewsząd na odważnych poszukiwaczy — wreszcie zmaganie się ze śmiercią, która już na dobre zagnieżdżyła się w człowieku i czeka swej godziny — oto elementy nastrójowe utworu francuskiego pisarza.

André Gide sprawił niespodziankę swym zwolennikom (ideowym raczej niż literackim) nową książką o Sowietach *Powrót z Z. S. S. R.* Pamiętamy, ile wrzawy narobiło to rzekome odstępstwo od ideologii komunistycznej, ile było oburzenia jednych, radości drugich. Sprawozdanie literackie Gide'a z wycieczki do Sowietów jest raczej wyrazem zawodu, że obecny rząd sowiecki zdradził czystą ideę komunistyczną, że się nie udało realizacja miłej pisarzowi utopii. To, że Gide swoje wszystkie (sentymentalne trochę) rozczerowania wyraził śmiało i bezkompromisowo, nie dbając o urażenie przyjaciół, świadczy raz jeszcze na korzyść

europejskiej tradycji humanistycznej. Gide jest humanistą i chodzi mu przede wszystkim o człowieka. Musiała go zgorszyć i dotknąć nie tylko nierówność warunków bytu, w jakiej żyją sowieccy obywatele, ale głównie monotonność, ujednastajnienie ludzkiego typu — myślenia, poglądów, nawet wyrażań. Zresztą zawód, jakiego doznaje, nie usposabia go bynajmniej niechętnie do Sowietów: Gide zachwycą się parkami kultury, podkreśla urok młodzieży komsomolskiej, a zwłaszcza wzrusza go (co niestety nie jest już zasługą nowego ustroju) urok ludu rosyjskiego. „Nigdzie nie czuł się bratem ludzi w tym stopniu, co tam“. Gide załamujący ręce nad skrzywioną utopią jest dalej tym samym, który w *Nouvelles nourritures* (ks. 111) apostrofował: „O smutne okolice miast! Brzydoto, nieładzie, smrodzie... Marzę o ogrodach, jakimi z odrobiną zrozumienia i miłości mogłybyście się stać, o troskliwej opiece nad wszystkim, co tylko istnienie posiada najrozkoszniejszego i najczulszego — stłumiwszy drobną nawet próbę zamachu kogokolwiek na radość wszystkich. Marzę o tym, czym mogłybyście być chwile wolne. O rozrywki, uduchowione błogosławieństwem radości! I praca, praca nawet uwolniona od bezbożnego przekleństwa“.

Do takich samych marzeń hrabia Henryk przyznał się Pankracemu przed bitwą na okopach św. Trójcy.

Popularny nadmiernie na polskim rynku czytelniczym André Maurois objawił się tego roku dwiema książkami — złą i dobrą. Książka zła nosi tytuł *Maszyna do czytania myśli* i demonstruje, jak można psuć pomysły.

Pomysł przyrządu rejestrującego myśli nie jest niczym nowym także w Polsce (przed laty dobra nowelka o koniu, którego myśli ujawnia taka maszyna, ku wielkiemu zakłopotaniu jego pana, oficera) i należy do dziedziny fantastyki wellsowskiej czy stevensonowskiej. Niestety „psychograf“ Maurois nie ma nic wspólnego z pomysłowością i naukową precyzją pisarzy angielskich, a dużo wspólnego z nonszalancją i naiwnością. Maurois bierze pod uwagę tylko myślenie słowne, nie wyobrażeniowe, a ponadto na płycie, odtwarzającej drganie organów mowy, w czasie myślenia każe odtwarzać autentyczny, niezdeformowany nawet głos. Tak nieporadnie opisanego przyrządu nie potrafi autor wcale wyzyskać. Ani nie jest on pretekstem do analizy psychologicznej, ani do satyry, ani nawet do farsowego spiętrzenia akcji. Tempo nudne, powolne. Ani temperamentu, ani dowcipu, za grosz finezji.

Maszyna działa jak anioł stróż dwudziestego wieku — doprowadza do zbliżenia między stygnącym już małżeństwem, udaremnia zabiegi ambitnego niegodziwca. Nudę powieści Maurois sili się przerwać satyrą na uniwersytety amerykańskie z katedrami przyrządzania lodów, na reklamę amerykańską (to nieźle), ale każdy pomysł doprowadza do połowy lub psuje w połowie, co wychodzi na jedno.

Dobłą książką Maurois jest powieść biograficzna *Byron*, której wdzięcza on wiele rozgłosu. Pisana jest interesująco, ale tłumaczy tylko połowę Byrona — tylko niestrudzonego kochanka, obciążonego dziedzicznie neuropatę. Poeta pozostaje w cieniu, a przecież to poezja sprawia, że w ogóle interesujemy się Lordem Byronem. Studium życia poety nie uwzględniające w dostatecznej mierze jego poezji nie zadowoli czytelnika lepiej zorientowanego w literaturze. Trzeba przyznać, że ta książka Maurois, pisana jest z dużym wdziękiem — analiza psychologiczna wyzyskuje źródła i dokumenty uznane za pewne. Bliższe zbadanie książki wymagałoby zestawienia jej choćby z podstawową dla anglistyki w Polsce monografią o Byronie prof. Tretiaka. Mogliby to zrobić młodzi fachowcy.

Tegoroczne przekłady przyniosły drugą jeszcze powieść biograficzną: *Franciszek Józef, zmierzch cesarstwa* F. Récouly. Rzecz rozpoczyna się abdykacją ces. Ferdynanda na rzecz bratanka, kończy się śmiercią cesarza i „sądem“ o jego charakterze i panowaniu. Ani talentem pisarskim, ani znajomością rzeczy powieść ta nie wybiją się ponad poziom średni, jest w miarę interesująca i prawdopodobnie znajdzie swych czytelników, jak znajdzie ich romans Cl. Aneta pt. *Mayerling*, przetłumaczony dla pokojówek, popłakujących na filmie o wielkiej miłości pod tymże tytułem.

Wraz ze wzmianką o Récoulym przeszliśmy do grupy pisarzy, którzy w roku bieżącym zadebiutowali w literaturze przekładowej. Debiuty owe są na ogół nieźle; omówimy je po prostu w porządku alfabetycznym nazwisk powieściopisarzy.

Charles Braibant przedstawił się polskiemu czytelnikowi powieścią nagrodzoną przez Prix Renaudot, a noszącą w oryginale tytuł *Le roi dort*, w polskim przekładzie *Marliza*. Tytuł francuski posiada znaczenie symboliczne, a nawiązuje do starej tradycji francuskiej, wedle której mówi się, że król w ogóle nie umiera, tylko śpi do czasu, gdy władzę obejmuje następca. Takim władcą uśpionym jest spadkobierca,

zanim los przekaże w jego ręce majątek rodzinny; takim władcą, który się nigdy nie obudził, bo go przeżyła jego matka, jest Miłosz, potomek rodu wpół chłopskiego, wpół mieszczańskiego w Bretanii. W usta staro-
 rego przyjaciela Miłosza, a zarazem wielbiciela jego matki, Marlizy, włożył autor opowieść o despotycznej chłopskiej genitrix, trzymającej krzepko w garści do najpóźniejszej starości jedynaka i cały zamożny dom. Dzieje nieszczęsnego niedołęgi, przez całe lata utrzymującego w tajemnicy fakt, że w Paryżu posiada własne ognisko domowe, budzą mniej zainteresowania niż malowidła życia wsi, w której króluje Marliza. Jej tryumfy życiowe, jej zwycięstwa w walce z proboszczem, jej rola twardej a czujnej opiekunki dla biedaków wiejskich, jej wspaniała zachłanna żywotność otrzymały w powieści świetny wyraz. Ciekawe, że tę książkę napisał 45-letni bibliotekarz Ministerstwa Marynarki i że to jest jego pierwsze dzieło literackie. Niektóre szczegóły treści i stylu, tam gdzie chodzi o chłopską werwę i humor, przypominają *Colas Breugnona*. Braibant idzie dalej w jaskrawościach języka, co naraziło przekład na fatalne, denerwujące czytelnika białe plamy. Realizm powieści cierpi nieco skutkiem fikcji, że opisuje to świadek naoczny. To nie zawsze daje się utrzymać, i prowadzi do wrażenia, że ów przyjaciel obojga jest wszędobyleki i wszędziewścibski, a ponadto nic nie ma do roboty. Zbyteczne też i nie na miejscu są dyskusje o patriotyzmie, Żydach, szkolnictwie, będące nieorganicznymi wkładkami. Tłumaczowi należy się podziękowanie za zaznajomienie czytelnika z tą bardzo francuską powieścią, pełną optymizmu, płynącego z bujnej żywotności. Mniej nas zachwycają niedbałości przekładu, w którym proboszcza nazywa się pilotem dusz — zamiast sternikiem, prognostyk choroby zastępuje prognozę, łajdaczynę zastępuje mały łajdak itp. To samo dotyczy galicyzmów składni. Wadą powieści — długość.

Joseph Peyré, laureat nagrody Goncourtów za rok 1935, pokazuje czytelnikowi w powieści *Światła i krew* kulisy hiszpańskiej corridy. Akeja nikła i naiwna, bohater — sławny torero, zrujnowany fizycznie i nerwowo przez kobietę-wampa — nie budzi tego uczucia podziwu i zachwyty w czytelniku, jakiego oczekuje autor. Za to ciekawa jest atmosfera Madrytu po przewrocie republikańskim (psychika ludu hiszpańskiego nie przedstawia się korzystnie). Dla czytelnika wyobrażającego sobie walki byków w wymiarze operowym zapoznanie się z ich kulisami w czasach dzisiejszych (kampania prasowa, intrygi rywali, przekupstwo, klaka,

nędza pomniejszych aktorów tego widowiska) stanowi niespodziankę. Talent pisarski wystąpił w opisie walki byków, osiągającym dużą siłę i efekt. Rzecz jest raczej ciekawostką, bo temat zbyt obcy psychice polskiego czytelnika. Nieprzebaczalna wada powieści — długość.

Notatka na mankencie powieści Karola Plisniera pt. *Małżeństwa* uprzedza czytelnika, że utwór ten był wysunięty do nagrody Goncourtów w 1937 r. i tylko obywatelstwo belgijskie autora stanęło mu na przeszkodzie. Powieść jest rodzajem romansu psychologicznego na tle dziejów rodziny Chardin, i ma ambicje do stania się w zmniejszonej skali sagą rodu Forsytów francuskich — ambitnych, tradycjonalistycznie usposobionych fabrykantów prowincjonalnych. Solidarność rodowa, z której nikt się nie zdoła bezkarnie wyłamać, dbałość o honor nazwiska — to przypomina angielskich bohaterów. Jest również wyzwanie rzucone pojęciom Chardinów o małżeństwie (które ma być uzgodnieniem interesów rodowych) przez Krystę żyjącą w wolnym związku z żonatym człowiekiem, z którym ma dziecko. Kuzynki Krysty, zgodnie z głosem rozsądku, poślubiają urzędników ojcowskiej firmy, ale w końcu okazuje się, że to one źle ułożyły sobie życie. Dumna Fabiana przekonywa się, że jej mąż, agent z niskiej rodziny, podniesiony do godności zięcia firmy, haniebnie zawodzi położone w nim zaufanie, więc truje go w sposób przemysłny. (Stosunek autora do tej zbrodni pozostaje pod znakiem zapytania). Sentymentalna Marcela, której również nie uszczęśliwił jej żydowski mąż, szuka ukojenia w kolejnych objęciach męskich, co jej przynosi same porażki. Lekkomysłna Krysta nie dość, że jest szczęśliwa, ale ponadto wraca do rodziny jako legalna żona swego Gilberta, bo pierwszą żonę autor usuwa ze świata, czyniąc ją poprzednio — dla uspokojenia sumienia czytelnika — ordynarną jędzą.

Powieść zawiera sporo trafnych spostrzeżeń z zakresu psychologii pożycia małżeńskiego, ale nuży nienasyceniem erotycznym bezrobotnych dam z burżuazji. Za mało świeżego powietrza, za dużo erotyki. Jako malowidło obyczajowe nie posiada także znaczenia — nie podobna nawet zlokalizować jej w czasie. Śmiało i samodzielnie odtworzona przez autora atmosfera małomieszczańskiej rodziny męża Fabiany — rodzice są doskonali. Rzecz liczy aż 584 strony!

Na zakończenie debiutów przypada omówienie powieści G. Simenona pt. *Zbieg*. Jest to doskonale skomponowana powieść o przestępcy, zbiegu z Guyany, który po dwudziestu latach „porządnego życia“, ja-

ko nauczyciel gimnazjalny w prowincjonalnym mieście i ojciec rodziny, widzi niespodzianie kobietę, dla której niegdyś popełnił zbrodnię, i ogarnięty obawą zdemaskowania, w ciągu kilku dni dezorganizuje sobie życie i dostaje się w ręce władz. Nie jest to powieść kryminalna, ale doskonale przeprowadzone studium psychologiczne przestępcy, postawionego twarzą w twarz z przeszłością. W napięciu, jakiego doświadcza czytelnik, brak jest elementu sympatii dla zbiega, który jest postacią niemiłą, a chłód uczuciowy, z jakim autor przeprowadza swą wiwisekcję, pokrewny jest stanowi badacza przyglądającego się mękom zwierzęcia poddanego eksperymentowi. Grozę podnosi tu fakt absolutnej obojętności żony i dwojga dzieci bohatera. Brak jakiejkolwiek solidarności rodzinnej jest znamieny dla francuskiej powieści i wywołuje niesamowite wrażenie. Wręcz skandalicznie przedstawia się przekład i korekta, stawiająca znaną instytucję wydawniczą na poziomie pokątnej firmy anonimowej. Nie można przeczytać jednej strony bez irytacji na niechłujstwo wydawcy, który nie tylko nie dbał o przyzwoity język tłumaczenia, ale i sensem wzruszał się niewiele. Kto zrozumie, o co chodziło autorowi, gdy tłumacz zapewnia: „mieszkali w jednym z nędzniejszych pojazdów zaprzężonych w cztery pary“! Brutalne zaśmieszanie, podeśmianie (podsiniące) oczy, wylewny płacz, odcinanie poduszki od słońca — to niewinne drobiazgi!

Tegoroczne przekłady z języka francuskiego przyniosły kilka powieści pisarza belgijskiego, znanego u nas z wydanej przed dwoma laty książki *Grzech świata*, M. van der Meerscha. Jest to pisarz mający dane, aby stać się popularnym w szerokich sferach czytelników dobrej powieści rozrywkowej. Pomysłowość w przeprowadzaniu fabuły jest wprawdzie u niego niewielka, a umiejętność kreślenia postaci jeszcze mniejsza, za to krajobraz powieści posiada duży urok dla cudzoziemca. Z czterech powieści, jakie przetłumaczone zostały w r. 1937, dwie są lepsze, dwie gorsze.

Piętno Boże (w oryginale *L'Empreinte de Dieu*), nagrodzona nagrodą Goncourtów za rok 1936 i *Dziecię Flandrii* (w oryginale *Marie, fille de Flandre*), to powieści, w których odbija się to, co jest mocną stroną van der Meerscha: rodzajowość, przypominająca holenderskich malarzy.

Autor jest naprawdę mistrzem literackiego pejzażu plenerowego. Wiatraki, szare płaszczyzny wód, ruisdaelowską grę obłoków nad płaski-

mi polami maluje rozkochanymi słowami artysty-patrioty. Ulubiony motyw powieści van der Meerscha — to wnętrze kuchni, połyskujące wypolerowanymi dzbanami miedzianymi, po których przebiegają odbłaski ognia na kominie. Dbłość o belgijski styl domu i życia bohaterów posuwa autor tak daleko, że nawet w obliczu dramatycznej sceny, jaką przeżywa trójka bohaterów powieści *Piętno Boże* nie zapomni zaznaczyć, że ciasteczka leżą w biało niebieskiej fajansowej czareczce z Delft. W tej samej powieści cieszy czytelnika doskonały folklor belgijski — walki kogutów (pierwszorzędnym realizm), święto ludowe, obyczaj święcenia kijów pasterskich przez dotykanie, a w skutku obłukiwanie, posagu świętego Pachomiusza. Ten folklor jest tak interesujący i tak doskonale podany, że darowujemy pisarzowi naiwną historię o tragedii małżeńskiego trójkąta literata, będącego bohaterem powieści. Sensem artystycznym drugiej powieści (*Dziecię Flandrii*) jest to właśnie, że większa jej część rozgrywa się w Bruges. Zrujnowany przemysłowiec opuszcza żonę i zostaje mechanikiem przy żórawiu portowym w zamarym Bruges. Odtąd następują jeden za drugim doskonałe i piękne pejzaże, obrazy i obrazki ze starego miasta, z jego portu, ratusza, klasztoru Beginek przy starodawnym jeziorze. Matka bohatera ubiera się w starodawne stroje świąteczne, jakie widzimy na portretach siedemnastowiecznych, robi koronki klockowe — stylowość i dawność znaczą każdą kartę powieści piętnem sztuki. Najbardziej interesująca w powieści, której akcję też możemy sobie darować, jest scena gry na dzwonach ratusza w Bruges. Hymnem na cześć narodu, namiętną pochwałą ojczyzny kończy się ten utwór, którego bohaterem jest miasto.

Słabsza od poprzednich jest opowieść o przemytnikach tytoniu nad granicą francusko-belgijską, zatytułowana *Dom na piaskach*. Jak w poprzednich, i tu fabuła romantyczna trochę sentymentalna. Sceny rodzajowe, zwłaszcza ta, gdy pies-przemytnik pomyka z ładunkiem tytoniu w noc księżycową przez płaszczyzny nadgraniczne, nacechowane dobrym realizmem.

Tegoż autora *Gdy syreny milkną* — to zupełnie inny świat. Van der Meersch sięgnął do spraw społecznych, malując przebieg strajku robotniczego, starcie z policją i łamistrąjkami, walki na barykadach itd. Ujęcie spraw ekonomiczno-socjalnych prymitywne, od strony emocji nie kontrolowanej wiedzą. Optymizm pisarza skłania go do happy-endu, wbrew poczuciu prawdopodobieństwa. Filozofia optymistyczna: ludzkość kro-

czy powoli ku swemu przeznaczeniu, zasługuje więc na odkupienie. Stosunek do człowieka w tej jak i w poprzednich powieściach ujmuje ufnością i rozbraja humanitaryzmem, wspartym o żywe uczucie religijne.

Na zakończenie parę uwag o najslabiej reprezentowanym dziale przekładów — o literaturze podróżniczej. W przeciwieństwie do roku ubiegłego, książki teraz przetłumaczone odznaczają się dużym stopniem wartości. *Syngaleska bajka* Fr. Croisseta opowiada o podróży i pobycie autora na Ceylonie w sposób zachwycający dowcipem, żywością i poezją. Opis puszczy cejlońskiej to naprawdę arcydzieło sztuki pisarskiej, olśniewające i napełniające radością najbardziej nieufnego czytelnika (*Leśny obłąd*). Wszystko jedno, czy Ceylon jest taki w rzeczywistości (to przecież bajka); taki jest w książce Croisseta i takiego szkoda nie poznać. Podwójną przykrość sprawia znowu przekład i korekta. Pani Wańkowiczowa tłumacząc Croisseta nazbyt często oszczędzała sobie trudu, polonizując zlekka wyrazy francuskie (deszyfrują szlagiery na fortepianie, poterna wieży, profuzja golibrodów, zbalansowane kosze, rektyfikuje kapitan), co dało w wyniku obrzydliwy żargon, w pewnych wypadkach niezrozumiały. Np. co to znaczy: dewalizować sklepik? koniczne dagoby? etc. Z polszczyzną też niewyraźnie: pułkownik kazał sobie przynieść owad(!), najbardziej zdumiewający przykład mimikry, który się kiedykolwiek udał. Na wieszaku wisi pięćdziesiąt dominów(!). Końcówki są kwestią przypadku — kolibri, ale prezenta. Żadna absolutnie zasada ortograficzna nie jest tu stosowana — przeważa pisownia Łosia, ale nie zawsze. Książka, mająca wszelkie dane, aby sprawić przyjemność czytelnikowi, wywołuje stroną zewnętrzną irytację i niechęć. *Zbieg* Simenona oraz *Syngaleska bajka* Croisseta są przykładem nieprzyzwoitości, na którą pozwala sobie poważna firma wydawnicza. Czego w takim razie żądać od innych firm?

Druga książka podróżnicza — Demaitre'a *Ludożercy i poszukiwacze złota* — jest dobrze tłumaczona, starannie wydana i zilustrowana. W kulturalny, dowcipny i interesujący sposób zapoznaje z ludźmi i stosunkami na Nowej Gwinei.

ZOFIA MIANOWSKA

LITERATURA GRECKA I ŁACIŃSKA

Hymn Akathistos, przełożył Bernard od Matki Boskiej, karm. boso, Kraków, Głos Karmelu.

Jan Chryzostom. *Myśli*, wybrał, przełożył i wstępem zaopatrzył J. Birkenmajer, Księg. św. Wojciecha.

Marek Aureliusz. *Rozmyślania*, przełożył i objaśnieniami zaopatrzył Marian Reiter, wstęp napisał Tadeusz Sinko. W-wa. Kasa Mianowskiego.

Lucretius, *O wszechrzeczy*. Ks. I tłum. Halina Stawarska, odb. z Przeglądu klasycznego.

Platon, *Laches*, przełożył, wstępem, objaśnieniami i ilustracjami opatrzył Wł.

Witwicki. W-wa, Tow. Wiedzy Wojskowej. — *Charmides, Lizys*, przełożył, wstępem, objaśnieniami i ilustracjami opatrzył Wł. Witwicki, W-wa. Kasa Mianowskiego.

M. K. Sarbiewski. *Zabawy leśne* (Silvuludia), przeł. Julian Krzyżanowski (w książce: Od średniowiecza do baroku), W-wa, Rój.

Tacyt. *Dialog o mówcach*, opracowany i przemyślany przez ognisko filologii klasycznej w Lublinie, ostateczna redakcja przekładu J. Pliszczyńskiej i K. Plucińskiego. Lublin. Księg. św. Wojciecha.

JAK W INNYCH LATACH, TAK I W ROKU ZESZŁYM utwory literatury greckiej i łacińskiej znajdowały u nas licznych tłumaczy. Znaczna część dokonanych w owym czasie przekładów, to *dispersa membra* — rozsypane po pismach codziennych i periodycznych (zwłaszcza po tak licznych wydawnictwach z kuźnicy filomackiej prof. Ganszyńca), a także i po niektórych nowych podręcznikach szkolnych. Wszystkie te publikacje, nie wchodzą w zakres naszego przeglądu, więc tylko ogólnie wspomnieć możemy, że najczęściej i najchętniej sięgali tłumacze do trzech źródeł, zdawna już wskazanych przez Jana Kochanowskiego: do anakreontyków greckich, do Horacego i do Homera. W tej też trojakiej dziedzinie (ile bierzemy te właśnie rozsypane przekłady) pojawiły się próby jednocześnie najwartościowsze i najbardziej zaciekawiające; dla przykładu wspomnę transkrypcje Horacego, dokonywane przez Tuwima, oraz próbę heksametrycznego przekładu *Iliady*, podjętą przez Artura Swinarskiego.

Prawdą jest, że niektórzy autorzy starożytni oraz ich pewne dzieła często znajdują u nas tłumaczy, a są też dzieła i autorzy, o których przekładaniu nikt nie myśli. Czy się smucić tym zjawiskiem?

Są tacy, co się smucą. Do nich należy np. prof. Tadeusz Sinko, który w jednym z zeszytów Nowej Książki ubolewał nad tym, że „te same drobne dziełka łacińskie tłumaczy i wydaje w krótkich odstępach czasu po kil-

ku tłumaczów... a o ważne zaniedbania w zakresie przekładu klasyków nikt nie dba“.

Ubolewanie takie jest niewątpliwie słuszne, ale nie w całej swej rozciągłości. Przede wszystkim zastanowić się należy nad tym: dla kogo i dla czego wogóle dokonywa się przekładów? Czy tylko dla tego, by udostępnić te czy inne dzieła tym czytelnikom, którzy nie znają danego języka i nie mogą czytywać ich w oryginale? Albo czy dla tego, by kompletować czyjeś braki w znajomości historii obcych literatur?

Oba powody są ważne, ale nie jedyne ani najważniejsze. Przede wszystkim trzeba pamiętać, że przekład powinien być nie jakąś tylko namiastką dzieła literackiego, ale też sam przez się dziełem literackim, a więc artystycznym i wyrosłym z artystycznej woli i potrzeby samego tłumacza. A że tej artystycznej woli i potrzebie nie odpowie wiele, bardzo wiele utworów np. literatury łacińskiej, o to już podobno często należy winić nie tyle tłumaczów, ile same dzieła.

Zresztą z tego, iż ktoś już jakąś rzecz tłumaczył czy tłumaczy, nie wynika wcale, by już innym była przez to droga zamknięta. Choćby dla tego, że dawniejsze przekłady bywały często niewystarczające. Tyczy się to m. in. Horacego, wśród którego tłumaczy wielu było wezwanych, ale mało wybranych, tak że ich zaledwie na palcach policzyć można. Po wtóre emulacja nigdy nie bywa złą rzeczą i może mieć pożytek tak dla samych tłumaczy, jak dla literatury.

Z pisarzy łacińskich, poza wspomnianym już Horacym, szczególnie często znajduje sobie tłumaczy Lukrecjusz. Gdy o niego chodzi, uwagi prof. Sinki będą najzupełniej słuszne. Przekład *De rerum natura*, dokonany piórem prof. Krokiewicza, choć w mowie niewiązanej, jest tak niepospolity i artystycznie tak doskonały, że niełatwo się będzie z nim mierzyć następcom. Pani Stawarska tłumaczy płynnie i potoczycie, nie bez wdzięku, ale forma wierszowa, jaką obrała, nie pozwala jej oddać wszystkich subtelności oryginału.

„Horacy chrześcijański“, jak przywykło się nazywać Macieja Sarbiewskiego, miał u nas liczny poczet tłumaczów. Stanął wśród nich i Julian Krzyżanowski, jako tłumacz *Silviludiów*, przezwanym przezeń *Zabawami leśnymi*. Tytuł to niezupełnie trafny; właściwszy byłby „Igraszki“, jako że w myśl intencji samego poety, jak słusznie stwierdził Ganszyniec, utwór cały był capriccio, *ludicrum* (erit quod rideas) i poczęty był z ducha muzyki; najwłaściwiej podobno będzie nazwać *Silviludia* „Przy-

grywkami leśnymi“, zwłaszcza jeżeli się pamięta źródło tej nazwy, pierwszą eklogę Wergilego, gdzie lasy się „przeciwiają“ swobodnym melodiom Tityrusa (*ludere quae vellem*)...

W swoim pięknym i wartościowym szkicu o *Silviludiach* Krzyżanowski kilkakrotnie poddaje surowej, lecz słusznej ocenie przekłady utworów Sarbiewskiego dokonane przez Syrokomlę. Można przypuszczać, że niezadowolenie z przekładów poprzednika skłoniło go do podjęcia udatniejszej próby. Jeżeli taki był zamiar, tedy powiódł się w zupełności: Krzyżanowski lepszym okazał się tłumaczem niż Syrokomla. Nie znaczy to jednak, by miał być tłumaczem niedorównanym czy niezastąpionym. Górując naogół w sensie artystycznym (choć nie wszędzie) nad przekładem ogłoszonym niedawno przez Marię Bednarowską, nie może się mierzyć jednakże z przekładami ogłoszonymi przez ks. Piątkiewicza, a zwłaszcza Ejsmonda. Przede wszystkim ma daleko mniejsze poczucie — muzykalności, a więc tej cechy, którą oryginał najbardziej celuje i zachwyca. Zdarzają się tłumaczowi takie zgrzytliwe, zbiegiem przykrych spółgłosek nabrzmiałe wiersze, jak np.

wilgoć z dzbanuszków srebrnych lejecie.

Najmniejsza to pono byłaby wada. Daleko większą jest uciążliwy wprost balast wyrażen banalnych, wyświechtanych, różnych „rubieży“, „przepychów“, „podwojów“, „powalów“, „zrębów“ itp., dodawanych najniepotrzebniej w świecie. Nawet połączenia rymów są do niemożliwości oklepiane: krasy — lasy, pieśni — leśni etc. Są nawet całe zwrotki, które dziwnie przypominają stare spolszczenia librettów operowych, np.

o kłamny świat nie troszczę się,
gdy chłodem letnim wietrzyk tchnie...
podwójny ogień gore tu...

Rażą też ciężkie przekładnie, w których dopiero z trudnością sens się odgaduje, np:

żeś na piasków wsparła głowę
złociste wezglowie.

Kto nie zajrzy do oryginału, nie zgadnie, czy chodzi o „piasków głowę“ czy o „wezglowie piasków“.

Nadmiar wspomnianych przydatków powoduje i wielką rozwlekłość przekładu, zwłaszcza pierwszego *Silviludium*. Niekiedy też trafiają się wyrażenia niemal trywialne:

Więc nimfy Tolty, w piersi kryształe
kryjące wilgoć — życie dla ziemi.

W oryginale jest nie tylko myśl inna, ale jest i wdzięk obrazu i wdzięk melodii, którego napróżno szukać w przekładzie:

Toltanae nymphae, quae crystallinis
uberibus tenellos alunt flosculos...

Krótko mówiąc, przekład daleki jest od doskonałości. Należy mu się jednak ta wyrozumiałość, jaką winniśmy debiutom, oraz to uznanie, że poczęty był z prawdziwego umiłowania poety, a więc w niejednym miejscu zbliżył się niewątpliwie do oryginału.

Rozmyślania Marka Aurelego też po raz drugi ukazują się w polskim przekładzie. Właściwie jest to drugie wydanie — nie wiem, w jakiej mierze zmienione, gdyż pierwszego nie mam pod ręką. Prof. Sinko, który opatrzył książkę gruntownym wstępem, podjął się jednocześnie i rewizji przekładu, co daje gwarancję filologicznej ścisłości. A przekład jest jednocześnie wartościowy pod względem literackim, jasny, potoczysty. Tytuł tylko wydaje mi się błady i nie oddający należycie tego intymnego charakteru, który chciał wyrazić sam Marek Aureli, kładąc na czele tego dorywczego notatnika znamienne słowa: εἰς ἑαυτόν.

Z tegoż przedwojennego wydawnictwa Sympozjonu, w którym po raz pierwszy ukazał się reiterowski przekład *Rozmyślań*, biorą początek i przekłady Platona, pióra Władysława Witwickiego. Niestrudzony tłumacz kontynuuje w dalszym ciągu swą chlubną pracę. W roku ubiegłym osiągnął wprost rekord tej pracy, ogłaszając przekłady aż trzech dialogów platońskich. Jeżeli tedy kto zasłużył w roku 1937 na nagrodę za zasługi na polu przekładów, to przede wszystkim prof. Witwicki.

Jest to praca współtwórcza, praca kongenialnego artysty. Witwicki wżywa się wspaniale w każdą z sytuacji, widzi naocznie każdą z osób dialogu (świadczą o tym zarówno rysunki rozrzucone w tekście, jak i kapitalne charakterystyki, zwłaszcza te, które zamieszczono w przedmowie do *Lachesa*), umie każdej z nich włożyć w usta odpowiedni wyraz,

odpowiadający jej poziomowi umysłowemu czy usposobieniu. To też przekład jest żywy, wartki i zajmujący. A jednorzędną jego zaletą jest jego precyzja, czyli (że się tak wyrażymy) stopień najwyższy dokładności, matematycznej zarazem i artystycznej. Zwłaszcza w pojęciach będących przedmiotem zasadniczym dialogu ścisłość ta występuje w całej pełni: obyczajem swoim Witwicki nie zadowala się przyjętymi powszechnie terminami, ale kontroluje je aż potrójnie: 1. przez analizę samej treści danego pojęcia, 2. przez „przymierzenie“ tego czy innego terminu do całokształtu tłumaczenia, 3. przez porównanie z wyrazami użytymi przez tłumaczy innojęzycznych, zwłaszcza angielskich i niemieckich. Teraz dopiero, gdy w *Lachesie* naczelnym zagadnieniem stało się „męstwo“ (ἀνδρεία od ἀνής) widzi się, jak trafnym było tłumaczenie ἀρετή przez „dzielność“. Nowy kłopot był z fundamentalnym terminem *Charmidesa* σωφροσύνη tłumacz po namyśle wybrał odpowiednik „rozwaga“ — słuszny i trafny, choć osobiście mi się wydaje, że z etymologicznego punktu widzenia bliższy tu byłby termin „zdrowy rozsądek“. Ale największy kłopot z przedmiotem głównym w dialogu *Lizys*: „O czym właściwie Sokrates rozmawia, nie łatwo powiedzieć po polsku, choć zazwyczaj się pisze, że tu jest mowa o przyjaźni“. Termin grecki τὸ φίλον dałby się może, jak przypuszczam, oddać polską „przymilnością“ („przymilne“ jest bowiem to, „co jest miłe i pociąga, oraz to, co się do drugiego samo skłania, łączy, ciągnie do niego i lubi“). Ale nie wiem, czy istotnie wyraz ten byłby trafny w każdym miejscu, gdzie występuje jego grecki odpowiednik.

Pisałem poprzednio w *Roczniku* o Mieczysławie Popławskim jako o czynnym inicjatorze pracy nad przekładami prozy łacińskiej. Liczyłem na rychłe ukazanie się jego przekładów Cezara i Salustiusza. Narazie doczekaliśmy się od niego planu tylko pośredniego, a mianowicie przekładu *Dialogu o mówcach*, opracowanego zbiorowo pod jego opieką. Sam pomysł takiej pracy zbiorowej, wzajemnie kontrolowanej, jest nawrotem do dobrej tradycji filomatów wileńskich, i należy mu przyklasnąć, zwłaszcza że przekład wspomniany ma wiele zalet: dobrą polszczyznę, naturalność wyśłowienia (w dialogach rzecz szczególnie wielkiej wagi) i potoczystość. Że tu i tam trafiły się jakieś drobne nieścisłości, raziące pedantów, to już wybaczyć można.

Z dzieł Ojców Kościoła, jakich przekłady przygotowane były na rok ubiegły, żadne nie doszło do rąk moich, więc do roku przyszłego odłożę

omówienie św. Cypriana, przetłumaczonego przez ks. Czuja. Wybór myśli św. Jana Chryzostoma jest zadatkami tomów jego homilii, które się wkrótce ukaza.

W rzadko przez naszych ziomków nawiedzaną dziedzinę literatury bizantyńskiej, o której u nas zwykło się — bez czytania samych dzieł — wydawać banalne, płytkie i niedorzeczne sądy, wszedł nowy tłumacz. Podjął się zadania jednego z najtrudniejszych, jakie istnieją w literaturze świata: spolszczenia hymnu greckiego z XVII wieku, zwanego Ἀκάθιστος. Hymn ten jest wprost arcydziełem wirtuozerii rytmicznej i muzycznej: wiersze ułożone są w symetrycznych „kołach“ rymowanych równolegle, rymy bogate i śmiałe (czasem po trzy sylaby rymują się proparoksytonicznie, co w greckim i rosyjskim języku jest możliwe, w polskim nigdy!), wiązania stóp niedościgle kunsztowne. Przy tym wszystkim zaś bogactwo przenośni i symbolów, natchniona podniosłość w refrenowej części modlitewnej, siła kontrastów... Prawdziwa „rewelacja muzyki“, że użyjemy wyrażenia Słowackiego: jedyne go poety, który by u nas był zdolny godnie odtworzyć to arcydzieło.

Z wszystkich tych trudności (czy ponęt), jakie tłumaczowi nastręcza *Hymnos Akathistos*, zdawał sobie sprawę o. Bernard karmelita — i w przedmowie zaznaczył, że nie ma ambicji mierzyć się z oryginałem. Przekład swój uczynił właściwie parafrazą, nie tylko używszy zgoła odmiennej formy wierszowej, nie tylko narzuciwszy prostszą i niemal zgrzebną szatę słowa, ale ponadto zabarwiwszy tekst własnym uczuciem oraz wplatając jakby glosalne łączniki, które zacierają litanijski charakter pewnych partii utworu. W ostatecznym rezultacie przekład ten jest niepozbawiony wartości literackiej i czyta się go z przyjemnością, ale — nie daje pojęcia o oryginale.

Tak się przedstawia plon przekładów z literatury greckiej i łacińskiej w roku zeszłym. Plon niezły, w którym są też pozycje świetne (Platon Witwickiego) i bardzo piękne (Marek Aureli Reitera).

JÓZEF BIRKENMAJER

LITERATURA HOLENDERSKA

Ammers Küller Jo van. *Patrioci*, tł. Zb.
Leśniewski. W-wa. Książnica-Atlas.

Lulofs M. *Kulis*, tł. H. Bukowska.
W-wa.

WIELKIE PRZYWIĄZANIE HOLENDRÓW DO PANUJĄcej rodziny książęcej, ich niejako mistyczne przekonanie, że nawet i w dalekiej przyszłości szczęście narodu złączone pozostanie z losami dynastii Orańskiej znane są również i w Polsce.

Znała wszelako historia holenderska również i takie okresy, kiedy lud czynił przedstawicieli tej dynastii odpowiedzialnymi za ciężkie chwile, które kraj przeżywał. Jeden właśnie z takich okresów, przypadający na drugą połowę wieku XVIII, obrała J. v. Ammers - Küller jako tło dla swej wielkiej trylogii *Panowie, słudzy i kobiety*, której tom pierwszy w polskim przekładzie mamy właśnie przed sobą. Były to bardzo ciężkie czasy dla „Zjednoczonych Prowincji“. Z jednej strony rozpaczliwe zubożenie ludu, spowodowane przez napady Ludwika XV (w niektórych miastach połowa ludności należała do miejskich ubogich), z drugiej zaś wielkie bogactwa, otrzymane przez stan kupiecki jeszcze od Wschodnio-Indyjskiej Kompanii bezpośrednio, lub też drogą dziedziczenia, stworzyły głęboki rozłam w narodzie. Rozłam ten potęgowały jeszcze wpływy urzędników francuskich w zdobytych miastach, wywierane na bogatych kupców. Kupcy ci nie potrzebowali już, tak jak ich ojcowie, narażać częstokroć swego życia, a zawsze mienia, dla zdobywania nowych skarbów. Potrafili pomnażać je w sposób wygodniejszy i spokojniejszy przez zagarnianie tłustych urzędów, małżeństwa, lub też przemycanie broni do Ameryki.

Tą drogą stali się potężną kliką, która w rzeczywistości rządziła krajem. Przyjęli nazwę „patriotów“. Zbytkowne życie, nastroje francuskie oddaliły ich całkowicie od reszty narodu, warstwy, zwanej przez nich pogardliwie „plebem“, a jednocześnie i od księcia Orańskiego, który wszakże w wojnie przeciwko Francji stał po stronie Anglików.

Aby nie dopuścić do wybuchu walki w łonie rozdwojonego narodu usunął się książę do jednego z zamków we wschodniej części kraju, a za przykładem księcia pochowali się również jego ludzie. Trzeba było silnego ramienia króla pruskiego, który dla pomszczenia obrazy, wyrządzo-

nej siostrze jego (żonie Wilhelma V) przyśłał do Holandii kilka swoich pułków — aby, jakkolwiek na krótki czas tylko, powrócić siłę władzy księżęcej.

Na tym tle odgrywa się w latach 1778-87 pierwsza część trylogii.

Wprowadzeni zostajemy do domu bogatego Burmistrza Tavelincka w Amsterdamie, w chwili gdy kariera jego życiowa osiągnęła swój szczyt. Burmistrz Tavelinck jest wielkim posiadaczem ziemskim, dyrektorem rozmaitych linii okrętowych, członkiem Stanów Generalnych etc, etc. Ale już niepokój poczyną go nurtować. Czy też statki jego z ładunkiem broni i amunicji dopłynęły szczęśliwie do Ameryki? I czy tajna umowa o regularnych dostawach nie trafiła w ręce niepowołane? Dochody z Indii maleją, rodzina jego wzrasta, zwiększa się rzesza służby, lud żąda wyższych zarobków, a ten głupi, gruby burmistrz, który utracił prostą moralność swoich przodków, rozporządza jeszcze na schyłku haniebnej swej kariery sporą dawką energii osobistej i dumy rodzinnej i nie jest nam niesympatyczny. Kolejno przedstawia nam J. v. Ammers Küller główne osoby dramatu, poświęcając każdej osobny rozdział. I najbardziej — jak zwykle — udają się jej postaci kobiece, które wciągnięte zostały do tej tragedii losu. Widzimy wychowanie tych bogatych, młodych dam, uczących się posłuszeństwa, ukłonów, robót na drutach i modlitwy (po francusku). Jak to już w latach piętnastu osiągały wiek małżeński, jak zdrowie ich ulega zaniedbaniu, jak niehigieniczne są ich ciężkie suknie, wilgotne, nieprzewietrzane pokoje i skomplikowane fryzury. Ale także jak cierpliwie znoszą one swój los jako coś, rozumiejącego się samo przez się, wydają na świat liczne dzieci, by częstokroć utracić je wkrótce; z jaką dumą dźwigają ubóstwo, chłód i głód. I jak wcześniej starzeją się te kobiety. Betje w 42 latach już jest zniekształcona przez reumatyzm, matka jej w wieku lat 51 to już staruszka, nie opuszczająca prawie swego miejsca przy oknie.

Jednakże na swój sposób przeżywają także i te kobiety burzliwe czasy epoki historycznej, o której pokrótce już wspomniałam, i J. v. Ammers Küller potrafi trwale przykuć do nich naszą uwagę. W dużym stopniu być może przyczynia się do tego to, że charaktery ich zachowują się w sposób najzupełniej współczesny w swoich reakcjach uczuciowych. Trudno orzec, czy takie ujęcie autorki da się usprawiedliwić psychologicznie, w każdym razie jednakże przybliża ona do nas w ten sposób ogromnie swoje postaci.

Przekład tego tomu jest o wiele wierniejszy w stosunku do pierwotnego tekstu holenderskiego niż poprzednie przekłady książek J. v. Ammers Küller i daje się czytać płynnie i z przyjemnością. Także szata zewnętrzna tomu wykonana została starannie i obrazek na okładce, przedstawiający dobrze znaną bramę w Amsterdamie, wybrany jest odpowiednio.

Z ciekawością oczekujemy dwóch następnych tomów tego dzieła, które niechybnie pojawią się niedługo spod bieglego pióra autorki.

Książka Magdaleny Lulofs opisująca życie „kulisów“, robotników najemnych w Indiach holenderskich, jest raczej ogólną, bardziej przedmiotową rozprawą, aniżeli powieścią. Zajmuje się ona najbardziej pierwotną ludnością wysp, tymi, którzy przez fałszywe obietnice łatwych zarobków i zbytkownego życia wywabieni zostają z serca dżungli na to, by zaangażować się jako najemni robotnicy na plantacjach i w lasach gumowych. Ci mężczyźni i te kobiety, to bardzo trudny, surowy materiał, ludzie nie rozumiejący częstokroć języka, używanego w poszczególnej prowincji, w której pracują, uparcie przywiązani do „adat“ (zwyczajów, tradycji) swego plemienia, wykazujący instynktowną nieufność do wszystkich słów i czynów białego człowieka. Nie potrzeba dodawać, że są oni bezlitośnie wyzyskiwani, zarówno przez białych, jak i przez ich narzędzie: tubylczych dozorców. Jak nienawidzą oni swego życia, nie mając jednakże dość sił do zerwania z nim, opowiedziane jest zwięzłe i przedmiotowo, jakkolwiek częste powtarzanie się i przesada, lub też niepotrzebne ordynarność, psują wrażenie. Tendencje ekonomiczne, rasowe i społeczne byłyby z pewnością dość jasne bez takiego ich przejaśnienia.

Opowiadanie składa się z trzech części, z których pierwsza, zawierająca opis małej „dessa“ (wioska tubylcza) u podnóża góry wulkanicznej, gdzie ludzie żyją w zadowoleniu zwierzęcym, „poza granicami dobra i zła“ — jest bardzo piękna. Żałować należy, że autorka nie potrafiła się utrzymać na tym poziomie.

Tłumaczenie tej książki przedstawiało oczywiście wiele trudności; zwięzły styl, liczne miejscowe wyrazy i obrazy, zrozumiałe dla holenderskich czytelników, lecz trudne do pojęcia dla cudzoziemców, częstokroć dały powód do dziwnych zawiłości stylu; co nie przeszkadza, że wzięte jako całość, opowiadanie to uznać należy za lekturę bardzo interesującą.

A. BASSALIKOWA

LITERATURA NIEMIECKA

- Angern M. von. *Jutrzejsza dziewczęta*, tł. R. Centnerszwerowa. W-wa. Płomień.
- Baum V. *Miłość Doris Hart*, tł. I. Berman. Lwów. Reindel. — *Kariera Doris Hart*, tł. I. Berman. Tamże. — *Podróż*, tł. E. Solska. W-wa. Cukrowski.
- Brunngraber R. *Radium*, tł. E. Naganowski. Poznań. Dippel.
- Courths-Mahler J. *Małżeństwo z aktorką*, tł. Solska. W-wa. Cukrowski. — *Kocham cię, Lonny*, tł. M. Lipińska. — *Daleka jest droga do szczęścia*, tł. J. Kamińska. W-wa. Lektura.
- Dominik H. *Z gazeciarza milionerem*, tł. L. Trzeszczkowski. W-wa. Arct.
- Döblin A. *Nie ma pardonu*. — *Kryzys*, tł. M. Tarnowski. W-wa. Nowa Powieść.
- Ebermayer E. *Sprawa Claasena*, tł. B. J. Frühling. W-wa. Płomień.
- Eckerskorn J. *Bat niewolników*, tł. S. Kosko. — *Karolcia była u wróżki*, tł. A. Latówna. Katowice. Księgarnia i Drukarnia Katolicka.
- Elert G. *Spóźniona miłość*, tł. E. Porębski. — *Człowiek morza*, tł. H. Porębska. W-wa. Kubicki.
- Fallada H. *Gdybyśmy mieli dziecko*, tł. M. Wasermanówna. W-wa. Fruchtman.
- Frank J. M. *Wyspa St. Paul*. — *Ostatnia czwórka z Saint Paul*, tł. H. Porębska. W-wa. Kubicki.
- Frank L. *Towarzysze snów*, tł. M. Tarnowski. W-wa. Przeworski.
- Fröschel G. *Odmieniona*, tł. M. Wasermanówna. W-wa. Rój.
- Goethe J. W. *Faust*. Część pierwsza, tł. W. Kościelski. W-wa. Biblioteka Polska.
- Günther A. *Święta i jej blazen*, tł. M. Kreczowska. W-wa. Przeworski.
- Harper Fr. *Dług Hanki Wolskiej*. Adaptacja E. Bałuckiego. W-wa. Polska Agencja Publicystyczna.
- Holland K. *Srebrna strzała*, tł. L. C. — *Dziewczę z przestworza*. W-wa. Rój.
- Kampe Fr. *Wielki człowiek*. Adaptacja E. Bałuckiego. W-wa. Polska Agencja Publicystyczna.
- Katz R. *Iskrzący się Daleki Wschód*, tł. Z. Petersowa. W-wa. Przeworski.
- Kaus G. *Jutro o dziewiętej*, tł. E. Solska. W-wa. Cukrowski.
- Kesten H. *Ferdynand i Izabella*. Tom I. *Ojcowie i dzieci*, tł. M. Wasermanówna. W-wa. Lektura.
- Kühnelt-Leddihn E. M. R. von. *Jezuici, burzuje, bolszewicy*, tł. J. Brossowa. Poznań. Kultura.
- Le Fort G. von. *Papież z ghetta*, tł. J. Sztadynger. Poznań, 1936. Księgarnia Św. Wojciecha.
- Marcu V. *Machiavelli*, tł. M. Tarnowski. W-wa. Płomień.
- May K. *Przez dziki Kurdystan*. — *Przez pustynię*. Poznań. Wydawn. Polskie.
- Mühlen H. zur. *Diabelski młyn*, tł. M. Tarnowski. W-wa. Księg. Popularna.
- Neumann A. *Nowy Cezar*, tł. M. Wasermanówna. W-wa. Rój. — *Ludwik XI*. W-wa. Renaissance.
- Peteani M. *Hotel Delmasse*, tł. H. Hellerówna. — *Boski pocałunek*, tł. H. Hellerówna. W-wa. Płomień.
- Possendorf H. *Miłość w cyrku*, tł. A. Magórski. W-wa. 1936. Kurier Por.
- Reinhold K. L. *Testament Henryka Brügena*, tł. M. Rózyckiej. W-wa. Spociński.

Rendl J. *Dłużnik*, tł. S. Kosko. Katowice. Księg. i Druk. Katolicka.

Rheinhardt E. A. *Napoleon i Eugenia*, tł. B. J. Frühling. W-wa. Płomień.

Richter H. *Trzy kobiety*. Powieść o Chopinie, tł. M. Tarnowski. W-wa. Nowa Powieść.

Roth J. *Spowiedź mordercy*, tł. J. Wittlin. — *Historia nocy 1002*. W-wa. Rój.

Rothberg G. *Jego żona*, tł. M. Frank. — *Ty jesteś moim przeznaczeniem*, tł. M. Frank. — *Czy Jan Termolen kocha?*, tł. Z. Milan. Lwów. Polonia.

Schiller Fr. *Ballady*. Przekłady wybrał i przejrzał A. Tom. Lwów. Lwowski Instytut Wydawniczy.

Seidler A. *Paryż, hotel „Pod pięknym słońcem“*, tł. T. Zabłudowski. W-wa. Przeworski.

Selinko A. *Byłam brzydką dziewczyną*, tł. L. Ciechanowiecka. W-wa. Rój.

Seltzer Ch. A. *Zachód jest inny*, tł. Z. Fryd. — *Nad granicą*, tł. Z. Amaran-towa. — *Syn Arizony*. Tł. G. Kame-równa. Lwów. Avis.

Stern G. *Droga bez kresu*, tł. G. Nadle-rowa. W-wa. Płomień.

Wassermann J. *Trzecia egzystencja Jó-zefa Kerkhovea: I. Świat urojenia. II. Świat wiary*, tł. M. Tarnowski. W-wa. Polskie Tow. Przyjaciół Książki.

Wickerhauser G. *Kobieta na niepokodę*, tł. L. Ciechanowiecka. — *Księżyc za dnia*, tł. M. Rafałowicz-Radwanowa. W-wa. Przeworski.

Zweig A. *Wychowanie pod Verdun*, tł. W. Kragen. W-wa. Rój.

Zweig S. *Józef Fouché*, tł. R. Centner-szwerowa. W-wa. Renaissance.

ROZPATRUJĄC POWYŻSZĄ LISTĘ PRZEKŁADÓW Z BEL-letrystyki niemieckiej, zestawioną podług urzędowych danych bibliogra-ficznych, widzę, że trzeba będzie powtórzyć to samo, co pisałem na tym miejscu przed rokiem: liczbowo lista przedstawia się okazale — jest nawet obfitsza od zeszłorocznej (62 pozycje wobec 52 w r. 1936); nie ma w niej jednak wcale utworów charakterystycznych dla *dzisiejszej* literatury niemieckiej, nie ma też wogóle utworów o naprawdę wybitnej wartości artystycznej. Z nazwisk znanych i sławnych widzimy tu wpraw-dzie Jakuba Wassermanna, obydwóch Zweigów — Arnolda i Stefana, Leonharda Franka, Józefa Rotha, Alfreda Neumanna, — ale jest to prze-cież wybór bardzo jednostronny, nie mogący dać żadnego wyobrażenia o tym, co się dzisiaj dokonywa w niemieckim życiu literackim: co tam ginie, co się rodzi, ku czemu to życie zmierza. Następną grupę w naszej liście stanowią pisarze i pisarki o znaczeniu drugorzędnym: ich utwory, pisane z talentem i kulturą literacką, nie osiągają jednak żadnej z tych wartości, które mogą być istotnym uprzedliwieniem przekładu; są to albo powieści na temat różnych odmian problematyki życia powojenne-go, albo — jeszcze częściej — utwory o wyraźnej intencji rozrywkowej;

zaliczyć tu można nazwiska następujące: Vicki Baum, Alfred Döblin, Eryk Ebermayer, Hans Fallada, Georg Fröschel, Katarzyna Holland, Gina Kaus, Gertruda Wickerhauser. Pewnymi ciekawszymi rysami wyróżniają się, ale zasadniczo do tej samej grupy należą takie postaci jak podróżnik Richard Katz, szwajcarska pisarka katolicka Gertruda von Le Fort, Eryk von Kühnelt-Leddihn, Rudolf Brunngraber i Ange Seidler. Do ostatniej grupy, najliczniejszej, należą utwory popularne i sensacyjne, obliczone na t. zw. „masowego czytelnika“; na czele tej grupy kroczy — tym razem tylko z trzema powieściami — pani Courths-Mahler, niemiecka Helena Mniszek.

Z klasycznej literatury niemieckiej są do odnotowania dwie pozycje: tomik *Ballad Schillera* w dawnych przekładach oraz nowe wydanie pierwszej części *Fausta* w tłumaczeniu Władysława Kościelskiego.

Tak się przedstawia w ogólnym zarysie dorobek roku 1937 w naszym dziale. Teraz kilka uwag szczegółowych o niektórych pozycjach.

*

Jakub Wassermann: *Trzecia egzystencja Józefa Kerkhovea*. Ostatnie ogniwo rozległego cyklu powieściowego, wydane po polsku w dwóch tomach pod osobnymi tytułami. Drobiazgowa, męcząca, maniakalna analiza walki dwojga małżonków o prymat duchowy w stadle. Akcja skupiona, dramatyczna, prężna; psychologia często odkrywczą. Przekład pośpieszny, niewolny od germanizmów, nie oddaje sprawiedliwości precyzyjnej i pięknej prozie autora.

Arnold Zweig: *Wychowanie pod Verdun*. Jest to uzupełnienie dwóch znanych u nas powieści tego autora: *Sporu o sierżanta Griszę* i *Młodej kobiety z roku 1914*. Jeszcze jeden obraz grozy wojennej, ukazany jako ostrzegawcze memento; filozofia wielkiej wojny i epoki po wojennej, nazywanej przez autora „epoką przejściową ludzkości“. Przekład niedostateczny: sporo błędów językowych i niezręczności stylistycznych. Bardzo niezgrabnie brzmi po polsku sam tytuł powieści.

Stefan Zweig: *Józef Fouché*. Zatrważająca jest wszechstronność zainteresowań tego pisarza! Studia obszerne o Balzacu, Dickensie, Dostojewskim, Tołstoju, Stendhalu, Casanovie, Hölderlinie, Kleiście, Nietzsche, Meşmerze, Freudzie; całe książki o Verhearenie, Marcelinie Desbordes-Valmore, o Erazmie, o Marii Stuart, o Marii Antoninie, o Magellanie... Napewno nie wymienilem nawet połowy opracowanych przez niego wielkich postaci. Czy taka wszechstronność może iść w parze

z istotnie głęboką znajomością przedmiotu? Nie bardzo. Zweig daje zręczne przybliżenia, artystycznie suggestywne, ale za wiele upraszcza i uczy patrzeć powierzchownie na sprawy trudne i skomplikowane. Jego popularyzacje wielkich ludzi i wielkich tematów nie zawsze mogą być pożyteczne. Ale „powieść biograficzna“ o Józefie Fouché, zdrajcy Napoleona i dyplomacie francuskim, który się stał Austriakiem, jest bardzo zajmująca i napisana kompetentnie. Tylko że przekład p. Centnerszwerowej stanowczo krzywdzi autora. Pomimo wszystko Stefan Zweig jest pisarzem znacznie wyższej rangi, niżby to można było sobie wyobrazić na podstawie tego przekładu.

Leonhard Frank: *Towarzysze snów*. Niezwykła mieszanina pornografii, psychoanalizy, fantastyki i mistycyzmu. Te cztery elementy w oryginale dobrze są zharmonizowane dzięki nadzwyczajnej subtelności stylu; w przekładzie ton oryginału został bardzo obniżony — często aż do wulgarności. Wyjątkowo niedbała korekta uniemożliwia czytanie książki.

Józef Roth: *Spowiedź mordercy i Historia nocy 1002*. Pierwsza z tych powieści, pięknie przełożona przez Wittlina, mówi o Rosji przedwojennej: jest to opowiadanie Siemiona Siemionowicza Gałubczyka, nieprawego syna książęcego, członka ochrony, mniemanego zabójcy i wogóle „byłego człowieka“. Atmosfera rosyjska ma tu jednak charakter „książkowy“: opiera się raczej na powieściach Dostojewskiego niż na osobistej obserwacji. Druga powieść — opisująca pobyt szacha perskiego w przedwojennym Wiedniu i związaną z tym pobylem karierę Mizzi Schinagl, pensjonarki wytwornego domu rozpusty — jest, zarówno w tematyce jak w jej przeprowadzeniu, wyraźnym obniżeniem dotychczasowych aspiracji artystycznych autora.

Alfred Neumann: *Nowy Cezar*. Wielkich rozmiarów powieść historyczna o Napoleonie III. Jest to część pierwsza, obejmująca czas od przyścia na świat Ludwika Napoleona aż do zamachu stanu w dniu 2 grudnia 1851 r. i proklamowania cesarstwa; liczy stron 718. Jeszcze obszerniejsza jest część druga, wydana po polsku już w r. 1938 pod tytułem *Drugie Cesarstwo*. Autor, wyspecjalizowany w dziejach Francji dawniejszej, którym poświęcił kilka powieści, z równym znanstwem przedmiotu zajmuje się tutaj Francją pierwszej połowy w. XIX, dając zarówno w portrecie psychologicznym tytułowego bohatera jak i obrazie epoki rzeczy godne uwagi. Przekład na ogół poprawny. Te same zalety ma wydana jednocześnie dawniejsza powieść tego autora — *Ludwik XI*.

Gertruda von Le Fort: *Papież z ghetta. Legenda rodu Pier Leonich*. Powieść historyczna na temat walki pomiędzy antypapieżem Anakletem II, pochodzącym z żydowskiej rodziny Pierleonich i zasiadającym na tronie papieskim w latach 1130—1138, a papieżem Innocentym II. Utwór skomplikowany, pisany techniką bardzo niezwykłą; oryginalne teksty kronik i legend przeplatają się z urywanym, impresjonistycznym stylem autorki. Wielka znajomość przedstawianej epoki, głęboka intuicja w zakresie mistyki religijnej chrześcijańskiej i żydowskiej, sugestywna wizyjność stylu, artyzm wogóle niepospolity. Warto zapoznać się z tą autorką. Przekład bardzo dobry.

Eryk M. R. von Kühnelt - Leddihn: *Jezuici, burzuje, bolszewicy*. Sensacyjna powieść katolicka. Są to przygody dziennikarza wysłanego konspiracyjnie przez Jezuitów do Rosji sowieckiej w celu zwiędzenia istniejących tam instytucyj katolickich. Rzecz napisana zajmująco, ma charakter ciekawego romansu przygód; obserwacja świata sowieckiego przenikliwa i raczej bezstronna, tendencja katolicka przeprowadzona dyskretnie i przekonująco. Przekład dobry.

Rudolf Brunngraber: *Radium. Powieść o pierwiastku*. Wiedeński autor przedstawia tu dzieje odkrycia radu i jego zastosowań w lecznictwie i przemyśle. Technika przedstawienia wzorowana na technice kinowej: mnóstwo krótkich obrazów ukazujących sprawy zachodzące jednocześnie w różnych miejscach i środowiskach: w pracowniach uczonych, w fabrykach, w szpitalach, na posiedzeniach spekulantów bankowych. W znacznym uproszczeniu, ale z sympatycznym entuzjazmem, pokazane są prace, czyny i zasługi Henryka Becquerela, Marii Skłodowskiej-Curie, Piotra Curie i innych. Powieść popularyzująca zdobycze naukowe, napisana zajmująco i zręcznie. Przekład dobry, ale zepsuty ciągłym używaniem spójnikowego *względnie* i nieznośnego germanizmu *w międzyczasie*. — Nie jest to pierwszy utwór tego autora tłumaczony na język polski: w r. 1934 ukazała się jego powieść pt. *Karol i XX wiek*, tłumaczona przez p. O. Mierowskiego. Tematem tej powieści—bardzo po nurej—jest taylorowska organizacja pracy, wojna i powojenne bezrobocie.

Ange Seidler: *Paryż, hotel „Pod pięknym słońcem”*. Powieść emigrantki niemieckiej na temat niedobranego małżeństwa pary emigrantów na gruncie paryskim: studenta medycyny z Węgier i Wiedienki szukającej w Paryżu „prawdziwego” życia. Literackie pogniębienie bierności męskiej przez triumfującą energię, prawość i inteligencję kobiecą —

przeprowadzone w sposób pomysłowy i artystycznie zajmujący. Przekład dobry.

Valeriu Marcu: *Machiavelli. Szkoła władzy*. Autor tej książki urodził się w Rumunii, ale od wczesnego dzieciństwa mieszkał w Niemczech i pisał tylko po niemiecku; w r. 1933 wyemigrował do Francji. Jego studium o Machiavellim przypomina podobne prace Stefana Zweiga: nie jest gorsze, ale i nie jest lepsze od książki, którą by na ten temat mógł napisać Zweig.

E. A. Rheinhardt: *Napoleon i Eugenia*. Doskonałe uzupełnienie i pogłębienie rozległych dwóch powieści Alfreda Neumanna o Napoleonie III. Powieść biograficzna Rheinhardta, pisana powściągliwie, bez neumannowskiej impresjonistycznej manieri, uwydatnia przede wszystkim rolę cesarzowej Eugenii w losach „nowego Cezara” — rolę niewątpliwie fatalną. Przekład dobry.

Hermann Kesten: *Ferdynand i Izabela*. Powieść historyczna o inkwizycji hiszpańskiej, o Torquemadzie i o problematyce władzy absolutnej. Autor uwydatnia cechy okrucieństwa nie tylko władców, lecz i narodu hiszpańskiego. Historiozofia autora (np. co do ekonomicznego podłoża procesów inkwizycyjnych) jest dość uproszczona, ale ratuje ją niewątpliwym dar żywej i zajmującej narracji. Tłumaczenie poprawne.

Georg Fröschel: *Odmieniona*. Powieść o skutkach transfuzji krwi. Krew oszusta i wykołajeńca, przelana w żyły subtelnej i pięknej pani w celu uratowania jej życia po katastrofie samolotowej, czyni z niej niewolnicę owego oszusta i doprowadza ją do samobójstwa. Temat niemiły, medyczna strona sprawy raczej wątpliwa, ale przeprowadzenie tematu konsekwentne i — pomimo wszystko — zajmujące.

G. Stern: *Droga bez kresu*. Obszerna powieść historyczna z życia Żydów w Pradze czeskiej w w. XVIII i wysiedlenia ich z tego miasta w r. 1745 dekretem cesarzowej Marii Teresy. Temat ciekawy, ale w opracowaniu sentymentalizm góruje nad artyzmem.

Richard Katz: *Iskrzący się Daleki Wschód*. Autor znanych u nas dwóch książek podróżniczych, *Pogodnych dni wśród brunatnych ludzi* i *Włóczęgi dookoła świata*, tak pisze w przedmowie do tego nowego tomu: „Książka niniejsza jest plonem rocznej podróży przez Chiny, Koreę i Japonię. Nie ma ona pretensji ani do doskonałości, ani do naukowej dokładności, i chce jedynie zaprosić czytelnika na towarzysza wspólnej podróży... nie po to, aby gonić za największą ilością ciekawostek... i nie

po to, aby wszystko brać pod lupę krytyki, lecz żeby się nauczyć rozumienia obcych bytów". Ten program autor wypełnił sumiennie i z powodzeniem. Opowiada zajmująco, naturalnie, z przyjemnym — angielskim raczej niż niemieckim — dowcipem. Dowcip ten wznosi się czasem do wyżyn prawdziwego arcyzmu, jak np. w opowiadaniu o chińskich metodach wymyślania lub o japońskim systemie oznaczania dzielnic miasta, ulic i domów. Z książki tej, pisanej jak by od niechcenia, wiele się można dowiedzieć o Chinach i Japonii, zwłaszcza o kulturze życia codziennego w wielkich miastach. Książka wydana bardzo starannie, zaopatrzona w liczne ilustracje, odbita na dobrym papierze. Tłumaczenie dobrze trafia w stylistyczny ton oryginału.

*

Wydana obecnie przez „Bibliotekę Polską“ pierwsza część *Fausta* w przekładzie Władysława Kościelskiego jest już drugą edycją tego przekładu; pierwsza ukazała się w r. 1926. Z niewiadomych powodów nie zaznaczono tego na karcie tytułowej nowego wydania, jak również nie poinformowano czytelnika, że to nowe wydanie nie jest zwykłym przedrukiem tekstu z wydania pierwszego. A przecież warto było zaznaczyć, że to jest edycja nowa, dokładnie przez tłumacza przejrzana i w wielu miejscach znakomicie poprawiona. Okazuje się, że Kościelski zdążył jeszcze ten swój przekład wybitnie udoskonalić: poprawki pozornie drobne, ale liczne, — spotyka się je prawie na każdej stronicy, — dotyczą najczęściej składni i rytmu, rzadziej słownika; wszystkie są bezwzględnie słuszne i świadczą o subtelnej intuicji językowej i poetyckiej tłumacza. Wielka szkoda, że Kościelskiemu nie starczyło czasu — i życia — na przełożenie drugiej części *Fausta*.

P. S. Korzystam z bardzo spóźnionej okazji, żeby sprostować przykry błąd drukarski, który się wkraśl do poprzedniego mego artykułu o przekładach z literatury niemieckiej (*Rocznik Literacki* za rok 1936, str. 144). Wspominałem tam o znakomitej powieści niemieckiej (do dziś nie dostrzeżonej przez wydawców polskich) pod tytułem *Die Schlafwandler*. Otóż autor tej powieści nazywa się Hermann Broch, a nie Borch — jak błędnie wydrukowano. Może to sprostowanie przyczyni się do zwrócenia uwagi na powieść i postać Brocha.

LEON PIWIŃSKI

LITERATURA ROSYJSKA

- | | |
|--|---|
| <p>Czernawina T. <i>Zbiegowie z G. P. U.</i>, tł. M. Czapka. Warszawa. B. Polska.</p> <p>Il'f I., Pietrow E. <i>Ameryka jednopiętrowa</i>, tł. Z. Maliniak. W-wa. Wyd. Współczesne. — <i>Ameryka nieznana</i>, tł. Z. Maliniak, tamże.</p> <p>Krzyżanowska W. <i>Pracodawcy</i>, tł. B. Włodacz. Wisła. Lotos.</p> <p>Leonow Z. <i>Droga na ocean</i>, tł. A. Stawar, 3 tomy, W-wa. Progress. 1936 — 1937.</p> <p>Lermontow M. <i>Demon</i>, tł. J. Skłodowski, W-wa. Hoesick. — <i>Demon</i>, tł. S. Słonimska, tamże.</p> <p>Pasynkow L. <i>Amina dziewczę gór</i>, tł. K. Maliszewska. W-wa. Europa. 1936.</p> <p>Pawlenko P. <i>Barykady</i>, tł. H. Pilichowska, W-wa. Rój.</p> | <p>Perelman J. <i>Rakietą na księżyc</i>, tł. T. Laurski. W-wa. Księg. Popularna.</p> <p>Rachmanowa A. <i>Fabryka nowych ludzi</i>, tł. L. Schechtel. Poznań, Ks. św. Wojc. 1936. — <i>Małżeństwa w czerwonym piekle</i>, tł. J. Zakrzewska, tamże. — <i>Studenci, miłość, czerezwyczejka i śmierć</i>, tł. J. Zakrzewska, tamże.</p> <p>Sołowiecz I. <i>Rosja w obozie koncentracyjnym</i>, tł. St. Dębicki. Lwów. Książka.</p> <p>Tarlé E. <i>Napoleon</i>, tł. H. Winawerowa. W-wa. Wyd. Współczesne.</p> <p>Tynianow J. <i>Puszkina</i>, tł. J. Zajączkowski. W-wa. Rój.</p> <p>Zoszczenko M. <i>Niebieska księga</i>, tł. H. Pilichowska. W-wa. Rój.</p> |
|--|---|

WE WSTĘPNYCH UWAGACH REFERATU ZESZŁOROCZNEGO wspomniałem o zachodzącym od połowy roku 1936 znamienym przełomie w ustosunkowaniu się opinii europejskiej do tzw. eksperymentu bolszewickiego. W formie lakonicznej zjawisko wspomniane można by najwłaściwiej ująć jako „załamanie się mitu sowieckiego“. Ma się rozumieć, tyczyłoby się to sfer zajmujących uprzednio, takimi czy innymi przyczynami wywołane, marzycielskie stanowisko prosowieckie (radykalistów i socjalistów z jednej strony, a zwolenników przymierza sowieckiego z drugiej). Dziś po serii procesów zeszłorocznych, po realizacji konstytucji stalinowskiej, a wreszcie po nowym procesie ohydniejszym od wszystkich dotychczasowych — załamanie mitu sowieckiego wyraźnie przeobraża się w jego całkowitą likwidację. Nie tu jest miejsce dla szczegółowych rozważań na temat powodów, doprowadzających czy zmuszających Stalina do fantastycznego roztrwonienia kapitału propagandystycznego zbieranego przez całe lata na drodze najprzeróżniejszych okłamujących imprez i posunięć. Jedno jest pewne, nigdy w ciągu dwudzie-

stu lat swego istnienia Z.S.R.R. nie był do tego stopnia ideowo i kulturalnie zizolowany od reszty świata.

Wpływa to na charakterystyczną zmianę zainteresowań sowiecką problematyką. Zmianę, a nie zanik. Bo przecież trzeba stwierdzić, że właśnie dziś nowe całkiem zainteresowania powstają. Likwidacja „mitu“ zaostrza pragnienie poznania dotąd ignorowanej tragicznej rzeczywistości sowieckiej. Zwiększa się zainteresowanie dla bezpośrednich świadectw pamiętnikarskich, reakcji nowych emigrantów, którym ostatnio udało się zbiec z sowieckich więzień, sowieckich obozów koncentracyjnych, czy po prostu domowego dozoru, do czego się sprowadza życie na „wolnej stopie“ w Z.S.R.R.

Przejęciowo, raczej w roku 1937, silne zainteresowanie budziły echo jubileuszu puszkiniowskiego. Coś i w tych sowiecko-puszkiniowskich zainteresowaniach pokutowało z dawnych jeszcze nastawień „mitologicznych“ Myślano, że gdzieś u spodu jubileuszowych enuncjacji da się odszukać ślady bezpośredniego, nierobionego na zamówienie rządowe, — nawrotu do narodowej tradycji kulturalnej. W rzeczy samej, tam w głębi Z.S.R.R. — na prywatnych zebraniach kółkowych, w dyskusjach ustnych, w reakcjach bezpośrednich — zetknięcie się ze słowem żywym geniuszu poetyckiego Rosji może być również i takie reakcje się zaznaczały. To jednak wszystko, co do nas przychodziło w postaci drukowanej, świadczyło wyłącznie o nowym, brutalnie aranżowanym chwycie propagandowym obliczonym na bezpośredni efekt polityki wewnętrznej i zagranicznej. Weźmy choćby przetłumaczoną na język polski powieść o Puszkynie zdolnego skądinąd Tynianowa, autora udatnych romansów biograficznych o Kuchelbekerze i Gribojedowie. — Zastanawia ubóstwo wewnętrzne tej jubileuszowej manifestacji literackiej. Ma się rozumieć w znacznej mierze zaszkodziło tutaj narzucone autorowi z góry zadanie programowe. Reszty natomiast dokonało, jakże typowe dla sowieckich pisarzy, ubóstwo intuicji psychologicznej.

W najlepszym razie szumnie zatytułowana książka imieniem i nazwiskiem Puszkina mogłaby tyczyć się każdego z wychowanków petersburskiego liceum. Żywego Puszkina i to Puszkina dopiero in statu nascendi jest tam znikomo mało.

Błąka się na stronicach książki jakiś histeryczny, w gruncie rzeczy mało inteligentny dzieciak mieszanego europejsko-afrykańskiego pochodzenia, udający tamtego genialnego sobowtóra, bo powtarzający jakieś znane z (przeogromnej, wyczerpującej) pusz-

kinowskiej biografii słowa i gesty zewnętrzne. A na domiar złego prymitywizacja psychologiczna łączy się z brutalną i już wyraźnie na zamówienie czynioną parodystyczną, nawskroś fałszywą bolszewicką „rekonstrukcją” historycznego momentu. W rezultacie blakają się znowu na taśmie jakieś maskary, mające przedstawiać znane postaci historyczne, przedstawiciele kultury rosyjskiej i europejskiej: jak wytworny Razumowski, głęboki znawca prawa Speranski, przekorny hyperintelektualista De Maistre, wybitni pisarze Karamzin, Dierżawin itp. Dość też podobnie sprymitywizowane i sparodiowane zostaje środowisko rodzinne owego „sobowótora” Puszkina. Ma się rozumieć z wyjątkiem mitycznej niańki-opiekunki.

Nie znaczy to jednak, abym chciał odbierać dziełu Tynianowa wszelkie walory literackie. Gdyby to miała być powieść satyryczna, świadomie dążąca do sparodiowania snobizmu europeizacyjnego pierwszego okresu rządów Aleksandra I, *Puszkina* Tynianowa mógłby być traktowany jako osiągnięcie zamierzonego celu. Ale powieść tego typu nie powinna by chyba rościć pretensji do... rekonstrukcji historycznej, a jeszcze mniej do psychologicznego obrazu tworzenia się genialnego Puszkina.

Przechodzę do normalnej sowieckiej produkcji literackiej. Przeniosłem do referatu niniejszego (ze względu na nieotrzymanie w porę ostatniego tomu) omówienie ostatniej powieści *Leonowa*, *Droga na ocean*. Dobrze się chyba stało. Mogę bowiem z tego już nowego, czysto realistycznego stanowiska, głębiej sięgnąć do tworzywa ciekawej powieści ulubionego przez siebie pisarza sowieckiego. Mamy w polskim tłumaczeniu prawie wszystkie główne utwory autora *Złodzieja*. Możemy więc śledzić losy zniekształcanej od wewnątrz twórczości wyjątkowo się zapowiadającego... ucznia Dostojewskiego.

Śledząc rozwój wewnętrznej ewolucji od *Zuzanny* („*Soti*”) do *Skutarewskiego* — wyczuwałem zbliżanie się kryzysu. Leonow, jak wielu innych niezależnych pisarzy w Sowietach, miał jedynie do wyboru — zamknąć lub poddać swój talent straszliwej próbie deformacyjnej w wyniku przyjęcia zadań i nakazów propagandowych. Młody, ufny w swe siły twórcze, dumny ze swych dotychczasowych osiągnięć, świadomie chyba poszedł na kompromis. Liczył się chyba z możliwością przechytrzenia prymitywnych „zaganiaczy literackich”. No i przeliczył się tragicznie. Powieść *Droga na ocean* od razu uderza sztucznością konstrukcji wewnętrznej. Do znanych leonowskich wątków biologicznego i psychologicznego kryzysu przeżywanego przez żywiołowego starobolszewickiego bohatera pracy (analogia ze *Skutarewskim*) i historii starć między braćmi bolszewikiem i kontrrewolucjonistą (analogia z *Borsukami*) —

całkiem sztucznie zostaje dołączona jakaś ideologiczna „dobudówka“, mająca na celu rozszerzenie już mitologiczne realistycznych wątków powieści. Mam na myśli ów sen na jawie Kuriłowa o przyszłym zwycięskim socjalistycznym ustroju w Stanach Zjednoczonych Świata i równie naciągana fragmentaryczną kronikę uprzednich dziejów nadwołżańskiego ośrodka przemysłowego i tamtejszej magistrali kolejowej. Zwłaszcza ta pierwsza dobudówka mogła mieć na celu wyprowadzenie w pole chciwych efektów propagandowych krytyków-cenzorów. Ale chyba i coś z głównego rdzenia powieści było ad hoc przykrawane czy retuszowane ad usum okazania swej prawomyślności politycznej. Przede wszystkim ów drugi z wątków kierowniczych — historia dwóch braci Protoklitowów.

Jednym z głównych składników „socjalnego zamówienia“ jeżeli idzie o powieść o sowieckiej rozbudowie gospodarczej jest — jak wiemy — motyw szkodnictwa faktycznego czy choćby możliwego. Do 1937 roku tego typu szkodnictwo uprawiane miało być z reguły przez tzw. element pozaproletariackiego pochodzenia. Kto wie, czy od roku 1937 w nowych powieściach sowieckich w wyniku takiegoż partyjnego nakazu nie zaczęły się pojawiać szkodnicy i sabotażyści odmiennego rodzaju, niż ex-białogwardysta Protoklitow, bo raczej bliżsi... Kuriłowom.

Brnąc w grząskim gruncie afirmowanych przez siebie „zadań partyjnych“ — w ostatniej swej powieści Leonow jako główny zawiazek wziął skrzyżowanie tragiczne losów dwóch wrogich klasowo rodzin.

Jedną z nich jest idealna, bohaterska rodzina robotnicza Kuriłowów. Rodzina, którą nędza rozsada już w momencie przekraczania wieku dziecięcego przez bohatera głównego. Dzieci pracowitego robociarza Kuriłowa idą w świat, by chronić się przed nędzą i wegetacją. Brat i siostra, przechodząc najtwardszą szkołę życia — wyrastają na heroicznych współtwórców nowej epoki. Rodzina druga jest pochodzenia jak najbardziej wrogiego klasie robotniczej. Ojcem Protoklitowów jest prokurator carski, z pasją słuźalczą ferujący wyroki śmierci i katorgi dla rewolucjonistów. Potrzebne było Leonowowi takie niejako rasowo-klasowe przeciwstawienie walczących ze sobą postaci, by artystycznie uprawdopodobnić późniejsze perypetie fabularne. W momencie wybuchu rewolucji umiera stary Protoklitow, umiera zrozpaczony, że nie może już dalej tępić tamtych zbrodniczych wrogów cara i ojczyzny. Świetnie zarysowana jest postać fanatycznego prokuratora. Pociesza go przed śmiercią fakt — że młodszy syn jest oficerem-białogwardystą, śpieszącym na front walki domowej (mimo otrzymanego tytułu inżyniera wojskowego). Martwi go natomiast liberalizm starszego syna doktora, który pono brata się nawet z rewolucjonistami. Przechodzą lata. Jesteśmy już w okresie drugiej piatiletki, w okresie kaganowiczowskich pomysłów sanacji w dziedzinie kolejnictwa. Szefem oddziału politycznego magistrali nadwołżańskiej jest czterdziestoletni Kuriłow. Siostra równie jak brat oddana całkowicie pracy pio-

nierskiej, podobnie też ascetycznie wiodąca życie — zajmuje również kierownicze stanowisko polityczne. Podczas jakiejś inspekcji Kuriłow natrafia na ślad eksbiałogwardysty, syna prokuratora, który i ich Kuriłowych niegdyś na śmierć wysyłał, ale mu umknęli.

I odrazu powiem, że mimo wysiłków Leonowowi, uzdolnionemu konstruktorowi powieściowemu nie udaje się rzecz główna — stworzenie wiarogodnego zawiązku akcji. Nie wiemy bowiem, z jakich to pobudek ten nie tylko ex-oficer, ale i ex-inżynier — czy dla korzyści materialnych, czy z życiowego musu, czy właśnie dla mściwskiego sabotażu — zaczyna pracować jako prosty kolejarz, no i powoli „dorabia się“ do mizernego przecież stanowiska kierownika warsztatu remontowego. Nie wiemy też dlaczego to pod obcym nazwiskiem wstępuje on do partii. A z drugiej strony ten oddany przecież całkowicie i wyłącznie rozbudowie gospodarczej heroiczny Kuriłow, sprawdzwszy, że dotąd postępowanie Protoklitowa, pierwszorzędnego specja — było nienaganne, zdawać by się mogło, powinien by ratować dla samej sprawy tego człowieka, zawarowawszy sobie uprzednio bezpieczeństwo na drodze przyjaznej kontroli osobistej. Leonow byłby może tak akcję poprowadził, gdyby... mógł tworzyć bez nacisku z zewnątrz narzucanych pomysłów. I w rezultacie dostaliśmy drażniący sui generis kryminalistyczny melodramat o przyczajonym wrogu, który w obronie przed dekonspiracją stacza się aż na dno zbrodniczych pomysłów, a kończy nie bez interwencji jakiegoś bezbożniczego... „deus ex machina“, będąc wydany w trakcie partyjnej czystki przez rodzzonego brata.

Wiele jednak przemawia za tym, że Leonow, udobruchawszy w ten sposób jednych krytyków, naraził sobie innych, wypełniających nowy zrygawk generalnej linii, już tej aktualnej, — likwidacyjnej. Ci nowi, przewidzieć można, dobierać się zaczęli z kolei rzeczy do pozytywnej strony ideologii utworu, to jest do kultu dla leninowskiej gwardii, dumnie izolującej się od tego późniejszego stalinowskiego plemienia thermidoriańskiego typu. Niepokojąco brzmiąły pewne jeszcze lękliwie wysuwane obiekcje, że w powieści Leonowa za mało jest stalinowskiej „radości życia“, a za dużo przesadnego ascetyzmu, wyrzekania się szczęścia osobistego, rodzinnego itp.

Jak widać — pesymizm Leonowa niepokoi głównie sowieckich krytyków. I słusznie. Wiele bowiem beznadziejnego smutku jest w tej sztucznie dopełnianej mitologicznymi wstawkami opowieści o przedwcześnie

umierającym z przepracowania, samotnym Kurilowie, gdy na kolejowym froncie pozostają beznadziejnie się miotający, pozbawieni właściwego kierownictwa komsomolscy pionierzy. Tam katastrof kolejowych jest coraz więcej. Jedynym radosnym przeżyciem w tej najsmutniejszej z powieści Leonowa jest szczebiot małego Ziamki, syna opuszczonej przez męża sympatycznej komsomółki Klaudii. Czyżby Leonow mniemał, że jedynie od Ziamka doczeka się radości życia należycie zorganizowanego?

O tym, jak dalece atmosfera życia sowieckiego ostatniego okresu — po przełomowym zamachu na Kirowa — deprymująco działa na pisarzy sowieckich o wyraźniejszej osobowości świadczyć też może inne zahamowanie twórczości: humorysty M. Z o s z c z e n k i. Rzecz znamienna, i w tym wypadku przede wszystkim uderza nas wyraźna nieporadność konstrukcyjna, czy ściślej „problematyzacyjna“. Pobudzony — zdaje się przez Gorkiego — do stworzenia jakiegoś bardziej odpowiedzialnego — heroikomicznego utworu na większą skalę — Zoszczenko zabrał się do napisanej „poważnej“ *Niebieskiej księgi*. Dla podobnego przedsięwzięcia należało mieć możliwość najbardziej swobodnego ustosunkowania się do rzeczywistości aktualnej, która dopiero zabezpiecza specyficzny, bezinteresowny dystans humorysty. Zoszczenko takich możliwości nie miał zupełnie. Ale poza wzniosłymi wymaganiami twórczo artystycznymi istnieją konkretne wymagania życiowe, zawodowo-literackie. Zbiorki nowelek Zoszczenki musiały się już przejeść czytelnikom sowieckim. Trzeba im było zasugerować, że dostają rzecz całkiem nową i to poważną, ba, niemal... historiozoficzną. No i w rezultacie dostaliśmy, zwłaszcza my czytelnicy europejscy, doprawdy rzecz mało strawną, a kulturalnie drażniącą. Przy daleko nawet posuniętej tolerancji dla deformacji satyrycznych razić musi balast płaskich dykteryjek pseudo-humorystycznych, o europejskich papieżach, królach i historycznych postaciach, sugerowanych sowieckim tubylcom, którzy poza tym małym zwierciadłem, żadnych innych źródeł poznawczych o kulturze europejskiej nie posiadają. Drażni coś jeszcze w *Błękitnej Księdze*. Uporczywe, a więc i świadomie dla pewnych celów robione — nawracanie w tej części „historycznej“ do motywów tego typu, co polityczny, religijny ucisk i nietolerancja, co brak wolności słowa i nauki. Zwłaszcza dziś w dobie thermidoriańskich terrorystycznych rozrachunków stalinowskich takie podstępne operowanie... liberalizmem na cudzy koszt wywołuje zrozumiałą repulsję.

O wiele szczęśliwszy był pomysł rozszerzenia zakresu swej działalności literackiej pary humorystów Ilfa i Pietrowa. Po prostu, wyjechali oni z ponurego Z.S.R.R. do tego najbardziej intrygującego sowieckich mieszkańców kraju — Stanów Zjednoczonych. I rzecz dziwna, zanurzywszy się w wirze tamtego życia, zapomnieli zupełnie o ponurej rzeczywistości sowieckiej, a co ważniejsza mogli zapomnieć także i o wszelkich ideologicznych zadaniach nakazujących antyburżuazyjne podciągnięcia i retusze. Z naiwnością mieszkańców innej planety, a czasem... naiwnością inteligentnych dzieci Ilf i Pietrow odtwarzają to, co widzieli osobiście, co naprawdę ich w świecie amerykańskim uderzyło i co bezpośrednio usłyszeli od masy życzliwie do nich odnoszących się — równie naiwnych i bezpośrednich Amerykanów. Prawie równocześnie czytałem Ilfa i Pietrowa: *Amerykę nieznaną* i *Amerykę jednopiętrową* i miły pamiętnik trójki małych podróżników — Patience, Richard i John Abbe *W jedenaście lat dookoła świata*. Dużo znalazłem wspólnego w tych wrażeniach. Nie wiem, czy te sympatyczne przez swoją lojalność, a nie bacząc na naiwność wcale nie prymitywne reportaże znajdują zasłużoną poczytność w Z.S.R.R. Nie wiem bowiem, czy i w stosunku do nich „krytyka“ nie żywi jakichś podejrzeń. Mój Boże, przecież nawet z Fordem mówili po ludzku, zapominając o konieczności powoływania się na głęboko-płytki wywiad Stalina z Ray-Howardem. Całkiem obiektywnie rzecz biorąc, bezpretensjonalna gawęda Ilfa—Pietrowa ma dużo walorów wychowawczo-kulturalnych dla czytelnika sowieckiego.

Resztę materiału sprawozdawczego dałoby się rozpatrywać grupowo. Wyodrębnić można dwa działy. Jednym byłyby wspomniane na wstępie aktualne reportaże „neoemigracyjne“, drugim — reportaże historyczne o różnorakiej formie powieściowej. Dział pierwszy reprezentowany jest przez trzy utwory Rachmanowej, książkę Czernawinej, oraz najobszerniejszy reportaż w ścisłym tego słowa znaczeniu Sołoniewicza.

Rachmanowa, emigrantka rosyjska od 1925 r. (zdaje się katoliczka z obecnej przynależności wyznaniowej) jest autorką odznaczonej na specjalnym konkursie (sowieckim) powieści pt. *Fabryka nowych ludzi*. Powieść ta nie odznacza się wybitniejszymi walorami literackimi. Jest to dość podobny do sowieckich reportaży o zmyślonych postaciach, starający się oddać możliwie obiektywnie warunki życia tzw. „emigracji wewnętrznej“, to jest młodego pokolenia dawniejszej inteligencji, zmuszonej do życia i pracy w obcym im i psychicznie i kultural-

nie środowisku sowieckim. Dwie sprawy głównie interesują Rachmanową: kwestia rozkładu rodziny i anarchii seksualnej w Z.S.R.R. i kwestia religijnych podziemi sowieckich. Bardzo niejednakowo przedstawia się, że tak powiem, ideowo-intelektualna ważkość diagnozy autorki w obu sprawach. W sprawie pierwszej istotnie duża intuicyjna spostrzegawczość, szerokie pole obserwacyjne i wielka szczerość wypowiedzi przyczyniają się do tego, że rekonstruowany obraz traktowany być może jako źródło dość pewne i miarodajne. Pod warunkiem, że wszystko to będziemy traktować ściśle w ramach określonego czasem etapu rozwojowego¹.

Inaczej się przedstawia sprawa donioślejsza — religijna. To, co nam autorka podaje za skuteczną przeciwwagę bezbożnictwa — uznać będzie trzeba za objaw innego niepokojącego zjawiska kulturalnego.

Jest to bowiem nie obcy patologicznym naleciałościom ruch sekciarski, oparty o pono specjalnie rosyjskie cechy cierpiętnictwa dobrowolnego, jakiś — chciałoby się powiedzieć — fatalny nawrót do prawosławnego średniowiecza (czasy Iwana Groźnego). Mimowoli autorka odsłania fakt, że taki hipertolstoizm nie tylko nie powstrzymuje sadystycznej zaciętości dręczycieli z G. P. U., ale ją dziwnie jeszcze podsyca. To, co na szczęście wiemy z innych mniej literacko stylizowanych źródeł o konkretnych formach podziemnego życia religijnego w Z.S.R.R., bynajmniej nie potwierdza pośpiesznie generalizowanych spostrzeżeń Rachmanowej. W walce z bezbożniczym racjonalizmem nowa ideologia prawosławna raczej oczyszcza się z wybujałości wschodnich: kwietystyczno-irracjonalistycznych. Dobrze się stało, że Katowicka Księgarnia i Drukarnia Katolicka wydała tłumaczenie poprzednich czysto już pamiętnikarskich dzieł Rachmanowej (noszących zbyt sensacyjne tytuły: *Studenci, miłość, czerezwyczałjka i śmierć* i *Małżeństwo w czerwonym raju*). Szczerość wypowiedzi i wysiłek w opanowaniu zrozumiałych repulsji i osądów — sprawia, że te z konieczności subiektywne wyznania ofiary bolszewickiego przewrotu ze sfery par excellence staroustrojowej robią wrażenie dość miarodajnego dokumentu psycho-kulturalnego.

A przecież mimo całej bezpośredniości owych relacji osobistych książki tego typu co Rachmanowej, w których potworność życia sowieckie-

¹ Już przecież po emigracji autorki — w wyniku piatiletki i wywołanych przez nią komplikacyj socjalnych — i w tej sprawie zaszły znamienne przemiany wewnętrzne. Porównaj mój artykuł: „Renowacja rodziny sowieckiej” — *Verbum* 1936 — zeszyt I.

go wyraźnie jest ujawnianą — nie wywołują zamierzonych przez autorów skutków etycznych. Czegoś takim relacjom brak w sensie, że tak powiem, przyświadczeniowym.

Jeszcze w silniejszym stopniu wrażenia takiego doznałem w związku z lekturą klasycznego — można powiedzieć — reportażu antysowieckiego Sołoniewicza: *Rosja w obozie koncentracyjnym*. Materiału faktycznego reportaż Sołoniewicza daje bardzo, bardzo dużo. Wszystko niemal w tej książce przy pierwszym bezpośrednim zetknięciu czyni wrażenie stwierdzeń faktycznych, mniej więcej wiarogodnych. Trochę mniej „wiarogodnie“ przedstawia się natomiast sama wyznawcza pozycja autora, przekonywującego nas o tym, że jedyną bronią jego w walce z szczywanymi „oprycznikami“ z G.P.U. byłby niebywały spryt życiowy i zdolność orientacji (mam na myśli głównie ów wyjątkowy „kawał“, organizowania olimpiady w obozie koncentracyjnym). Przy głębszym wniknięciu raz ten nadmierny życiowy realizm publicysty i organizatora sportowego, — realizm raz po raz przybierający postać źle przysłanianego cynizmu. W rezultacie czytelnikowi — nawet uzbrojonemu w możliwość drugostronnych sprawdzeń — nasuwają się obiekcje także w stosunku do stwierdzeń faktycznych. Mogło być istotnie tak jak przedstawia Sołoniewicz, ale mogło być i inaczej. Obiekcje książka nasuwa nie dlatego, powtarzam, że jest za mało udokumentowana, ale dlatego, że autorowi nie udaje się mimo wszystko obudzić w czytelniku całkowitego zaufania przede wszystkim do siebie, jako świadka, *świadka w ścisłym słowa znaczeniu godnego wiary bez zastrzeżeń*.

To, czego tu dowodzę, stanie się bardziej jeszcze zrozumiałym, gdy tamtym poprzednim pozycjom przeciwstawię ostatnią z tłumaczonych w 1937 r. książek — *Zbiegowie z G. P. U. Tatiany Czernawinej*.

Jest to dosłownie pamiętnik zbiega, który korzysta z pierwszej okazji życia wolnego, by wolnemu światu okazać, czym może być udręka życia w Z.S.R.R. Czernawina omawia w gruncie rzeczy przeważnie te same fakty i przejawy terroru sowieckiego, co książki poprzednie. Co więcej, omawia je bez żadnej generalizującej tendencji, notatnikowo, ograniczając się wyłącznie do zakresu bezpośrednich przeżyć. Z pozoru jeden z wielu antysowieckich reportaży. A przecież powiem, że żadna z dotychczasowych publikacji nie wywołała we mnie tak głębokiego poruszenia moralnego. Istnieje jakaś tajemnicza siła sugestywna w tym prostym i ra-

czej cichym głose protestu jednej z legionu ofiar bolszewickich. Siła tak wielka, że jej przytłumić nie może cała dotychczasowa propaganda prosowiecka. Na czym się wspiera moc zniewalająca świadectwa autorki? Tym czymś, co dopełnia świadectwa faktyczne, co dodaje właśnie rezonansu tragicznego wypowiedzianemu dopiero przy końcu książki głosowi protestu — *jest maksymalnie rzetelna*, bo oczyszczona od nienawiści do prześladowców — postawa świadczącej autorki. Bohaterskim jest obiektywizm książki Czernawinej. Z głęboko religijnych złożyk płynąć też musi dziwnie spokojny, a przecież kategoriyczny osąd zła nieludzkiego terroru sowieckiego. I dopiero ten obiektywizm zmusza czytelnika do równie głębokiego postawienia i we własnym sumieniu spraw poruszonych przez autorkę. Niewspółmierną — powtarzam — moc *dowodową* ma głos Czernawinej w porównaniu z innymi świadectwami pamiętnikarskimi. Ale i to nie wyczerpuje jeszcze najgłębszego znaczenia książki. Pobudzone przez autorkę sumienie nie może ograniczyć się do reakcji tylko bezpośredniej — potępienia sowieckiego terroru. Myśl w ten sposób etycznie pobudzona idzie dalej i staje wobec całego zespołu tragicznego problemów, wysuwanych jeszcze przed rewolucją przez genialnego rodaka Czernawinej — Teodora Dostojewskiego w jego proroczej *Legendzie Wielkiego Inkwizytora*.

Pozostawałby do omówienia dział historycznych powieści czy reportaży. Jeżeli idzie o walory literackie, to bezsprzecznie na czoło trzeba będzie wysunąć powieść sowieckiego autora, P a w l e n k i, *Barykady*. Przypuszczam nawet, że ma ona prawo zająć jedno z naczelných miejsc w ubogiej literaturze sowieckiej tego historycznego typu. *Barykady* to powieść o paryskiej komunie 1871 r. Powieść — stwierdzić należy — programowa i tendencyjna. Pawlenko zakłada z góry pewną określoną (przez teoretyków bolszewickich szczegółowo opracowaną) polityczną koncepcję paryskiej komuny. Schematycznie rzecz biorąc koncepcja taka po pierwsze narzucałaby w rzeczywistości całkiem odmiennemu ruchowi francuskiemu jak najdalej posuniętą analogię z październikowym przewrotem bolszewickim, po drugie doszukiwałaby się w tymczasowych rządach „komuny“ precedensu realizacji tzw. dyktatury proletariatu, po trzecie ustalałaby jako jedyną przyczynę katastrofy 1871 r. niepowołanie uprzednie do życia zwartej i jednolitej partii politycznej à la leninowska. Z tego co tu powiedziane dowodnie zarazem wynika, że Komuna paryska musiała być dla ideowców bolszewickich czymś specjalnie

drogim, czymś bowiem, co w ich mniemaniu miałyby historycznie sankcjonować własny eksperyment rewolucyjny¹.

Literacką — że tak powiem — zasługą Pawlenki jest to, że przyjąwszy obowiązującą (leninowską) wersję historyczną — potrafił jej nadać charakter już subiektywnego założenia ściśle literackiej rekonstrukcji powieściowej, lub inaczej mówiąc, że przejąwszy się sam głębiej taką tezą — potrafił wcielić ją organicznie do swej... wizji literackiej. A stąd *Barykady* to normalna, epicka, zwarta w swej fabule powieść historyczna, o akcji żywej, której głównym bohaterem jest właśnie cały zespół postaci zarówno historycznych (odpowiednio stylizowanych), jak i zmyślnych. Przypuszczam, że momentem zabezpieczającym możliwość współdziałania twórczego w tym wypadku — był ów specyficzny pietyzm, żywiony przez autora dla przedstawianych postaci opisywanych wydarzeń, rozgrywających się na pozasowieckim terenie. Wiele z tego pietyzmu przedostało się i do skądinąd też świetnie zarysowanej postaci nas specjalnie obchodzącej, Jarosława Dąbrowskiego, ex-powstańca 1863 r. i ex-pośrednika między „czerwonymi“ a rosyjskimi kołami narodowolczeskimi.

Udatnym także literackim, a nawet ściśle rzecz biorąc powieściowym eksperymentem jest popularna trzypięciowa powieść o Napoleonie rosyjskiego historyka-marksyści Eugeniusza Tarlé².

W krótkiej przedmowie Tarlé stwierdza wyraźnie, że w swej rekonstrukcji napoleońskiej legendy i napoleońskiej rzeczywistości uwzględni stanowisko materialistyczno-dziejowe. Na szczęście — jak widać — nawet profesura bolszewicka nie wywołała zbytniej prymitywizacji dy-

¹ Nie tu jest miejsce na krytykę całej tej sztucznej wersji komentacyjnej. Wysznuje jeden z takich zasadniczych momentów rozbieżności 1870 i 1917 r. Tamci patriotyczni komunardowie wystąpili, by nie dopuścić do hańbiącego pokoju, by dalej prowadzić tragiczne zapasy z Niemcami — bolszewicy zaś dla zagarnięcia władzy dyktatorskiej rozpętali lub w najlepszym razie wykorzystali nastroje demobilizacyjne, a swoje „zwycięskie“ rządy rozpoczęli od zawarcia pokoju brzeskiego, pokoju za wszelką cenę.

² Tarlé Eugeniusz jest znanym jeszcze z czasów carskich historykiem rewolucyjnych ruchów rosyjskich i zagranicznych. Po przewrocie bolszewickim powołany został na katedrę historii i zaliczony w poczet akademików. W okresie stalinowskiej „rewolucji“ na froncie naukowym 1928-29 Tarlé wraz z grupą Akademików zostaje skazany za „naukowe szkodnictwo“ na pięć lat zesłania do obozu koncentracyjnego, z którego udaje mu się uciec zagranicę — porównaj T. Czernawina *Zbiegowie z G.P.U.* str. 122.

namicznie pojmowanego materializmu dziejowego, a co ważniejsze, — Tarlé dziwnie się też ustrzegł przed tak częstym u marksistów antypersonalizmem historycznym. O wszechstronności studiów świadczy załączona w książce bibliografia źródeł. Wszystko to by nie wystarczyło, bez literackiego talentu, czy zdolności literackich Tarlégo. Takie czy inne raczej komentacyjne partie, starające się oprzeć wyjaśnienie osobistych zamierzeń Napoleona, jak i skutków czynów tego Napoleona na teoretycznych założeniach markswowskich—trzeba to przyznać autorowi—w niczym nie zaciemniają właściwego wątku narracyjnego. Sama postać Napoleona zarysowana jest dość silnie. Tarlé potrafi odczuć osobowość genialnego wodza i męża stanu. Jego dość prawdopodobna, psychologiczna rekonstrukcja, zarówno pozbawiona jest naleciałości gloryfikacyjnych jak i parodystycznych.

RAFAŁ BLÜTH

LITERATURY SŁOWIAŃSKIE (PRÓCZ ROSYJSKIEJ)

Literatura czeska i słowacka

Branecky J. *Frater Johannes*, tł. J. Magiera. Biblioteka Słowacka, 1936.

Březina O. *Z poezyj*, tł. A. Madej. W-wa. Zet. 1936.

Čapek K. *Hordubal*, tł. Hulka-Laskowski. W-wa, wyd. 2. Feniks.

Čep J. *Droga na jutrznię*, tł. J. Kuglin. Poznań. 1936.

Hronsky J. C. *Gajdosz i jego koń*. W-wa. Biblioteka Słowiańska. 1936.

Literatura serbska i chorwacka

Andrić I. *Nowele*, tł. M. Znutowicz-Szczepańska. W-wa. B. Jugosłowiańska.

Sremac St. *Pop Cyryl i pop Spirydion*, tł. M. Kulenović, tamże, 1936.

Vojnović I. *Stare grzechy*, tł. M. Znutowicz-Szczepańska, W-wa, tamże, 1936.

Literatura łużycka

Skala J. i Nowak M. *Nowele łużyckie*, opr. J. Gołąbek. W-wa. B. Słowiańska. 1936.

Literatura ukraińska

Małaniuk E. *Hellada stepowa*, tł. Cz. Jastrzębiec-Kozłowski. W-wa. B. Zet. 1936.
 Łepki B. *Motria*, tł. M. Lazar-Bieńkowska. W-wa. Rój.

Szewczenko T. *Poezje*, pod red. P. Zajcewa. W-wa. Ukr. Inst. Nauk. 1936.
 Szewczenko T. *Perekłady poezij na polsku* mowu za red. B. Łepkoho. W-wa. Ukr. Inst. Nauk. 1936.

SKROMNA TA BIBLIOGRAFIA ILUSTRUJĄCA NASZE przekłady z pięciu samodzielnych literatur słowiańskich za okres dwuletni świadczy, że polskie zainteresowania w tym kierunku były i w czasach ostatnich nikłe, niewspółmiernie małe tak w stosunku do rozwoju tych literatur, jak i do ilości tłumaczeń z innych piśmiennictw. Do dziś bowiem nie przestało wisieć nad naszym stosunkiem do kultury duchowej Słowian jakieś groźne i niezrozumiałe fatum. Ciągłe jeszcze traktujemy ją — w najlepszym razie — z pobłażaniem, z pretensjonalnością starszego i mocniejszego sąsiada, jeśli wprost nie z nieufnością, dyktowaną zarówno względami formalnymi, jak i ideologicznymi. Parę z przytoczonych pozycji stanowi zaledwie kilkudziesięciostronicowe broszurki. Większość z nich wreszcie wydały specjalne towarzystwa i instytucje stawiające sobie za cel propagandę kulturalną pewnych narodów. Zakres czytelników wydanych w ten sposób publikacyj jest z natury rzeczy ograniczony. Nie ujmując zasług odnośnym instytucjom, ani słów uznania za ich pracę, wyznać trzeba, że ich wydawnictwa noszą pewne znamię oficjalności, posmak propagandy, od której normalny czytelnik stroni. Uzależnione są one poza tym od chwilowej koniunktury politycznej lub czasowych sympatyj narodowościowych. Te ostatnie, jak wykazuje doświadczenie, są dosyć iluzoryczne i nie zawsze owocne. Jako przykład niech posłuży fakt, że jakkolwiek dwa minione lata stały pod znakiem wybitnej sympatii ku narodowi bułgarskiemu, nie widzimy w przytoczonej bibliografii ani jednej pozycji bułgarskiej, mimo, że literatura tego narodu jest wysoce znamienna, ciekawa, odsłaniająca do głębi duszę środowiska, i że jest na naszym terenie prawie całkowicie nieznana. Z góry ustalone drogi propagandy nie zawsze też korzystnie wpływają na dobór tłumaczonych utworów. Czynniki artystyczne nie koniecznie odgrywa tu rolę decydującą. Skutki tej tendencji dały się odczuć w pewnym stopniu i na tle przekładów, stanowiących temat niniejszego szkicu.

Tak więc chyba nieporozumieniem, lub jedynie gloryfikacją narodu słowackiego można wytłumaczyć przełożenie na język polski powieści historycznej ks. Józefa Braneckiego, współczesnego pisarza katolickiego Słowaczyny, pt. *Frater Johannes*. Jest to utwór na miarę słabszych moralizatorskich opowieści dla młodzieży. Osnowa jego nikła, najściślej lokalna, inspirowana wąsko-patriotycznym sentymentem. Ale tłumaczenie jej na język polski — i to w reprezentacyjnej „Bibliotece Słowackiej“ — wyrządza tejże literaturze szkodę niepowetowaną. Wystawia jej niewłaściwe, bo zbyt niskie świadectwo. Historia Mustafy Kuczuka, tureckiego janczara-czorbadży, który na ziemi rodzinnej przypominał sobie swoje słowackie pochodzenie, zdradził sułtana, walczył z nim, stracił w tej walce narzeczoną i skończył jako frater Johannes — ma wszelkie zadatki na powieść o zacięciu wprost klasycznym. Niestety, temat w ręku moralisty młodzieżowego i „narodowego wychowawcy“ rozplynął się, nie osiągając nawet przeciętnego poziomu popularno-sentymentalnego. Szkoda formy zewnętrznej książki, ilustrowanej przez Andrzeja Kovačika i przełożonej sumiennie przez Jana Magierę.

Właściwe oblicze nowej literatury słowackiej odsłania natomiast przekład doskonałej noweli Józefa Cigera Hronskiego pt. *Gajdosz i jego koń*. Szkoda, że wydawca tego utworu wydzielił go z całego zbioru (*Podpolańskie nowele*), którego przyswojenie polskiemu światu czytelniczemu przyniosłoby podwójną korzyść: dałoby pojęcie o współczesnych kierunkach literackich na Słowaczynie, reprezentowanych w tym wypadku przez najwybitniejszego chyba jej współczesnego nowelistę i epika wsi, — oraz dla względów etnograficznych, ludoznawczych. Nowele Hronskiego stanowią arcywierne obrazki wsi ruskiej po tamtej stronie Karpat, wsi częstokroć nam bliskiej. Taką twardą, podhalańską naturę nosi też bohater przetłumaczonej noweli, Gajdosz. Wraca z wojny, która złamała go na duszy i ciele, zrujnowała doszczętnie szczęście osobiste. Zastaje w domu stroniące dziecko, wspomnienie własnego okrucieństwa, którym ongiś zabił żonę, pustkę, wiejącą z każdego kąta i złość. Zamarłą duszę obudza dopiero kobiecina, nosząca w sobie nieskalane człowieczeństwo. Ona też nadaje książeczce wyższy ton, tak jak symbolem koszmarnego okrucieństwa wojny jest uprowadzone z pól walki, suche, szczyrzące zęby konisko.

Literatura czeska, pozostawiona wydawcom i tłumaczom prywatnym, zaznaczyła się w naszej literaturze przekładowej w latach sprawozdaw-

czych dwiema ważniejszymi pozycjami: tomikiem tłumaczeń poezyj Otokara Březiny i drugim wydaniem powieści Karola Čapka *Hordubal*. Otokar Březina (1868—1929) pociąga ku sobie pióra naszych poetów już równo lat czterdzieści. Sporo jego wierszy rozsieli w *Chimerze*, *Życiu*, *Tygodniku Ilustrowanym* Zenon Przesmycki i Maciej Szukiewicz. Były to tłumaczenia o wybitnych walorach poetyckich. Nie w mniejszym stopniu wartości te cechują tomik Antoniego Madeja. W skład jego wchodzi 23 utworów, bardzo umiejętnie dobranych, odzwierciedlających całą głębię Březinowej symboliki i mistyki.

Powieści Karola Čapka cieszą się w Polsce specjalną poczytnością, skoro w dwa lata po ogłoszeniu *Hordubala* wydano go po raz wtóry. Na tę reedycję zasłużyła zresztą znakomita powieść czeskiego pisarza w pełni, tyle w niej rozmachu, tyle głębi psychologicznej, tak głęboka zaduma nad niedolą i chaosem współczesności. Jest to mistrzowski przykład literatury chłopskiej, w której życie ujęto nie okiem postronnego obserwatora i sprawozdawcy, ale od wewnątrz, od duszy wsi, z jej całym prymitywizmem i rozbijającą szczerością. Dialogi bohatera powieści z samym sobą to arcydzieła psychologizmu literackiego, nadające się do analizy nie tylko krytyczno-literackiej. Rdzeń filozoficzny opłaca w książce sówicie szablonowość tematu, a głębia myślowa waziutki nurt fabuły.

W znacznie lepszym położeniu od czeskiej i słowackiej znalazły się w Polsce literatury jugosłowiańskie. Ich bowiem popularyzacji służy już od lat siedmiu Biblioteka Jugosłowiańska, redagowana niestrudzenie i fachowo przez prof. Juliusza Benešića. Trzy tomy tej Biblioteki, wydane w dwu minionych latach, to jakby trzy studia z psychologii Bałkanu, rozmieszczone w trzech różnych i przeciwległych punktach współczesnej Jugosławii: w części północnej, tj. w Banacie, w środkowej, bośniackiej, i południowej, dalmatyńskiej. Ta geografia przełożonych prac nie może być dla krytyka obojętna. Każda z tych trzech literatur bowiem, jak chyba żadna ze słowiańskich, posiada koloryt nawskroś lokalny, swoisty, o olbrzymim znaczeniu socjologicznym. Jak żadna bowiem wyraża duszę środowiska, w jakim powstała, lub z jakiego wyszedł autor. W tym ich znaczenie i charakter. Na tym też opiera się wartość omawianych tłumaczeń.

Pierwsza z przełożonych książek, *Pop Cyryl i pop Spirydion* — to powieść humorystyczna z życia serbskiego na rozległych, żyznych i bogatych równinach Banatu. Książka wymaga dla polskiego czytelnika odpowiedniego klucza, wprowadzającego na arenę serbskiego życia narodowego

w latach przedwojennych. Kluczem takim jest wstęp do powieści napisany przez chorwackiego krytyka A. G. Matosa, niestety, jeszcze w r. 1906. Dane o serbskim radykalizmie, socjaliźmie, o narodowym konserwatyzmie, a wreszcie poglądy na autora powieści, Stevana Sremca (1855—1906), są dzisiaj anachronizmami. Nie mniej uprzystępniają Polakowi ów świat dwóch sytych, zadowolonych, beztroskich popów na głębokiej, banackiej prowincji, otoczonych szczęśliwymi ludźmi, których troski i cierpienia dają się nagiąć bez trudu do parodii i humoru. Humor ten przelewa się poza ramy powieści, jest bezbolesny, stroniący od satyry, stanowi jakby uświęcenie spokoju i małostkowości. Z idealną też dokładnością wyraża spokój i dobrobyt środowiska, objętego akcją. Ten dokumentaryzm książki Sremca przedstawia dla nas największą wartość i pokrywa jej znaczne niedobory artystyczne. Jest ich sporo. Ubogi wątek powieściowy, mało dynamiczna kompozycja, prymitywizm środków humorystycznych — to najważniejsze. Powieść, wydana przed czterdziestu laty (1898) nie rościła sobie zresztą nigdy pretensyj do reprezentowania literatury serbskiej. Jest w Jugosławii książką uprzywilejowaną, jedną z najbardziej poczytnych. Przekład na język polski dokonany przez Muhameda Kulenovića jest poprawny, jakkolwiek zbyt rygorystyczny. Pozostawienie pewnych właściwości werbalnych humoru Sremca opłaciłoby się nawet kosztem ewentualnych notek lub słowniczka na końcu książki.

Serce Jugosławii, Bośnię, poznajemy z przekładu tomu nowel jednego z największych współczesnych prozaików jugosłowiańskich, I v o A n d r i ě a (ur. 1892). Osiem nowel, wchodzących w skład książki, to jakby szkice do przyszłej epopei bośniackiej z czasów tureckiej niewoli. Właściwie nie są to nowele, lecz specyficzny serbski rodzaj literacki, t. zw. „pripovetka“, z pogranicza noweli i opowiadania. Najlepszy ze zbioru jest utwór pierwszy, pt. *Wędrówki Ali Dzierdzieleza*. Łączą się tu ze sobą harmonijnie elementy ludowe serbskiej kultury literackiej i artyzm światowy. Ludowym jest sam temat. Nowela opiewa dzieje pewnego bohatera muzułmańskiej Bośni, znanego dobrze miejscowej pieśni ludowej. Przeróbka tematu poszła jednak drogami własnymi. Z bohatera stał się tu Ali Dzierdzielez, jak słusznie zauważył autor wstępu do książki, prof. N. Mirković — tragicznym Don Kiszotem. Ten cervantesowski element zaznacza się w nowelach Andrića wogóle mocno. Świadczy też o doskonałym jego panowaniu nad postaciami utworów, na terenie literatur południowio - słowiańskich dość rzadkim. Następne nowele Andrića przed-

stawiają już nie świat muzułmański, lecz katolicki i prawosławny, ich wspólną martyrologię w jarzmie tureckim i austriackim. Jedynie *Most na Żepie* jest jakby odgrzebaną starą legendą o mistrzu Włochu, który ponad jarem odległej i opuszczonej Bośni przerzucił most, jaśniejący tam do dziś bielą kamienia w słońcu i księżycu i przeprawiający przez siebie ludzi i zwierzęta.

Epopėja słonecznej Dalmacji, *Stare grzechy* Ivo Vojnovića, zamyka obraz literackiej Jugosławii w polskim zwierciadle. Autor książki (1857—1929) jest u nas dobrze i od dawna znany. Jego dramaty pojawiają się tu i ówdzie na scenach polskich już od r. 1910. Mamy też dobre przekłady tych jego utworów. Znany polski sławista, Józef Gołąbek, poświęcił mu również obszerną monografię. Samego autora łączyły z licznymi Polakami więzy szczerzej przyjaźni. Gdy jednak żyliśmy dotychczas wyłącznie sceną autora *Trylogii dubrownickiej*, jego twórczość prozaiczna była nam obca. *Opowiadanie z Lapadu* nie jest jego najlepszą nowelą, ale za to doskonale odtwarza charakter lokalny Dalmacji, jej życie, ludzi, ich konflikty, całą wreszcie wspaniałość morza, z jego spokojnym błękitem i hukiem fal. Miejscami przypomina ona najlepsze momenty morskich powieści Conrada. Książka, jak wszystkie wydawnictwa Biblioteki Jugosłowiańskiej, została poprzedzona studium o autorze, pióra Józefa Gołąbka. Przekładu dokonała ze wszelch miar poprawnie Maria Znatowicz-Szczepańska.

Redakcja Biblioteki Słowiańskiej wydawanej przez Związek Słowiański w Warszawie ogłosiła oprócz omówionego tomiku Hronskiego również broszurkę z dwiema nowelkami łużyckimi (seria II, nr. 2): *Jana Skali* *Stary Szymko* i *Marcina Nowaka* - *Njechorńskiego* *Diabeł w borze*. Utworów tych nie można oceniać miarą literacką. Są to raczej szkice publicystyczne, niż dziełka sztuki. Pierwszy opisuje upadek pewnej polaci ziemi łużyckiej, na której opasa się kapitał niemiecki, dobywający z jej głębi węgiel, zaś drugi jest symbolicznym opowiadaniem o walce żywiołu łużyckiego z germańskim w imię własnych praw narodowościowych. Jakkolwiek mała jest ich wartość literacka, zanotować je trzeba z radością. Doczekaliśmy się bowiem w ostatnich miesiącach wyczerpującej historii literatury łużyckiej, pióra J. Gołąbka, a dotychczasowe nasze przekłady z tej dziedziny są bardzo nieliczne.

Ze wszystkich literatur słowiańskich, oprócz rosyjskiej, największym powodzeniem przekładowym cieszyła się w latach sprawozdawczych lite-

ratura ukraińska. Wpłynęła na to niewątpliwie jej już wyrobiona forma, jak również wzrastające ustawicznie zainteresowanie tzw. problemem ukraińskim. Gdy jednak z literatury czeskiej, słowackiej, jugosłowiańskiej, czy łużyckiej tłumaczono przeważnie powieść lub nowelę, to z terenu ukraińskiego przyswajano nam przede wszystkim poezję. Tomik wierszy Małaniuka i dwa pokaźne, monumentalne nawet zbiory tłumaczeń utworów Tarasa Szewczenki zapiszą się w naszej literaturze przekładowej trwale i znacząco. One też stanowią najpokaźniejszy nasz dorobek przekładowy ze słowiańskiej niwy.

Hellada stepowa Eugeniusza Małaniuka (nr. 1897) w udatnym przekładzie Czesława Jastrzębca-Kozłowskiego obejmuje ośm jego bodaj najpiękniejszych wierszy, wyjętych z czterech rozmaitych zbiorów z lat 1925 — 1934. Ich treść i forma jest wysoce dla współczesnej poezji ukraińskiej znamienna. Wyrosła ona, jak to określił ukraiński krytyk, E. J. Peleński, z emigracji zagłębianej w tragicznej zadumie nad niedawnymi zmaganiem. Obok dynamizmu, właściwego duchowi czasu, przewijają się w niej nuty i koncepcje historyczne. Motywy te stanowią w niej przedmiot dociekań i analizy. Nad wierszami zawisł „historyczny fakt, który rzucił Ukrainę, tę zakochaną w pięknie Helladę stepową, na szlaki azjatyckich hord“. W tej „tragicznej koncepcji życia“ wyczuwa się potężna tęsknota za siłą, za „Rzymem, co się rodzi“.

Z ukraińskiej prozy współczesnej wydał „Rój“ przekład powieści największego współczesnego pisarza ukraińskiego, Bohdana Łepkiego, pt. *Motria* (Trylogii „Mazepa“ część pierwsza i druga). Książka ta jest jeszcze jednym dowodem powszechnego dziś nawrotu do powieści historycznej. Co więcej, Trylogia Łepkiego wydana w latach 1926 — 1929, wyprzedziła poniekąd to ożywienie. Jej bohaterem jest jedna z najproduktywniejszych postaci w literaturach światowych, ataman Ukrainy, Iwan Mazepa. Bohdan Łepki kontynuuje szeroko już opracowany temat. Krytyka ukraińska ocenia jego dzieło przede wszystkim utylitarnie: po klęsce narodowej miało ono pokrzepić serca, dać wzory patriotyzmu, poświęcenia i bohaterstwa (Michał Rudnicki). Z tego punktu widzenia patrząc na przełożoną *Motrię* nie możemy się dziwić, że Mazepa nie występuje tu w swojej prawdziwej postaci historycznej, jako indywidualność, wkłajająca się w sprzecznościach, postać nawskroś tajemnicza, demoniczna, niezrozumiała, — ale jako zrównoważony władarz, o szerokim, państwowotwórczym rozmachu, umysł jasny, konstruktyw-

ny, przejęty głęboką ideą. Przekład tej książki, tłumaczonej już na język czeski, a w wyjątkach także na rosyjski i angielski, daje nam nie tylko literackie emocje. Pozwala również wejrzeć w sferę ideologiczną społeczeństwa ukraińskiego, reprezentowaną w tym wypadku przez autora o głębokim rozumie i umiarze, przez szczytową bodaj jednostkę dzisiejszego ukraińskiego umysłowego życia. Czytelnika polskiego uderzy w tej książce śmiała odpowiedź na *Trylogię* sienkiewiczowską, tak bardzo dla świata ukraińskiego cierpką, chęć narzucenia swemu społeczeństwu książki równie łatwej i przystępnej, równie budującej jej narodowość przez uświadamianie wzniosłej i bogatej przeszłości historycznej. Tłumaczka powieści *Łepkiego*, p. Maria Lazar-Bieńkowska, doświadczyła zapewne wielu nieprzewidzianych trudności przekładu z ukraińskiego, łudzącego tylko podobieństwem i pozorną łatwością. Z trudnego zadania wywiązała się całkowicie.

Siedemdziesięciopięciolecie śmierci *T a r a s a S z e w c z e n k i* (1814 — 1861) przyniosło nam tom jego poezyj w przekładzie trzynastu przeważnie współczesnych naszych poetów i tłumaczy nowszej generacji, zredagowany przez znanego ukraińskiego szewczenkologa, Pawła Zajcewa. Do grona autorów tłumaczeń weszła Maria Bieńkowska, Konstanty Dumaiński, Tadeusz Hollender, Jarosław Iwaszkiewicz, Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, Bohdan Łepki, Józef Łobodowski, Włodzimierz Słobodnik, Kazimierz Wierzyński. Z tłumaczy dawniejszych wzięto tylko A. J. Gorzałczyńskiego, L. Sowińskiego, Z. Wojnarowską i B. Żyranika. Jest to bodaj ósmy już w literaturze polskiej tom szewczenkowskich przekładów, bezsprzecznie najlepszy, tak pod względem doboru utworów, jak i samych tłumaczeń. Weszły tu wyjątki z *Kobzarza*, bogaty wybór poezji młodzieńczych, wyjątki z cyklu *W kazamatach*, poezje z czasu niewoli i końcowego okresu życia. Uzupełniają je komentarze i przypisy, studium o polskich przekładach Szewczenki, uwagi bibliograficzne, skorowidze oraz szereg portretów. Zestawienie przekładów z oryginałem z jednej strony, i z tłumaczeniami dawniejszymi (choćaby z *Kobzarzem* Syromli, 1862, lub z *Wierszami wybranymi* Twerdochliba, 1913) z drugiej, wykazuje duży postęp naszej techniki przekładowej z ukraińskiego. Całe bogactwo polskiego wiersza, zdobyte w ostatnich latach, oddało tu swoje ogromne usługi. Tłumaczenia te niewątpliwie uprzystępniają piękno utworów wieszczki Ukrainy.

Wszystkie przekłady stanowiące ten polski tom Szewczenki weszły

w całości do tomu XIV ukraińskiego pełnego wydania jego dzieł, zredagowanego przez Bohdana Łepkiego. Dwa tomy monumentalnego wydawnictwa Ukraińskiego Instytutu w Warszawie poświęcono przekładowi Szewczenki na języki obce. Jeden z nich stanowi właśnie przekłady polskie.

Na dwanaście omówionych tu pozycji z naszego dorobku tłumaczeniowego z literatur słowiańskich w dwu ubiegłych latach pięć należy do literatury dawniejszej, przebrzmiałej, niejako zabytkowej. Po odrzuceniu z siedmiu pozostałych powieści Braneckiego i drugiego wydania *Hordubala* pozostaje zaledwie *Motria* Łepkiego, dwa skromne tomiki nowel Biblioteki Słowiańskiej, tomik wierszy Małaniuka i nowele Ivo Andrića. Dają one zaledwie fragmentaryczne wejście we współczesną literaturę ukraińską, słowacką, łużycką, serbską i chorwacką. Odblasków współczesnej kultury literackiej Czech i Bułgarii nie mamy żadnych. Stan ten jest jaskrawym dowodem naszego braku łączności kulturalnej z narodami słowiańskimi, naszego w tym względzie ubóstwa i niezrozumiałej obojętności.

MARIAN JAKÓBIEC

LITERATURY SKANDYNAWSKIE

LITERATURA DUŃSKA

Andersen Nexö M. *Pelle Zwycięzca*, tł.
Józef Mondschein. W-wa. Płomień.

Michaelis K. *Serce mojej matki*, tł. Zofia
Gulińska. W-wa. Nowe Wydawnictwo.

ROK 1937 WZBOGACIŁ PIŚMIENNICTWO POLSKIE O DWA przekłady z literatury duńskiej.

Pierwszą pozycją jest *Pelle Zwycięzca* Martina Andersena Nexö. Książka ta stanowi część trytomowego cyklu z życia robotniczego, który uchodzi powszechnie za najlepszy z utworów Andersena Nexö.

(Rzecz dzieje się w drugiej połowie XIX stulecia. Z grupą szwedzkich robotników rolnych przybywa w poszukiwaniu pracy na Bornholm bo-

hater powieści, Pelle,¹ jako siedmioletni chłopiec wraz ze staruszką ojcem. Ojciec zostaje pacholkiem stajennym na ponurej sławy „Kamiennym Dworze“, gdzie Pelle znajduje również zatrudnienie jako pastuch. Tu przez szereg lat toczy się ich życie wśród drobnych trosk i radości, tu staje Pelle po raz pierwszy oko w oko ze światem, stara się go zrozumieć, przypisać odpowiednie znaczenie swym spostrzeżeniom i przeżyciom, nauczyć się działać w ten sposób, by uchronić się od wydarzeń przykrych, a spowodować przyjemne.

Opis życia na „Kamiennym Dworze“ uderza brutalnym realizmem przechodzącym nierzadko w „nienaturalny naturalizm“ w stylu Zoli, który dzięki językowej nieudolności przekładu staje się nieraz nieprzyjemny. Piękną nicią przewija się przez opowiadanie stosunek między ojcem a synem. Rozwój duchowy chłopca przedstawiony jest z wielką wnikliwością psychologiczną. Powoli Pelle wyzwala się z wrogiego chaosu zjawisk, nabiera ufności we własne siły w walce o lepszy byt, i w końcu za jego sprawą urzeczywistnia się marzenie ojca — opuszczają oni otoczony złym urokiem „Kamienny Dwór“. Pelle wyrusza na podbój świata.

Dalszy pochód zwycięzcy będziemy śledzić w następnych dwóch tomach.

Tłumaczenie roi się od błędów językowych i zdradza niedostateczne opanowanie języka polskiego przez tłumacza. Dziwić się należy, dlaczego chwycił się tak niewdzięcznego a trudnego rzemiosła, które wymaga gruntownego przyswojenia sobie aż dwóch języków. W każdym razie powinien by zapoznać się lepiej z gramatyką polską, a jeżeli przychodzi mu to z trudnością, przynajmniej dawać komuś swe przekłady do poprawienia.

Drugą pozycją jest *Serce mojej matki* Karin Michaelis.

Jest to portret 80-letniej staruszki, matki autorki, portret psychologicznie bardzo dobry i ciekawy: staruszka ze swoją żywą reakcją na wszystkie sprawy codzienne, energią, naiwną przebiegłością jest miła, nieraz rozrzucająca, zabawna, głęboko ludzka i prawdziwa. Lecz starczya ucieczka myśli, rozwijająca się w nieprzerwanym niemal monologu, gubienie się we wspomnieniach, przeskakiwanie od spraw tragicznych do błahostek, oddane z fotograficzną niemal dokładnością i przeświecone uczuciem miłości córki do matki, są mimo wszystko à la longue nużące. Portret jest statyczny, brak wszelkiej istotnej akcji,

pojawia się ona dopiero pod koniec, gdy staruszka dowiaduje się nagle o tym, że zatajono przed nią prawdę o śmierci jej ukochanej córki Harriety, która popełniła samobójstwo. Wykrywa wreszcie tajemnicę i odchodzi ze świata z urazą.

Ze stronnicy książki tchnie żal serdeczny, wieczna gorycz współczucia do wszystkiego, co słabe. Sięga ona do głębokich pokładów życia uczuciowego, jest jednak zbyt rozwlekła: temat nadaje się o wiele lepiej na nowelę niż na powieść. Pokutuje tu skłonność wypisywania się z własnych przeżyć, ustawicznego przetwarzania życia na literaturę. Niemalą winę ponosi także i mało usprawiedliwiony nałóg uważania każdego wydarzenia z życia pisarza za rzecz niezmierniej wagi, nałóg wyhodowany troskliwie przez pseudonaukowców, ubiegających się o tytuły magistrów i doktorów literatury.

Przekład Zofii Gulińskiej jest na ogół dobry.

*

LITERATURA NORWESKA

Undset S. *Olaf Syn Auduna*, tł. Wanda Kragen. W-wa. Rój. — *Jenny*, tł. Zbigniew Grabowski. II. wyd. W-wa. Rój.

OLAF SYN AUDUNA JEST PONIEKĄD ECHEM KRYSTYNY Córki Lawransa: odtwarza te same mniej więcej czasy, to samo środowisko, i przyświeca mu ta sama myśl przewodnia. Lecz rozważane osobno, posiada to dzieło niewątpliwie samodzielną wartość.

Jest to saga dostojna, surowa i prosta o życiu Olafa Syna Auduna, bogatego syna chłopskiego, który po śmierci ojca wychowuje się na dworze swego krewnego Steinfinna.

Z córką Steinfinna, Inguną, zaręczyli go rodzice jako małe dziecko, i odtąd żyją Olaf i pięknooka Inguna obok siebie z tą myślą, że zostaną kiedyś mężem i żoną. Łączy ich wielka przyjaźń, która z czasem, gdy dojrzewają, przeradza się w namiętną miłość. Upojeni pożądaniem, zapominają się pewnej nocy i Inguna oddaje się Olafowi. Grzech ten staje się pierwszym zarodkiem tragicznych komplikacji, które mają niebawem zakłócić dziecięcą beztroskę ich życia. Trawiona zgryzotą z powodu doznanej od jej pierwszego narzeczonego hańby, umiera niebawem matka Inguny, a Steinfin, ranny w najeździe na jego dwór, dostaje zakażenia krwi i odchodzi za żoną. Gdy leży w gorączce przedśmiertnej, stara się Olaf uzyskać od niego potwier-

dzenie, że dostanie Ingunę za żonę. Ale Steinfina daje odpowiedź wymijającą, przekazując tę sprawę do ostatecznego załatwienia wujowi Inguny, Kolbejnowi.

Kolbejn jednak wzbrania się wydać Ingunę za Olafa. Zrozpaczony Olaf, idąc za radą swego przyjaciela i krewnego Inguny, Arnwida Syna Fina, któremu wyjawiał był swą tajemnicę, oddaje się wraz z młodą swą narzeczoną pod opiekę biskupią. Biskupowi przedstawia sprawę tak, jak to uczynił i wobec Arnwida, że popełnili oni ten grzech dlatego, że chcieli połączyć się ze sobą na zawsze, tak, by ich już nikt nie mógł rozłączyć. Biskup przyrzeka poparcie i przeprowadza rozmowy z Kolbejmem i krewnymi Inguny. Ale tymczasem wydarza się nieszczęście. Podczas sprzeczki, która wynika w poczekalni klasztornej, zabija Olaf Einara, Syna Kolbejna i musi uciekać do Szwecji jako banita.

Pozostała w kraju Inguna przez długi czas dochowuje mu wierności. W końcu Olaf przy poparciu możnego jarla, w którego służbie przebywa, uzyskuje list żelazny i może powrócić do Norwegii. Nawet krewni Inguny przychylają się teraz do ich małżeństwa, lecz Olaf zwleka. Wtedy jarl skutkiem zmiany na tronie musi uchodzić, a Olaf pozostaje mu wierny. Gdy Olaf znów przebywa na wygnaniu, Inguna ulega pokusie i zdradza go z Islandczykiem, pisarzem klasztornym, Teitem. Zdrady swej nie może ukryć, albowiem rodzi syna. Spada na nią wielka hańba. Lecz Olaf po pierwszym gniewie, wybaczając jej i przyjmuje ją za żonę. Razem osiadają na jego dziedzicznym dworze Hestwiken.

Tymczasem jednak Olaf zabija Teita i zataja morderstwo ze względu na dobre imię żony. Jako ekspiację uznaje bękartą za swego syna i postanawia wychowywać u siebie. Nie wiedzie się wszakże młodym gospodarzom. Z jednej strony zdrada Inguny, z drugiej zatajone morderstwo wżerają się w ich życie. Inguna podupada coraz bardziej na zdrowiu, a dzieci jej rodzą się martwe lub umierają wkrótce po przyjściu na świat.

Ostatecznie wydaje ona zdrową córkę. Ale zdrada Olafa z szafarką, która prowadzi gospodarstwo podczas choroby żony, nowe powikłanie, a i stosunki między Olafa i małym Audunem nie układają się najlepiej. Niebawem Inguna umiera wyczerpana nieuleczalną niemocą.

Na tym kończy się pierwsza część opowieści, ujęta w dwa tomy pod wspólnym tytułem Olaf Syn Auduna na Hestwiken. Dalsze dwa tomy Olaf Syn Auduna i Jego Dzieci mają ukazać się w roku przyszłym.

Wspaniałe odtworzenie epoki i środowiska, wielka potęga i równoczesna odległość, obojętność niejako, przeżyć i namiętności nadają utworowi głęboki, swoisty czar. Życie ludzkie widziane pod kątem grzechu i pokuty, oraz stosunku człowieka do Boga ma w Olafie Synu Auduna mistyczny sens, który pogłębia jego tragizm, ale zarazem odbiera mu beznadziejność przypadkowego stawiania się. Tok zdarzeń cechuje naturalność i prostota, a tkwią one korzeniami w rzeczach wiecznych i ludzkich.

Przekład Wandy Kragen, która operuje dla lepszego uplastycznienia opowiadania i bliższego odtworzenia stylu autorki archaizacją i czerpie z gwary góralskiej, pomimo drobnych usterek, sprawia dodatnie wrażenie.

W roku 1937 doczekała się największa z powieści pierwszego okresu twórczości Undset, *Jenny* drugiego wydania polskiego. Tłumaczenie Zbigniewa Grabowskiego jest dobre; płynny styl nie posiada charakterystycznej chropowatości wielu przekładów, niekorzystnie natomiast odbija się na nim, że przekład pochodzi z drugiej ręki, przez co zatracą się swoista rytmika norweszczyzny, a to nieco zmienia nastrój.

*

LITERATURA SZWEDZKA

Stiernstedt M. *Jej Matka*, tł. R. Centnerszwerowa. W-wa. Płomień.

MARIKA STIERNSTEDT JEST BARDZO PŁODNĄ PISARKĄ psychologiczną, która znajduje się w ciągłej pogoni za problemami — bo gdyby nie było problemu, to nie byłoby i książki.

Jej Matka osnuta jest na problemie matki, która porzuca swe nieślubne dziecko. Zrazu żal do niewiernego kochanka i silny wstrząs zawodu miłosnego czynią ją nieczułą na wyrzuty macierzyńskiego sumienia. Nie interesuje się zupełnie losem oddanej „na garnuszek“ córeczki. Zostaje sufrażystką, a zamknięta w sobie, poważna i ponura, prowadzi bardzo czynne i uspołecznione, acz samotne, życie. Lecz utajone poczucie zbrodni dokonanej na własnym dziecku i poczucie, że jej życie uczuciowe zostało zmarnowane, przeradza się z czasem w bolesny kompleks. Staje się drażliwą starą panną i coraz dotkliwiej odczuwa samotność. Stara się zaradzić temu na drodze przyjaźni, ale bez powodzenia.

Pewnego razu spotyka panna Liw (matka) w parku dziewczynkę, która jest mniej więcej w wieku jej córki. Ogarnia ją uczucie wielkiej czułości dla tego dziecka i pod wpływem tego przeżycia postanawia wreszcie zdobyć się na stanowczy krok i odszukać córkę. To udaje się jej stosunkowo łatwo i okazuje się, że ta dziewczynka jest właśnie jej córką, którą odebrała od nędznej starej baby, gdzie miała się wychowywać, rodzina dyrygenta opery. Tam wyrosła ona wśród gromadki dzieci, otoczona serdecznością i miłością.

Rodzina dyrygenta znajduje się w ciężkiej sytuacji finansowej i ten wzgląd zmusza ostatecznie niechętną Matę do przyjęcia propozycji panny Liw, by zamieszkała razem z nią i wychowywała się na jej koszt. Panna Liw nie wyjawia, że jest jej matką, choć powstaje odrazu takie podejrzenie. Ale współżycie matki z córką nie układa się dobrze. Panna Liw jest zbyt skryta i apodyktyczna, by móc otworzyć dla siebie młode serce. W końcu Mata ucieka do domu „prawdziwych rodziców“, a panna Liw godzi się, że córka pozostanie z nimi. Ostatnim akordem, który zrywa boleśnie napięte struny uczuć, jest śmierć panny Liw.

Książce nie brak wnikliwości i subtelności psychologicznej, choć nie zawsze jest dostatecznie przekonująca. Temat jest przykładem często występującego w nowszej literaturze szwedzkiej na różne sposoby zatargu między zbyt unormowanym, zmechanizowanym życiem a potrzebą ciepła uczuciowego.

Tłumaczenie nie zaleca się poprawnością. Nie zdarzają się wprawdzie tłumacze rażące błędy językowe, lecz styl polski jest ciężki, obcy i niezgrabny. Zdania przetaczają się jak wielkie kanciaste kamienie.

Znajomość szwedzkiego jest też wyraźnie niedostateczna. Nie ma bowiem w Szwecji miejscowości Skargarden, a skärgård, to tylko wysepki przybrzeżne. Zresztą, duże S każe się tu domyślać, że przekładu dokonało z niemieckiego, nie zaś bezpośrednio z oryginału.

WŁODZIMIERZ A. FIRSOFF

LITERATURA WĘGIERSKA

Földes J. *Ulica Kota rybołówcy*, tł. R. Sillei. Lwów-Warszawa. Książn.-Atlas.

Körmendi F. *Szczęśliwe pokolenie*. W-wa. St. Cukrowski.

NA MIĘDZYNARODOWYM KONKURSIE LITERACKIM w Londynie powieść węgierska otrzymała znowu pierwszą nagrodę. Po *Przygodzie w Budapeszcie* Körmendiego — *Ulica Kota rybołówcy*, debiut powieściowy młodej autorki Jolán Földes.

Trzon tej powieści stanowią przeżycia rodziny węgierskiej Barabaszów, która w poszukiwaniu pracy przybyła do Paryża z kraju dotkniętego klęską wielkiej wojny i rządów komunistycznych Beli Kuna. Zamieszkuje ona mały hotel przy ulicy Kota-rybołówcy, koło Sekwany. W tym właśnie prymitywnym hotelu oraz w najbliższym sąsiedztwie mieści się grupa emigrantów politycznych różnych narodowości, istna wieża Babel. Znajdują się wśród nich Rosjanie, Niemcy, Włosi, Węgrzy, Hiszpanie, a nawet Litwini i Grecy. Dzieje Barabaszów łączy Jolán Földes ściśle z dolą uchodźców politycznych, którym w toku akcji poświęca tyle uwagi, że — może nawet wbrew intencjom autorki — zaczynamy się bardziej interesować ich losem. Przeżycia emigracji na bruku paryskim uwydatnione są w pełnych sugestii scenach, a tragedia wielu przedstawicieli owych rozbitków życiowych, jak np. Bardichinowa, który tak szczerze zaopiekował się rodziną węgierską, lub Liwasa, profesora litewskiego, budzi żywe współczucie. Wspólna nostalgia i wspólna też wiara w lepszą przyszłość wiążą wszystkich uchodźców. Lecz z biegiem czasu obraz powrotu do ojczyzny zaciera się coraz głębiej w mglistej przestrzeni, a życie staje się wyłącznie ciężką walką z losem. Sytuacja emigrantów jest oczywiście gorsza od losu Barabaszów, którzy opuścili dobrowolnie swój kraj i dlatego powrót jest dla nich właściwie kwestią decyzji i kosztów podróży. Inna sprawa, że Barabaszowie zmuszeni wielokrotnie okolicznościami, przyzwyczajają się do nowej ojczyzny i wreszcie przestają się ludzi nadzieją wyjazdu. Powoli rozpraszają się emigranci z ulicy Kota-rybołówcy, przepadają w „bezdennej studni wielkiego miasta“. Autorka kończy swą powieść tragicznym zwrotem: „Widocznie już taka proporcja zawsze była, jest i będzie wśród emigrantów, bezdomnych wygnańców: jedna czy dwie osoby rozbijają namiot na obcej ziemi. A reszta? Ginie powoli, bez śladu“.

Cała książka nastrojona jest na ton elegijny, przeniknięta atmosferą smutku. Mówi bowiem o jednostkach rzuconych na grunt obcy, które gnębi nostalgia i przytłacza ciężar życia w zmienionej sytuacji. Twarde warunki bytu niweczą ich odporność i wiele z nich wykoleja się lub łamie, staczając się na dno nędzy.

Ulica Kota-rybołówcy należy do wcale pokaznego obecnie szeregu pełnych dynamiki dramatycznej powieści, opisujących życie, a właściwie cienie życia emigrantów. Nie brak takich książek również w dzisiejszej literaturze węgierskiej.

Przyznać należy, że Jolán Földes w swej pierwszej powieści wykazuje wybitną kulturę literacką. Indywidualność autorki zaznacza się silnie przede wszystkim w zakresie stylu, kompozycji oraz w dążeniu do bystrej obserwacji. Natomiast kompetencja psychologiczna Jolán Földes nie zawsze zadowala, czasem wymaga pogłębienia.

Przekład R. Silleia skonfrontowany z oryginałem („A halászó macska utcaja“, Budapeszt 1936) jest wierny, utrzymany, mimo pewnych niedociągnięć stylistycznych, na poziomie poprawności.

Duża stosunkowo popularność pierwszych powieści Kőrmendiego stała się bodźcem do tłumaczenia dalszych jego utworów. Właśnie ukazało się *Szczęśliwe pokolenie*, które jednak należy do książek nie wznoszących się ponad przeciętność. Mimo starań, nie udało się zdobyć egzemplarza węgierskiego tej powieści, dlatego o wierności przekładu nie można nic powiedzieć. Pod względem stylistycznym tłumaczenie jest słabe.

STANISŁAW PAZURKIEWICZ

LITERATURA WŁOSKA

Appelius M. *Kryzys Buddy*, tł. F. Rutkowski, W-wa. T. E. i M.

Silone I. *Chleb i wino*, tł. St. Pomian. W-wa. Rój. 1938.

Svevo I. *Zeno Cosini*, tł. A. Speiser. W-wa. Księg. Popularna.

W DOŚĆ SZCZEGÓLNYCH OKOLICZNOŚCIACH TRIESTYńczyk *Italo Svevo* (pseudonim Hektora Schmitza, 1861 — 1928) osiągnął rozgłos pod koniec swego życia. Dwie pierwsze jego powieści

(*Una vita*, 1892, *Senilità*, 1898), wydane na prowincji i dalekie od tryumfującego podówczas dannunzianizmu, przeszły prawie że niezauważone. Na trzecią i ostatnią, młodszą o całe ćwierć wieku (*La coscienza di Zeno*, 1923), zwrócili uwagę obcy: Joyce, Larbaud i Crémieux. W jej autorze dostrzeżono wtedy poprzednika Prousta i stawiono go opodal Freuda, w nielicznych jego dziełach uwypuklając gorliwie te tendencje, które w latach powojennych miały nadać swe piętno całemu odłamowi literatury. Także i we Włoszech poczęto mówić o „odkryciu” Sveva.

Można mieć wątpliwości, czy najszcześliwsza z książek tego pisarza jest zarazem najlepszą. Sądzę, że pierwszeństwo godziłoby się przyznać raczej dawniejszej *Senilità* — bardziej zwartej, umiejętnie skoncentrowanej na głębokich nieporozumieniach z życiem, w jakie popada mały urzędnik, otumaniony literaturą, ale też otumanieniu temu, fałszującemu rzeczywistość, zawdzięczający jedyną przeciwwagę beznadziejnej szarzyzny swego bytowania. Wprawdzie i w świeżo przetłumaczonej powieści z powodzeniem i niewątpliwą konsekwencją artystyczną przestrzega autor formy pamiętnika, pisanego przez Zenona Cosini z zachęty i na użytek lekarza, po myśli modnych wczoraj zaleceń psychoanalizy. Ale sam bohater, z piórem w ręku wnikający w przeszłość swą i charakter, człowiek pozbawiony woli i energii, nie tyle przeżarty refleksją, co po prostu nijaki, niezdolny jest także — przełamać na dobre obojętność czytelnika. Zarówno on, jak i — z nielicznymi wyjątkami — pozostałe postaci pierwszego planu, to świat bogatej burżuazji handlowej wielkiego miasta portowego, ukazany jednak głównie w pokoleniu całkowicie nie dorosłym do działania, które stanowić musiało siłę jego ojców. Zapewne, atmosfera bezczynności i biernego zażywania dobrobytu niejednokrotnie już sprzyjała pograżeniu się w analizie własnych i cudzych przeżyć: twórczość Bourgeta czy Prousta nasiąkła też nią w dużym stopniu. Gdy jednak analiza taka, ku powszedniości świadomie skierowana, nie dobywa na jaw oblicza spraw ludzkich w sposób zastanawiająco nowy czy głęboki, wówczas tym silniej wyczuwać się poczyną wszelkie dłużyzny wynurzeń i zwierzeń, choćby formułowanych precyzyjnie. Zwłaszcza gdy przekraczają one pół tysiąca stron. Od bezskutecznej walki z nałogiem palenia, poprzez stosunek do ojca, żony i kochanki, a wreszcie przez perypetie nieudanych inicjatyw handlowych dociera Cosini do chwili wybuchu wojny Austrii z Włochami. Wojna dopiero zdaje się go uzdrawiać i pobudza jego aktywność. Ale i ta terapia nie okaże się wy-

starczającą. Ostatnie ustępy pamiętnika, zwrócone przeciwko zmechanizowaniu kultury współczesnej oddaleniu się jej od natury, kończą westchnieniem za jakimś powszechnym kataklizmem, w którym by ludzkość znalazła oczyszczenie. Najbardziej osobistym tonem tej książki zwieńczeń jest bez wątpienia ironia, w różnym stopniu zabarwiająca stosunek piszącego zarówno do samego siebie, jak do otoczenia, lekarza i metod psychoanalizy. Bardzo prosta, ale niekiedy i chropowata włoszczyzna Sveva pozwala zdać sobie sprawę z trudności, nieodłącznych od roli pisarza regionalnego, pozostającego za granicznym kordonem: o jego kłopotach mówią też wyraźnie skargi na niepodobieństwo wyrażenia językiem ogólnoliterackim pewnych stron życia własnej prowincji, nie-rozerwalnie zrosłych z gwarą miejscową.

O ile Sveva — postać bezsprzecznie odrębną na tle współczesnej powieści włoskiej — zaliczyć można do pisarzy długo „zapoznanych“, o tyle Ignacy Silone (osiadły, jeśli się nie mylę, w Szwajcarii) szybciej od kogokolwiek z swych rodaków dotarł do publiczności obcej. Jak wynika z materiałów, zebranych w *Index translationum*, *Chleb i wino* to najczęściej tłumaczona książka włoska w roku 1937. Poza bardzo starannym przekładem p. Pomiana, pojawiła się ona równocześnie w języku angielskim (w Stanach Zjednoczonych), holenderskim, czeskim i węgierskim (druk czeski). Istnieje też już zapewne przekład francuski i rosyjski. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że względy literackie odegrały tu rolę znikomą. Szło o narzędzie propagandy politycznej.

W porównaniu z *Fontamarą* tegoż autora, którą omawiałem przed trzema laty, powieść dzisiejsza jest dowodem niespodziewanie szybkiego rozwoju artystycznego. To samo tu, co i tam, środowisko: chłopskie w Abruzzach i robotnicze w Rzymie. Wyrastają z niego poszczególne jednostki, przede wszystkim główny bohater, który z emigracji wraca pokryjomu do Włoch i w chwili wybuchu wojny z Abisynią stara się wzmóc działalność przeciwko panującemu régime'owi. Opis podziemnej akcji na gruncie rzymskim najbardziej zbliża się do utartych i zużytych schematów powieści sensacyjnej. Nie tylko folklorystyczną wymowę mają jednak sceny z życia w zapadłych kątach Abruzzów, pogrążonych w ciemności i zabobonie, ale przechowujących jakieś pradawne formy obcowania z surową przyrodą i światem sił niewidzialnych. Obok ustępów drażniących jaskrawych, niektóre epizody wykazują dobre zacięcie groteskowe, które zwracało już uwagę w utworze dawniejszym. Niepokój wewnętrzny, drę-

czący emigranta-spiskowca, ogarnia tak dramatyczne problemy dnia dzisiejszego, jak sprawę dochowania wierności własnym postulatom etycznym wobec nakazów przemożnej polityki i — związane z tym — zagadnienie stosunku jednostki do wchłaniającej ją organizacji społeczno-politycznej.

To wszystko jednak, co budzić by mogło chętne uznanie dla pisarza, podważone zostało przez polityczną zaciekłość, której tyle przykładów dzieje Włoch przekazały. Książka uderza w faszyzm i Kościół, który podał mu rękę do zgody, nie ukrywa też wcale sympatii do „wielkiego kraju na wschodzie Europy“, mówiąc o nim z wyraźną tęsknotą. Cel swój chce zaś osiągnąć przez zohydowanie przeciwnika, obrzuconego stekiem oskarżeń o co wstrętniejsze zbrodnie. Z upodobaniem też zajmuje jadowicie dwuznaczne (co najmniej!) stanowisko wobec rzeczy, które dla człowieka nawet niewierzącego pozostać zwykły nietykalne. Widać to już z aluzji zawartej w tytule, a którą na podstawie samego utworu (por. str. 372 i l.) interpretować wypada jako przeciwstawienie nowego symbolu jedności chłopsko-robotniczej uświęconemu symbolowi religijnej ofiary. Najsilniej jednak odtrąca czytelnika scena „męczeńskiej“ śmierci sędziwego i prawego kapłana, który — niebezpieczny jakoby dla régime'u w swym odciętym od świata górskim zaścianku — ginie otruty winem w czasie odprawiania mszy, za sprawą oczywiście siepaczy dyktatora. Tak powieść p. Silone nie tylko urąga prawdzie o własnym kraju, który — na szczęście — nie jest zabity deskami przed resztą Europy. Niszczy zarazem wcale poważne możliwości artystyczne, jakie w niej tkwiły, a zgłuszone zostały wiecowym krzykiem nienawiści.

Daleki Wschód ma piękne i starodawne tradycje we włoskiej literaturze podróżniczej. *Milion* Marka Polo ciągle skupia na sobie uwagę badaczy i zwykłych czytelników; co więcej, niektórzy z nich w powieści Weneccjanina widzą najświetniejszy odpowiednik średniowiecznej epiki bohaterkiej innych narodów, rapsod przeniknięty entuzjazmem wielkiego podróżnika-odkrywcy, który wcielenie najpełniejsze znajdzie z czasem w Kolumbie. W dwa wieki później Poggio Bracciolini jedną z ksiąg traktatu *De varietate fortunae* poświęca opisowi 25-letnich wędrówek po Wschodzie kupca z Chioggi, Mikołaja Conti i ze źródeł ustnych podaje sporo wiadomości o Chinach. Dziś uczony orientalista Tucci, poza studiami specjalnymi, mówi i szerszej publiczności o swych przygodach w Tybecie.

Kryzys Buddy Appeliusa jest książką dziennikarza, który ze swobodą i w chwili odpowiedniej umie podać niezbędne o Chinach informacje, a równocześnie szkicuje barwny obraz kraju, zapewne nieco kinematograficzny, przez to samo jednak pełen życia i ruchu, nie pozbawiony przy tym ambicji do wniknięcia w odrębność narodowego charakteru tak odległej i tak długą historią obarczonej rasy. Można się z tej książki o niejednym dowiedzieć i wiele poprzez nią zobaczyć.

MIECZYSLAW BRAHMER

LITERATURA PODRÓŻNICZA

- Alexandrowicz A. *Mandżuria, jej przeszłość, teraźniejszość, kraj i ludzie*. W-wa. B. Polska.
- Bell I. *Moja podróż szlakiem południa*. W-wa. Hoesick.
- Belza St. *Wśród ruin Grecji*. W-wa.
- Centkiewicz Cz. J. *Biała foka*. W-wa. Rój. 1938. — *Znowu na Północy*. W-wa. Rój.
- Dobrowolski A. B. *Męczennicy polarni*. Lwów. Państw. Wyd. Książek Szk.
- Dzimicz B. *Skaza marynarska*. W-wa. Rój.
- Fajans R. *Hiszpania 1936*. W-wa. Rój.
- Fiedler A. *Zdobywamy Amazonkę*. W-wa. Rój.
- Filochowski W. *Ziemia dwakroć obiecana*. Pelplin.
- Giertych J. *Kajakiem po Niemczech*. Listy z podróży. Pelplin.
- Isaakowa M. *Polka w puszczach Parany*. Poznań. Księg. św. Wojciecha.
- Junosza Dąbrowski W. *Rekordy woli*. W-wa. Główna Księg. Wojskowa.
- Kowalewska A. i Kowalewski T. *Nasza eskapada po Pilicy*. W-wa. G. i W.
- Kwiatkowski St. Ł. *Wrażenia z podróży po nowej Italii*. Lwów. Odb. z Polskiej Gazety Lekarskiej.
- Lepecki M. B. *Sybir wspomnień*. Lwów. Państw. Wyd. Książek Szkolnych. — *Z Marszałkiem Piłsudskim w Egipcie*. Wyd. II. W-wa. Rój. 1938.
- Makarczyk J. *Liberia, Liberyjczyk, Liberyjka*. W-wa. Głów. Ks. Woj. 1936.
- Niebudek St. *W kraju czarnych koszul*. Częstochowa. Ant. Gmachowski.
- Nowaczyński A. *Moja przejażdżka po Palestynie*. W-wa. Księg. A. Prabucki i A. Płocha.
- Pruszyński Ks. *Podróż po Polsce*. W-wa. Rój. — *W czerwonej Hiszpanii*. W-wa. Rój.
- Starowieyska-Morstinowa Z. *Kamień i woda*. Wrażenia z Jugosławii. Poznań. Nacz. Inst. Akcji Katolickiej.
- Wańkowicz M. C. O. P. *Ognisko siły*. Centralny Okręg Przemysłowy — W-wa. Rój. 1938.
- Wojtusiak R. *W sercu Kaukazu*. Książnica-Atlas. Lwów-Warszawa.
- Wrzos K. *Yerba Mate*. W-wa. Rój.
- Zadrozny St. *Na gdyńskim szlaku*. W-wa. Arct.
- Zaniewicki Zb. *Równik*, powieść. W-wa. Michalak i S-ka, 1936.

TEGOROCZNY PRZEGLĄD LITERATURY PODRÓŻNICZEJ należy rozpocząć od książki, która daje opis kraju, ściągającego już drugi rok uwagę całego świata ogromem swej tragedii bratobójczych zmagani

o duchową, społeczną i polityczną przyszłość. Reportaż Ksawerego Pruszyńskiego *W czerwonej Hiszpanii* uznać trzeba poza tym za najlepsze dzieło podróżnicze ubiegłego roku i z tego również względu omówić przed innymi. Autor zdołał otrzymać pozwolenie na wjazd do tej części Hiszpanii, która znajduje się pod rządem republikańskim, i mimo wielu niebezpieczeństw dotarł do najciekawszych miejsc, związanych z historycznymi przemianami, które zachodzą w tym kraju. Był w Katalonii, w Madrycie, i w kraju Basków, poznał życie na froncie i poza frontem, rozmawiał z wielkimi i z małymi ludźmi, którym przypadł taki czy inny udział w doniosłych zdarzeniach wojny domowej, słowem mógł zebrać bogaty materiał wrażeń i dał bardzo ciekawy i uczciwy obraz tego, co widział i słyszał. Talent narratorski Pruszyńskiego i plastyka jego opisów są już dziś rzeczą znaną i nie wymagającą specjalnego stwierdzania. W stosunku do jego książek poprzednich z zakresu reportażu podróżniczego podkreślić trzeba stałe pogłębianie się umiejętności pisarskiej i zdolności obserwacyjnych. W wyborze faktów i układzie ich uderza wielka doskonałość konstruowania tego, co można by nazwać duchowym przekrojem poznawanego w tak wyjątkowych chwilach kraju. Są przecież ludzie — symbole i fakty — symbole. Umieć je rozróżnić w powodzi wrażeń, wydobyć na wierzch, oświetlić przez postawienie ich we właściwej perspektywie — to dopiero świadczy, że ktoś posiada talent pisarza podróżniczego. Pruszyński odniósł w tym zakresie niewątpliwy tryumf, pokazując w swej relacji rzeczy niezmiernie wiele mówiące. Książka jego daje wiele tych niespodziewanych, ostrych rzutów światła na dalekie dla nas, powierzchownie tylko znane i splątane stosunki tego kraju, który chciał przeciąć węzeł gordyjski swego zawikłanego ustroju mieczem rewolucji. Toteż trafna diagnoza społeczno-polityczna wojny domowej w Hiszpanii jest niewątpliwym dorobkiem książki Pruszyńskiego. Reportaże polityczne, o ile nie przynoszą głębszych spostrzeżeń o życiu obcego narodu, zazwyczaj starzeją się bardzo szybko, bo wypadki historyczne biegą szybciej niż pióro reportera w notatniku i wał maszyny rotacyjnej po papierowym szlaku. Oczywiście i książka Pruszyńskiego, jeśli chodzi o odtworzenie obecnego stanu wojny w Hiszpanii, przestała być aktualna, ale jako obraz psychiki narodu i wynikających z wielowiekowej tradycji warunków jego bytowania — nie prędko się zestarzeje. Szukając w naszej literaturze jakiegoś artystycznego wizerunku dla tego bezmiaru okropności, który ujrzał w Hiszpanii, Pruszyń-

ski — rzecz ciekawa — odsuwa na bok *Popioły* i dopatruje się analogii raczej w *Panu Wołodyjowskim*. W tym ostatnim dziele, tak pełnym mrozących krew opisów okrucieństwa, mogłaby się dopiero przejrzyć współczesna Hiszpania, jak ktoś, co odnajduje swe własne rysy w starym konterfekcie przodka sprzed kilku stuleci. Wszystko to prawda, a jednak po przeczytaniu książki Pruszyńskiego trudno się oprzeć podziwowi dla narodu, którego synowie w każdej chwili gotowi są umrzeć za swoje przekonania, białe czy czerwone, nie znając wybiegów kłamliwego kompromisu. Wtedy rozumie się zdumiewające krańcowości temperamentu hiszpańskiego, rozumie się te cechy narodowego charakteru, które powodują, że Hiszpan albo ekstatycznie wierzy w Boga i modli się, albo też wymorduje wszystkich księży w jakiejś prowincji i pali wszystkie kościoły, a jeśli nawet ich nie pali, to świadomie i konsekwentnie profanuje, zamieniając je na lupanary. W świetle książki Pruszyńskiego widzi się jak na dłoni istotę charakteru Hiszpanów, który sprawił, że tu bardziej niż gdziekolwiek indziej na świecie walka rewolucyjna jest nie walką dwóch interesów partyjnych, lecz zmaganiem się dwóch poglądów na świat. Dzięki tym zaletom książka Pruszyńskiego jest i pozostanie dokumentem o trwałych wartościach informacyjnych. (Tylko haniebnego skażenia łaciny na str. 302 i 303 nigdy autorowi nie daruję, ale niech się tą belferską uwagą zanadto nie martwi!).

Dopełnieniem obrazu dzisiejszej Hiszpanii może być inny reportaż, ale z przeciwnej strony barykady, książka Romana Fajansa *Hiszpania 1936*. Autor dostał się do tego kraju poprzez granicę portugalską, zwiedził Salamankę, Awilę, Toledo ze słynnym dziś na cały świat Alkazarem, Burgos, Sewillę i wrócił znów przez Lizbonę. Celem książki nie jest dawanie jakichkolwiek syntez, lecz tylko wiernych impresji, wyniesionych z terenu walki. Bardzo wartościowym rozdziałem jest wywiad autora z Unamunem, malujący bardzo ciekawie i pięknie duchową sylwetkę tego „ducha — wiecznego rewolucjonisty“. W obrazie politycznych dążeń obozu walczącego z republikańskim rządem autor uwydatnił głębokie sprzeczności ideologiczne między poszczególnymi odłamami jednolitego dzisiaj frontu „białej“ Hiszpanii. Co jednak będzie po zwycięstwie generała Franco, trudno przewidzieć. — Aktualia nie przesłoniły autorowi widoku wspaniałych dzieł sztuki, w które tak obfitował ten kraj przed obecnym zniszczeniem; do ciekawszych należą opisy miasteczka Avila i meczetu w Kordobie, przerobione w XVI w. na kościół w spo-

sób może nie mniej barbarzyński niż zamiana soboru św. Zofii w Konstantynopolu na meczet.

Odwracając myśl od kraju skondensowanych okropności, jakim jest dzisiejsza Hiszpania, otworzmy książeczkę Stefana Niebudka *W kraju czarnych koszul*. Jest to bezpretensjonalny opis wycieczki do Włoch, napisany przez młodego przedstawiciela Stronnictwa Narodowego. Autor patrzy na starożytność i współczesność oczami człowieka o wyraźnym stanowisku politycznym i dyskontuje swoje wrażenia na rzecz wyznawanych i zaznaczanych na każdym kroku poglądów. Obraz współczesnych Włoch skreślony jest wiernie i entuzjastycznie. Głębszej wartości literackiej rzecz nie posiada. Ilustracja na str. 68 przedstawia na pierwszym planie bokiem do widza stojący łuk Konstantyna, nie łuk Tytusa, który widać zaledwie w głębi obrazu, tak że słowa „łuk Tytusa“ pod fotografią mogą obalamucić czytelnika.

Zasłużonym i zrozumiałym entuzjazmem dla Włoch przeniknięta jest też broszurka dr. Stefana Kwiatkowskiego *Wrażenia z podróży po nowej Italii*. Autor jest lekarzem-dermatologiem, zwiedzał Włochy, patrząc na nie ze stanowiska dokonywającej się tam pracy naukowej w zakresie medycyny i olbrzymich osiągnięć w dziedzinie higieny, terapii, szpitalnictwa, wychowania fizycznego, słowem — zdrowia najszerzszych mas ludności. Towarzyszą temu obserwacje o rozwoju Włoch i w innych dziedzinach, dając pojęcie o twórczym rozmachu tego narodu, kierowanego dziś przez jednego z największych swoich synów.

Przegląd opisów podróżniczych krajów pozaeuropejskich należałoby zacząć („z wieku i urzędu“) od książki Adolfa Nowaczyńskiego *Moja przejażdżka po Palestynie*. Ale niezmordowany kpiarz zgotował swym czytelnikom niebylejaki kawał; napisał książkę, w której „przejechał się“ jak się patrzy po różnych podróżnikach współczesnych, co opowiadali troje dziwów o cudach dzisiejszej Palestyny, i z niemniejszym rozpędem „przejechał się“ po tysiącznych zagadnieniach małoazjatyckich, związanych tak czy inaczej z działalnością Żydów i problemem ich emigracji. Jest to więc książka o Palestynie napisana programowo bez wyjazdu do Ziemi Obiecanej i przepełniona mnóstwem dowcipów na temat Żydów i ich roli w życiu współczesnym. Tendencja zmierza do wykazania, ile blagi i bluffu mieści się w szerzonej po całym świecie reklamowej propagandzie o osiągnięciach żydowskich w ich historycznej ojczyźnie.

Do autentycznych natomiast relacji podróżniczych należą inne książki o Azji. Z nich niezmiernym bogactwem materiału informacyjnego odznacza się książka Romana Wojtusiaka *W sercu Kaukazu*. Autor, docent zoologii na Uniw. Jagiellońskim, wziął udział w wyprawie na Kaukaz, stawiającej sobie cele alpinistyczne i naukowe. Jedne i drugie zostały chwalebnie osiągnięte. Książka Wojtusiaka informuje bardzo szczegółowo o przebiegu prac i przygód wyprawy, zaopatrzona jest w mapki orientacyjne i liczne zdjęcia, stanowi więc dokument cenny i dla ludzi interesujących się sportem wysokogórskim niewątpliwie ciekawy. Barwnej i sugestywnej wizji obcego kraju przeważnie nie daje.

Solidnym opisem geograficznym raczej, niż książką podróżniczą, jest praca Antoniego Alexandrowicza *Mandżuria, jej przeszłość, teraźniejszość, kraj i ludzie*. Autor był na Dalekim Wschodzie przez 10 lat i przeprowadził obszerne studia nad historią i geografiją Mandżurii. Ostatni rozdział swej cennej książki poświęcił dziejom kolonii polskiej w tym kraju, przez co rzecz nabiera wartości, jako opracowanie historyczne zagadnienia dotąd mało zbadanego.

Do opisów Azji należy wreszcie książka Mieczysława Lepeckiego *Sybir wspomnień*. Jest to relacja z powtórnej podróży autora do miejsca zesłania Józefa Piłsudskiego (wieś Tunka) w celu pobrania ziemi na kopiec na Sowińcu. Lepecki opisał tym razem nieco obszerniej Kujbyszew (dawna Samara), Nowosybirsk (dawny Nowonikołajewsk), Irkuck, Bajkał, Nerczyńsk i Akatuj. Książka zawiera sporo informacji o współczesnym życiu Rosji, jak również opisy miejsc, które były głównymi ośrodkami syberyjskiej katorgi. Autor stąpał po śladach nie tylko wygnania i cierpień Wielkiego Marszałka, ale także martyrologii naszych dawniejszych bojowników o wolność. Wymownym dokumentem dziejów polskich na Syberii jest opisany przez autora cmentarz w Irkucku.

Tegoż autora *Z Marszałkiem Piłsudskim w Egipcie* przenosi nas do innej części świata, do innych wspomnień i obrazów. Rzecz jest drugim wydaniem książki, recenzowanej już w I tomie Rocznika Literackiego (za r. 1932). Zanutujmy na dobro książki, że autor porobił w niej pewne skreślenia, dzięki czemu niektóre zarzuty, wysunięte w recenzji pierwszego wydania, są już dziś nieaktualne.

Ciekawą, zajmującą i dowcipną książkę o Liberii napisał Janusz Makarczyk (*Liberia, Liberyjczyk, Liberyjka*). Jeździł tam jako delegat Ligi Morskiej i Kolonialnej dla zawarcia umowy z rządem mu-

rzyńskiej republiki i zdołał poznać nie tylko stosunki polityczne i gospodarcze w Monrowii, stolicy tego humorystycznego państewka, ale i życie tubylców w głębi kraju. Liberia, założona przez amerykańskie Towarzystwo Filantropijne jako przybytek wolności dla murzynów, jest zabawnym połączeniem karykaturalnych urządzeń państwowych na podobieństwo cywilizowanych demokracji i prastarych obyczajów murzyńskich, które kwitną we wnętrzu kraju. Niewolnictwo panuje tam w najlepsze, urzędy państwowe są parodią administracji i sprawiedliwości, cywilizacja ogranicza się do istnienia jednego urzędu pocztowego w samej stolicy i dwóch nieczynnych telefonów. Autor dość obszernie scharakteryzował stosunki w Liberii i opisał w barwny sposób swoją podróż do „jądra ciemności” tego kraju. W charakterystyce murzynów nie powiedział w zasadzie nic nowego, dorzucając tylko świeży materiał swych doświadczeń dla ilustracji prawd już znanych. Książka Makarczyka pełna jest ciekawego materiału anegdotycznego, pozwalającego się zorientować w liberyjskich stosunkach, a jednocześnie zawiera pożyteczne informacje na temat możliwości gospodarczych, jakie otwierają się przed Polską przez nawiązanie stosunków z tym krajem.

Z kolei przejdźmy do innej egzotyki, którą tak spopularyzował u nas Arkady Fiedler. Łapczywie chwytamy najnowsze jego dzieło: *Zdobynamy Amazonkę*, żeby przekonać się, że to jest tylko przeróbka dla młodzieży dawniejszej nieporównanej książki: *Ryby śpiewają w Ukajali*. Ano trudno! Trzeba będzie poczekać na nowego Fiedlera; w tym roku to tylko powtórzenie rzeczy znanych.

Nową natomiast książką o Ameryce Południowej jest *Polka w puszczach Parany* Michaliny Isaakowej. Tylokrotnie opisywany egzotyczny teren nabiera w tej relacji podróżniczej uroku jakiejś nowej wizji, pełnej plastyki i świeżości. Autorka jest przyrodniczką; udała się do Brazylii w celu zgromadzenia jak najbogatszych zbiorów entomologicznych i opowiedziała w książce dzieje swych dwuletnich osobliwych łowów. Dla zdobycia poszukiwanych okazów zapuściła się w głąb parańskiej dżungli bez względu na niebezpieczeństwa, jakie musiały grozić nieobeznanej z terenem podróżniczce. Podczas swych wypraw korzystała często z gościnności polskich kolonistów i porobiła szereg notatek o ich życiu i nastrojach. Książka ma układ dziennika podróży. Autorka nie syntetyzuje zagadnień, lecz maluje obrazy przyrody i życia ludzkiego w tej kolejności, jak je oglądała. Układ ten nie wywołuje jednostaj-

ności relacji, gdyż przeżycia poszukiwaczki owadów są naprawdę emocjonujące i świeże; czuje się w nich atmosferę życia tego dziwnego kraju, pełnego tyłu cudów i tyłu obrzydliwości, kraju, gdzie zachwyt, wstręt i przerażenie ciągle towarzyszą sobie, utrzymując nerwy i uczucia ludzkie w nieustannym napięciu. Książka pisana jest stylem zadziwiająco prostym; autorka nie sili się na żadną literackość, ale dzięki rzetelnej i spokojnej relacji o przeżyciach, często bardzo mocnych i niezwykłych, opowiadanie to robi silne wrażenie na czytelniku. Przedmowę napisał „sam“ Arkady Fiedler, dając bohaterkiej podróżniczce swe błogosławieństwo starszego brata w rodzinie szlachejnych włóczęgów znad Amazonki.

Ostatnią wreszcie książką o Brazylii z ubiegłego roku jest Z b i g n i e w a Z a n i e w i c k i e g o *Równik*, wzmiankowany zaledwie w poprzednim Roczniku Literackim w dziale powieści. Rzeczywiście, jest to powieść, ale o tak przejrzystym podkładzie autobiograficznym, że może być traktowana jako pamiętnik podróżnika. Dzieje bohatera (autora?) wpłątane zostały w powstanie stanu Amazonia przeciw rządowi federalnemu Brazylii. Najważniejszą częścią opowiadania jest relacja o podróży łodzią żaglową w górę Amazonki, aż do miasta Parintins. Sąd ogólny, jaki zostaje o tym kraju, niezwykle pesymistyczny: tam mogą mieszkać teraz tylko półludzie, na zamieszkanie ludzi pod tą szerokością geograficzną jeszcze jest za wcześnie! Książkę Zaniewickiego czyta się z zainteresowaniem, chociaż nie bez rosnącego w miarę lektury buntu przeciw jej stylowi, przeładowanemu niezwykle ekscentryczną metaforą w guście tzw. awangardy czy też maniery Kadena. Gdy czytamy, że „rzeka światła, wypływająca przez otwarte drzwi, zaczęła zwolna rozlewać się po podłodze i p a r o w a ć, aż pokój cały nappełnił się miłym półmrokiem“, to stwierdzić trzeba, że ten typ artyzmu literackiego grozi wynaturzeniem języka i smaku. A szkoda, bo autor potrafi wzruszać środkami prostymi i nadawać niewątpliwy urok kreślonym postaciom (Rarita). Toteż najbardziej plastycznymi i wymownymi urywkami książki są opowiadania scen, gdy groza samych faktów i przejmująca bolesność opisywanych doznań każą autorowi zapomnieć o wysilonej stylizacji i prowadzą go mimowolnie do prostoty.

Książka Konrada Wrzosa *Yerba Mate* przenosi nas jeszcze bardziej na południe — do Argentyny, której jest głównie poświęcona. Tytuł to nazwa argentyńskiej herbaty. Autor postawił sobie za cel zo-

baczyć i pokazać życie polskiej emigracji w Ameryce Południowej, objechał więc w przeciągu miesiąca Argentynę, Paragwaj, Urugwaj i Brazylię. Trochę to krótko, jak na okres poznania tak rozległych przestrzeni, usianych koloniami polskiej emigracji. Toteż książka Wrzosa należy do typu dość powierzchownych reportaży podróżniczych, obliczonych na łatwy efekt sensacji i snobizmu. Nie warta byłaby obszerniejszej wzmianki, gdyby nie towarzysząca jej, jak i innym jego publikacjom, krzykliwa reklama, grubo przeceniająca skromne osiągnięcia pisarskie tego ruchliwego dziennikarza.

A teraz z krajów cierpiących od nadmiaru słońca przenieśmy myśl na daleką północ, o której opowiada nam w dwóch nowych książkach Czesław Jacek Centkiewicz. Pierwsza z nich, to *Znowu na północy*. Jest to relacja z ponownego pobytu autora na Wyspie Niedźwiedziej dla dokończenia badań, prowadzonych w okresie Roku Polarnego 1932/33. Dużo miejsca zajmuje streszczenie wiadomości już znanych z książki *Wyspa mgieł i wichrów*, ale sporo jest i rzeczy nowych, jak np. emocjonujące przewiezienie rannego Roalda Oiena na pokład norweskiego krążownika, dalej polowanie na wieloryby, wreszcie podróż na Spitsbergen i deptanie niejako po śladach dawnych podróżników polarnych.

Ale to wcale nie miała być ostatnia podróż Centkiewicza na północ. Autor sprawdził na sobie trafność powiedzenia, że „północ woła“ i wkrótce wyruszył tam po raz trzeci, by zaciągnąć się na statek myśliwski, wyruszający w celu polowania na foki. Naukowym celem autora było badanie przezroczystości wody morskiej, ale jak wynika z książki *Biała foka* praca naukowa stała się czymś ubocznym w obliczu życia na statku w atmosferze łowów i walki z żywiołem lodu. Opowiadanie Centkiewicza o tym, co przeżył na wątlm stateczku „Isfjell“, nieustannie zagrożonym przez napór atakujących, piętrzących się dokoła, miażdżących wszystko mas lodowych, należy do relacji niezwykle emocjonujących, żywych i barwnych. Mniej strawne dla człowieka, nie zahartowanego w twardej szkole myślistwa, jest opowiadanie o formalnej rzezi, jaką załoga stateczku uprawia w stosunku do bezbronnych fok i morsów. Zresztą mimo poważnego udziału w wyprawach myśliwskich, autor sam odczuwa też niekiedy pewien żal, gdy znajduje się już po celnym strzale wobec martwego zwierzęcia. Szczególniej przykre w czytaniu są incydenty, gdy przedmiotem polowania stają się samice, broniące bezskutecz-

nie swoich małych. Oczywiście te refleksje bynajmniej nie mają na celu dyskwalifikowania książki, która jest najlepszą z dotychczasowych relacji podróżniczych Centkiewicza. Wpłynął na to i sam temat, pełen dynamiki przeżyć i doskonaląca się sztuka pisarska autora, który opanował już w wysokim stopniu środki literackiego wyrazu swych przeżyć. Podkreślić trzeba, że Centkiewicz operuje językiem ogromnie prostym, niewyszukanym, dalekim od jakiegokolwiek uganiania się za literackim efektem czy specjalną ozdobnością, ale jednak pełnym barwności i wrażeń dzięki swej rzeczowości i prostocie.

Zakończmy ten kontakt z podbiegunowymi podróżami wzmianką o broszurce Antoniego B. Dobrowolskiego *Męczennicy polarni*, gdzie czytelnik znajdzie zwięzły opis najważniejszych wypraw, podejmowanych dla odkrycia obu biegunów. Rzecz napisana jest przez jednego z najlepszych znawców tego przedmiotu w Polsce i przeniknięta gorącym uwielbieniem dla bohaterów, którzy narażali życie i niejednokrotnie je tracili w bezinteresownej służbie dla nauki.

Książce tej, sławiącej bohaterstwo podróżników, tematycznie najbliższa jest inna książka o tendencji wybitnie moralistycznej: Wiktora Junoszy Dąbrowskiego *Rekordy woli*. Autor kreśli sylwetki takich ludzi, jak Whymper, zdobywca Matterhornu, Gerbault, co przepłynął Atlantyk i Pacyfik na małym jachcie, Scott, zdobywca Antarktydy, Linton, zwycięzca w wyścigu kolarskim Bordeaux — Paris, Bleriot, który pierwszy przeleciał nad kanałem La Manche, i kilku innych mniej znanych, którzy mogą być przykładem zaciętego i wytrwałego dążenia do celu i nadludzkiego wysiłku woli w szczytowych momentach swego życia. Nie jest to, jak widać ze streszczenia, książka podróżnicza, aczkolwiek w kilku rozdziałach autor omawia dzieje wybitnych podróżników.

Wśród książek podróżniczych specjalny rozdział stanowią corocznie relacje o wyprawach morskich. W ubiegłym roku dorobek z tego zakresu jest poza książkami Centkiewicza i fragmentami kilku innych książek dość mały. Wymienimy w każdym razie I z y B e l l *Moja podróż szlakiem południa*. Jest to opis wycieczki Batorym z Triestu przez Dubrownik, Barcelonę, Casablanke, Maderę, Lizbonę, Londyn do Gdyni. Rzecz jest blaha, przesycona wspomnieniami mającymi wartość przeważnie tylko subiektywną dla samej autorki.

Nie tyle książką podróżniczą, co zbiorem opowiadań, humoresek marynarskich jest Brunona Dzimicza *Skaza marynarska*. Tytuł

oznacza skazę, którą pozostawia na duszy zadraśnięcie trójzębem Neptuna, innymi słowy — fanatyczny pociąg do morza, jaki odczuwa pewien typ ludzi, co odnaleźli w tym żywiole swe przeznaczenie życiowe. Opowiadania Dzimicza, pełne rzetelnego umiłowania morza i humoru, jedne zabawne, inne tchnące sentymentem, stanowią przyjemną i lekką lekturę bez głębszych wartości i aspiracji literackich.

Na zakończenie parę uwag o książkach poświęconych Polsce. Otwiera je cenna monografia współczesnego życia naszego na morzu: *Na gdyńskim szlaku* Stanisława Zadrożnego. Czytelnik znajduje tu bardzo dużo materiału informacyjnego: historia powstania Gdyni i naszych linii morskich, komunikacyjno-handlowych, dalej wyczerpujący opis budowy współczesnych statków, charakterystykę życia marynarzy, dzieje szkoły morskiej w Tczewie i naszych statków szkolnych *Lwów* oraz *Dar Pomorza*, wreszcie dokładny opis portu gdyńskiego i zarys wiadomości o ustawodawstwie morskim. Wszystko to pięknie ilustrowane licznymi fotografiami, wklejonymi do tekstu. Książka jest pisana bardzo interesująco i wydana niemal luksusowo.

Z Gdynią, która jest „hołubionym dzieckiem“ naszego odrodzonego państwa lubią niektórzy zestawiać budujący się obecnie Centralny Okręg Przemysłowy. Czyni tak również Melchior Wańkowicz w swym reportażu: *C.O.P. Ognisko siły — Centralny Okręg Przemysłowy*. Jest to książka, promieniująca jakimś niezwykłym u nas entuzjazmem dla tego, co się w okręgu sandomierskim obecnie robi. Obraz to istotnie wspaniały i krzepiący, toteż autor kończy swą książkę generalnym atakiem na defetystów i kawiarnianych malkontentów. Reportaż Wańkowicza jest oczywiście bardzo szkicowy i zapewne wymagałby uzupełnień i pogłębień, ale i w tej postaci daje on plastyczny wizerunek dokonywanej pracy, budząc optymistyczne przewidywania na temat przyszłości tego nowego wysiłku twórczego Rzeczypospolitej.

Znacznie mniej entuzjazmu człowiek zaczerpnie z innego reportażu, mianowicie z *Podróży po Polsce* Ksawerego Pruszyńskiego. Nie jest to książka jednolita. Autor jeździł po kraju tu i tam, najczęściej pociągnięty jakimś zdarzeniem o poważniejszym znaczeniu, jak wypadki lwowskie 1936 roku, ślubowanie młodzieży akademickiej na Jasnej Górze, sprawa przytyka itp. Zebrał w ten sposób pokazną garść obserwacji ze wszystkich stron Polski i naświetla rzeczy widziane krytyczną refleksją. Niewątpliwie książka imponuje bogactwem spostrzeżeń i skoja-

rzeń, jest dokumentem myślenia kulturalnego i wnikliwego o polskiej rzeczywistości. Aczkolwiek przeważa ilość spostrzeżeń mało pocieszających, to jednak nie brak i takich, które krzepią na duchu. W całości książka Pruszyńskiego jest lekturą niepokojącą, budzącą nieustanną czujność na ogrom zagadnień, które czekają na rozumne załatwienie. Jest to diagnoza różnych „chorób Rzeczypospolitej“, które muszą być uleczone, o ile chcemy uniknąć straszliwych tragicznych wstrząsów politycznych i społecznych w rodzaju rewolucji hiszpańskiej. Jeśli wierzyć obserwacjom Pruszyńskiego, to materiału palnego do takich groźnych fajerwerków historycznych w Polsce nie brak.

Ostatnią książką, której należy się wzmianka, pełna najwyższego uznania, to nowy tom *Cudów Polski*, Jana Kilarskiego *Gdańsk*. Tym razem sam naczelny redaktor całego wydawnictwa stanął u warsztatu krajoznawczego i dał dzieło bardzo obszerne, gruntowne, ładnie napisane i pięknie ozdobione bogatym materiałem fotograficznym. W rozwinięciu tematu najwięcej miejsca przypadło historii miasta, następnie opisiowi jego zabytków, charakterystyce życia portu, wreszcie działalności polskiego społeczeństwa w Gdańsku nad utrzymaniem świadomości narodowej wśród tamtejszych Polaków. Poza tym akcentowanie polskiej tradycji w życiu Gdańska na przestrzeni całej jego historii uwypukla się jako jedno z naczelných dążeń książki. Opis nie ogranicza się do samego Gdańska, lecz obejmuje także inne ważne miasta okoliczne (Oliwa, Wrzeszcz), oraz życie okolicznej wsi i rybaków. Słowem — w krajoznawczej serii wydawnictw Wegnera nowy tom musi być uznany za jeden z najbardziej udanych.

Rzucając okiem wstecz na cały dorobek literatury podróżniczej w 1937 roku, trzeba będzie uznać go za mniej bogaty i cenny niż w roku poprzednim, aczkolwiek książki Pruszyńskiego, Makarczyka, Isaakowej, Centkiewicza i Kilarskiego świadczą, że poziom ogólny naszej produkcji w tym zakresie jest nadal wysoki i godny uwagi.

KONRAD GÓRSKI

LITERATURA PAMIĘTNIKARSKA

- Bazgier L. J. (Popiel). *Czwórka sztabowa. Wspomnienia pilsudczyka*. W-wa. Wspom. Wojsk. Instytut. nauk-ośw. 1936.
- Bohwić L. I. *Wspomnienia Uniwersyteckie*. Warszawa 1882—1885, Petersburg 1885 — 1887. — II. Z dawnych wspomnień sądowych. Wilno, J. Zawadzki, 1938.
- Brajter Bronisław. *Dawny Lwów na tkance osobistych wspomnień w gadanince pod piecem*. Lwów, książn. pols. Leopolia.
- Fałat St. *Wspomnienia z dawnego Wiednia*. Fragmenty z listów. W-wa, Hoesick.
- Hupka J. *Z czasów wielkiej wojny. Pamiętnik nie-kombatanta*. Wyd. 2. Lwów, Krawczyński.
- Jeż T. T. (Miłkowski). *Od kolebki przez życie. Wspom.* Do druku przygotował Adam Lewak, wstępem poprzedził Aleksander Brueckner. T. III. Kraków, Pols. Ak. Um.
- Kiszkielec Jan dr. *Na dziejowej fali. Z Piotrkowa przez Władystok do Śniatynia*. W-wa. Autor.
- Kuligowski Fr. ks. *Wspomnienia ks. prefekta z czasów niewoli*. Płock. Autor.
- Lasocki Wacław dr. *Wspomnienia z mojego życia*. Przygotowali do druku M. Janik i F. Kopera. T. II: Na Syberii. Kraków, Gmina miasta.
- Łukaszewicz Kaz. *Wspomnienia starego lekarza o czasach powstania listopadowego* (1825—1835). Wydał dr. Z. Klukowski. Zamość.
- Pamiętnik Koła Sandomierzan*, 1925—1935. Zawiera m. in.: *Wspomnienia szkolne* W. Milczarskiego, W. Kamockiego, G. W. Paszkiewicza, L. Świstowskiego, St. Gaszyńskiego, ks. J. Zajączkowskiego, ks. St. Gruski, oraz wspomnienia z ruchu wolnościowego M. Laskowskiego, J. Madeja, A. Banaczkowskiego i in.
- Patek St. *Ze wspomnień obrońcy*. W-wa.
- Pigoń Stan. *Kartki z pamiętnika* (1914) Os. odb. z „Głosu Narodu“ Kraków.
- Pietrzak Henr. *Sześć lat wojny. Pamiętnik polskiego żołnierza. Legiony—front włoski — boje polsko-ruskie — wojna polsko-bolszewicka*. Łódź. Autor. 1936.
- Potrykus Bernard. *Wspomnienia Kaszuba z pod Verdun*. W-wa, Wojsk. Instytut nauk-ośw.
- Starzyński Roman. *Cztery lata w służbie Komendanta. Przeżycia wojenne 1914—1918*. W-wa, Instytut J. Piłsudskiego.
- Symonowicz Konst. *Moi Chińczycy 18 lat w Chinach*. W-wa, biblioteka Polska, 1938.
- Świtalska-Fularska Jul. *Wspomnienia lekarki legionowej*. Książnica-Atlas.
- Uniłowski Zbigniew. *Pamiętnik morski*. W-wa. Przeworski.
- Znatowicz-Szczepańska M. *Wakacje w Jaszunach*. W-wa. Biblioteka Polska.

JAKKOLWIEK ZDAWNA W LITERATURZE NASZEJ ZASWOJONY, nie cieszył się pamiętnik jako rodzaj literacki szczególniejszym poszanowaniem. Bywało że najświetniejsze dzieła, jak pamiętniki Paska czy Kitowicza, długo musiały czekać na druk i w następnych pokoleniach dopiero rozpoczynały swą recepcję w literaturze. Już terminologia rdzenna, jej płynność i nieustalenie świadczy, że się nie kłopotano nadmiernie o formę pamiętnika. Nie rozróżniamy przecież ściśle pojęć: „wspomnienie“ i „pamiętnik“, w beletrystyce raczej niż u pamiętnikarzy wykształciła się postać „dziennika“, czyli wspomnień pisanych z dnia na dzień, bo nie uważał jej za literaturę szlachcic, spisujący diariusze w domu czy w potrzebie, ani dworak stanisławowski, ani wreszcie oficer napoleoński, prowadzący doraźny dziennik działań wojennych.

Od postaci dziennika zaczniemy przegląd literatury pamiętnikarskiej za rok 1937. Na czoło wysuwa się tu ogłoszony w drugim już wydaniu „pamiętnik nie-kombatanta“ **Jana Hupki**, w którym autor notuje w formie dziennika wrażenia swoje, prace i osiągnięcia z czasów wielkiej wojny. Dr. Hupka, wybitny polityk enkaenowy, czynny w obozie krakowskich konserwatystów umiał, mimo drażliwości tematu, znaleźć uznanie nawet w kołach przeciwników politycznych. Prof. **Stanisław Pigoń** dał poznać drobny wyimek z takichże wspomnień czasu wojennego na froncie („pisanych juścić nie dzień w dzień, ale co najmniej tydzień w tydzień“). Autor wysłany jako oficer artylerji austr. z baterją moździerzy 30.5 cm na front belgijski i francuski — kreśli swe wrażenia z tacytowską oszczędnością słowa, a z pigoniowskim poczuciem odpowiedzialności za nie. Wrażenia te wydane kiedyś jako całość dadzą pierwszorzędną, klasyczny tom wspomnień wojennych kombatanta. Na brak produkcji w tym dziale uskarżać się nie można. Dziennik sześcioletniej służby **Henryka Pietrzaka**, — legiony, wojsko austr. i polskie — byłby pożyteczny przez swą bezpośredniość i lakoniczne ujmowanie przeżyć. Szkoda tylko że autor zbyt często upretensjonalnia go, szpikując opowiadanie patetycznymi frazesami, lub rozpychając treść przedrukiem rozmaitych odezów, ulotek lotniczych, artykułów z gazet, co nie jest zadaniem pamiętnikarza.

„Notatki robiłem podczas pobytu w polu... na tyłach spisywałem na podstawie tych notatek pamiętniki...“ — pisze **Roman Starzyński** w przedmowie, stąd gwarancja autentyczności i precyzji faktów i oświe-

leń współczesnych, w jakie obfitują żywe, barwne, sympatycznie podane *Cztery lata w służbie Komendanta*. Oryginalną formą — nowy, indywidualny sposób ujmowania żywiołu i pejzażu morza — odznacza się *Pamiętnik morski* Z. Uniłowskiego, pisany w czasie podróży z Buenos Aires do Gdyni w czerwcu i lipcu 1935 r.

Do pamiętników w ścisłym słowa znaczeniu przechodząc, wspomnijmy przede wszystkim o 3-cim tomie T. Jeża: *Od kolebki przez życie*. Jest to gawęda dziadunia przy kominku. Potoczysta, jak na rasowego beletrystę przystało, gładka, wzorowo skomponowana. Chwilami niewątpliwie rozwlekła, a jednak niewątpliwie zajmująca. Stary zagończyk, nieustraszony niepodległościowiec, skrajny demokrat uzyskał już potrzebny dystans wyrozumienia, pobłażliwości. Nie atakuje piorunami przeciwników, unika spraw marszczących pogodę narracji. Chyba wyjątkowo zirytuje się, jak np. w przeciekawej filipice przeciw Mickiewiczowi. Wychodzi z założenia że „wielki poeta rzadko bywa wielkim człowiekiem“ i udowadnia to w kolejnym przeglądzie poczynąń Mickiewicza. Atakuje naprzód Gustawa („Sprawy patriotyczne Gustaw-Mickiewicz podporządkowywał sprawom erotycznym“). Żałuje, że żaden Tretiak nie „naposiadł się“ na Mickiewicza sprzed roku 1830, wówczas bowiem w „straszliwie czarnych barwach biedny Mickiewicz światu by się ukazał!“ W ferworze polemicznym, będącym echem dawnego emigracyjnego antagonizmu, nie daruje Jeż nawet Improwizacji Konrada, za jej „bezład mistyczny i wykroczenia przeciwko sztuce budowniczej“. Osobiście był autor tak zasadniczym przeciwnikiem Mickiewicza - polityka i towiańczyka, że nie uznał za potrzebne odwiedzić go po przyjeździe do Paryża w r. 1851, nie chciał bowiem uznać za mistrza wielbionego zresztą przez siebie poetę. Tom trzeci wspomnień Jeża przynosi poza tym jego wspomnienia z udziału w kampanii 1863 r., znane już z poprzednich prac autora, dalej wrażenia z wystawy paryskiej 1867, z zamachu Berzowskiego na Aleksandra II, z podróży do kraju (Poznań, Kraków, Lwów w roku 1871). W chwili gdy pamiętnikarz zaczyna opisywać swoje dni i prace na gruncie szwajcarskim, gdzie się osiedlił na stałe, rękopis urywa się. W artykule „Spór z T. T. Jeżem“ (Warsz. Dziennik Narodowy, nr. wielkanocny z r. 1937) rozprawia się prof. Pigoń z autorem, uważa go za prekursora dzisiejszych odbłązowiaczy Mickiewicza, acz w „godnym i szlachetnym stylu“, wykazuje nietrafne domysły i błędne konstrukcje.

Pozytywną zdobyczą literatury pamiętnikarskiej jest Wacław Lasocki. Ziemianin z kresów południowych, jednostka przodująca w życiu młodzieży uniwersytetu kijowskiego w latach 1854—1859, pogromca bałagulstwa, chorąży chłopomanii, słynnego ruchu społecznego-wyzwoleńczego, podjętego przez szlachtę kresową, pojmany przy rozwożeniu t. zw. Złotej hramoty w powiecie żytomierskim i zesłany na Syberię. Przeżycia młodości w kraju były przedmiotem tomu 1-szego (Kraków, 1934). Tom 2-gi obejmuje czasy zesłania, opis życia i udręki zesłańców w warzelni soli, Usole, pod Irkuckiem, gdzie powstała istna rzeczpospolita polska, imponująca organizacją, postawą wobec władz rosyjskich, działalnością społeczną na korzyść tubylców. Autor, lekarz z zawodu, na wygnaniu rozpoczął praktykę, z której słynął po powrocie do kraju. W fakturze opowiadania, jasnego i potocznego zwraca uwagę staranne przygotowanie piszącego, który zgromadził nie tylko fotografie ale i biografie zesłańców (a nie brakło wśród nich wybitnych indywidualności: historyk ojciec Wacław, kapucyn, poeta J. Kędrzycki, słynny antykwariusz Gieysztor, Tomasz Ilnicki, mąż Marii, świątobliwy Rafał Kalinowski, ksiązę Włodzimierz Czetwertyński, którego wspomnienia wkrótce wyjdą z druku). Wspomnienia wydane z legatu autora przez Gminę M. Krakowa w sposób staranny przez dyr. Koperę i M. Janika można uznać za klasycznie dobry pamiętnik kresowca-zesłańca.

Lekarzem z zawodu jest również Kazimierz Łukaszewicz. Ukończył studia medyczne w Warszawie w r. 1830, jako lekarz batalionowy odbył kampanię listopadową, aż do przekroczenia granicy z korpusem Ramorina, po czym pracował długie lata jako lekarz w ordynacji zamojskiej. Pisząc w starości pamięta niewiele, maluje wcale żywo choć i wcale płytko tło obyczajowe epoki, nie szczędząc a nawet poszukując watorów ujemnych, szczegółów drastycznych, obscenicznych nawet w Warszawie kongresowej. Dobre są informacje o służbie zdrowia w wojsku polskim i stanie lecznictwa w tej epoce. Wydanie Z. Klukowskiego, znanego bibliofila ziemi zamojskiej, staranne. W późnym wieku wzięli się do spisywania wspomnień współcześni nam pamiętnikarze, L. Bochwic i ks. Kuligowski. Tomik L. Bochwica jest dyspozycją raczej na cały szereg wspomnień o życiu uniwersyteckim Warszawy czasu Apuchtina, kiedy na ławce szkolnej zaczynano mówić o Marxie a czytano Sienkiewicza, a życie zbiorowe młodzieży płynęło przez krótki czas korytem spokojnym i równym. Dwa dalsze lata nauki prawa w Petersburgu szki-

cuje autor również zbyt pobieżnie. Ciekawe natomiast — chociażby jako wątki literackie — są sprawy sądowe i kryminalne, w których Bochwic brał udział jako sędzie śledczy lub prokurator w głębi Rosji. Pleban w Serocku nad Narwią ks. Fr. Kuligowski wspomina w skromnej broszurce czasy sprzed lat 30-tu, gdy był prefektem w gimnazjum w Płocku, epokę bardzo ponurą, gdzie co krok czyhał jadowity podstęp czynowników, przebranych w mundur nauczyciela. Autor wyznaje, że po tylu latach trudno mu wysnuć dokładniejsze obrazy zdarzeń. („Ani liczby uczniów ani ich nazwisk, ani ich stanu cywilnego nie pamiętam, bo nie żyłem wtedy, ale wegetowałem tylko...“).

Urodzony w r. 1866 Bronisław Brajter zaczyna od opisu Łwowa swej młodości, kiedy jeszcze strażnik z wieży ratuszowej wzywał o godzinie 11-ej do gaszenia lamp, kiedy Pełtew śmierdziała niezasklepiona, a pod św. Jurem odbywały się jarmarki. Zamiast pozostawać w dalszym ciągu przy tym okresie nie odtworzonym jeszcze we wspomnieniach i snuć gawędę przeciętnego zjadacza chleba, autor rozwlokł się i rozproszył, pisząc dość zdawkowo i po wierzchu o sprawach raczej zasłyszanych niż przeżytych. Maria Znатовicz - Szczepańska włada piórem finezyjnie i umie pisać. Lepiej by może było, gdyby te drogie jej słusznie strzępy dalekiej tradycji domowej i rodzinnej o Jaszunach, o braciach Śniadeckich, matce J. Słowackiego, o Ludce Śniadeckiej — zanotowała autorka po prostu. Na beletryzacji, wspomaganej lekturą, nie wyszła rzecz należyście. Mimo nią wyróżniają się zapamiętane rysy tradycyjne sylwetek p. Bécu i Ludwiki. W tej postaci beletrystycznej, jak obecna, *Wakacje w Jaszunach* mają z pamiętnikarstwem związek dość luźny.

Wspomnienia szkolne Sandomierzan nie wyróżniają się ponad przeciętność. Pilne są i schematyczne, w sumie dość szare, choć niektóre (np. Kamockiego) pisane wcale raźnie. Wspomnienia St. Fałata z przedwojennego Wiednia, ze szczególnym uwzględnieniem prac kolonii polskiej oraz studiujących nad Dunajem studentów i artystów czyta się gładko i z pożytkiem. Toż samo, ale w stopniu znacznie wyższym — w stosunku do objętości książki i pięknej jej przez Bibliotekę Polską wyprawy — powiedzieć należy o *Moich Chińczykach* Konstantego Symonolewicz a. Autor w powabnej formie literackiej i bardzo sugestywnymi sposobami odtwarza życie wszystkich sfer społeczeństwa chińskiego, gdzie przebył lat 18, pracując w służbie konsularnej.

Ostatnia wreszcie grupa pamiętników żołnierskich, spisanych po upływie lat. Przegląd zaczniemy od mecenasa Stanisława Patka, który nie z karabinem w ręku w okopach walczył, lecz w todze cierpliwie nieustraszonego obrońcy skazańców politycznych w ruchu wolnościowym roku 1905. Z ogłoszonych dotychczas ustępów wnosić można, że pamiętniki mecenasa Patka, nie tylko barwnie pisane lecz i starannie dokumentowane, stanowią będą cenne, chwilami jedyne źródło do dziejów roku 1905 i bohaterskiego zrywu jego bezimiennych często bohaterów. Broszura *Ze wspomnień obrońcy*, choć nie przynosi jakichś szczególnie ważnych nowych faktów, wróży jak najlepiej o całości. Prostotą w ujęciu i naturalnością odznaczają się „wspomnienia lekarki legionowej“, którą została po ukończeniu studiów na uniwersytecie Jana Kazimierza, dr. Julia Świtalska - Fularska. Miłym towarzyszom gwoli wplata autorka w opowiadanie wiele nazwisk żołnierzy, spotykanych przez cały ciąg kampanii od Oleandrów poprzez Jabłonków i Piotrków oraz z powrotem Lwów za rabacji ukraińskiej. Autentyczny kobiecy entuzjazm dodaje gawędzie uroku. Lucjan Bazgier (Popiel) wiązuje się też z zadania uczciwie, ujmując doznania swe na froncie nad Nidą i w etapach w kształt pożywej i zajmującej beletrii. Nie można powiedzieć tego samego o Janie Kiszkielu, który rozgawędza się ponad wszelką miarę. Autor odbył służbę wojskową w mundurze rosyjskim, pracował w sztabie frontu zachodniego dotarł na Uralsk, Omsk i Władywostok, spędził trzy tygodnie w Japonii, widział rewolucję roku 1917 itd., brak mu wszakże zmysłu selekcji, którym by oddzielił przeżycia ważniejsze od mniej ważnych, a przede wszystkim brak swady i talentu narracyjnego. Kaszub Bernard Potrykus, rodem z Ostrzyc w powiecie kartuskim, ma więcej wrodzonego instynktu w chwytności i upamiętnianiu wrażeń doznanych w ciągu dwóch miesięcy na froncie Verdun. Może dlatego, że książeczka jego, pierwotnie po niemiecku napisana, jest rodem z filmu, film bowiem z książki Remarquy zachęcił Potrykusa do pisania. Szkoda tylko, że jego żołnierze w okopach są zbyt dobrze wychowani i nawet klną po literacku, jak w powieści dawniejszego typu. („Ty barani łbie! baczność, nie wypal!“). Wydawca, znany literat major J. A. Teslar zapewnia jednak, że „zachował wiernie wszelkie wyrażenia i porównania autora, które stanowią urok i własność jego myślenia, mowy i stylu“. W języku domowym, kaszubsko-polskim byłaby ta rzecz rewelacją.

Oto i cały plon, dostępny redakcji Rocznika Literackiego i sprawozdawcy. Widać że kunszt pamiętnikarstwa nie zmalął i nie osłabł, mimo że wciąż jeszcze nie dostaje mu poszanowania wśród czytelników. Nie stracił dotąd mocy obowiązującej przesąd, wedle którego dobry i zajmujący pamiętnik znaleźć można przede wszystkim u Plona czy Hachetta.

A dla samej twórczości pamiętnikarskiej „sensu stricto” czas jest raczej niesprzyjający. Tworzywo i autorów zabiera jej beletrystyka czytelnika. Pamiętnikarze, gardząc niechybnymi laurami przyszłych Pasków, Koźmianów, czy Jeżów, — Odyńców wreszcie, — wolą fabrykować ze swych przeżyć powieści. Bardzo rozmaite powieści.

STANISŁAW WASYLEWSEI

KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

WSZYSTKIEGO PO TROCHU — TAK MOŻNA BY NAZWAĆ różnorodność wątków narracyjnych przewijających się w r. 1937 przez książki dla dzieci, a zwłaszcza dla młodzieży. Jest egzotyka i fantastyczna przygodowość oraz detektywistyczna niemal sensacyjność, problemy wychowawcze w ujęciu szkolnym i w harcerskim, a jeśli co dominuje — to dziwnym zbiegiem okoliczności — historia. Skończywszy z Gdynią, lotnictwem i podnoszeniem wzwyż kresów wschodnich, autorzy odłożyli na bok tematy aktualne w życiu wewnętrznym Polski.

I ubiegły rok, jak kilka lat poprzednich, nie może się pochwalić rewelacyjną książką, może jednak wykazać się szeregiem pozycji o solidnej wartości. Pościowo jest średni: na 79 nowych książek i broszur (tych ostatnich większość) wyszło 78 przedruków oraz 64 tłumaczenia z literatur obcych. Do grupy pisarzy ofiarowujących swoje pióro i młodzieży przybyli: Jan Parandowski, opowiadający czytelnikowi o klasycznej starożytności; Antoni Gawiński, który po długoletnim poprzestawaniu na coraz to nowych przedrukach *Lolka Grenadiera*, odezwał się znów do młodzieży, zaznajamiając ją ze sztuką i kulturą renesansu, oraz Maria Brzuska, sięgająca do niedawnej przedwojennej przeszłości. Z nowych — nazwiska Zofii Szymanowskiej oraz spółki autorskiej J. Dąbrowskiego i T. Kwiatkowskiego zdają się gościć przelotnie w tej dziedzinie pisarstwa. Wacław Sieroszewski eksploatuje swoją dawniejszą twórczość, wydając w odpowiednim wyborze i przystosowując książki przed laty pisane dla dorosłych do potrzeb młodzieży. Jego *Polowanie na reny* (Rój), zbiór trzech opowiadań o polowaniu na jarzabki, wieloryby i reny, może być ciekawe dla dzisiejszego młodego czytelnika jako mocno zarysowana migawka z życia polskich zesłańców politycznych na Syberii, rzucona na tło pięknie, namalowanego krajobrazu. Myśliwstwo dla rozrywki

podtrzymujcej siły życiowe w zgębionych nostalgią zesłańcach, myśliwstwo dla zarobku (na wieloryby) i myśliwstwo dla zaspokojenia głodu — to więz tych trzech opowiadań, dających także garść wiadomości o życiu, obyczajach, strojach i wierzeniach Jakutów.

Ostatnio przeróbce uległa powieść pt. *Dalaj Lama*, otrzymując obecnie jako książka dla młodzieży tytuł: *W niepodległej Mongolii* (B. Polska). Nie oś narracyjna, na którą nanizano bujne przygody i ponure sensacje, stanowi tu o wartości książki. Ta oś jest dosyć szablonowa w przygodowych powieściach dla młodzieży. Brat z siostrą, wyrwawszy się z krwawych rąk bolszewików, uciekają przez Mongolię do Chin, by stamtąd przedostać się do Polski. Zanim im się to uda, przeżyją wiele tragicznych wydarzeń. Gdy sytuacja wikła się już w sposób niemożliwy, polski lotnik na aeroplanie ratuje bohaterów. O wartości książki stanowi jej instruktywność. Czytelnik otrzymuje dużo wiadomości o tym érodkowo-azjatyckim kotle politycznym, o obyczajach i wierzeniach mongolskich koczowników; jest mile zdziwiony nazwą „łagodnych pasterzy“, za których się Mongołowie sami mają. W takim spojrzeniu na potomków Dżingis-chana jest dużo świeżości i bezstronności. Plastyka, z jaką autor przedstawia mnóstwo egzotycznych realiów, góruje nad wysiłkiem włożonym w charakterystykę postaci, zwłaszcza dodatnich.

Równie jak poprzednia, obfituje w przygody powieść fantastyczna L. Życkiego - Małachowskiego pt. *Tajemnica Hoggaru* (Nasza Księgarnia). Tajemnicą jest tu podziemna rzeka i jeziora ukryte wśród niedostępnych skał zachodniej części Sahary. Ten skarb wzięła bezprawnie w monopol fantastyczna sekta „czcicieli wody“, ciągnąca z tego zyski i dopuszczająca się zbrodni na każdym śmiałku, pragnącym zbadać tajemnicę. Polak odbywający naukową podróż z ramienia warszawskiego uniwersytetu, wpada na śmiałe przypuszczenie, że wszelkie wody zachodniej Sahary mają swe źródło w podziemnym naturalnym kanale, łączącym Morze Śródziemne z Atlantykiem i znajduje zrozumienie oraz pomoc dla swoich planów u wodza pewnego szczepu Tuaregów. Wiadomości o życiu i obyczajach Arabów oraz innych koczowniczych plemion północnej Afryki, opis krajobrazu Sahary i wędrówek po niej — są tu tak wyraźnie wysunięte na pierwszy plan, że czytelnik łacno spostrzeżga niewielkie wysiłki autora, by fabułę stopić w jedno z krajoznawczą zawartością książki. Oddanie inicjatywy przeobrażenia olbrzymich

nieużytków Afryki na tereny człowiekowi pożyteczne w ręce polskie jest pozytywną wartością tej książki o skromnym poziomie literackim.

Ponęcie fascynowania czytelnika tajemniczością i sensacyjnymi przygodami uległ także i Kornel Makuszyński, ofiarowując młodzieży *Szatana z siódmej klasy* (Gebethner i Wolff). Bohater tego opowiadania może być uważany za wcielony ideał wyobraźni chłopięcej z okresu uwielbiania sprytu i dzielności wystawionych na próbę wśród tajemniczych i niebezpiecznych awantur. Ten młodociany polski Sherlock Holmes nie ma na szczęście do czynienia z krwawą zbrodnią, jakkolwiek pozwolił mu autor ocierać się o typy wcale czarne i brutalne, nie przebierające w środkach dla zdobycia tajemniczego skarbu. Adaś, „piekielnie” sprytny uczeń starego, zacnego i naiwnego profesora Gąsowskiego, zostaje przez tegoż profesora wezwany do wykrycia dziwnej sprawy, dręczącej rodzinne gniazdo Gąsowskich, położone w najbliższym sąsiedztwie dworów przedstawionych przez autora w powieści zeszłorocznej *Złamany miecz*. Intryga obmyślona i rozwiązana bardzo zręcznie.

Makuszyński pamięta, że nie należy karmić młodzieży samą sensacją, choćby najbardziej smakowitą. To też jego bohater jest nie tylko sprytny i zakochany, ale także szlachetny i obdarzony miękkim sercem dla wszystkich zacnych ludzi, choćby i z lekka ośmieszonych. Charakterystyki braci Gąsowskich, z których jeden jest szlachetnym, wiecznie roztrzepanym historykiem z gatunku wielbicieli Napoleona, a drugi dyletantem matematykiem, zaniedbującym gospodarstwo dla wątpliwej wartości odkryć — odznaczają się szczerym komizmem i trafnym podmalowaniem psychologicznym. Ogólnie stwierdzić można, że o ile temat powieści dostosowany jest do jak najszerzej masy niewybrednych czytelników, o tyle opracowanie liczy się z wyrobionym poczuciem humoru i zachęca czytelnika do zastanawiania się nad wartością etyczną ludzkich czynów.

Wiara w zwycięstwo dobra nad złem przemawia także z ostatniego sensacyjnego opowiadania Marii Buyno - Arctowej *Złota nić* (M. Arct). I tu się czegoś poszukuje, mianowicie brunetki ze złotym pasmem włosów. Wartość pomysłu i poziom opracowania nie przynosi niczego nowego w dorobku tej autorki.

Życie wewnętrzne młodzieży, ściśle biorąc, chłopców, tak jak ono przedstawia się oku wychowawcy, odtworzył Gustaw Morcinek w 12 opowiadaniach, zatytułowanych zbiorowo *Gołębie na dachu* (Rój,

II wyd.). Jest to jakby kronika szkoły skoczowskiej, pisana przez nauczyciela, w paru ustępach — rzekomo przez grupę uczniów. Starając się przeniknąć dusze „przemitych barbarzyńców“, autor szczerze odkrywa przed czytelnikiem trudności wychowawcze dzisiejszej szkoły. Morcinek nie podziela zdania rodziców, że było lepiej, gdy dawna niemiecka szkoła nie szczędziła kija uczniom, i chociaż widzi, że religijność dzieci jest płytka, moralność prostacka, zapału do nauki szkolnej niewiele, tym bardziej ceni momenty otuchą napęliające, których sporo dostarcza życie szkolne. Opowiadania odznaczają się plastyką, żywością scen zbiorowych, niejednokrotnie rozjaśnionych humorem i dobrze zabarwionych kolorytem lokalnym.

Mniej pretendującą do wybitniejszych walorów literackich, ale pragnącą zaważyć na życiu jest książka J. Dąbrowskiego i T. Kwiatkowskiego *Jeden trudny rok* (Rój). Bogata w treść wydobyta z życia dwóch drużyn daje szereg przemyślanych ważnych zagadnień, domagających się obecnie rozwiązania od kierowników harcerstwa i wychowawców w ogóle. Książka nie cofa się także przed rzetelnym obrazem nastrojów harcerzy z drużyny rzemieślniczej, przeważnie młodzieńców bezrobotnych, doświadczonych życiowo i marzących o ogólnopolskiej partii uczciwych robotników, która by wywalczyła sprawiedliwość, stworzyła równy start dla wszystkich. W tej trudnej i drażliwej sprawie autor staje na mądrym i rozważnym stanowisku, że harcerstwo nie może uprawiać polityki, czy wysługiwać się jakiejś partii, może być tylko organizacją przysposobienia społecznego. Bujność ideologiczna książki stanowi o jej poważnej wartości i dla wychowawcy i dla starszych chłopców.

Do grupy opowiadań historycznych przechodzimy wraz z książką Marii Brzuskiej *Stary lamus* (M. Arct), opowiadającej o wydarzeniach wśród grupy dzieci w małej osadzie mazowieckiej na tle lata 1914 r. Stary lamus za jeziorem i chata starego rybaka są ośrodkiem tajemniczości, nęcącej dzieci, a jednocześnie i policjanci rosyjscy także coś węższą wokół zbierających się w pobliskich lasach ludzi. Wyprawy dzieci do lamusa dają niespodziewany wynik: wśród gratów znajduje się tam kurtka powstańca z 1863 r. i inne pamiątki, a stary rybak okazuje się także nie tylko dawnym uczestnikiem tegoż powstania, ale i konspiratorem, rozszerzającym wśród okolicznych ludzi gazety i broszurki zakordonowe z wiadomościami o przygotowującym się ruchu wyzwolenicznym. Wojna zostaje ogłoszona, policja ucieka, a rzekomy rybak i naj-

starszy chłopiec z grupy dzieci wyjeżdżają, by być bliżej źródła polskiego ruchu zbrojnego. Zamiar unaocznienia młodziutkiemu czytelnikowi, w jaki sposób przeszłość wiąże się z teraźniejszością, jak minione pokolenie podaje broń do walki o niepodległość nadchodzącemu — udało się autorce-debiutantce w zupełności. Akcja jest żywa i dobrze dostosowana do wieku czytelnika, postaci występujących dzieci są nieźle zindywidualizowane; postępują jak dzieci, mówią jednak, niestety, jak czytani dorośli. Styl opowiadania robi dobre wrażenie i jest poprawny i zgrabny w budowie.

W o wiele dawniejsze epoki sięga Zofia Kossak w zbiorze opowiadań p. t. *Wielcy i mali* (Rój, II wyd.). Trzy z nich za tło mają stulecie XVII, czwarte przenosi czytelnika w koniec wieku XIII, a wszystkie dotyczą Śląska cieszyńskiego. Perłą tego zbioru jest *Ostatnia księżna cieszyńska*.

Na dużo skromniejszym poziomie artystycznym znajduje się powieść p. t. *Puszkarz Orbano* (Państw. Wyd. Książek Szkoln.). Opowiada ona o oblężeniu i zdobyciu Konstantynopola przez Turków w 1453 r.

Osią fabuły jest tragiczna historia puszkarza Orbana, opętanego manią wynalazczą. Po wielu latach wyteżonych obliczeń wymyślił on bombardę olbrzymich rozmiarów. Nie tylko najbliższe otoczenie, ale i cesarz grecki, do którego udało mu się wreszcie dotrzeć, wyśmiewa wynalazek, uważając Orbana za szaleńca. Opętany jedną myślą idzie w świat, by znaleźć kogoś, kto by zrealizował jego pomysł. Rodzina uważa go za zaginionego. Mahomet II, pobierający już daninę holdowniczą od Basileusa, spać nie może, dopóki nie posiadzie i greckiej stolicy. Konstantynopol jest otoczony odwiecznymi murami, zaniedbanymi karygodnie przez próżniaczych i zgnuśnialych w bogactwie mieszkańców, ale trudnymi jeszcze do zdobycia. Pomysł Orbana, zjawiającego się w obozie tureckim, zostaje przyjęty i wkrótce przerażającej mocy działa wałą w mury miasta. Syn Orbina, Mario z oburzeniem odpiera pogłoski, że jego ojciec, chrześcijanin stał się renegatem i w służbie u Turków gotuje zgubę Konstantynopoli. Chłopak z narażeniem życia przedziera się do obozu Turków i przekonywa się o potwornej prawdzie. Aby zmyć hańbę z nazwiska, nie tylko bierze gorliwy udział w obronie miasta, do czego jako Włoch nie jest wcale zobowiązany, ale i potajemnie zakrada się pod bombardę, by ją zagwoździć. Ginie i swoją śmiercią otwiera oczy ojcu, który zgodnie z wolą straconego syna niszczy wszystkie bombardy i sam ginie pod ich gruzami. Niestety, Konstantynopol i tak już zdobyty. Mahomet II wjeżdża konno do świątyni Hagia Sophia.

Mimo tego interesującego wątku opowiadanie zawiera sporo dłużyzn, ustępów pouczających czytelnika o wzajemnym stosunku kościołów wschodniego i zachodniego, o lekkomyślności Greków, egoizmie państw

łacińskiego Zachodu itd., jest więc bardziej instruktywne niż sugestionujące swoim kształtem artystycznym jako całość.

Wartość pouczającą posiada także i książka Antoniego Gawińskiego *Peregrynacje Andrzeja Wilczka* (Państw. Wyd. Książek Szkoln.). Fabuły jest w tej powieści mało, ta, która stanowi kanwę opowiadania, jest wątła i nie pociągająca wyobraźni młodego czytelnika. Autor opowiada o przygotowaniach do podróży legata polskiego Erazma Ciołka do Rzymu, o przebiegu tej peregrynacji i powrocie do rodzimego Krakowa. Najbliższą czytelnikowi jest postać młodego pazia Wilczka i jego to niejako oczami widzimy ówczesne renesansowe czasy w Polsce i w kolebce nowożytnej sztuki — we Włoszech. Mantegna, Botticelli, Leonardo, Michał Anioł, Rafael i inni wielcy artyści przesuwają się tu przed oczami czytelnika bądź osobiście na tle warsztatu pracy lub stosunków z papieżem Juliuszem II, bądź w charakterystycznych opowieściach współczesnych. Wychowawczą wartość książki stanowi właśnie wprowadzenie młodzieży w świat wielkiej sztuki, chęć przepojenia jej czcią dla piękna plastycznego, zaznajomienia z rysami obyczajowymi i kulturalnymi włoskiego renesansu.

Jan Parandowski opowiedział dla młodzieży według Iliady i Odysei Homera *Wojnę trojańską* i *Przygody Odyseusza* (obydwie książeczki wydane przez Państw. Wyd. Książek Szkoln.). Opowiadania te odznaczają się dyskretną i wychowawczo trafną relacją treści oraz prostym, zwięzłym, pięknie poprawnym językiem. Wyborem epizodów szczególnie opowiedzianych kierowała nie tylko tradycja szkolna, ale estetyczny smak i rozległa kultura klasyczna autora *Dysku olimpijskiego*. Czytelnik odczuwa wdzięczność za nieprzeciążenie opowieści cytataми z Iliady w przekładzie Ks. Dmochowskiego, chętnie widząc ich więcej z Odysei w przekładzie L. Siemieńskiego. Rola pośrednika między klasycznymi epejami a współczesnym dzieckiem dostała się tu w powołane, inteligentne ręce.

Poza omówionymi działami stoi książka Zofii Szymanowskiej p. t. *Opowieść o naszym domu* (Książnica-Atlas). W tych wspomnieniach, poświęconych bratu Karolowi, wielkiemu kompozytorowi, niedawno zmarłemu, opowiada autorka o rodzinnym domu na Ukrainie. Z głębokim i subtelnym umiłowaniem licznej rodziny, przyjaciół, sąsiadów, przywiązaną i cenioną służbą, ulubionych psów, koni, pięknych sprzętów, uroczego ogrodu snuje wspomnienia swego dzieciństwa, w którym tak wielką

rolę odegrał znacznie starszy od niej utalentowany i ukochany brat. Pełne delikatnego wdzięku opowiadanie utrwała sylwetkę kompozytora wartościowymi epizodami w jego twórczym trudzie i w jego wrażliwym pogłębionym stosunku do otoczenia. Dla czytelnika o wyrobionym już trochę smaku literackim książka jest ciekawą odmianą pamiętnika.

Tegoroczne numery biblioteczki M. Arcta p. t. *Zajmujące czytanki* wykazują poziom cokolwiek niższy niż z kilku dobrych lat ostatnich. Na dziewięć przesłanych broszurek — wartościowymi tematami i odpowiednio opracowanymi odznaczają się: *Włóczęga* (przygody młodości Jakuba Callota, rysownika i malarza wieku XVII), *Bohaterowie Mont Blanc* (opowiadanie o ekspedycji ratowniczej) oraz *Na prawdziwym jachcie* (wrażenia z podróży po Bałtyku, temat dosyć błahy, ale sympatycznie i ze znajomością rzeczy opowiedziany). Inne, dając czytelnikowi garść wiadomości o świecie i nawołując go do pożytecznej pracy na roli (*Własnymi siłami*) lub w lesie (*Skarb w lesie*), nie są udane pod względem literackim, lub dosyć ryzykowne pod względem wychowawczym (*Kulawy chłopiec*, *Kurs narciarski*).

Na pograniczu między literaturą dla młodzieży i książkami dla małych dzieci znajduje się opowiadanie Kazimierza Konarskiego p. t. *Przygody jednej książki* (Państw. Wyd. Książek Szkoln.). Autor wybrał dobry temat o służbie i przygodach książki wśród dzieci. Dziewczynka na wai dostaje w nagrodę za dobre świadectwo szkolne książkę Konopnickiej o krasnoludkach. Książka, raz zgubiona, przechodzi z rąk do rąk; z ula uniesionego powodzią wpada w ręce terminatora rzemieślniczego w Warszawie i zostaje ofiarowana bibliotece publicznej, a tu trafia z powrotem do pierwszej posiadaczki. Wypisane na okładce nazwisko przypadkowego właściciela odgrywa decydującą rolę w odnalezieniu się rodziny reemigranta brazylijskiego. Przy tej sposobności dowiaduje się młodziutki czytelnik, jak należy i jak nie należy postępować z przyjacielem — książką. Pożyteczna powiastka bardzo nadaje się dla uczniów szkoły powszechnej.

Wśród lektury dla dzieci na poczytne miejsce wysuwają się książki Janiny Porazińskiej: *Legends* (Państw. Wyd. Książek Szkoln.), *Baśń o siedmiu krukach* (Włocławek, Spółdzielcza Księgarnia Szkolna) i *Maciuś Skowronek* (Państw. Wyd. Ks. Szk.). Legendy mają szatę graficzną staranną, ale ilustracje S. Wojwódowej wykazują rysunek dosyć pobieżny i banalny zarówno w treści jak w linii. Kilka legend poświęciła autorka postaci Pana Jezusa, parę Matce Boskiej, resztę świętym i zwy-

kłym ludziom, których spotkały cudowne wydarzenia. Z powagą języka ludowego, z jego powściągliwością przy jednoczesnej dosadności w odtwarzaniu akcji i w dialogu rozwija autorka przysłówie, jak „Święty Piotr grzyby sieje“, lub interesująco opowiada znane podania np. o człowieku, który odwiedził niebo za życia i chwilą mu się to zdało, a wróciwszy na ziemię, przekonał się, że opuścił ją setki lat temu, to znów o „żywej wodzie“ w Krynicy, lub o matce, której łzy wylewane po zmarłej ukochanej córce stają się wodą w konwi z coraz większym trudem dźwiganej przez duszę dziewczyny, lub wreszcie o tym, jak zmarła matka na prośby córki zjawia się na jej weselu jako chmurka, jako błogosławienie deszczem i jako tęcza. Jest w tej książeczce tchnienie prawdziwej poezji, nie po-drabiane wycucie duszy ludu.

Baśń o siedmiu krukach jest osnuta na wątkach baśni ludowej. Bardzo pięknie, z dużą siłą suggestywną, doskonale naśladowując ton poezji ludowej z jej dramatycznymi skrótami, z jej skondensowaną plastyką, to znów z rozlewnością wierszowanych zawodzeń i refrenów opracowała Porazińska stary motyw baśniowy. Książka będzie trwała pozycją nie tylko w literaturze dla dzieci, ale i w ogólnym zasobie artystycznie opracowanych baśni i podań literatury polskiej.

Maciuś Skowronek to miło i z humorem opowiedziane pierwsze przygody życiowe chłopca wiejskiego w chacie i poza nią, obejmujące siedem lat jego życia. Wszystkie są komiczne i świadczą o wielkiej naiwności Maciusia. Ciasnota kręgu doświadczeń czyniąca z dziecka głuptasa staje się trochę rażącą, zwłaszcza pod koniec książki. W tej części opowiadania wyczuwa się też pewną tendencję: Maciuś powinien iść do szkoły i pój-dzie, by nabrać w niej rozumu. Tą skazą artystyczną obciążone zakończenie nie przekreśla jednak wdzięku opowiadania o życiu, pracy i obyczajach chaty wiejskiej. Czytelnik widzi tu wieś prawdziwą, pełną pogody i śpie-wek, o skromniutkim horyzoncie myślowym, jedną z tych, które o wiele więcej uroku mają pod utalentowanym piórem poety niż w rzeczywistości społecznej.

Janina Gillowa w zbioru wierszy zatytułowanym *Maciusiowa wioska* (M. Arct) także mówi o najbliższym otoczeniu małego Maciusia. Książka ujawnia dobre wycucie dziecka wiejskiego i ma pewną świeżość. Pod względem formalnym wierszyki nie zawsze są bez zarzutu (zdarzają się dosyć często kłopotliwe lub kulejące rymy), ale jest i parę prawdzi-

wie ładnych, jak: *Maciuś*, *Motyl*. Wśród ilustracyj St. Bobińskiego kilka jest okropnych.

Inny jest świat dziecka „inteligentkiego“, inaczej, bardziej mózgowo reaguje ono na swoje otoczenie, inaczej współżyje ze zwierzętami. Pełna wdzięku książka Ewy Szelburg - Zarembiny p. t. *Najmilsi* (Państw. Wyd. Książek Szkoln. wyd. II), opowiada o Reni i jej ukochanych zwierzętach: psach, kogucie, zając, wróblu, sowie, żółwiu, wiewiórce, jeżu i lisie. Większość „najmilszych“ została uratowana przez dziewczynkę i jej rodziców z jakichś ciężkich przygód życiowych, wyleczona i hodowana w możliwie najprzyjemniejszych dla zwierzęcia warunkach, a potem wypuszczona na wolność. Ten kulturalny stosunek do wszelkiego żywego stworzenia, usiłowanie odgadnięcia, jaki jest świat przeżyć zwierzęcia i jego szczęście, ten stosunek właściwy subtelnej, dobrej i inteligentnej dziewczynce i umiejętnie pogłębiany przez jej rodziców — decyduje o dużej wartości wychowawczej opowiadań. Ich kształt literacki odznacza się także subtelną prostotą językową, owym tonem mądrej „naturalności“.

Julii Duszyńskiej *Szarusia* (Państw. Wyd. Ks. Szk.) przedstawia skromne przygody młodej kuropatwy, chowanej przez dzieci na wsi, potem oddanej do ogrodu w mieście. Opowiadanie posługuje się językiem łatwiutkim, dostępnym dla zupełnie małego czytelnika.

Mniej więcej dla tego samego poziomu przeznaczona jest książka Jana Brzechwy p. t. *Tańcowała igła z nitką* (J. Mortkowicz), zawierająca 20 groteskowych wierszy, obficie ilustrowanych humorystycznymi rysunkami Fr. Themerson. Żartobliwość w niektórych wierszach dobrze dostosowana do poziomu czytelnika — ucznia borykającego się z pisownią, rachunkiem i zdobywającego pierwsze elementy z „nauki o rzeczach“, kiedyindziej staje się trochę makabryczna w stylu groteski rosyjskiej (wiersz o indyku), lub staje się igraszką słowno-pojęciową przerastającą możliwości wieku czytelnika. Książka jest typem zbliżonym do *Koszalka-opalka* Rogoszówny, ale pozbawionym pierwiastka ludowego, natomiast skłaniającym się ku postawie żartobliwie-badawczej. Forma wierszowa staranna i udatna, tematyka nie zawsze fortunna.

Stefan Themerson, z którym od kilku lat stykali się czytelnicy czasopism dla dzieci, wydał u J. Mortkowicza książkę p. t. *Przygód Marcelianka Majster-Klepki historyj 6*. Treść — to stara znajoma, tzw. nauka o rzeczach, ale ubrana w nowe szaty bajki. Marcelianek, posiadacz

cudownego węzła z narzędziami, wędruje po świecie i uczy ludzi pracy. W tych opowiadaniach jest sporo świeżych pomysłów, ale nie mało także i dziwactw, rażących sztuczności. W ogóle nieprzyjemna jest zasadnicza postawa autora, wyrażająca się w stałym przeciwstawianiu Marcelianka leniwym środowiskom ludzkim; jest to jaskrawa i jednostronna apoteoza techniki, coś w rodzaju zachwytów nad pięciolatką bolszewicką, mającą zbawić Rosję, a przez nią ludzkość, jakkolwiek nie należy mniemać, że książka ma świadomie cośkolwiek wspólnego z propagandą tych haseł. Podskórny jej nurt jest jakiś oschły, pogardliwy w stosunku do ludzi. Barwne linoleoryty Franciszki Themerson oraz staranna szata graficzna wzbogacają ogromnie książkę.

K. Makuszyński — M. Walentynowicz, wprawni zdobywcy dziecięcego rynku czytelniczego, skończywszy z *Koziołkiem-Matolkiem* i z małpką *Fiki-Miki*, przeszli do polskich podań historycznych i ofiarowali na gwiazdkę 1938 r. bajkę *O wawelskim smoku*. Do Kraka, Wandy i szewczyka Skuby — pogromcy smoka, dodał jeszcze Makuszyński, by odświeżyć podania, królewicza Bursztynka, rodem z tego miejsca „gdzie dziś Gdynia“. Opowiadanie jest groteską, której jaskrawość ujawnia się w zestawieniu uczuciowo-patriotycznego tekstu z ośmieszająco-karykaturalnymi rysunkami. Takie pierwsze zetknięcie się w życiu dziecka z podaniami narodu — należy uważać za śmiały eksperyment.

Maria Dynowska, opracowując prozą ten sam temat oraz inne podania i legendy krakowskie w książce p. t. *O wawelskim smoku i innych cudownych zdarzeniach* (Książnica-Atlas), postępuje utartą drogą pouczającego apoteozowania uświęconych tradycją postaci i wydarzeń.

Oryginalnością odznacza się ostatnia książka Hanny Januszewskiej o tym *Jak polska pyza wędrowała* (M. Arct). Kluska przez mazowiecką gospodynię zrobiona, zwiana przez wiatr ze stolnicy, otrzymuje ubranie kobiece i wędruje po całym kraju, doznając przygód na wodzie, na ziemi i w powietrzu. Zwiedza ważniejsze miasta polskie i okolice (nie była jeszcze nad morzem, ale może to uczynić na przyszły rok bez szkody dla kompozycji całości, dającej się rozciągać w nieskończoność). Taka wędrówka daje sposobność do licznych wspomnień historycznych i reminiscencji literackich. Te ostatnie są jednak stanowczo przedwcześnie dla czytelnika wierszowanej bajeczki o Pyzie. Podróż kluski ciągnie się przez 254 strony, z których każda składa się z ilustracji (nie-szczególne rysunki R. Wylcana) i czterowiersza. Mimo swoistego wdzięku

tej fantastyki trudno się oprzeć wrażeniu, że rozwinięcie tematu grzeszy dłużyznami i nierównomierną wartością epizodów, wśród których trafiają się zarówno bardzo udane, jak i mniej fortunate.

Książka Lucyny Krzemienieckiej *O Jasiu kapeluszniku* (J. Przeworski), ilustrowana przez St. Bobińskiego, zawiera oprócz tytułowego, pięć opowiadań, przeważnie drukowanych już wcześniej w czasopiśmie dla dzieci. Najlepszą powiastką tego zbioru jest tytułowa, będąca nową wersją popularnego opowiadania o odmianach księżycy, w którym ten podróżnik niebieski sprawia kłopot krawcowi, szyjącemu ubranie dla księżycy, to zbyt ciasne, to zbyt luźne. U Krzemienieckiej kłopoty są te same, ale chodzi nie o ubranie, tylko o kapelusz dla księżycy, no i rozwiązanie jest dowcipniejsze, księżyc bowiem kupuje obydwie kapelusze: i ten, który mu będzie służył w pierwszej i trzeciej kwadrze i ten, który się nada w okresie pełni. Miłe jest także opowiadanie o lalce Eulali, księżycu i biednej Franusi, jakkolwiek tytuł nie najlepiej pokrywa się z treścią.

Z dużej ilości utworów scenicznych dla dzieci, wydawanych przez różne firmy w kraju, dla sprawozdania udało się otrzymać tylko nową książeczkę Biblioteki Teatrzyku Kukiełek, a mianowicie *Marii Kownackiej Cztery mile za piec* (Nasza Księgarnia). Jest to rewia wierszowana, oparta na motywach samorodnej dziecięcej poezji ludowej. Cały szereg króciutkich scen osnuła autorka wokół przewodniego motywu — poszukiwania zaginionej lalki, która poszła cztery mile za piec. Widowisko jest pełne bujnej akcji o treści żywcem wydobytej ze świata magii dziecięcej i ten rys stanowi o doskonałym dostosowaniu utworu do małego widza czy też czytelnika i zapewnia książce nieklamany wdzięk.

Wśród tłumaczeń na pierwsze miejsce pod względem wartości literackiej wysuwa się przekład książki *O królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu*, opracowanej w języku angielskim przez U. Waldo Cutlera (według Maloryego *Morte Darthur*), dokonany artystycznie i stylem pięknie archaizowanym przez Felicję Kruszewską (Państw. Wyd. Książek Szkoln.). Czar średniowiecznych legend, rola mistycyzmu religijnego w życiu rycerstwa, jego wysokie ideały etyczne i fantazja w poszukiwaniu przygód — wszystko to zachowało swój styl w doskonałym przekładzie.

Na uznanie zasługuje także żywy, plastyczny i wierny przekład szeroko znanej i cenionej w anglosaskim świecie książki R. Kiplinga *Puk z Pukowej górki*, dokonany przez J. Birkenmajera (Biblioteka Lau-

reatów Nobla, R. Wegner). Pełne uroku jest to opowiadanie o dziejach Anglii, mające kształt wizji zasugerowanych dzieciom przez ducha Puka. Doskonałą formę obrał autor dla zainteresowania dzieci tym, co się działo dawniej na tym miejscu, na którym one żyją obecnie. Ton uczuciowo-patriotyczny siłą rzeczy nie znajdzie oddźwięku w dzieciach innych krajów, pozostaje jednak wielka plastyka, często i dramatyczne napięcie opowiadania, udzielające się każdemu czytelnikowi.

Interesujący jest dalszy ciąg opowiadania Karin Michaelis o Bibi, znanej już polskiemu czytelnikowi. W ostatnim tomie pt. *Bibi podróżuje* (tłumacz. A. Waldenbergowej, Nasza Księgarnia), opowiada autorka częściowo od siebie, głównie jednak przez listy Bibi do ojca o wrażeniach z podróży po Niemczech. Są to jeszcze Niemcy przedhitlerowskie, polityka więc, marsze, manifestacje i hasła nie odgrywają tu żadnej roli. Dziewczynka, opisując wszystko, co widzi, specjalnie szeroko i z entuzjazmem rozwodzi się nad tym, co ją interesuje, a więc: fabryka zabawek, lalek, huta szkła, wyrabiająca świecidelka choinkowe, szlifiernia drogich kamieni, wytwórnia szklanych oczu itd. Od tej strony potraktowane krajoznawstwo przemówi do każdego dziecka. Bibi jest wybitnie impulsywna, głęboko czująca wszelką niedolę ludzką i zwierzęcą, jej sposób reagowania na świat może mieć pożądany wpływ na niejednego czytelnika. Entuzjastyczny stosunek do Niemiec może się wydać przesadą, ale nieszkodliwą.

Na niezwykle pomysł wpadła rodzina p. Abbego, Amerykanina, odbywającego liczne podróże po Europie. Książkę, zawierającą wrażenie z tych wieloletnich wędrówek, postanowiły napisać dzieci i w ten sposób powstał utwór: *Patience, Richard i John Abbe W jedenaście lat dookoła świata* (przekł. C. Wieniewskiej, J. Przeworski). Dzieci, a głównie najstarsza dziewczynka, Patience, podyktowały matce wszystko to, co zauważyły, przeżyły i zapamiętały z pobytu we Francji, Austrii, Niemczech, Rosji (bolszewickiej), Niemczech hitlerowskich, Anglii i Ameryce. Książka uderza wielką bezpośredniością i świeżością spostrzeżeń, typową dla dzieci chaotycznością myślenia przy wielkiej pobudliwości uczuciowej oraz ostrym, jednostronnym sądem. — Stwarza osobliwy kalejdoskop wrażeń i obrazów, interesujący dla dorosłego czytelnika, mniej pożądany, a może i mniej pojętny dla dzieci.

Zachwycający swą pomysłowością i humorem autor przygód doktora Dolittle, Hugh Lofting wydał nowy tom p. t. *Cyrk doktora Dolittle*

(tłum. J. Mortkowiczowej). To samo, co o poprzednich opowiadaniach osnutych wokoło tej kapitalnej postaci, można powiedzieć i o ostatniej książce. Historia z foką, której doktor dopomaga wydostać się z cyrku i podążać na rodzinną Alaskę do męża, prowodyra stada fok, oraz humanitarne reformy, wprowadzone przez doktora do osławionej instytucji, w której zwierzęta zabawiają ludzi, tj. do cyrku — są głównymi wątkami tej książki.

Młodzi czytelnicy otrzymali pełną niezwyklej przygód książkę Aleksiego Tołstoja pt. *Złoty kluczycz czyli niezwykle przygody Buratina* w tłumaczeniu Juliana Tuwima (J. Przeworski). Pomysł — nie nowy, wywodzący się od włoskiego Pinocchia. Drewniana kukielka wyciosana z polana przez biednego kataryniarza Carla, otrzymuje na przedstawieniu marionetek złote monety i od tej pory przechodzi przez najstraszliwsze przygody w kraju Matołków, wśród wrogich i przyjaznych zwierząt, by wreszcie zdobyć złoty kluczycz, którym otwiera ukryte drzwi w izdebce kataryniarza. Tam Carlo i Buratino znajdują cudowny teatrzyk marionetek i zachwycają nim publiczność. Podniecające, niejednokrotnie przerażające przygody, bujna fantastyka, bliskie dziecku, ze świata jego zabaw i zainteresowań postaci zapewnią książce, świetnie przetłumaczonej, wielkie powodzenie.

ZOFIA KLINGEROWA

HISTORIA LITERATURY

- Abramowicz A. *Rozbiór poetyckich i prozajicznych utworów Stefana Witwickiego*. Lublin (odb. z Pamiętnika Lubelskiego III).
- Birkenmajer J. *Bogarodzica Dziewica*. Lwów. Filomata.
- Butkiewiczówna I. *Powieści i nowele żydowskie Elizy Orzeszkowej*. Lublin. Katol. Uniw. Lub.
- Hahn W. *O dwóch utworach dramatycznych Deotymy (Jadwigi Łuszczewskiej): Królowa Jadwiga... i Biesiada u Ziemomysła*. Lublin (odb. z Pam. Lub.).
- Janów J. *Nieznany przekład ukr.-russi Dialogu Polikarpa ze Śmiercią*, Lwów (odb. ze Sprawozdań T. N.).
- Jęz T. T. *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*. Kraków. Polska Akademia Umiejętności.
- Kamykowski L. *Stanisław Samuel Sze-miot*. Lublin (odb. z Pam. Lub.).
- Kawyn St. *Ideologia stronnictw politycznych w Polsce wobec Mickiewicza 1890—1898*. Lwów. Filomata. Badania literackie t. X.
- Kot St. *Urok wsi i życia ziemiańskiego w poezji staropolskiej*. W-wa (odb. z Księgi pamiątk. na 75-lecie Gazety Rolniczej).
- Krzyżanowski J. *Od średniowiecza do baroku. Studia naukowo-literackie*. W-wa. Rój. — Władysław St. Reymont, twórca i dzieło. Lwów. Ossolineum.
- Kurdybacha Ł. *Księgarnia Antoniego Hebanowskiego we Lwowie 1704 — 1715*. Lwów. T-wo Mil. Książki.
- Machalski F. *Orientalizm Antoniego Langego (z zarysem bibliografii)*. Tarnopol. T-wo Przyj. Nauk.
- Nycz Br. *Norwida monologia „Zwołon“*. Kraków. Prace z hist. liter. pol. Nr. 4.
- Piechał M. *O Norwidzie*. W-wa. Rój.
- Pigoń St. *Kraśiński w „Zwołonie“ Norwida*. W-wa (odb. z Myśli Narodowej).
- Piołun-Noyszewski St. *Zarys myśli polityczno-społecznej Stefana Żeromskiego*. W-wa. Bibl. Polska.
- Piszczkowski M. *Pisma Jana Żabczyca*. Lwów, Archiwum T. N.
- Polski Słownik Biograficzny (Brożek Jan-Chwałczewski Franciszek) Tom III. Kraków. Polska Akademia Umiejętn.
- Prace Polonistyczne. Łódź. Koło Polon.
- Rath L. *Aleksander A. F. Bronikowski. rozdział z dziejów powieści polskiej*. Lwów. Filomata.
- Rosnowska J. *Żywe kamienie Wacława Berenta*. W-wa. Studia z zakresu hist. lit. pol. 13.
- Seliga St. *O „Hipolicie“ Seneki w tłumaczeniu Stanisława Morsztyna*. Lwów (odb. z Eos).
- Szurek-Wisti M. *Miriam—tłumacz*. Kraków. Prace z hist. lit. pol. Nr. 3.
- Terlecki T. *Rodowód poetycki Ryszarda Berwińskiego*. Poznań. Biblioteka Kroniki miasta Poznania Nr. 5.

Trzpis H. *Książka na czasie. Studium krytyczne o Wacława dziejach Stefana Garczyńskiego*. Kraków. G. i W. Wasiutyński J. *Kopernik twórca nowego nieba*. Warszawa. Przeworski. Wasylewski St. *Na Śląsku Opolskim*. Katowice. Instytut Śląski. — *Niezapisany stan służby*. W-wa. Przeworski. Vrtel-Wierczyński St. *Staropolska legen-*

da o św. Aleksym na porównawczym tle literatur słowiańskich. Poznań. T-wo Przyj. Nauk. Windakiewicz St. *Romantyzm w Polsce*. Kraków. G. i W. Żeleński (Boy) T. *Marysieńka Sobieska*. W-wa. Książnica-Atlas. Życzynski H. *Norwid — Zwolon*. Lublin (odb. z Prądu).

PRODUKCJA NASZA ZA R. 1937 W DZIEDZINIE NAUKI o literaturze nie zapisała się żadną sensacją, nie przyniosła żadnej pozycji, gorąco dyskutowanej z zachwytem czy oburzeniem. Nawet sprawy, które wywołać mogły żywszy oddźwięk, a rzut oka na zestawiony świeżo przez P. Grzegorzycę *Diariusz kultury polskiej* świadczy, że spraw takich wydarzyło się sporo, nie wyszły poza opłotki doraźnych artykułów dziennikarskich. Produkcja ta, niedomagająca pod wielu względami, o czym wspomnieć wypadnie jeszcze w zakończeniu tegorocznego przeglądu, wykazuje w porównaniu z latami ubiegłymi pewne cechy niewątpliwie dodatnie. Przede wszystkim więc, przy zastanawiająco nikłym tempie życia naukowego w ośrodkach, gdzie tempo to powinno by być bardzo silne, zauważyć można znaczne ożywienie w mało dotąd aktywnych ośrodkach prowincjonalnych. Dla przykładu wskażę na okazały i bardzo ciekawy tom łódzkich *Prac polonistycznych*, reprezentujących rozległą skalę zainteresowań osób, skupionych w tamtejszym Kole Polonistów, zainteresowań, które obejmują przeróżne dziedziny polonistyki, m. in. jej nastawienie lokalne, widoczne w ilości prac o pisarzach związanych z samą Łodzią lub jej okolicami (Tymonowski, Reymont, Piechal, Kraśniański). Z zadowoleniem również spojrzeć się musi na publikacje lubelskie oraz na tytuł seryjny jednego z tomów: *Prace Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Tarnopolu*. Gdy się zważy, że autorzy tych studiów to prawie zawsze nauczyciele szkół średnich, poczyną się żywić nadzieję, że czasy, gdy ta kategoria polonistów stała poza obrębem zainteresowań naukowych jako szkodliwych w pracy pedagogicznej, powoli przechodzą w dziedzinę historii.

Być może, że spadkiem po tych właśnie czasach, ale spadkiem pozytywnym, odtwarzającym tę tendencję, która zajmowanie się problemami literackimi w szkole średniej usiłowała zastąpić problemami, dla których

wynaleziono dziwoląg językowy („kulturalizm“!), jest zjawisko, w przeglądzie obecnym zajmujące wcale poczesne miejsce, mianowicie znaczna ilość publikacyj o charakterze nie literackim wprowadzie, takich jednak, że pominąć ich tutaj właśnie niepodobna. Uzasadniając ich znaczenie w rozważaniach dalszych, w tej chwili chciałbym na jednej z nich na chwilę skupić uwagę tym więcej, że w tomach wcześniejszych *Rocznika Słownika Biograficznego*. Monumentalne to wydawnictwo, powoli lecz z solidną systematycznością rosnące z roku na rok, w tomie najnowszym, podobnie jak w poprzednich, przyniosło kilkadziesiąt pozycji bardzo cennych, znakomicie nieraz opracowanych, zarysów biograficzno-krytycznych przeróżnych pisarzy polskich, znanych i nieznanymi, dawnych i nowych. Brożek, Brzozowscy Karol i dwaj Stanisławowie, dwaj Budni, Chełchowski, Chęciński, Chlebowski Bronisław i jego imiennik z w. XVII, Wawrzyniec, Chmielowski, Chodźkowie Ignacy i Jan, Chojecki Edmund, Choynowski — to kilka przykładów, wśród których szkice takie jak Wyki o Brzozowskim, Rulikowskiego o Chęcińskim, Turkowskiego o Janie Chodźce, Artura Chojeckiego o Edmundzie Chojeckim celują wysokimi walorami i treści i sposobu ujęcia, a niekiedy przynoszą wiadomości wręcz rewelacyjne. Współpracownicy mają tu czasem trochę kłopotu z wypadkami mieszanych zainteresowań osobistości, wciągniętych do słownika, i na ogół z trudności tych umieją wyjść zwycięsko; do niewielu wyjątków należy artykuł o Brunerze, którego opracowanie należało powierzyć tam, gdzie idzie o Jana Stena, komuś kompetentnemu w dziejach naszej krytyki literackiej.

*

Przegląd prac o problemach naszej literatury średniowiecznej zacząć najłatwiej od okazałej, jasnej w układzie i bogatej w wyniki książki St. Wierczyńskiego o *Legendzie o św. Aleksym*. W naszym skąpom dorobku hagiologicznym stanowi ona wyłom prawdziwy, ukazując należycie udokumentowane dzieje popularnej legendy w ciągu całych wieków jej istnienia, aż po dni dzisiejsze, przy czym dzieje te rzuca na rozległe tło ogólnie słowiańskie. Żałować jednak trzeba, że autor nie wyzyskał okazji, by udostępnić wszystkie wersje jej najdawniejsze, myślę zwłaszcza o ładnej pieśni z w. XVI („Prawe zwierciadło pańieńskiej czy-

stości“), która artystycznie wyżej przecież stoi od fragmentarycznego tekstu średniowiecznego.

Do wcześniejszego studium Wierczyńskiego o głośnym *Dialogu Mistrza ze Śmiercią* nawiązuje zwięzły szkic Janowa, poświęcony nieznanemu dotąd przekładowi tego dialogu na język ruski. Nawarstwiające się, zwłaszcza w pracach samego Janowa, materiały z dziejów naszej penetracji literackiej do sąsiadów wschodnich, domagają się już obecnie jakiegoś ujęcia bardziej systematycznego, nasuwa się więc uzasadnione pytanie, czy nie czas by już do pracy tej przystąpić!

Charakter porównawczy ma również, choć w innym nieco sensie, nowa, trzecia z kolei większa, a blisko trzydziesta na ten temat w ogóle praca J. Birkenmajera *Bogarodzica Dziewica*. Od uwag o niej wstrzymuję się, do tego bowiem, co o jego studiach dawniejszych pisałem tutaj przed dwoma laty, mógłbym dorzucić nową wiązkę spostrzeżeń, które autor wyzykalby, zwymyślawszy z wdzięczności recenzenta od nieuków, jak postąpił z moją oceną poprzednią. Może wreszcie kiedyś któryś z naszych zawodowych teologów zajmie się Bogarodzicą, wówczas więc będę miał sposobność przedstawić własne na nią poglądy.

*

Literatury Polski renesansowej dotyczą dwie prace tylko, całkowicie różne, a jednak wyrastające z pewnego wspólnego podłoża, z którego widać, jak dalece nasza ówczesna kultura duchowa nasycona była elementami humanistycznymi. Pierwsza z nich, ogromny tom, poświęcony *Kopernikowi*, odrzuca wprawdzie literacką wstawkę w twórczości wielkiego astronoma, tj. autorstwo kolędowego zbioru *Septem sidera*, szczegółowo natomiast zajmuje się jego stosunkami z literatami ówczesnymi, m. in. z Dantyszkiem; postać tę autor przedstawia jednak niesprawiedliwie i z człowieka, który na serio traktował swe obowiązki kościelne, z chwilą, gdy pełnić mu je wypadało, robi nieledwie prowincjonalnego kacyka. Przede wszystkim jednak książka bardzo trafnie maluje stosunek samego Kopernika do podstawowych tendencji humanistycznych i ukazuje w kanoniku fromborskim nieodrodzonego wychowanka tej kultury duchowej, która była zjawiskiem normalnym u elity wychowanków studium krakowskiego. W monografii Wasiutyńskiego wreszcie czytelnik znajduje mnóstwo porządnie zazwyczaj podanych wiadomości o najrozmaitszych ludziach, przygodnie związanych z ówczesną literaturą

codzienną, by wskazać choćby niespokojnego pedagoga królewieckiego, Gnaphousea, autora wymierzonej w Kopernika komedii-pamfletu. Jako ilustrację bogactwa takich właśnie szczegółów, rozsadzających zresztą książkę ze szkodą dla jej zadania podstawowego, przytoczyć warto skargę uczonego humanisty na stosunki z wydawcami, u których również pisarze polscy tłoczyli swe dzieła: „wierz mi, że nie dostaniesz nawet takiego wynagrodzenia, które by chociaż odpowiadało wydatkom na piwo w czasie tej pracy; ale te bestie przyzwyczyły się wszystko brać za darmo“ (s. 500).

Praca druga, to ogłoszona przez St. Kota antologia pochwał życia ziemiańskiego, parafraz horacjańskiego *Beatus ille*, charakterystyk dobrej żony itd. itd. Rzecz zabawna, że wśród tekstów, zawierających ciekawe nowalie, brak... Reja. Zgrabny szkic wstępny trafnie wyjaśnia, jak tradycja literacka pochodzenia antycznego wrastała w warunki życia polskiego i jakim pod ich wpływem ulegała przekształceniom, by ostatecznie nabrać cech rodzimości.

Podobnie jak rzeczy Kota i Wasiutyńskiego, również książka Żeleńskiego o *Marysieńce Sobieskiej* ma charakter paraliteracki wprawdzie, z zagadnieniami jednak literatury barokowej wiąże się bardzo ściśle dzięki partnerowi bohaterki tytułowej. Innymi słowy jest ona rodzajem bardzo zresztą swoistej monografii o Janie Sobieskim jako epistolografie. Nie mam pewności, czy autorowi udało się, „nie ujmując ceny bohaterowi, oddać pisarzowi to, czego jest godzien“, ostatecznie bowiem *Marysieńka Sobieska* jest przeładowaną monografią o wielkim człowieku w pantoflach; z całym natomiast uznaniem podnieść muszę bardzo interesujące ustalenie związków między barokiem francuskim, przemawiającym stylem romansów, od sławnej *Arkadii* poczynawszy, a naszym barokiem włosko sarmackim. Dziedzina ta od dawna doprasza się opracowania i każdy, kto do tego się zabierze, będzie musiał liczyć się z wywodami Boya.

Nieduży szkic Kurdybachy o lwowskiej księgarni Hebanowskiego w początkach w. XVIII rzuca bardzo znamienne światło na czytelnicтво ówczesne wśród mieszczan i szlachty prowincjonalnej i dzięki temu należy do tych prac, bez których niepodobna u nas myśleć na serio o jakichś poważniejszych próbach modnego socjologizowania literackiego. Szkic znowuż S. Seligi ustala wiadomości o zainteresowaniach literackich kół dworskich z czasów Jana Sobieskiego, do nich bowiem Stanisław Morsztyn, tłumacz nie tylko Seneki, ale i Racine'a, należał.

Innym, podrzędniejszym pisarzem tych czasów, Stanisławem Szemiotem, zajął się L. Kamykowski, autor kilku drobnych studiów o naszym baroku, by wskazać choćby tylko drobny szkic o Twardowskim, usuwający sporo bałamuctw, opowiadanych o najwdzięczniejszym utworze (*Dafnis*) tego poety. W czasy dawniejsze sięgnął M. Piszczakowski w rozprawie o Janie Żabczycu, ustalającej podstawowy zrąb wiadomości o tym ciekawym, a w całej pełni niedocenionym, nawet tutaj, poecie dworskim.

Zbiór wreszcie szkiców J. Krzyżanowskiego (*Od średniowiecza do baroku*), obejmujący studia nad zagadnieniami literackimi stuleci XVI i XVII, obok prac o charakterze ogólniejszym, przynosi również pozycje bardziej specjalne. Jedna z nich (Nowela francuska w Polsce czasów Sobieskiego) przypadkowo nieźle pasuje do zainteresowań, o których tylko co mówiłem. O innej, poświęconej Sarbiewskiemu, zaznaczyć warto, że autor dlatego zdecydował się na przedruk studium młodzieńczego, że ukazuje ono znakomitego poetę jezuickiego jako człowieka nawskroś nowoczesnego, mistyka i miłośnika przyrody, a nie mechanicznego naśladowcę starożytnych, za jakiego zazwyczaj uchodzi.

Przeskakując ponad w. XVIII, który od szeregu lat poza efemerycznymi wypadkami nie był przedmiotem żadnego poważniejszego studium literackiego, stajemy odrazu wobec syntetycznego zarysu *Romantyzmu polskiego* pióra Stanisława Windakiewicza. Wierny swemu stanowisku autor z rozważań wyeliminował niemal zupełnie powieść, by całą uwagę skupić na wszelkich odmianach poezji, ukazanej w zarysie żywym i plastycznym, choć nierównym, bo miejscami irytująco schematycznym. Niedomagania te, rezultat nadmiernie mechanicznego rozdrobnienia jednolitych, grupowych zjawisk literackich, okupują w książce Windakiewicza zawsze świetne rozbiory dzieł pisarzy wielkich i małych. Przez lekkie nieraz zabarwienie ironiczne, jak uwaga o „pocziwym Januszu“ (tj. Polu), próbującym modnych wzlotów mesjanicznych (s. 64) profesor Windakiewicz osiąga kapitalne charakterystyki i na najwłaściwszym szczeblu hierarchii poetyckiej osadza utwory otoczone nimbem tradycji, a bardzo kłopotliwe dla czytelnika, który nie wie jak wybrnąć z trudności, które dostrzega między stanowiskiem własnym a poglądami dziedzicznymi i albo poglądy te bez przekonania powtarza, albo też radykalnie je odrzuca, choć właściwy stosunek do sprawy leży zazwyczaj gdzieś pośrodku między tymi przeciwnościami.

Ze stanowiska człowieka, zainteresowanego tym właśnie stosunkiem do dzieła u zdeorientowanego czytelnika, lekturę wręcz rozkoszną stanowią wspomnienia Jeża, gdy spojrzeć na nie jako na gawędę o życiu literackim i sprawach literackich, a nie jako na pamiętnik, wszystko jedno, rozumiany jako dokument historyczny czy też jako swoiste dzieło sztuki. W ciągu swej wieloletniej włóczędzy Jeż znał mnóstwo braci po piórze, większych i mniejszych i o każdym z nich ma sporo do powiedzenia. Gdyby wybrać z całości *Od kolebki przez życie* tylko opowiadania o literatach, powstałby okazały tom, w nim zaś okazałe miejsce przypadłoby ogromnemu szkicowi o Mickiewiczu, reprezentującemu dość nieudolną próbę prymitywnej charakterystyki literackiej. Widać w nim wyraźnie, jak w głowie autora krzyżuje się niechęć człowieka do człowieka innych przekonań z obowiązkowym kultem wielkiego poety, dając rezultaty tak zabawne, jak ocena artystycznych niedomagań wielkiej improwizacji.

Do zrozumienia paradoksalnej sytuacji Jeża przyczynić się może praca Stefana Kawyna o kulcie Mickiewicza w latach między wawelskim pogrzebem poety a stuleciem jego urodzin. Wykazuje ona na ogół przekonująco, jak wielkie zjawisko literackie, dowolnie interpretowane i anektowane przez programy zwalczających się stronnictw politycznych, przekształcało się w zjawisko innego rzędu, w socjologiczne. Autor, wydobywszy z zapomnienia ogromne mnóstwo faktów najróżnorodniejszych, choć nie do wszystkich umiał dotrzeć (pomiął np. szkic Lorentowicza w tomie *Spojrzenie wstecz*), nie zawsze potrafił zachować obiektywizm historyka, stąd praca jego spotkała się z uzasadnionymi sprzeciwami osób, ujmujących się za jednostronnie w oświeceniu jego ukazaną rolą stronnictwa narodowego.

O ile praca Kawyna, mimo wszelkich zastrzeżeń, stanowi cenną pozycję z zakresu badań socjologiczno literackich, o tyle tom szkiców *O Norwidzie* M. Piechała demonstruje prymitywne socjologizowanie marki sowieckiej, zastosowane do pisarza, którego autor stawia wprawdzie w rzędzie czołowych geniuszów polskich, po Koperniku, Stwoszu, Chopinie i Mickiewiczu, z którym jednak jakoś poradzić sobie nie może, bo musiałby mu wybaczyć jego „całozyciową ignorancję tak przychylnego dla Polski Karola Marksa“ (s. 121). W rozważaniach autorskich dużą rolę odgrywa Norwidowa „deportacja (!) z szeregów szlachty... w szeregi wyrobniczego mieszczaństwa“ (124), stosunek zdeklasowanego Norwida do pięknej damy, która z tych właśnie względów nim pogardziła, i wiele innych spraw, wy-

rażonych przy pomocy formułek, zapożyczonych z publikacji sowieckich „rabfaków“, ta zaś maniera tak się w tomie rozwieliła, że przesłania sporo bardzo subtelnych spostrzeżeń Piechala i niekoniecznie przyczynia się do zrozumienia kultu, który poeta krytyk żywi dla twórcy *Promethidiona*.

Domieszka elementu socjologicznego nie wyszła również na dobre książce Terleckiego o Berwińskim, którego *Rodowód* odnajduje w życiu literackim Poznańskiego przed Wiosną ludów. W porównaniu z bardzo soczyście podmalowanym tłem kulturalnym sylwetka samego Berwińskiego wypada tu mgliście, tym bardziej, że ani słowianofilstwo, ani ludowość, pod których wpływem przemożnym indywidualność twórcza autora *Powieści wielkopolskich* się sformowała, a które były czynnikami w jego atmosferze kulturalno literackiej decydującymi, w książce nie występują tak plastycznie, jak po monografii tego typu można by się było spodziewać.

Z innych prac o romantycznych poetae minores wspomnieć należy książkę Ratha o powieściach Bronikowskiego, odrabiającą zaległości naszej nauki wobec pisarza niegdyś bardzo popularnego i bardzo wpływowego, zwłaszcza w zakresie powieści dokumentarnej, jakkolwiek niektóre sądy młodego autora budzą uzasadnione wątpliwości. Zapomnianych znowuż poetów, Witwickiego i Garczyńskiego usiłują ożywić studia Abramowicza i Trzpisza. Pierwsze z nich, wydana pośmiertnie dysertacja magisterska, ma charakter niecałkiem wykończonego referatu, drugie, dzieło milczącego od dawna, subtelnego znawcy Słowackiego, zadziwia swą apostołską programowością, proklamowaniem żywych haseł romantycznych. Zademonstrowanie tego programu na Gorczyńskim, a więc poecie drugorzędnym (autor sam pisze się na zdanie Krasińskiego, że „Garczyński nie miał i trzeciej części jego ducha, choć tak w obłoki podchwalony przez Mickiewicza“, s. 213), operującym motywami, które w całej świetności artyzmu wystąpiły u poetów czołowych, wydaje mi się jakimś nieporozumieniem. Daleki jestem od lekceważenia i szlachetnej postawy etycznej autora i mam całkowite uznanie dla wielu jego koncepcyj interpretatorskich, muszę jednak wyznać, że jego książka nie potrafiła mię przekonać.

Na zakończenie wreszcie spraw romantycznych w studiach o omawianym okresie wspomnieć należy trzy, genetycznie z sobą związane, choć w wynikach dość odległe prace Br. Nycza, St. Pigonia i H.

Życzyńskiego o Zwolnie Norwida. Pierwsza z nich zawiera wyczerpujący zarys problemów, które „monologia“ nastęca, z dwu dalszych szczególnie szkic Pigonia bardzo precyzyjnie i przekonywująco wyświetla rolę stosunków Norwida z Krasieńskim w genezie poematu.

Druga połowa w. XIX i jej kultura literacka doszły do głosu w niewielu drobnych pozycjach. W. Hahn więc wypowiedział kilka bardzo słusznych i trafnych uwag o Deotymie, mających znaczenie ogólniejsze (przeć i o jej *Sobieskim* powiedzieć można, że „ekliwość i sentymentalność, z jaką (autorka) wyraża się o Bogu i świętych Pańskich, zamiast wywoływać wzniosłość budzi niesmak“), J. Krzyżanowski dał pierwszy obszerniejszy od lat pięćdziesięciu zarys twórczości Jana Lama, St. Wasylewski zaś, w pięknej książce *Na Śląsku Opolskim* zgrabnie naszkicował sylwetkę „Homera Śląska Zielonego“, ks. Roberta Bonczyka, przesadnie awansując „jeszcze jednego ludowego, gwarowego gawędziarza“ na wielkiego poetę. Większego znaczenia nie ma słabiotka praca magisterska I. Butkiewiczówny o tematach żydowskich w twórczości Orzeszkowej, nie wychodząca poza poprawne streszczenia danych utworów autorki *Meira Ezofowicza*.

Bogaciej przedstawia się dorobek naukowy w studiach nad naszym neoromantyzmem. Wzrost zrozumienia dla spraw kultury literackiej dokumentują dwie obszerne rozprawy poświęcone czołowym tłumaczom tego okresu, a więc bardzo staranna i przemyślana, choć w szczegółach i kryteriach oceny budząca zastrzeżenia praca M. Szurek Wisti o *Miriamie tłumaczu*, słusznie uwydatniająca wielkie znaczenie i zasługi wydawcy Chimery jako inicjatora i inspiratora swego pokolenia, oraz ciekawa w założeniu, choć zawodząca w wykonaniu rzecz F. Machalskiego o orientalistycznych zainteresowaniach Langego, poprzedzona słabą choć nie pozbawioną słusznych obserwacji charakterystyką ogólną autora *Wenedów*.

W atmosferę literacko dziennikarską przedwojennego Lwowa wtajemnicza czytelnika urocza książka St. Wasylewskiego *Niezapisany stan służby*, której pewne rozdziały sięgają wyżyn najlepszej prozy powieściowej naszych dni. Nas tutaj obchodzą jednak problemy inne, takie choćby jak rozdziałek o narastaniu kasprowiczowskiej *Księgi ubogich* w związku z wydarzeniami politycznymi, w których tomik ten powstawał.

Z wielkich prozaików tych czasów monografię doczekał się wreszcie .Reymont, pisarz, którego przekłady na języki obce, świadczące o wzroście

popularność twórcy *Chłopów* za granicą, tym silniej podkreślają nasze wobec niego zobowiązania. Na dobro monografisty zapisać należy, że usiłował on ustalić proces narastania i zakres kultury literackiej Reymonta, wyjaśniając jej związki z tradycjami pisarskimi, które autor *Komediantki* zastał i pod których wpływem tworzył.

Wielkiemu rywalowi Reymonta, Żeromskiemu, nowy szkic poświęcił St. Pióhun Noyszewski, autor jednej z najlepszych prac o twórcy *Wiernej rzeki*. *Zarys myśli polityczno społecznej Żeromskiego* wypada jednak tutaj zbyt jednostronnie i wskutek tego co najmniej zagadkowo. Akcentując zbyt mocno niechęć Żeromskiego do marksizmu i komunizmu, autor nie wyjaśnia ani na czym polegała „nienaturalna symbioza idei narodowej z marksizmem“ u Żeromskiego (s. 17), ani też nie próbuje ustalić roli marksizmu w tej symbiozie. Czytelnik, który chce zrozumieć *Doktora Piotra*, *Słowo o Bandosie*, a nawet... *Popioły*, nie wiele się z lektury omawianej rozprawki dowie, chcąc zaś wyrozumieć, na czym polegała istota wspomnianych mimochodem przez autora „nieporozumień“, wywołanych przez *Przedwiośnie* (s. 89), będzie musiał sięgnąć do studiów o Żeromskich dawniejszych, choćby Wasilewskiego, gdzie dana symbioza ukazuje się nie tylko jako zjawisko nienaturalne ale również tragiczne a tak skomplikowane, że niepodobna go traktować jedynie tylko w płaszczyźnie uproszczonych i zaciemniających rzecz ujęć dziennikarskich.

Z powieści Berenta jednego jeszcze studium, napisanego żywo i z niewątpliwym talentem, doczekały się *Żywe kamienie*. J. Rosnowska, wywodząc opowieść o rybałtach z ducha neoromantyzmu, ujmując całość jej w „pięciu chwytach stylu“ (naprawdę to w czterech!), szkicując stosunek pisarza do tematu, operowanie symbolizmem, skłonność do typizacji wreszcie „impresjonizm“ języka. Cała ta, niewątpliwie pomysłowa struktura, opiera się na niezupełnie zrozumiałych fundamentach, budzi uzasadnione wątpliwości, czy ilość jej przęseł jest dostateczna (praca Rosnowskiej pomija tak dla Berenta znamienne poszukiwanie religii!), no i czy przęśla te zostały gruntownie zbadane, autorka bowiem nie zawsze wykazuje znajomość tego, co o powieści pisano, rozważania zaś buduje nie na pełnym tekście wydania pierwszego lecz na skurtyzowanym edycji zbiorowej.

Rzucając raz jeszcze okiem na całość omówionych tu publikacji, by dokonać ich bilansu, dochodzi się do wyników wcale interesujących choć niekoniecznie dla naszych stosunków korzystnych. Wprawdzie jakości-

wo stwierdzić można poziom na ogół nieco wyższy niż w latach poprzednich, jedna trzecia bowiem całego dorobku, reprezentująca prace użytkowe, rozprawy magisterskie, doktorskie czy habilitacyjne, świadczy dodatnia o poziomie naszych seminariów uniwersyteckich. Ponadto uwagę zwraca zaznaczony już na wstępie przegląd rozrost prowincjonalnych ośrodków pracy oraz udział w niej osób, które, interesując się zagadnieniami kultury naukowej czy towarzyskiej, mimochodem wkraczają na pole badań literackich i dają sobie z nimi radę zupełnie dobrze. A wreszcie dostrzec można zupełnie wyraźny a bardzo znamienity wzrost zainteresowania się problemami natury socjologiczno literackiej, rozmaicie zresztą pojmowanymi, stawianymi i rozwiązywanymi. Równocześnie jednak nie podobna zamykać oczu, że ilościowo dorobek r. 1927 przedstawia się bardzo skromnie. Jeśli pominąć w nim rzeczy przypadkowe, gościnne, Jeża, Wasiutyńskiego czy Wasylewskiego, sięga on zaledwie trzydziestu pozycji, wśród których część to drobne przyczynki. Jak na sześć naszych uniwersytetów, z których każdy ma po dwie katedry i po asystenturze, do czego dodać należałoby inne jeszcze ośrodki skupiające prace krytyczne, w omawianym roku niemal niespotykane, to bardzo mało, to niepokojąco mało.

JULIAN KRZYŻANOWSKI

TEORIA LITERATURY

Budzyk K. *O gwarze, języku literackim i języku literatury*. Jęz. Polski Nr. 6.
 Desloges M. *Urosczenia teorii czynności artystycznej*. Życie Lit. Nr. 3 i 4. — *O polski słownik literacki*. Pion Nr. 25.
 Fryde L. *O powołaniu krytyki literackiej*. Życie Lit. Nr. 2.
 Ingarden R. *O tzw. prawdzie w literaturze*. Przegl. Wsp. Nr. 6-7. — *Sprawa formy i treści w dziele literackim*. Życie Lit. Nr. 5. — *O psychologii i psychologizmie w nauce o literaturze*. Pion Nr. 34.
Prace ofiarowane Kazimierzowi Wóycickiemu. Wilno. Z zagadnień poetyki Nr. 6. D.K.P.
 Siedlecki Fr. *Studia z metryki polskiej. Część I. Metr sylabiczny a inne polskie systemy metryczne*. Wilno. Z zagadnień poetyki Nr. 4. D.K.P. — *Studia z me-*

tryki polskiej. Część II. Problem transakcentacji w wierszu polskim. Wilno. Z zagadnień poetyki Nr. 5. D.K.P.
 Skwarczyńska Stef. *Teoria listu*. Lwów. Archiwum Tow. Nauk. we Lwowie. Dział I, t. 9, zes. 1. Gubrynowicz i syn. — *Regionalizm a główne kierunki teorii literatury*. Łódź. Prace polonistyczne. Koło Polonistów w Łodzi.
 Szmydtowa Z. *Problemy poetyki Arystotelesa*. Odb. z Marcholta, zes. 4 (12).
 Szulc Tađ. *Muzyka w dziele literackim*. W-wa. *Studia z zakresu historii lit. polskiej*. Nr. 14. Kasa im. Mianowskiego.
 Wóycicki K. *Rytm w liczbach*. Wilno. Z zagadnień poetyki Nr. 7. D.K.P. 1938.
 Żółkiewski Stef. *O podstawy metodologii badań literackich*. Życie Lit., zes. 1-2. (Ob. ponadto artykuły, wymienione poniżej w tekście).

RUCH W DZIEDZINIE TEORII LITERATURY I METODOLOGII wzmaga się u nas z każdym rokiem i rośnie zarówno pod względem ilościowym jak i jakościowym. Daleko nam jeszcze wprawdzie do zbliżenia się ku poziomowi zachodniej, a nawet wschodniej Europy, ale można mieć nadzieję, że już nie będziemy w tej dziedzinie cofać się (choćby przez stanie w miejscu), lecz, przeciwnie, postępować będziemy szybko naprzód. Usprawiedliwiać tę nadzieję może nie tylko rosnący zastęp młodych pracowników na tym polu, lecz również zainteresowanie, jakie budzą prace z zakresu poetyki (szeroko pojętej). Rozchodzą się one w liczbie egzemplarzy znacznie większej uż przeciętna książka

naukowa u nas. Jest to tym bardziej charakterystyczne, że prace z dziedziny poetyki mają charakter specjalny, wymagają też przygotowania i specjalnego zainteresowania. Widocznie więc jedno i drugie istnieje.

*

Zaczynam od wydawnictwa *Z zagadnień poetyki*. Tomy czwarty i piąty tego wydawnictwa obejmują *Studia z metryki polskiej* Franciszka Siedleckiego. Obok książki Zawodźnińskiego (*Zarys wersyfikacji polskiej*, ob. Rocznik Literacki za r. 1936), mającej zresztą zupełnie inny charakter, są to pierwsze oryginalne, samodzielne, na wyżynie współczesnej nauki stojące i naukę tę wzbogacające studia polskie z dziedziny metryki od czasów prac Kazimierza Wóycickiego. Jest to fakt, stwierdzony nie tylko przez tych uczonych polskich, którzy się na tych sprawach znają, ale i przez badaczy obcych (np. czeskich).

Młody autor, odznaczający się — jak stwierdza Kazimierz Wóycicki w przedmowie do swej najnowszej książki, o której w ciągu dalszym będzie mowa — „żywym umysłem, bogatą wiedzą i wprawiającą w podziw znajomością literatury przedmiotu“, uzbrojony jest w nowoczesne i precyzyjne narzędzia badawcze, zdobyte u różnych mistrzów, szczególnie zaś w praskiej szkole fonologicznej. W przedmowie stwierdza wyraźnie, że nie zajmuje się ani walorami artystycznymi wiersza, ani też nie bada języka utworów literackich metodą „naiwnie-realistyczną“. Natomiast „wychodząc z zasadniczego pojęcia systemu, struktury, zajmują się *Studia* w pierwszym rzędzie problemem systemu metrycznego jako swoistego typu struktury; problemem systemu wersyfikacyjnego... problemem gruntownego różnicowania się tych systemów...“, dalej stosunkiem struktury fonetycznej utworu literackiego do materiału językowego (co jest właśnie znamię metody fonologicznej).

Paragrafy wstępne poświęcone są ustaleniu zasadniczych pojęć wersyfikacyjnych i terminologii: metr, rytm, czynniki metryczne, morfologia metru, układy metryczne (okres, stopa, cezura, dierезa, średniówka, szereg, wycinki, wcięcia, komponenty jednostopowe, dwustopowe itd.) i systemy metryczne (sylabizm, tonizm, sylabotonizm). Autor tutaj tylko informuje i ustala, nie wdając się w rozważanie kwestii spornych lub przynajmniej różnie przez różnych badaczy traktowanych, jak np. metr-rytm, rozróżnienie cezury i średniówki itp. W następnych rozdziałach zajmuje się już szczegółowo głównie metrem sylabicznym na tle innych systemów metrycznych, dziejami sylabowca polskiego czyli właściwie historią wiersza polskiego aż do

Słowackiego oraz przedziałem międzywyrazowym w metrze sylabicznym, tonicznym i sylabotonicznym.

Już samo wyliczenie zagadnień poruszonych w tej książce wskazuje, jak są bogate, różnorodne i ważne. Różnorodność, co prawda, nie przyczynia się do zwartości kompozycyjnej (z braku tego autor sam sobie zdaje sprawę), jak znowu sposób pisania autora (miejscami ciężkawy, miejscami rozwlekły, czasem zbyt „świdrujący“, niewolny od powtarzania się) nie ułatwia konsumpcji jego książki. Ale braki te okupuje prawdziwy talent naukowy, pomysłowość i bystrość w odkrywaniu zagadnień, śmiałość w ich stawianiu, oryginalność w rozwiązywaniu.

Tom drugi *Studiów* poświęcony „transakcentacji“ (przesuwaniu przyścisłu) odznacza się tymi samymi zaletami; braki kompozycyjne tomu pierwszego zostały tu w znacznej mierze usunięte (dzięki m. in. skoncentrowaniu się na jednym zagadnieniu), pozostała jednak ujawniająca się niejednokrotnie niejasność i rozwlekłość wywodów, zaciemniająca niekiedy główny tok rozumowania i jego zasadniczą tezę, do czego przyczynia się również nadmiar dygresyj i wycieczek w najrozmaitsze strony.

Problem transakcentacji potraktowany jest tutaj po raz pierwszy w naszej literaturze naukowej w sposób gruntowny i wyczerpujący. Autor opiera się na założeniach teoretycznych metody fonologicznej, dotyczących stosunku języka poetyckiego do języka „intelektualno-komunikatywnego“. Jest to stosunek zarówno zależności, jak i odrębności obu tych „systemów“ językowych. Przedtem mówiło się niemal wyłącznie o odrębności, fonolodzy zaś kładli nacisk specjalny na zależności właśnie. Siedlecki również zapowiada, że „wraz z pogłębianiem się naszej wiedzy o strukturze i mechanizmie systemu języka intelektualno-komunikatywnego będzie niewątpliwie maleć liczba domniemyanych „niezależności“ — zgadza się jednak z tym, że pewna ich ilość z pewnością pozostanie. Można dodać, że ta właśnie ilość decydować będzie zawsze o funkcjonalnej odrębności nie tylko języka poetyckiego, ale w ogóle literackiego, choćby on nawet zewnętrznie czasami niczym nie różnił się od języka potocznego, np. w referująco-sprawozdawczych partiach utworów powieściowych. Pozostając na terenie języka ściśle poetyckiego („wierszowanego“), trzeba — zresztą wraz z Siedleckim — stwierdzić, że właśnie transakcentacja należy do jego specyficznych cech, występujących tutaj znacznie częściej i wywołanych na ogół przez inne czynniki niż w mowie potocznej.

Czynniki te omówione są obszernie w pracy Siedleckiego. To, co dotąd traktowano przeważnie jako załamanie metru, „niepoprawność“ wiersza (niemal cała poezja staropolska była w ten sposób „oceniona“ przez pewną autorkę) — tutaj jest zupełnie inaczej oświetlone i występuje w postaci daleko bardziej skomplikowanej (czasami aż zanedo!). Autor rozróżnia cztery sposoby interpretacji odstępstw od akcentu „normalnego“: odstępstwa właściwe (istotne „załamania“) — pseudoodstępstwa, odstępstwa pozorne i wreszcie transakcentację metryczną („przycisk z sylaby, wyznaczonej mu przez język, zostaje przeniesiony na sylabę, wyznaczoną mu przez strukturę metryczną“). Po gruntownej analizie wszystkich tych możliwości (obficie ilustrowanych przykładami), po historycznym zarysie wersyfikacji polskiej z tego punktu widzenia autor dochodzi do przekonania, że „ani teoria załamania metru, ani teoria pseudoodstępstw czy odstępstw pozornych nie jest zdolna wyjaśnić masowego zjawiska odstępstw przyciskowych w metryce polskiej“. Może to uczynić tylko koncepcja transakcentacji metrycznej. Wykazanie tego było właśnie zadaniem książki Siedleckiego — zadaniem na ogół spełnionem w sposób przekonujący. Pozostaje jeszcze do rozważenia kwestia, dlaczego polska transakcentacja metryczna, powszechna w XVI czy XVII wieku, ulega z czasem ograniczeniu aż do zupełnego niemal zniesienia w czasach nowszych. Autor kwestią tą już się nie zajmuje, ale daje w końcowym rozdziale szereg sugestij, które mogą stać się punktem wyjścia dalszych prac w tej dziedzinie.

Prace ofiarowane Kazimierzowi Wóycickiemu — to nie tylko hołd, złożony zasłużonemu badaczowi, prekursorowi kierunków, które na naszym gruncie obecnie dopiero zaczynają rozbrzmiewać donośniej i skupiać dokoła siebie większe grono współpracowników — lecz również — jak świadczy Przedmowa — pewnego rodzaju „manifestacja“, przegląd sił „pracujących w tym samym duchu, co Wóycicki, w kierunku, wytyczonym przez najważniejsze i najcenniejsze jego studia“. W ten sposób książka ta nabrała charakteru jednolitego; nie jest zlepkiem przypadkowych, często za uszy wyciąganych, efemerycznych artykułów, jak to często bywa z rozmaitymi księgami „ku czci“. Nie znaczy to jednak wcale, że jest wyrazem jakiejś jednolitej „szkoły“ czy „doktryny“, gdyż obok „formalistów“ stają ich przeciwnicy (Z. Łempicki, W. Borowy, H. Elzenberg), ale tacy, którzy i sami czynnie pracują w dziedzinach zapładnianych przez Wóycickiego, i rozumieją znaczenie tego ro-

dzaju prac. Różnice są nie tylko w tym „przekroju“, ale i w innych, dotyczących metody, postawy badawczej, poglądów teoretycznych. Pomimo to, jednolitość jest zachowana w zakresie zagadnień głównie, obracających się około metodologii, wersyfikacji, stylistyki i tzw. techniki literackiej. Na takie też cztery działy podzielona jest książka. Dział pierwszy reprezentowany jest przez prace następujące: Z. Łempicki: *Forma i norma* (stosunek tzw. formy wewnętrznej do normy oceniającej) — Stefan Żółkiewski: *Charakter orzeczeń metodologicznych w naukach humanistycznych* (pierwsza — o ile wiem — u nas, na rozległym czytaniu oparta próba uzasadnienia metodologii jako „nauki formalnej“ w myśl rozróżnienia Carnapa pomiędzy naukami realnymi a formalnymi) — M. Kridl: *O elemencie fikcyjnym w liryce* (przejażdżka na koniku fikcyjnym po terenie liryki) — E. Elzenberg: *Zabarwienie uczuciowe jako zjawisko estetyczne* (próba hipotezy o warunkowej możliwości istnienia jakości uczuciowej w samym przedmiocie estetycznym).

Najobszerniej przedstawia się dział nauki o wierszu, rzecz zrozumiała w książce poświęconej Wóycickiemu. Znajdujemy tu bardzo uczone i specjalnie prace badaczy rosyjskich: R. Jakobsona (*Z zagadnień prozodii starogreckiej*), księcia Mikołaja Trubeckiego (*W sprawie wiersza byliny rosyjskiej*) oraz prof. Jerzego Kuryłowicza (*Próba teorii metryki starogermkańskiej*). Młody uczony czeski, J. Hrabák daje zasadniczą rzecz o polskim ósmiozłogowcu średniowiecznym. Metodą fonologiczną Praskiego Koła Językoznawczego zbadana tu jest struktura tego wiersza, a rezultatem analizy stwierdzenie pokrewieństwa form wierszowych staropolskich i staroczeskich (w następnym zaś rozwoju usamodzielnienie się wiersza polskiego) oraz podważenie legendy o tym, że polski wiersz średniowieczny jest „niedoskonały“ i „kuławy“.

Każda z następnych prac tego działu porusza jakieś ciekawe zagadnienie i przynosi jakieś ciekawe oświetlenie, choć nie wszystkie, oczywiście, stoją na jednakowym poziomie. Najciekawszą z prac młodych adeptów metryki jest rzecz p. Felczaka o „strofie mickiewiczowskiej“, zastosowanej w *Czatach* i *Trzech Budrysach*. Mamy tu i historię tej strofy i jej genezę i ewolucję u późniejszych poetów aż do najmłodszych włącznie. W ten sposób otrzymujemy zarys życia pewnej formy wersyfikacyjnej od jej narodzin i ustabilizowania poprzez różne przemiany i modyfikacje aż do zupełnego przekształcenia się. Podobną próbę „mo-

nografii“ trzynastozgłoskowca trójdzielnego, daje p. Grzędzielska, ale już nie tak gruntowną i systematyczną, choć obfitującą w ciekawe spostrzeżenia. Rozprawa p. Knisplówny o instrumentacji głoskowej w *Pomniku* Tuwima również zasługuje na uwagę, jako zainaugurowanie tego typu badań na podstawach innych niż to dotychczas u nas robiono. Wacław Borowy wystąpił z obszernym artykułem o rytmice prozy Żeromskiego. Odnacza się on wszystkimi znanymi zaletami umysłowości i pióra autora, czyta się, jak wszystkie jego prace, z satysfakcją, ale wydaje się, że metoda tu zastosowana wiele spraw istotnych, związanych z rytmiką prozy pozostawia na uboczu. Może więc ta rozprawa służyć jako ciekawy przyczynek do zagadnienia: talent a metoda, które przez samego Borowego uważane jest za istotne. Zobaczymy zaraz, jak się do rytmiki prozy zabiera Wóycicki i do jakich dochodzi rezultatów.

Leonard Podhorski - Okołów zajął się bardzo ciekawą sprawą „rymowanek“ różnych typów (hocki - klocki, gogiel - mogiel, szurum - burum, him - bam, pif - paf, misz - masz), zebrał duży materiał, posegregował go i omówił w sposób interesujący oraz postawił własną, oryginalną hipotezę (wyzywającą jednak do dyskusji), wyjaśniającą taką właśnie, a nie inną kompozycję i następstwo obu członów rymowanek.

K. W. Zawodziński porusza „kilka spornych kwestyj z dziejów wersyfikacji polskiej“, polemizując z Fr. Siedleckim w sprawie sylabizmu wiersza staropolskiego oraz epoki, w której zjawił się w poezji polskiej wiersz toniczny. Streszczanie tej dyskusji, w której zabierali głos i inni krytycy (Piwiński, Borowy¹), zabrałoby zbyt wiele miejsca i może nie byłoby celowe, zwłaszcza, że nie wydaje się skończona i wątpliwe jest, czy doprowadzi do bezspornych rezultatów.

Fr. Siedlecki dał artykuł programowy: *Trzy dziedziny badań nad wierszem*. Owe trzy dziedziny to „materiał, budowa i funkcja wiersza — problem zależności językowych, problem struktury wiersza... (i) problem funkcji wiersza... jako jednego z czynników utworu poetyckiego“. W rozwinięciu tych punktów, bardzo zwięzłym i treściwym, autor dał ostrą krytykę dotychczasowych metod studiów nad wierszem i wysunął szereg zasadniczych zagadnień i sugestij do ich rozwiązania w oparciu o zdobycze szkoły fonologicznej.

¹ *Anatomia wiersza*, Przegl. Wsp. Nr. 181: ob. też Zawodzińskiego: *Dalszy ciąg dyskusji nad wersyfikacją*, tamże, Nr. 178.

Dział stylistyki reprezentowany jest przez cztery rozprawy. Na wstępie Jerzy Kreczmar mówi o przenośni według Arystotelesa, dając ścisłą, semantyczno-logiczną analizę definicji metafory. Dla pełnego zrozumienia jego wywodów trzeba posiadać pewną znajomość logiki współczesnej. Stefania Skwarczyńska porusza ciekawą kwestię „estetyki makaronizmu“, niestety, operuje bardzo skąpym materiałem faktycznym. D. Ho pensztand pomysłowo i oryginalnie traktuje sprawę „mowy pozornie zależnej“ w *Czarnych skrzydłach* Kadena, dochodząc do interesujących wyników. Rozprawa ta zyskałaby dużo, gdyby była napisana mniej zawiłym i poprawniejszym językiem. Kazimierz Budzyk wprowadza nas w wiele podstawowych zagadnień stylistyki współczesnej. Obok krytycznego omówienia stanu rzeczy w współczesnej stylistyce polskiej i obcej, znajdujemy tu bardzo ciekawą próbę stworzenia „systemu pojęć, z którym należy podchodzić do badania językowej struktury prozy artystycznej“. Wziąwszy za podstawę cztery główne elementy powieści: opowiadanie, opis, dialog i monolog, autor wykrywa w tekstach powieściowych różne ich kombinacje: opowiadanie o narzuconej strukturze dialogu oraz dialogi, monologi i opisy o narzuconej strukturze opowiadania. Każda z tych czterech kombinacji występuje z kolei w dwóch typach, zależnie od kontekstu, w którym się znajduje. Mamy więc np. naprzód dialog, potem opowiadanie o narzuconej strukturze dialogu, potem znowu dialog — albo: dialog — opowiadanie o strukturze dialogu i znowu opowiadanie. Podobne typy występują i w innych złożeniach opowiadania z dialogiem, monologiem i opisem oraz dialogu z monologiem. Typy te ilustrowane są bardzo interesującymi i przekonującymi przykładami. Szkoda, że podobnych przykładów brak przy końcowej, ogólnej tabelce, systematyzującej owe cztery podstawowe czynniki powieściowe na szerszej podstawie. Oczywiście rzecz, że cała ta systematyka odnosi się tylko do struktury językowej, nie natomiast nie mówi o innych aspektach językowo-stylowych utworu literackiego.

Na czwarty dział składają się tylko dwie rozprawki: M. Rzeuska omawia problemy akcji w *Chłopach* Reymonta, w sposób wnikliwy ustalając w niej różne wątki i „osie“ i wydobywając jej wybitnie epicki charakter. W części pierwszej analizy zbyt wiele miejsca poświęcono tematyce wątków — wystarczyłoby krótkie, schematyczne ich przypomnienie. R. Kapłanowa (*W sprawie tendencji w powieści realistycznej*), stwierdzając, po analizie różnych definicji i pseudodefinicji „tendencji“, iż

„dzieło tendencyjne to dzieło dowodzące jakiejś tezy“ i odrzuciwszy słusznie możliwość ujemnego oceniania utworów literackich na tej tylko podstawie — ilustruje na umiejętnie dobranych przykładach różne sposoby przeprowadzenia i sugerowania owych tez.

Tak wygląda w najzwyczajniejszym ujęciu zawartość książki.

Nowe studium Kazimierza Wóycickiego z dziedziny wersyfikacji, pt. *Rytm w liczbach* świadczy o jego powrocie na to pole badań, które od dłuższego czasu opuścił na rzecz innych prac. Jest to w całym tego słowa znaczeniu studium oryginalne i doniosłe, znowu inaugurujące u nas nowe metody ujmowania i badania zagadnień wersyfikacyjnych. Jeżeli z czym można je zestawić, to z pracami fonologów nad strukturą wiersza przy zastosowaniu metody obliczeń i statystyk. Wóycicki stawia sobie trzy główne zadania: zbadanie 1) stosunku, jaki zachodzi pomiędzy metrem a długością wyrazów, 2) budowy tetrapodyj amfibrachicznych i jambicznych — oraz 3) rytmu prozy artystycznej. Pracuje metodą ścisłą, „rachunkową“, — choć — jak sam przyznaje — na ograniczonym, ale zato z różnych epok zaczerpniętym materiale literackim. Opracowanie to jest wzorem zwięzłości, treściwości i obiektywizmu naukowego. Właściwą treścią książki są tablice z cyframi, tekst stanowi tylko komentarz do nich. W dziedzinę, która aż nadto często była terenem różnych impresyj, intuicji, dowolności, sentymentalnego estetyzowania, wnosi liczbę, rachunek, dowodzenie i wnioskowanie oparte na dokładnym obliczonych i stwierdzonych faktach. To samo już nadaje pracy Wóycickiego doniosłe znaczenie. Ten jej charakter sprawia jednak równocześnie, że jest rzeczą niemożliwą dać jej „streszczenie“. Można tylko pokusić się o ogólne sprawozdanie z jej rezultatów.

Oto najważniejsze z nich. Stosunek wyrazów krótkich i długich jest znamieny już w różnych rodzajach prozy. Jeżeli weźmiemy trzy utwory Żeromskiego: *Początek świata pracy*, *Wislę* i *Puszcę jodłową*, to z obliczeń okaże się, iż liczba wyrazów jedno- i dwuzgłoskowych rośnie stopniowo od *Początku* do *Puszczy*. Nadto w pierwszym z tych utworów maksymalne są liczby wyrazów cztero- i pięcizgłoskowych, a w porównaniu z *Wislą* i *Puszcą* przewaga wyrazów sześciozgłoskowych i kilka wyrazów siedmio- i ósmiozgłoskowych. Skoro teraz zważymy fakt, że pierwszy utwór to proza rozumowana, dwa drugie — liryczna proza opisowa, to wnioski o stosunku długości użytych wyrazów do rodzaju prozy nasuną się same. Potwierdzenie tej hipotezy znajdujemy i u Słowackiego w różnicy, jaka zachodzi pomiędzy jego listami a *Anhellim*, gdzie mamy wygórowaną liczbę wyrazów jednogłoskowych i małą cztero- i pięcizgłoskowych. Zbadanie pod tym względem 13-zgłoskowców i 11-zgłoskowców Mickiewicza, Słowackiego i Norwida prowadzi do wniosku, że liczba wyrazów krótkich

w wierszu w porównaniu z prozą wzrasta, liczba wyrazów długich zmniejsza się; znikły zupełnie wyrazy ósmio- i siedmiozłaskowe, liczba 6-złaskowych zmalała do minimum, 5-i 4-złaskowych bardzo znacznie. Wniosek ogólny: „Metr sięga głęboko w proces twórczy, uczestniczy nie tylko w organizowaniu warstwy fonetycznej, ale również w organizowaniu warstwy znaczeniowej, przez przyciąganie i eliminację wyrazów różnej długości eliminując i przyciągając wyrazy o pewnej wartości znaczeniowej“. Niechże się raczą nad tym zastanowić ci wszyscy, co, badając wiersz „sercem“, pogardliwie odnoszą się do wszelkiego „racjonalizowania“ w tej dziedzinie, a cóż dopiero wprowadzania do niej... rachunku!!

W podobny sposób bada autor w dalszych rozdziałach specjalne struktury rytmiczne: tetrapodie amfibrachiczne, trocheiczne i jambiczne. Zbadanie amfibrachów w wybranych utworach Słowackiego, Pola, Kondratowicza, Sowińskiego, Bartosówny, Niemojewskiego i Langego daje wyniki bardzo interesujące, czasem rewelacyjne. Oto średnie arytmetyczne, wyprowadzone z 18 utworów wskazują znaczną przewagę wyrazów przede wszystkim jednozłaskowych, dalej dwuzłaskowych — w dużej dopiero odległości liczbowej występują trzyzłaskowe, liczba zaś 4 i 5 złaskowych znikoma. U takiego Niemojewskiego np. „sito amfibrachiczne przesiewa prawie wyłącznie wyrazy 1 - 2 i 3 - złaskowe“. Podobnie jest u Pola i u Słowackiego w *Dumie*. w *Żmii* natomiast przewaga 3-złaskowych nad 2-złaskowymi.

Wśród amfibrachów wyróżnia i omawia autor jednowyrazowe i złożone z dwóch, trzech wyrazów, cezurowane pojedynczo i podwójnie, posiadające tylko akcent metryczny i „obciążone“ ponadto przyciskami znaczeniowymi, z emfazą (równomierność obu akcentów) i bez niej, dalej amfibrachy „sprzężone“ (połączone przez wyraz, tkwiący początkiem w jednym a końcem w drugim amfibrachu) — po czym przechodzi do rozkładu ruchomych dierez i cezur, działów intonacyjno-syntaktycznych różnej siły i związanego z nimi „cieniowania“ modulacyj wiersza, anafory i *enjambements*. Ujawnia się w tym wszystkim ogromne bogactwo i różnorodność tej jednej stopy wierszowej, jej skomplikowana struktura, mnogość funkcji, jakie spełnia, delikatne odcienie i różnice — słowem jej życie bujne, zdumiewające, fascynujące niemal, bo ukazane ręką mistrza, który to życie potrafi uchwycić, ująć jako tętno, wyczytać z suchych liczb i statystyk.

Podobnie ma się rzecz z trochejami i jambami, które mają jednak oczywiście swój własny charakter zarówno co do stosunku długości wyrazów do ich liczby (ciekawa tu tendencja do grupowania klas według parzystozłaskowości i nieparzystozłaskowości) — jak i rozkładu wyrazów, cezury, dierezy itp.

Część III poświęcona jest rytmowi prozy artystycznej. Z rozmaitych sposobów mierzenia periodów rytmicznych (od złaski akcentowanej do akcentowanej) autor wybrał klasy, złożone z „taktów“ (t. j. mocne z następującymi słabymi złaskami) i przeprowadził badania liczbowo-statystyczne przy pomocy eksperymentów odczytywania tekstów przez różne osoby. Wnioski ogólne, dotyczące polskiej prozy literackiej, są następujące: najczęściej występują takty 3 - i 4 - złaskowe, czyli akcenty padają co dwie, trzy złaski; drugie z kolei miejsce zajmują takty 2 - i 5 - złaskowe; takty mają długość od jednej do dziesięciu złasków; wrażenie większego zrytmizowania powstaje wskutek narastania taktów mniejszej długości: 2-, 3-, 4-złaskowych. Po-

mijam już ciekawe dane o poszczególnych autorach, ale muszę zwrócić uwagę na inne jeszcze stwierdzenie ogólne, a mianowicie, że „gdy w zwykłej prozie liczba wyrazów akcentowanych równa się mniej więcej liczbie nieakcentowanych, w prozie rytmicznej liczba akcentowanych znacznie góruje nad liczbą nieakcentowanych” — oraz na nowe dane co do wpływu, jaki na rytmikę wywierają działy międzywyrazowe.

„Wyższe ukształtowania rytmiczne prozy artystycznej” (jakby struktury metryczne wierszy i strof) wytwarzane są przez stosunki elementów sylabicznych, akcentowych, przez strukturę intonacyjną i działy intonacyjno-frazowe. Ostatni rozdział poświęcony jest właśnie tym czynnikom, opracowanym tutaj z równą precyzją jak części poprzednie. Wystarczy tylko wskazać analizę przykładów z Słowackiego i Żeromskiego, aby stało się widocznym, jak daleko odbiegliśmy od impresyjno-sercowych rozważań tych spraw.

Autor na różnych miejscach swej pracy zaznacza, że materiał, którym operuje jest stosunkowo niewielki, że więc wnioski, do których dochodzi, mają tylko znaczenie hipotez. Ma z pewnością pod pewnym względem rację. Ale są to w całej pełni hipotezy *t w ó r c z e*, zapładniające, wskazujące drogę i metody dla dalszych badań.

Muzyka w dziele literackim Tadeusza Szulca jest studium bardzo potrzebnym i pożytecznym. Spełnia dobrze zadanie oczyszczenia terenu badań literackich (ściślej: pewnego skrawka tego terenu) z zakorzenionych w nim złudzeń, grubych nieścisłości, pomieszczenia zagadnień, metod i terminów, przenoszenia ich żywcem z jednej sztuki (muzyki) do drugiej (literatury) bez względu na to, że sztuki te są zupełnie odrębne, innym materiałem i innymi posługują się środkami. Tym samym przyczynia się ta praca na swoim odcinku do sprecyzowania *o d r ę b n o ś c i* dzieła literackiego od innych dzieł sztuki, a więc i odrębności metod badawczych. Stwierdzam to tym chętniej, że swego czasu, kiedy p. Szulc po raz pierwszy zabrał głos w tej kwestii (w *Pionie* z r. 1935) i wywołał replikę St. Furmanika, zreferowałem sprawę w sposób bardzo pobieżny (w *Roczniku Literackim* za r. 1935) i nie wykazujący pełnego zrozumienia intencji autora.

Chodzi w książce o to „czy można mówić o *m u z y c z n o ś c i* dzieła literackiego, jak to się spotyka na każdym kroku szczególnie u naszych badaczy literatury — a także i u innych... czy słuszne jest doszukiwanie się *m u z y c z n y c h* dyrektyw (właściwości) w dziele literackim... czy istnieją w dziele literackim obiektywne i istotne warunki dla realizacji estetycznego przedmiotu *m u z y c z n e g o* i czy wobec tego mogą doznania estetyczne, wywołane działaniem utworu literackiego, posiadać jakikolwiek charakter doznań muzycznych..“

Odpowiedź na te kwestie jest szeroko, nawet miejscami za szeroko zakreślona. Autor rozpoczyna obszernym rozdziałem, dotyczącym problemu genezy „muzyczności“

poezji. Źródło tej muzyczności widzi słusznie przede wszystkim w romantyzmie z jego idealistyczną estetyką muzyczną, tęsknotą do „nieskończoności“ i wyjęcia poza słowo. To dziedzictwo przechodzi później na epokę poromantyczną, symbolizm i „modernizm“. Wywody swoje ilustruje autor gęstymi cytataми z różnych autorów. Muzyczną tendencję w literaturze — zarówno u poetów jak i u krytyków — uważa słusznie za m r z o n k ę, niemożliwą do zrealizowania w materiale s ł o w a, poza który sztuka słowa nie może wyjść. (Nawiasem powiedziawszy, to samo dotyczy stosunku poezji do malarstwa, o czym pisałem w *Roczniku* za r. 1935 z okazji pracy T. Makowieckiego o Wyspiańskim).

Rozdział drugi poświęcony jest wypowiedziom krytyków na ten temat. Zgromadził tu autor obszerny i ciekawy materiał. Zdumienie ogarnia i strach, jak ta „muzyczność“ w rozmaitych kombinacjach i dawkach zawróciła w głowie prawie wszystkim krytykom, jak prawie każdy z nas ma na sumieniu jakąś „muzykę“ albo „melodię“, którą starał się wykręcić od rzetelnego, obiektywnego zbadania ekspresji poetyckiej na gruncie samego słowa i cech jemu tylko właściwych. Autor zdaje sobie sprawę z tego, że w tych wypowiedziach chodzi, oczywiście, nie o utożsamianie muzyki z poezją, lecz o a n a l o g i ę, oraz o wnioskowanie z analogii. Dlatego też sporo miejsca poświęca na wykazanie fałszywości takiego wnioskowania i rozumowania. Wywody jego są zupełnie przekonujące i posiadają znaczenie szersze od kwestii „muzyczności“. Wykazując bowiem, że rytm np. nie jest sam w sobie ani zjawiskiem muzycznym, ani poetyckim, ani filmowym (gdyż istnieje również w rozmaitych dziedzinach pozaartystycznych), lecz staje się elementem muzycznym w o b r ę b i e utworu muzycznego, a literackim w obrębie utworu literackiego.

Słabszą już wydaje się argumentacja, dotycząca „melodii“, oczywiście nie w znaczeniu muzycznym, bo co do tego ma autor najzupełniejszą rację, ale w znaczeniu i n t o n a c j i lub „instrumentacji głoskowej“, która jest i może być badana na gruncie samego utworu literackiego bez impresyjnych wycieczek w muzyczność. Ale i tutaj znajdujemy wiele ciekawych i zdrowych myśli, choć niektóre z nich wyzywają do dyskusji, tutaj niemożliwej. Natomiast godzimy się najzupełniej z autorem w kwestii z a k r e s u uprawnienia metafory „jako środka, przy którego pomocy krytyk wypowiada swe sądy o wytworze artystycznym“.

Odżegnywając się od wszelkiej pustej metaforyczności, która swoją własną treść podstawia za przedmiot badany — chcielibyśmy silniej niż autor podkreślić jego własne słowa, iż „pojęcie ściśłości wypowiedzi nie jest... sprzeczne z pojęciem metafory“ skoro tylko ta metafora jest j e d n o z n a c z n a, tj. stanowi „istotną pojęciową czy wyobrażeniową adekwację swego desygnatu“. Konsekwencją tego musi być uznanie prawa do umiarkowanego używania w krytyce literackiej wyrażen metaforycznych i analogicznych, zaczerpniętych z innych sztuk (a także i nauk), z tym jednak, że na gruncie literackim oznaczają one zupełnie inne cechy przedmiotów niż w pozostałych sztukach.

Autor się na to zasadniczo godzi, powstaje więc pytanie, poco wytał tak wielką armatę przeciwko „muzyce w literaturze“. Rzeczywiście, armata jest może za wielka, ale w danym wypadku — powtarzam — pożyteczna i potrzebna.

Teoria listu Stefanii Skwarczyńskiej nie należy, ściśle wzięwszy, do teorii literatury, gdyż autorka zajmuje się listem w ogóle, listem każdym (od handlowego poczynszu, a skończywszy na literackim czy „poetyckim“), podkreśla jego praktyczny charakter i w tym utylitaryzmie doszukuje się nawet swoistego „piękna“. Zajmuje się, oczywiście, również stroną „estetyczną“ listu, jego kompozycją, stylem, zdobnictwem, ale w tym zakresie w jakim np. historyk sztuki mówi czasami o „pięknie“ starych mebli, opraw i różnych przedmiotów użytkowych, estetyk zaś o pięknie natury. Uznając, że tak szeroko pojętego listu nie można w całości włączyć do tzw. literatury „pięknej“, autorka przyjmuje(zresztą nie tylko w tej książce) podział na literaturę „czystą“ i „stosowaną“, do tej ostatniej właśnie zaliczając list, o ile naturalnie czyni zadość pewnym postulatom literackim (dość pojmowanym swoiście i bardzo szeroko). Otóż ten podział na dwie literatury budzi zasadnicze wątpliwości (którym dałem już wyraz w *Roczniku* za r. 1933) — z drugiej strony jednak nikt nie zaprzeczy, że istnieją pewne utwory pisane, leżące na pograniczu dzieła literackiego i nieliterackiego, pewne „hebrydy literackie“, w których elementy literackie i nieliterackie (w węższym tego słowa znaczeniu) mieszają się z sobą, przy czym to jedno, to drugie biorą górę (np. element fikcyjny i „praktyczny“, słowo poetyckie i „komunikatywne“). Ale w ustalaniu tych „hebryd“ trzeba stosować metodę ściślejszą, używać gęstszego sita niż na to pozwala pojęcie literatury „stosowanej“, gdyż w tym wypadku grozi pomieszanie w czambuł bardzo rozmaitych zjawisk. Książka p. Skwarczyńskiej jest na wielu swoich stronicach wymownym objawem takiego właśnie pomieszania.

Ale można spojrzeć na nią z innego punktu widzenia, tj. traktować przede wszystkim jako studium z historii życia umysłowego i jako próbę teoretycznego usystematyzowania pewnego wycinka tego życia, wycinka bardzo bogatego i różnostronnego, a więc trudnego do ujęcia. Z tego stanowiska jest to książka, posiadająca niewątpliwie sporo zalet, jak: ogromny zakres materiału, zebranego z wszystkich wieków, i usiłowanie ułożenia go w jakieś ramy teoretyczne, wybitna zdolność do

myślenia abstrakcyjnego, bogactwo różnych szczegółowych spostrzeżeń i uwag, sam pomysł wreszcie oryginalny i niezwykły, stanowiący nie tylko na naszym gruncie zupełną nowość. Po wstępie metodycznym autorka traktuje kolejno o kryterium dla oceny estetycznej listu, o autonomiczności listu, o psychologii twórcy listu, o współautorstwie adresata, celu praktycznym listu, zagadnieniu treści i jej różnorodnym układzie, kompozycji formalnej, udziale czynników cywilizacyjnych i kulturalnych w kształtowaniu listu, zagadnieniach języka, stylu i zdobnictwa, piękna listu „jako fragmentu życia“, wreszcie o liście jako załączku form literackich.

Do braków zaliczyłbym zbyt teoretyczno-abstrakcyjny charakter książki, czasami wprost lubowanie się w abstrakcyjnych wywodach, co pociąga za sobą dłużyzny, rozwlekłości i powtarzania się. Materiał faktyczny przeważnie zepchnięty jest do przypisów, tym samym nie może się stać żywym elementem tekstu głównego, który też często ma charakter błady i anemiczny.

Tejże autorki: *Regionalizm a główne kierunki teorii literatury* jest znowu próbą znalezienia uzasadnienia dla badań regionalnych w ramach różnych kierunków teorii literatury i różnych systemów metodologicznych. Autorka stara się naprzód ustalić ogólne pojęcia „regionalizmu“ (przy czym przestrzega przed przesadą i ciasnotą), po czym przechodzi kolejno owe różne kierunki i systemy, zastanawiając się, o ile i w jakiej mierze „sprzyjają“ one tego rodzaju badaniom. Ostatecznie dochodzi do konkluzji, że płaszczyzna zetknięcia się (autorka pisze: „styku“) pomiędzy badaniami literackimi a zainteresowaniami regionalnymi jest „olbrzymia“. Regionalizm „wciąż się zazębia z tym, co jest istotne w dziele literackim, z osobowością twórcy, procesem tworzenia, perypetiami dzieła w ciągu tworzenia, przeżyciem odbiorcy, refleksem dzieła w zbiorowości“. Rzecz cała cierpi na brak określonego, zdecydowanego stanowiska wobec owych „kierunków teorii literatury“ — autorka pragnęłaby je wszystkie połączyć w zgodnym „kochajmy się“, stąd brak hierarchizacji zagadnień regionalnych w literaturze (a więc i w badaniach literackich), wszystkie wydają się równie ważne i istotne. Stąd też pomieszanie spraw prostych i nie wymagających szerokiego omawiania, a potraktowanych obszernie, z trudnymi i skomplikowanymi, a ledwo dotkniętymi jak np. gwara i metoda jej badania.

Na czoło rozpraw teoretycznych. umieszczonych w czasopismach postawić należy rzecz Romana Ingardena pt. *O tak zwanej prawdzie w literaturze*. Łączy się ona z artykułem W. Borowego: *Szkoła krytyków* (ob. niżej), w którym autor starał się przeciwko Ingardenowi bronić tezy, iż w dziele literackim występują nie tylko quasi-sądy, lecz autentyczne sądy logiczne (czyli „prawdy“) i tezę tę ilustrował przykładami ze wszystkich literatur i we wszystkich językach. Niestety, żaden z tych przykładów nie ostał się pod „skalpelem“ metodologa. Ingarden wyjaśnia na wstępie, co rozumie przez powiedzenie, że w zdaniach quasi - twierdzących w dziele literackim „nie się na serio nie twierdzi“. Jest to sprawa ważna, gdyż, jak widać z wywodów Borowego (a za nim idzie z pewnością znaczna większość naszych historyków literatury), pojmuję on to powiedzenie w sensie obniżającym znaczenie i wartość literatury (podobnie jak próbę podpisanego sformułowania odrębności literatury od rzeczywistości empirycznej potraktował jako robienie z niej „ptaszka z blaszek“). Tymczasem chodzi tu o coś zupełnie innego, a mianowicie o stosunek sądu do rzeczywistości, inaczej: „o zachodzenie w rzeczywistości tego, co wyznacza treść wydanego sądu“.

Otóż stanowisko Ingardena można by streścić w sposób następujący: przede wszystkim za przedmiot swoich rozważań bierze on literackie dzieło sztuki a nie utwory graniczne różnego typu, bo w tych sądy wypowiedziane np. przez autora zdarzają się często (nawiasem zaznaczam, że inaczej niż Ingardena pojmuję „graniczność“ i inaczej traktuję literaturę „tendencyjną“). Dalej wyróżnia rozmaite rodzaje zdań oznajmujących w dziele literackim: jednostkowe, szczegółowe, ogólne oraz tzw. sentencje — wreszcie zabiera się do przykładów zacytowanych przez Borowego. Tu zwraca uwagę, że o zdaniu wyrwanym z kontekstu nie podobna rozstrzygnąć, czy ono jest sądem, czy nie; trzeba je rozważać w związku z całością utworu i w związku z funkcją, jaką w niej pełni. Przykłady dzieli na trzy rodzaje: 1) zdania wypowiedziane przez pewną osobę przedstawioną, 2) występujące w utworach lirycznych, 3) — w utworach mających charakter graniczny. Na przykładzie słów Eneasa: *sunt lacrimae rerum* w związku z kontekstem i z sytuacją, w jakiej słowa te były wypowiedziane — wykazuje przekonywająco, że nie mogą one być uważane za sąd *sensu stricto*, gdyż są słowami osoby fikcyjnej (przedstawionej) i odnoszą się do świata także fikcyjnego, do pewnych przez poetę skonstruowanych warunków i sytuacji. Nie są więc sądem

autentycznym, tj. takim, który jest prawdziwy (fałszywy) zawsze i wszędzie, bez względu na to, kto i w jakich warunkach go wypowiada.

Co do utworów lirycznych, to jakkolwiek definicja Ingardena wydaje się za wąska i nie obejmuje różnych rodzajów liryki — argumenty jednak dotyczące „świata przedstawionego“ w utworze lirycznym, świata, będącego „intencjonalnym odpowiednikiem“ postawy podmiotu lirycznego, a zwłaszcza dotyczące faktu, że zdania, występujące w takim utworze, są również przytoczone, a więc nie mogą być uważane za sądy *sensu stricto* — wszystko to musimy uznać nie tylko za przekonujące, ale oświeclające kwestię niejednokrotnie w sposób nowy i oryginalny. Wystarczy wskazać to, co autor mówi o „idei“ utworu lirycznego, o jej racjonalizowaniu przez wyrywanie z całości, o podobnych operacjach, dokonywanych często przez badaczy, w których taka idea czy taki „sąd“, odarty z swego ciała poetyckiego, przestaje już właściwie należeć do utworu i nie reprezentuje „que la valeur prosaïque de vérité, et non lyrique de beauté“.

Trudniej jest z utworami, których całość wypełnia jakaś „sentencja“ czy sentencje ogólne. Mogłoby się więc wydawać (i na to też biją „ideologowie“), że mamy tu do czynienia z sędami autentycznymi. Ale i te trudności pokonywa Ingarden, wskazując takie momenty jak: istnienie w tego rodzaju utworach podmiotu lirycznego, choć ukrytego, występowanie zabarwiającej wszystko emocji, tonu, w którym owe zdania są wypowiedziane, wreszcie ścisły związek z innymi elementami utworu.

Do tego miejsca zgadzamy się z Ingardenem prawie zupełnie. Natomiast stwierdzić musimy, że pod koniec rozprawy wywody jego załamują się dwukrotnie i ujawniają groźne niekonsekwencje. Pierwszy wypadek dotyczy przykładu z Goethego. Jest to zdanie zaczerpnięte z elegii pt. *Hermann und Dorothea*, posłanej Schillerowi w grudniu r. 1796. Jakkolwiek ta elegia łączy się z poematem pod tymże tytułem i od biedy może być uważana za „wstęp“ do niego — to jednak stanowi samodzielny utwór liryczny, pełen wynurzeń lirycznych i wielu tych cech, które sam Ingarden uważa za istotne dla liryki. Skąd zatem twierdzenie, jakoby zadaniem tego utworu było „podać czytelnikowi pewną ilość sądów autora rozprawiającego się z swymi krytykami“? I w konsekwencji uważanie, że są to sądy *sensu stricto*? Takie ujmowanie tego utworu wypacza jego charakter, gdyż „rozprawy z krytykami“ (a właściwie z „tłumem“) zajmują tam bardzo mało miejsca, a i one nie są sędami, lecz wy-

rażnymi wypowiedzeniami („przytoczonymi“) podmiotu lirycznego. Nie jest to więc ani „list otwarty“ ani utwór „graniczny“, stąd też i przyznanie racji Borowemu w tym wypadku podważa poprzednie wywody autora.

Gorzej jeszcze jest z drugim wypadkiem. Tutaj mści się na Ingardenie jego teoria granicznych dzieł literackich, do których zalicza dzieła naukowe, filozoficzne, publicystyczne itp. Wśród utworów „przejściowych“ widzi i takie, które, jak np. *Uczta* lub *Phaidros* Platona, mogą być czytane „na dwa różne sposoby“: 1) jako dzieło literackie, 2) jako dzieło naukowe. W obchodzącej nas tu kwestii wynika z tego, że te same zdania twierdzące w tym samym dziele, zależnie tylko od sposobu czytania mogą być albo quasi-sądami albo sądami autentycznymi!

Jest w tym coś mętnego i niebezpiecznego. Mam naprzód pewną wątpliwość co do możliwości takiego „odseparowanego“ czytania całości jakiegoś dzieła (chyba jedne części można czytać tak, a inne inaczej, zależnie od ich charakteru?). Ale ważniejsze są konsekwencje metodyczne takiego stanowiska. Czytelnik zwyczajny może sobie czytać jak chce — nikomu to nie szkodzi. Ale badacz literatury musi czytać tylko jednym „sposobem“, tj. takim, jaki wynika z samego charakteru dzieła. Obawiam się, że pogląd Ingardena mógłby niejednego uprawnić albo umocnić w przekonaniu, że może dzieło literackie czytać tylko sposobem, dajmy na to, „ideologicznym“, a więc w konsekwencji wiele zawartych w nim zdań uważać za sądy *sensu stricto*. Wiadomo, że Ingarden nie zgodziłby się na to, ale mógłby być pobity na własnym gruncie, zwłaszcza wobec wielkiej płynności granic, jakie ustanawia pomiędzy dziełem literackim i nieliterackim.

Pomimo tych zastrzeżeń, rozprawę powyższą trzeba uważać za ważną i pożyteczną, wyjaśniającą wiele kwestyj i usuwającą wiele chwastów.

Może dobrze by było wyjaśnić dodatkowo, że w tej rozprawie chodziło o istnienie czy nieistnienie sądów logicznych w literaturze. Tutaj rezultat musiał być negatywny. Ale obok sądów w sensie logicznym przyjmuje się tzw. sądy psychologiczne, które mogą występować pod postacią przekonania. Są to — jak powiada Ajdukiewicz — czyjeś indywidualne myśli, zjawiska psychiczne, wyrażone za pomocą zdań. Otóż takich sądów oczywiście wiele znaleźć można w każdym utworze literackim. Szermierzy „prawdy“ w literaturze można więc pocieszyć, że istnieją tam również sądy, tylko innego rodzaju. A że są innego

rodzaju i że ich „prawdziwość“ mierzy się innymi kryteriami — to wcale wartości ani znaczenia literatury nie obniża.

Druga rozprawa Ingardena: *Sprawa formy i treści w dziele literackim* jest przeglądem różnych możliwych stanowisk w tej kwestii od Platona i Arystotelesa aż do fenomenologów. W owych różnych stanowiskach jest wiele rzeczy ciekawych, ale przeważnie bardzo mało związanych z zagadnieniem formy i treści w utworze literackim. Autor zaczyna wprawdzie od „samego początku“, ale, niestety, nie dochodzi do żadnego „końca“, tj. do wyraźnych, konkretnych rezultatów. Może nie mógł tego uczynić w krótkiej rozprawie, a może (co prawdopodobniejsze) nie chciał, uważając, że sprawa jeszcze nie dojrzała do rozstrzygnięcia. Z góry jednak przesądził i swoje własne stanowisko i drogę przyszłych badań, stawiając kwestię w ten sposób, że „wogóle można i należy odróżniać formę od treści dzieła literackiego“. To przesądzenie z góry klóci się z podstawowym poglądem autora, że wszystko właściwie w tej kwestii jest do zrobienia. Skoro tak, to nie można przewidzieć wyników badań, może się bowiem okazać, że rozróżnianie „treści“ i „formy“ w dziele literackim jest wogóle nieistotne i jałowe. Tej ewentualności, która zresztą ma już za sobą dość bogatą literaturę, Ingarden wcale nie bierze pod uwagę i tych poglądów nie referuje, zbywając je kostycznymi uwagami o sporze „formalistów“ z „treściowcami“ i o tych, którzy by całe zagadnienie chcieli załatwić na kilku czy kilkunastu stronicach. Przeoczył przy tym fakt, że tzw. formalisci, nie bawiąc się w rozpoczynanie rzeczy „od początku“, lecz wychodząc z konkretnego materiału literackiego, stworzyli (na kilku, kilkunastu czy kilkuset stronicach — to przecie obojętne!) bardzo esencjonalną i płodną „roboczą hipotezę“, która położyła koniec niesłychanemu prymityzmowi w traktowaniu tego zagadnienia na gruncie badań literackich, a więc dobrze zasłużyła się nauce¹.

Wreszcie w artykule: *O psychologii i psychologizmie w nauce o literaturze* tenże uczony popularnie tłumaczy, co to jest psychologia, a co psychologizm, przestrzega przed mieszaniem obu tych dziedzin oraz przed

¹ Zasłużyła się, ale jeszcze nie przeniknęła do umysłów nawet wybitnych krytyków. Dowodem pewien ustęp z *Norwidianów* W. Borowego (Pam. Lit. XXXIV) z którego wynikałoby, że forma w utworze poetyckim jest nierozzerwalnie związana z treścią, ale nie naodwrot! Borowy, trawestując na sposób wulgarny (dla przykładu) pewien wiersz Norwida, nie czuje, że spaskudził „treść“ tego wiersza właśnie przez spaskudzenie formy (Facet beczy! Jak babcię kocham! Dobry Boziu! itd).

lekceważeniem psychologii jako nauki. To ostatnie nie wydaje się potrzebnym, bo takiego niebezpieczeństwa nie ma, chyba, że je sobie sam autor tworzy, przypisując np. niżej podpisanemu „ataki“ na psychologię i „odmawianie jej wartości naukowej“ (!). Tego nigdy nie było i być nie mogło. Zarówno w swoim *Wstępie*, jak i obecnie, referując powyższy artykuł (który traktuje o psychologii w nauce o literaturze) nie zajmuję się i nie mogę się zajmować psychologią „samą w sobie“, lecz jej przydatnością dla badań literackich. Nie neguję, oczywiście, konieczności znajomości psychologii, ale wydaje mi się, że Ingarden przecenia jej znaczenie dla nauki o literaturze i to zarówno w dziedzinie psychologii twórczości, jak i psychiki postaci literackich (tu szczególnie). Obszerniej o tych dwóch działach pisałem w swoim *Wstępie*. Tu tylko dodam, że sam Ingarden zdaje sobie sprawę, jak niewyrobiona jeszcze jest metoda badania struktury psychicznej twórcy¹, jak miesza się tutaj materiały życiowe z literackimi (albo korzysta się wyłącznie z literackich, jak np. Baley w stosunku do Żeromskiego) i jaki z tego wynika chaos. Trzeba więc w opieraniu się na tym być bardzo ostrożnym, podobnie jak w stosowaniu metod, używanych w badaniu psychiki ludzi realnych, do postaci fikcyjnych.

Nie trzeba dodawać, że wszystko to, co Ingarden mówi o psychologizmie i jego niedopuszczalności w badaniach literackich — nie wywołuje żadnych zastrzeżeń.

Z. Szmydtowa przypominała w artykule pt. *Problemy poetyki Arystotelesa* główne zagadnienie postawione przez pierwszego teoretyka literatury, podzieliła je na ważniejsze i mniej ważne, wiecznie aktualne i mające tylko znaczenie historyczne, jasne, przekonywające i mniej dziś zrozumiałe. Dobrze jest od czasu do czasu przypomnieć te sprawy i uświadomić sobie, ile zawdzięczamy temu mędrcom, jak genialne w swej lapidarności i prostocie są niektóre jego sformułowania i ujęcia. Jest to tym bardziej potrzebne, że niejednokrotnie można stwierdzić zupełną nieznaną Arystotelesa nawet u krytyków literackich. Słyszałem zdanie wypowiedziane przez jednego z nich (i to wcale nie pośledniego), że poetyka Arystotelesa jest „zbiorem przepisów“ (!)

¹ St. Szuman w recenzji książki Ingardena: *O poznawaniu dzieła lit.* (Przegl. Wsp. Nr. 8-9, 1937) stwierdza nikłą wiedzę psychologii w zakresie nauki o osobowości w ogóle!

dla poetów. Czyż można bardziej zniekształcić charakter i intencje tego dzieła?

Swoją drogą wiele tez Arystotelesa z powodu zbyt lapidarnego lub niejasnego tekstu (który doszedł nas prawdopodobnie w formie „skryptu“ któregoś z słuchaczy mistrza) można rozmaicie interpretować, choćby np. kwestię „naśladowania rzeczywistości“ lub przepaściste zagadnienie *katharsis*. Tak samo i ogólne stanowisko *Poetyki* różnie bywa określane. U p. Szmydtowej znać niejaką skłonność do wiązania jej teorii z życiem, zagadnieniami moralnymi i psychologicznymi. Pominąwszy już kwestię, czy to są właśnie najważniejsze rzeczy u Arystotelesa, trzeba zaznaczyć, że wywody autorki nie zawsze liczą się z współczesnym stanem wiedzy. Tak np. sprawa *katharsis* ujmowana i wyjaśniana jest dzisiaj przeważnie z punktu widzenia estetycznego, a nie lekarskiego, czy moralnego. Podobnie wątpliwości budzić może zbyt podkreślanie pewnych „reakcyj psychicznych“, jako „istotnego czynnika przy definicji rodzaju literackiego“. Pogląd zaś, przypisywany Arystotelesowi, że „dzieło poetyckie określa się (?) przy pomocy kryteriów intelektualnych, uczuciowo-wzruszeniowych i moralnych“ jest niejasny i zapewne niezupełnie zgodny z duchem jego dzieła.

Do *podstaw metodologii badań literackich* sięga Stefan Żółkiewski w artykule pod tymże tytułem. Wiąże się on poniekąd z rozprawą, zamieszczoną w *Pracach ofiarowanych K. Wóycickiemu*, ale ma zadania specjalne: krytykę opierania metodologii badań literackich na fenomenologii. Wychodząc od teorii pojęć „klasowych“ Petrażyckiego, autor dowodzi, że metoda fenomenologiczna nie pozwala na poprawne wyodrębnianie tych pojęć, na stwierdzenie cech formalnych pojęcia „dzieło literackie“ itp., w ogóle zaś jej zasadnicze założenia są dzisiaj „więcej niż problematyczne“. Sądzi natomiast, że podstaw metodologicznych szukać dziś należy raczej u Carnapa, Meyersona i logistów. Metodologia przedstawia mu się jako „wiedza o strukturze orzeczeń teoretycznych o przedmiotach badań, a nie, jak chcą fenomenologowie, wiedza o tychże przedmiotach, tylko wyposażona w inną aparaturę pojęciową, niż dana właściwa nauka“. Nie mogąc zagłębiać się w *meritum* tych rozważań, zaznaczę tylko, że zdrową wydaje mi się przede wszystkim dążność do krytycznego przyjrzenia się fenomenologii, która u nas (dzięki Ingardenowi) pretenduje do stanowiska jedynie możliwej podstawy teoretycznej badań literackich. Ale gdy się chce tworzyć inną podstawę,

trzeba do badaczy literackich przemawiać jaśniejszym i zrozumialszym językiem, niż p. Żółkiewski. Nie wszyscy bowiem mogą być Carnapistami, Meyersonistami i logistami.

Gdy od tej rozprawki przechodzimy do artykułu L. Frydego: *O powołaniu krytyki literackiej*, to czujemy się tak, jak byśmy się nagle znaleźli z powrotem w epoce ś. p. Młodej Polski. Nic to, że ten młody, zdolny i inteligentny krytyk znajduje się pod urokiem Nietzschego — można bowiem w tym myślicielu znaleźć i dzisiaj wiele rzeczy pożywnych, jeżeli się tylko „podejdzie“ do niego w odpowiedni sposób. Ale, na miłość Boską, nie można wpadać w zachwyt nad jego stosunkiem do muzyki (właśnie do muzyki!!), bo to był stosunek pomimo wrodzonej muzykalności i smaku typowo literacko-ideologiczny, a więc antymuzyczny. Tymczasem p. Fryde cytuje długi ustęp z *Poza dobrem i złem* o muzyce niemieckiej (typowe impresje literackie) i stawia go przed nami jako „arcywzór krytyki artystycznej!“ Nie dziw więc, że cała dalsza analiza tego ustępu i nawiązanie do krytyki literackiej jest szeregiem ciężkich nieporozumień, które dochodzą do granic wprost przerażających w ustępie o poetyce formalnej i wersyfikacji, co wywołało słuszną replikę Fr. Siedleckiego. Cały zresztą artykuł jest propagandą haseł, które, zdawało się, już skończyły się z okresem Młodej Polski: impresjonizmu, intuicjonizmu, metaforyzmu itp. Na szczęście autor sam w swoich krytykach niezupełnie trzyma się swojej teorii. Niemniej jednak jest ona groźna i dla niego samego. Świadczy o tym np. artykuł pt. *Nauka o wierszu czy kiepska krytyka* (Pion Nr. 41).

Na uwagę zasługuje artykuł Kazimierza Budzika: *O gwara, języku literackim i języku literatury*. Po dowcipnym wstępie, zastrzegającym się przeciwko marcholtowym „dyskusjom“ i posądzaniom o bolszewizm teoryj, które właśnie, jak na złość, wywodzą się z Zachodu — autor daje naprzód historyczny przegląd stosunku lingwistyki do kwestii: gwara a język literacki, podkreślając zasługi w tym względzie Praskiej Szkoły fonologicznej — po czym zajmuje się rozróżnieniem pomiędzy językiem literackim (jako systemem językowym klas panujących) a językiem literatury (tj. aspektem językowym poszczególnych dzieł literackich), którego specjalną odmianą jest język poetycki („nastawiony na wyraz“). W sprawie języka literatury autor nawiązuje do swojej rozprawy ogłoszonej w *Pracach ofiarowanych K. Wóycickiemu* (ob. wyżej) i rozszerza jej podstawy, wyodrębniając

w badaniach tego języka dwa kręgi zagadnień: wewnętrzną strukturę językową i językową kompozycję. Poprzednia rozprawa poświęcona była tej drugiej kwestii; o pierwszej pisano już i u nas, ale w sposób niewyczerpujący. Autor skrupulatnie notuje te głosy (Nitscha, Obrębskiej, Zborowskiego, Węglarza), poddając je ocenie krytycznej i wysuwając wiele ciekawych i oryginalnych sugestyj. W ogóle powiedzieć trzeba, że w p. Budzyku zyskujemy pracownika zdolnego, bystrego i dobrze przygotowanego do pchnięcia naprzód na naszym gruncie badań stylistycznych jako dyscypliny lingwistycznej.

W sprawie gwary z punktu widzenia raczej socjologicznego i społecznego (ale z zaczepianiem o kwestie literackie) zabierali głos: J. Białowicz i K. L. Koniński (Prosto z mostu, Nr. 18, 20, 24, 38).

Urozczeniami teorii czynności artystycznej nazwał Marian Des Loges poglądy Konstantego Troczyńskiego na stosunek twórczości artystycznej do dzieła - wytworu, wypowiedziane w kilku jego pracach, które były i na tym miejscu w poprzednich latach omawiane. Teorię Troczyńskiego przedstawia autor z podziwu godną dokładnością i precyzją (a że nie jest to rzecz łatwa, wiadomo wszystkim czytelnikom tych prac!) Teoria ta streszcza się, z grubsza wzięwszy, w tym, że dzieło literackie można poprawnie rozumieć (a więc i badać) tylko poprzez czynność twórczą, wywnioskowaną z dzieła i na tej podstawie tylko można je zdefiniować. Des Loges przechodzi po kolei argumenty mające uzasadnić tę tezę i stacza z nimi zwycięską walkę, mocno opierając się na fenomenologii i na Ingardenie. A więc przede wszystkim stwierdza, że dzieło literackie i jego „czynność” sprawcza należą do „różnych bytowo kręgów rzeczywistości”. Dzieło literackie jest przedmiotem heteronomicznym, samodzielnym, częściowo jednak zależnym i pochodnym (jako przedmiot estetyczny i jako stworzone przez jakiś „podmiot sprawczy”) — czynność zaś jest zawsze autonomiczna, zależna od podmiotu, tworzywa, celu, wreszcie pochodną podmiotu twórczego. Związek przyczynowy, zachodzący między dziełem a czynnością, nie jest prostym stosunkiem przyczyny i skutku, przeciwnie, składa się z wielu elementów bardzo skomplikowanych, stąd trudności w określaniu właściwych przyczyn. I z punktu widzenia psychologii dzieło jest „testem”, z którego nie można odczytać ani skłonności czy dyspozycji, ani tym bardziej przebiegu procesów sprawczych. Czynność nie jest obecna w przedmiocie, nie jest jego tworzywem, ani żadnym dającym się wy-

odrębnić elementem. Przekonanie, jakoby rozumienie dzieła mogło się dokonać przez rozumienie czynności, jest więc błędne. Tak samo nieuzasadnione jest umieszczanie kryterium oceny dzieła w zgodności struktury czynności z strukturą morfologiczną — można je natomiast znaleźć raczej w zgodności elementów dzieła z jego „dominantą morfologiczną“. W zakończeniu autor przyznaje, że wprawdzie badania genetyczne nie dadzą się zupełnie wyeliminować (dlaczego?), ale wnioski z nich płynące będą posiadać charakter hipotetyczny i wątpliwy.

Z powyższego widzimy, że autor wprawdzie nie dochodzi do wyników rewelacyjnych, ale sumiennie i solidnie uzasadnia pewne prawdy, które w naszych warunkach nie mogą być dostatecznie często powtarzane.

Tenże autor w artykule: *O polski słownik literacki* występuje z projektem zbiorowego opracowania encyklopedycznego słownika terminów używanych w nauce o literaturze. Pomysł jest doskonały i odpowiada ogólnie odczuwanej potrzebie wprowadzenia jakiegoś ładu w chaos terminologiczny, jaki panuje u nas i nie tylko u nas. Autor nie poprzestaje na rzuceniu pomysłu, lecz zastanawia się również nad charakterem takiego słownika i sposobem opracowania go. Realizacja zależeć będzie od tego, czy znajdzie się instytucja naukowa, która by takie wydawnictwo podjęła.

W szeregu artykułów i recenzji omawiających *Wstęp* Kridla poruszono z natury rzeczy wiele zagadnień dotyczących teorii literatury i metodologii. Nie mogąc ich tutaj omawiać szczegółowo, wymieniam najważniejsze: W. Borowy: *Szkoła krytyków* (Przegl. Wsp. Nr. 2) — J. Krzyżanowski: *W poszukiwaniu teorii literatury* (Nowa Książka, Nr. 2 — omówiono tu również prace Ingardena i Grabowskiego) — T. Wiwatowski: *Dzieło literackie* (Ruch Lit. Nr. 2) — M. Giergielewicz: *Próba metody integralnej w badaniach literackich* (tamże, Nr. 3-4) — St. Skwarczyńska: *Uwagi o przedmiocie badania literackiego i o jego ujmowaniu filozoficznym* (tamże, Nr. 7-8) — L. Fryde: *U podstaw nowej poetyki normatywnej* (Pion, Nr. 18) — A. Fei (Droga, Nr. 11) — St. Kołaczkowski: *Bilans estetyzmu* (Marchoń, Nr. 2). Szczegółowszy spis tych artykułów, sięgających również r. 1936 (np. St. Adamczewskiego: *Miraże prostych dróg*, Pion, Nr. 152), wraz z szczegółowym ich omówieniem znaleźć można u J. Kulczyckiej-Saloni: *Około „Wstępu“ Kridla* (Życie Lit. Nr. 3-4).

Z innych artykułów wymienić jeszcze należy: J. St. Bystronia: *Ludzie ciekawi i rozwój literatury* (Wiad. Lit., Nr. 14) i *Ciekawość motorem rozwoju literatury* (tamże, Nr. 18) oraz J. Krzyżanowskiego: *Tropiciele plagiatu* (tamże, Nr. 41).

*

Ogólny „bilans“ roku ubiegłego w tej dziedzinie badań trzeba — na podstawie tego, co się powiedziało powyżej — określić jako dodatni. Pięć książek, kilkadziesiąt rozpraw, przeważnie cennych, oraz artykułów po czasopismach, nie mówiąc już o licznych recenzjach i polemikach — oto dorobek, jakim jeszcze kilka lat temu nie można się było pochwalić. Oczywiście, są to tylko początki, niewspółmierne z ogromem zadań, jakie teoria literatury i oparte na niej badania literackie mają u nas do wypełnienia.

MANFRED KRIDL

SZKICE I FELIETONY

Dalborowa R. *Pedicurzystka z zasadami*.
W-wa. Rój.

Górski A. *Niepokój naszego czasu*.
W-wa. Kom. Wyd. 1938.

Hiż T. *Talent, dziwactwo i coś jeszcze*.
W-wa. Rój.

Irzykowski K. *Lżejszy kaliber*, tamże.

Katelbach T. *Za litewskim murem*,
tamże.

Nowaczyński A. *Słowa, słowa, słowa*.
W-wa. Przeworski. 1938.

Samozwaniec M. *Małeńkie karo karmila
mi żona*. W-wa. Rój.

Wasylewski St. *Niezapisany stan służby*.
W-wa. Przeworski.

Wiech-Wiechecki St. *Znakiem tego*.
W-wa. Rój. — *W ząbek czesany*, tam-
że. — *Ja panu pokażę*, tamże.

Winawer B. *Ziemia w malignie*. W-wa.
Rój. — *Cztery kąty świata*, tamże.

Żeleński-Boy T. *Marysieńka Sobieska*.
W-wa. Książnica-Atlas. 1938.

SKUPIENIE SZKICÓW CZY FELIETONÓW W KSIĄŻKĘ nie oznacza prostego ich zsumowania; powstaje całość *de facto* nowa, swoistą jakością i dynamiką całości decydująca o znaczeniu literackim i kulturalno-społecznym książki. W czasopiśmie szkic-felieton ma odmienne warunki bytu; składa się na nie m. in. sąsiedztwo kontekstu obcego pióra, kontrasty treściowe różnych artykułów, „duch” czasopiśma etc. W zbiorze książkowym w otoku kontekstu tego samego autora, a więc kontekstu nastawionego na ten sam ton — szkic-felieton traci swoją samodzielność, staje się częstką całości. Trzeba sobie z tego zdać sprawę, aby ocenić wagę książki, która genezę tkwi w szkicu i felietonie rzuconym w efemerydę-czasopismo. Drobiazgi miłe, rozrywkowe na łamach pisma — mogą stać się w całości książki zjawiskiem literacko przykrym a społecznie szkodliwym. Niekiedy przeciwnie: rzeczy zbyt drobne, aby zaważyć trwale ciężarem myśli czy polotem stylu na wrażliwości czytelnika — skupione w książkę podpierają się wzajemnie ku pełni wspólnej ważności. — Charakter książki opartej o felieton może być w swych osiągnięciach różny. — Może być ona *zbiorem* felietonów-szkiców, po prostu *zbiorem* rozproszonych tekstów; wtedy jako całość

właściwie nie istnieje. Niekiedy jednokierunkowość głębszych zainteresowań pisarza sprawia, że szkice i felietony tworzą tematyczną całość, prosząc się o fakturę książki. Geneza felietonowa daje książce rozłożystość tematu, barwność nastroju, ponętą *varietas*. Wreszcie linia jedności książki tkwić może bezpośrednio w osobowości twórcy; ona to wtedy daje pełny, jednolity charakter wszelkim tematom, tak, że różnorodność tematyki jest pozorna, a książka komponuje się w całość zwartą, skończoną. Tegoroczny dorobek literatury oparty o szkic i felieton ilościowo bogaty, reprezentuje wszystkie te typy w właściwej im dynamice estetycznej. Oczywiście — wartość różna. Na plan pierwszy wysuwa się nie tylko wagą zjawiska kulturalno-społecznego, ale i wagą walorów estetycznych Artura Górskiego *Niepokój naszego czasu*. To najczystsze wcielenie typu trzeciego: najtrudniejszego. Książka składa się z rzeczy różnorodnych, nie tylko tematycznie, ale i formalnie (od rozpraw po dialog i odczyt radiowy) — a przecież bije w oczy spoistością, skupieniem dynamiki. Nie ma tu rzeczy ważkich i mniej ważkich, „duchowych“ i „świeckich“; nieistotny jest podział tematyczny na rozważania socjologiczno-kulturalne, polityczne, literackie, religijne. Głęb wszystkiego jest jedna. Jedna siła wynosi wszystko od wewnątrz, wszystko rozwiązuje od jednej głębinowej zasady. Dostojna wielkość ducha wyraża się w uchwycie drobnej nawet aktualności z tą samą nieomylnością, co i w budowie wielkiej syntezy łukiem opartej o wieki. Linia tej książki płynie ze zbyt przepaścistych głębin, aby podziwiać jej odwagę. Łącząc wielką linią rzeczywistość historyczną z widzeniem idealnej przyszłości nie omija żadnej aktualności zawstydzającej, trudnej, przykrej czy bolesnej. Powagą odpowiedzialności jednego za wszystkich stwarza do tych aktualności-bolączek dystans zarówno historyczny jak i moralny. Z ostrością sądu przebiega ponad zagadnieniem sprawy ukraińskiej, żydowskiej, reformy socjalnej, ponad zagadnieniem roli inteligencji, problemem państwa i narodu, problemem oświaty („chodzi o światło w człowieku, nie o intelektualizację mas“), problemem wartości i odpowiedzialności ludzi rządzących. Nigdy nie brzmi struna myślenia partyjnego, czy myślenia tradycyjnymi nawykami. Pogląd na świat budowany tu jest na sumieniu. Z dna sumienia płynie rozumienie kultury. Opiera się ona o osobowość; w odrodzeniu moralnym człowieka tkwi odrodzenie kultury. Na kulcie charakteru, nie na apoteozie talentu musi się oprzeć przyszłość. Przedmiotem najwyższej pieczołowitości stać

się musi rozwój nie tylko duszy jednostkowej, ale i zbiorowej. U dna polskiej zbiorowej osobowości leży poczucie wspólnoty narodowej, opartej o chrystianizm, ideały kultury zachodniej i o instynkt humanistyczny. Polskość — ideał polskości — to jest to, co w sensie ogólnoludzkim najwyższe, to „doskonałość godna trwania i miłowania“. Jako rzeczywistość wewnętrzna człowieka to nie tylko świadomość: „To płomień — to płomień iskry moralnej“. Polskości nie wolno zamknąć w pasywnym przeżywaniu wartości tradycyjnych. Postawa obronna byłaby abdykacją z najwyższych praw: zwycięstwa. Linia, którą autor wyprowadza z dna swojego widzenia, dla tych, którzy żyją duchowo kategoriami liberalizmu, wielkopańskim gestem dobroćliwości i tolerancji — wydaje się straszliwie surowa. Bez względu, z jaką przeciwstawia się grozie judaizacji polskiej inteligencji lub z jaką narzuca zakon powagi z ducha Mickiewicza i Skargi, przeciw jowialskości z ducha Krasickiego i Fredry — przede wszystkim przeraża. Tak samo wichur mitotwórczy i mitoniszczycielski tak właściwy postawie duchowej twórcy *Monsalvatu*. „Żyjemy w czasach kiedy słowo staje się czynem“ — powiada autor; czytelnik ma pełną tego świadomość, przeżywając „Niepokój naszego czasu“. Ta książka to czyn. Czyn najwyższej rangi. Czyn o rozmachu apostołskim przez rozplamienie słowa, które jest słowem „wiecznego człowieka“. Słowo to grzmi, błyska, pali, żre, odpycha i uderza piorunem, jak słowo Skargi. Krzakiem gorejącym płonie ponad literacką produkcją ostatnich czasów. Z pewną po prostu satysfakcją uświadamiamy sobie, że A. Górski nie był nigdy laureatem żadnej nagrody. Szafarze nagród zdawali sobie może sprawę, że premiowanie człowieka pewnej ponadmiary, strażnika od lat polskiego sumienia i polskiej misji dziejowej — byłoby zbyt jednostronnym hołdem, jakimś za-pan-bratowaniem. Nie premiuje się także własnych, najgłębszych duchowych drgnień. Wstrzymuje może od tego elementarna wstydlivość.

Urokiem świetnego dowcipu, dojmującego słowa, trafnego, lekkiego, potocznego i potoczystego tonu, wdziękiem stylizacji uderza T. Żeleńskiego-Boya *Marysińska Sobieska*. Genezą tkwi ta „vie romancée“ w felietonach, które przez dwa lata były jedynym uśmiechem ponurych ostatnio Wiadomości Literackich. Felietonowość jednak zaważyła ujemnie na charakterze książki o ambicjach monografii. Poszczególne rozdziały — to szereg błyskotliwych, pełnych niespodziewanych spięć, nieoczekiwanych uwag, dosadnych przemilczeń felietonów, które scalone w książkę

rażą niekiedy nawiązywaniem do raz już podanych szczegółów, przypomnieniem o tym czy owym; jest to konieczne tam, gdzie tydzień lub dwa zacierają w pamięci szczegóły, razi jednak w ciągłości książkowej lektury. Każdy z rozdziałów prawem samodzielnego felietonu ma własną oś, własny akcent sensacyjny, własną pointę; ale, oczywiście, całość nie ma już jednolitego rytmu, rytmu napięcia i opadu, nie ma jednej linii kompozycyjnej. Czyżby to świadczyło o incompatibiliach: felieton i monografia?

Zapewne historycy wystąpią z pretensjami zarówno o literacką odbudowę historycznych faktów, jak i o interpretację dokumentów. A że są nimi przede wszystkim listy, i to listy miłosne — trzeba stwierdzić, że nastąpiło tu może pewne nieporozumienie; chwyta je świetnie autor w ich aurze uczuciowej, we wdzięku ich stylu (jakżeż słusznie wyznacza im wysoką pozycję w literaturze!!) — ale traktuje ich treść zbyt literalnie. Prawem dynamiki uczuciowej: lekceważenie ścisłości. List miłosny trzeba brać — że się tak wyrazimy — raczej intencjonalnie. Rzucenie pod nogi Marysieńki odsieczy wiedeńskiej jest gestem miłosnego stylu — niekoniecznie jej przyczyną historyczną. Czy pasja rewizjonistyczna, legitymująca się chęcią wypełnienia brzozy żywą krwią, nie tworzy zamiast żywego człowieka nowego o nim mitu, znów zbudowanego na jednostronnym materiale? Dlaczego a priori raczej dawać wiarę argumentom pomniejszającym, dlaczego a priori odrzucać rzeczywistość trudnych wyżyn? Autor zastrzega się, że nie pisze monografii o Sobieskim, lecz o Sobieskiej, i tym się rozgrzesza wobec nauki; nie mógłby jednak zaprzeczyć, że owym mimochodem (którego artystycznego sekretu nikt nie zna tak jak on) narzuca koncepcję Sobieskiego „bohatera mimo woli“, raczej herosa miłosnej wytrwałości niż świetnego stratega, i specja — mówiąc po dzisiejszemu — „od“ Oddziału IV. Tych parę słów na marginesie historiozofii Boya, której pozostał wierny od czasu „Słówek“ („nikt nie wie o piesku, a każdy o Styce“). Że jednak każda książka ma swoją wagę nie tylko literacką i naukową, ale i społeczną — nasuwa się pytanie, czy stać nas w tej chwili, kiedy cały świat zbroi się w siłę moralną, czerpaną z wiary w wielkość przeszłości narodowej — na burzenie heroicznych horyzontów naszej historii? Jakim rezonansem odbije się *Marysieńka Sobieska* w duszy młodzieży? Wprawdzie ta książka jest par excellence książką rozrywkową, ale nie zapominajmy, że młodzież nie zna książki rozrywkowej. Z każdej się uczy, każdą łąta własne niedoświadczenie życiowe. Każda jest „książką budującą“...

Ale ta uwaga nasuwa się nie tylko pod adresem świetnego autora. Bardziej jeszcze pod adresem firmy wydawniczej Książnica-Atlas, która uprosiła autora o jej napisanie; a chyba nie liczyła na to, że się Boy ad hoc ubierze w ornat. Taka bogobojna firma, to nie tylko dostojne „imprimatur“, uroczyste „nil obstat“, ale sankcja i zachęta dla młodzieży ze strony „ciała pedagogicznego“. Bo przecież Książnica Atlas (!T.N.S.W.!) specjalizuje się w książce szkolnej i budującej, nie w sensacji, pikanterii i ataku na narodową mitologię. Jest coś z ducha tej świetnej książki rozgryzającej figlarnie barokowe antynomie w kumostwie jej rodziców chrzestnych: Wiadomości Literackie i Książnica-Atlas (Zjedn. zakł. kartogr. i wyd. TNSW. Sp. Akc)!!!

Nie tylko „Nieznany listem Jana do Marysieńki“ spowinowacona jest książka A. Nowaczyńskiego z książką Boya. Także werwą, temperamentem, kulturą słowa — wreszcie duchem rewizjonizmu i niechęcią do oficjalnej nauki. Większa tu może amplituda uczuciowa, co wiąże się z różnorodnością tematów zamkniętych głównie w sferze historyczno-literackiej. Złośliwość, pasja odkrywca („Kordian był klerykiem“), ton moralizatorsko-„zgorszeniowy“ („Wierne rzeki“ i „Urody życia“) szal prawdy coüte-que-coüte („Adam i Konstancja“), wreszcie podniosłość („Laska pani generałowej“) — tworzą uczuciową, ponętną mozaikę. Słowo występujące w funkcji także naukowo-odkrywczej, nie przestaje tu być typowym słowem Nowaczyńskiego; zachowuje skłonność do kalamburu, do przedrzeźniania, do ciętości, w której niekiedy więcej razi złośliwość niż cieszy dowcip; nie mógłby zaiste powiedzieć za Słowackim autor, że „gryzie sercem“. Charakterystyczne dla tej książki jest hałaśliwe przedstawianie mebli w komnatach historii literatury. To co na dole (H. Rzewuski) — na górze; to co na górze (Mickiewicz w 1831 r.) — na dole; to, co po kątach — na froncie („Ordon“, K. Łubieńska) i vice-versa. Szkice — felietony ułożone po osi chronologii tematów historyczno-literackich tworzą logiczną całość: od XVII w. po nowoczesną Gdynię. Książka ta jest zarazem i pasjonująca i przykra.

Duchem pamiętnikarstwa i oparciem tematycznym o środowisko literacko-dziennikarskie, scalają się w jedność książkową szkice i felietony T. Hiż a *Talent, dziwactwo i coś jeszcze* i St. Wasylewskiego *Niezapisany stan służby*; obie mają aurę autentyzmu i uczuciową aurę wspominek. T. Hiż wprowadza nas w sferę wczorajszego warszawskiego dziennikarstwa, w sferę polskiej studenterii w Petersburgu, w intymną ro-

dzimność naszych poetów sprzed lat 50-ciu (Gomulicki, Klemens Junosza, Prus, Sienkiewicz, Tetmajer i i.). Żywość wspomnienia w niefrasobliwej tonacji gawędy ogarniająca drobiazgi, ale drobiazgi wymowne, zbliża ku nam przeszłość; sympatyczna dobroć i prostota czyni z książki lekturę miłą. Wasylewski okazał, że nieporównany urok minionych wieków, o których mówi, jest nie ich cechą, lecz cechą jego spojrzenia; „wär' nicht das Auge sonnenhaft...“ Ten sam bowiem urok bije z książki o czasach, któreśmy sami przeżyli, nie wiedząc, że tyle w nich wdzięku. Tym samym dokonał autor rzeczy najtrudniejszej: czasy niedawne, które jak zeszlóroczna moda trąca już myszką, a nie mają jeszcze patosu historii, które w naszym odczuciu nie mają jeszcze stylu — przyoblekł subtelną stylizacją w powab, ważność, żywotność. Czasy i ludzi, których traktuje subtelnie i życzliwie, a czasem rzewnie, zarówno tych którzy odeszli, jak i tych którzy nadal kwitną między nami. Miejsce: b. Galicja, przede wszystkim Lwów; czas: lata tuż przed wojną i wojna; akcja: między Ossolineum a marzeniem o legionach. Czar Lwowa, jego życia literackiego, naukowego, puls jego ideowości i prężności kulturalnej — wprost odurzający. Bogata galeria znanych i znajomych: Kasprowicz, Zapolska, T. Czapelski, A. Skwarczyński, A. Zagórski, Sz. Askenazy, J. Kleiner, Makuszyński, Kallenbach, Maykowski — i tylu, tylu innych. Badaczowi przypomina tu autor niejedno — chociażby satyryczno-dziennikarską twórczość Kasprowicza.

Lżejszy kaliber K. Irzykowskiego jest niepospolitą książką. Myśl znakomitego teoretyka zawieszona nad drobiazgami z pozoru, wędrująca marginesem spraw oficjalnie najważniejszych — nie może się pozbyć pasji sięgania w głąb. I tam w głębi zjawisk codziennych, „oklepanych“, drobnych — dociera do wspólnej istoty rzeczy, do sensu rzeczywistości, która się wyraża i tymi drobiazgami. Stąd nie w tej książce ze stosunku bagatelizującego, powierzchownego, zakłamanego. Stąd powaga. W przypomnianych świetnych, bystrych studiach takich np. jak o Autobiografizmie lub o Filozofii koralowej — podnieca myśl czytelnika, każe jej bieć ze sobą, zmusza do samodzielnego pędu, przekonywa o konieczności karkołomnego skoku. Migotanie wielkiej prawdy na dnie małych rzeczy chwyta w zwartość myśli, w spicie aforyzmu, w iskrę niespodziewanych konstrukcji. Styl od tych iskier i zwarć jest zarówno błyskotliwy jak i trudny. Awangardowe niemal skróty doprowadzają lapidarność aforyzmu niemal do znaku symbolicznego ukrytych za słowem treści. Aforyzmy K. Irzykow-

skiego, jedne z najświetniejszych we współczesnym dorobku tego rodzaju—nie uciekają przed rygoryzmem formy w mdlą przelewność tzw. „myśli“. Ich zwroty, zwarcia, kontrasty otwierają niby kluczem wizję ludzkiego bytu, losu, tragizmu, która niekiedy przejmuje metafizycznym dreszczem spoza trafnej metafory, symbolu, nagłej elipsy. Ma się wrażenie, że te aforyzmy kryją w sobie dumne niewyznania prawd własnych. Że stanowią najsubtelniejsze *Confessiones* Irzykowskiego: że odsłaniają w nim nowe oblicze, nowe skryzalizowania. Jakie perspektywy otwiera np. takie zdanie: „Wątpienie w Boga chce wzmocnić anioł, aby religia lepiej prosperowała“.

Wiele się podniosło hałasu dokoła szturm St. Wiecha - Wiecheckiego na bastiony literatury. Sankcja palmy akademickiej stała się z opornością purystów i tradycjonalistów. Codziennym felietonem i aż trzema zbiorami tych felietonów wprowadził Wiech w literaturę sferę, na której pozycję społeczno-kulturalną nie ma właściwie nazwy (od dozorca do ulicznego handlarza obrazami), sferę podpatrzoną od strony sali sądowej, w codzienności tragiczno-komicznych powikłań, ambicji, obyczajów, zwyczajów. Język Wiecha okazał się atrakcyjny; młodzież figlarne przyswaja sobie ów stop, na który składa się żargon żydowski, wpływy rosyjskie i wysiłek nadania wysłowieniu „szyku“ języka warstw wyższych. Skomplikowana rzeczywistość niezauważonego dotąd przez literaturę gatunku człowieka wybucha w króciutkich obrazkach pełnych życia, ruchu, werwy dialogowej, racą dowcipu, pewnego rodzaju egzotykiem. Po stwierdzeniu autentyzmu (w sensie kulturalno-obyczajowym) — można by uznać Wiecha za Kolumba swoistej rzeczywistości, światów najbliższych a nieznanych, a jego książki za sui generis reportażowy dokument. Z punktu widzenia literatury są te książki za obfite, nużące niekiedy w dowcipie. Rozsypane felietonami świecą iskrą humoru w kontekście ponurej rzeczywistości — i lepiej przemawiają niż tu, gdzie układają się raczej w matematyczną sumę zbioru niż w nową całość.

Książka Katelbacha *Za litewskim murem* wpadła w największe napięcie zainteresowania Litwą. Autor jako korespondent przebywał przez parę lat na Litwie. Korespondencje zgrupował wzdłuż pewnych osi, pragnąc dać pełny obraz rzeczywistości litewskiej, tak nam nieznanej. Układ stosunków może sprawił, że tę rzeczywistość poprzez książkę pisaną lekko (à la longue może zbyt lekko) widzimy raczej od zewnątrz; psychika naszych sąsiadów jest nam nadal obca. Zresztą sam autor zdaje sobie spra-

wę z niedomówień i mglistości, traktując je w przedmowie jako polityczną konieczność. Toteż nie tylko w tym co mówi o Litwie, ale i w tym czego nie mówi pozostanie książka tego sumiennego i inteligentnego obserwatora dokumentem chwili. Teraz jest miłą, aktualną lekturą.

Nowości w horyzontach ani w ujęciu tematu nie daje w swoich dwóch książkach B. Winawer. Jest wytrwały w swojej pasji popularyzatorskiej i w swoim marzycielstwie. Inteligentne felietony „zrobione” techniką sensacyjności mają za cel spopularyzować zdobycze najnowszych badań w zakresie fizyki, astronomii, przyrody i nauk technicznych. Autor wykazuje niesłychaną dynamikę wiecznie niedocenionego świata nauki. Chce uchwycić rytm i tempo, w jakim wylęga się lepszy świat w próbkach, re-tortach, na doświadczalnych poletkach. Stąd twórczość B. Winawera leży na linii dawnych utopii społecznych, które śniły ideał powszechnego szczęścia. Ta jednak różnica, że w zachwycie autora dla kultury materialnej schodzi z pola widzenia człowiek, który w zawężeniu spraw etyczno-prawno-socjologicznych był w rozumieniu dawnych utopistów ośrodkiem nowego szczęśliwego świata. Może pewien a-czy antyhumanizm autora, pominięcie człowieka sprawia, że jego książki błyskotliwe i cenne w entuzjaźmie dla pracy i wiedzy — są w gruncie trochę płytkie i zimne.

Zbiór felietonów R. Dalbórowej mógł się bez szkody dla kogośkolwiek a z pożytkiem dla autorki w ogóle nie ukazać.

Z felietonów urodziła się powieść satyryczna *Magdalena Samozwaniec Maleńkie karo karmiła mi żona*. Niezupełnie dała sobie radę autorka z istną kwadraturą: interesujący felieton satyryczny — interesująca satyryczna powieść. Każdy felieton musi posiadać swoją satyryczną pointę, skutkiem czego żywioł satyryczny powieści rozdrabnia się, wnika w szereg miniatur. Brak mu szerszego oddechu dla charakterystyki osób, dla szerokich linii akcji. Stąd pewna monotonia. Świetlnymi punktami w przydługiej całości są świetne dowcipy, bystre obserwacje, wreszcie wstydliwie kryte w pozorną groteskę głębsze zadumania nad wartością i sensem życia.

Szkie i felietony ostatniego roku w ujęciu książkowym uderzają bogactwem produkcji (podwojenie plonu w porównaniu z ubiegłym rokiem), wielostronnością tematową, barwnością walorów literackich. Jest tu kilka pozycji, które pozostaną trwałą wartością literatury pięknej i szczytnym dokumentem kultury współczesnej.

ESTETYKA

- Blaustein L. *Rola percepcji w doznaniu estetycznym*. Przegląd Filozoficzny, zesz. IV. (1937).
- Elzenberg H. *Estetyka jako dyscyplina wartościująca*. Pion, nr. 10 (1936). *Zabarwienie uczuciowe jako zjawisko estetyczne*. Prace ofiarowane Kazimierzowi Wóycickiemu. Wilno.
- Harassek St. *Krytyka rozumu praktycznego jako etap kształtowania się pojęcia wzniosłości Kanta*. Kwartalnik Filozoficzny, zesz. III i odbitka. (1937).
- Lissa Z. *Muzyka i film*. Lwów, Księgarnia Lwowska. — *O słuchaniu i rozumieniu utworów muzycznych*. Wiedza i Życie, nr. 6. (1937).
- Łobaczewska St. *Ogólny zarys estetyki muzycznej*. Lwów, nakł. Filomaty. — *Z psychologii przeżycia muzycznego*. Kwartalnik Psychologiczny, zesz. 1. (1937).
- Ossowski St. *Estetyka i socjologia sztuki*. Wiad. Literackie, nr. 2 (1936).
- Plotyn. *O pięknie umysłowym*. Tł. A. Krokiewicz. Marchoń, rok II, nr. 4 (1936).
- Wallis-Walfisz M. *Pierwiastki zmysłowe i znaczeniowe w dziele malarskim*. Wiedza i Życie, nr. 5 (1936). — *O przedmiotach wzniosłych*, tamże, str. 283—291 (1937). — *O przedmiotach tragicznych*, tamże, str. 518—521.
- Księga pamiątkowa III Polskiego Zjazdu Filozoficznego* (jako zesz. IV Przeglądu Filozoficznego, 1936).
- Travaux du IX Congrès International de Philosophie*. Paryż, Hermann et Cie. Zesz. XII.
- Deuxième Congrès International d'Esthétique et de Science de l'Art*. 2 tomy. Paryż, Alcan.

TAK JAK W ROKU 1935, SPRAWOZDANIE OBECNE OBEJMUJE okres dwuletni, — tym razem lata 1936 i 1937.

Dwukrotnie już wypadło nam referować, w braku wydawnictw książkowych, wyłącznie rozprawy i artykuły ogłaszane w czasopismach, albo co najwyżej krótkie broszury. Obecnie mamy znowu do zanotowania dwa wydawnictwa książkowe: Stefanii Łobaczewskiej *Ogólny zarys estetyki muzycznej*, oraz rzecz p. Zofii Lissa pt. *Muzyka i film*. Jakkolwiek żadna z nich nie dotyczy specjalnie estetyki literatury ani estetyki ogólnej, wypadnie z obydwoch zdać sprawę, gdyż obie stanowią dla kultury teoretycznej w dziedzinie sztuki pozycje ważne: pierwsza ja-

ko próba syntetycznego opracowania jednego z działów estetyki najmniej u nas opracowanych a dla całości wyjątkowo doniosłych, druga przez swe zdecydowane pionierstwo w stosunku do zagadnienia jak najbardziej aktualnego, mającego przy tym — trochę wbrew temu, czego by sama autorka sobie życzyła — związki z literaturą wcale uchwytnę.

Książka p. Łobaczewskiej jest pierwszym tomem większego dzieła p. t. *Estetyka muzyczna*, które, ze względów technicznych, musiało być rozbite na dwie części. Autorka ma pełną świadomość, że rozłożenie materiału między oba tomy — obecny, oraz mające się dopiero drukować *Dzieło muzyczne i jego przeżycie* — nie jest zadawalające: istotnie, nawet po wstępnych jej wyjaśnieniach trudno się zgodzić na układ *Ogólnego Zarysu*. Zaczawszy bowiem — co jest naturalne — od usytuowania muzyki w systemie sztuk i od dość obszernego streszczenia historii estetyki muzycznej po dzień dzisiejszy, omówiwszy potem — o wiele krócej — podstawowe przy swojej koncepcji zagadnienie „wyrazu i formy“ w muzyce, całą prawie drugą część książki poświęca p. Łobaczewska zagadnieniom wtórnym, „peryferycznym“, mającym naturalne swe miejsce gdzieś raczej w uzupełnieniach, a grupującym się (z jednym wyjątkiem) naokoło sprawy artystycznego łączenia muzyki i elementów pozamuzycznych. Tak się jednak składa, że właśnie ten defekt kompozycyjny nadaje Zarysowi szczególne znaczenie dla badaczy i miłośników literatury: omawia się tu bowiem sprawy takie jak stosunek tekstu do muzyki w pieśni, jak odmiany teatru muzycznego, jak muzyka programowa, jak wreszcie słyszenie barwne (dla którego autorka, nie wiadomo z jakiego powodu, zachowuje wszędzie termin francuski). Spośród pewnej ilości pretensyj, z jakimi adept estetyki ogólnej, albo zgoła poprostu filozof, miał by ochotę się zgłosić, pozwolę sobie wymienić następujące: przedstawienie „dawnej“ estetyki „spekulatywnej“, w porównaniu z rozwojem późniejszym, jako czegoś zbyt już naiwnego; stałe używanie wyrazu „eksperymentalny“ zamiast „empiryczny“; traktowanie idealistycznej estetyki niemieckiej jako estetyki uczucia; wreszcie wyrażanie się tak, jak gdyby kierunek psychologiczny był dziś panujący nie tylko w estetyce muzyki (co być może jest prawdą), ale i w estetyce w ogóle, co jest już jawnie błędne. P. Łobaczewska patrzy tu trochę subiektywnie: sama bowiem jest — bez jednostronności zresztą i w dobrym stylu — zwolenniczką metody psychologicznej, jak to się zresztą zaznacza w samym tytule drugiego, zapowiadzanego tomu. Do kręgu zagadnień tego

drugiego tomu naleŹy teŹ jej artykuł drukowany w *Kwartalniku Psychologicznym* p. t. *Z psychologii przeŹycia muzycznego*.

Szczuplejsza rozmiarami ksiąŹka p. Zofii Lissa ma teŹ i temat o wiele bardziej specjalny; dzieki temu jednak, Źe i ona zajmuje się wspóldzia-
łaniem dwóch sztuk dla wspólnego efektu, zmuszona jest siłą rzeczy, jak kaŹda praca tego typu, poruszyć sprawy estetyczne najgłębsze i najbar-
dziej istotne. Tytuł wymaga komentarza: chodzi głównie o rolę muzyki
w filmie *dźwiękowym*, a stosunek jej do filmu niemego omówiony jest
tylko pokrótce w jednym z paragrafów wstępných. Natomiast poza mu-
zyką uwzględnione są, choć nie tak szczegółowo, także i inne zjawiska
„sfery słuchowej“, z którymi ma do czynienia dźwiękowiec. Po przestu-
diowaniu ogólnych podstaw, na jakich oparty jest związek między mu-
zyką a filmem (od strony „ontologicznej“, psychologicznej i „genetycz-
nej“, t. zn. po prostu historycznej), wyodrębnia autorka z wielką do-
kładnością kilkanaście funkcji, jakie spełnia muzyka w filmie dźwięko-
wym, i to jest główny trzon pracy; po czym następuje jeszcze, potraktow-
wane krócej, niektóre zagadnienia bardziej specjalne, jak rola muzyki
w filmie abstrakcyjnym i rysunkowym, percepcja i przeŹywanie muzyki
filmowej, zagadnienie swoistych odmian komizmu, jakie można osią-
gnąć przez zestawienie muzyki ze sferą wzrokową i t. p. Praca ta jest
pierwszą w swoim rodzaju i poddaje analizie zjawiska, które ani przez
teoretyków nie były dotychczas zanalizowane ani, często, przez samych
odbiorców po prostu spostrzeŹone. W metodzie swej wychodzi z załoŹeń
fenomenologicznych i idzie na ogół za Ingardenem.

Zanim teraz wspomnę o artykułach i rozprawach, wypadnie mi
uwzględnić jeszcze jeden dział publikacji: akta zjazdów naukowych, na
których estetycy polscy występowali z referatami. W okresie sprawoz-
dawczym odbyło się ich trzy: III Polski Zjazd Filozoficzny w Krakowie,
we wrześniu 1936; IX Międzynarodowy Zjazd Filozoficzny w ParyŹu,
w sierpniu 1937; wreszcie II Międzynarodowy Kongres Estetyki i Nauki
o Sztuce, również w ParyŹu i bezpośrednio po tamtym. Niektóre referaty
polskie juŹ się ukazały w czasopiśmie i będą omówione albo za chwile
albo w sprawozdaniu za rok 1938; niektóre stanowią tylko stresz-
czenie, dla zagranicy, publikacji polskich wcześniejszych; inne jednak
są dostępne, jak dotąd, tylko w skrótach zamieszczonych w „Księgach“
zjazdowych, i o tych warto wspomnieć choć słowem. Nie jest ich szcze-
gólnie wiele; z jedenastu referatów zaliczonych do sekcji estetyki zjaz-

du krakowskiego zaliczymy tu tylko pięć lub sześć, z tych zaś trzy tylko (I. Fika, J. Gałęckiego, J. Brauna) podpadają pod rubrykę „estetyki“, rozumianą w sensie nieco ściślejším. Referat p. Wallisa-Walfisza na paryskim zjeździe filozoficznym (jedyń z polskich, mający temat estetyczny) jest po prostu krótszym, chociaż w szczegółach nieco zmodyfikowanym ujęciem rozprawy *O zdaniach estetycznych*, z której zdawałiśmy sprawę na tym miejscu za rok 1932; do tego samego kręgu zagadnień odnosi się i krakowski referat tegoż autora. Ważniejsze, i przyjęte ze szczególnym zainteresowaniem, było wystąpienie p. Walfisza na kongresie estetyki, dotyczące metody semantycznej w estetyce. Przeprowadzony tu jest podział sztuk na asemantyczne i semantyczne: dzieła tych ostatnich są „znakami albo zespołami znaków“; według rodzaju znaków używanych można przeprowadzić dalsze podziały. Studia przeprowadzone w duchu metody semantycznej będą mogły dotyczyć w szczególności budowy dzieła sztuki z punktu widzenia wchodzących w jego skład elementów z jednej strony asemantycznych, z drugiej — semantycznych różnego typu, dalej zaś — sposobu, w jaki te składniki wiążą się w całość. Próbkę tej metody stanowi krótki artykuł p. Wallisa-Walfisza w *Wiedzy i Życiu* pt. *Pierwiastki zmysłowe i znaczeniowe w dziele malarzkim*.

Na tym samym zjeździe i na tym samym posiedzeniu prof. Ingarden dał ilustrację metody fenomenologicznej na przykładzie jednym z trudniejszych: *przeżycia estetycznego*. Myśli tu wypowiedziane odnajdujemy coprawda także w paragrafie 24 książki *O poznawaniu dzieła literackiego*; referat (w języku niemieckim) przynosi jednak sformułowania zwięzłe i zwarte, z którymi się również warto zapoznać. Podobnie też poglądy wygłoszone w większości pozostałych referatów są dostępne czytelnikowi polskiemu także i w innej formie. Żadnych, nawet przybliżonych odpowiedników, nie znam jak dotąd jedynie dla wystąpień prof. Lutosławskiego (o *społecznej wartości piękna*), prof. Jasinowskiego (referat ten zresztą prawie nie dotyczy już estetyki) i p. Kazimierza Wizego.

Przechodząc do większych rozpraw, które ukazały się w czasopismach, wypadnie przede wszystkim wymienić pracę, którą doc. Stefan Harassek ogłosił w *Kwartalniku Filozoficznym* p. t. *Krytyka rozumu praktycznego jako etap kształtowania się pojęcia wzniosłości Kanta*. Cenny ten przyczynek do historii estetyki jest jednak tak specjalny i dotyczy zagadnienia tak już bardzo „peryferycznego“, że w sprawozdaniu takim

jak niniejsze trzeba się ograniczyć do jego wymienienia. Sprawozdanie to natomiast daje mi wreszcie pożądaną sposobność wspomnienia o jednej przynajmniej publikacji p. Leopolda Blausteina. Prace tego filozofa poruszają się dość często na terenach z bliska graniczących z estetyką, nie wkraczały jednak, jak dotąd, na sam jej teren z sposób dość zdecydowany, by w króciutkich przeglądach *Rocznika* mogły być uwzględnione. Inaczej ma się rzecz z jego referatem na zjeździe krakowskim, ogłoszonym później w *Przeglądzie Filozoficznym*, a omawiającym *Rolę percepcji w doznaniu estetycznym* (w Paryżu na kongresie estetyki omawiał p. Blaustein temat pokrewny). Opierając się na dokonany przez siebie uprzednio rozróżnieniu percepcji spostrzegawczej, imaginatywnej i sygnitywnej (terminy te otrzymują zwięzłe wyjaśnienie także w obrębie samego artykułu), zastanawia się autor nad wpływem, jaki te różnice w percepcji mogą wywrzeć na doznanie estetyczne, oraz usiłuje się przyczynić do rozstrzygnięcia niektórych czy to klasycznych, czy to aktualnych zagadnień estetyki, wykazując, że odpowiedź wypada różnie zależnie od tego, z jakim rodzajem percepcji ma się do czynienia. Rozprawa p. Blausteina jest jednym z bardziej ważkich, ogłoszonych w okresie sprawozdawczym, przyczynków z zakresu estetyki ogólnej.

O kilku dalszych publikacjach wspomnę już tylko w największym skrócie. Rok 1936 zaczął się od pewnego rodzaju agresji teoretycznej, gdy niżej podpisany wystąpił w *Pionie* jako napastnik w stosunku do p. Ossowskiego za jego wywody programowe drukowane w *Wiadomościach Literackich* pt. *Estetyka i socjologia sztuki*. Artykuł ten swój (*Estetyka jako dyscyplina wartościująca*), chociaż obciążony polemizacją, uważam jednak za lepszy niż bardzo szkicowo potraktowane polskie streszczenie referatu z kongresu estetyki, drukowane w *Pracach ofiarowanych Kazimierzowi Wóycickiemu*, p. t. *Zabarwienie uczuciowe jako zjawisko estetyczne*. W *Wiedzy i Życiu*, obok wymienionej już pracy Wallisa - Walfisza o dziele malarskim, znajdują się dwa jego niewielkie studia *O przedmiotach tragicznych* i *O przedmiotach wzniosłych*; w tymże piśmie drukowała p. Lissa pracę *O słuchaniu i rozumieniu utworów muzycznych*. W *Marcholcie* wreszcie ogłosił prof. Krokiewicz nowy fragment estetyczny z Plotyna.

HENRYK ELZENBERG

CZASOPISMA LITERACKIE

Bluszcz — Droga — Kamena — Nowa Kwadryga — Lwów Literacki — Marchoń — Myśl Narodowa — Okolice Poetów — Pamiętnik Literacki — Podbięta — Polonista — Pion — Prosto z mostu — Przegląd Powszechny — Przegląd Współczesny — Ruch Literacki — Tygodnik Ilustrowany — Skamander — Świat — Sygnały — Verbum — Wiadomości Literackie.

CZASOPISMA LITERACKIE (LUB OSTROZNIEJ: TZW. Literackie) w ostatnich czasach naogół się ustabilizowały. Nowe pisma — poza efemerydami — nie powstają, nowe prądy nie wypływają, dawne zaś czasopisma nie giną i nie zmieniają swych koryt (w wielu znaczeniach tego słowa).

Uwagi więc, którymi w Roczniku opatrzone te periodyki w latach poprzednich, pozostać mogą niemal bez zmiany. Co najwyżej — utrzymując się w stylu felietonów ekonomicznych — można by stwierdzić, że stabilizacja nastąpiła na poziomie... kryzysowym. Kryzysowość ta jest wieloraka. Liczne periodyki korzystają z najróżniejszych subwencji, inne samodzielniejsze — robią maksymalne ustępstwa ze swego gustu na rzecz gustu czytelników, inne — zmniejszyły swe rozmiary. Większość wreszcie rozszerzyła zakres tematów, wprowadzając nowe dziedziny spraw; nie utrzymała się jednak w stylu wielkich domów towarowych, ale raczej sklepów prowincjonalnych, gdzie też można dostać wszystko: materiały piśmienne, konfekcje, wiktuały. Towarami najchętniej wystawianymi są popularnie ujęte materie polityczne i ekonomiczno-społeczne; literatura piękna tuła się po kątach tych sklepików (która to nazwa wydaje się odpowiedniejsza od dawnej — kapliczek).

Zresztą — gwoili sprawiedliwości — należy przyznać, że, poza krami-karstwem, działają tu czynniki o wiele wyższego rzędu. Czynniki te są dążności do zorientowania się w całokształcie zjawisk, do zdobycia choćby najbardziej ogólnikowego, ale syntetycznego wejrzenia w rzeczywistość. Im bardziej rozproszkowane jest życie zewnętrzne i wewnętrzne

trzne, im bardziej zróżnicowane są procesy narodowe, społeczne, ekonomiczne, im szybsze i bardziej niepojęte jest tempo przemian, tym większe powstaje pragnienie ujęcia płynności zjawisk w mocne ramy, ujednolicenia choćby kosztem uproszczeń. „Strukturalizm“, „konstrukttywizm“ — te hasła panują nie tylko w wielu gałęziach nauk i sztuk. A wzrost tendencji totalistycznych na różnych terenach globu nie zależy jedynie od wzrostu sprawności rządów, od reform ustrojowych i konieczności gospodarczych. Każdy kierunek totalistyczny dąży do ujęcia pełni życia; a więc także do podporządkowania swej doktrynie — oświaty i nauki, sztuki i życia religijnego. To mu daje siłę podwójną: najpierw obronną, która go wszędzie zabezpiecza od wybuchu ruchów ideowych, a po wtóre — dynamiczną; milionom ludzi zdezorientowanych, przygłuszonych daje mocne oparcie i jasny cel. Im większy zamęt panuje w jakiejś epoce, tym większy wpływ wywierać muszą doktryny prosto a mocno zbudowane, o uniwersalistycznych, powszechnych ambicjach, które stwarzają ostoję (a choćby pozór ostoi) dla skołatanych rzesz. Po chaosie rozbitego życia powojennego zbliżamy się niewątpliwie do epoki mocnych syntez, nie tylko — politycznych. Na jakim poziomie i w jakim kierunku one pójdą — okaże przyszłość, ale już dziś ruchy tych sił, jak przesuwanie się lodowców, dają się odczuć w mroźnych i groźnych zmianach klimatu naszego życia.

Przechodząc — a Dorio ad Phrygium — do rozważań nad naszym czasopiśmiennictwem należy zauważyć, że na ogół rozwija się ono na skrzyżowaniu dwóch dróg: prowincjonalnego kramikarstwa i wpółświadomionych wielkich prądów w skali światowej. Obie te przyczyny wywołują i podtrzymują ten sam objaw: — omnibusowości; faza wąskich specjalizacyj jakby już mijała.

Przegląd godzi się rozpocząć od najpoważniejszego przedstawiciela czasopism polskich, *Przeglądu Współczesnego*, który zbiera artykuły polityczne, ekonomiczne, studia historyczne, socjologiczne i t. d. według kryterium „zachodnio-europejskości“. Na literaturę niewiele poświęcono tam miejsca (może rok 1937 nie przyniósł pozycji europejskich w naszej literaturze?). Głównymi sprawami poruszonymi z tej dziedziny były kwestie metodologiczne w badaniach literackich. Takie są artykuły prof. prof. Borowego, Ingardena, Szumana, Zawodzińskiego; poziom europejski został zachowany, a także neutralność w bliższych życia zagadnieniach literatury, co również jest — europejskie.

Jezuicki *Przegląd Powszechny* swoją powszechność (trzeba przyznać — bardzo szeroką) koncentruje wzdłuż osi dość oschle pojmowanego katolicyzmu. *Przegląd* sprawozdawczy z literatury pięknej prowadzi poprawnie Z. Starowieyska-Morstinowa, obszerniejsze artykuły z tego zakresu piszą (mniej poprawnie) — T. Parnicki i O. Forst Battaglia. Najwięcej uwagi poświęcono ostatnim powieściom Zofii Kossak. Jej mocne — i mocno prostolinijne — książki wniosły sporo fermentów w ów specyficzny świat: sztywny zewnątrznie a giętki wewnątrznie.

Drugie poważne czasopismo myśli katolickiej *Verbum*, mniej szeroko i nieraz znacznie mniej świecko omawia sprawy bieżące, niż *Przegląd*. Nawet dział poezji wypełniony jest niemal całkowicie... tłumaczeniami tekstów liturgicznych (przez Staffa). Problematów literackich prawie nie ma. Wyjątkiem jest rozprawa prof. Tretiaka o literaturze katolickiej w Anglii.

Marchoń w szerokim kręgu poruszanych spraw na literaturę przeznaczył w tym roku także niewiele miejsca. Z teoretycznych rozważań (m. i. Ingardena i Żygulskiego) najaktualniejszy był artykuł Z. Szmydowej o problemach poetyki Arystotelesa, a z krytyk stosunkowo najbardziej współczesne były rozważania K. Wyki o *Pałubie* i *Próchnie*.

Droga, w której zazwyczaj tak starannie kultywowano kwiatki poezji awangardowej polskiej i obcej, ostatnio prawie ugorowała. Nawet krytyki literackie zostały zastąpione przez recenzje historyczno-literackie (zresztą doskonałe) A. Feia: o studium Baleya o Żeromskim, o *Dziejach Literatury Polskiej* (w wyd. Akad. Umiejętności), o pracy *Z zagadnień stylistyki* i in.

Skoro mowa o historii literatury, to dwa organy tej dyscypliny: *Pamiętnik Literacki* i *Ruch Literacki* wstrzymały się od omawiania twórczości współczesnej, nie przekraczając granicy nakreślonej nazwiskami Reymonta, Kasprówicza, czy Orkana. Współczesnych zagadnień literackich raczej dotyczyły rozprawy teoretyczno-literackie St. Skwarczyńskiej.

Polonista wśród wielu rozpraw pedagogicznych dał tylko jedną rozprawkę dotyczącą literatury współczesnej, zresztą rozprawkę banalną i suchą, która nie zajęła żadnego stanowiska wobec rzeczywistości — J. Kammera, „Najnowsza literatura polska w szkole średniej“.

Wracając do czasopism o profilu ideowym zacząć należy od *Myśli Narodowej*. Uwagi o literaturze są rozsypane w tym tygodniku głównie w dziale „Na widowni“ w ciekawych, zawsze oryginalnych i prawie zaw-

sze paradoksalnych spostrzeżeniach i tezach Z. Wasilewskiego. Charakterystyczne, że jedynymi istotnie cennymi pozycjami w tym piśmie są artykuły najstarszych przedstawicieli: I. Chrzanowskiego, Wł. Jabłonowskiego, Wł. Tarnawskiego, Z. Wasilewskiego. Jakby nie było w redakcji młodych, lub też jakby ich, tj. młodych, nie obchodziła wcale... literatura.

Niemniej charakterystyczne, że w czasopiśmie *Podbipięta*, które było częściowo odpryskiem Myśli Narodowej, młodzi krytycy literatury zajmowali się ostatnio — polityką (np. W. Chwałewik). Powieść, poezję, krytykę reprezentowali tu niemal wyłącznie — państwo Miłaszewscy. Pismo to — pod wieloma względami reprezentatywne dla procesów ideowych, polityczno-kulturalnych, rok 1937 — skończyło się przed końcem roku.

Aby pozostać jeszcze nadal w orbicie ideologii nacjonalistycznej trzeba z kolei poświęcić uwagę tygodnikowi *Prosto z mostu*. Jego poziom i twórcza dynamika ostatnio znacznie opadły. Objawiało się to, co prawda, raczej w pozaliterackich działach tego pisma, ale dotyczyło i literatury. Najślabszy był dział recenzyj (wyjątkiem były sprawozdania J. Andrzejewskiego), w dziale poezji monologi anielskie Bąka przeplatano antyanielskimi wierszami K. I. Gałczyńskiego i długimi (za długimi) poematami Pietrkiewicza. Najcenniejszą, oryginalną pozycję tworzyły dramaty: W. Bąka *Tyberiusz*, K. Irzykowskiego *Człowiek z pożaru* i K. I. Gałczyńskiego *Mężczyzna w damskim kapeluszu*. Poza tym, spośród różnych sztuk tygodnik ten upodobał sobie przede wszystkim — muzykę.

Pion pod nową redakcją (Horzycy i Czechowicza) z początku starał się o urozmaicenie, szczególnie działu literackiego i artystycznego. Pomieścił sporo dobrych wierszy Sebyły, Miłosza, Przybosia, Czechowicza, Piętaka, dał kilka ciekawych studiów krytycznych K. Irzykowskiego, W. Kubackiego, R. Kołonieckiego, W. Maurina (o Conradzie), K. Wyki oraz parę obrazów dramatycznych Czechowicza. W drugim półroczu inwencja widocznie się wyczerpała, pismo poszarzało i zbłądło. W stosunku do roku zeszłego obniżył się zwłaszcza poziom drobnych recenzyj i sprawozdań z bieżącej literatury pięknej. Z recenzyj teatralnych na plan pierwszy wysunęło się kilkanaście ciekawych polemicznych szkiców wywołanych przez sztukę Johnstona *Księżyc w żółtej rzece*.

Dużo też było, oczywiście, ech z sezonu teatralnego we Lwowie. Specjalnością kuchni redakcyjnej (poza literaturą) były częste i obszerne sprawozdania radiowe oraz fotografie istotnie pięknych zabytków z cyklu „Polska zapomniana“.

Wiadomości Literackie wytrzymywały konkurencję tylu pism dzięki — poza dawniejszymi tradycjami „rynkowymi“ — poruszaniu kilku spraw aktualnych w dłuższych seriach felietonów czy szkiców. Należały tu fragmenty z *Powrotu z ZSRR* Gide’a, korespondencje Pruszyńskiego z Hiszpanii oraz obszerna ankieta „Pisarze polscy o kwestii żydowskiej“. Ostatnia kwestia dominowała w tym piśmie stale we wszystkich działach, może nawet więcej niż w tak przecież przesycionej tą samą sprawą — *Myśli Narodowej*. Dla innych czytelników (a może i dla tych samych) przeznaczone były studia Boya o Sobieskim, a ściślej o Marysieńce (a jeszcze ściślej o stosunkach między nimi). Wreszcie stałym fundamentem i czynnikiem przyćmiewającym zupełnie tak mizerne w ostatnim roku felietony Asa były — wciąż pęczniejąca *Camera Obscura* i coraz częstsze konkursy p. Grypsa. Nieraz się wydawało jakby redakcję pisma objął sam p. Gryps. Z dłuższych utworów pomieszczono jeszcze komedię Cwojdzińskiego: *Freuda teoria snów*. Poza tym było dużo, dużo drobnych recenzyj, kronikarskich wzmianek, aktualnych sprawozdań, korespondencji, zwłaszcza z zagranicy, fotosów kinowych i teatralnych, wreszcie wiele reklam zagranicznych firm kosmetyczno-perfumeryjnych. Z sztuk (poza literaturą) najczęściej zajmowano się współczesną plastyką.

Odpowiednikiem *Wiadomości* na terenie Lwowa (tylko *Wiadomości* bardziej radykalnych, mniej snobistycznych) są *Sygnały*. Na czoło wysuwają się tam żywe artykuły P. Hulki-Laskowskiego z pogranicza literatury i spraw społecznych, sekunduje im fragment rozprawy H. Dembińskiego o aktualności młodych dzieł Schillera. Daleko za nimi idą suche artykuły I. Fika i efekciarskie szkice J. Kotta. Dział prozy karmi się fragmentami niedrukowanych powieści przeplatanyimi beztrosko płasko-banalnymi nowelkami H. Promińskiego lub Sydonii Amarantówny (!). Dział poezji mają reprezentować twory pani Loli Szereszewskiej, J. K. Weintrauba i St. Wygodzkiego. Ostrość pismu nadają recenzje oraz kolumna satyry (głównie pióra L. Pasternaka i T. Hollendra), której poziom nieraz sięga dosłownie... bruku.

Solidniejszy od Sygnałów *Lwów Literacki* stoi głównie recenzjami O. Ortwina (m. i. o Łobodowskim) i artykułami A. Kruczkowskiego. Niemniejszy walor pismu przynoszą starannie wybierane poezje, czy to dawnych lwowian, dziś tak bardzo „zwarszawizowanych“ jak np. Staffa lub Wierzyńskiego, czy to poetów własnego pokolenia np. A. Sowińskiego lub T. Żakieja, na którego dalszą drogę warto zwrócić szczególną uwagę. Pismo to — grzesząc zbytnim eklektyzmem — zbliża się do typu czasopisma czysto-literackiego.

Pismo o najstarszej i najświetniejszej tradycji, *Tygodnik Ilustrowany*, mogłoby służyć jako materiał do powieści-sagi, opowiadającej dzieje kultury kilku pokoleń polskich; ostatnie rozdziały tej powieści nie byłyby — budujące. Tygodnik miał potomka (z nieprawego łoża) — *Naokoło Świata* — i rzecz dziwna, gdy ono nie odziedziczyło niczego po ojcu, rodzic zaczął się upodabniać do dziecka. Czyżby dziecinniał? Niby są wśród fotografii (naogół średnich) — niezłe nowele czy recenzje, dobre felietony (Wyki, Skińskiego, Terleckiego), ale całość wieje pustką i czczością.

Co prawda, należy przyznać, że daleko jeszcze Tygodnikowi do *Świata*, który stał się jakby tylko mieszańką pisma *Kino* i miesięcznika *Teatr* i życia Wytworne. Literaturę reprezentują w Świecie anegdotki wyłowione przez Upartego Nurka. Zbliżył się do *Świata* — *Bluszcz* (też pismo o dawnych i niezłych tradycjach), którego poziom, styl i kierunek najlepiej ilustrują dwie powieści drukowane gościnnie: R. Czeakańskiej Heymanowej o przygodach Marii Kalergis i J. Kiewnarskiej o najdziwniejszym romansie Pani Sand. Tę lekturę dla współczesnej kobiety — Polki — obywatelki — pracownicy uzupełniają... mody.

Gdy w tylu różnych sklepikach i kapliczkach pali się, a raczej ćmi, ogieniek literatury (zresztą zawsze w kącie), gdzież się znajdują zbiorniki „czystego“ życia literackiego, z którego rozprowadza się je po całej sieci czasopiśmienniczej? Bo przecież poza czasopismami również większość dzienników stara się — choćby raz w niedzielę — przypiąć kwiatek literacki do swego kożucha czy surduta. Przy tak znacznej ilości wszelakich periodyków znajduje literatura — mimo spychania jej na szary koniec — jednak dość dużo miejsca. Ale widocznie oprócz gruntu (jakżeż piaszczystego!) potrzebny jest jeszcze klimat. Lekceważenie nie

sprzyja rozwojowi twórczości, tym bardziej gdy i twórcy zaczynają siebie lekceważyć.

Literatura może stać albo w pierwszym szeregu walczących, albo — w pełni samotności; nie może być markietanką związaną z taborami, choćby najlepiej zorganizowanych obozów.

Widzieliśmy, że w przeróżnych typach omnibusów nie znajdowała się ona na czołowych pozycjach — czy nie miała też swych świątyń, swych samotni?

Z dawnych kapliczek pozostał *Skamander*, pozornie niezbyt zmieniony: dalej poleruje swe wiersze Iwaszkiewicz, cyzeluje — Pawlikowska, wygrywa — Tuwim, dalej „wersyfikuje“ — K. W. Z., coraz więcej jednak jest strasznych mieszkańców (Ginczanka, Morski), coraz więcej własnego pseudoklasycyzmu, autoplagiatów. *Skamander* już przestał nawet połyskiwać wiślaną falą. Przypomina raczej sadzawkę w Ogrodzie Saskim bo i świątynka - zbiornik niby antyczna stoi na sztucznym wzgórzu i wąła fontanna „perli się“ na płyciźnie stawu i do M. S. Z. — daleko i blisko dróg prowadzących do północnej dzielnicy i nazwa tak zbliżona — Letni Salon Warszawy. Nawet woda płynie z Wisły — rurami przez filtry — ale przecież staw saski nie przypomina jakoś niczym ani Wisły, ani... *Skamandra*. Jest już tylko dość wdzięczną małą plamą w kurzu i hałasie miasta.

Staw skamandrytów uzupełniają dwa skromne prowincjonalne strumienie, które — mimo wąskości nurtów, mimo nieporadności wielu bełkotów — płyną przecież uparcie naprzód. Bijący w Chełmie zdroj *Kameny*, o tak wątłym toku własnych, oryginalnych nurtów, żłobi jednakże od kilku lat drogę ku poznaniu twórczości słowiańskiej dzięki przekładom dziesiątków wierszy serbskich, czeskich, ukraińskich i t. p. Przekłady są raczej tylko poprawne niż dobre, ale spełniają swoje zadanie informacyjne. W ostatnim roku *Kamena* poświęciła jeden z zeszytów poezji słowackiej, drugi — rocznicy Puszkina. Strumień płynący z *Okolicy Poetów* (w Ostrzeszowie) kieruje się raczej na zachód, przynosząc w ostatnim roku sporo przekładów z wierszy i prozy A. Gide'a (tł. Z. Bieńkowskiego), antologię poezji rzymskiej (tł. T. Bocheńskiego) i współczesnej poezji niemieckiej (A. M. Swinarskiego). Inteligentne drobne artykułiki pisze St. Czernik; poza tym drukuje się tam dużo (za dużo) wierszy.

Na zbytek wierszy choruje też inne pismo, *Nowa Kwadryga*, którą wznowiono na okres kilku miesięcy. Najcenniejszy w piśmie jest wstępny artykuł red. St. R. Dobrowolskiego. Jasno odsłonięto tam przyczyny powstania kiedyś Kwadrygi, jej stosunku do grupy Skamandra i Awangardy, wreszcie jej upadku. Artykuł ten będzie cennym przyczynkiem do dziejów naszej literatury ostatniego piętnastolecia. Natomiast wskazania na przyszłość, a zwłaszcza realizowanie programu w dalszych numerach pisma potwierdziły tylko dawną prawdę, że doktryna (wszystko jedna jaka) nie należała nigdy do orszaku Muz, a także, że nie należy ona do rodu Idei.

TADEUSZ MAKOWIECKI

ŻYCIE LITERACKIE W POLSCE

W SPŁOCIE RÓŻNORODNYCH ZJAWISK, PROCESÓW I WY-
darzeń określanych nazwą życia literackiego, niełatwych do objęcia, analizy
i scałkowania, orientować nas powinny, jak w życiu gospodarczym, wpierw
dane o wytwórczości i konsumpcji, poczem tendencje i nastroje wytwarzają-
ce atmosferę literacką. Ważną np. rolę w życiu literackim odgrywa czytel-
nictwo powieści. Powieść to produkt w obrębie tzw. literatury pięknej naj-
bardziej pożądaný, o największym nakładzie i konsumpcji. Rok 1937 przy-
niósł w języku polskim w książkowych wydaniach przeszło pięćset po-
wieści oraz zbiorów nowel¹. Cyfra niewysoka; przed dziesięciu laty
była nieomal w dwójnásób większa (ok. 800), poczem równolegle z po-
większającym się kryzysem gospodarczym zaczęła szybko opadać (poni-
żej 400), ażeby w miarę pewnej poprawy ekonomicznej, od lat pięciu
(1933) znów powoli i stopniowo wzrastać. W tym półtysiácu powieści
rzucenych na rynek księgarski, bez mała połowa (45%) to przekłady
z obcych literatur, głównie z języka angielskiego (49%), z niemieckiego
(25%) i francuskiego (18%). W obrazie ostatniego dziesięciolecia prze-
waga tłumaczeń z angielskiego jest ciągła i rosnąca. Zjawisko to obserwo-
wano również w innych krajach. W Polsce nie tamuje się skutecznie za-
lewu bezwartościowymi przekładami, chociaż uznaje się często ich szkod-

¹ Opózniona nasza statystyka kulturalna zmusza do posługiwania się materiałem
sporządzonym na podstawie bibliografii w Nowej Książce St. Lama, oraz Urzędowego
Wykazu Druków 1937. „Statystyka druków 1935” wyd. przez Główny Urząd Statystycz-
ny w 1937, mimo ogromnej obfitości danych, nie wyosabnia np. powieści, dramatów
itp. wydanych w języku polskim. Dane kwartalne w publikacji Biblioteki Narodowej
J. P. „Statystyka Druków wydanych w R. P. 1937”, — dla naszych celów zbyt skąpe,
podobnie jak w „Małym roczniku statystycznym”. „Statystyka życia umysłowego i kul-
turalnego” pojawiła się ostatnio w 1934. Problemami statystyki konsumpcji literackiej
zajął się M. J. Ziomek: „Studia metodologiczne nad statystyką literackiej konsumpcji”,
1936, s. 116, Rec. St. Waszak, Ruch Prawniczy Ekonom. i Socjolog. 1938, 1.

liwość. We Francji i Włoszech również uznano nadmierny wzrost przekładów za objaw groźny dla twórczości narodowej i niepożądany¹. Bez przesady powiedzieć można, że Anglia produkująca prawie półtrzecia tysiąca powieści rocznie (w 1937 r. — 2400 powieści, w tym jedynie 70 przekładów) nasycia Europę beletrystyką. Rywalizacja na terenie polskim pomiędzy przekładami z francuskiego i niemieckiego, początkowo z długoletnią wyraźną supremacją galijską, zmienia się w ostatnich paru latach na korzyść Niemców. Natomiast widoczny zupełny spadek tłumaczeń z rosyjskiego, które w ubiegłym dziesięcioleciu często przewyższały liczbę przekładów z niemieckiego. Powieść rosyjska niemal znika z księgarni polskich. Przekłady z innych języków są bardzo nieliczne. Całkowity nakład pięciuset powieści nie przekracza zapewne miliona dwustutysięcy egzemplarzy. Zazwyczaj nakład pierwszego wydania powieści wynosi tysiąc egzemplarzy.

¹ W obronie książki francuskiej wystąpił w 1937 z osobną publikacją G. Duhamel. Poparł go m. in. Léon Daudet, który trudną sytuację literatury francuskiej w ten sposób tłumaczy: „Une des principales causes de ce marasme, c'est l'abus des romans étrangers, de seconde ou de troisième catégorie, qui encombre le marché national“. (L'abus des romans étrangers. L'Action Française 1937, N 273). We Włoszech, gdzie ilość przekładów w latach 1932—1935 prawie się podwoiła (z 443 na 818), rozpoczęto niedawno walkę ze szkodliwymi i złymi przekładami w imię hasła: autarchia dello spirito, domagając się kontroli tłumaczeń, nie negując jednak potrzeby dobrych i pożytecznych. (Ob. artykuły Cornelio Di Marzio w tyg. Meridiano di Roma 1938, N 7, 8). W 2. półroczu 1937 pojawiło się we Włoszech 311 przekładów, w tym: 120 z ang., 80 z franc., 60 z niem. W Czechosłowacji od 1936 weszła w życie ustawa o egzemplarzu obowiązkowym, ilość przekładów z angielskiego jest tam również najwyższa: 210, z niemieckiego: 141, z francuskiego: 125, z rosyjskiego: 92, z serbskiego: 14, z norweskiego i polskiego po 12. (dane za 1936 wg. statystyki urzęd. ob. Prager Presse 8 II 38).

Sytuację w Polsce tak określa W. Wolert: „Nasz rynek księgarski zalewa tandeta. Przede wszystkim tandeta przekładów. A nasi wydawcy forytują przekłady tylko z tej przyczyny, że na nich znacznie więcej zarabiają niż na utworach autorów krajowych“ (Od snobizmu do postępu. Przegląd Współczesny 1937, 5, i odb).

„Tłumaczenia beletrystyki z obcych języków — pisze Józef Kisielewski — są u nas niemal zupełnie zmonopolizowane. Istnieją specjalne biura tłumaczeń, które wykupują prawo autoryzacji od głośniejszych autorów, istnieją tłumacze, którzy obstawiają poczytniejsze książki. W praktyce doprowadza ten stan rzeczy do tego, że w języku polskim pojawiają się tłumaczenia tylko tych książek, które anonimowe a przedsiębiorcze centrale tłumaczeń chcą dopuścić do czytelnika polskiego“. Wydawcy tłumaczeń „niemal w stu procentach rekrutują się z przedsiębiorców żydowskich“... (Kurier Poznański 1937, 286).

Rola powieści nie kończy się jednak na edycji książkowej, nie mniejsze znaczenie posiada powieść w odcinku gazety i w czasopiśmie. Nie powinno się też pominąć powieści mówionych w radio oraz przerabianych na widowiska filmowe czy teatralne. Sto polskich dzienników zamieściło w ciągu 1937 roku najmniej pięćset powieści, które co dzień dochodziły do miliona czytelników, tak ocenić bowiem można dzienny nakład gazet polskich. Każda z powieści dziennikowych ma przeciętnie pięć razy większy nakład od powieści książkowej, w sumie więc ten rodzaj beletrystyki wywiera ogromny wpływ na czytającą publiczność, poświęcić by mu przeto należało więcej uwagi, niżeli to możliwe w rzeczy obecnej¹. Powieść w dzienniku wytworzyła duży popyt na ten rodzaj literatury i przyczynia się do rozrostu przemysłu literackiego. Agencje oraz instytucje wydawnicze dostarczają dziennikom powieści, korzystając przy tym często ze składu drukarskiego użytego w dzienniku. Niewystarczająca podaż powieści polskich autorów, oraz konkurencja tańszych przekładów (od 300 do 400 zł za powieść) wpływa na znaczną przewagę powieści tłumaczonych w dziennikach. Powieść w dzienniku uważana jest za duży atut w zdobywaniu czytelnika, niektóre pisma opierają niemal swój byt na sensacyjnych romansach lub powiększają znacznie nakłady dzięki zdobyciu odpowiedniego autora. Z polskich autorów najwyżej oceniana jest obecnie atrakcyjność powieści Tadeusza Móstowicza. Niektóre dzienniki brukowe zamieszczają równocześnie dwie lub trzy powieści, sporo zaś poświęca na powieść co dzień całą stronicę druku, kilka dołącza nadto tygodniowy dodatek powieściowy w formie osobnego arkusza lub półarkusza. Nie tylko drukuje się nowości, jedna np. z gazet (Polska Zachodnia) eksploatowała *Nędzników* W. Hugo, bez podania tłumacza, inna (Polonia) dawała *Starą baśń* Kraszewskiego z ilustracjami Andriollego w tygodniowych arkuszach. Zdarzają się powieści bez nazwiska autora, lub bez zaznaczenia, że powieść jest przekładem. Nowością pewnego rodzaju są tzw. adaptacje tj. przeróbki na swoj-

¹ Celem orientacji i porównania warto podać, jak te sprawy przedstawiają się w Niemczech: dzienny nakład prasy wynosił tam w 1934 r. 16 milionów egz., 2200 dzienników pochłaniało rocznie 29.000 powieści. Licząc przeciętnie po 13. Ponieważ wiele powieści ukazuje się równocześnie w kilku pismach, roczne zapotrzebowanie prasy niemieckiej oceniane jest na dwa do pięciu tysięcy utworów powieściowych. (Dane wg.: Gerhard Eckert: *Der Zeitungsroman von Heute*. Verlag M. Diesterweg, Frankfurt/M. 1937, s. 71).

ską modłę, obcych sensacyjnych romansów, dostarczane przez agencje, rzucone też na rynek księgarski. Duża część powieści w dziennikach to pseudoliteratura wyraźnie lub krypto-pornograficzna opisująca zbrodnie lub wyuzdanie, sugerująca zdziczenie moralne i rozluźnienie obyczajowe, pisana zazwyczaj przez ukryte pod pseudonimami miernoty. Rzadkim gościem odcinka powieściowego jest powieść wartościowa, np. w 1937 r.: Zofii Kossak *Król trędowaty i Bez oręża* (w Czasie i Gazecie Polskiej), P. Gojawiczyńskiej *Słupy ogniste* (Kurier Poranny), Conrada *Tajny agent* w przekładzie A. Zagórskiej (Gazeta Polska). Tygodniki literackie nie przywiązują obecnie do zamieszczanej powieści tak dużego znaczenia jak przed wielką wojną, kiedy to dobra powieść była najwyższą rekomendacją czasopisma. Zdarzają się jednak powieści o nieprzeciętnych walorach (np. J. Andrzejewskiego *Ład serca* w Prosto z mostu, Z. Kossak *Popielnice* w Przewodniku Katolickim, Czesława Straszewicza *Przekłeta Wenecja*, w Tygodniku Ilustrowanym). Mamy też wyjątkowo dramaty: Bąka *Tyberiusz*, Irzykowskiego *Człowiek z pożaru*, w Prosto z mostu; Cwojdzńskiego *Freuda teoria snów*, w Wiadomościach Literackich; Filochowskiego *Dom Gaziów*, w Warszawskim Dzienniku Narod.

Na czasopismach nie kończy się jednak karmienie czytelnika beletrystyką. Istnieje jeszcze jeden dział ważny ze stanowiska konsumpcji: powieść w zeszytach. Nie stanowi nowości, ale jego renesans i znaczne powodzenie wskazują na powstawanie nowych kół czytelniczych pochłaniających powieści o typie ludowym, emocjonujące napięciami sytuacji i tysiącami nieprawdopodobnymi przygodami bohaterów. Wydawane raz lub kilka razy w tygodniu w wysokich nakładach (przeważnie ponad 50000 egz.), w szacie niezmiernie lichej, pozyskują czytelnika również pozorną taniością (egz. 10 gr.). Powieść składa się z 50 do 100 i więcej zeszytów, w sumie jest przeto znacznie droższa niż przeciętna powieść książkowa. Ten przemysł niezłe widać prosperuje skoro wzmógł działalność kolportażową „Ruchu”¹.

Polska statystyka druków słusznie uwzględnia (dopiero od 1935) w rubryce „Literatura piękna”, oprócz powieści, poezji, utworów dramatycznych, również: pamiętniki, powieść biograficzną i reportaż. Ten dział ostatni dobrze się rozwijający przyniósł w 1937 ok. dwieście książek. Je-

¹ Zawartość tych potwornych powieścieli wymagała by zbadania i skrupulatnej oceny chociażby ze względów społecznych. Oto niektóre tytuły: H. Orłowski: *Krystyna (przez miłość na katorgę)*. Warszawa b. d. 1937, Wyd. „Dobra (!) powieść”. Tegoż

żeli do tego dodamy plon poetycki: 125 tomików, oraz 35 dramatów, suma globalna literatury pięknej w 1937 wyniesie przeszło 860 książek.

W ogólnym rzucie konstataujemy niewątpliwą w 1937 r. przyrost odbiorców literatury drukowanej, oraz tworzenie się nowych warstw czytelniczych. Konsumcji literackiej nie tamuje stały wzrost słuchaczy radia, wytwarzający pozaksiążkowego odbiorcę literatury. Mimo tych w zasadzie pomyślnych objawów nie możemy okazać zadowolenia ani z jakości olbrzymiej części konsumowanej literatury, ani też z ilości konsumentów. Ilość ta w stosunku do ilości ludności w Polsce jest wprost zawstydzająco niska¹. Przyczyn tego stanu szukać należy w niezamożności, w niskiej stopie życiowej, w całej propagandzie czytelnictwa, w analfabetyzmie wtórnym, wreszcie w drożyznie książki. Mała wydajność polskiej twórczości zarówno beletrystycznej jak dramatycznej skazuje nas na import. Pocóż jednak importować towar pośledniego gatunku? Brak przekładów obcych klasyków i wielu nowych utworów wybitnych, ale brak też w księgarniach wydań najwybitniejszych autorów polskich (np. Dygasińskiego).

W refleksach uczuciowych życia literackiego nie trudno wyczuć, podobnie jak w życiu społecznym, silne antagonizmy i wzajemne rozjątrzenie. Nienawiść jest nie tylko motywem literackim, ale też jednym z motorów życia literackiego. Źródła jej różne: rasowe, narodowościowe, społeczne

autora utworu *Basia* reklamowany jest w ten sposób: „Czytelniku! Zaczynaj czytać, a żadna siła ludzka nie oderwie cię od tej powieści — od tej epopei krwi, żelaza, miłości i poświęcenia“. Emil Rolicz-Espada: *Jestem niewinny! Garibaldi*. Wyd. jak wyż. — J. Włodarczyk: *Napiętnowana*. Wilno. — Mówiąc o tych suterrenach literatury wspomnieć by tu należało o tygodniku w całości poświęconym tego pokroju beletrystyce pn. „Róże i Kolce“.

¹ Prof. Wacław Makowski określa zasięg polskiego słowa drukowanego we własnym kraju, jako „dziwacznie mały“: „Miliony i dziesiątki milionów obywateli pozostają poza tym zasięgiem“. Nie zaradzi złemu wprowadzenie ustawy o bibliotekach gminnych: „Wiele wypowiedziano na ten temat pięknych zdań, ale szczęśliwie tę koncepcję zohydzenia książki przez nakaz jej nabywania, przez utożsamienie druku z podatkiem, w powodzi wzniosłych zdań pogrzebano“. (Kiosk z gazetami. Gaz. Polska 18.X.1937). Prof. Stanisław Pigoń stwierdza, że pisarze nasi nie liczą się z potrzebami konsumenta wiejskiego, piszą o wsi ale nie dla wsi, a wieś czyta sporo. Któż da dobrą nowoczesną powieść dla wsi? (Ugory literackie, Kurier Poznański 1937, 422). Dr M. Kacprzak w pracy *Wieś płocka*, zbadawszy 1529 zagród, znalazł w 74% domów książki do nabożeństwa, w 27% czasopiśmi. Wśród służby folwarcznej było ponad 49% analfabetów, czyli przeszło dwa razy więcej, niż wśród ludności włościańskiej.

i polityczne, i pokoleniowe. Ciśnienie warunków społeczno-politycznych przyczynia się do powstawania lub pogłębiania momentów antagonizujących również w domenach literatury. Paroksyzmy nienawiści przesycają atmosferę literacką. Oto np. *Modlitwa poety*:¹

czarnoziemio wołyńska
moja matko rodzona
daj doczekać
też chwili
w której
ostatni obszarnek twój skona
a reszta popów
nad jamą jego
w wiecznych zastygnie pokłonach!

Z innych zgoła pobudek wyrasta pełna rozpacz *Pokorna prośba w imię zbawienia duszy*, Kazimierza Hałaburdy:²

Nadarmo zęby zacinam,
napróżno kark chylę do ziemi
— zbliża się straszna chwila,
której nie zdołam odmienić...

Zacznę mordować i palić,
gwałcić i poniewierać
— nazbyt jesteście mali,
a we mnie rośnie i wzbiera.

Nie pozwalacie żyć szerzej,
zamknęliście trakt i horyzont
— siła przeradza się w zwierza!
Bracia, ja was pozagryzam...

Jeszcze odmienne akcenty przebijają z satyry K. I. Gałczyńskiego:³

Na tych, co biorą wody w usta,
na czytelników wuja Prousta,
na skamandrytów, na hipokrytów,
kalamburzystów rozmaitych
ześlij, zepchnij, Aniele Boży,
Noc Długich Noży.

¹ Gronowicz A. *Zbuntowaną pieśnią przez wieś*. Lwów. 1938, s. 40. Wiersze pisane w 1936 r. i drukowane w czasopismach.

² Druk. w tyg. *Prosto z mostu*, 1938, 18-19.

³ Tamże 1937, 9.

Nawet w uniesieniu patriotycznym ta nuta uderza najostrzej¹.

Trzeci Maj...

Dziś jutrzienka majowa,

dziś sztandary nad głową,

dziś pochody, orkiestry, defilady, ścisk...

Dziś

ja

wam

wszystkim

pluję

w pysk!!

Potwornym dysonansem przeraża nas ten ton w wierszu o Ojczyźnie, laureata Akademii Literatury, Łobodowskiego:

Czy w młodości zatrutej i gniewnej

jak więzienne na ścianach napisy —

głowa runie na twardy bruk,

gdy się nogi w czarnej krwi poślizną — —

ty mi oczy znużone przysyp

siwym piachem nadwiślańskich dróg

o, zielona, śpiewająca, szumiąca,

o, jedyna, nienawistna ojczyzno².

Możnaby mnożyć przykłady. Aleksander Świętochowski cytuje taki desperacki protest poety ludowego: „Wy, co teraz Polski macie pełen pysk — w orgiach defilad, w poddańczych ariach, mistrze od hołdów, bankietów, czy styp... wy defraudancka husaria, wy chcecie Polskę zbawić?! Nic z tego nie będzie. Nie wam to przypadnie, nie wam!”³ Literatura wręga się coraz głębiej w walkę społeczno-polityczną, która się w Polsce toczy. Niezależnie od tej walki postępuje zwolna przewartościowanie społeczne. Do głosu w literaturze dochodzi powoli pokolenie nowe, roczniki pierwszych lat bieżącego stulecia, ukształtowane w czasie wielkiej wojny lub po wojnie, pokolenie pogardzające tradycjami, surowe, rekrutujące się w pokażnej mierze z warstwy drobno mieszczańskiej lub chłopskiej. W literaturze panuje moda na chłopów i robotników⁴. Apeluje się do

¹ Dobrzyński K. *Żagwie na wiochach*. Poznań, 1938, s. 51.

² *Rozmowa z Ojczyzną*, 1936, s. 18. Podkreślenie nasze.

³ Świętochowski A. *Obozy*. Polonia, 1937, 4644.

⁴ Sugestywnie i prawdziwie odmalował tę sytuację K. Irzykowski: „Literatura — pisze — splotła się przy tym wszędzie w sposób perwersyjny z polityką. Jeżeli jesteś

nich o pisanie pamiętników, wciąga się ich do literatury, nagradza się jako najwybitniejszą książkę 1936 r. *Pamiętniki chłopów*¹, wynajduje się wśród młodzieży wiejskiej świeże talenty literackie. Ogromną popularność zdobywa autobiograficzny reportaż bandyty skazanego na śmierć i ułaskawionego². Rezultatowi owych przewartościowań społecznych przypisywana jest ewolucja smaku literackiego³, tu tkwi w pewnej mierze przyczyna narzekań na obniżenie poziomu oraz na „zły smak“⁴, tu rodzi się też troska o przyszłość: „trwogą przejmuje świadomość, że idziemy po literaturę w džunglę“⁵.

Wieloma strumieniami płynie życie literackie w Polsce. Jeden uprzywilejowany ma spełniać rolę reprezentacyjną, nadrzędną, niejako oficjalną; w istocie wyczerpuje niemal swe funkcje w udzielaniu nagród i odznaczeń. Głównym jego motorem: Polska Akademia Literatury, której 1937 rok przyniósł nowe formalne atrybuty, z drugiej zaś strony uczynił areną kilku głośnych wydarzeń. Ciała ustawodawcze uchwalając ustawę o PAL, dały jej w czwartym roku istnienia osobowość prawną, przy czym zwiększyły liczbę akademików z piętnastu do dwadzieścia jeden osób⁶. Nie zmieniły poprzednio już określonego celu: „zadaniem PAL jest opie-

chłopem, masz duże szanse. Nie potrzebujesz chodzić w siermiędze i bez krawatki, ale dobrze zrobisz, gdy będziesz przemawiał zawsze tak, jakbyś miał jakiś nóż za jakąś cholewą. To jest bardzo staromodne, ale jeszcze skuteczne... (W publikacji zbiorowej: *Jesteśmy w Warszawie*. Warszawa, 1938, s. 194).

¹ Nagroda Wiadomości Literackich (1937, 8). Uzasadniała ją i broniła Maria Dąbrowska (Wiad. Lit. 1937, 38).

² Sergiusza Piaseckiego: *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*. Ob. list otwarty red. St. Mackiewicza do Prezydenta R. P. o ułaskawienie Piaseckiego. Słowo 1937, 162.

³ Por. spostrzeżenia Zyg. Łempickiego: *Literatura poezja życie*. Warszawa, 1936, s. 50.

⁴ W. Wolert l. c.: „Drobnomieszczaństwo nasze jest dopiero w okresie powstawania, a więc jest bez tradycji i ma zły smak, co się odbija tak fatalnie na naszej literaturze, i to zarówno w zakresie twórczości, jak i czytelnictwa“...

⁵ Wasilewski Zygmunt: *Opowieści więźnia świętokrzyskiego*. Kurier Poznański, 1937, 282.

⁶ Dziennik Ustaw R. P. z 14.VII.1937 nr 52, p. 404. Oto całkowity tekst: Ustawa z dn. 2.VII.37 o PAL. Art. 1. PAL otrzymuje osobowość prawną. Art. 2. PAL działa na zasadach ustalonych rozporządzeniem Rady Ministrów z dn. 29.IX.1933 (Monitor Polski nr 234). Art. 3. Liczbę członków PAL zwiększa się do 21 osób. Art. 4. Wykonanie ustawy nin. porucza się Prezesowi Rady Ministrów i Ministrowi W. R. i O. P. Art. 5 Ustawa nin. wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

ka nad piśmiennictwem narodowym oraz praca nad jego rozwojem" (Monitor Polski 1933, 234), nie odebrały też przywileju bezpłatnego otrzymywania wszelkich druków literackich w języku polskim, co stwarza okazały magazyn prawie nieużywanych książek¹. W 1937 PAL nadała sto dziewiedziesiąt „wawrzynów akademickich“, oraz obdarzyła „nagrodą młodych“ Józefa Łobodowskiego za zbiór wierszy *Demonom nocy* (omówiono je w Roczniku Literackim V, s. 33 n. i 257). — Inne jednak sprawy zwracały uwagę opinii publicznej w stronę Akademii. Najpierw zrezygnował z godności akademika literatury Wincenty Rzymowski, niezadowolony widąc z orzeczenia PAL w sprawie zarzucanego mu plagiatu. Akademia przyjęła to ustąpienie i wybrała na jego miejsce (2.VI.37) Kornela Makuszyńskiego, który wygłosił (8.XII) pierwsze przemówienie nazwane *Ślubowaniem* a w nim złożył hołd pamięci Jana Kasprowicza. Następnie niezwykle dużego rozgłosu nabrała sprawa ustąpienia z Akademii K. H. Rostworowskiego. Przyczyny tego kroku wyjaśnił Rostworowski w listach (z 21 i 27 IX 37) ogłoszonych w prasie i obszernie komentowanych. Ponieważ Akademia Literatury przeszła jednogłośnie do porządku dziennego nad jego wnioskiem o wyrażenie Sieroszewskiemu votum nieufności, złożył godność członka PAL. Sprawa ta żywo poruszyła opinię publiczną i długo nie schodziła z łamów prasy. Fotel po Rostwo-

¹ Pierwszą własną publikacją jest *Rocznik Polskiej Akademii Literatury 1933-36* (Warszawa 1937 s. 300), zawierający przemówienia, odczyty (nie wszystkie), sprawozdania. Pochwałę Akademii znaleźć można w artykule jej sekretarza J. Kadena-Bandrowskiego: *Czwarty rok pracy PAL* (Gazeta Polska 1937, 310). Inną opinię reprezentuje dr W. Charkiewicz: „Ogół pisarzy — powiada m. in. — nie odczuwa istnienia Akademii, — z wyjątkiem tylko humorystów, którzy mają niezawodny temat do żartów i kpin. Co gorsze: Akademia w pewnym stopniu utrudnia pracę pisarzy i wywołuje zamęt w dziedzinie pojęć o zasługach literackich. „Bobki“ akademickie są niezmiernie szkodliwe... Wawrzyn rozdaje się na prawo i lewo a bynajmniej nie za zasługi literackie. Akademicy z całą świadomością ozdabiają wawrzynami grafomanów, spryciarzy lub w najlepszym wypadku pocziwców, nie mających z literaturą nic wspólnego. Skutek jest znany. Zamiast wytworzenia większej spójni wśród literatów, wawrzyny rozbijają pisarzy na grupy i odsuwają ich w cień wobec „zasłużonych“ osobników, nieznanych nikomu ani z czynów, ani z nazwisk nawet... Autorytet naszej Akademii Literatury jest typowym autorytetem dygnitar skim... Autorytet moralny i artystyczny jest dość nikły. Zaledwie od kilku lat mamy Akademię Literatury, a ileż było kompromitujących ją zdarzeń... (Nagrody literackie. Słowo 1937, 342, Wilno). Ob. też uwagi prof. St. Strońskiego: *O akademiach literatury*. Prosto z mostu, 1937, 56.

rowskim zajął Jan Lorentowicz (wybrany 7 XI 37). Akademia organizowała poza tym odczyty i zebrania dyskusyjne.

Rolę w pewnym stopniu reprezentatywną pro foro externo imputuje sobie Pen-Club Polski, organizacja zamykająca swą działalność w utrzymywaniu kontaktu z pisarzami zagranicznymi, w podejmowaniu ich, w udzielaniu nagrody za działalność przekładową, a wreszcie w uczestniczeniu w dorocznych kongresach Pen-Clubów. Właśnie XV międzynarodowy kongres odbyty w Paryżu (20-27 VI 37) wzbogacił *chronique scandaleuse* życia literackiego przykrym incydentem z powodu bezprzykładnego antypolskiego wystąpienia delegata żydowskiego Steinberga, nieodparowanego w należyty sposób przez przewodniczącego delegacji polskiej Jana Parandowskiego.¹ Nagrodę za całokształt działalności przekładowej z wyszczególnieniem transpozycji *Don Quichota* otrzymał w 1937 Edward Boyé. Gościem Pen-Clubu była pisarka holenderska Jo van Ammers Küller oraz pisarz grecki Spiros Melas. Na życie literackie w Polsce wątpla organizacja Pen-Clubu wpływu nie wywiera.

Nurt życia literackiego obserwować można najdogodniej z przebiegu polemik i dyskusyj. Gdy analizujemy spory literackie toczony w 1937 r. uderza nas przewaga w operowaniu argumentami społeczno-politycznymi, nie rzadkie cechy pieniactwa, inwektyw osobistych, lekceważenie cudzej pracy, wzajemna pogarda, czyniące niejednokrotnie przykre widowisko, tym przykrzejsze, gdy nie raz lżą się wzajem ludzie zajmujący ekspoz-

¹ Według oficjalnego sprawozdania: *XV-e Congrès International de la Fédération PEN — Paris 20—27 Juin 1937*, s. 32n., Steinberg powiedział m. in. „Znana jest obecna sytuacja Żydów w Niemczech, ale na ogół nieznane jest albo znane tylko niewyraźnie tragiczne położenie Żydów i ducha żydowskiego w Polsce. Czy wiecie na przykład, że pogromy są zjawiskiem stałym i że w ostatnim pogromie kilkaset osób znalazło śmierć? Ulica po ulicy, dom po domu były złane krwią i obrabowane. Inteligencja polska nie protestowała“... W końcu zgłosił rezolucję przeciwko prześladowaniom fizycznym i moralnym Żydów, którą kongres przyjął. J. Parandowski na oszczercze inwektywy Steinberga ograniczył się do oświadczenia w którym powiedział: „Dyskusja nad faktami przytoczonymi przez p. Steinberga jest tutaj niemożliwa. Z jego przemówienia wybieram tylko jeden moment, ten, który dotyczy pisarzy polskich. P. Steinberg zarzuca im milczenie. Te oskarżenia są bezpodstawne. Jeżeli w danym wypadku powstrzymaliśmy się od deklaracji, które naszym zdaniem są zupełnie bezpłodne, uważam za stosowne zaznaczyć, że intelektualisci polscy zachowali się podczas ostatnich wypadków w sposób ludzki i pełen godności“... (Cytowane według przekładu podanego w *Prosto z mostu*, 1938, 24).

nowane pozycje w nauce czy literaturze¹. Najszerzy bodaj zasięg w publicystyce i polemice literackiej objęła sprawa udziału Żydów w literaturze polskiej, do czego niemało przyczyniły się m. in. ankiety o kwestii żydowskiej zainicjowane przez Wiadomości Literackie i Kurier Poranny. Powszechną uwagę zwrócił zwłaszcza głos Al. Świętochowskiego wyjaśniający, że antysemityzm w Polsce jest „naturalny i zrozumiały“², oraz pogląd Karola Irzykowskiego, że „Żydzi są tylko krzewicielami mody,... psują nam kuchnię literacką,... byli odrazu fruktyfikatorami obcych idei literackich, przenosząc je do nas w formie pomniejszonej i dziecinnej, źli kolporterzy kultury“³. Plon tej dyskusji po raz pierwszy dosyć szczerze i bez zażenowania toczony w takim zasięgu na płaszczyźnie literackiej przyniósł (mimo nieskąpanych deklaracji w obronie Żydów) wyraźne po stronie polskiej znamię myślenia kategoriami gospodarzy narodu. Większą może polemiczną zażartość wywołał, pośredni tylko mający związek z literaturą polityczno-społeczny zarys powieściopisarki Marii Dąbrowskiej: *Rozdroże, studium na temat zagadnień wiejskich* (1937, s. 206), w którym twierdzi, że „Polskę współcz. przenika stanowy

¹ O tej atmosferze czytamy w Czasie (1937, 211): „Napaści na ludzi wybitnych, napaści na skromnych pracowników. Ataki na żywych, a także ataki na umarłych. Wyzwiska, obelgi, wymyślania, urągania, jadowite dowcipy, „likwidacje“. Oto czym się karmimy, a raczej czym nas karmią“... „Dlaczego — zapytuje inny autor — w Polsce tak trudno o rzeczową dyskusję, czy choćby polemikę? Dlaczego walczy się argumentami ad hominem? Dlaczego związanie uczuciowe z danym obozem, partią, czy warstwą społeczną wywołuje daltonizm umysłowy?“ (J. Mosdorf, Prosto z mostu III, 24). „Nasze dyskusje literackie — wyznaje prof. Julian Krzyżanowski — obojętne, czy przedmiotem ich będzie definicja dzieła literackiego, czy rzekomy lub nawet istotny plagiat, prowadzone są zazwyczaj na poziomie brukowym i operują argumentami palkarskimi. Nie chodzi w nich o wyświetlenie sprawy“. (Wiad. Lit. 1937).

² Świętochowski A. *Antysemityzm*. Wiad. Lit. 1937, 16. — Tamże głos Jerzego Hulewicza z tezą: należy ochraniać kulturę polską przed wpływami żydowskimi.

³ Irzykowski K. *Udział Żydów w literaturze polskiej*. Kurier Poranny 1937, sierpień: „W rękach Żydów są, a przynajmniej do niedawna były, główne ośrodki dyspozycji literackiej. Oni szafują sławą i reputacją. Oni — przedstawiciele snobizmu cmokającego i ducha kliki. Oni sprawili, że... Polska pod względem literackim stała się na 10, 15 lat prowincją, filią Rosji. Prawie cały handel księgarski zwłaszcza wydawniczy jest w rękach Żydów. W teatrze większość publiczności premierowej stanowią Żydzi, gilotynują jednych autorów, wieńczą drugich, rozdają koncesje“... Wystąpienie Irzykowskiego omówił m. in. Zygmunt Wasilewski dodając wiele uwag do tego zagadnienia, np. „Całe powodzenie swoje w Polsce jako sztukmistrze — i nie tylko w sztuce — Żydzi zawdzięczają tej rustykalnej naiwności, z jaką gapiowata

duch szlachetczyzny“, hamujący rozwój, a z sentymentem staje w obronie aktualnej ustawy o reformie rolnej¹. Motywy pozaliterackie grały też pewną rolę w sporze o *Krzyżowcach* Zofii Kossak, w którym chodziło o problem powieści katolickiej, dowolność środków wyrazu w obrazowaniu prawdy historycznej, postawę duchową autorki, jej pesymizm etc. Dawno już utwór powieściowy nie wywołał w Polsce takich obszernych omówień i niekończących się odgłosów, jak cykl o wyprawach krzyżowych². Zajmująca była dyskusja o użyciu gwary w literaturze, wywołana ukazaniem się zbioru wierszy *Poezja młodego Podhala*, o określonym celu „skierowania wozu naszej twórczości w ugor ludowego geniuszu“. Sprzeciwił się robieniu literackich prymitywów K. H. Rostworowski pisząc, że sztuka ludowa „dopóty jest ludowa i pełna wdzięku, dopóki tworzą ją chłopci, żyjący po chłopsku, myślący i czujący po chłopsku, przetwarzający wszystko na swoje kopyto, a jednocześnie mający najgłębsze przekonanie, że i panowie lepiej nie potrafią... Gwary nie rodzi chłopski język, ale chłopska umysłowość“³. Ciekawe spostrzeżenie dorzucił w dyskusji K. L. Koniński: „Naturalną i pierwszą skłonnością pisarza ludowego jest oderwać się od gwary, jeśli zaś pisarz ludowy do gwary wraca, to tylko dlatego, iż czuje się do tego powrotu upoważnionym i nawet zachęconym przez inteligencją kulturę“⁴. Niemal wrzawy uczyniło oskarżenie prezesa Akademii Literatury Sieroszewskiego o popełnienie plagiatu na bajkach Grimma,

ciekawość (polska) reaguje na obcość“ (Myśl Narodowa 1937, 36). Do dziejów problemu warto przypomnieć wypowiedź K. H. Rostworowskiego ogłoszoną w *Pionie* (1934, 20): „W sztuce wyznaję zasadę: co żydowskiego Żydom, a co polskiego Polakom. Tuwima cenię najbardziej za te utwory, w których semickie pierwiastki występują najwyraźniej. Nie cierpię zaś tej międzynarodowej muzyki i literatury tworzonej przez Żydów, która tak samo wygląda w Paryżu, jak w Berlinie, czy Warszawie“. Nie pominął również określenia roli Żydów w kulturze polskiej Artur Górski: Niepokój naszego czasu. 1938 s. 20n. Zagadnienie udziału Żydów w życiu literackim zwięźle omówił prof. Jan St. Bystron: Publiczność literacka. 1938, s. 201n.

¹ Popławski A. *Nie ma rozdroża. Z powodu książki p. M. Dąbrowskiej*. Warszawa 1937, s. 50 — Ob. rec.: J. Steckiego, Nowa Książka IV, 8; J. Mosdorfa, Prosto z mostu 1937, 24; Z. Stahla, Dziennik Polski, 1937, 176.

² Święicki J. M. Przegląd Powszechny 1937, 5 i Prosto z mostu 1937, 47; Pion 1937, 26; Lwów Literacki 1937, 6.

³ Rostworowski K. H. *Samolot nie wóz drabiniasty*. Kurier Poznański 1937, 208.

⁴ Koniński K. L. *W sprawie gwary*. Prosto z mostu, 1937, 20. Tamże (nr. 18) Bielatowicz J. *Ludowa poezja Podhala*.

z których miał jedną włączyć do swej książki. Bezpodstawność zarzutów wykazywał prof. Julian Krzyżanowski¹. Wśród sporów naukowych niespodziewanie bogato i interesująco rozwinęła się dyskusja wokół książki prof. M. Kridla *Wstęp do badań literackich*; prowadzona z pasją, ujawniła duże rozbieżności w pojmowaniu kardynalnych zadań wiedzy o literaturze, w definiowaniu dzieła literackiego i zakresu badań, niemniej jednak ożywiła znacznie koła polonistyczne². Dodajmy tutaj, że utworzenie Towarzystwa Polonistów Rzeczyplitej Pol., na którego czele stanął Leon Płoszewski, dobrze wróży o organizowaniu kadrów polonistyki, która w 1937 r. święciła półwiecze istnienia i chlubnej pracy zasłużonego T-wa Literackiego im. Adama Mickiewicza.

„Wojna ortograficzna“ nie umilkła w 1937 r. Niezadowolenie z reformy Komitetu Ortograficznego nie ucichło, wyraziło się nawet w organizowaniu zbiorowych protestów, odezów i zebrań; pojawiło się też kilka mocno napastliwych publikacyj mających na celu zdyskredytowanie pomysłów nowej pisowni³. Protesty te skumulował gwiazdkowy numer *Świata* (1937, 52), w którym zebrano trzysta podpisów ludzi pióra, i sporo wypowiedzi głośnych uczonych i literatów np. prof. Leona Pinińskiego, Marii Rodziewiczówny, Michała Pawlikowskiego i in. Prof. W. Witwicki dał przykład w którym użycie nowej pisowni psuje sens zdania: „Oto ten mi przeszkadza, a to mi zawadza; ale z tym sobie dam radę, tylko z tem będzie kłopot“ (podług nowej pisowni — „z tym“). Z tego przykładu taki wyciąga wniosek: „Reguła pisowni, która zmusza do pisania nonsensów i wywoływania nieporozumień, jest haniebna. Należy pochwalić każdego, kto ją łamie, a współczuć z każdym kto jej musi słuchać“... Nieodosobnione bywało też mniemanie, że przerabianie na

¹ Zarzut postawił w poznańskim *Orędowniku* (1937, 160, 171) T. Z. Hernes. Odpowiedź Sieroszewskiego oraz inne dokumenty w tej sprawie podaje tyg. *Prosto z mostu*, 1937, 38, 39, 41, 43. Ob. Krzyżanowski J. *Wiad. Lit.* 1937.

² Dyskusję zreferowała J. Kulczycka-Saloni: *Okolo Wstępu Kridla*. *Życie Literackie* 1937, 3, 4.

³ Cywiński S. *Gwałt ortograficzny*. Wilno 1937, s. 82; Otrębski J. *O nowej zmianie pisowni polskiej*. Wilno; Pilch Z. ks. *Nowa pisownia w świetle wymowy*. Kielce 1937, s. 42 (przykłady zniekształcenia sensu tekstu przez zastosowanie nowej ortografii); Zawodziński K. W. *Reforma ortografii w oczach laika*. *Przegląd Współczesny* 1937, 11; Mycielski M. S. *W obronie języka polskiego*. Leszno 1937, s. 19. Obrona nowej ortografii, bardzo zresztą skąpa, reprezentowana była głównie przez prof. K. Nitscha (*Przegląd Współcz.*).

nową pisownię edycji klasyków (np. Sienkiewicza w wyd. Ossolineum, Orzeszkowej w wyd. Gebethnera i Wolffa) równoznaczne jest z fałszowaniem tekstów.

Rolę zastępczą mecenatu odgrywają instytucje nagród literackich. Było ich w 1937 r. dwanaście o łącznej sumie około 30.000 zł, w czym Państwo uczestniczy zaledwie w 23 proc., łożąc na dwie nagrody literackie. Połowę sumy dają samorządy miejskie (4 nagrody), resztę fundacje prywatne oraz organizacje literackie. Państwowa nagroda przypadła w 1937 r. po raz pierwszy krytykowi, otrzymał ją Wacław Borowy, który wyjątkową pozycję zawdzięcza precyzyjności sądów trafnych i głębokich, doskonałej orientacji wśród zjawisk literackich, szerokim horyzontem i czujnej wrażliwości estetycznej. Nagrodę Lwowa otrzymał Edward Porębowicz za całokształt działalności literackiej, nagrodę Krakowa Maria Kossak-Jasnorzewska za zbiór wierszy *Balet powojów*, nagrodę Warszawy Maria Kuncewiczowa, nagrodę Poznania Stanisław Wasylewski, nagrodę Filomatów wileńskich Witold Hulewicz, nagrodę czytelników Wiadomości Literackich Zofia Kossak za *Krzyżowców*, nagrodę Reynela za najlepszą sztukę wystawioną w teatrach stołecznych Jarosław Iwaszkiewicz za *Lato w Nohant*, i wreszcie nagrodę im. Szareckiego dla młodych pisarzy za utwór na tematy morskie Wanda Karczewska za powieść *Ludzie spod żagli*. O innych nagrodach (PAL, Pen-Club, wydaw. Wiadomości Literackich) wspomnieliśmy wyżej. Przyznanie tych nagród spotkało się z uznaniem, sprzeciwu podniosły się jedynie przy obdarzeniu Łobodowskiego nagrodą dla młodych PAL, oraz przy uznaniu *Pamiętników chłopów* (cz. II) za najlepszą książkę 1936 r.

Bardzo skąpe echa wywołały liczne rocznice literackie jak: 50-lecie zgonu Krąszewskiego, setne rocznice urodzin Bałuckiego i Stanisława Tarnowskiego, 10-lecia zgonów Przybyszewskiego i Daniłowskiego, 40-lecie śmierci Kornela Ujejskiego, 25-lecie zgonu Prusa¹ i 30-lecie zgonu Wyspiańskiego. Jedynie stulecie zgonu Puszkina przyniosło ilościowo niezwykle bogate odgłosy w prasie oraz osobnych obchodach. Wspomnieć również należy o wystawach literackich urządzonych w 1937 r., a więc wystawie sienkiewiczowskiej w stoł. Bibliotece Narodowej, na której pokazano wiele nieznanych rękopisów autora *Quo Vadis*; następnie wystawę: *Współczesne życie literackie* (w salach PAL w październiku), oraz wystawę przekładów polskich z literatury francuskiej, w Seminarium Filologii Romańskiej Uniw. Poznańskiego.

Wyjątkowo ciężkie i bolesne wyrwy uczynił rok 1937 w szeregach twórców i badaczy naszej literatury. Oto żalobny ich poczet: w styczniu zgasła Maria z Fredrów Szembekowa, wnuczka wielkiego komediopisarza, której zawdzięczamy barwne wspomnienia o autorze *Ślubów panińskich*. W Hollywood zmarł (19.I.) wybitnie utalentowany reżyser Ryszard Bolesławski (Srzednicki), autor paru angielskich powieści, przełożonych na obce języki, zdradzających niezwykle talent narracyjny. Odszedł (21.II) po pracowitym żywocie zamilowany filolog Stefan Cybulski, autor rozlicznych prac naukowych, znakomity pedagog. Zmarł (27.II.) w Paryżu dr med. Włodzimierz Bugiel, który przekładał i propagował literaturę polską we Francji. W

¹ Rocznicę tę uczczono wmurowaniem z inicjatywy Stefana Godlewskiego dwóch tablic na Krak. Przedmieściu w Warszawie ku czci bohaterów *Lalki*.

Poznaniu zmarł (1.II.) ceniony leksykograf ks. Ludwik Niedbał, autor *Słownika myślowskiego*. Przecięła pasmo życia śmierć genialnemu muzykowi Karolowi Szymanowskiemu, który zostawił także puszczynę literacką. Odszedł (9.IV.) Franciszek Fiszer, przyjaciel poetów, myśliciel i animator życia literackiego. Zmarł zasłużony filolog i tłumacz Roman Palmstein. W maju zmarła w Poznaniu czczona tam poetka i działaczka narodowa Maria Paruszeńska. W Warszawie zmarł (3.V.) wybitny historyk i pisarz prof. Wacław Tokarz. W Rabce zakończył życie (25.VI.) Aleksander Saloni, którego zasługą było ocalenie wielu pieśni ludowych. Najboleśniejszy cios poniosła polonistyka przez zgon (8.VII) prof. Józefa Ujejskiego, znakomitego historyka literatury, badacza ideologii, autora *Dziejów mesjanizmu polskiego*, najwybitniejszego w tym zakresie dzieła. W Bydgoszczy zmarł (14.VII.) Zygmunt Malewski, historyk. W Bernie szwajcarskim zmarła (22.VII.) Eleonora Kalkowska, poetka; pisała po polsku i po niemiecku. W Myślenicach przedwcześnie zgasł poeta Rajmund Bergel. We Lwowie zmarł (24.VIII.) Edward Porębowicz, poeta i wielki uczony, romanista, najznakomitszy tłumacz polski Dantego, Byrona, Calderona. Również we Lwowie umarł prof. Tadeusz Pini, doskonały polonista, autor głośnej monografii Krasińskiego, redaktor Pamiętnika Literackiego i wydawnictwa Nauka i Sztuka. W Warszawie zakończył życie (10.IX.) popularny beletrysta Stefan Barszczewski. Kraków stracił (26.IX.) nestora etnografów, Seweryna Udzielę i historyka Leonarda Lepszego. W Warszawie zmarł 16.XI. Bolesław Leśmian, poeta, członek Akademii Literatury. Przedwcześnie odszedł w 28 roku życia (12.XI.) utalentowany prozaik Zbigniew Uniłowski. W dn. 9.XII. zmarł Andrzej Strug, powszechnie znany i zasłużony powieściopisarz. Wreszcie 29 grudnia zmarł prof. Stefan Czarnowski, historyk kultury, socjolog i publicysta.

W rzeczy rejestrującej, rozmiarów tak szczupłych, nie podobna wyczerpać zdarzeń i przejawów naszego życia literackiego nawet w obrębie ram jednego roku. Zabrakło więc miejsca np. na sprawy teatru, wymagające obszerniejszego, może osobnego omówienia; pominięto z konieczności fakty inflacji nowych czasopism (w części o charakterze literackim), a zamierania dawniejszych; nie zwrócono uwagi na wytwarzanie się nowych grup, czy grupiek literackich (np. „Apelu“), ani też na pewne nieustające próby i zakusy etatyzacji literatury. Należało by stworzyć cały instytut badania życia literackiego, gdyby się pragnęło dać odpowiedzi na wszystkie nasuwające się problemy. W podsumowaniu spostrzeżeń i wrażeń nabieramy przekonania, że przyczyn niedostatecznej rodzimej produkcji literackiej poszukiwać należy głównie w podłożu ekonomicznym. W Polsce rośnie przemysł literacki, ale nie mogą powstać silne kadry literatów zawodowych, gdyż literaci nie zdołają utrzymać się z pióra. Pisarze nasi — jak zauważył A. Grzymała Siedlecki — proletaryzują się skazani na minimalne zarobki. Problem autarkii literackiej staje się przeto w Polsce obecnie bodaj najżywotniejszy.

LITERATURA POLSKA W PRZEKŁADACH

- Berent Wacław. *Zive kameny*. Preložil Jaroslav Janouch. Grafická uprava. J. Svaba. Praha 1937. L. Mazac. Typ. Čsl. Grafická Unie. 8. s. 328, 11 nlb. (przedmowa: Karel Krejci). (*Żywe kamienie*). Polska Knihovna, sv. 7.
- Broniewski Władysław. *Pecal i pesnja*. Perevod s polskiego i predislavie Marka Živova. Pereplet, titul i szmuctitul: V. Titov. Moskwa 1937. Goslitizdat. Tip. Mosoblpoligrafa v Kaluże. 16. s. 110. (*Troska i pieśń*).
- Choromański Michał. *Gelosia e medicina*. Romanzo. Unica traduzione autorizzata dal polacco di Giacomo Prampolini. 2-a edizione. Milano 1937. Mondadori. 16. s. 292. (*Zazdrość i medycyna*). Medusa: I grandi narratori di ogni paese. Nr 16.
- Chojnowski Piotr. *Mładyma ocima*. Roman. Preložil z polstiny Vaclav Dresler. Grafická uprava J. Svaba. Praha 1937. L. Mazac. Typ. Čsl. Grafická Unie. 8. s. 252, 7 nlb. (przedmowa: Julius Heidenreich). (*W młodych oczach*). Polska Knihovna, sv. 10.
- Czeska-Maczyńska Maria. *Rymsove*. Historická povídka pro mladež. Dej ze XVII století, z doby boju polskotatarských. Preložil Karel Otypka. Prerov. 1936. Společenské Podniky. 8. s. 203, III. (*Dwaj Rymaszowie*). Levna Knihovna. roc. 1936, ses. 34—40.
- Dąbrowska Maria. *Podruzi*. Cyklus povídek. Preložila Jarmila Minarikova. Grafická uprava J. Svaba. Praha 1937. L. Mazac. Typ. Čsl. Grafická Unie. 8. s. 227, IV. (*Ludzie stamtąd*). Polska Knihovna, sw. 2.
- Dygasiński Adolf. *Le banquet de la vie*. Traduit par M-me Baron-Guilhomard et Joseph-André Teslar. Paris 1937. Editions E. Malfère. 8. s. 184. (*Gody życia*).
- Goetel Ferdynand. *Voyage aux Indes*. Traduit du polonais par A. M. Bohomolec. Paris 1937. Nouvelle Revue Française. 16. (*Podróż do Indyj*).
- Iwaszkiewicz Jarosław. *Słecny ze statku*. Roman. Preložil Vaclav Dresler. Grafická uprava J. Svaba. Praha 1937. L. Mazac. Typ. Čsl. Grafická Unie. 8. s. 204, 2 nlb. (życiorys autora: Josef Becka). (*Panny z Wilka*). Polska Knihovna, sv. 8.
- Jeż Teodor Tomasz (Zygmunt Miłkowski). *Na svitanku*. Lwów 1936. Wydawnictwo Batkivszczyzna. 8. s. 224. (*W zaraniu*).
- Kaden-Bandrowski Juliusz. *Mesto me matky*. Ve stínu zapomenuté olse. Roman. Preložil Dr Bohumil Vydra. Grafická uprava J. Svaba. Praha 1937. L. Mazac. Typ. Čsl. Grafická Unie. 8. s. 304, VI. (*Miasto mojej matki. W cieniu zapomnianej olszyny*). Polska Knihovna, sv. 1.
- Katzin Winifred. *Short plays from twelve countries*. Selected by... London 1937. Harrap. (zawiera, między

- innymi, przekład polskiej sztuki teatralnej).
- Kochanowski Jan. *Eine Auslese aus seinem Werk. Uebersetzt von Spiridon Wukadinović*. Breslau 1937. W. G. Korn. 8. s. 136.
- Kossak-Szczucka Zofia. *O Kristovu korunu*. Krizacka epopeje. Z polstiny preložil Jaroslav Janouch. Ceske vydani je opatreno 29 rytinami podle obrazu Gustava Doré a 8 mapami. Svazek 1: Dil 1-2; Svazek 2: Dil 3-4. Praha 1937. Vysehrad. Typ. Čsl. Akc. Tiskarna. 4. s. 1 nlb., 350, 15 nlb.; 1 nlb., 391, 11 nlb. (*Krzyżowcy*).
- Kossak-Szczucka Zofia. *Tempo*. Preložil Mikulas Stano. Bratislava 1937. „Slovak“. Typ. Knihtlaciaren Andreje. 8. s. 317. (*Dzień dzisiejszy*). Kniznica „Slovaka“, cis. 20.
- Kölm Michael. *Märchen aus Posen und Westpreussen*. Aus dem Volksmunde aufgezeichnet von —. Erzählt von Kurt Gutowski. Buchschmuck von Albert Schätzki. Schneidemühl 1937. Grenzmarkische Gesellschaft. 8. s. 109. Grenzmarkische Heimatblätter. Sonderheft.
- Kunciewiczowa Maria. *Cizinka*. Roman. Preložila Helena Teigeova. Graficka uprava J. Svaba. Praha 1937. L. Mazac. Typ. Čsl. Graficka Unie. 8. s. 308, 5 nlb. (*Cudzoziemka*). Polska Knihovna, sv. 4.
- Kurek Jalu. *Griep woedt in Naprawa*. Poolsche roman. Geautoriseerde vertaling van H. Katzee. 's-Gravenhage 1937. J. Philip Kruseman. 8. s. 285. (*Grypa szaleje w Naprawie*).
- Marczyński Antoni. *Na horke pude*. Dobrodružny roman. Autorisovaný preklad Fr. Belskeho. Praha 1936 (1937). Narodni Politika. Typ. Politika. 8. s. 272.
- Mickiewicz Adam. *Pan Tadeusz*. Traduction avec introduction et notes par Paul Cazin. Préface de Louis Barthou. Nouvelle édition. Paris 1936. Classiques Garnier. 16. s. XVII, 370.
- Mickiewicz Adam. *Pan Tadeusz*. Traduction avec introduction et notes par Paul Cazin. Préface de Louis Barthou. Paris 1937. Librairie Garnier Frères. 16. s. 404. Collection „Selecta“.
- Miechowita Maciej. *Traktat o dwóch Sarmatijach*. Vvedenie, perevod i komentarii S. A. Anninskogo. Predislovie B. Grekova. Superobložka i preplet A. Usina. Moskva 1936. Izdanie Akademii Nauk SSSR. Tip. im. Volodarskogo, Leningrad. 8. s. XI, 288. (*Tractatus de duabus Sarmatiis*). Akademia Nauk SSSR. Institut Istorii. Izvestia inostrancev o narodach SSSR.
- Mniszek Helena (Rawicz Radomska). *Malomocna*. Roman. 1 dil. Preložil z polstiny Dr Jan Sajic. Praha 1937. Typ. Politika. 8. s. 565, 1 nlb. (*Treudowata*). Vybrane spisy dobrych autoru. Rada 10, cislo 1-18, sv. 92.
- Morciniek Gustaw. *Six jours*. Nouvelle, traduite et adaptée par Marie Régamay-Strowski. Illustrations de Lucien Jonas. Paris 1937. „Illustration“. Imprimerie de „Illustration“, Bobigny. 8. s. 30. (*Sześć dni*). La Petite Illustration, No 814, Roman, No 388.
- Norwid Cyprian Kamil. *Le piano de Chopin*. Traduction de Joseph Pérard. Avec le texte polonais. Paris 1937. Bibliothèque Polonaise. Impr. Société Générale d'Imprimerie et d'Édition. 8. s. 36, tablica 1. (*Fortepian Szopena*).
- Nowakowski Zygmunt. *Kaap de Goede Hoop*. Roman. Geautoriseerde vertaling uit het Poolsch door Irina Canté-Kryloff en Louis F. C. Canté.

- Maastricht 1937. A. A. M. Stols. 8. s. V, 254. (*Przylądek Dobrej Nadziei*).
 Nowakowski Zygmunt. *Mys Dobre Nadeje*. Roman. Preložil Dr Josef Becka. Grafická uprava J. Svaba. Praha 1937. L. Mazac. Typ. Čls. Grafická Unie. 8. s. 234, V. (*Przylądek Dobrej Nadziei*). Polska Knihovna, sv. 3.
- Ossendowski Ferdynand Antoni. *Po stopach losu*. Autorisovaný překlad Frantiska Vondracka. S kresbami Rud. Kominka. Praha 1937. „Novina“. Typ. „Novina“. 8. s. 69, 2 nlb. (*W krainie niedźwiedzi*).
- Ossendowski Ferdynand Antoni. *Tiere, Menschen und Götter*. Herausgegeben von Wolff von Dewall. Frankfurt am Main 1937. Societäts-Verlag. 8. s. 369. (*Ludzie, zwierzęta, bogowie*).
- Parandowski Jan. *Nebe v plamenech*. Roman. Preložil Fr. Bicek. Praha 1937. Volna Myslenka. Typ. Vladimír Reis. 8. s. 350, 1 nlb. (předmowa: Josef Becka). (*Niebo w płomieniach*).
- Parandowski Jan. *Olympijský disk*. Roman. Preložil Vojtech J. Kosnar. Grafická uprava J. Svaba. Praha 1937. L. Mazac. Typ. Čsl. Grafická Unie. 8. s. 245, 9 nlb. (*Dysk olimpijski*). Polska Knihovna, sv. 9.
- Pilars de Pilar Władysław. *Tragédie*. Traduit de l'original polonais par le comte Gaëtan de Lubraniec Dąbski. 2-e édition. Illustrée de Sigismond Grabowski. Milanówek 1937. Autor. Druk. Galewski i Dau. 8. s. 260, 3 tablice. (*Tragedia*).
- Poljski pripovedniki*. Novele. Prevedel in uvod napisal Ivan Lesjak. Gorizia 1937. Unione Editrice Goriziana. Tipografia Consorziale, Trieste. 16. s. 104.
- Reymont Władysław Stanisław. *The Peasants*. Crakow edition. New York 1937. Knopp. 8. s. 1160. (*Chłopi*).
- Sienkiewicz Henryk. *I cavalieri della croce*. Romanzo storico. Traduzione dal francese di Decio Cinti. Milano 1937. Sonzogno. Tipografia A. Matarrelli. 16. s. 380. (*Krzyżacy*, překlad z francuskiego). Romantica Mondiale Sonzogno, No 154.
- Sienkiewicz Henryk. *Hania*. Trad. Seb. Leonard. Bucuresti 1937. Tip. Finan-te si Industrie. 8. s. 184 (*Hania*).
- Sienkiewicz Henryk. *Janko-muzykant*. Dlja mładszogo vozrasta. Perevod S. Sandomirskogo. Risunki P. Mituricza. 3 izdanie. Moskwa 1937. Detizdat. Fabrika Detskoj Knigi. Izdatelstwo Detskoj Literatury. 8. s. 16. Kniha za knigoj.
- Sienkiewicz Henryk. *Janko-muzykant*. Dlja mładszogo vozrasta. Perevod s ruskogo M. Molodcovoj. Risunki P. Mituricza. Syktyvar 1937. Komi Giz. Tip. UMP. 8. s. 16. (překlad z rosyjského na jazyk komi-zyriaň-ski).
- Sienkiewicz Henryk. *Kopoti reksti*. 24 gramata. Stasti III: Amerikas celojuuma vestules. Riga 1936. 8. s. 287, 1 nlb. (*Listy z Ameryki*).
- Sienkiewicz Henryk. *Kriziaci*. Svazok 1-3. Preložil prof. Andrej Germuska. Trnava 1937. Spolok sv. Vojtecha. 8. s. 294, 1 nlb.; 327, 1 nlb.; 293, 2 nlb. (*Krzyżacy*).
- Sienkiewicz Henryk. *Pan Volodyjovskij*. Historický roman pro dospělejší mladež. Preložil Augustin Spacil. Ilustr. Venceslav Cerny. Praha 1936. Kvasnicka a Hampl. 8. s. 151, 1 nlb. 8 tablic. (*Pan Wołodyjowski*).
- Sienkiewicz Henryk. *Quo Vadis?* Historický roman. Preložil Václav Kredba. 21 hlubotiskových ilustrací Jana Styki, z grafických závodu „Unie“, upravil a vazbu navrhl Jaroslav Svab. Praha

1936. Kvasnicka a Hampl. 8. 706, II, 21 tablic.
- To samo. 2 wydanie. 8. s. 838, 2 nlb. Henryk Sienkiewicz. Sebrane spisy, sv. 14.
- Sienkiewicz Henryk. *Quo Vadis?* Romanzo storico dei tempi di Nerone. Versione italiana di Ferdinando Bideri. Nuova edizione illustrata. Napoli 1937. F. Bideri. 16. s. 279, 9 tablic. Collezione dei grandi autori antichi e moderni, serie 6, No 58.
- Sienkiewicz Henryk. *V pusti a v pralese*. Preložil Mikulas Stano. S ilustr. Karla Ondreicku. I-II. Turciansky Sv. Martin 1936-1937. Matica Slovenska. Typ. Nova Knihtlaciaren. 8. s. 249, I; 247, I. (*W pustyni i w puszczy*). Prekladova Kniznica Matice Slovenskej, sv. 8-9.
- Sienkiewicz Henryk. *V pusti a v pralese*. Sv. 1-2. Preložil Mikulas Stano. S ilustrac. Karla Ondreicku. Turciansky Sv. Martin. 1936-1937. Matica Slovenska. Typ. Nova Knihtlaciaren. 8. s. 286, 1 nlb.; 285, 1 nlb. (*W pustyni i w puszczy*). Kniznica Dobre Slovo, sv. 43-44.
- Sienkiewicz Henryk. *V pustinach*. Dobrodružny roman. Preložil Jaroslav Rozvoda. Ilustr. Venceslav Cerny. Praha 1936. Kvasnicka a Hampl. 8. s. 299, 1, 21 pl. (*W pustyni i w puszczy*).
- Sienkiewicz Henryk. *Vyber z dila*. Preložil Vaclav Kredba. Praha 1936. Kvasnicka a Hampl. 8. s. 155, II. Blanik, vyber z pisemnictvi, sv. 28.
- Sienkiewicz Henryk. *Za Božim khlebom a druge novele*. Zawod.: Ota Wićaz. Budysin 1936. J. Cyz. 8. s. VIII, 154. (*Za chlebem, i inne opowiadania*). Serbska Ludowa Knihownja, c. 34.
- Sienkiewicz Henryk. *Za chlebem a jine povidky*. Preložil Vaclav Kredba. Ilustrace Venceslav Cerny. 2 wyd. Praha 1937. Kvasnicka a Hampl. Typ. Osve-ta. 8. s. 477, 3 nlb. (*Za chlebem, i inne opowiadania*). Henryk Sienkiewicz, Sebrane spisy, sv. 3.
- Słowacki Juliusz. *Mary Stuart*. A romantic drama. Translated from the Polish by Arthur Prudden Coleman and Marion Moore Coleman. New York 1937. Translators. 8. s. 106. (*Maria Stuart*).
- Strowska Zuzanna. *Contes de Pologne*. Paris 1936. Furne, Boivin et Cie. 16. Nouvelle collection: Il était une fois...
- Walter Robert. *Dudelsack, Schalmey und Geige*. Polnische Volkslieder. Nachdichtungen. Mit Federzeichnungen von Edward Manteuffel. Nachwort von Prof. Lucjan Kamieński. Hamburg 1936. Dr E. Hauswedell und Co. 8. s. 95.
- Wittlin Józef. *Sol zemli*. Povest o terpelivom pechotince. Perekod s polskogo E. Gonzago. Predislovie S. R. Stande. Moskwa 1937. Zurn.-Gaz. Objedenenie. 8. s. 281, 2 nlb. (*Sól ziemi*). Vsemirnaja Biblioteka, ser. 67-69.
- Wittlin Józef. Povest o mnogostradatel-nom pechotince. Czast I: *Sol zemli*. Perekod s polskogo E. Tropovskogo. Pereplet i titul N. O. Munc. Lenin-grad 1937. Gosizdat. Tipogr. Lenin-gradskaja Pravda. 16. s. 352. (*Sól ziemi*).
- Wittlin Józef. *Sul zeme*. Z polske predlohy preložil a dostav o autorovi napsal Jaroslav Zavada. Podle typograficky upravy St. Kohouta. Praha 1937. Sfinx, Bohumil Janda. Typ. Jiri Jelen na Melnice. 8. s. 254.

2 nlb. Nove Cile, sv. 709. — Edice Palma, sv. 4. (*Sól ziemi*).
Wittlin Józef. *Het zout der aarde*. Roman. Uit het Poolsch vertaald door

A. E. Boutelje. Amsterdam 1937. Allert de Lange. 8. s. 345. (*Sól ziemi*). Wereldbibliotheek.

POWYŻSZY WYKAZ BIBLIOGRAFICZNY OBEJMUJE NIE-
mal wyłącznie druki nieperiodyczne. Lojalność nakazuje mi wyznać, że
drobną tylko część tych druków znam z autopsji, reszta zaś to jedynie
pozycje bibliograficzne.

Dzieje się to dlatego, że nie ma na kuli ziemskiej miejsca, w którym
tak zwane polonika bieżące byłyby systematycznie gromadzone. Istniejący
już rok jedenasty „Wykaz druków polskich, lub Polski dotyczących, wy-
danych za granicą, Dodatek (kwartalny) do Urzędowego wykazu druków,
wydanych w Rzeczypospolitej Polskiej“, wychodzącego co tydzień i wy-
dawanego przez Bibliotekę Narodową Józefa Piłsudskiego, rejestruje owe
polonika, ale dotychczas poprzestawał na rejestracji bibliograficznej tylko
druków nieperiodycznych, zaś zawartość czasopism zagranicznych, mają-
cych przeważnie zasięg większy niż książki i zawierających często artyku-
ły o większym znaczeniu, niż dzieła wydane osobno, nie jest poddawana
rejestracji bibliograficznej.

Tym sposobem, tradycja Załuskich i Wielkiej Emigracji w dziedzinie
gromadzenia poloników, oraz Karola Estreichera w zakresie ich syste-
matycznej rejestracji nie znalazła dotychczas w Polsce odrodzonej god-
nych spadkobierców.

Prawowitą dziedziczką tej świetnej tradycji jest dziś Biblioteka Naro-
dowa Józefa Piłsudskiego w Warszawie, wydająca wyżej wspomniany
wykaz poloników książkowych. Ustawodawstwo polskie niedawno nada-
ło sankcję prawną temu moralnemu dziedzictwu Biblioteki Narodowej:
jej Statut, ogłoszony rozporządzeniem p. Ministra Wyznań Religijnych
i Oświecenia Publicznego z d. 31 stycznia 1938 r. (Nr. IV - N3930/37)
w Dzienniku Urzędowym M.W.R. i O.P. Nr. 2 z d. 10 marca 1938 r.,
poz. 28, głosi w paragrafie 2 punkt b: „(Biblioteka ma za zadanie:
gromadzenie, przechowywanie i udostępnianie) całokształtu piśmien-
nictwa w językach obcych, odnoszącego się do badania dziejów i obec-
nego położenia narodu polskiego oraz grup narodowościowych, mieszkają-
cych na obszarze Państwa Polskiego“.

Tak więc, brzmienie paragrafu 2 w punkcie b Statutu Biblioteki Na-

rodowej nakłada na nią obowiązek gromadzenia poloników w najszerszym zakresie (całokształtu piśmiennictwa zagranicznego, odnoszącego się do narodu polskiego), — należy się spodziewać, że w najbliższym czasie, a w granicach możliwości budżetowych i personalnych, powstanie w Bibliotece Narodowej Dział Poloników i będzie stopniowo dążył do ogarnięcia i gromadzenia w swych zbiorach całokształtu zagranicznej produkcji wydawniczej, dotyczącej Polski.

Zadanie to, niewątpliwie, jest trudne i rozległe i sprawa zorganizowania Działu Poloników wymaga poważnych studiów przygotowawczych. Istnieje przecież — gotowy do użytku — aparat pomocniczy w postaci ogromnej sieci polskich placówek dyplomatycznych i konsularnych, ogarniających całą kulę ziemską, oraz w postaci kilkudziesięciu katedr i lektoratów polskich w szkołach wyższych większości krajów kulturalnych. Umiejętne „zażycie“ tego wspaniałego aparatu, dyplomatyczno-konsularnego i propagandowo-naukowego, przy stosownym poparciu ze strony Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, mogłoby dać konkretne wyniki już w najbliższych miesiącach, a w najgorszym razie pouczyć, jak dalece może być owocna pomoc tego aparatu.

Zbieranie poloników książkowych jest stosunkowo łatwe, znacznie trudniejsza jest sprawa gromadzenia poloników, rozproszonych po czasopiśmiennictwie całego świata. I tu jednak, obok wymienionego już polskiego aparatu zagranicznego, do którego możemy się odwołać i w zakresie czasopiśmiennictwa, rozporządzamy w kraju narzędziem znakomitym w postaci „Centralnego katalogu czasopiśmiennictwa“, znajdujących się w bibliotekach polskich“, podjętego przez prof. Dra Stefana Wierczyńskiego, dyrektora Biblioteki Narodowej, pod którego kierunkiem praca nad tym katalogiem nadal się rozwija. Katalog ten, dając ewidencję wszystkich czasopiśmiennictw zagranicznych, znajdujących się w bibliotekach krajowych, umożliwia ich zbadanie pod względem poloników, a następnie sprowadzenie tych, które powinny znaleźć się w Dziale Poloników Biblioteki Narodowej.

Taki centralny zbiór poloników książkowych i czasopiśmiennictw, jaki powstanie, miejmy nadzieję, w najbliższych latach w Dziale Poloników Biblioteki Narodowej, umożliwi ich opracowywanie i, co ważniejsza, pozwoli roztoczyć kontrolę nad tym, co obcy piszą o nas po świecie, oraz przeciwdziałać częstym niestety oszczerstwom i prostować szkodliwe błędy.

SPIS RZECZY

	Str.
<i>Zawodziński K.</i> Liryka i epika wierszem	5
<i>Irzykowski K.</i> Dramat	45
<i>Piwiński L.</i> Powieść	55
<i>Bielak F.</i> Wznowienia literackie	102
 <i>Przekłady:</i>	
<i>Chwalewik W.</i> Literatura angielska i anglo-amerykańska	121
<i>Mianowska Z.</i> Literatura francuska	139
<i>Birkenmajer J.</i> Literatura grecka i łacińska	160
<i>Bassalikowa A.</i> Literatura holenderska	166
<i>Piwiński L.</i> Literatura niemiecka	169
<i>Blüth R.</i> Literatura rosyjska	176
<i>Jakóbiec M.</i> Literatury słowiańskie	187
<i>Firsoff Wl. A.</i> Literatury skandynawskie	195
<i>Pazurkiewicz St.</i> Literatura węgierska	201
<i>Brahmer M.</i> Literatura włoska	202
<i>Górski K.</i> Literatura podróżnicza	207
<i>Wasylewski St.</i> Literatura pamiętnikarska	218
<i>Klingerowa Z.</i> Książki dla dzieci i młodzieży	225
<i>Krzyżanowski J.</i> Historia literatury	238
<i>Kridl M.</i> Teoria literatury	249
<i>Skwarczyńska St.</i> Szkice i felietony	272
<i>Elzenberg H.</i> Estetyka	280
<i>Makowiecki T.</i> Czasopisma literackie	285
<i>Grzegorzczuk P.</i> Życie literackie w Polsce	293
<i>Koczorowski St. P.</i> Literatura polska w przekładach	308

